

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



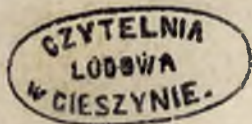
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1874.

— 403500 —

Tom trzeci.



W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główna w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

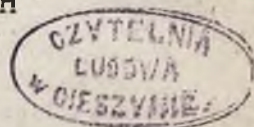
1874.

Дозволено Цензурою.
Варшава 18 Июля 1874 года

SPRAWOZDANIA

BANKÓW WARSZAWSKICH

z lat 1871, 1872, 1873.



Ruch przemysłowo-handlowy od lat kilku zwiększa się u nas i rozwija. Literatura ciągle nawołuje publiczność na tę drogę; budzący się interes ku wszystkiemu co finansowe i przemysłowe, zdaje się kierować działalność większej liczby ludzi w tę samą stronę; co raz to wyraźniej objawiające się między młodzieżą upodobanie do specjalnego i technicznego kształcenia, ułatwić może z czasem samą pracę przemysłową; kredyt rozwijający się i kształcący wśród nas szczególnie w Warszawie, otwiera szersze pole przemysłowości ludzkiej. Wszystko to zdaje się nam obiecywać w prędkiej przyszłości większy wzrost bogactwa w całym narodzie, podniesienie dobrobytu, łatwiejsze zatem szerzenie się oświaty i wykształcenia i stąpanie śmielszemi krokami po drodze cywilizacji.

Wszystkie te nadzieje zapewne mogą się ziścić i nie mamy dobrej racji do powątpiewania w tej materji. Jednakże wchodząc na tę drogę przemysłowej czynności, na której miara i waga więcej niż gdzieindziej muszą być głównym regulatorem ruchu, my, ludzie z tradycyi już naszej mało szanujący miarę i wagę, powinniśmy jak najczęściej obliczać dokonane roboty, przeglądać drogę którąśmy przeszli i okiem przynajmniej mierzyć przestrzenie jakie nam do przebycia pozostają. Obliczenia takie przy niezmierném ubóstwie u nas statystycznego materiału, trudne bardzo dla publiczności; bo nie wiadomo z kądby dostać można elementów rachunku; jakiej wielkości przyjąć za podstawę obliczeń, jakimi siłami kapitału pracy i surowego materiału rozporządzać można w kraju w danym czasie. Dlatego to zdawało się nam ciekawem, a może i pożytecznem zgrupować kilka liczb ze sprawozdań Banków warszawskich; liczby te zarysowują jeden z kierunków, na który się zwracamy, przedstawiając jedną z gałęzi ekonomicznego ruchu tutejszego; a jeżeli wzrost ich świadczy o zwiększającej się na tym polu pracy, to uwagi nad niemi i myśli, jakie one w czytelnikach obudzić mogą, posłużą za przyczynę do



wyjaśnienia ekonomicznych kwestyj i wskażą położenie jakie gospodarstwo kraju naszego zajmuje lub zająć powinno.

Nim przystąpimy do zestawienia cyfr wyjętych ze sprawozdań Banków warszawskich, musimy powtórzyć znajome już zapewne czytelnikom rzeczy, o głównych podstawach i o mechanizmie bankowych operacji i postaramy się jaknajkrócej to przypomnieć, ale zdaje się nam to koniecznym dla dokładniejszego rzeczy przedstawienia.

I.

Czynność gospodarska czyli przemysł narodu dąży koniecznie do owładnięcia materją i wszystkimi temi siłami, które Stwórca w niej złożył, usiłuje obrócić je na pożytek ludzki, na podtrzymanie i rozwijanie w ludziach siły żywotnej, kształtującej najprzód sam organizm człowieka, a zatem siły jego fizyczne i duchowe. Odwieczne doświadczenie nauczyło ludzi, że podział pracy nieskończenie więkksza jęj skutki czyli wydajność: i dlatego wśród społeczeństw, chociażby na niższym stopniu wykształcenia stojących, zajęcia specjalizują się, skutkiem czego każdy stara się robić coś jednego, a wyroby swęj pracy innym ludziom do spożycia oddawać, dostając od nich wzamian wyroby sobie potrzebne. Zamiana tych wszystkich wyrobów pomiędzy sobą stanowi *wymianę ogólną* czyli *obrót*, który im szybciej i łatwiej się dokonywa, tém lepiej wszyscy na tém wychodzą.

Prócz tego do obrobienia jakiegokolwiek bądź materiału człowiek potrzebuje narzędzi. Nie każdy posiada takie narzędzia, lub nabyć jest w stanie i w takim razie musi szukać kogoś, coby mu dostarczył środków nabycia tych narzędzi. Głównym warunkiem takiego dostarczania środków jest zaufanie, że człowiek korzystający z tego awansu, najprzód użyje go rzeczywiście na ułatwienie sobie pracy, czyli, jak zwykle mówią, użyje go produkcyjnie, a powtóre że awans ten akuratumie w oznaczonym czasie zwróci. Skoro te dwa warunki przedwstępne są pewne, inne dodatkowe t. j. sam termin zwrotu i wysokość wynagrodzenia za awans łatwo się dają ułożyć wedle bieżącej normy zysków. Ztąd wyrasta pojęcie kredytu czyli wierzania ludziom, iż spełnią ściśle wzięte na siebie zobowiązania.

W naszęj publiczności samo pojęcie kredytu nie zdaje się być jeszcze dość jasnym i czystym. Jak wszystkie narody, początkującą w zawodzie przemysłu i handlu, wiążemy zawsze z kredytem pojęcie zastawu nieruchomego. Chociaż zabezpieczenie kredytu zastawem jest rzeczą ze wszechmiar słuszną i naturalną, niemniej jednak tam, gdzie się kredyt lepiej wykształcił, miejsce zastawu w wielu razach zastępuje sama osoba przemysłowca. Nie odrazu jednak do tego się dochodzi i nie odrazu publiczność przywyknie do kredytu osobistego, opierającego się na działalności ludzkiej. Bo pierwój wśród tej publiczności musi się wyrobić znaczna masa ludzi pracujących pro-

dukcyjnie, żądających i używających kredytu tylko w celu przysposobienia bogactwa, wytworzenia nowych wartości.

Wśród dawniejszego społecznego porządku, który już dzisiaj nazywamy starym, właściciel ziemski jeden posiadał znaczenie i wpływ w towarzystwie, to też stanowisko to jego dawało mu kredyt, czyli ufano mu, iż powierzone sobie summy i wartości zwróci w każdym czasie. Nieraz właściciel ziemski nadużył tego zaufania, często i mimowolnie zupełnie, tak samo jak i dzisiaj zdarzają się bankructwa firm uczciwych. Za czasów dawniejszych używanie kapitałów produkcyjne, t. j. obracanie ich na wytworzenie nowego bogactwa bywało rzeczą rzadką, a właścicielom ziemskim prawie niedostępną. Pojęcia o obowiązkach zwłaszcza publicznych, co do formy swój były odmienne od dzisiejszych; pojęcia o obowiązkach stanu i osoby nawet, różniły się też znacznie. To też wielkie summy zlokowane u właścicieli ziemskich szły na użytek publiczny lub prywatny, a kiedy po wojnach lub przewrotach politycznych przychodziło do likwidacji t. j. do obliczenia wartości własnych i cudzych przez się zużytych, pokazało się nieraz, że to, co jest, nie wystarcza na opłacenie tego, co wzięto. Przy takiej ogólnej kraju pozycji uciekano się do ratunku za pośrednictwem Towarzystw kredytowych ziemskich, które, wiążąc wszystkich właścicieli kraju lub prowincyi solidarną odpowiedzialnością za długi ich wszystkich, przywracały zaufanie i dawały możność częstkowemi wypłatami uiścić się z należności.

Kredyt handlowy nie odrazu też odważył się obchodzić bez zastawu. Pierwotne banki przyjmowały w depozyt drogą metalę lub metalowe pieniądze wedle ich rzeczywistej wartości i na te depozyta otwierały kredyty swoim klientom, czyli poprostu załatwiały ich rozrachunki. Dzisiaj jeszcze figurujące w sprawozdaniach bankowych rachunki *kredytów otwartych*, są zupełnie tém samém, z tą tylko różnicą, że przy dzisiejszym ogromnym rozwoju kredytu państwowego i wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych, nikt już prawie z prywatnych ludzi nie składa w bankach na depozyt monety lub metalu, a miejsce ich zastąpiły papiery publiczne i akcje.

Wyższym stopniem wykształcenia kredytu handlowego jest kredyt wekslowy, w sprawozdaniach bankowych oznaczony pod rachunkiem *skupu weksli*. Weksel jest to znak wymiany, obrotu handlowego, znak czynności przemysłowej, reprezentujący zawsze jakąś robotę produkcyjną. Każdemu wiadomo, że handel bez kredytu obejść się nie może. Jakoż jeżeli pomyślimy o wszystkich formach i kształtach przez które przejść musi cząstka materji, ażeby ze stanu swego naturalnego dostać się do rąk spożywczy jako wyrób zdalny do spożycia; jeżeli pomyślimy, że te kilka a czasem kilkanaście i więcej przerabiań i przemieszczań, które ona przechodzić musi, dokonywają się każde przez kogo innego, prawie każde, na inném miejscu: łatwo zrozumiemy, że gdy wyrób przy każdym przejściu z rąk do rąk musiał być opłacony gotowym już kapitałem, nigdyby ludzie

do podobnych zasobów nie doszli i nigdyby cała ta manipulacja nie była możebną. Nietylko u nas w kraju nie bogatym nie mogliśmy opłacić gotówką wszystkich tych przejść, ale i w najbogatszych krajach byłoby to rzeczą niemożebną, ponieważ bogactwo jednocześnie z przemysłem wzrasta, i im kraj bogatszy, tém większemi i częstszemi są obroty i dlatego zapas kapitału nigdy na opłacenie ich nie wystarcza. To téż ludzie znajdują się w konieczności ufać sobie nawzajem i zamiast opłaty za swe wyroby przyjmować obietnicę téj opłaty po pewnym czasie, kiedy mniej więcej już sam nabywca coś do nabytego materiału przyczyni i puści go dalej w obrót. W praktyce handlu i przemysłu rzeczy się w ten sposób dzieją. Fabrykant nabywa surowy materiał i wydaje za to weksel, że w pewnym oznaczonym terminie pewną zań summę zapłaci. Tenże fabrykant sprzedaje swój wyrób hurtownikowi i bierze od niego weksel na inny termin, hurtownik przewozi go na miejsce zbytu i ustępuje właściwemu kupcowi trudniącemu się sprzedażą detaliczną, i znowu bierze weksel na pewny termin. Kupiec zaś sprzedaje już spożywcom i spożywcy, płacąc za wyroby czyli towary, opłacają wszystkie te weksle. Dodajmy tutaj dla objaśnienia więcej szczegółowego, że nie koniecznie w każdym z wyżej wspomnianych wypadków ma być wystawiony weksel szczególny; a że zbywający swój wyrób mając należność u fabrykanta czy kupca, nabywa prawa wystawienia na niego weksłu, t. j. zobowiązania go do wypłaty należnych mu pieniędzy we właściwym terminie nie sobie samemu, a innéj jakiej osobie.

Pamiętać przytém należy, że każde przejście z rąk do rąk do wyrobu lub materiału nie jest bynajmniej samowolném lub bezcelowém przemieszczaniem go albo przekształcaniem, a każde owszem ma na celu zrobić przedmiot ten do użycia dogodniejszym, lepszym lub téż zbliżyć go do spożywcy, a zatém każde dodaje jakąś wartość przedmiotowi i każde jest produkcyjné. Ztąd już zrozumieć można, że jeżeli kredyt w przemyśle i obrotach handlowych jest koniecznym, niemniej koniecznym jego warunkiem jest akuratność, punktualność nawet pomiędzy ludźmi kredytu używającymi; bo jak wszystkie te rachunki wiążą się ze sobą i jeden drugiemu za podstawę służą, tak nieogłędność lub niesumienność jednego człowieka, wprowadza w rachunki wszystkich nieporządek, zamieszanie i płacze ich interesa.

Spożywca ostatecznie, nabywając wyrób dla spożycia i płacąc zań, zamyka ten cały rachunek, a opłacone przez niego pieniądze, wynagradzają wszystkich, którzy w wytworzeniu wyrobu brali udział i idą na spłatę całego szeregu weksli jeden za drugim wystawionych. Tutaj nawiasowo wspomnieć musimy, jak źle robią ci nieogłędni spożywcy, którzy więcej rzeczy nabywają, aniżeli opłacić mogą, u których rachunki kupców długo na opłatę czekają. Odsyłanie kupców z nieuregulowanym rachunkiem, tak często wśród światowego życia praktykowane i w opinii publicznej wcale za złe nieuważane, niczém inném nie jest, jak nieopłaceniem długu w terminie przy-

rzeczonem, niewywiązaniem się z danego słowa, niby cząstkowem bankructwem, jak robak toczącym cały przemysł i handel krajowy.

Gdyby wszyscy, biorący udział w wytworzeniu wyrobu, musieli czekać dla ostatecznego rozrachunku aż spożywca za wyrób zapłaci i wtedy tylko do nich kolejno pieniądze dochodziły, żaden z nich nie mógłby przemysłu swego rozwinąć na szerszą skalę, bo prędko zabrakłoby mu środków na rozchody bieżące, na opłatę robotników, na nabycie i podtrzymanie narzędzi. Przytém jeszcze natura ludzka ma tę właściwość, że skoro raz człowiek na seryo pracować zacznie, stara się pracować coraz więcej, bo w miarę użycia sił swoich, czuje, że one na więcej wystarczą, a myśl płodna rodzi coraz to nowe plany i projekta lepszego zastosowania pracy; dlatego każdy przemysłowiec ciągle do tego dąży, żeby swój przemysł powiększyć i rozszerzyć. Nie może więc czekać długo, aż do niego wrócą wartości, które odprzedał, ale musi zaraz szukać kogós, coby za tę wartość, którą wyobraża weksel, dostarczył gotówki, ażeby mógł jój użyć na bieżące potrzeby przedsiębiorstwa.

Poszukiwania takie bezpośrednie dla przemysłowca, jak dla kupca, byłyby bardzo trudne i uciążliwe, wiele czasu i zachodów wymagające. Tutaj poczyna się rola bankiera, czy banku. Potrzebujący gotówki przemysłowiec udaje się do banku i żąda tam gotówki, ofiarując jako zakład pewnej wypłaty weksel, który od kupca otrzymał; podpisuje go sam na znak, że w razie niewypłatności jego, sam zareczya wypłatę mierniem i osobą swoją. Bank przyjmuje ten weksel do swego portfeli i wydaje odpowiednią ilość gotówki, odliczając sobie pewien procent za czas, który do terminu wypłaty wekslu ma jeszcze upłynąć. Bankier nadpłacający w ten sposób weksle, pobierający procenta, chcąc rozszerzyć czynność swoją, często potrzebuje odprzedawać weksle, które ma swym portfelu i udaje się z tém do jeszcze zamożniejszych bankierów lub do banków publicznych z większym zwykle kapitałem operacye swe prowadzących. Wtedy kładzie on na wekslu swój podpis, również poręczający wypłatę i weksel taki, opatrzony trzema podpisami, przez to samo już znacznie pewniejszy, jeszcze łatwiej sprzedanym czyli negocyowanym być może. Skupowanie takie weksli i pobieranie odsetków za awansowaną gotówkę, daje bankierom i bankom zyski pewne i dość znaczne; ażeby dochody te czy zyski powiększyć, bank potrzebuje mieć w swém rozporządzeniu więcej gotówki. Bankier prywatny może mieć kredyt obszerny, mogą u niego rozmaite osoby lokować swoje fundusze, i wtedy może on interesa swoje rozwinąć na szeroką skalę. Jednakże bank z kapitałem akcyjnym, jako instytucya już publiczna, ogłaszająca sprawozdania swych czynności, zwykle ze znacznym kapitałem zakładana, może odrazu mieć kredyt obszerniejszy i zająć się jakby wyrabianiem czyli fabrykacją kredytu w większych rozmiarach. Udaje się do publiczności w ogóle, ogłaszając iż gotów jest przyjmować od każdego pieniądze do przechowania, że zwracać tako-

we będzie na każde zapotrzebowanie, lub w kilkodniowym po zapotrzebowaniu terminie, i ofiaruję za to pewien procent od siebie. Ponieważ bank taki ma swoje znaczne kapitały, zawsze odpowiedzialne za jego zobowiązania; ponieważ kapitały te w stosunku do summ składanych przez każdą pojedynczą osobę są bardzo wielkie: każdy z zaufaniem doń się udaje uznając dla siebie dogodnym, że pieniądze których obecnie nie potrzebuje ani na przedsiębiorstwo, ani téż na bieżące rozchody, będą złożone w miejscu pewnym, i za to jeszcze przyniosą procent, to jest dochód.

Ztąd powstają *rachunki przekazowe* banków, dostarczające im wielką ilość gotówki, wprawdzie na krótkie terminy, ale zawsze pozwalające używać ich na skupowanie weksli także krótkoterminowych. Doświadczenie i rozum zarządzających bankiem z łatwością potrafią wynaléć i oznaczyć praktyczny stosunek pomiędzy summami lokowanymi u nich na rachunki przekazowe, a ilością podnoszoną z tychże rachunków gotówki. Ztąd téż z pewnością wiedzić mogą ile każdego czasu mogą użyć gotówki na skupowanie weksli. Różnica pomiędzy procentem, jaki płacą a tym, który pobierają, stanowi dla banku zysk pewny i dość znaczny.

Zatém bank korzysta z zaufania publicznego, zlokowanych u siebie pieniędzy stara się użyć najkorzystniej dla siebie, umieszcza je nadpłacając weksle pewne, które odzyskaćby mógł z łatwością, i przeto być zawsze w możności zwrócić na zapotrzebowanie zlokowane u siebie pieniądze. Procent zaś od skupu czyli eskonto pobiera wedle bieżącej ceny, ustanawiającej się znowu ogólną summą obrotów, i ogólną normą zysków danego rynku. Używając téj gotówki przez publiczność sobie powierzonej na skupowanie weksli, robi tém ogromną dogodność handlowi i przemysłowi, bo ułatwia mu dostanie pieniędzy na każde zapotrzebowanie. Dla dokładniejszego téj rzeczy wyjaśnienia przytaczamy przykład. Pan Piotr, właściciel ziemski sprzedał pszenicę i wziął zadatku rs. 600, z tych 300 złożył w banku na rachunek przekazowy za siedmiodniowym wypowiedzeniem, za co mu bank płaci 5% w stosunku rocznym. Bank za te pieniądze kupił nazajutrz weksel od fabrykanta mydła, fabrykant użył pieniędzy na opłacenie robotników, robotnicy wypłacili je piekarzowi za zabrany u niego chleb, piekarz oddał je właścicielowi młyna za zabraną mąkę; młynarz nie potrzebując obecnie tych pieniędzy złożył je znowu do banku na rachunek przekazowy, zkąd albo pan Piotr mógł je odebrać napowrót, albo jeżeli ich nie potrzebował jeszcze, posłużyły one znowu do nadpłacenia wekslu i rozpoczęły nową seryą podobnych operacyj. Na każdój z tych operacyj, każdy coś skorzystał, bo przy każdój z nich pieniądze te były użyte produkcyjnie, każde z tych przejść oznaczało pewien przyrost bogactwa ogólnego w kraju. P. Piotr składając swe pieniądze w banku, chociaż sam nie produkował, ułatwił jednak trzy razy produkcją innym. Bank wystąpił tutaj jako pośrednik dogodny dla p. Piotra, bo mu pieniądze w cało-

ści przechował i za to jeszcze zapłacił; bank sam skorzystał, bo, kupując weksel od fabrykanta, wziął od niego nieco więcej niżeli to, co dał p. Piotrowi; skorzystał fabrykant który dostał za weksel w banku pieniędzy taniej aniżeli by ich mógł dostać gdzieindziej; skorzystali robotnicy którzy, w porę zapłatę swą odebrawszy, w porę też mogli opłacić piekarza i przez to zapewnić sobie u niego nadal dostarczenie chleba na dogodniejszych warunkach; skorzystał piekarz, bo opłacając należność właścicielowi młyna, może przed terminem mógł od niego uzyskać ustępstwo, a jeżeli i w terminie, to mógł sobie nadal kredyt na lepszych warunkach wyjednać.

Powię kto może: zwyczajny to przykład przez teoretyków przytaczany, lecz grzeszy przesadą, bo i cóż te 300 rubli tak ważnego zrobić mogły; zresztą gdyby p. Piotr ich nie złożył w banku, znalazłyby się tam inną jaką drogą. Odpowiemy na to: być może żeby się znalazły, lecz w każdym razie to „być może“ nie jest pewnością, a jeżeliby nie były tam złożone, w kasie bankowej byłoby o 300 rubli mniej; co wszystkich tych, którym one pracę i rozrachunki ułatwiły, naraziłoby na kłopoty szukania pieniędzy, i na mniej dogodne warunki przy ich dostaniu. Nie twierdzimy też bynajmniej, aby podobne składanie pieniędzy w bankach, a nawet same bankowe operacje skupowania weksłów były jedynym a nawet głównym źródłem tworzenia się bogactwa; tylko wskazać chcemy, o ile one ludziom pracę wytwórczą ułatwić są w stanie. A o cóż chodzi przy całej pracy ludzkiej jeżeli nie o ułatwienie? Lepiej jeździć po drodze gładkiej, niżeli po drodze w doły obfitój i kamieniami zasypanej, temu nikt pewno nie zaprzeczy, a kredyt lepiej ułatwia komunikacje i stosunki pomiędzy ludźmi, i staje się jednym z przyczyn ulżenia ciężaru pracy i udugodnienia życia. Podobne ulepszenia, podobne równanie dróg i usuwanie zawał stanowi właśnie całą podstawę ekonomicznego rozwoju. Zresztą przytoczyliśmy tu przykład 300 rubli, umyślnie w tak małej cyfrze, dla wykazania że i małe cyfry mogą grać ważną rolę w udogodnieniu stosunków ludzkich. Przykład ten nikomuby się nie zdawał przesadzonym, gdybyśmy zamiast 300, wzięli 300,000 rubli. A jednak rachunki przekazowe znacznie i te cyfry przewyższają, chociaż składają się z summ nie wielkich, każda oddzielnie do kogo innego należących.

Bank każdy, prowadząc umiejętnie operacje swoje, będzie miał zasługi względem akcyonaryuszów dając im wysokie dywidendy; względem przemysłu i handlu krajowego, dostarczając im kredytu na warunkach przystępnych i dogodnych; względem publiczności w ogóle, będąc wiernym stróżem powierzonych sobie kapitałów, i nie używając ich lekkomyślnie na hazardowne chociażby widoki znacznych zysków dające spekulacye; zasługi nakoniec względem kraju czyli zasługi publicznej, niosąc pomoc tym właśnie gałęziom przemysłu, tym przedsiębiorstwom lub operacyom handlowym, które w obecnej chwili dla kraju są najpotrzebniejsze. Nie każdy bank zapewne jest instytucją

dość potężną, aby aż do zasług publicznych mógł sięgnąć, bo na to trzeba rozporządzać bardzo znacznym kapitałem, i być niejako regulatorem interesów t. j. mieć możność dowolnie ścieśniać lub pobudzać obrót interesów. Lecz każdy bank może mieć zasługi względem publiczności, handlu i przemysłu, a przedewszystkiém względem akcyonaryuszów. Każdy też jeżeli nie stanowczo, to pośrednio, odpowiednio do sił swoich, czyli odpowiednio do swego kapitału, może wpłynąć na kierunek interesów, zapomagać jedne przed drugimi, i na korzystniejsze lub mniej korzystne drogi kierować przemysłność i działalność ludzi.

Naturalnym rzeczą porządkiem zarząd każdego banku najpierw dbać musi o zasługi względem akcyonaryuszów, t. j. o wysokie dywidendy; że zaś one łatwo się osiągnąć dają drogą spekulacji, która zwykle czas jakiś się udaje, tutaj więc leży prawdziwe niebezpieczeństwo i najsilniejsza pokusa ciągnąca w otchłań.

Spekulacja—to bystre i prędkie obliczenie naprzód szans zysków i strat, które przedsiębiorstwo jakiegokolwiek w przyszłości przedstawia. Tam gdzie człowiek z interesami nie oznajmiony, ani ruchu ich nie świadomy nic jeszcze nie widzi, waha się, czy ma zapracowany grosz włożyć w projektowane przedsiębiorstwo; tam spekulant bystro oblicza wszystkie szanse powodzenia i staje jako przedsiębiorca, lub opiekun przedsiębiorstwa, jako założyciel; a skoro na wiarę słów i uczynków jego, bo on pierwszy na akcje się zapisał, publiczność za nim pociągnie, on na żądanie odstępuje jej podpisane przez siebie akcje, ale za wyższą już cenę: zarabia na tém zysk, dochodzący często do summ ogromnych. Otóż taki spekulant, rozumny i sumienny, nie lada usługi oddawać może, bo przemysłowi toruje drogę do kapitału. Lecz skoro sam zacznie działać ze złą wiarą, lub skoro zaufany w swe powodzenie, zbyt śmiało zacznie się puszczać na nieznane sobie samemu ścieżki, staje się powodem zguby wielu ludzi i nazywany będzie oszustem. Banki akcyjne i ich zarządy nie łatwo na tak hazardowną wejść drogą to pewne; ale spekulacja oprócz założycielstwa wiele ma innych pokus mamiących, pomiędzy nimi też jedno z ważniejszych miejsce zajmuje gra na papiery publiczne. Handel papierami prawy, prawny, bezpieczny skoro we właściwych trzyma się granicach, przechodząc w tak zwaną grę giełdową, staje się często źródłem zysków, ale też częściej strat wielkich; a w każdym razie zajęciem nie produkcyjnym, rodzajem zabawy chociażby i zyskownej dla pewnych osób, ale kosztownej dla publiczności w ogóle, bo odwracającej kapitały od zajęć prawdziwie produkcyjnych i prawidłowe normalne życie ekonomiczne narodu zamieniającej na gorączkowe paroksyzmy spekulacji ciągnące ze sobą zastój i jakby otrętwienie.

Przypatrzwszy się teraz mechanizmowi głównej operacji bankowej, rozpatrzmy o ile banki warszawskie w ciągu lat ostatnich operacje te rozwinęły, t. j. o ile były one dla obrotu użytecznymi.

II.

Bank polski założony w roku 1828, w epoce, kiedy przemysł fabryczny zaczynał rodzić się w Królestwie Polskiem, i zakłady przemysłowe wspólnemi usiłowaniami rządu i prywatnych przedsiębiorców zaczynały u nas na nowo powstawać, przez lat górą czterdzieści samotnie rozwijał czynność swoją. Kapitał jego zakładowy wynoszący z początku 4½ mil. rs., zwiększony został w następstwie czasu do 8 milionów rubli, miał prawo emisyi biletów swoich do 10 mil.; zajmował się operacyami kredytu państwowego, spłacaniem obligów skarbowych; czynności te jego wedle ścisłych przepisów prawa wykonywane, mało publiczność obchodzą. W stosunku swoim do gospodarskiego ruchu w kraju, bank polski otwierał kredyty zabezpieczone papierami publicznemi lub hypoteką; zajmował się skupowaniem weksli, wydawał pożyczki zabezpieczone zastawami, dawał zaliczki na towary i produkta rolnictwa, w składach jego zlokowane; wydawał téż pożyczki na hypotekę majątków ziemskich i zakładów przemysłowych; oprócz tego dawniej sam budował lub zakładał na nowo całe fabryki. Przejścia te jego niezmiernie ciekawą złożyłyby historję, gdyby kto dostatecznie obeznany ze źródłami zechciał zająć się opisaniem całego przebiegu czynności banku polskiego, od założenia jego aż do naszych czasów; kiedy w ostatnich latach przekształcać się zaczął na bank czysto handlowy, ścieśniając i zwiżając wszystkie inne operacye, a głównie zajmując się otwieraniem kredytów, skupowaniem weksli i udzielaniem pożyczek krótkoterminowych. Podobne studjum historyczno-ekonomiczne byłoby niemal historją przemysłowego rozwoju w kraju naszym i o wiele więcjby nas nauczyło, aniżeli rezonowania na wątpliwych teoriach oparte. Nim się jednak takięj historii doczekamy, przytoczyć tutaj możemy tylko kilka liczb z lat ostatnich, w których bank polski sam jeszcze tylko udzielał na szerszą skalę kredytu przemysłowi i handlowi, a cyfry te wykażą nam w jakim stopniu rozwoju kredytu w Warszawie i w całym Królestwie, zaczęły funkcjonować nowo założone w ostatnich latach banki.

I tak w roku 1869 bank polski wydał rozmaitym domom handlowym:

Na otwarte kredyty.	rs. 86,902,000
Skupił weksli:	
„ krajowych na 14,681,000	
„ zagranicz. „ 3,219,000	„ 17,900,000
Pożyczył na zastaw towarów i produk-	
tów rolnych.	„ 1,025,000
Wydał pożyczek fabrykom	„ 161,000
„ „ na maszyny rolnicze	
i bydło.	„ 130,000
	<hr/>
	Razem rs. 56,118,000

W roku 1870 wydał:

Na otwarte kredyty.	rs. 35,229,000
Skupił weksli:	
„ krajowych na 13,035,000	
„ zagranicz. „ 4,657,000 . . .	„ 17,692,000
Pożyczył na zastaw papier. publicznych.	„ 4,657,000
„ „ „ towar. i prod. rol.	„ 1,170,000
„ fabrykom.	„ 93,000
„ na maszyny rolnicze i bydło. .	„ 111,000
	<hr/>
	Razem rs. 58,952,000

Dwie te summy 56 i prawie 59 milionów przedstawiają nam całość środków, jakie handel, przemysł i w części rolnictwo w ciągu tych dwóch lat mogły zaczerpnąć w kredycie.

Już w ciągu 1870 roku, a mianowicie dnia 15 lipca otworzono pierwszy bank akcyjny pod firmą: Bank handlowy w Warszawie, operacje jego od dnia tego rozpoczęte musiały być w początkach mało znaczące, zresztą rezultata ich są ogłoszone w piéwszém sprawozdaniu obejmującym razem cały peryod od 15 lipca 1870 r. do 31 grudnia 1871 r.; i dlatego przez nas w cyfrach 1871 roku zamieszczone będą. Kapitał banku handlowego wynosić miał 3 mil. rs., z których na początek wpłacono tylko 1 milion; drugie 2 miliony wpłacono w ciągu roku 1871, a w roku 1873 kapitał zwiększony jeszcze o 2,400,000 nadpłata po 100 rubli na 24,000 nowych akcji, które obecnie zredukowane być mają do 12,000 akcji, tak, że kapitał został ostatecznie ustanowiony na 6 milionów rubli.

W roku 1871 dnia 1 października otworzony został Bank dyskontowy z kapitałem 2 miliony rubli, z których 1,200,000 r. wpłacono w roku 1862, a 800,000 dnia 31 maja 1872.

Oba te banki występują w charakterze banków czysto handlowych, główne ich operacje, to skup weksli z dwoma podpisami, lub téż sola weksli (t. j. z jednym podpisem) zabezpieczonych odpowiednią hipoteką; wydawanie pożyczek na zastaw papierów publicznych lub towarów, oraz przyjmowanie w komis na sprzedaż wyrobów fabryk lub produktów rolnictwa; przyjmowanie pieniędzy t. j. gotówki na lokatę lub na rachunki przekazowe, przyjmowanie w depozyt wszelkich wartości. Obok tego kupują one i sprzedają papiery publiczne i mają prawo na weksle zabezpieczone hipoteką wydawać jako pożyczkę zamiast gotówki obligacje swoje.

W ciągu roku 1872 dnia 9 kwietnia rozpoczęło swe czynności Warszawskie Towarzystwo Wzajemnego kredytu; zakres jego działalności jest o wiele ciaśniejszy od dwóch uprzednio otwartych banków akcyjnych. Towarzystwo może udzielać kredytu, t. j. skupować weksle i wydawać pożyczki zabezpieczone papierami publicznymi, czy zastawem towarów, tylko członkom swoim. Każdy z członków składa dziesiątą część summy na jaką ma prawo żądać kredytu,

jeżeli zaś nie zajmuje się handlowemi interesami, kredyt swój musi zabezpieczyć hipotecznie; złożone przez członków pieniądze stanowią kapitał obrotowy Towarzystwa. Każdy z członków odpowiedzialnym jest za zobowiązania Towarzystwa na sumę taką, na jaką ma prawo żądać kredytu, t. j. o dziesięć razy większą, aniżeli ta, którą złożył. Najmniejszy udzielany kredyt jest oznaczony na 100 rubli, największy obecnie przez radę ustanowiony 30,000 rubli. Towarzystwo wzajemnego kredytu nie może dowolnie rozwijać operacyj swoich, nie może kupować i sprzedawać papierów publicznych, musi ograniczać się do skupu weksli swoich członków, i to w oznaczonej dla każdego z nich normie. To też i stosunek zarządu Towarzystwa do członków jest inny, aniżeli stosunek zarządu banku akcyjnego do akcyonaryuszów. Kiedy tym ostatnim chodzi głównie o dywidendę, członkom Towarzystwa chodzi głównie o to, aby zawsze na zapotrzebowanie mieli kredyt nie drogi, aby weksle ich w kassie Towarzystwa nadpłacone były. Kupcowi lub przemysłowcowi, który złożył jeden a chociażby i trzy tysiące rubli w Towarzystwie, nie wiele chodzi o to, żeby i 20% od tej summy jako dywidendę otrzymać; ważniejsza dla niego, aby zawsze na zapotrzebowanie mógł do 10 lub 30 tysięcy w kassie Towarzystwa zaczerpnąć. Jakkolwiek zarząd ma prawo odmówić przyjęcia wekslu, nikomu z tego nie zdając rachunku, jednakże odmowy takie bez dostatecznych powodów robione być nie mogą. Z drugiej znowu strony pewność lokaty i nadzieja wysokiej dywidendy przyciągać mogą na członków właścicieli drobnych kapitałów, którzy kredytu wszelkiego się wyrzekają, a z natury swojej ostrożni, do tak obwarowanej instytucji kredytowej, chętniej przyniosą swe kapitałiki, aniżeli do banków na szerszą skalę działających, a zatem i na możebność strat więcej narażonych. Dlatego zarząd, nie tracąc z oka dywidendy, musi przedewszystkiem starać się o to, aby miał ciągle dostateczną ilość gotówki w kassie, ażeby słusznym wymaganiom kredytu mógł zadość uczynić. Przyszła należy, że administracja Towarzystwa godnie odpowiada zaufaniu członków, i umie zjednać zaufanie publiczności. Rozpocząwszy swe czynności 9 kwietnia 1872 roku ze 176 członkami i kapitałem obrotowym 98,420 rubli, w ciągu dziewięciu miesięcy do 31 grudnia 1872 r., Towarzystwo liczyło już 941 członków i kapitał obrotowy wynosił 352,000 rubli; w tymże czasie na lokatę i na rachunki przekazowe przyjęto 2,792,000 rubli, i udzielono kredytów pod rozmaitemi nazwaniami na 3,036,000 rubli. Z końcem zaś roku 1873 członków było 1581, a kapitał obrotowy wynosił 602,000; zlokowano w kassie Towarzystwa w ciągu tego roku 5,706,000 i udzielono kredytów na 7.501,000.

Trzy te nowe instytucje kredytowe znacznie bardzo przyczyniły się do nadania popędu przemysłowi i handlowi, najprzód przeto, iż otwierając dla publiczności rachunki przekazowe, zaczęły ją przyzwyczajając do składania w kassach swoich gotówki, która dotąd po prywatnych biurkach lub szkatułkach, że nie powiem kassach, bez

użytku leżała; a otworzywszy sobie w ten sposób środki obfitsze, śmieliej też mogły przystąpić do udzielania kredytu firmom czy przedsiębiorcom drugorzędnym, którzy dawniej do banku polskiego po kredyt zgłaszać się nie śmieli, a musieli go szukać na drogach prywatnych. Przymtem bank polski mając tuż koło siebie współzawodnictwo poważnych instytucyj, naturalnym rzeczy porządkiem ponióśł dobrodziejstwa kredytu w inne okolice kraju, zakładając kantory i wydziały swoje w Łodzi, Włocławku, Lublinie, Kaliszu, Płocku, Częstochowie i Radomiu; tak że już nie jedna Warszawa, ale i znaczniejsze miasta nasze, mogą się posługiwać kredytem w normalniejszych niż dotąd warunkach.

W ustawach wszystkich tych banków widzimy, że są przyjmowane weksle hipoteczne zabezpieczone; właściwość to kraju naszego, który tak jeszcze przeważnie rolnictwem się zajmuje, że instytucye w celach czysto handlowego kredytu formowane, nie mają możności odmówić zupełnie kredytu rolnictwu; dlatego każda z nich zastrzegła sobie prawo udzielania go na zabezpieczenie hipoteczne i każda też zajmuje się chociażby potrosze sprzedażą produktów rolnych. Tak też być musi koniecznie, gdzie ludność, zajmująca się wyłącznie przemysłem tak jest jeszcze małowliczna, że zaledwo 1% całej ludności stanowi, a cała produkcya fabryczna licząc w to gorzelnictwo, ledwo sześćdziesiąt kilka milionów rubli wynosi, handel zaś zewnętrzny tak jeszcze mało rozwinęty, że i śladów jego w żadnych cyfrach statystycznych doszukać się nie można. Jeszcze więc braknie elementów do doskonalszego wyspecjalizowania rozmaitych gatunków kredytu; chociaż po banku polskim, jako wielkim regulatorze obrotów kraju całego, mamy banki handlowy i dyskontowy, z klientelą mniej zapewne okazałą, jednakże zawsze poważnych jeszcze rozmiarów, Towarzystwo wzajemnego kredytu, udzielające już członkom swoim kredytów storublowych, a zatém zstępujące pomiędzy drobniejszy handel i przemysłowców mniejszej ręki, a dalej jeszcze zatém kasę przemysłowców, kilka towarzystw zaliczkowo-wkładowych, tak że mamy zawiązki wszelkiego rodzaju kredytu, ale jeszcze do prawdziwego ich udoskonalenia bardzo daleko, bo też ruch przemysłowy a bodaj i handlowy dopiero zaczyna się rodzić i rozwijać, i w przyszłości dopiero, kiedy już nabierze siły i znaczenia, możemy się spodziewać doskonalszej organizacyi instytucyj kredytowych.

Oto cyfry wyrażające operacye banków warszawskich w ostatnich latach. Już w roku 1871 summy wypożyczone handlowi i przemysłowi znacznie się zwiększają, co znaczy, że przedsiębiorstwa się mnożą lub silniej rozwijają. W sprawozdaniach za ten rok 1871 znajdujemy liczby następane:

<i>Skupiono weksli:</i>		<i>krajow.</i>	<i>zagranicz.</i>
W banku	polskim na rs.	15,818,000	4,870,000
" "	handlow. " "	5,326,000	5,359,000 ¹⁾ .
" "	dyskont. " "	804,000	800,000
Razem		21,948,000	11,029,000 32,977,000

Wydano na otwarte kredyty.

W banku	polskim rs.	36,631,000	
" "	handlow. " "	5,936,000	42,567,000

Wydano pożyczek: na zastaw papierów publicznych.

W banku	polskim rs.	1,758,000	
" "	handlow. " "	1,538,000	
" "	dyskont. " "	388,000	3,684,000

Na zastaw towarów.

W banku	polskim rs.	1,256,000	
" "	handlow. " "	698,000	
" "	dyskont. " "	46,000	2,000,000
Razem			81,228,000

W ciągu tegoż roku zlokowano we wszystkich bankach summy następujące:

Oddano na lokatę:

Do banku	polskiego . . rs.	303,000	
" "	handlowego . .	1,903,000	
" "	dyskontowego . .	3,000	1,209,000

Złożono na rachunki przekazowe.

W banku	polskim . . rs.	4,551,000	
" "	handlowym . .	16,752,000	
" "	dyskontowym . .	1,424,000	22,727,000
Razem			23,936,000

Ogólne cyfry kredytów udzielonych w roku 1872 są następujące:

<i>Skupiono weksli:</i>		<i>krajow.</i>	<i>zagranicz.</i>
W banku	polskim na rs.	20,013,000	5,451,000
" "	handlow. " "	6,286,000	7,305,000
" "	dyskont. " "	5,458,000	3,609,000
" Tow. wzajem. kr.	" "	2,884,000	—
Razem		34,641,000	16,365,000 51,006,000

¹⁾ Operacje banku handlowego w tym roku pokazane są za czas od 15 lipca 1870 r., do 31 grudnia 1871 r. t. j. za 17¹/₂ miesięcy. Operacje zaś banku dyskontowego za dwa tylko miesiące: październik i grudzień 1871 r.

Otwarte kredyty.

W banku polskim rs. . .	42,266,000		
„ „ handlowym . . .	2,969,000	. . .	45.235,000

Pożyczki:

1) *Na zastaw papierów publicznych.*

W banku polskim rs. . .	1,376,000		
„ „ handlowym . . .	1,586,000		
„ „ dyskontowym . . .	1,912,000		
„ Tow. wzajem. kredytu . . .	82,000	. . .	4,956,000

2) *Na zastaw towarów.*

W banku polskim . . . rs.	1,382,000		
„ „ handlowym . . .	2,183,000		
„ „ dyskontowym . . .	788,000		
„ Tow. wzajem. kredytu . . .	69,000	. . .	4,422,000

 Razem 105,619,000

W ciągu roku 1872 zlokowano we wszystkich bankach:

Oddano na lokatę.

Do banku polskiego. . . rs.	14,000		
„ „ handlowego . . .	5,618,000		
„ „ dyskontowego . . .	837,000		
„ Tow. wzajem. kredytu . . .	183,000	. . .	6,652,000

Złożono na rachunki przekazowe.

W banku polskim . . . rs.	12,473,000		
„ „ handlowym . . .	17,875,000		
„ „ dyskontowym . . .	5,850,000		
„ Tow. wzajem. kredytu . . .	2,609,000	. . .	38,807,000

 Razem 45,459,000

W ciągu roku 1873 te same cyfry wynoszą:

<i>Skupiono weksli:</i>	<i>krajow.</i>	<i>zagranicz.</i>	
W banku polskim . . .	27,718,000	3,543,000	
„ „ handlowym . . .	7,419,000	11,593,000	
„ „ dyskontowym. . .	7,248,000	5,015,000	
„ Tow. wzajem. kredyt. . .	7,009,000	—	
	49,394,000	20,151,000	69,545,000

Otwarte kredyty.

W banku polskim . . . rs.	49,293,000		
„ „ handlowym . . .	2,762,000	. . .	52,055,000

Pożyczki:

1) *Na papiery publiczne.*

W banku polskim . . .	rs.	1,626,000	
„ „ handlowym . . .		2,303,000	
„ „ dyskontowym . . .		1,755,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		176,000	5,860,000

2) *Na zastaw towarów, oraz zaliczki na towary w komis oddane.*

W banku polskim . . .	rs.	1,165,000	
„ „ handlowym . . .		3,773,000	
„ „ dyskontowym . . .		1,389,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		316,000	6,643,000
			<hr/>
Razem			134,103,000

W ciągu roku 1873 zlokowano w bankach.

Oddano na lokatę:

Do banku polskiego . . .		853,000	
„ „ handlowego . . .		7,411,000	
„ „ dyskontowego . . .		3,114,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		1,169,000	12,547,000

Na rachunki przekazowe:

W banku polskim		9,989,000	
„ „ handlowym . . .		17,586,000	
„ „ dyskontowym . . .		5,610,000	
„ Tow. wzajem. kredytu . . .		4,537,000	37,722,000
			<hr/>
Razem			50,269,000

Zgrupowaliśmy tutaj ogólne cyfry gotówki, przez publiczność w bankach lokowanej i z banków wydawaną ludzom zajętem wszelkiego rodzaju przemysłem. Pominęliśmy ze sprawozdań banków rachunki z korrespondentami skupu i sprzedaży papierów publicznych, i inne, które się tyczą interesów samych banków, ich zysków i strat, ale publiczność w ogólności mało obchodzić mogą. Objaśnić tutaj należy, że skup weksli zagranicznych nie może być cały zaliczony, jako kredyt udzielony handlowi, dlatego że w tej cyfrze mieszczą się koniecznie weksle, wynikające z operacyj arbitrażowych, wystawiane wprawdzie z powodu stosunków handlowych z zagranicą, ale mające na celu tylko korzyść banku, z różnicy w kursach monet zagranicznych wypływającą.

Przytoczone więc przez nas cyfry wiernie wykazują o ile handel, przemysł, a w części i rolnictwo korzystały z kredytu; cyfry te z każdym rokiem wzrastają. W roku 1870 bank polski udzielił tych kredytów na 59 milionów, w 1871 już trzy banki razem wypożyczyły 81 milionów, w 1872 cztery banki wypożyczyły 105 mil., a w 1873 r. 134 mil. Jednocześnie zaś, nowo-wprowadzone w użycie rachunki przekazowe razem z kapitałami na lokacyą złożonemi,

przyniosły bankom gotówki w roku 1871 około 24 milionów, w 1872 r. przeszło 45 mil., a w 1873 r. przeszło 50 mil. Rozwijanie się to operacyj kredytowych, wskazuje też rozwijanie się przemysłu i handlu, ale nie możemy powiedzieć, żeby wzrost ten był znacznym; nie przenosi on dwudziestu kilku milionów corocznie; ruch to naprzód, ale bardzo powolny w kraju, który obecnie przeszło 6 milionów ludności już liczy. Widać nawet, że ruch interesów w ogóle jest za mały, ażeby dostarczyć dostatecznych zysków kapitałom zakładowym banków, kiedy bank handlowy założył filią w Petersburgu i operacje tej filii znacznie przewyższają sumę interesów samego banku. W roku 1873 bank handlowy w Warszawie przyjął od publiczności około 25 milionów, a wypożyczył około 28 mil., filia zaś banku w Petersburgu przyjęła przeszło 68 mil., wypożyczyła wprawdzie tylko około 59 mil., a na sam interes skupu i sprzedaży papierów publicznych, użyła 20 milionów.

Wzrastanie jednocześnie summ lokowanych i wypożyczonych wykazuje, że banki o tyle tylko mogą świadczyć usług kredytowi, o ile im samym publiczność ufa; zasługą ich wszystkich jest zapewne, że kiedy w r. 1873 w porównaniu do 1872, cyfra summ deponowanych wzrosła tylko o 5 milionów, summa udzielonych kredytów zwiększyła się o 29 mil. Jakoż dotychczas publiczność nie ma zdaje się żadnych powodów nie ufać bankom; nieznaczny wzrost w rachunkach przekazowych w ciągu roku 1873, przypisywany przez pana prezesa banku polskiego ¹⁾, małej ilości gotówki w kraju, może też być skutkiem zagranicznych popłochów finansowych, które zawsze sięją trwogę w publiczności i każdemu myśl nasuwają, że bezpieczniej trzymać pieniądze u siebie. Banki nasze, jako instytucje początkujące, prędkiej może zbyt ostrożnie działają; zarzuciłby im można pobieranie trochę za wysokich procentów, chociaż i ten zarzut nie może być na serio stawianym, bo kiedy żaden z nich nie ma prawa emisji biletów własnych, to tylko tyle może dać, ile mu dadzą, a nie wiele mając, musi stopę procentową dość wysoko trzymać, bo i sam płaci procent wysoki.

III.

Przypatrując się temu ruchowi kredytowemu, najciekawszym bodaj byłoby dowiedzieć się, ile z tego kredytu przypada na dół handlu, przemysłu fabrycznego i rolnictwa. Ale zadania tego dzisiaj rozwiązać nie można: w sprawozdaniach banków nie znajdziemy nigdy cyfr dość wyspecjalizowanych, ażebyśmy na nich jakiegokolwiek wnioski w tej materii oprzeć mogli; bo i sam bank nie wie często,

¹⁾ Sprawozdanie banku polskiego r. 1873, mowa p. prezesa.

której z tych gałęzi gospodarstwa narodowego daje kredyt, kupując weksel, lub udzielając pożyczki pod inną jaką formą. Weksel, ten znak obrotu handlowego, podpisuje się często przez rolnika, który gwałtem potrzebując kredytu, poddaje się prawu wekslowemu, zapisuje się w stan kupiecki. Wykazane w sprawozdaniach cyfry pożyczek na weksle zabezpieczone hipoteką, lub awansów na produkta rolnictwa są tak mało-znaczące, że nie można ich brać za pomoc poważną niesioną rolnictwu. Składać papiery publiczne w zastaw, może każdy kto je posiada, towary może składać zarówno fabrykant jak i kupiec; nie mając więc dostatecznych danych do opierania wniosków, możemy tylko opierać je na rezonowaniu.

Źródła, z których nasze banki czerpią swe zasoby, redukują się głównie do rachunków przekazowych, pieniądze składane w ten sposób, oddają się zwykle na terminy krótkie, a zatem nie mogą być inaczej przez banki używane, jak na operacye króto-terminowe; kredyt rolniczy wymaga terminów dłuższych, dla fabryk téż termin dłuższe niezaprzeczenie są dogodniejsze: handel zadawalnia się terminami krótszemi, on téż, w najkorzystniejszych stojąc warunkach, musiał najwięcej z téj gotowki do siebie przyciągnąć. Wszystkie banki warszawskie mają prawo skupować weksle z terminem dziewięciomiesięcznym, jednakże przyjmując najznaczniejsze summy na rachunki za siedmio-dniowém wypowiedzeniem, muszą zawsze chętniej skupować weksle z krótkimi terminami i słusznie bardzo robią, że kredytów na dłuższe terminu ostrożnie i oszczędnie udzielają.

Lecz to właśnie powinny być skazówką, iż należy wszelkiemi sposobami i wszystkiemi siłami starać się o sformowanie, czy wytworzenie instytucyi kredytowej, któraby specjalniej przemysłowi fabrycznemu i rolnemu mogła dostarczać kapitału obrotowego. Były już rozpoczęte starania urządzenia podobnej instytucyi pod firmą kredytu rzeczowego; nie wiemy dla jakich mianowicie powodów projekta te nie doszły do skutku, lecz pewni jesteśmy, że finansowe potęgi kraju naszego nie zaniedbają téj myśli, a widząc i znając, jak rozwój przemysłu koniecznym jest dla kraju, zechcą wspólnemi siłami przyczynić się do urzeczywistnienia tych projektów. Prawdziwie też obywatelską byłoby zastugą, ułatwić przemysłowi fabrycznemu trudne chwile początkowania, czy rodzenia się, i rolnictwu trudne przekształcanie się z tradycyjnej na racjonalną gospodarke; usuwając zawady, jakie przedsiębiorcy mniejszej ręki i mniejsi właścicielej ziemi napotykają w znalezieniu funduszków kapitału obrotowego.

Stawiamy tu umyślnie racjonalne gospodarstwo rolne obok przemysłu fabrycznego, bo zdaniem naszym, jedno bez drugiego egzystować i rozwijać się nie może. Racionalnie gospodarować można tam tylko, gdzie można wprowadzać największą rozmaitość uprawy, a rozmaitość ta tam tylko jest możebna, gdzie wszelki produkt łatwy odbyty znajduje, gdzie nastaje popyt na wszystko, co ziemia daje, lub co z niej rozum ludzki wyciągnąć może. Takie zaś zwiększe-

nie popytu na wszelkie produkta ziemi jest możebne tylko przy zgęszczającej się w wielu miejscach kraju ludności, a powodem i warunkiem takiego zgęszczenia, mogą być tylko powstające na całej przetrzeni kraju fabryki. Póki będziemy musieli produkować w rolnictwie wyłącznie prawie ziarna droższe, któreby mogły wytrzymać transport na odległe targowiska, póty nie potrafimy korzystać ze wszystkich rzeczy, które nam ziemia dać może. Szerszą uprawę kartofli warunkuje przemysł gorzelniany, większe plantacje buraków możebne są tylko przy cukrowniach. Hodowla bydła obfitsza i korzystna możebna jest tam tylko, gdzie ludzie więcej mięsa potrzebują. Samo już lepsze urządzenie młynów, pozwoliłoby nam mniej tracić na transporcie mąki za granicę, aniżeli dziś tracimy na przewożeniu ziarna, a wszystkie ostatki od wyrobu mąki, zostawałyby na miejscu i szły na lepsze ukarmianie bydła. Wełnę sprzedajemy za granicę, tamże wysyłamy zboże; korzystniej byłoby zapewne dla nas, ażeby ludzie miejscowi to zboże zjadali i wełnę na sukno przerabiali. Wysyłając wtedy na sprzedaż sukno na targ oddalony, w jednym postawie sukna transportowalibyśmy już i wełnę, i zboże przez robotników spożyte: to samo o lnie i płótnie powiedzieć można. Pamiętać też o tém należy, że robotnicy na fabrykach zarabialiby więcej, aniżeli dzisiaj przy roli zarobić mogą; a przeto więcejbysami spożywać mogli, i nie byłoby to wcale odrywaniem rąk od roli, a tylko korzystniejszym użyciem czasu, którego dzisiaj tyle i tyle marnuje się na polach. Jeszcze roku 1842 p. K. Garbiński obliczał: „że ziemia nasza pracą rąk połowy ludności, trzykroć zamożniejszą i dwa razy większą ludność od całej liczby terażniejszych mieszkańców Królestwa wyżywić może” ¹⁾. Od téj pory ludność Królestwa z 4 do 6 milionów wzrosła, a uprawa wcale się nie rozszerzyła, tylko trochę może się polepszyła; dzisiaj na 6 górą milionów ludności w ogóle, zaledwie około 64 tysięcy ludzi pracuje na fabrykach w kraju naszym, więc żeby liczba robotników na fabrykach dziesięć razy się powiększyła, jeszczeby niczem to rolnictwu grozić nie mogło, owszem byłoby to dla niego korzystnem, bo dałoby możność spieniężać wiele rzeczy, które dzisiaj ceny nie mają. Gęściej osiadająca ludność w danéj miejscowości potrzebuje domów, a zatem drzewo, kamień i glina nabierają ceny; potrzebuje opału, sprzętów rozmaitych, potrzebuje chleba, a jeżeli więcej zarobić może, potrzebować będzie mięsa i mleka, i lepszego odzienia i t. d.

Otóż ułatwienia, jakie kredyt przynieść może przemyślności ludzkiej, pozwalając jęj ruszać się śmielęj, otworzą nam drogę do postępu przemysłowego i silny popęd dać mogą wytwarzaniu się bogactwa w kraju; dlatego to mówimy, że organizowanie téj gałęzi kredytu, byłoby prawdziwie obywatelską zasługą.

¹⁾ Roczniki gospodarstwa krajowego T. 1, N-r 1, str. XXIX.

Mogą nam powiedzieć, że kraj nie posiada dość kapitałów, ażeby mógł odrazu zdobyć się na tyle rozlicznych zakładów kredytowych. Odpowiemy na to, że przed rokiem 1870, nikt jeszcze nie myślał o rachunkach przekazowych w Warszawie; banki rachunki te otwierać zaczęły, a w roku 1873 wpłynęło do ich kass na te rachunki 50 milionów rubli. Dlaczegożby rozum ludzki i czynność energiczna w ciągu drugich trzech lat, drugich 50 milionów nie umiała z tego samego materiału wydobyć. Chodzi tu o rzecz główniej wagi, pierwszorzędnego znaczenia, o usuwanie zawał do pracy, ażeby ona, widząc przed sobą zawały, nie ustawała w raz rozpoczętym ruchu; chodzi też i o to, ażeby ludzie, których stanowisko powoduje na kierowników w interesach finansowych i przemysłowych, poczuwali się do obowiązków swojej pozycyi i pamiętali, że inicjatywa do nich należy; że oni w ustroju społecznym przedstawiają się torującą drogi przemysłowi, że za nimi publiczność pójdzie, a każdy niosąc cząstkę kapitału swego i swego rozumu, wszyscy razem złożą całość; lecz bez nich każdy chwiać się będzie i wątpić o możności udania się przedsięwzięcia.

Nie mamy też żadnych danych do obliczenia, o ile kapitał corocznie wzrasta w kraju naszym, ile z wytworzonego bogactwa corocznie zaoszczędzamy i użyć możemy do dalszej produkcji. Nie mogąc liczb żadnych przytoczyć, musimy znowu poprzestać na rezonowaniu.

Od dawna już nauka ekonomiczna uznała oszczędność za jedyne źródło formowania kapitału, lecz w ostatnich czasach pojęcie to rozszerzono i dopełniono twierdząc, że nie jedna oszczędność tutaj działa, że czynnikiem daleko ważniejszym od bierniej cnoty oszczędności okazuje się sama czynność człowieka, zwiększająca produkcją. Jeżeli na przykład mam majątek który mi daje dochodu 5,000 rubli i oszczędzam z nich co rok 1,000, robię dobrze i przyczyniam się do pomnożenia bogactwa krajowego; lecz jeżeli przemyślnością i pracowitością swoją potrafię dochód z tego majątku podnieść do 7,000, mogę jeden tysiąc więcej używając na wygody życia, nie jeden a dwa już zaoszczędzić, dwa razy tyle co pierwiej przyczynić się do wzrostu bogactwa krajowego.

My jako rolnicy, na wskrós i aż do szpiku kości rolnicy, pojęcia nasze ekonomiczne wykształciliśmy na modłę rolnictwa. Każdy z nas w pojęciach swoich, to co posiada, dzieli na dwie części: majątek i dochód, procent i kapitał albo po staroświecku mówiąc fundusz i intrata. Każdy też porządny człowiek uważa za swój obowiązek nie nadwierać funduszu, a intraty obracać na opędzenie bieżących potrzeb życia, t. j. przeżywać je; nikt z najporządniejszych nawet, w sumieniu swoim za złe sobie nie uważa, jeżeli dochody roczne w ciągu roku zużyje. Ludzie z natury skłonni do oszczędności, starają się część tych dochodów przechować i składać z nich kapitał, który ich fundusz powiększa. Obdarzeni naturą czynniejszą i energiczniejszą, starają się przemysłem wydobyć z majątków więcej do-

chodów, ale pomiędzy nimi rzadko kto nie ulega ogólnemu popędowi do zużywania tego, co na rok przyszły znowu powrócić może. Najrzadziej dopiero, i to nie u nas tylko ale i wszędzie na świecie, spotykać można ludzi, którzyby zmysł czynny łączyli w sobie ze skłonnością oszczędną, którzyby i dochodu przymnażali i z przysporzonego nie wygod życia przymnażali, a owszem zasób swój czy majątek powiększali; ale ludzie tacy chociaż rzadko, jednak i u nas spotykać się dają.

Powiedzieliśmy że takie pojęcia o majątku i dochodach wpływają z rolniczej przeważnie roboty. Jakoż nie u nas jednych one panują, wszędzie jeszcze na świecie spotkać się z nimi można, bo we wszystkich krajach rolnictwo najpierw było głównym przemysłem ludności, a dzisiaj jeszcze najwięcej rąk i głów zajmuje. Wyższe też siły społeczne we własności ziemskiej i rolnictwie wszędzie oparcia i potęgi szukały. Otóż pojęcia te miały słuszną racją bytu w starym porządku rzeczy, kiedy pozycye społeczne przez pokolenia całe przechowywały się jedne i niezmiennie. Dzisiaj, kiedy Europa przekształca się na nowy ustrój społeczny, do którego i my chociaż później od innych wybraliśmy się w tę drogę, jednak wszystkiemi załgami pędzimy, trzeba i te gospodarskie pojęcia nieco przekształcić.

Jak buchalterya handlowa w gospodarstwie wiejskiem pomału zastępuje dawniejsze ekonomiczne rejestra, tak i pojęcie o mieniu, majątku czy funduszu przerabiać się powinno na pojęcie nowożytne. Fundusz dzisiaj nie jest wyrazem stanowiska w towarzystwie, a przynajmniej stanowiska stałego i niezmiennego człowieka i jego rodziny, a to dla tego, że wśród ruchu przemysłowego, stosunek majątkowy osób musi się zmieniać. Dzisiaj majątek jest dodatkiem do osoby człowieka, jest rozszerzeniem, szerszym rozwinięciem tej osoby w świecie materyalnym, do niej on należy i od niej zależy. To też nie tylko dochody ale i kapitał, nie tylko intraty ale i fundusz cały w jeden rachunek wprowadzać należy, zapisując z jednej strony co mam, z drugiej co winienem, i jak najczęściej starać się te rachunki równoważyć, układać bilans. Wtedy to każdy prędko zrozumie, że to co ma zależy od jego woli i czynności, łącno dopatry jak praca fundusz ten powiększa, a próżnowanie lub niedbalstwo zmniejsza go ustawicznie. A rozchód tymczasem nie z góry ustanowioną normą od towarzyskiego stanowiska zależną, lecz rzeczywistą potrzebą oznaczać się będzie, bacząc pilnie na to aby rozchód nie nadto z funduszu ujmował. Częstsze ustawianie bilansów stanie się bodaj jednym ze środków przeciwko szerzącej się żądzy używania, bo z naszą zachowawczą naturą nie zechcemy narażać się na ruinę.

Ale jakież zwiążek ma to wszystko z obfitością kapitału w kraju i z kredytem przemysłowym? Zwiążek oczywisty, bo im bardziej rozwijać będziemy gospodarską działalność naszą, im silniej w każdym pojedynczym człowieku rozwinię się przemysłowość i poleganie na własnych siłach; tém dochody każdego będą większe, zatem

i większa możność oszczędzania i prawdopodobieństwo prędszego i obfitszego gromadzenia się kapitału w narodzie. Póki zaś pewna ilość kapitału nie nagromadzi się, rozwój przemysłu na szerszą skalę nie będzie możebnym, i zostawać będziemy pod tym względem w ciągłej zależności od obcych narodów, od których dzisiaj jeszcze musimy wyglądać kapitałów, skoro chodzi o jakie większe przedsiębiorstwo; od których dostawać musimy niezbędnych do każdego przemysłu narzędzi; a nawet materyałów, z których i któremi te narzędzia się robią, t. j. żelaza i węgla.

Niezależność ekonomiczna, przedmiot nowożytnej ambicyi każdego narodu, nie daje się osiągnąć żadną sztuczną kombinacją sił obcych, ani też żadnym pomyslnym zbiegiem okoliczności, tylko poprostu ciągłym i wytrwałym stosowaniem sił własnych do bogactwa ziemi, którą naród zamieszkuje. Czasem obce siły mogą w szczęśliwej chwili dać pomyslny popęd, lub też zbieg okoliczności przyjaznych może wpłynąć szczęśliwie na przyspieszenie rozwoju przemysłowego; jak n. p. kiedy nieurodzaj w ościennych krajach przy dobrym urodzaju u nas, podnosi cenę płodów ziemi, i czasowo zsyła nam większą obfitość kapitału; albo kiedy kapitał obcy rozpocznie prawdziwie produkcyjne przedsiębiorstwo. Lecz te pomyslne wpływy nie mogą działać ciągle i trwale. Korzystać należy z podobnych okoliczności i korzystać umiejętnie, czasowy przyrost dochodu obrócić na pomnożenie kapitału nie marnując go na bieżące potrzeby. Polegać na tych pomyslnych okolicznościach nie można, bo ten stosunek nasz do zagranicy zmienić się może a nawet musi za rok, za dwa lata najdalej; i sąsiedzi, którzy nam za chleb więcej płacili, zechcą to wszystko odebrać w trójnasób za swoje przysłane nam wyroby. Otóż wyroby te u siebie wytwarzać, to główne zadanie, za rozwiązaniem którego pójdzie ekonomiczna niezależność.

Pomyślne dla nas okoliczności, to wysokie tegoroczne ceny produktów rolnych, bo coraz to bardziej szerząca się sieć kolei żelaznych, która z Warszawy robi niejako punkt przejściowy handlu pomiędzy Cesarstwem a Europą; powinniśmy z tego korzystać, i przybywających nam z tego źródła zarobków używać na ożywienie przemysłu miejscowego. Mamy w kraju naszym zapasy dwóch głównych czynników wszelkiego przemysłu, mamy żelazo i węgiel, niemal w tych samych naturalnych warunkach jakie posiada sąsiedni Szląsk, a jednak o ileż mniej u nas, aniżeli na Szlązku wyrabia się żelaza i dobywa węgla, i jakie massy tych materyałów z tego właśnie Szlązka sprowadzamy. Wiemy jednak wszyscy że przemysł angielski, jeżeli głównie zawdzięcza swe siły charakterowi Anglika wytrwałemu i nie lękającemu się trudu; to w obfitości żelaza i węgla znalazł on główny materyał swego olbrzymiego rozwoju.

Pomyślne okoliczności sprzyjające handlowi, były zapewne powodem szerszego u nas rozwijania się kredytu handlowego. Rozwój ten jakkolwiek dość znaczny nie może być uważanym za dostateczny

bo cyfry obrotów kredytowych u nas, postawione obok cyfr podobnych obrotów w najmniejszych krajach Zachodu, jak n. p. w Belgii i Saksonii okażą się jeszcze mikroskopijnie małemi. Nie przestaną one wzrastać to pewno, ale radziłyśmy widzieli kapitalistów naszych, organizujących obok handlowego i inne gałęzie kredytu, a mianowicie przemysłowy i rolniczy. Bo handel sam, jakkolwiek kraj wzbogaca, z natury swojej nie jest tak stałym jak przemysł na silnych oparty podstawach. Przemysł zresztą prowadzi koniecznie do handlu, kiedy handel cudzymi wyrobami chociaż szybko rozwijać się może, ale i za zmianą dróg handlowych szybko też upada, i przytém śmielsze zwłaszcza natury pociąga gwałtem do spekulacji. Kredyt handlowy, dzisiaj w zupełnie normalnych, prawidłowych warunkach u nas się rozpoczynający, może z łatwością być wciągnięty na śliskie drogi eskontowania nie tylko wartości realnych dzisiaj egzystujących, ale i tych które z czasem mają się zjawić. A takie eskontowanie przyszłych, zawsze niepewnych zysków, chociaż chwilowo korzystne, zawsze doprowadza do katastrofy bankructwa, bo zbyt rzadko człowiek na tój drodze powstrzymać się umie lub może.

W gospodarskim rozwoju naszym idziemy po tój samej drodze którą przeszły inne narody Europy, a ponieważ niczem myśmy od nich niegorsi, więc i o przyszłość naszą, zbyt wielkiej obawy mieć nie możemy. Każdy naród najprzód zajmował się dożywaniem płodów surowych i przytém opędzał tylko nieodbite potrzeby życia; potem przechodził do przerabiania surowych płodów na wyroby, przy czém i zakres potrzeb jego się rozszerzał. Pracowitość, oszczędność, przemysłność rozwijały się jednocześnie. Przy całej historycznej komplikacji tych przejść, jedne narody wysuwały się naprzód, inne opóźniały się na tój drodze i potem musiały podwajać kroku. To samo i obecnie się dzieje; na dzień dzisiejszy nam wypadł los przysparzania kroku, bo jeżeli co do przymiotów duszy i ciała w niczem nas Bóg i natura nie upośledziły, to w przemysłności, pracowitości i oszczędności, jeszcześmy się nie dość wykształcili. Idąc po drodze przemysłu, korzystać już możemy z doświadczenia cudzego, bo idziemy drogą, uitorowaną i pewniejsze kroki stawiać możemy. Przemysł fabryczny rolnictwu nie szkodzi, owszem pomaga mu wszędzie i zawsze, a przemysł fabryczny i rolnictwo razem wzięte stają się szeroką podstawą bogactwa narodowego i szerokie drogi handlowi otwierają. Handel zaś bez przemysłu, przedzój czy później upaść musi, bo jak każdy producent tak i każdy naród produkujący, stara się zawsze, o ile może obejść się bez pośredników, bez osób trzecich pomiędzy nim a spożywcami stojących. Produkta własnej ziemi najpewniejszym są materiałem surowym, którego przerabianiem przemysł krajowy zająć się może. Żelazo i węgiel, jako niezbędny materiał każdej fabrykacji, są najsilniejszą podstawą przemysłu fabrycznego; ale nadto wszystko potrzebniejszym warunkiem wszelkiego postępu, warunkiem niezbędnym, bez którego najobfitszy

materyał pozostanie tylko martwą i bezcenną materyą, jest myśl umiejętna i charakter czynny, te dwa znamiona doskonalącej się duszy ludzkiej, któremi się człowiek i naród podnosi do wykształcenia i cywilizacyi.

Aleksander Oskierka.

B R Ü H L.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

(Ciąg dalszy).

VI.

Właśnie gdy się to działo w pałacu królewicza, za kulisami opery przygotowywano przeznaczoną na ten dzień i niecierpliwie oczekiwaną, choć tylekroć powtarzaną *Cleofidę*. Przepych z jakim odegrywano te świetne sztuki, w których nieraz występowało po sto koni, wielbłądy i niezliczone tłumy komparsów w świetnych strojach Wschodu; czarowna maszynerya teatru, zwabiały doń przynajmniej tylu widzów, co zachwycający głos signory Faustyny Bordoni.

Faustyna, pierwsza śpiewaczka swego czasu, słynna zwycięstwem nad równie znakomitą Cuzzoni, była tu primadonną,

w całym znaczeniu tego wyrazu, na scenie, za kulisami i daleko dalej niżeli one sięgały. Signora Bordoni choć nosiła imię wielkie pierwszego kompozytora owéj epoki, Jana A. Hasse, mogła być o nim zapomnieć. Małżeństwo to, nazajutrz po ślubie rozerwał rozkaz króla, który muzyka wyprawił na studia w klassycznej Włoch ziemi.

Gdy powóz wiozący Brühla i smutną wieść o zgonie Augusta Mocnego, zbliżał się do zamku, Faustyna siedziała w swym saloniku, urządzonym dla niéj przy scenie i zrzuciwszy z siebie kosztowne futro, ziewając zabierała się wydawać rozkazy.

Primadonna nie była pierwszój młodości, ale, mimo swéj włoskiej krwi, która tak prędko wykwita i przekwita, umiała zachować całą siłę głosu, cały wdzięk postaci i piękność rysów twarzy Junony, jaką ją obdarzyła natura.

Nie było to wdzięczne a delikatne stworzenie, nie eteryczne zjawisko, co zdaje się jak mara powietrzna roztopiać w mgłach i blaskach, ale silna, wspaniała, majestatyczna postać o posągowych kształtach, jakby energiczném dłutem Michała Anioła wykutych z jednej bryły.

Nieposzlakowana piękność równała głosu potędze. Wszystko w niéj było z jéj charakterem zgodne i harmonijnie równe: głowa bogini co skinieniem brwi Olympem wstrząsa, popiersie nimfy, ręka bachantki, postawa amazonki, nóżka i rączka księżniczki, włos czarny bujny jak grzywa arabskiego konia... W twarzy mimo klassycznej piękności rysów, więcej było grozy i siły niż niewieściój słodyczy. Czarne brwi nieco za wyraziście zarysowane marszczyły się często, nosek rozdymał gniewem i usta różowe błyskały zębami jak groźbą. W całej niéj znać było nawykłą do panowania, do hołdów, do rozkazowania istotę, która się nie lękała oczów królewskich i pioruny ciskała nawet na koronowane głowy.

Salonik był strojny wykwintnie, cały biały ze złotem, sprzęty niebieskim pokryte atłasem, a koronkową zasłoną obwieszona tualeta świeciła porcelaną i srebrem. Szafy do strojów okryte były bronzami, od sufitu porcelanowy pająk wisiał jak kosz kwiatów.

Dwie sługi stały u drzwi gotowe na rozkazy. Po rysach ich poznać było łatwo włoszki, które nawet malowniczego swego opięcia włosów nie porzuciły, srebrnymi iglicami ujętych. Faustyna spojrzała na zegar stojący w kąciku... rzuciła się na sofę, napół leżąc, pół siedząc i bawiąc się jedwabnymi sznurami domowej swój sukni szerokiej, w kwiaty, w której przenieść się kazała do teatru.

Sługi stały milczące.

Zapukano do drzwi. Faustyna się nie poruszyła, spojrzała tylko i pół uśmiechem powitała ukazującą się w nich twarz pięknego, młodego mężczyzny.

Był to sopran Angelo Monticelli, który przybywał pokłon i cześć oddać królowej. W nim także typ włoski łatwym był do poznania na pierwszy rzut oka; lecz o ile Faustyna energią włoską i żywość wcieliła w siebie, o tyle on przedstawiał wdzięk prawie niewieści. Młody, dziwnie piękny, z włosami czarnymi długimi, spadającymi na ramiona, przeznaczonym się zdawał na rolę *inamoratic*, na bogów i kochanków. Żaden starożytny Apollo w zachwycie grający na lirze, nie mógł być nad niego piękniejszym. Tylko dumy i śmiałości bożka mu brakło: pokornym był i uniżonym do zbytku.

Złamał się wpół oddając pokłon obojętnej Faustynie, która nie przestawała bawić się sznurami swój sukni i ledwie mu główką skinęła. Nogi jego wyłamane jak do tańca, nawet za kulisami nie zapomniały o swych obowiązkach.

— Angelo—zawołała Faustyna—biegasz za temi obrzydliwemi niemkami... wiem, wiem. Stracisz głos i młodość. Pfe! jak można w Niemce widzieć kobietę. Spojrzże na ich ręce i nogi.

— Signora!—rękę kładąc na piersi, odparł prostujący się Angelo rzucając wzrok w zwierciadło, bo trochę kochał się w sobie—*Signora non e vero!*

— Tak, powiesz mi dla wymówki—śmiejąc się przerwała Faustyna—że one biegają za tobą.

— I to nie: ja tęsknię za włoskiem niebem, włoskimi twarzami i sercem włoszki... ja tu usycham.

Faustyna spojrzała nań a ręką dała znać dziewczętom służebnym ażeby odeszły...

— *Ingrato!*—szepnęła cicho—pieścimy cię wszyscy i jeszcze ci źle.

Potém oczy zwróciła na sufit, ziewnęła i zdawała się niechcieć widzieć pozerającego ją wzrokiem Monticellego.

— Jest już AlbuZZi?—spytała.

— Nie wiem.

— Żebyś ty o AlbuZZi nie wiedział, cha! cha!

— Wcale mnie ona nie obchodzi.

— Gdy mówisz ze mną! Ale ja o nią nie jestem wcale zazdrosną, ani o twoją Apollinową piękność; tylko, tylko jój, niecierpię i ciebie Angelo, nienawidzę...

— Za co?

— Za to, że jesteś nienawiści godny, żeś lalka, żeś bałamut. Spójrz na zegar i idź się ubierać.

We drzwiach ukazała się nowa twarz: był to otyły, silnie zbudowany, wesołego oblicza, ruchów żywych Puttini.

— Moje najgłębsze uszanowanie ekscellency—zawołał. Ale przepraszam, może przerywam duet...

Spojrzał na Angela.

Faustyna się rozśmiała ruszając ramionami.

— My tylko na scenie śpiewamy duety—dodała—ale wy wszyscy dziś myślicie się spóźniać! Do ubierania!

I ruszyła się z sofy. Angelo także posunął się ku drzwiom, Puttini stał i śmiał się.

— Ja się nie opóźnię: trykoty moje leżą gotowe, a reszta stroju nie zabawi.

Drzwi się rozpadły z łoskotem i mężczyzna w czarnej sukni, w trzewikach i w pończochach, w peruce gładkiej, twarzy puciołowatej, małego nosa, czoła niskiego, wbiegł jakby przestraszony.

Sama postać jego już zwiastowała coś niezwyčajnego; Faustyna która się ognia lękała zawsze, krzyknęła przeraźliwie:

— Matko Najświętsza ratuj! gore! gore!

— Gdzie? gdzie?

Tymczasem ów poseł stał niemy i jakby osłupiały. Był to Klein, jeden z muzyków orkiestry, wielki Faustyny głosu wielbiciel, przyjaciel Włochów i zapalony meloman.

Imie mu było Jan, jak większej części Niemców. Faustyna go na Giovaniego przerobiła, i dała mu przydomek *Piccolo*.

— *Piccolo*? czyś oszalał! co tobie?—zawołała.

— Król umarł, Król August Wielki umarł w Warszawie!!

Na te słowa Faustyna krzyknęła przeraźliwie zasłaniając oczy, a wszyscy stanęli niemi. Drzwi za wchodzącym Kleinem zostały otwarte i tuż wtaczać się zaczęło co żyło w teatrze. Większa część artystów mających grać w „*Cleofidzie*“ już napół była ubrana. Albuzy wbiegła nie mając czasu zasłonić odkrytego popiersia, ani narzucić nic na najpierwsze ubranie. Piękność jej uderzała nawet przy Faustynie, lecz wszystko w niej było zdrobniałe, a żywość tylko tém większa.

Za nią z jasnym włosem Catharina Piluja i cała czereda Włochów i Francuzów, w sukniach ponarzucanych ledwie, z twarzami przestraszonymi, których połowę róż a pół jeszcze bladeść okrywała. Wszyscy się cisnęli do Faustyny, zbijali w kupę i powtarzali na wszelkie możliwe głosy:—*Il re e morto!*

Niemożna było się zrozumieć, ni usłyszeć w tym gwarze słów i wykrzyków. Na twarzach widać było przerażenie więcej niż boleść. Mówili razem wszyscy, tylko Faustyna milczała wcale się nie zdając tak bardzo rażoną tą wiadomością.

Ku niej jako ku wyroczni zwracały się oczy i uszy, czekano co powie; lecz Bordoni znać w tym tłumie nie chciała się wydać z tém co myślała.

Dzwony odzywały się w całym mieście.

— Teatru nie będzie, wszyscy do domów!—zawołała rozkazująco.

Ale jej nie posłuchano, stali jak wkuci przybyli, smutni i przerażeni.

— Wszyscy do domów!—powtórzyła Faustyna—niemamy tu co robić, a pewno nie rychło grać będziemy.

Sama też zbliżyła się do sofy i zdawała chcieć ubierać do wyjścia. Jeszcze raz zwróciła się z twarzą rozkazującą i ręką ukazała drzwi. Smutny tłum poczynął się rozplýwać i wychodzić szmerząc. Albuzy zamysłona stała przed zwierciadłem chwilę, spojrziała przez ramię na Faustynę i zwolna wyszła z innemi.

Jak tylko drzwi się zamknęły za ostatnim z tych nieproszonych gości, Bordoni rzuciła się na sofę. Zdawała się niewidzieć podżyłego mężczyzny, który stał naoboczu i poglądał przez okno na ciemność.

Kaszlnięcie dało jęj znać o nim.

— A! to wy?

Był to Hasse z imienia mąż Faustyny.

— Tak—rzekł obojętnie niemiec, czystą i piękną włoszczyzną.

— O czém myślicie? czy już żałobne Requiem piszecie dla nieboszczyka.

— Prawieście odgadli—rzekł poprawiając peruki kompozytor—myślałem czy msza którą ułożyłem dawno *Sulla morte d'un eroe*, przypadnie dla naszego pana. Muzyk jestem i wszystko u mnie, nawet żal w muzykę się obraca.

— A w co my się teraz obrócimy!—westchnęła Faustyna.

— *Chi lo sa?*

Milczeli, Hasse chodził ręce włożywszy w kieszenie z głową spuszczoną. Stał potem przed żoną.

— Nie mamy się czego lękać—rzekł spokojnie—Hassego nie łatwo kto zastąpi, choćby i Porpoła. Faustyny—nikt.

— Pochlebco—rzekła włoszka. Hasse stary będzie śpiewać lepiej jak za młodu, a Faustyny głos jak wypalona świeca, co wielkim płomieniem gorzała... jednego ranka zagaśnie.

— Nie tak prędko—odpowiedział zamyślony niemiec—wy to lepiej wiecie odemnie.

— Ale nowy pan, ten cichy, spokojny, pobożny, skromny, zawojowany przez cesarzównę pan nasz, czy zechce...

Hasse się rozśmiał—*E un fanatico per la musica, e fanatico per la Faustina.*

— *Chi lo sa?*—szepnęła zadumana. Gdyby nim nie był, trzeba go uczynić takim. Promień myśli jasnój przebiegł po jęj czole.

— Biedny stary August nie żyje—rzekła zniżając głos—radabym mu piękną powiedzieć mowę pogrzebową, a nie pogafrę.

Hasse ramionami ruszył.—Mów pogrzebowych mu nie zabraknie—rzekł głosem prawie niedosłyszany—ale przyszłość

inny o nim wyrok wyda. Wspaniałym był tyranem i żył dla samego siebie. Saxonia odetchnie może.

— Jesteś niesprawiedliwym—zawołała Faustyna—mogłaż być kiedyś szczęśliwszą, świetniejszą, słynniejszą... blask od tego bohatera padał na nią.

Hasse boleśnie się uśmiechał.

— W loży teatru wydawał się bohaterem, gdy do was się uśmiechał cały brylantami okryty; ale kraj łzami te diamenty opłacał. Radość i śpiewy rozlegały się po Dreznie, a jęki po Saxonii i Polsce. Tu był przepych, tam nędza.

Faustyna się porwała oburzona.

— *Tace*, milcz—zawołała—nie dam ci nic mówić na niego: brzydka zazdrość odzywa się z ciebie.

— Nie—rzekł Hasse spokojnie, patrząc na nią—całą moją miłość pochłonęła muzyka, a piękną Faustynę ukochałem w jej głosie i starczyło mi, gdym go słyszał lub nawet marzył o nim. Faustyna nie mogła widzieć króla inaczej i ja milczę.

Hasse począł się przechadzać zamyślony, gdy drzwi uchyliły się i wnet zamknęły. Wchodzący zaledwie się w nich ukazał i cofnął natychmiast, ale Faustyna miała go czas zobaczyć, poznać i zawołała aby wszedł.

Z pewnem wahaniem usłuchał rozkazu. Był to ten sam Watzdorf, który Brühlowi przyniósł rozkaz królewicza... dziwna twarz dworaka, przenikająca oczyma, śmiejąca się ironią, nielitościwa szyderskim wyrazem; ruchami i postawą przypominał Zbira na maskaradzie.

— Myślałem—odezwał się, wchodząc i uśmiechając do Faustyny—że jeszcze nie wiecie nic?

— Dzwony przecież obwieściły to miastu i światu—mówiła włoszka, zbliżając się do niego z ciekawością.

— Tak, ale dzwony zupełnie jednakowo jęczą i radują się na pogrzeb i wesele; mogliście więc sądzić, że która z księżniczek urodziła się, i że się nam radować każą.

Ruszył ramionami..

— Biędny król!—westchnęła Faustyna.

— A!—podchwycił złośliwie Watzdorf—żył dużo, miał trzysta co najmniej kochanek, rozsypał miliony, wypił rzekę wina, nałamał podków i naścinał głów dosyć... czyż nie czas było odpocząć?

Nikt nie śmiał mu przerwać, Hasse tylko nań spojrział ukradkiem.

— Cóż teraz będzie?—spytała włoszka.

— Mieliliśmy operę *Il Re Augusto*, wystąpi może inna z nowym tytułem i nielepszą.

Pierwsze w niej role grać będą: Córka Cezarów, Padre Guarini, Padre Salerno, Padre Vogler i Padre Kopper, a w dodatku jaki Frate... nazwiska nie zgadnę.

Faustyna śpiewać im będzie, jak śpiewała; Hasse, pisać, jak pisał opery. Gorzej z nami komparsami dworu, gdy pierwsze role obejmą pазie z całego świata i lokaje ze wszystkich dworów.

Hasse, który słuchał, skłonił się i cicho szepnął:—dosyć! dosyć! a nuż kto podedrzwiami. Nam tego nawet słuchać niebezpieczno.

Watzdorf ruszył ramionami.

— Gdzież pan był w marcu przeszłego roku?—zapytała niby roztargniona Faustyna.

— Ja? w marcu? czekajcie... no nie wiem.

— Znać chyba, żeście nie byli w Nowym-Rynku, gdy na nim prezentowano smutny dramat Majora d'Argelles.

Watzdorf milczał nie przerywając.

— Wiecie, ten d'Argelles, co to tak ostrą mówił prawdę, czy potwarz, nie oszczędzając nikogo, co je pisał i rozsiewał. Ja miałam okno naówczas i patrzyłam.

Żał mi było biédaka: wydali go Francuzi, bo niegdys służył on u nas. Postawili go pod pręgiérzem wysoko wśród tłumów ludu. Kat nad głową złamał mu szpadę i rzucił pod nogi, dał mu dwa policzki aż krew się ustami rzuciła i garść paszkwilów wetknął mu w gębę.

Płakałam patrząc na biédnego człowieka. Siedzi w Kaspel-hauzie w Gdańsku z ogoloną głową, aż się śmierć nad nim zlituje.

— W istocie to ciekawa historia, signora Faustina—odezwał się szydersko Watzdorf—ale wiecie, kogo ja więcéj żałuję, niż majora d'Argelles, tego, który się tak okrutnie i nieludzko mścił na nim.

To mówiąc, Watzdorf spojrział na włoszkę nieulekły wcale.

— Signora Faustina—rzekł—teraz następuje żałoba, będziecie mieli czas odetchnąć i głos nastroić tak, aby nowego pana oczarować, a królować mu, jakieście nad nieboszczykiem królowali. A wiecie, co ja wam powiem... To będzie daleko łatwiejsze. August Wielki był największym z bałamutów; ten lubi spokój i pali zawsze z jednej fajki. Gdy mu podają nową, głową wstrząsa, i gdyby mógł a chciał, toby się gotów rozgniewać.

Rozśmiał się Watzdorf.

— Więc—dodał—jam tu niepotrzebny, wy już o wszystkim wiecie, a mnie czas myśleć na jutro o żałobie. Jeśli nie może w niej chodzić serce, niech się ubierze ciało: nikt głęboko nie zajrzy.

— Zapomniałem—rzekł nagle, zwracając się od drzwi do Faustyny—jakże jesteście z Sułkowskim? Jutro on na tron wstępuje i jutro Brühl albo pojedzie do Turyngii, albo przystanie do niego za lokaja; ażeby mu, dobrawszy godziny, nogę podstawić... Brühl z ojcem Guarinim są w najczulszych stosunkach.

Hasse syknął, Watzdorf nagle dłonią zakrył usta.

— Czy nie wolno! milczę.

Faustyna była zmięszana.

— Signore—rzekła, zbliżając się do niego—jesteście niepoprawieni. Tu z nami nic wam nie grozi.

Palec położyła na ustach.

— Ja się nie lękam groźb żadnych—westchnął Watzdorf—ambicyi innéj nie mam, oprócz bym został zawsze uczciwym człowiekiem, a jeśli mnie wsadzą do Koenigsteinu, nie będę narażony na pokuszenie. A i to coś znaczy.

— O! bogdajbyś nie był prorokiem!—rzekł Hasse, składając ręce. Myślcie co chcecie, lecz mówić...

— Cóżbym miał za zasługę z myśli, gdybym jéj między ludzi nie rzucił...—odpowiedział już we drzwiach Watzdorf—A zatem dobréj i najlepszéj nocy państwu!

I zniknął.

— Nie ma wątpliwości—odezwał się Hasse—że skończy tam, gdzie powiedział; może tylko, jeśli celi nie ma wolnéj w Koenigsteinie, dostanie się do Sonnensteinu lub Pleissenburga.

I westchnął a Faustyna mu odpowiedziała westchnieniem.

VII.

Nazajutrz, ktoby się był wpatrzył w fizygnomię miasta, na które od dnia wczorajszego spadła żałoba, zaledwieby w niej dostrzegł oznaki żalu, ale niepokój był wielki i ciekawość silnie rozbudzona.

Około zamku i pałacu na Taschenbergu krążyły ostrożnie kupki ludzi, usiłując odgadnąć, co się wewnątrz działo. Widać było ruch niezwykle, ale porządek w zaciąganiu wart, gwardyi i szwajcarów pozostał niezmienny. Karety z zapuszczonemi oknami i zakryte lektyki przebiegały miasto w różnych kierunkach. Ruch ten był cichy jakiś i jakby stłumiony. Uroczyste i urzędowe oznaki żałoby jeszcze się były nie rozpoczęły, a serdecznego smutku na twarzach znać nie było. Na każdego wyjeżdżającego kuryera spoglądał tłum z ciekawością i domysłami, gonił go oczyma i szeptano sobie dokąd i poco mógł być posłanym. Nie śmiano jednak mówić głośno... Koenigstein był blisko i u steru, jak się zdawało, pozostać mieli ciż sami ludzie, myśl tam sama, bo królewicz, a dzisiejszy kurfirst, nadto czcił ojca, ażeby chciał co odmieniać; nadto mu był posłusznym nawet po zgonie, aby się ważył coś począc z siebie i nadto był przyjacielem spokoju, żeby zmianami chciał sobie ściągać kłopoty. Domyślano się tylko, że Brühl padnie, a Sułkowski się podniesie nad wszystkich, a jakie będą rządy nowe? tego nikt odgadnąć nie umiał.

Brühl już naówczas zamieszkiwał kamienicę w Nowym-Rynku, koło niej było cicho. Wiedzano tylko, że on wczoraj odwiózł klejnoty, korony, precyozę i całą tajną królewską kancelaryę. Co się działo na zamku i w pałacu na Taschenbergu, o tém z ulicy tylko po przebiegających i przejeżdżających sądzić było można. Powozy zajeżdżały i odchodziły, lektyki się mijały, posłańcy krzyżowali.

Cały dzień spłynął tak w zagadkowej ciszy i pozornym spokoju. Pomniejsi urzędnicy wypatrywali znaków na ziemi i niebie, komu się kłaniać, a na kogo pluć mieli.

Hennicke powiernik Brühla, były ów lokaj, którego i teraz, gdy już się radczą zwał, pocichu jeszcze tém imieniem miano-

wano, siedział z rana w swoim domu, przytykającym do Brühlewskiego na Nowym-Rynku.

Za owych czasów, gdy jeszcze ani marzył do jak wysokich dojdzie zaszczytów, Hennicke ożenił się był z prostą dziewczyną służeńną, która naówczas nie miała za sobą nic, oprócz trochę młodości i wdzięku. Dziś, gdy oboje znikło, pani radczyni Hennicke, dobra zresztą kobieta, była utrapieniem dla męża, bo się z nią pokazać nie mógł, tak jawne nosiła w ruchach i obejściu się całym ślad pierwotnego pochodzenia. Mimo przywiązania swego do męża i pana, męczyła go gadatliwością i drobnostkami. Właśnie się jój pozbywszy, ziewał podparty na łokciu, gdy do jego mieszkania wszedł, nie oznajmując się wcale, szybko i niespodzianie mężczyzna dosyć przystojny, śmiały, znać dworak, ubrany wykwitnie, choć już cały w czerni, średniego wieku i żywych oczów roztropanych.

Z twarzy nic wnioskować nie było można, oprócz że mu na bystrości nie zbywało i na przebiegłości, jakiej wymaga życie wśród wiecznie krzyżujących się intryg, które, jak koła mijających się wozów, pochwycić i zgnieść mogą człowieka. Wchodzący rzucił kapelusz na krzesło, dobył tabakierczkę z kieszeni i zażył z niej szczyptę, podając ją na przywitanie Hennickemu, który nań ciekawie spojrział.

— No, jakże myślisz; co będzie?—zapytał przybyły, zamykając tabakierczkę i wsuwając ją do kamizeli.

— Nic nie myślę, czekam i patrzę—odparł Hennicke zupełnie spokojnie.

— Brühl? jak ci się zdaje?

Spojrzeli sobie w oczy...

— Co mówią?—spytał Hennicke.

— Każdy mówi to, czegoby sobie życzył: jedni, że Brühla wypędzą, a bodaj do kalkulacyi pociągną i wsadzą; drudzy, że Brühl innych wygoni, pozasadza i zdusi.

A wam jak się zdaje?

— Ja wam mówiłem, że mnie się nic a nic nie zdaje—odparł Hennicke—jeśli Brühla wsadzą, ja pomogę popychać, jeśli Brühl ich zdusi, pomogę dusić. Dzięki Bogu nie stoję jeszcze tak wysoko, abym padając, kark skręcił.

Przybyły rozśmiał się.

— To rzeczywiście jedyna rozumna polityka wyczekiwanie, a jak najmniej się mieszać do rzeczy i stać sobie na boku.

— Tak! tak panie radzco Globig—z pół-uśmiechem dodał Hennieke wstając z krzesła—naprzód się wrywać niedobrze, w tyle zostawać niebezpiecznie, środka się trzymać i na wszystkie strony patrzeć: to rozum.

— Ale—rzekł ciszej—między nami powiedziawszy, idę z waćpanem o zakład... o co się podoba.. stawić nawet jestem gotów moją żonę przeciw młodszéj innéj, bo mnie dziś okrutnie zmęczyła gadaniną, że... (zbliżył się do ucha), że Brühl się utrzyma, a gdy się utrzyma, stawię znowu co chcecie, że z nim nie wytrzyma nikt, i że oto dzisiejszego dnia inaugurujemy panowanie J. K. Mości Brühla I-o, które aby jak najdłużéj trwało, Boga błagajmy. Obu nam panie radzco, będzie z tém bardzo dobrze... ale wy pewnie z zamku? na Boga, co w zamku? co słyhać?

— Nic, cicho jak w grobie; sposobi się żałoba. Ojciec Guarini przemyka się od kurfirsta do kurfirstowéj, Sułkowski na straży stoi od rana, a Brühl nie wiem nawet, co z nim się dzieje...

— Znajdzie się!—szepnął Hennieke.

— Królewiczowa, zszedłszy na kurfirsta żonę i pozbawiona królewskiej korony, podobno temu nie rada.

— To ją Brühl zrobi królową...—rozśmiał się Hennieke.

W tej chwili coś zatętniało pod oknem, oba rzucili się patrzeć; oddział gwardyi już z krepami na rękawach i pookrywanemi krepą zbrojami, pędził ku zamkowi. Kamerdyner dworski w liberyi wielkiej wchodził do kamienicy. Hennieke rzucił się ku drzwiom... Globig wziął za kapelusz... Puknięto, wszedł ogromny mężczyzna z małym biletem w ręku. Hennieke rzucił nań okiem, a Globig z za niego utopił także wzrok ciekawy w karteczce; nie mógł jéj jednak przeczytać, bo ją gospodarz zaraz wetknął do kieszeni: zbliżył się do kamerdynera i odprawił go kilką cichemi słowami.

Zostali znowu sami.

— Nie ma w tém tajemnicy—odezwał się Hennieke z uśmiechem—potrzeba wiele pieniędzy, musimy powymiatać zasieki. Nie ma ich, ale muszą być.

Globig i on wzięli za kapelusze oba.

— Henniecke... spodziewam się, że my z sobą zawsze.

— Nawet gdyby padać przyszło?—rzekł u drzwi stojący gospodarz, krzywiąc twarz ironicznie.

— A pocóż—odparł szybko Globig—owszém, gdy jeden pada, drugi powinien zostać i twardo stać, aby go podnieść. Gdy się przyjdzie do góry piąć, to razem.

— A gdy padać, to kułakiem w kark?—spytał Henniecke.

— Nie, tego nie wymagajmy od siebie, cha! cha!—podali sobie ręce.

Henniecke już wychodził, gdy w przedpokoju ukazał się nowy przybylec: postać wysoka, długa, chuda, ręce cienkie, nogi jak laski, twarz przeciągła, niepiękna, ale pełna życia i pojętności.

— Patrzcie! i ten tu!—rozśmiał się Henniecke. Globig uderzył ręką po boku.

Długi mężczyzna wszedł, kłaniając się.

— No, panowie! cóż się dzieje? co? padamy, czy idziemy w górę?

— A niecierpliwi!—krzyknął gospodarz—czekajcie.

— Gdy idzie o skórę—odparł przybyły.

— Panie radzco Loss, nasze skóry wszystkie trzy razem zszyte, jeszcze wygodnego siedzeniaby nie pokryły. Na szerszych plecach się tam wszystko rozstrzyga. Słyszeliście co?

— Co? to co wszyscy przewidywali: Sułkowski pierwszym ministrem.

— Ciekawa rzecz?—syknął Henniecke szydersko—Sułkowski katolik w protestanckiej Saxonii nie może być prezydentem rady, chyba się nawrócił na lutra, a gdyby to uczynił, królby mu w oczy napluł i dał kolanem... nie mówiąc już o królowej.

— A wiesz, że masz słuszność—przerwał Globig—mnie to na myśl nie przyszło.

— Zapomnieliście o tém—zawołał Loss, pokazując długie zęby w uśmiechu—że N. Pan może zmienić prawo.

— Bez zwołania sejmu?—spytał Henniecke.

— Chociażby... jest tu panem—mówił Loss—to przecież nie rzeczpospolita polska, gdzie szlachta robi co chce, a król się kłaniać jój musi.

Hennicke chrząknął, bo chód szybki dał się słyszeć u drzwi i w téjże chwili wchodził już szeroko je otwierając słuszny, barczysty, otyły mężczyzna, który zrazu stanawszy, kapelusza nawet nie zrzuciwszy i nie witając nikogo, przypatrywał się zgromadzeniu.

Był to trzeci radzca Stammer.

— Cóż to, sejm?—zapytał zwolna, obnażając głowę.

— Niespodziany—przerwał trochę markotno Hennicke—doprawdy, gotowi pomyśleć, że my tu konspirujemy.

— Kto dziś na co patrzy i o czém myśli? to się dopiero zacznie jutro—rzekł Stammer—dziś każdy o sobie duma i rozlicza się z sumieniem, czy przeciwko wschodzącemu słońcu nie zgrzeszył, kłaniając się zachodzącemu; bo to wiadoma rzecz, że stanawszy twarzą do zachodu, czémś inném musi się człek obrócić na wschód.

Rozśmieli się pp. radzcy.

— Stammer, ty co wiesz wszystko—zawołał Globig—co słyhać?

— Dzwony, dzwony, dzwony!—rzekł Stammer—gdybym co innego i posłyszał nawet, bądźcie pewni, że strzegłbym się cokolwiek mówić: kto dziś z nas wie, co wróg a co przyjaciel? Milczec należy, jedném okiem płakać a drugim się śmiać i cicho, cicho, cicho! Hennicke z kapeluszem...—rzekł po małym przestanku—wychodzisz?

— Muszę...—przepraszając oczyma przytomnych, odezwał się gospodarz—służba.

— Tak! tak—najważniejsza—dodał Stammer. Każdy służy dziś sobie... nie ma więcej wymagającego pana.

— W istocie, nie wiecie nowego nic?—z cicha rzekł Globig zbliżając się do Stammera.

— Owszem, wiem mnóstwo rzeczy, ale ich nie powiem, z wyjątkiem jednéj wiadomości.

Wszyscy się zbliżyli.

— My Sasi dołem, Polacy górą! Nasze kurfirstowstwo już w kieszeni, więc o nas się nikt nie zatroszczy; ale korony polskiej nam trzeba, więc Sapiehowie, Lipsy, Czartoryscy, Lubomirski, Moszyński, Sułkowski, na przodzie.

— Sułkowskiego położyliście na ostatku?—spytał szydersko Loss... ho! ho!

— Dla tego że on powinien być na początku—rzekł Stammer—a teraz ponieważ czas gorący choć na dworze zimno... żegnam panów.

Włożył kapelusz na głowę i wysunął się pierwszy. Za nim powoli wyszli drudzy. Na ostatku został gospodarz, który znać osobno iść chciał, bo się przypóźnił wydając jakieś rozkazy.

Z bramy domu każdy z nich obejrzawszy się ostrożnie, pociągnął w inną stronę.

W rynku tylko kupki ludu i żołnierzy przemaszerowujących widać było. Z równą ciekawością rozpytywano, badano, dowiadywano się po innych domach saskiej stolicy, ale do wieczora nikt nic pewnego powiedzieć nie umiał.

Już zmierzchało, gdy lektyka się zatrzymała przed domem w którym mieszkał O. Guarini. Pokój ten gdzieś go widzieli z Brühlem był jego gabinetem. Tu tylko przyjmował poufałych gości, spowiednik królewicza i królewiczowej, najmniej widoczna a największa owa potęga na dworze. Skromnych bardzo obyczajów i wymagań staruszek, nie potrzebował dla siebie rozległego pomieszczenia, ale go przyjęcie licznych, dostojnych nieraz gości wymagało. Całe też piętro zajmował Padre, a wedle tego kogo miał u siebie, obchodziło się pokojem w którym na kanapie leżała gitara, lub salonem w surowym stylu umeblowanym, albo pokojami w których mieściła się jego biblioteczka, obrazy i inne zbiory.

Z lektyki wysiadł słusznego wzrostu mężczyzna w ciemnym stroju świeckiego człowieka, ze szpadą u boku. Twarz to była cudzoziemskiego typu, wielce arystokratycznego pokroju, rysów delikatnych i pięknych ale blada i zwiedła. Uśmiech nadzwyczajnej słodyczy i łagodności ją okraszał. Wysokie czoło białe, oczy ciemne wypukłe, nos rzymski, wężkie usta, twarz ogolona starannie, nadawały mu cechę kawalera większego świata. Na ramionach miał płaszcz czarny, a u sukni karonki tylko białe i żadnych świecidełek.

Śmiałym krokiem przebiegłszy wschody, niezajomy zadzwonił do drzwi, a gdy mu stary sługa Guariniego otworzył, nie pytając i nie oznajmiając się wcale wszedł w głąb sieni.

Co widząc sługa podążył co prędzej otworzyć mu drzwi, nie już gabinetu ale salki gościnnéj O. Jezuity.

Była ona ciemną, przybraną skromnie i pełną pobożnych godeł i obrazów. Trochę pyłu na sprzętach dawało się domyślać że tu mało kto gościł zwyczajnie.

W pokoju tymi teraz nie było nikogo, ale O. Guarini w téjże chwili wyszedł z gabinetu usłyszawszy bieganie i zobaczywszy przybyłego; nieco zdumiony, z największą pokorą zniżył przed nim głowę, założywszy ręce na piersiach.

Przybyły zbliżył się doń i oba pocałowali się w ramiona, ale Guarini zniżył się prawie do ręki.

— Nie spodziewaliście się mnie—rzekł prędko stłumionym głosem gość—ja sam nie wiedziałem że tu dziś będę. Domyślcie się co mnie tu sprowadza.. chwila obecna jest najwyższej wagi.

— Wysłałem już wczoraj po instrukcye—odparł cicho gospodarz.

— Ja wam je przywożę.

Każcie zamknąć drzwi wasze...

Musimy być sam na sam.

— Na to nie potrzeba rozkazu—odezwał się Guarini—jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

— Nie traćmy więc czasu! Jak rzeczy stoją? co się święci? obawiacie się czego? potrzeba wam pomocy? mówcie a radźmy zawczasu?

Guarini się zamyślił ważąc co powie.

Chociaż przybyły ubrany był po świecku, jak mówiliśmy, odezwał się doń potem cicho:

— Najprzewielebniejszy Ojcze! Stan dworu jest wam tak dobrze jak mnie wiadomy. Królewicz gorliwym jest katolikiem, królewiczowa, jeśli być może żarliwszą jeszcze. Ulubieniec pierwszy, Sułkowski, katolik także. Wszystko niemal co ich otacza wyznaje świętą wiarę naszą.

— Ale Sułkowski! Słyszę że na nim ma spocząć cała waga przyszłości. Królewicz dobry, słaby, leniwy, powodujący się i pracy nie lubi; za niego więc ktoś rządzić musi.

Jeśli Sułkowski, możemyż mu zaufać?

Guarini zamyślił się, spojrział w oczy przybyłemu, rękę jedną do ust przyłożył i głową potrzaskł.

— Katolik jest—rzekł po chwili—lecz chłodny, ambicya u niego wyżej wiary; wpływ jego dłuższy byłby nam, katolicyzmowi, sprawie nawrócenia zgubnym. Nie ma wątpliwości...

— A jednak, ominąć go, obalić go o ile wiem, niepodobieństwo—zawołał gość—królewiczowa ma-li dosyć siły?

— Z jój twarzą i z jój charakterem?—szepnął Padre.— Myślicież że w tój spokojnej, dobrej, zacnej naturze królewicza nie odezwie się krew Augusta Mocnego i namiętności jego? Czyż to możliwe? Cóż będzie znaczyć królowa? Sułkowski podda mu inne, aby przez nie rządził.

Przybyły zmarszczył brwi i ręce załamał.

— Kreślicie mi obraz nadto smutny—zawołał—na to, bądź co bądź należy szukać rady.

— Wcześniej o tém myślałem—począł Guarini sadzając gościa na kanapie, a sam zajmując krzesło obok niego. Nam przy królewiczu potrzeba człowieka, któryby całkiem był naszym, nam służył, od nas zawisł. Fryderyk jest gnuśny, jemu usłać miękkie łoże, urządzić mu jego uciechy ulubione, dać mu operę, polowanie i obrazy. Któż wie, (westchnął) może coś więcej jeszcze...

Przybyły brew namarszczył.

— Smutna to rzecz—przerwał—gdy w wielkiej sprawie do małych i wstrętliwych środków się uciekać należy; smutna...

— *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita*—z cicha zacytował Padre Guarini. Środków nie można ograniczać: każdy wypadek innych wymaga.

— Rozumiem—rzekł gość—sprawa jest zbyt wielkiej wagi, abyśmy nie mieli dla niej narazić się choćby na potwarze. Idzie o odzyskanie dusz, o utrzymanie się na stanowisku w tém dawném ognisku ohydnej herezy Lutra. Mamy narzędzia, puścić je z rąk dla skrupułów byłoby grzechem; raczej jedną zgubić duszę, niż poświęcić ich tysiące...

Guarini słuchał z pokorą.

— Mój Ojciec—rzekł z cicha—to wszystko stokroć powiedziałem sobie, dla tego ja w sukni tój oplwaniej i bez sukni służę jako umiem, nie zawsze jako przewodnik sumienia, często jako pulcinello u królewicza, jako impressario za kulisa-

mi, jako doradzca o mroku tam, gdzie rada potrzebna. Gdy idzie o wzięcie twierdzy, a nie można jęj zdobyć siłą, opanowujemy się ją podstępem: *Media sunt licita*.

— My tego, mój Ojczy, mówić sobie nie potrzebujemy — odezwał się gość — odkryjcie mi plany swoje.

— Postępować musimy ostrożnie — począł Guarini — nie gorszcie się nami; nieraz wam tu przyjdzie westchnąć nad przewrotnością naszą, ale ze słabemi ludźmi jakże iść nie wiodąc ich na pasku ich własnych namiętności...

Królewiczowej jesteśmy pewni, ją osłonić i jęj wpływ umocnić, gdyby było podobna, to pierwsze zadanie. Ale najświętobliwsza ta pani jest — przebaczcie mi Ojczy — najnieznowniejsza w pożyciu, a król potrzebuje rozrywki, i bez nięj nie wyżyje. Jeśli my mu jęj nie damy, chwyci najzakazańszą, gotów...

Nie dokończył O. Guarini, a po chwili mówił dalej:

— Sułkowski nikogo służyć nie będzie, poświęci wszystko sobie, aby króla utrzymać pod panowaniem swém: da mu co zechce. My nigdy pewni jego być nie możemy: musimy go obalić.

— Jakim sposobem?

— Przyjdziemy do tego: narzędzia wyborne dała nam Opatrzność.

Mamy człowieka.

Tym jest Brühl.

— Protestant? — podchwycił gość.

— W Saksonii i jawnie będzie nim, w Polsce i w domu jest katolikiem. Musimy na to dozwoić, wiecie co powiada Maldonatus nasz. *Quando vobis dissimulam tibus religio vera aliquod detrimentum acceptura sit, aut aliqua religio falsa confirmaretur. Alias illam dissimulare licet, aliqua edusa legitima interveniente* ¹⁾.

Brühl będzie a raczj jest katolikiem. Damy mu żonę katoliczkę, którą mieć będzie z ręki królewiczowej i naszj; pomożemy mu do obalenia Sułkowskiego: z nim jesteśmy tu panami.

¹⁾ Joanna Maldonatus. *Summula Coloniae* 1605. P. 3.

Nikt nas nie posądzi o udział w téj sprawie, bo jawnie za protestantem nie moglibyśmy obstawać, przeciwko katelikowi.

— Lecz jesteścież go pewni?

O. Guarini się uśmiechnął.

— Będzie w mocy naszój, zależnym od nas; gdyby pomyślał o zdradzie, padnie jutro: na to aż nadto mamy środków.

— Plan jest wyborny, nie przeczę—po chwili namysłu przemówił nieznamy—ale wykonanie jego zdaje mi się wątpliwém.

— Z dziś na jutro niemożliwémby było,—rzekł O. Guarini—rok, może dwa, może więcej pracować będziemy musieli, poruszyć wszystkie sprężyny; ale zwycięstwo tak pewne, przy łasce Bożej, jak tylko w ludzkich sprawach rachuba pełną być może.

— Opieracie wszystko na charakterze Kurfirsta?

— Tak jest—odpowiedział Guarini—ale ja z nim, przy nim, mogę rzec w nim, jako spowiednik jestem od lat wielu; znam go jak dziecko, którebym wykołysał na rękach.

— Królewiczowa?—spytał gość.

— Święta i zacna niewiasta, lecz Bóg nie dał jój nic niewieściego i uroku żadnego, władzy żadnej. Dla takiego pana ona nie starczy.

— Na Boga! przecież nie dopuścicie aby po ojcowsku szalał i siał zgorzenie, i puścił się na rozkiełznaną rozpustę.

— My nie potrzebujemy go wstrzymywać nawet—rzekł Guarini—jego natura powściągnie go od jawnego zgorzenia, ale nie od okiełznanania namiętności. Będą one skryte, nałogowe, niewidoczne, a uparte. Musimy wiele znieść i na wiele zamknąć oczy, aby go przy wierze utrzymać.

Przybyły ręce złożył i głowę poruszał smutnie.

— O! biadaż tym, co dla świętej sprawy w kale pracować muszą? I jak się tu nie zwać? i jak czystym pozostać?

— Kogoś potrzeba przecież coby był kozłem ofiarnym, jak ja nieszczęśliwy—westchnął żartobliwą minę przybierając Guarini. — Zazdroszczą mi ludzie...

— Nie ja—odparł kłaniając się gość—a! nie ja...

— Plany więc nasze?—spytał Ojciec.

— Pójdą pod rozpatrzenie rady—odparł przybyły—nie przestawajcie działać, nie wstrzymujcie wykonania. Damy znać coś najbliższego!

— Brühl utrzyma się. Królewicz płacząc to przysiągł żonie, to była wola ojca jego. Sułkowski będzie pozornym władzcą, ów istotnym, a potem...

— Sądziecie że go obalić potraficie?—spytał gość.

— Jesteśmy tego pewni, działamy wszyscy przeciwko człowiekowi, który niema nawet przecucia, nawet idei niebezpieczeństwa, a ambicya Brühla jest dla nas najskuteczniejszym narzędziem.

— A ten człowiek?—spytał nieznajomy.

— Jest to szatan w ludzkim ciele, ale szatan, który krzyżem leżąc się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie jak muchę, i nie będzie miał zgryzoty najmniejszej.

Przy tém słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Zamilkli, przybyły gość zasunął się w głąb kanapy i zadumał.

— Mogę wam czém służyć?—zapytał O. Guarini.

Pytanie to przeszło nie dosłyszane, tak ten do którego się zwracał zatopionym był w myślach.

— Jakże idzie z nawracaniem?—zapytał po milczeniu, które O. Guarini uszanował.

— Z nawracaniem? tu? w samém gnieździe herezyi—rzekł Ojciec—tu, gdzie katolicka kaplica dzwonami odezwać się nie może, gdzie protestantyzm panuje, wre i pożera jak rdza? Postępy są małe, a dusze które nasze sieci rybaczce wyciągają na brzeg, nie wiele przez się warte. Potomstwo ich opłaci chyba trud apostołski. Do innych herezyi nowa nam jeszcze przybywa, z którą walka będzie trudniejszą niż ze wszystkimi innymi.

— Cóż to jest znowu?

— Jak wszystkie herezye nie nowa, ale ten co apostołuje, człek możny, człek dobrej wiary, natchniony, wyegzaltowany, ofiarny. Nie z dogmatem walczyć mamy, bo u niego dogmat podrzędną sprawą, ale z nową społecznością jaką chce zbudować. Fałsz przybiera tu blask i jasność prawdy. W lasach, w dali od miasta, na wykarczowanych nowinach, gmina

Braci Morawskich, coś nakształt zakonu, ścisłą regułą objętego, już się stworzyła i żyje.

— Cóż to jest? mówcie—z zajęciem podchwycił gość—nie słyszałem nic.

— Dziwny zagorzalec, reformator nie wiary ale społeczeństwa i życia, w imię Zbawiciela i miłości Jego, tworzy świat nowy. Królem tej rzeczypospolitej Chrystus. Osobno rozdzielone, ale w jedném miejscu, żyją chóry niewiast, chóry dzieci, chóry mężczyzn, chóry dzieci. Łączy ich tylko nabożeństwo wspólne i agapy skromne, wieczery ubłogosławione modlitwą. Można pan hrabia Zinzendorf, nadał gminie grunta i sam jest jej kapłanem i kaznodzieją. Praca i modlitwa, ścisła karność i miłość braterska, są prawidłami życia nowej Braci Morawskiej, a raczej Herrnhutów.

Gość słuchał z natężoną uwagą.

— I dopuściliście aby się to gniazdo herezyi niebezpiecznej rozsiało tu, gdzie już ona panuje?

— Staralem się przeszkodzić, dotąd napróżno—rzekł Guarini—zjeżdżały komissye, były badania: Zinzendorf będzie wygnanym...

— Ale tam dźać się muszą szkarady?—odparł gość.

— Najściślejsze badanie nic nie wykryło zdrożnego. Ludzie różnych nawet wyznań, związani w jedną tę dziwną społeczność, która ma majętność wspólną, w której nie ma ubogich, w której sierot nie ma, gdzie jest jedna rodzina pod jednym ojcem Chrystusem...

Wykrzyk podziwu i oburzenia wyrwał się z piersi słuchającego.

— Horrendum!—zawołał—a małżeństwa...

— Jak najostrzej zachowywane, lecz przy ich wierze w bezpośredni rząd Zbawiciela i natchnienie Jego, wiecie jak się one zawiązują?

Młodzieńcy ciągną losem małżonki, a stała są przykładne.

— Cóż to za dziwne prawicie mi rzeczy; lecz to są zdala pochwycone wieści, to niemożliwe...

— Sam tam byłem—odparł Guarini—sam patrzyłem na idące modlić się chóry, na dziewice z ponsowemi wstążkami, na zamężne w niebieskich, na wdowy w białych.

Gość westchnął.—Spodziewam się że nie ścierpicie, aby się to pod bokiem waszym rozrastało.

— Musimy im odciąć głowę—szepnął Guarini—Zinzen-
dorf zostanie wygnanym, gmina się rozpieczętnie.

— Najlepiejbyście uczynili, nasadzając przeciwko nim duchowienstwo luterskie.

— Ono w tém nic zdrożnego widzieć nie chce.

— A Zinzen-
dorf, zetknęliście się z nim?

— Tak jest i nieraz, bo nie unika ani katolików, ani duchownych; owszem, rad dysputować, tylko nie o teologii, ale o pierwszych chrześcianach, ich żywocie i miłości Zbawiciela, jako osi, na której świat się chrześciański obracać powinien.

Mówili jeszcze, gdy staruszek przez półotwarte drzwi począł ręką domagać się, aby O. Guarini wyszedł. Ten pośpieszył do sieni, poprosiwszy wejrzeniem gościa o pozwolenie.

W sieniach stał kamerdyner królewski. Królewicz zwał do siebie spowiednika swojego.

Trzeba więc było pożegnać gościa, któremu podano światło, papier i co było potrzeba do pisania i rozgospodarował się tu jak we własnym domu. Tymczasem Padre Guarini wkładał suknię swą czarną i pożegnawszy nieznanego, szybko już poprzedzany przez kamerdynera, śpieszył do królewicza.

W téj saméj salce w której go wiadomość o śmierci ojca zastała, siedział Fryderyk w krześle z nieodstępną fajką, z głową spuszczoną i tak milczący jak zwykle. Pomarszczone czoło tylko świadczyło, że umysł pracować musiał.

Gdy O. Guarini wszedł, królewicz podniósł się szybko; ale jezuita go uprzedził i zlekka na krześle przytrzymał, całując jego rękę. W pewném oddaleniu stał Sułkowski, który na chwilę nie odstępował pana swojego. Twarz jego promieniowała tryumfem i niecierpliwością drgała, ale się nastrajał do obojętnej żałoby.

O. Guarini daleko więcej było wolno, pomimo urzędowego smutku, wiedział iż trocha roztargnienia będzie pożądaną; przybrał więc minę niemal wesołą i przysiadł na niskim tabureciku przy królewiczu, patrząc mu w oczy, mówił po włosku i z żywością Włocha.

— Pomodlić się trzeba za naszego wielkiego zmarłego, ale zagryzać się tém co jest losem nieuchronnym wszystkich

śmiertelnych, co naturalne i konieczne, nie godzi się. Zbyt natężony smutek zdrowiu szkodzi, a W. K. Mość i czasu nie masz. Trzeba panować, rządzić, a dla nas się zdrowo i czerstwo i wesoło chować.

Królewicz się napół uśmiechnął i głową pokiwał.

— Widziałem w przedpokoju Frosch'a (był to nadworny błazen królewicza), ten teraz jakby go kto w occie namoczył, skulony płacze że się śmiać nie może i że ze Storchem (drugi trefniś) figlów mu płatać nie wolno. Jeden w jednym, drugi w przeciwnym kącie, patrzą na siebie i języki sobie tylko pokazują.

— A to musi być pocieszne!—szepnął królewicz—ale mnie tego widzieć niewypada; nawet jutro przy obiedzie; nie, niewypada: żałoba!

Guarini zmilczał.

— Frosch jest bardzo pocieszny, ja go lubię—odezwał się królewicz i spojrzał na Sułkowskiego, który się przechadzał pocichu. Padre usiłował coś z twarzy odgadnąć, ale oprócz dumy i zadowolenia w Sułkowskim nic nie dostrzegł. Królewicz wskazał na niego palcem Guariniemu i krótko szepnął:

— Dobry przyjaciel... w nim nadzieja... gdyby nie on, nie byłoby spokoju.

Ksiądz głową tylko skłonił potakując.

Wtém Sułkowski, który wiedział jak królewiczowi długa rozmowa była uciążliwą, przystąpił do Guariniego:

— Pana naszego niczém rozerwać—rzekł—a tu trosk tyle...

— Ja sędzę—ozwał się jezuita—że przy waszój chętnój pomocy, wszystko się ułatwi.

— Tu, w Saxonii zapewne—odparł Sułkowski, na którego królewicz patrzył i dawał znaki zgody—tu w Saxonii, ale w Polsce...

— Świętej pamięci król zostawił tam przyjaciół i sługi wierne. Ks. biskup Lipski. Cóż mówi Brühl?—zapytał Guarini...

Królewicz spojrzał na Sułkowskiego, jakby mu wzrokiem dawał pełnomocnictwo do opowiadania. Sułkowski na wspom-

nienie Brühla, chwilę się krótką zawahał, lecz natychmiast dodał:

— I Brühl i listy z Polski świadczą, że nasi adherenci wiernie i gorliwie około elekcyi pracować będą. Ale któż wie czy nam w drogę nie wejdzie Leszczyński, pomoc Francyi, intrygi? Na to potrzeba pieniędzy.

Królewicz uderzył zlekka po rękę Sułkowskiego.

— To Brühl musi dostarczyć: on do tego jedyny.

Sułkowski zamilkł.

— Będziemy się o nie wszyscy starali, a królewską koronę włożyć musimy na skronie pana naszego...

— I Józefiny—dodał Fryderyk prędko. Józefinie się to należy. Ona nie może kurfirstową pozostać.

Oba przytomni milcząco skłonili głowy, królewicz zadumany fajkę palił. Zdawało się że dalej mówić będzie w tym przedmiocie, gdy pochyliwszy się do ucha O. Guariniemu, szepnął:

— Frosch w kątku na pokucie musi być paradny? Mówicie że oni sobie języki pokazywali!

— Albo sobie albo mnie, ale to pewna, że dwa czerwone języki ich widziałem.

Zapomniawszy się królewicz głośno się rozśmiał, rękę do ust przyłożył i zawstydzony zamilkł nagle. Sułkowski stał zamysłony i nieco zgorzony spojrział na księdza.

Upłynął moment jakiś, gdy Fryderyk pochylił się znowu do ucha Ojca, zasłaniając ręką.

— Widzieliście Faustyne?—zapytał.

— Nie—rzekł Guarini.

— A? nie? dlaczego? powiedzcie jój, zapewnijcie ją, niech tylko głos szanuje. Ja ją szacuję wysoko, wysoko. *E una diva!* głos anielski; żadna jój nie zrówna. Jak mi będzie tęskno za jój głosem; ale musi teraz śpiewać w kościele: niech ją choć tam usłyszę.

Sułkowskiemu ten szept był jakoś nie miły; odszedł kroków kilka na bok, lecz się wprędce wrócił, stając z nowu przed królewiczem. Fryderyk wskazał na niego księdzu.

— On będzie pierwszym moim ministrem... prawa ręka moja.

Guarini cicho uderzył w dłoń.

— Z rozkoszą tę wiadomość szczęśliwą przyjmuję—zawołał—bogdaj doczekała tego Saxonii, aby w niej tacy ludzie jak hrabia i tacy katolicy wszyscy stali na czele rządu.

Królewicz się obejrzał.

— Jeśli mu nie dadzą moje Sasy—jako katolikowi ministrować—znajdę na to sposób: poczciwy Brühl zrobi co mu każe...

— Nie ujmuję bynajmniej Brühlowi—odpowiedział Guarini—ale to zapamiętały heretyk.

Na to królewicz jedném tylko, ee! odpowiedział i ręką w powietrzu zamachnął—ee!!

Sułkowski niedowierzająco spojrzął na Guariniego, który postawę ułożył skromną i spokojną.

Wśród téj rozmowy oznajmiono Moszyńskiego, którego król wpuścić kazał. Wszedł pan podskarbi i zbliżył się do ręki królewskiej. Cały był ubrany żałobno, smutek téż miał na twarzy.

— Chciałem pożegnać W. Królewiczowską Mość—odezwał się—jadę natychmiast do Warszawy: sprawy elekcyi przyszkłej zasypiać nie można.

— A jedź, jedź, owszém—rzekł wzdychając królewicz—chociaż Brühl mi ręczy...

— Brühl ani Polski ani Polaków nie zna—żywo odezwał się podskarbi—to nasza sprawa i nasza rzecz.

Nagle jakby sobie co przypomniał, Fryderyk wstał bardzo ożywiony.

— A! dobrze, jedzcie do Warszawy: zmiłuj się, te gończe psy które w Willanowie zostały... Ja je chcę mieć! kaźcie mi je przywieźć pocztą. Nie znam psów lepszych nad te. Wicie...

— Wiem, czarne—rzekł Moszyński.

— Jupiter, Dyana, Merkury, Pijawka—począł liczyć królewicz. Co się stanie z myślistwem! dojrzyjcie proszę, żeby to całe wróciło.

— Ja sędzę że trzebaby to tam zostawić—odezwał się podskarbi—gdy królewicz jako król tam powróci...

— Mój drogi i z pałacu saskiego w bawełnę mi ją obwiń, Magdalenę, a przywieź. Nuż jęj się tam co stanie. To dzieło nieoszacowane.

Moszyński się kłaniał.

— Może jeszcze są jakie rozkazy?—zapytał.

— Kłaniaj się Muszkietierom: ojciec mój tak ich lubił. Westchnął.

Pamięć ojca chmurą osłoniła znowu czoło, królewicz usiadł: Sułkowski pilny o to, aby mu nie zbywało na tém co lubił, poszedł skinąć na Czybukczego kamerdynera, który fajkę nową podał i fidibus zapalony. Królewicz pochwycił chciwie w usta tę pocieszycielkę i żwawo pykając dym puszczać począł.

Milczenie panowało w salce.

O. Guarini przypatrywał się bacznie Fryderykowi. Moszyński zdawał się czekać, ale na próżno; fajka i zaduma tak zajęły dostojnego pana, że o nim i o wszystkich zapomniał. Niekiedy tylko dym puszczał silnie i wzdychał.

Naostatek podskarbi zbliżył się ku ręce pańskiej i pożegnał. Fryderyk z powagą i przyjacielskim wyrazem z nim się rozstał, ale więcéj wzrokiem niż mową go żegnał...

Sułkowski przeprowadzał go do przedpokoju, zostali więc sami z ojcem Gaurinim. Za ledwie drzwi się zamknęły, gdy królewicz zwrócił się do siedzącego Ojca.

— To jeszcze nic—szepnął—jak oni sobie pokazują języki; ale gdy się zaczną bić, gdy Frosch pocznie łąjać Storcha, a ten go kopać, a wpadną pod stół i zwiną się w kłębek, a to ci powiadam umierać trzeba ze śmiechu.

Guarini zdawał się zupełnie podzielać przekonanie królewicza o niezmiernéj komiczności opisanéj sceny i sam zrobił minę tak pocieszną, tak wesołą, iż biedny osierocony syn znowu zapomniał trochę o swéj żałobie.

— Nie, jutro do stołu puszczać ich nie można, ale później!—rzekł cicho—później, byle tylko tych doskonałych figlów nie pozapominali.

Guarini wstał: pilno mu znać było do pozostawionego w domu gościa. Widząc ten ruch, królewicz zmienił ton, nachylił mu się do ucha i rzekł:

— Nie gniewajcie się że ja tego Brühla, choć lutra, zrobię ministrem. On się pocichu nawrócił! to człowiek rozumny i ja mu każę: zobaczycie.

Guarini nie odpowiedział nic, pokłonił się tylko i wyszedł pocichu.

VIII.

Nie zbywało Dreznu za czasów Augusta Mocnego na pięknych paniach. Mimo smutnych doświadczeń niestałości królewskiej, każda z nich pochlebiała sobie że choć na chwilę zwróci na siebie oko, choć wszystkie wiedziały iż się ono na żadnej długo nie zatrzyma. Z dorastających panien nie było wszakże piękniejszej, zalotniejszej, żywszej i więcej umiejaczej się podobać nad pannę hrabiankę Franciszkę Kolowrath, tę małą Franję, która przyjmowała Brühla niegdyś w pałacu na Taschenbergu, którą widzieliśmy już gospodarzącą w czasie karnawału przy jednym z królewskich stołów. Wysokie stanowisko matki, która będąc wielką ochmistrzynią dworu królewiczównej, nie ustępowała przed nikim kroku, tylko przed książętami krwi; łaski królowej, nadzieje świetnej przyszłości, imię które nosiła, czyniły dziewczę dumnym i samowolnym. Im bardziej dorastała, tém matce trudniej ją było prowadzić. Jedynaczka i ulubienica, mimo surowego wejrzenia królewiczówny, umiała się wyswabadzać z więzów etykiety i wśród dworu zawiązywać liczne stosunki i zabawne miłosne intryżki. Przyszłość nie zdawała się jęj tak dalece obchodzić, ani przestraszać. Matężństwo uważała za oswobodzenie od jarzma, które jęj wielce ciążyło.

W kilka dni po przyjsciu wiadomości o śmierci króla, gdy dwór ciężką jeszcze okryty był żałobą i wszelkie zabawy wstrzymane być musiały, panna Franciszka nudziła się więcej niż zwykle. Czarne suknie, które włożyć musiała, jako frejlina królewiczówny, były jęj wielce do twarzy, lecz nie do smaku. Właśnie pod wieczór w pokoiku swoim stała w nich przed zwierciadłem i rozpatrywała się w swęj pięknej figurze i twarzy.

Przez okna wpadał mrok szary i zamdloną tylko postać swą widziała odbitą. Zadzwoiła o światło, lecz wchodzący kamerdyner, który się domyślił żądania, niósł już w obu rękach srebrne ciężkie lichtarze, które na stole postawił. Frania była sama, hrabina matka pełniła swą służbę przy królewiczowej, ona była wolną aż do wieczery i nie dobrze wiedziała co zrobi z czasem tak długim. Zakręciła się po pokoju, oko jój padło na szkatułeczkę bronzami okutą; wzięła ją z małego stoliczka i przeniósłszy na stojący przed kanapą, otworzyła kluczykiem, który znalazła przy sobie.

Wewnątrz pełno było drobnych klejnotów i pomiętych papierków. Hrabianka drobnemi paluszkami poczęła je przebierać od niechcienia. Z powierzchowności odgadnąć było łatwo, iż liściki te nic bardzo pobożnego nie zawierały, były to modlitwy do tego bóstwa, co je teraz z dziwném uczuciem dumy i pogardy rozpatrywało.

Niektóre z nich odrzucała z uśmiechem nie czytając, inne rzuciwszy na nie okiem, szczęśliwsze odczytywała oczyma błyszczącemi i zamyślała się nieco. Tak przetrząsała szkatułkę do dna, ręką niecierpliwą wcisnęła papierki wszystkie nazad do niej i zamknęła ją nagle, a sama rzuciła się na kanapę zamyślona. Na paluszku jój błyskał tylko wyjęty mały pierścionek, na który patrzyła okiem smętném. Była to obrączka czarno smelcowana, stara, nie ładna, ale złotemi głoskami stało na niej nie zgrabnie po hiszpańsku: *A hora y siempre...*

W pokoiku panny Franciszki oprócz drzwi głównych wiodących do mieszkania z matką wspólnego, były maleńkie ukryte i nieznaczne w ścianie, które wychodziły do małej sionki i na boczne jakieś schodki. W chwili gdy się nad tym pierścieniem zadumała, cicho się otworzyły: ostrożnie ktoś wejrzał niemi... nie słysząc go odgadła hrabianka, zwróciła głowę, postrzegła... i ze stłumionym okrzykiem wstała z kanapki. Drzwi uchyliły się zwolna i piękny, młody Watzdorf stał przed nią. Widzieliśmy go u Faustyny pozwalającego sobie zbyt śmiałych sądów i sarkazmów. Dzisiaj ta twarz zwykle szyderska miała wyraz inny, była prawie smutną i zadumaną; lekki odcień ironii, którą przesiąkła, zaledwie na nią pozostał.

Piękna Frania, jakby przestraszona przyjściem jego, stała milcząca nie poruszając się z miejsca.

Watzdorf oczyma ją błagał o przebaczenie.

— A! czy się to godzi Krystyianie!—zawołała wreszcie głosem rzeczywiście lub sztucznie poruszonym—jak można się ważyć, ludzi pełno. Ktoś może zobaczyć: donieść. Królewiczowa tak jest surową, moja matka...

— Nikt mnie widzieć nie mógł—odparł zbliżając się Watzdorf.—Franiu, bóstwo moje! siedziałem wypatrując godziny skurczony pod wschodami, nie wiem już jak długo, ażeby choć chwileczkę widzieć ciebie, pomówić z tobą. W. Ochmi-strzyni czyta lub modli się z naszą panią: niema nikogo.

— A! te wiecznie kradzione chwile—zawołała Frania—ja takiego złodziejskiego szczęścia nie lubię.

— Cierpliwości, nim inne przyjdzie; cierpliwości—rzekł Watzdorf, zbliżając się i biorąc ją za rękę—mam nadzieję...

— A ja, żadnej—przerwała hrabianka—mną rozporządzą, czy zechcą czy nie, jak bezwładnym sprzętem. Królewiczowa, królewicz, matka, Padre Guarini: któż wie, jam niewolnica!

— Więc uciekajmy ztąd?

— Tak? dokąd?—śmiejąc się zawołała Frania—do Austrii, gdzie nas złapią cesarscy, do Prus, gdzie pochwyca brandeburczycy. Uciekajmy? to dobrze! z czém? jak? Ty Krystyianie niemasz nic oprócz swojego miejsca na dworze, a ja nic oprócz łaski cesarza i królewiczowej.

Watzdorf się zamyślił.

— Ależ serce twój matki...

— Tak! ale to serce szukać będzie dla mnie szczęścia z brylantami, a innego nie zrozumieć.

— Franiu, bóstwo moje! co mówisz? jaką dziś dla mnie jesteś? po toż przyszedłem, abyś mi odbierała nadzieję?

— Mógł ci ją dać, gdy sama jej nie mam?—odezwała się hrabianka jakoś smutnie i zimno.

— Bo nie kochasz mnie?

Piękna Frania z wymówką spojrzała na niego.

— Nikogo nie kochałam nigdy prócz ciebie!—rzekła—nikogo kochać nie potrafię i dlatego że ku tobie mam miłość, chcę z tobą, mówić otwarcie.

Watzdorf sparł się jedną ręką na kanapie i oczy w ziemię spuścił.

— Rozumiem—mruknął—zechcesz mi dowieść, iż dlatego żeś mnie kochała nie możesz być moją, a ja się ciebie wyrzec powiniennem. Taką bywa logika miłości na królewskich dworach. Dlatego że ja cię Kocham, że ty mnie kochasz, musisz pójść za innego...

— Tak jest, muszę za pierwszego lepszego, którego mi dadzą; ale ten serca mojego mieć nie będzie, tylko zimną rękę...

— To ohydne—przerwał Watzdorf—to obrzydliwe: nie-masz nic dla mnie poświęcić.

— Bobym cię zgubiła—zawołała Frania—jutro w ucieczce pochwycą nas i tybyś poszedł na Königstein, a mnie danoby temu, komu ich fantazyja przeznaczy.

— Ja zdaje mi się bądź co bądź na Königstein się dostanę—zawołał Watzdorf—nie mogę wstrzymać ust patrząc na to potworne życie, na ten despotyzm lokajów. Mowię co myślę, a to jest, jak wicie, doskonały środek dostania się tam, gdzie się już nie mówi, chyba do czterech zimnych ścian więzienia.

— Słuchaj Krystyianie, zamiast mówić, milczeć powinniśmy—odezwała się Franciszka—zamiast chcieć ich poprawiać, gardzić nimi i panować im.

— Poddając się ich fantazyjom i kłamiąc całe życie, oszukując ich, a bruczając siebie—rzekł Watzdorf—to śliczne życie!

— Więc lepiej wyrzec się wszystkiego?—rozśmiała się Frania—ja, kobieta, nie jestem tak tragiczną, biorę życie jak ono jest.

— Ja niem gardzę—mruknął Watzdorf.

Hrabianka podała mu rękę.

— Biędny ty zapaleńcze!—westchnęła—A! jak mi żal ciebie i siebie: żadnej przyszłości, żadnej nadziei... a jeśli nam błysnie chwila szczęścia, to wśród fałszu i oszukaństwa.

Powoli zbliżyła się ku niemu, położyła rękę na jego ramieniu, a drugą objęła go za szyję.

— O! to życie—szepnęła—to życie, aby je znieść, pijanym być trzeba...

— I oszustem!—dodał Watzdorf, który rękę jęj pochwycił i namiętnie ją do ust przyciskał.—Franiu! nie, ty mnie nie kochasz, ty kochasz więćej życie nademnie: świat i złote pęta twoje.

Hrabianka milczała smutnie.

— Któż to wie—poczęła cicho—ja sama nie znam siebie, mnie wychowano kołyszając fałszem i ucząc kłamstwa, a budząc pragnienie wrażeń, roztargnień, rozkoszy, zabawy. Ja mojego serca nawet nie jestem pewną, byłam zepsutą nim żyć zaczęłam.

— Miłość nas oboje powinna była poprawić—patrzac w jęj oczy, począł Watzdorf namiętnie—i jam był dworakiem, póki nie kochałem ciebie... przez tę miłość stałem się człowiekiem, w jęj ogniu oczyściłem się.

Cichym szeptem odpowiedziała mu hrabianka, sparła się na jego ramieniu, głowę pochyliła ku niemu; Watzdorf zdawał się zapominać o całym świecie: ona także. Oczy ich rozmawiały z sobą więćej niż usta; ręce, które się spotkały i splotły.

Zapomnieli się tak oboje, że ich nawet ostrożnie otwierające się drzwi, któremi Watzdorf wszedł nie rozbudziły, gdy w nich groźna, ponura, blada i gniewna pokazała się twarz matki. Weszła ona i stanęła jak osłupiała widząc córkę z mężczyzną, którego poznać nie mogła... Gniew słowa jęj wyrzec nie dawał, z osłupienia wychodząc, posunęła się krok i nim ją postrzeżono, szarpnęła za rękę Watzdorfa. Wzrok jęj straszny był, usta drżały; Frania podnosząc oczy zobaczyła to piorunujące oblicze matki przed sobą. Nie przerażona niem jednak, zwolna cofnęła się krok tylko, gdy Watzdorf machinalnie rękę szukał szpady, jeszcze niewidząc kto ich naszedł.

Dopiero zwróciwszy się, gdy ujrzał hrabinę, stanął błądy i milczący, jak winowajca na uczynku pochwycony.

W. Ochmistrzyni w gniewie odezwać się nie mogła, chwyciła powietrze, cisnęła pierś ręką, a drugą wskazywała nakazująco drzwi.

Watzdorf wprzód jednak nim spełnił ten rozkaz, schylił się do ręki Frani, która się wyciągnęła ku niemu i przyłożył ją do ust, w chwili gdy matka mu ją wydarła, stanęła zasłaniając córkę i cała trzęsąc się wciąż drzwi pokazywała. Krystyan

spojrzał na bladą hrabiankę i wyszedł powoli. Ochmistrzyni padła na kanapę... Frania pozostała jak posąg zimna i obojętna, twarzyczka jej tylko bladością się okryła. Hrabinię z gniewu łzy spłynęły po twarzy.

— Bezwstydna! — zawołała—do tegoż więc doszło, że w swoim mieszkaniu pozwalasz sobie dawać schadзки mężczyznom! w obliczu całego dworu!

— Bo go kocham!—odpowiedziała chłodno córka—tak: kocham go!

— I śmieśz mi to mówić! wyrodna!

— Dlaczegożbym nie miała mówić, co czuję?

Hrabina łkała milcząc.

— I myślisz że ja na to dozwolę? że dla tój głupiej miłości, dla takiego chłystka, który jest ledwie cierpiany na dworze, twoją przyszłość poświęcę? Nigdy w świecie!

— Jam się wcale tego nie spodziewała, ażebym być mogła szczęśliwą i uczciwą—odpowiedziała zimno hrabianka—los mój mogłam przewidzieć z góry.

— Tyś oszalała!—zawrzała matka.

Frانيا usiadła w krześle naprzeciw niej, ze stojącego na stole bukietu kwiatów wzięła machinalnie jeden i do ust go poniosła.

Zimna, szyderska rezygnacya biła z jej twarzy, spojrzenie matki spodziewało się innego wrażenia i cofnęło przelekkę.

— Szczęściem, mógł wyjść nie widziany — poczęła jakby sama do siebie—jutro te drzwi zabić każę, a ciebie zamknę jak niewolnicę... Mogłażem się spodziewać dożyć tego...

Frانيا wciąż kwiatek gryząc zdawała się gotową na wysłuchanie wszelkich wyrzutów, jakie się matce czynić jej podobało.

To milczenie prawie pogardliwe dziecka, gniew jeszcze większy oburzało w hrabinię. Zerwała się z siedzenia i wielkimi krokami chodzić zaczęła po pokoju.

— Jeśli Watzdorf waży się jeszcze raz zbliżyć, przemówić, spojrzeć na ciebie, biada mu! padnę do nóg pani, powiem Sułkowskiemu, zamknę go na wieki!

— Nie spodziewam się, ażeby się na to naraził—odezwała się hrabianka—właśnie mu dziś wszelką odjęła nadzieję; powiedziałam mu że sobą nie władnę, że mną jak niewolnicą rozporządzą, że pójdę za kogo mi każą, ale jego kochać będę...

— Mnie to śmiesz mówić?...

— Jeszcze raz mamie powtórzę, jestem otwartą, mówię co myślę. Ten co się zemną ożeni, będzie wiedział czego się ma po mnie spodziewać.

Hrabina matka rzucała na córkę dziwne wejrzenie groźby pełne, ale zmilczała.

Nagle z załamaniem rękami stanęła przed Franią.

— Niewdzięczna! niewdzięczna! — poczęła głosem czulszym—właśnie w chwili gdy ja ci z panią naszą najświetniejszy los starałam się przygotować... ty....

— Ofiary w złotogłów ubranéj—śmiejąc się gorzko odpowiedziała Franja—tego losu jam dawno miała przecucie. Los ten mnie minąć nie mógł.

— I nie minie cię, bo wiesz że woli pani twój opierać się nie możesz, ani woli matki, ani woli pana.

— Który żadnej woli nie ma—szepnęła hrabianka szydersko.

— Milcz!—przerwała groźnie hrabina.—Szłam ci o szczęściu oznajmić, a znalazłam wstyd i hańbę!

— Mnie nawet oznajmywać nie potrzeba o tém o czém wiem dobrze. Sułkowski żonaty, więc zapewne przeznaczoną jestem za żonę drugiemu ministrowi króla, Brühlowi. Tegom się oddawna spodziewała. Rzeczywiście szczęście to wielkie!

— Większe niżeliś zasłużyła—odpowiedziała matka.—Cóż możesz mieć przeciw temu najmiłszemu, najrozumniejszemu z ludzi?

— Nic a nic, jest mi tak obojętnym jak najgłupszy i najobrzydliwszy. On, inny, wszystko mi jedno, jak tylko nie ten którego kocham.

— Nie mów mi nawet, nie waż mi się wspomnieć jego imienia: ja go nienawidzę. Jeśli się ośmieli krok uczynić, zginie!

— Przestrzegę go—zimno odparła Franja—nie chcę by ginął; chcę by się za mnie pomścił.

— Nie waż się zbliżyć ani mówić do niego: zakazuje...

Frania zamilkła.

Rozmowa przerywana w tym tonie trwała jeszcze z pół godziny. Wielka ochmistrzyni nawykła do porządku dworu postrzegła

z przerażeniem iż pięć minut upłynęło jak powinna była być u królewiczowej, i rzuciła się do zwierciadła.

— Idziesz ze mną — odezwała się rozkazująco do córki — królewiczowa kazała ci przyjść. Wiész jak powinnaś się znaleźć.

Była to godzina wieczery, wprędce po tém, obejrzawszy córki ubranie, ochmistrzyni wyprowadziła ją z sobą.

Ścisła i nienaruszalna etykieta dworu, której królewiczowa Józefa strzegła pilnie i którą zaprowadziła na wzór dworu austriackiego, nie dopuszczała nikomu zasiadać do stołu pańskiego, oprócz pierwszych ministrów. I tych nawet Józefina widziała okiem dosyć niechętném. Ochmistrzyni, marszałkowie, wyżsi dostojnicy którzy się znajdowali w chwili wieczery, odchodzili do osobnego stołu marszałkowskiego w drugiej sali. Tego dnia królewicz sam jadł z królową. Ojciec Guarini który wieczery nie jadał, opodal siedział na taburecie, dla czynienia towarzystwa. W zwykłych dniach mniej żałobnych, zabawiał on Fryderyka wesołemi żarcikami, równie jak dwaj jego trefnisie Frosch i Storch. Najczęściej bili się oni i wygadywali błazeństwa, a królewicz śmiał się, podjużał ich i był naówczas w najlepszym humorze. Żałoba świeża nie dopuszczała teraz aby trefnisie wrócili już do swych obowiązków, ze względu jednak na potrzebę rozerwania Fryderyka i rozchmurzenia posępnego czoła, Guarini dozwolił aby Frosch i Storch znajdowali się w kącie sali, nie dopuszczając się zwykłych figlów. Postawiono ich tak aby królewicz zaraz mógł zobaczyć. Stół zastawiony był paradnie, oświecony rześisto. Fryderyk wszedł podając rękę żonie, której twarz dziwnie pospolita i nie piękna odbijała przy wypogodzonej i wspaniałej, rysów regularnych, ale jakby zastygłej twarzy męża. Typ habsburgski w Józefinie wyraził się jak mógł najniekorzystniój, młoda jeszcze, nie miała wdzięku młodości: obwisła wargą, chmurne oblicze, coś surowego a gminnego odstręczało od niej.

W czasie gdy O. Guarini odmawiał *Benedicite*, oboje królewiczowstwo ze złożonemi stali pobożnie rękami, służba czekała. Fryderyk usiadł roztargniony, ale w tym samym momencie wzrok jego błądząc po sali padł na stojących w kącie Froscha i Storcha, którzy oba zrobili miny tak poważne, tak nadęte, że się przez to śmieszniejszemi stali niż kiedykolwiek.

Frosch był prawie karłowaty.

Storch niepomiernie wysoki a chudy, z długim nosem, oba jednakowo ubrani; choć cały dwór przywdział żałobę, mieli na sobie fraki ponsowe i pluszowe spodenki niebieskie. Na głowie Froscha siedziała peruczka w drobne loczki fryzowana pociesznie, jak skórka barania, u Storcha była ona złożona z płasko spadających włosów, z tyłu ujętych w haarbeutel. Frosch stał jak kolos Rodyjski rozkraczony z rękami na plecach założonemi, a oczy wypukłe i twarz mopsowata istotnie coś mu żabiego nadawały. Storch wyprostowany jak świeca, nogi obie ściśnięte jak u grenadyera na straży, ręce wzdłuż boków obwisłe, głowa do góry zadarta, usta podniesione, bardzo też był zabawny.

Królewicz zobaczywszy ich uśmiechnął się, ale im pogroził zdala aby się zachowali spokojnie. Storch nie poruszając się odpowiedział oczy tylko znacząco zwracając na Froscha, a Frosch tak samo na Storcha.

Z wielkim apetytem pijąc i jedząc zapamiętałe i chciwie, królewicz ciągle spoglądał na swych dwóch faworytów; bolało go to że im cugli nie mógł popuścić, ale wrzawaby się stała nieprzyzwoita, bo Frosch i Storch czasu obiadu dopuszczali się takich swawoli, iż nieraz w kłębek się zwinawszy, toczyli aż pod stół pański.

Sam ich widok już wprawił królewicza w humor nieco weselszy. Oprócz tego cieszyło go iż Brühl i Sułkowski tak się z sobą doskonale godzili, Brühl bowiem dobrowolnie, heroicznie bardzo, złożył wysoki urząd wielkiego ochmistrza dworu, aby król mógł nim przyoblec Sułkowskiego, a sam ograniczył się prezydencją rady ministrów, akcyzą, cłami, podatkami i czuwaniem nad skarbem państwa. Miało to być tylko formalném. Sułkowski się spodziewał iż wszystko trzymać będzie we wszechwładnej dłoni.

Lecz przyszłość była zakrytą.

Brühl oświadczał się z jak najczulszą przyjaźnią dla towarzysza swych trudów, a hrabia też będąc serca pana swojego pewnym, wcale się rywala nie spodziewał.

Zdawszy wszelkie troski na tych dwóch ludzi, królewicz jakby zrzucił brzemię z ramion, czuł się spokojnym, mógł po-

wrócić do ulubionego, jednostajnego życia. Brak mu tylko było jeszcze opery i ulubionój równie jak ojcu, Faustyny, brak było łowów i ciężka żałoba. Ale to wszystko przyjsć miało wkrótce do porządku. W polsce Moszyński, biskup Lipski i mnodzy inni zwolennicy mieli sami postarać się o elekcyą, a Brühl téż za nią zaręczał.

Zaraz w kilka dni po odebraniu wiadomości o śmierci ojca, oświadczył Fryderyk iż wszystko co ubóstwiony przez niego, August Wielki uczynił, rozpoczął, postanowił, pozostanie w swój sile i w niczém się zmieniać nie będzie. Kraj który się spodziewał odetchnąć, wkrótce téż nabrał smutnego przekonania iż dlań nic się nie zmieni. Podatki tylko żywo bardzo ściągają zaczęto. Tego wieczora królewicz zaraz po kolacyi odszedł z Sułkowskim do swoich pokojów, Brühl za nimi pociągnął.

W drugieój sali zebrane było szczupłe gronko osób dworu Józefiny, a między niemi żartobliwie, rzucając słówkami, przechadzał się O. Guarini. Przemówiwszy zaledwie słów kilka do przytomnych, królewiczowa dała znak ochmistrzyni i weszła do swojego gabinetu. Za nią w ślad hrabina Kollowrath udała się, rozkazując córce, aby jój towarzyszyła.

Józefina stała, jakby przygotowana do czegoś w środku salki. Frania weszła za matką, nie okazując ani trwogi, ani niepokoju. Królewiczowa dała jój znak, ażeby się zbliżyła.

— Moje dziecko—rzekła głosem suchym i niemłym—czas pomyśleć o twym losie... ja się chcę nim zająć.

Lękając się odpowiedzi niewłaściwej, matka podchwyciła:

— Wieczną wdzięczność winniśmy majestatowi.

— Wiem, że jesteś gorliwą katoliczką—dodała królewiczowa—i dlatego cię najprzód zapewnić muszę, że przysły twój, chociaż mu się los nieszczęśliwy nie dał urodzić w świętej wierze katolickiej, przyjmie ją. Będiesz więc miała tę pociechę, że jedną duszę zyszczesz Bogu.

Frانيا słuchała obojętnie, zdało się, że pociecha ta małe na niej czyniła wrażenia.

Królewiczowa spojrzała i nie mogła wyczytać nic z młodéj téj twarzy zastygłej.

— Mogę ci powinszować wyboru—dodała—wyboru, który matka i ja uczyniłyśmy; człowiek przeznaczony dla

ciebie, jest znakomity pobożnością, charakterem i rozumem: jest to minister Brühl.

Znowu spojrzała Józefina, Frania stała niema.

— Trzeba, abyś mu się dozwoliła zbliżyć do siebie, abyście się wzajem poznali lepiej i ocenili, a mam nadzieję, że będziesz szczęśliwą.

Matka popchnęła córkę do ucałowania ręki Józefiny, Frania dała się posunąć, pochyliła głowę i odeszła, nie rzekłszy słowa. Nie mogło to być za złe wziętém młodemu dziewczęciu.

Na tém skończył się ten dzień pamiętny w życiu kobiety, która z obojętnością na przyszłość patrzała.

Nazajutrz zapewne z natchnienia matki i za jój wiedzą Brühl rano, gdy hrabianka była samą, kazał się jój zameldować. Po namyśle odpowiedziała, że go przyjmuje. Przyjęła go nawet w tym samym pokoju swoim, w którym wczoraj wsparta na ramieniu Watzdorfa, żegnała się ze szczęścia nadzieją.

W żałobnym stroju było jój do twarzy, piękność jój świetniejszą jeszcze wychodziła na tle tych czarnych sukni i zasłony. Oprócz bladeści nie miała na sobie żadnej oznaki cierpienia; chłodna, zuchwała rezygnacya nadawała rysom coś rozkazującego i przejmującego.

Brühl, który był jednym z najwybredniejszych elegantów swojego czasu i przywiązywał wielkie znaczenie do stroju, tego dnia, choć w grubój żałobie ubrany był z troskliwością szczególną. Wdzięczna jego twarz i postać, aż do zbytku niewieście i pieszczono się wydawały. Uśmiech, który z ust jego nie schodził, towarzyszył mu od progu. O ile Frania była poważną i zamyśloną, o tyle on chciał być wesołym i szczęśliwym.

Pospieszonym krokiem zbliżył się do stołu, za którym siedząc, hrabianka z lekka głową go przywitała i wskazała mu oddalone nieco krzesło.

— Widzę, że pani dla harmonii do żałoby, jaką nosimy— rzekł Brühl—i twarz dziś przybrałaś smutniejszą, niż kiedy, a ja... ja...

— Pan jesteś dziś weselszy, niż kiedy—przerwała Frania—cóż to go czyni tak szczęśliwym?

— Spodziewam się, że pani już jesteś o tém uwiadomiona—podchwycił Brühl, podnosząc ręce ku piersi.

— Nie grajmy komedyi—zawołała Frania—ani pan mnie, ani jabym go nie oszukała. Każą mi iść za pana, gdy ja kocham innego; każą się panu żenić ze mną, choć kochasz inną. Nie są to rzeczy wesołe.

— Ja! kocham inną!—niby zdziwiony odparł, cofając się Brühl.

— Pan kochasz oddawna i zapamiętałe Moszyńską: o tém wie zdaje mi się ona, mąż i cały świat, a chcesz pan, żebym ja, żyjąc na dworze, nie wiedziała o tém?

— Jeśli hrabianka chcesz, abym wyznał, że ją kochałem... odezwał się Brühl.

— O! stara miłość nie rdzewieje—dodała Frania.

— Pani się przyznałaś także.

— Tak, ja się nie taję, że kocham innego.

— Kogo?

— Nie potrzebuję zdradzać jego i mojej tajemnicy... dosyć zem szczerą i oznajmuję mu o tém.

— To dla mnie smutne bardzo!—zawołał Brühl.

— Ale nieskończenie smutniejsze dla mnie—dodała hrabianka. Nie mógłbyś pan znaleźć sobie innej, którąbyś uszczęśliwił?

Spojrzała nań, Brühl się zmieszał.

— To wola królewicza, królewiczowój.

— Ojca Guariniego i tym podobnie—podchwyciła hrabianka—rozumiem, więc to nieodwołalne?

— Pani—rzekł przysuwając się z krzesłem Brühl—ja mam nadzieję, że zasłużę na jej względy... ja...

— Ja nie mam najmniejszej nadziei—poczęła Frania—lecz gdy małżeństwo jest tak w górze postanowione i ma być nieuchronném... dobrze byśmy się z góry przygotowali do tego, co nas czeka.

— Będę się starał o jej szczęście.

— Dziękuję panu, ja się będę musiała sama starać o nie. Co się tyczy waszego, myślcie o niem. Ja panu nie bronię kochać Moszyńskiej, bo gdybym nawet chciała mu tego zakazać, wiem że się to na nic nie przyda. Córka Cosel

odziedziczyła po niej wdzięk jój i potęgę, ja ich nie mam... niestety!

— Pani jesteś okrutną.

— Jestem szczerą.

Brühl mimo nadzwyczajnej łatwości rozmowy i przytomności, poczuł że mu się wyczerpuje wątek. Położenie jego stawało się przykrém, spojrzął na Franię, bawiła się chusteczką, nie okazując najmniejszego pomieszania.

— Bądź co bądź ja nie odejdę zrozpaczony—dorzucił po krótkim milczeniu. Znam panią od dzieciństwa, jestem jój wielbicielem oddawna; to co mi pani przypisujesz dla hr. Moszyńskiéj było chwilową fantazyą, która przeszła i minęła. Moje serce wolne, a pani spodziewam się potrafi się pozbyć dla mnie wstrętu i uprzedzenia.

— Wstrętu nie mam do pana, boś mi najzupełniej obojętny—przerwała hrabianka.

— I to już coś znaczy—rzekł Brühl.

— W istocie to znaczy, że pan się wstrętu możesz dorobić, chcąc na miłość zasłużyć... To być bardzo może.

Brühl wstał, twarz mu pałała.

— Nigdy może pretendent do ręki gorszego nie doznał przyjęcia—odezwał się z westchnieniem... Potrafię jednak stłumić w sobie wrazenie.

— Nie skarż się pan przed królewiczową—zawołała Frania—nasza pani za złe mi mieć nie będzie tego, co za skromność weźmie dziewiczą. Oszczędź mi przykrości z matką i z drugimi.

Jeśli nie zmieni się nic, jeśli się pan uprzesz, jeśli pani nasza rozkaże, jeśli ja mam zostać ofiarą, pójdę do ołtarza, bo muszę; ale pan wiesz kogo bierzesz, i co cię czeka.

To mówiąc wstała; Brühl słodką nad wszelki wyraz przybrawszy fizyognomią, zbliżył się, chcąc sięgnąć po jój rękę, ale mu ją cofnęła i rzekła:

— Żegnam pana!

Nie przedłużając rozmowy, minister wysunął się z pokoju. Twarz jego na chwilę zachmurzona w progu, odzyskała pogodę, wesołość i uprzejmość zwyczajną. Niktby był po nim nie poznał, iż zjadł świeżo tak gorzko przyprawne oświadczenie.

Zdawało mu się to obojętném, lubo panował tak nad sobą, iż nie okazał wcale, że to go obchodziło.

Krokiem lekkim przebiegł pusto pokoje i wychodził już, gdy u progu ostatniego spotkał matkę.

Hrabina Kolowrath nim przemówiła, badała go pilnie oczyma... nie odkryła nic. Pomyślała nawet, że córka umiała ukryć swe uczucia, co jój było bardzo przyjemném.

— Widziałeś się z Franią?

— Wracam od niéj.

— Jakże cię przyjęła?

Brühl trochę się opóźnił z odpowiedzią.

— Tak jak się przyjmuje kogoś narzuconego, komu się chce dać uczuć, że powinien to wynagrodzić.

— A! macie czas... Ze wszystkich względów nie chciała-bym przyspieszać wesela.

— Ja przeciwnie dlatego, że najlepiej starać się o serce, gdysię jest pewnym ręki—rzekł Brühl... Małżeństwo zbliża, daje poznać, a mam nadzieję, że hrabianka poznawszy mnie lepiej i moje przywiązanie...

Lekki uśmieszek przesunął się po ustach hrabinéj.

— Dziś dość—rzekła—*cela viendra!* Frania jest tak piękna, że jój nie można nie ubóstwiać, ale ma dumę i energią bogini, do którój jest podobną. Gdyby stary król nasz żył, obawiałabym się go była także, na nim nawet czyniła wrażenie.

Brühl, przemówiwszy jeszcze słów kilka, odszedł z grzeczném pożegnaniem. Gdy siadł do swojej port-chaise, która nań czekała u ganku i znalazł się na chwilę sam, twarz mu się zmieniła i posepniała.

Radbym wiedzieć jednak, kogo kocha! rzekł do siebie w duchu. Miała zawsze tylu adoratorów, a wszystkich tak hojnie obdzielała wejrzeniami i słówkami, iż istotnie trudno odgadnąć, któremu się udało serce jój pochwyć.

A! do serca nie mogę mieć pretensyi... piękność Frani jest mi potrzebną. Któż wie! królewicz nie wytrwa wiernym swój pani... a w takim razie...

Brühl nie dokończył, tylko uśmiechem.

Może mnie nie kochać, ale wspólne interesa uczynią nas dobrymi przyjaciółmi.

O Moszyńskiej więc wiedzą wszyscy; miłość i kaszel nie dają się utaić, a to miłość dawna i niegdyś nie była zmuszoną się ukrywać.

Pogrążony w dumaniach Brühl nie spostrzegł się, jak lektyka jego stanęła w sieniach domu.

Liczna służba czekała tu na niego: kamerdynerowie, lokaje, sekretarze, klienci. W chwili, gdy odsłonięto wyjście, Brühl już miał swą piękną twarz ułożoną wybornie do ludzi, rozlał po niej uśmiechy i wdzięk, co serca zyskiwał.

Witał uprzejmie i biegł na wschody... Na górze czekał nań już Hennicke.

Wierny sługa ten od kilku dni też wyglądał zdrowszy i weselszy. W fałdach jego twarzy śmiało się szyderstwo zimne. Globig, Stammer i Loss stali w kancelaryi, do której Brühl wszedł, jakby go siła jaka obca rzuciła. Wszyscy powstali na powitanie J. excellencyi, za którą powoli i nie-dbale ciągnął Hennicke.

Już miał minister zasiąść do pobieżnego przejrzenia papierów, gdy zausznik wierny mu szepnął...—Czekają na was.

I pokazał drzwi salonu.

Po nim przechadzał się w szaraczkowym surducie z czarnymi guziczkami, do niepoznania przebrany Padre Guarini.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIÉRSZY ROK
POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Juliana Horaina.

Skoro urzędnicy amerykańscy wdrapali się na pokład parostatku, chorągiew gwiazdzista wleciała na wierzchołek najwyższego masztu; to oznaczało, że nasz okręt oddaje się pod opiekę i prawa Stanów Zjednoczonych. Fakt ten został powitany głośnym „hurrah” przez wszystkich pasażerów, a nawet osadę okrętową. Urzędnicy rozbiegli się po okręcie: dwaj z nich, doktor z jakimś drugim, zabrawszy naszego Eskulapa okrętowego, spuścili się w głąb, pod pokład; trzeci zaś zaczął rozdawać i rozrzucać na wsze strony jakiś zadrukowany papier: były to prawidła komory celnéj we czterech językach: angielskim, niemieckim, francuzkim i hiszpańskim.

Ponieważ za kilka lat tysiące Europejczyków podaży na wystawę powszechną do Filadelfii, a sądzę że będą pomiędzy nimi i nasi rodacy, przeto może się komu przyda wiadomość o prawidłach komor celných amerykańskich; w tym celu umieszczamy takowe w dosłownym przekładzie:

„Do wiadomości pasażerów.”

„Každy pasażer przybywający z portu cudzoziemskiego, do jakiegobądź portu Stanów Zjednoczonych, obowiązany jest do złożenia krótkiej, lecz szczegółowej i prawdziwej *deklaracyi*, o ilości skrzyń, kufrow, worków i innych sprzętów służących do przechowywania rzeczy, i o tém co one zawierają, jak również o rzeczach znajdujących się przy osobie. Dla dogodności i porządku, deklaracya ta powinna być spisana na przyłączonym do niniejszego blanku, zatytułowanym „Passenger's Baggage Declaration“.

Ażeby uniknąć wszelkich przeszkód przy wylądowaniu, pożądanym jest, aby wspomniona deklaracja została przygotowaną starannie, przed przybyciem do portu i mogła być natychmiast wręczoną urzędnikowi komory celnej. Następne wskazówki ułatwią dopełnienie tego aktu.

Liczba oddzielnych pakunków powinna być spisana w stosownej do tego rubryce; potem co który z nich zawiera, powinno być wskazane w jednej z następných rubryk.

1) *Rzeczy wolne od opłaty* (Baggage not dutiable) klasyfikują się następnie:

a) Odzienie służące do osobistego użycia: to jest, stosunkowa ilość ubioru sporządzona dla osobistej potrzeby pasażera, mogą być zadeklarowane jako artykuły ubrania (Wearing apparel).

b) Inne rzeczy służące do osobistego użycia (nie towary), które zwyczajnie są potrzebne w podróży, jako łomoki, przedmioty toaletowe, materiały piśmienne, kilka (?) książek, zegarek, klejnoty etc, służące do potrzeb osobistych i w *stosownej ilości*, mogą być zadeklarowane jako *artykuły osobiste* (Personal Effects).

c) Książki służące do profesji pasażera, narzędzia potrzebne do jego rzemiosła, artykuły kuchenne, które były w użyciu przynajmniej rok, mogą być zadeklarowane pod jedną z trzech powyższych rubryk.

2) *Towary podległe opłacie*. Pod tym tytułem powinny być wypisane wszelkie artykuły nie objęte w rubrykach o rzeczach wolnych od opłaty. Tu powinny być wyszczególnione: nowe ubrania nie służące do potrzeb osobistych, klejnoty w zbytecznej ilości, zegarki (więcej niż jeden na osobę); przedmioty przeznaczone na podarunki, dzieła sztuki, kunsztu lub ciekawości (?); matery jedwabne, wełniane i inne w sztukach, wszelkie przedmioty przywiezione dla innych osób: słowem wszystkie rzeczy które nie są szczególnie potrzebne do osobistej wygody pasażera.

Szczególniejszą należy zwrócić uwagę aby to sprawozdanie było kompletne i prawdziwe, i żeby pasażer dobrze poznał doniosłość certyfikatu który ma podpisać. Rubryki zatytułowane „Apparaisement“ nie mają być wypełnione przez pasażera.

Naczelnik rodziny: jeśli jest dobrze oszajomiony z rzeczami należącymi do każdego z członków takowej, może zamieścić sprawozdanie o tém w jednej deklaracji; ale to nie wolno ani jego, ani innych członków rodziny od osobistej rewizji w razie podejrzenia, ani od kar przewidzianých prawem za *zamiar* oszustwa.

Po przybyciu do portu, deklaracja powinna być złożona urzędnikowi komory. Sprawdzenie bagażów odbędzie się na statku, lub na nadbrzeżu portowym, a cło, jeśli takowe przypadnie, powinno być opłacone złotem.

Każda sztuka bagażów, któraby zawierała towary podległe opłacie więcej jak na 500 dolarów, zostanie odesłaną do komory, tam przepatrzoną i ocenioną.

Tłomoki zawierające same tylko towary, nie mają być uważane jako bagaże i muszą uleść wszelkim przepisom komory celnej. Każdy tłomok ma być sprawdzony dokładnie i szczegółowo. Nawet osoby pasażerów podległe są rewizji.

Wszelkie przemykanie ze strony pasażera, tajenie, ukrywanie w tłomokach etc.; lub na własnej osobie, jak również samo pokuszenie przekupienia urzędnika komory, pociągną za sobą uwięzienie, konfiskatę bagażów i inne kary przewidziane prawem.

Wszelka skarga na urzędnika komory w czasie spełniania jego urzędu, ma być zanesioną do poborcy portowego (Collector of the port) który obowiązany jest natychmiast rzecz rozpatrzyć“.

„Z rozkazu (?) *sekretarza* skarbu Stanów Zjednoczonych“.

Po przeczytaniu powyższego com wam napisał w szkaradnym przekładzie, struchlałem! A toż w moich 19-tu skrzyniach etc. tyle jest rzeczy, że pewno część znaczną obywatel celnik zechce podciągnąć pod opłatę. A tu nie wolno wsunąć mu w łapkę ani rubelka, chcę mówić dollara, za samo pokuszenie, koza etc. Przyszła mi była z początku zdrożna myśl, do niczego się nie przyznać, a samą deklarację dać do podpisu mojej teści, przyznając jęj w ten sposób naczelnictwo rodziny. W razie czego złęgo niechby w kozie posiedziała, wszak ona dotąd nie zaznała tęg *rozkoszy*. Rozmyślając o tém, już nawet szedłem, trzymając *deklarację* w ręku; ...kiedy kapitan widząc moje zakłopotanie, zatrzymał mię i zapytał:

— Czy nie macie żadnych *nowych* towarów na sprzedaż?

— Żadnych.

— No to nic nie pisz: poproś tylko słownie aby celnicy przepatrzyli wasze tłomoki, to choć cós znajdą, nie będziesz ulegał osobistej odpowiedzialności. Zresztą gdyby bardzo nastawali, to oświadczyć, że nie umiesz pisać.

A to jeszcze lepiej, pomyślałem, że Scylli na Charybdę; ja mam oświadczyć *urzędownie* że nie umiem pisać, ja, com pisał drukowane książki! ja przeszły i przyszły współpracownik tyłu pism, nawet Biblioteki Warszawskiej, mam się przyznać że pisać nie umiem! I to gdyby jeszcze *przyjaciolom pod sekretem*, a to *urzędownie*. Nigdy, przenigdy! Niech lepiej pójdzie do kozy moja kochana Teś... albo nie: ot zagramam się pomiędzy pasażerami, może nie odkryją. Zresztą nie osobista odpowiedzialność tak mnie zastraszała; więzienie w wolnym kraju, nie powinno być zbyt ciężkie, bo badania z *perswazyami* pewno nie ma,... tylko Boże broń każą mi zapłacić jakie tysiąc lub więcej dolarów cła, to cóż nam zostanie? Świeżo przybyły z Europy, lękałem się, chociaż Bogiem a prawdą powiedziałwszy, nic nie byłem winien.

Ale nie dano mi czasu do długiego frasowania: lekarz amerykański i lekarz europejski weszli na pokład. Wydano rozkaz.. chcę mówić polecenie, aby wszyscy pasażerowie pod-pokładowi przeszli przed niemi *parami* processjonalnie. Kiedym się zabierał do *pary*, znowu mi poczciwy kapitan szepnął, że mając żonę i t. d. kajutowej z 1-jej klasy, mógłbym się uwolnić od tej ceremonii. Ale ja, przyszły obywatel Rzeczypospolitej Amerykańskiej, nie miałem zamiaru wyłamywać się z pod praw obowiązujących, szczególniej kiedy te nie dotyczą mojej skóry i kieszeni. Stałem więc w parze z moim lazeretowym *szlaf-kamratem*, z młodą i przystojną Czeszką; a za mną z własnej ochoty stanęło moich czterech chłopaków... było ich wówczas pięciu! Artysta Rajczak okrętowy zatrąbił marsza... cała processya, z ośmnastu osób złożona przeszła ceremonialnym marszem przed Eskulapami dwóch światów. Chorych nie było: bo i ja nawet udawałem zdrowego.

Moje damy i cała arystokracja kajutowa przypatrywały się temu pochodowi z uwielbieniem, a może i z zazdrością, widząc mię w parze z ładną dziewczyną.

Koło godziny 2-jej po południu, weszliśmy do portu i stanęli u nadbrzeża. Nowi jacyś urzędnicy weszli na okręt, i zaczęli odbierać „deklaracje“ już przygotowane. Ja w tém wielkiem zamieszaniu ja-koś się zawieruszyłem, i nikt mnie o nic nie zapytał.

Wszyscy pasażerowie radzi byli opuścić Baltimore, byle dostać się co najprędzej do miasta téjże nazwy. Tych którzy nic w ręku lub na plecach nie wynosili, puszczone natychmiast; tych zaś którzy nieśli jakibądź pakunek, musieli podać takowy rewizyi: osób jednak nie rewidowano i nie macano, jak to robią czasem w Europie.

Poczciwi, zacni Corner'owie pożegnali się z nami najserdeczniej, zostawili *każdemu z nas* swoje adressa, prosząc usilnie abyśmy ich odwiedzili, i w każdej potrzebie udawali się do nich o radę i pomoc.

W parę godzin prócz nas, ledwo kilka osób z pasażerów zostało na okręcie. Kapitan i doktor przyszli do nas i pierwszy oświadczył że możemy wszyscy zostać na parostatku przez dni ośm, bo dopiero dziewiątego dnia Baltimore uda się z powrotem do Europy. To nas trochę uspokoiło. Ale ja chciałem tegoż samego dnia dotrzeć do stałego lądu amerykańskiego. Pospędzawszy więc dzieci do opróżnionych już kajut pod opiekę matki, sam ze starszym synem udałem się na ląd.

Nieśmy z sobą nie wynosili, więc przepuszczono nas bez przeszkody. Przeszedłszy jakąś wielką nadbrzeżną stodołę, napełnioną już bagażami pasażerów, weszliśmy w jakąś brudną, lichą ulicę. Domy po większej części drewniane, rozmaitych brudnych kolorów, lecz nie malowane. Architektura tych domów do żadnej, ze znanych mi nie podobna: istne klatki. Od frontu wazkie, bo zwykle po trzy okna na piętrze mające; na dole po dwa tylko, ze drzwiami przy samych chodnikach; bruk szkaradny, niby w jakim naszym powiatowym miasteczku. Ha! nie ma rady! Idziem z Tadzią naprzód gdzie oczy poniosą:...

aż tu wpoprzek ulicy stoi jakiś dom jeszcze dziwniejszej struktury, ale większy od innych. Chcieliśmy byli już wrócić: wszakże widząc że wszyscy tam idą, nawet powozy wjeżdżają, poszliśmy i my. Przeszedłszy szerokim korytarzem z kilkadziesiąt kroków, postrzegamy że dalej iść nie można: dom się kończy a morze zaczyna. Wracamy nazad. Aż tu coś zatrąbiło, zahuczało i dom zaczyna się poruszać. My w nogi, sądząc że to trzęsienie ziemi; ale gdzie tam! dom odpłynął od ziemi o jakich półtora kroków! Sumiennie wam mówię czytelnicy, zem dopiero wówczas się przekonał, żeśmy weszli na parostatek przewozowy, bo kiedyśmy wchodzili, byłem przekonany, że to dom przechodni, ot jak u was w Warszawie dom Rezlera od Senatorskiej ulicy, tak to było niepodobne do jakiegobądź widzianego przezemnie statku.

W kilka minut byliśmy na drugiej stronie. Uderzenie jednak parowca o pomost brzegowy było tak silne, żeśmy o mało nie popadali: wysiedliśmy i poszliśmy ulicą mało co schludniejszą i przyzwoitszą od poprzedniej. Postanowiliśmy iść w prostej linii, aby łatwiej było wracając trafić do okrętu. Ulice co chwila się krzyżują, formując nie wielkie, podłużne prostokąty. Rozglądamy się po sztydach, a tego taka mnogość, że na każdym domu po kilka i więcej. Napisów nie nie rozumiem, Tadzio prawie tyleż. Przeszedłszy kilkaset kroków pod górę, weszliśmy na jakiś obszerny plac nie zabudowany i pokryty kamieniami i murawą. Zupełny nieuk co do nauk przyrodzonych, a szczególnie botaniki, myślałem że znajdę jaką różnicę pomiędzy murawą amerykańską, a tą, na której nieraz zdarzało się tarzać w starym świecie. Schyliłem się więc rozpatrywać trawę samopas rosnącą.. i żadnej różnicy nie znalazłem. Niepokoił mię tylko brak łopuchu (gluteron, bardane) i pokrzywy (urtica) zwykle w takich miejscach u nas rosnących, a których dotąd w Ameryce nawet w botanicznych ogrodach nie spotkałem. Ziemia, chociaż bardzo gliniasta, wydała mi się taką samą jak w Europie. Toż samo można powiedzieć i o kamieniach.

Z góry był widok na miasto, na równinę: przestrzeń ogromna, zabudowana symetrycznie domami, a wszystkie prawie jednostajnego kształtu, tylko po większej części murowane, lecz nie bielone, ani malowane. Kilkanaście kopuł nie wiele wzniesionych nad inne domy, dawało się spostrzegać w oddali. Słowem widok miasta liczącego do 400,000 mieszkańców, zupełnie nie imponujący: ani się umył do widoku Wilna, a nawet Warszawy.

Przeszedłszy plac, weszliśmy znowu w jakąś ulicę. Trzeba było szukać noclegu, bo już słońce skłaniało się ku zachodowi, a my mieliśmy zamiar przenocować w mieście, aby nazajutrz rano zacząć poszukiwanie mieszkania. Widzieliśmy na wielu domach napis: „Hotel etc.“, ale ja wiedząc z książek opisowych, że mieszkania w hotelach amerykańskich są bardzo kosztowne, co i prawda, starałem się wynaleźć jak najtańsze. Postrzegłem nad jednymi drzwiami napis: „Saloon“, a pod spodem niemieckim alfabetem: „Lager Bier“. Pomyślałem sobie: kiedy mi w Anglii w „Public house“ było tak dobrze

i wygodnie, to zapewne w „Saloonie“ amerykańskim będzie jeszcze lepiej. Témbardziej, gdy niemiecki napis obiecywał mi, że jakkolwiek rozmówić się potrafię.

Weszliśmy.

W pokoju, który w żaden sposób niepodobna nazwać salonem, stało kilka stolików: przy jednym siedziało z kufkami piwa kilku obdartusów; my usiedliśmy przy innym. Natychmiast jakiś posługacz w wełnianym kaftanie, postawił przed nami parę kufelków piwa, obtarł nos, swój rozumie się, rękawem kaftana i wyciągając brudną łapę, zawołał: „bezahl!“ Był to pierwszy dla mnie zrozumiały wyraz, który posłyszałem na ładzie Nowego Świata. Dobyłem więc papierowego dolara: miałem ich kilka, wymienionych w Bremie, i podałem. Zdał mi natychmiast 90 centów: wziął więc za dwie małe szklanki piwa 10 centów, to jest prawie złoty.

Za szynkasem, bo trzeba nareszcie przyznać się żeśmy byli w najordynarniejszym szynku, stał inny jakiś obdartus... poprawiam się: obywatel, który kręcił się jak mucha w ukropie. Naléwał przez szpunt z beczutki piwo do kufelków, ale tak zręcznie, że więcej bywało piany niż napitku, stawiał lub posyłał konsumentom. Przytém z innymi dwoma grał w kości i po każdym rzuceniu, albo sam wychylał szklenicę, albo takową podawał *do łaskawych rąk sąsiada dobrodzieja*, który za tę grzeczność płacił przed wypiciem pięć centów. Nie bawiłem i dziesięciu minut w Saloon'ie, a policzyłem że obywatel *szynk-waszewicz* sam wypił sześć szklanek piwa, a dwaj partnerowie wypili takowych z tuzin! Jednak ileż to szklanek piwa taki gospodarz szynkowy musi wyżłopać przez dobę? Prawdziwe poświęcenie dla bliźnich!

W rok później, w Nowym Yorku, cała ta manipulacya została mi objaśnioną przez rodaka hrabiego galicyjskiego, który trudnił się témże samém rzemiosłem; pomimo wielkiej zręczności w nalewaniu piwa i wyrzucaniu kostek—zbankrutował.

Ale nie o tém chciałem pisać. Zabraliśmy się do wyjścia dla wyszukania sobie noclegu, bo nam nie bardzo się podobał salon amerykański; ale było już ciemno, chociaż po obu stronach ulicy jaśniał szereg gazowych latarni. Zapytaliśmy więc obywatela posługacza, czy nie moglibyśmy przenocować w ich domu?

— I owszem—odpowiedział—mamy pokoje dla dżentlemenów i lanych. Wygodny mieć będziecie nocleg.

— Proszę nam pokazać.

— Dobrze. Czy na jedném łóżku spać chcecie?

Spojrzeliliśmy na siebie z Tazią i jednogłośnie odrzekliśmy: na jedném.

— To zapłaćcie pięćdziesiąt centów i chodźcie za mną.

Zapłaciliśmy i poszli.

Zaprowadził nas na trzecie piętro (któreby u was w Warszawie uważało się za drugie, ale w Ameryce liczą piętra po litewsku), otwo-

rzył drzwi i wpuścił. Pokoik był mały, ciemny w dzień nawet, bo miał małe okienko, jak na poddaszach; stało tam łóżko z rozrzuconą, dobrze już używaną pościelą i lawabo z wodą, w której musiało już obmyć swoje co najmniej oblicza kilku dżentlemanów lub ladych. Poprosiliśmy aby nam zmienić wodę.

— Wyléjcie ją sobie sami przez okno na podwórce.

I zabierał się do wyjścia unosząc z sobą ogarek świecy, którą trzymał w ręku. Poprosiliśmy, aby nam świecę zostawił. Przychylił się do naszej prośby, ale kazał zapłacić sobie za tę grzeczność 10 cent. i wyszedł.

Zostaliśmy sami i zaczęli rozpatrywać się szczegółowiej w idebce. Do wyliczonych już przedmiotów dodać wypada dobrze używany ręcznik i dzban fajansowy do wody, ale próżny. Zabraliśmy się najprzód do wylania brudnej wody, drogą wskazaną przez obywatela postugacza. Do okna więc, ale okazało się, że go otworzyć nie umiemy; po długim wszelakoż rozpatrywaniu dostrzegliśmy, że takowe w dolnej połowie się podnosi, a w górnej spuszcza. Zapewniwszy się, że wychodzi na podwórce i że tam niema w tej chwili żadnej obywatelki lub obywatela, wyleliśmy owe pomyje. Ale wylawszy jedną, wypadało nam przygotować drugą wodę czystą do umycia się nazajutrz. Uradziliśmy więc, że Tadzio, jako uniejący rozmówić się po niemiecku i trochę po angielsku, pójdzie po nią na dół ze dzbankiem. Do drzwi: zamknięto! Probujem wspólnemi siłami otworzyć: niepodobna!

„Zamurowano!—spojrzałem na dzieci“, to jest na syna, a syn na mnie.

— Co to jest ojczec?—mówił Tadzio—dlaczego on nas zamknął? Czyżby chciał pozabijać?

I mnie się to nie podobało, ale dla uspokojenia dziecka mówiłem:

— Nie bój się, niceśmy złego nie zrobili, a zresztą nikt nie zabija biédnych emigrantów, przy których nie wiele można się pożywić.

— Jakto nie wiele? Ojczec pokazał im rozplacając się kilka dolarów, przytém u ojca jest srebrny, a u mnie aż złoty zegarek! A jeszcze takeśmy się pysznie wystroili do Ameryki. Wiele téż my z ojcem warci?

To czysto amerykańskie zapytanie zdziwiło mnie nie pomału. Nigdy w Europie podobnego zapytania w takim znaczeniu nie słyszał, chociaż czytałem w opisach Ameryki. Czyżby samo dotknięcie lądu Nowego Świata, mogło tak wpłynąć na dziecko?

— Ja, mój chłopcze—odrzekłem—stary, chory, niedotęga, nie wiele wart jestem, jestem prawie nic; ale ty da Bóg, może kiedyś będziesz wart więcéj, daleko więcéj odemnie.

Tadzio zrozumiał, że inne niż on myślał nadałem znaczenie jego zapytaniu; rzucił mi się na szyję i zaczął całować. Potém mówił:

— Doprawdy tatko to nie dobrze, że oni nas zamknęli. Myż przecie nie winni?

I mnie to niepokoiło, ale nie chciałem okazać przed dzieckiem obawy, aby go bardziej nie przestraszyć. Odpowiedziałem więc spokojnie:

— Istotnie Tadiusi my nic nie winni.

Tymczasem przyrzadziliśmy jako tako łóżko: kazałem Tadiusi położyć się nie rozbierając, a kiedy zasnął, dostałem rewolwer, darowany mi na wyjeździe przez jednego z przyjaciół, opatrzyłem go dobrze i usiadłem przy otwartym okienku podumać!

Noc była ciepła, cicha, światła: to mię trochę uspokoiło. Musiało być koło północy, bo chociaż mieliśmy z sobą aż dwa zegarki, a jednak na pewno nie mogliśmy wiedzieć godziny, bo zegarek Tadiusi był zwykle nie nakręcony, mój zaś wskazywał tę właśnie godzinę, która w owej chwili panowała między Niemnem, Wilią a Świsłoczą. Czyli mówiąc zrozumiałej: wybierając się do Ameryki postanowiliśmy, aby mój chronometr wskazywał zawsze ojczyzną godzinę; więc go nie reguluję, ale za to nakręcam codzień punktualnie i wiem z pewnością w każdej chwili, jaka tam u was godzina. Rozumić się, że musi być teraz różnica o kilka minut, ale nie więcej.

Swieca się dopalała: trzeba ją było zagaścić. Rzuciłem się jak byłem ubrany na łóżko obok Tadiusi i przywykły do niewygód podpokładowych, rychło zasnąłem.

Ledwo zaczęło zbierać się na brzask, rozbudziło mię stąpanie po wschodach i odmykanie drzwi. Sięgnąłem pod poduszkę po rewolwer. Tadiusi także się obudził.

Wszedł tenże sam posługacz szynkowy z latarką w rękę i oświadczył po niemiecku, że już dzień i pora nam wstawać. Nie dostrzegłszy w nim morderczych zamiarów, zawstydzilem się trochę i starałem się ukryć rewolwer; ale prosiłem, aby nam pozwolił przespać się jeszcze kilka godzin.

— To chyba dopłacicie jeszcze 50 centów, wówczas będziecie mogli spać choć do wieczora, boście pokój najęli tylko na noc.

Dałbym mu chętnie i całego dolara tak mi się spać chciało, ale oburzyło mię to bezcelne zdzierstwo, wyderkaś; a nawet Tadiusi, również oburzony, zawołał:

— Chodźmy ztąd ojczyste, to są jacyś źli ludzie.

Wyszliśmy więc prędko. Wprzód jednak obywatel posługacz przekonał się żeśmy ani prześcieradła, ani ręcznika „ani żadnej rzeczy które jego są“ nie unieśli.

Później, kiedy opowiadał przed świadomymi mój pierwszy nocleg na amerykańskiej ziemi, objaśniono mię w ten sposób: żeśmy trafili do bardzo podrzędnego salonu, to jest szynku, jakie zwykle bywają po przedmieściach wielkich miast amerykańskich. Zakłady te

trzymane są zwykle przez Niemców, Irlandczyków, niekiedy Włochów, nigdy zaś przez prawdziwych Amerykanów. Mają tam izdebki, które wynajmują na noc nie mającym przytułku *włóczęgom*: każą im płacić z góry i zamykają, aby w nocy obywatelka lokatorka lub lokator nie opuścili sypialni razem z rzeczami, które nie ich są. W kilka miesięcy później, zdarzyło mi się i w Nowym Yorku podobną noc przepędzić.... ale potem o tém.

Kiedyśmy się znaleźli na ulicy, był już zupełny dzień; bo pod tą szerokością jeograficzną mrok ranny i wieczorny bywa znacznie krótszy niż u nas. Chociaż to było 23 października około 6-jej ranniej, poranek był ciepły i pogodny; poszliśmy więc ochoczo ku stronie miasta.

Ruch na ulicach wielki: wozów, przechodniów mnóstwo. Uszedłszy tak z pół godziny, znaleźliśmy się na krzyżujących się dwóch ulicach, przed jakimś kościołem; weszliśmy tam: odprawiało się nabożeństwo. Był to kościół katolicki, przeżegnaliśmy się więc i zaczęli odmawiać pacierze. Natychmiast jakiś porządnie ubrany dżentlemen zbliżył się do nas, otworzył drzwiczki od ławek i wskazał nam miejsca. Ludu było mnóstwo; zaledwo kilka osób stało, resztę wszyscy siedzieli w ławkach i pocichu modlili się z książek. Pod koniec nabożeństwa *wtorzyła się na relsach ambona* na sam środek kościoła, wszedł na nią ksiądz i zaczęło się kazanie. Pomimo żeśmy nic nie rozumieli, bo to było dla mnie przynajmniej gorzej niż *niemieckie kazanie*, nieśmieliliśmy ruszać się z miejsca, bo nikt nie wychodził. Dlatego zapewne że to był dzień powszedni, a może że kaznodzieja nie był gadatliwy, prędko się skończyło; po kwadransie zszedł z ambony, która wraz odjechała, zapewne do kościelnej wozowni. Wszyscy ruszyli się do wyjścia i my z niemi. O ile sobie przypomnieć mogę, była to pierwsza msza i kazanie, które wysłuchałem na czczo.

Znalazłszy się na ulicy, zaczęliśmy szukać mieszkania do najęcia. Na wielu domach były poprzyklepane kartki drukowane lub pisane. Na niektórych było *forsale*. Co to znaczy?—zapytałem syna. Do sprzedania—odpowiedział. A więc to nie dla nas. Na innych były kartki z napisami „Forkent.” A to co znaczy?—Nie wiem. Forkent, for rent pomyślałem: to tak jakby na rentę, na wypłatę... może to znaczy do najęcia i nie omyliłem się ¹⁾. Zaszliśmy więc do takiego domu. Tadzio jakoś wytłumaczył, że szukamy mieszkania. Dano nam klucze i powiedziano, abyśmy *sami* poszli obejrzeć. Poszliśmy więc na oględziny. Na dole dwa pokoiki: *parlour* od ulicy, a drugi zapewne przeznaczony na kuchnię od podwórza. Na pierwszym piętrze trzy pokoiki i tyleż na drugim. Ale w tych wszystkich ośmiu

¹⁾ Ostrzegam czytelników, że wyrażenie *fo rent* w znaczeniu najęcia mieszkania, używa się tylko w Baltimorze i miastach południowych. W Nowym Yorku zaś i innych, używa się natomiast wyrażenie: *To let* (przyp. aut.)

pokoikach zupełnie pusto, to jest niepusto, bo pełno śmiecia pozostałego po przeszłych lokatorach. Obejrzelśmy tak kilka domów: (po klucze wypadło chodzić do magazynów obok lub naprzeciw, co było wskazane na kartkach). Wszystkie te domy podobne do siebie, jak dwie krople wody. Pytaliśmy się, czy nie można nająć jednego piętra? Odpowiedziano, że najmuje się cały dom tylko. Cena zaś była 18 lub 20 dolarów na miesiąc. Na co nam najmować cały dom pusty, kiedy mogliśmy się pomieścić we trzech, a najwięcej we czterech pokoikach. Szukamy więc dalej, ale Tadzio, przechodząc mimo jakiegoś piekarza, tak mile zaczął patrzeć na ciastka, wyglądające przez witrynę, że trzeba mieć chyba serce z kamienia, aby tam nie wstąpić. Weszliśmy więc.

— Wybierz sobie ciastek i zapytaj co kosztują?

— *Hau mocz* (piszę jak się wymawia), zapytał, wskazując na jakiś gatunek tortu, który w naszych cukierniach sprzedaje się *au prix fixe* po 10 groszy sztuka.

— *Ten cents*, to jest 10 centów czyli, złoty była odpowiedź. Słowem jakie tylko ciastko wskazał, zawsze *ten cents*. Tymczasem spostrzegłem, że w głębi piekarni kilku dżentlemenów i tyleż ladych piją kawę; poleciłem więc Tadziovi zapytać, czy nie mogę i my dostać kawy? *Yes, yes*—odpowiedziano, wskazano nam miejsca i natychmiast przyniesiono dwa małe kubki kawy ledwie zabielonéj mlekiem; przytém podano po kromce białego, pszennego chleba i trochę jełkiego masła. Taki traktament kosztował nas jednak centów 40.

Posileni nieco, poszliśmy znowu szukać mieszkania. Ponieważ kopułę kościoła wybraliśmy za naszą gwiazdę przewodnią, przeto kręcąc się po ulicach nie spuszczałyśmy jęj z oczu i jakoś znowu znaleźliśmy się mimowolnie przed tymże samym kościołem przy dwóch przecinających się ulicach. Patrzym, na jednym z narożnych domów kartka z napisem: „Rooms for rent:”

— Co znaczy to *rooms*?

— *Rums* znaczy *pokoje*—odpowiedział Tadzio, poprawiając moje wymawianie.

Tego nam właśnie było potrzeba; weszliśmy. Na dole była fabryka i zarazem wyprzedaż cygar, utrzymywana przez Irlandczyków, którzy cały dom najmowali. Zajmowało to biédactwo dwa pokoiki na dole i jeden jako sypialnią na piętrze: resztę odnajmowali lokatorom. Dwa pokoiki na 2-ém i jeden nieco większy na 3-ém były próżne, ale to tak dalece próżne, że oprócz śmiecia nic w nich nie było. Zapytałem o cenę? Odpowiedziano ośm dolarów na miesiąc. W to mi graj; oświadczyłem wręcz, że biorę wszystkie trzy i chciałem dać zadatek, ale mi odpowiedziano, że tego nie potrzeba; wówczas zapłacim, jak się przeniesiemy i oddano klucze. Chcąc jednak zostawić jakikolwiek ślad zajęcia w posiadłość mieszkania, pożyczwszy u gospodyni miotłę, wymietliśmy nasze przysze apartamenta i wynieśliśmy śmiecie do beczki na to przeznaczonéj, stojącój na chodniku.

Tak, mądrzy czytelnicy i nadobne czytelniczki! tą samą ręką, którą teraz kreślę dla was te wyrazy, tą samą, którą za dobrych czasów(?) ścisnąłem nie jednokrotnie delikatne rączki nie tylko prostych szlachcianek, ale księżniczek nawet; przyszło mi się na starość wywijać miotłą! Nie pomiatajcie jednak nami, chociażby przypomniawszy owe *dictum* starego polonusa: *quid scit, co za górą?* a może nam téj profanacyi klejnotu szlacheckiego nie weźmiecie za złe.

Zaspokojeni co do mieszkania, pędem strzały udaliśmy się napowrót do okrętu. Tylko kiedyśmy śmiało wchodzili do wczorajszego *gmachu pływającego*, zatrzymano nas i kazano za przewóz zapłacić 2 centy za mnie i 1 cent za dziecko. Od przybyłych świeżo i wchodzących po raz pierwszy na gościnną ziemię rzeczypospolitęj nic nie biorą i dlatego wczoraj nas swobodnie przepuszczono.

Zameldowawszy się żonie, nie było czasu do opowiadania naszej *odyssei*, bo urzędnik komory celnej robił rewizyą rzeczy pasażerów i miał za parę godzin odejść. Poszliśmy więc wszyscy z pękiem kluczy do owéj stodoły, w której, jakem to już mówił, były natłoczony secinny tłumoków rozmaitego gatunku i wielkości. Kiedym oświadczył urzędnikowi (mówił trochę po francuzku) że go proszę o wyeksperydowanie naszych bagaży; zapytał mię tylko, czy nie mamy towarów? Na moje słowne zaprzeczenie, polecił odszukać i zebrać w jedno miejsce wszystkie nasze tłumoki, a do zniesienia takowych, wyznaczył dwóch silnych i zdrowych obywateli Stanów Zjednoczonych.

Wynaléć w takim natłoku wszystkie nasze kufry, skrzynie, walizy etc., dla nas byłoby niepodobieństwem; ale dzieci podjęły się tego, rozbiegły po stodołę, i w pół godziny wszystko było odszukane i zniesione. Policzyliśmy: 19 sztuk, a więc wszystko. Urzędnik komory z dwoma asystentami podszedł, wskazał dwa kufry, kazał je rozwiązać i stworzyć: dopomogli nam w tém owi dwaj dżentlemani, co znosili. Urzędnik szczegółowo rozpatrzył wszystkie rupiecie. Po tém przyszła kolej na skrzynie z książkami. Spojrzawszy na nie urzędnik uśmiechnął się dobrotliwie, machnął ręką, i cóś przemówił do swoich kolegów. Julcia mi później objaśniła że to były prawie te słowa: „biędak co przywozi do nas tyle książek używanych, a więc nie do sprzedania. nie ma pewno żadnych towarów, a tém bardziej pieniędzy na opłacenie cła“. Koledzy jego kiwnęli głowami na znak potakiwania. Następne więc kufry, kazali, dla formy zapewne odmykać, patrzeli z wierzchu, ale się w nich nie grzebali. Nakoniec przyszła kolej na skrzynkę z samowarem; kazał takowy wydstać, rozpatrywał ciekawie i zapytał: do czego to służy? bo maszynę taką pierwszy raz w życiu widzi. Objąłem dokładnie. Znowu mię zapytał: czy mam zamiar starać się o patent na *wprowadzenie* tego wynalazku? Odpowiedziałem że nie; bo maszyna ta nazywająca się *samowar*, powszechnie jest znaną w północnej Europie, gdzie wiele piją herbaty; zatem nie może być nieznaną w Ameryce. Tak téż i jest. Ale jestem pewny, że w całej Baltimorze Md. (to jest Maryland) był tylko jeden samowar, to jest nasz.

Po odbytej rewizji, wszystkie nasze łomoki pozamykano, obwiązano dokładnie, przyklepiono marki papierowe, zniesiono do oddziału z którego mieliśmy prawo zabrać takowe w każdej chwili... dnia. *Za fatygę* dawałem owym dwóm obywatelom, którzy dobrze się sprawowali przy znoszeniu, rozwiązywaniu etc., naszych łomoków, dolara: nie przyjęli; oświadczając grzecznie, że są płatni od rządu. To mi się ani razu nie przytrafiło w Eupopie, i jako nadzwyczajność, wydało z razu dziwném i nawet przykrém; wszakże później, prędko do tego nawykłem, i teraz znajduję bardzo racjonalném i przyjemném. Ułatwiwszy się szczęśliwie, bo ów *dobry celnik* ani wspomniał o żadnej opłacie od naszych rzeczy, czego się wprzód napróżno lękałem, udaliśmy się na nasz parostatek.

Była i pora potemu, bo już podawano herbatę z wieczszą.

Na Baltimorze, oprócz mojej rodziny, nie było już nikogo z pasażerów. Z załogi zaś okrętowej, zostało kilku majtków, jeden z kucharzy, jeden z sześciu lokaj, kobiéta usługująca w kajutach (oświadczyła że to uczyniła przez *przyjaźń* dla moich dam) i dwóch oficerów służbowych. Kapitan zaś i resztę osady, udali się na hulankę do miasta.

Po herbarcie i wieczery na którą i nas chudeuszów zaproszono, jak również ofiarowano nam na noc do wyboru wszystkie opróżnione kajuty, wyszliśmy na pokład. Chociaż to było pod koniec października, noc była ciepła, cicha i tak jasna, jak nigdy w Europie widzieć nam się nie zdarzyło. Wielkie miasto na wzniesionj równinie zbudowane, jaśniało tysiącami gazowych latarni; z mnóstwa okrętów stojących w porcie puszczano race, palono fajerwerki, ot tak, dla przepędzenia czasu. A jednak zrobiło się nam bardzo smutno na sercu: w tém wielkiem mieście, a nawet w całej téj części świata, nikt nas nie czeka, nie wygląda! Ludzi, z któremi w orzechowej łupinie przepłynęliśmy burzliwy i bezdenny ocean, do których przywykliśmy i przywiązali nieledwo, w czasie ósmnasto-dniowej podróży, a którzy zawsze byli dla nas dobrzy i przyjazni, prawdopodobnie nie spotkamy. Rozbiegli się oni w tém wielkiem mieście, rozjechali po wspaniałej ojczyźnie Waszyngtona; może już tysiąc mil nas przedziela. A jednak prawie każdy z nich przybył tu do krewnych, przyjaciół, znajomych; a przynajmniej z jakimś określonym celem. U nas nic z tego. W całej Ameryce jest zaledwo jedna osoba, nieznaną nam osobiście, z którą zamieniliśmy parę listów.

Ale co tam! Kość rzucona, Rubikon... a co więcj trochę znaczy, Atlantyk przebyty. Dolarów, przy oszczędności może wystarczyć na cały rok... Przypomniało mi się zdanie powtarzane w Paryżu, że Litwin, goły jak święty turecki, wrzucony do Sekwany, wypływa z głębi we fraku modnym, kapeluszu, rękawiczkach, przy złotym zegarku i z niezupełnie pustą portmonetką. Czyżby Potomak, Hudson, Missisipi miały być mniej przyjazne dla potomków Herulów?

Teraz idźmy spać do wygodnych, arystokratycznych kajut; jutro nastąpi dzień pracowity i uroczysty zarazem: wylądowania i objęcia w posiadłość: Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa obrazów na Polach Elizejskich.— Zdanie krytyków. — Gauloci. — Figaro. — Emil Bergerat sprawozdawca Dziennika urzędowego. — Sąd Debatów. — Chlubne ocenienie Pressy. — Nuvis de Chavannes: Karol Martel w Poitiers. — Królowa Radegunda. — Alma Tedema: Pracownia rzeźbiarza rzymskiego. — Dziesiąta plaga egipska: Śmierć pierworodnych. — Hektor Leroux: Westalka. — Ermann: Historia sztuki. — Langee: Ludwik święty przy ucoicie z ubogimi. — Zier: Katon z Utyki. — Bonnat: Chrystus ukrzyżowany. — Lebourg: Święty Wawrzyniec. — Courtot: Święty Sebastyan. — Humbert: Madonna. — Maillart: Chrześc. św. Augustyna. — Laurent: Święty Bruno odrzucający dary Rogera kalabryjskiego. — Roux: Skon. św. Wincentego à Paulo. — Portrety: Cabanel. — Henner. — Dubuffe. — Bastieu Lepage: Portret mego dziadka. — Pani Nelia Jaquemart. — Hebert. — Carolus Duran. — Panna Izydora Mikulska. — Dzieło pani Olympii. — Audonard: Gynecologie. — Słownik muzyków polskich: dzieło Wojciecha Sowińskiego. — Ustęp z listu professora Aleksandra Chodźki. — Odpowiedź.

Z objawów literackich i artystycznych, które wchodzą w zakres naszych sprawozdań, najważniejszym jest dziś doroczna wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.

O kim tu mówić? Powiedzmy chyba o wielkim obrazie p. Puvis de Chavannes, który szczególnym trafem zdołał ozdobić drugą ścianę sali kwadratowej. Cała przepaść oddziela jeden utwór od drugiego. O ile Matejko świetnym jest kolorystą, o tyle Puvis de Chavannes szuka barw wypęzłych, zatartych, usiłując nadać obrazom swoim szór fresków XV wieku. Pod pędzlem Matejki drga życie, z pod pędzla Puvisa występuje legenda lub epopea; tam widzimy mężów z krwią i kośćmi, tu duchy bezcielesne, tajemnicze. Geniusz ludzki tak rozmaity w swych objawach! niemniej też rozmaite są formy piękna! Nie-dołączony byłby krytyk, któryby wszystkie wyroby twórczej myśli artystów chciał dostrajać do jednej modły, mierzyć na jedną miarę; któryby poza obrębem widomych kształtów, nie widział wyższej, czysto du-

chowej harmonii łączącej w sferach ideału, utwory całkiem odrębne od siebie!

P. Puvis de Chavannes wykonał do nowego ratusza w Poitiers scenę z historii tego miasta. Oto jej określenie w katalogu: „Roku 732 Karol Martel ocala chrześcijaństwo zwycięstwem nad Saracenami w bliskości Poitiers.“ W głębi warowne mury opasujące gród sterczą zjeżone w blanki. Przez rozwartą bramę na lewo ciągnie orszak: na czele biskup z pastorałem i duchowieństwo w kapach. W pośrodku obrazu widać Karola na białym biegunie, w pancerzu i hełmie żelaznym. W rękę trzyma tradycyjny młot, podnosi go w górę, wskazuje w nim narzędzie Opatrzności. Od pasa spada mu wielki puklerz. Grupa giermków otacza króla, jeden trzyma miecz, drugi chorągiew królewską. Na pierwszym planie Saraceni szamoczą się w okowach. Stary pohaniec podnosi w górę obie ręce, przeklina bogów że opuścili go w boju. Młoda córka kładzie mu z miłością rękę na ustach, zatrzymuje bluźniercze kłatwy. Młódź z Poitiers przybiega w pomoc nieszczęśliwym jeńcom, przynosi im jadło i dobre słowo, chleb dla ducha i chleb dla ciała.

Wielka harmonia panuje w tym obrazie: brak kolorytu zastępuje tu piękność linii. Tłumy przecież mijają go obojętnie, zrażone szyderstwami krzykliwych dzienników. Nie jeden pyta sam siebie: kto dziś myśli o Karolu Martelu?

Inny utwór Puvisa pomieszczony na wystawie, nadzwyczaj poetyczny. Jestto wielki szkic do obrazu, który zarówno jak pierwszy, ma zdobić ratusz w Poitiers. Przedmiot wzięty z kronik VI wieku, z czasu kiedy Klotaryusz król Franków panował w Neustryi. Piękna z czasu kiedy Radegunda księżniczka Turynii, porwana gwałtem i zaślubiona przez króla barbarzyńcę, wyłamawszy się z nienawistnych jej związków z poganinem, zamyka się w niewieścim monasterze w Poitiers. Tu daje opiekę poetom i uczonym, ocala pochodnię literatury, wśród okropnej powodzi barbarzyństwa. Malarz przedstawia chwilę, kiedy królowa otoczona gronem siostr zakonnych, słucha pieśni Fortunata, słynnego gallo-rzymskiego poety. Serce jej drży, oko zaléwa się łzami, kiedy Fortunat smętną pieśnią wypowiada zasłyszane jej skargi i zale:

Wszystkie dziś serca pokryte żalobą,
 Oko się łzami zaléwa rzewnemi,
 I ja boleśnie płaczę téż nad sobą,
 Ale boleśniej płaczę klęsk méj ziemi!
 Nad umarłemi co legli w mogile,
 Ciężkim ja żalem zawodzę sierota,
 Choć łkanie w piersi umilknie na chwilę,
 Nie zmilknie w duszy boleść i tęsknota!

Gdy wiatr porankiem zawionie od wschodu,
 Gdy mi nad głową z cicha zaszeleści,
 Pytam: ach wietrze! od mojego rodu,
 Za-li mi słodkich nie przynosisz wieści?
 Ale wiatr powiał na lasy, na pola,
 A mnie żałoba! mnie wieczna niedola!

Puvis de Chavanne, związany stałą przyjaźnią z Teofilem Gautier, odtworzył w Fortunacie wierny wizerunek zmarłego niedawno poety. Za nim pomieścił i sam siebie. Piękna to myśl; rysy dwóch przyjaciół przejdą do późnych pokoleń, na ścianie sali ratuszowej w Poitiers.

Z pomiędzy archeologiczno-historycznych obrazów, kilka jeszcze zasługuje na szczególną uwagę. Wspomnimy tu najprzód dwa utwory Alma Tedema, Holendra. Pierwszy z nich przedstawia pracownię rzeźbiarza z czasu Cezarów rzymskich. W głębi widać liczne posągi marmurowe, lampy z brązu i inne przedmioty wykonane z dokładnością archeologiczną. Na pierwszym planie stoi mistrz przed grupą, którą tylko co wykończył. Rodzina rzymska, złożona z ojca, matki i kilkorga pięknych dzieci, ogląda z zachwyceniem na utwór. Postać rzeźbiarza rozplómienniona szczęściem: czuje, że wykonał arcydzieło!

Drugi obraz: dziesiąta plaga Egiptu, śmierć pierworodnych, wielkie sprawia wrazenie. Boleść matek przejmuje dreszczem. Jedna zwłaszcza Egipcjanka, osłupiona nad trupem syna, przypomniła nam zupełnie milczącą postać matki zadżumionych z cudnego poematu Juliusza Słowackiego.

Obraz Hektora Leroux: „Westalka,“ nagrodzony medalem, ogólne téż zyskał uznanie. Scena odbywa się nad Tybrem. Na błękitnym tle nieba, odbijają łuki, mosty i posągi starożytnego Rzymu. Po prawej ręce dom Westalek. Kapłanki w bieli zstępują ze schodów, lud tłoczy się, łodzie rybackie zapełniają wybrzeże. Na lewo po nad wodą stoi młoda Westalka Tucya, oskarżona niewinnie o przełamanie świętych ślubów. Z wyrazem najwyższego natchnienia ogląda w niebo, modli się gorąco do Westy. W rękę trzyma przetak, napełniony wodą z Tybrą. „Pozwól mi o bogini—woła—zanieść tę wodę do świątyni twojej na dowód, że jestem niewinna!“ Modlitwa doszła, jak widać, w niebo, ani kropla nie spada na ziemię. Podziw obecnych doskonale oddany.

Do medalionowanych należy téż dziwnie piękny fryz, pędzla Alzatzczyka Ermana, przeznaczony na ozdobę jednego z gmachów publicznych. Wyobraża on historią sztuki w czterech głównych epokach. Grecyą przedstawiają trzy symboliczne postacie niewiast: architektura, malarstwo i rzeźba. Pierwsza z kompasem w rękę stoi wsparta o ołtarz Minerwy; druga przyjmuje z rąk bogini wawrzynowy wieniec; trzecia składa dłuco przed posągiem. Po za niemi Ictinus przynosi rysunek Partenonu, Fidyasz Jowisza Olimpijskiego, Appeles

znajomością sztuki, możnaby mu przebaczyć; lecz on malować umie, ręka jego po mistrzowsku włada pędzlem! Gdyby mu w duszy brakło świętego płomienia, gdyby nie umiał podnieść się do wysokości ideału i to przebaczyćby jeszcze można: nie każdemu dano być Michałem Aniołem lub Rafaelem. Ale p. Bonnat wiedział dobrze, co czyni. Chciał pokazać trupa na krzyżu i odtworzył go z prawdą rzeczywistą, czysto ziemską, ohydną! Aby uczynić go tém straszniejszym, oświecił przedmiot z dwóch stron: z jednej krwawém odbiciem zachodzącego słońca, z drugiej błyskawicami z czarujej chmury, co sprawia złudzenie optyczne, nadające wypukłość członkom, uwydatniające każdy muszkuł. Słusznie też porównano to ciało do mapy jeograficznej *en relief*, pełnej gór i pagórków, i dolin, i czarnych przepaści. Dowcip Paryżanów znalazł bogatą pastwę. „To Chrystus petrolez i komunardów!” mówili jedni; „to łotr ukrzyżowany na Kalwaryi, a nie Chrystus” wołali drudzy; to Chrystus odpowiadali inni, ale ukrzyżowany nie na Kalwaryi, tylko w pracowni świętokradcy malarza! To postrach na potępieńców, powołanych przed sąd,” utrzymywali znów tamci; obraz ten bowiem przeznaczony do pałacu sprawiedliwości! Wątpimy jednak czyli znajdzie tam miejsce; gazeta trybunalska wystąpiła silnie przeciw utworowi Bonnata.

Wyobraźmy sobie twarz szpetną, pospolitą, wykrzywioną konwulsyjnym drganiem, sino-miedzianej cery, jak zwykle u konających. Ciało sztywne, zastygłe, nogi zaś nabrękkie z rozdętymi żyłami, jakby u żywego człowieka. Niewłaściwość pochodzi ztąd, że malarz, odwzorowawszy kadłub z trupa, usunął martwy model, a zastąpił go żywym, którego postawił na przybitej do krzyża deszczulce. Dziwna rzecz, jakim sposobem malarz realista mógł zapomnieć, że u człowieka w chwili skonu, wprzód nogi tężeją, nim serce bić przestaje. Słowem mimo rysunku, mimo biegłości pędzla, obraz to beczny, ohydny. Przed takim Chrystusem, modlitwa niepodobną, ten już nie zmartwychwstanie! Bodaj się był nie rodził pod pędzlem takiego artysty!

Nie żądamy jednak, aby ten popęd do znieważania grubym realizmem świętych przedmiotów, miał być panującym we Francji. Bonnat stoi samotny na swój drodze; nie utworzy on nowej szkoły. Inni za to malarze inaczej pojmują sztukę religijną; świadczy o tém szereg obrazów, wśród których, jeśli nie znaleźć rafaelowskich arcydzieł, trudno przecież odmówić nie jednemu prawdziwie wzniosłego namaszczenia.

Dwa religijne obrazy młodych malarzy, nagrodzone zostały medalami. Pierwszy z nich pana Lehoux, przedstawiający męczeństwo Ś-go Wawrzyńca, policzony do najlepszych na wystawie. Święty leży na rozpalonej kracie: oblicze mocno oświecone płomieniem, pełne wyrazu i natchnienia. Wkoło snują się oprawcy: jedni znoszą drzewo, drudzy wzniesają ogień. Na prawo straż uzbrojona w włócznie, w głębi dowódzca konny, po za nim tłumy ludu. W oddaleniu rysują się mury miasta nad rzeką. Wielka siła i śmiałość w wykonaniu, cechują ten znakomity utwór.

Drugi także nagrodzony medalem obraz p. Courtot, przedstawia Ś-go Sebastjana, przesytego strzałami, zawieszony na drzewie. Dwie niewiasty rzymskie przystępują do męczennika: jedna wydziera strzałę z piersi, druga odwiązuje sznur, kępujący ciało. Światło rzucone z boku, nadaje całej grupie prawdziwą harmonią.

Do znakomitych utworów zaliczymy obraz Humberta, *Madonna z Dzieciątkiem na ręku* i Ś-tym Janem obok. Kompozycja to surowa, nawet archaiczna, przypominająca dawne byzantyjskie mozaiki, ale pełna oryginalności.

Płaszcz Bogarodzicy amarantowy, welon ciemno-brunatny, utrzymują całość w ciepłym tonie. Oblicze Jezusa ożywione idealnym blaskiem, słodki uśmiech igra Mu na usteczkach, kiedy chwytą z rąk maleńkiego towarzysza prosty, drewniany krzyżek.

Prawdziwie także piękny obraz wielkich rozmiarów p. Maillart: *Chrzest Świętego Augustyna*, przeznaczony do nowego kościoła w Paryżu. Na pierwszym planie widzimy ugrupowane grono dzieci-weczek, przygrywających na rozmaitych instrumentach. Za niemi Ś-ty Augustyn z dwoma uczniami stoi po kolana w sadzawce. Po lewej ręce biskup Ambroży Święty, otoczony duchowieństwem, leje wodę na głowy neofitów. Po prawej Ś-ta Monika, klęcząca obok niewiast, wyciąga ręce ku synowi z wyrazem Bożego zachwytu. Młodzieniec pochylony nad księgą, zapisuje w niej chwilę wielkiego tryumfu kościoła.

Porywa niemniej uwagę obraz p. Laurent, przedstawiający Ś-go Brunona. Rzecz dzieje się w dziedzińcu klasztornym w górach Kalabrii. Mrok pada na dziedziniec omurowany wkoło, ale ściany klasztoru oświecone żywym promieniem słońca. Ze schodów zstępuje święty, za nim zakonnicy w białych płaszczach, przy boku dwoje pacholąt. Wysłańcy księcia kalabryjskiego Rogera, składają na ziemi srebrne czasze i misy; święty odtrąca je z wyrazem oburzenia i grozy. Głos powszechny liczy ten obraz do najcelniejszych na wystawie.

Wspomnimy tu jeszcze piękny utwór p. Roux: *Ostatnie chwile Ś-go Wincentego a Paulo*. W obszerniej sali święty bliżki już skonu, siedzi oparty w wielkiem krześle; w ręku trzyma krucyfix. Kapłan pochylony u stóp, namaszcza mu obiedwie nogi. Dwaj chłopcy z zapalonymi gromnicami, stoją u boku świętego. Grupa aniołków przypatruje się z góry; blask zorzy, spływający z nich, oświeca przestrzeń całą.

Nagrodzono także medalem piękny szkic pana Monchablou przygotowany do fresków; są to czterej ewangeliści ze zwykłemi godłami. Ta liczba obrazów religijnych, z których celniejsze tylko wspomnieliśmy, świadczy wbrew zarzutom realizmu czynionym zbyt często Francji, że jeśli sztuka religijna nie kwitnie tu tak, jak kwitła we Włoszech w XV-ym i XVI-ym wieku, nierównie jednak ciej tu stoi, nizeli w całych współczesnych Niemczech.

Nim przejdziemy do obrazów mytyczno-symbolicznych (grand style), spojrzmy na portrety, same bowiem wchodzą nam w oczy, gdziekolwiek się zwrócimy. Naliczyliśmy olejnych przeszło dwieście, nie licząc w to pastelów, rysunków i akwareli. Wszystkie w ogólności dobre, wiele wybornych, niektóre doskonałe. Cabanel wystawił dwa wielkich rozmiarów. Krytyka zarzuca malarzowi zbytnie wypieszczenie. W żyłach, jak mówią, płynie różowy syrop zamiast krwi. Nie wiemy doprawdy, czy winić o to malarza, czy téż wzory, istne kwiaty egzotyczne, wychowane w sztucznej atmosferze salonowej. Pierwszy portret księżnej de Luynes młodej wdowy w żałobie z synkiem i z córeczką, tworzy harmonijną grupę; drugi cokolwiek mniejszy, pani Velches de la Valette córki Rauchera, mniej przyjemne sprawia wrażenie. Dziwimy się, jakim tu sposobem wielki artysta mógł pozwolić na tak niesmaczną mieszaninę kolorów, na tunikę śliwkową przy sukni jasno-błękitnej; może to być modnie, ale czy estetycznie? Piękniej przedstawia się portret kobiety pędzla Henera w czarnym, aksamitnym paltocie z futrem i takimże kapelusiku. Postać poważna harmonizuje z prostotą ubioru, ożywionego tylko błękitnym krawatem. W modrém oku widać siłę i spokój. Nie żadna to eteryczna sylfida, ale niewiasta mężna, gotowa na życia przygody i burzliwe koleje; świadczy o tém parasol, na którym wsparła się, jak na tarczy. Seledynowa draperya nadaje bladéj cerze pełen życia koloryt.

Uprzywilejowany portrecista arystokracji Dubuffe przedstawił trzy wiotkie hrabiny z przedmieścia Świętego Germana, trzy lilije kołyszące się na jednéj łodydze. Podobny ich strój, podobny układ włosów, jednaka cera anemiczna, jednakie spojrzenie zgasłych oczu, jednakie rączki wypieszczone. Maniera świata zatarła w nich wszelką cechę samodzielności. Spotyka za to, ową samodzielność, w wybornym utworze młodego artysty p. Bastien Lepage: *portret dziadka mójego*. Śliczny to starzec, w prostéj kapocie wieśniaczej z twarzą ogorzalą, pełną wyrazu, z okiem rozpogodzonym. W ręku trzyma wielką okrągłą tabakierę; kraciasta chustka wygląda mu z kieszeni. Malarz nie znany dotąd zwrócił na siebie uwagę powszechną, tym znakomitym utworem. Dowiadujemy się w téj chwili że Lepage otrzymał medal.

Pani Melie Jacquemart wystąpiła z trzema prawdziwie pięknymi portretami. Sława téj artystki datuje od lat kilku i wzrasta z każdym rokiem. Istna orlica zwracająca oczy ku słońcu, za cesarstwa pani Jacquemart zjednała sobie rozgłos portretem ministra Duruy i marszałka Canroberta. W roku 1870 widzieliśmy portret p. Thiers zidealizowany jéj pędzlem. W tym roku pewni byliśmy że zobaczymy portret prezydenta dzisiejszego Mac-Mahona, lecz inaczéj się stało. Znać artystka podniosła wzrok ku obcym gwiazdom, świadczy litera W. oznaczająca dwa portrety młodych małżonków. Litera W. nie ma w alfabecie francuzkim.

Do najpięrszych na wystawie należy portret Heberta byłego dyrektora szkoły rzymskiej, przedstawiający jakąś księżną w podeszłych latach. Wyraz zwiętego oblicza oddany z całą prawdą, a co więcej, podniesiony do ideału. Rzęsisto nagarniowany czepeczek łagodzi ostrość rysów; gdyby ta księżna ukazała z pod iluzji loczki siwe, o ileż byłaby piękniejszą. Niestety przykrywająca je czarna peruczka spletała nam całą harmonię. Trudnoż winić o to artystę.

Słynny portrecista Carolus Duran zdziwił w tym roku i krytyków i publiczność zwiedzającą wystawę. Wiadomo że ten malarz goniący za efektem, nadużywał w najwyższym stopniu jaskrawych barw, draperyi i ekscentrycznych ozdób, do czego pomagała mu dzielnie panująca od lat kilku moda. Żartowano z niego że jest raczej portrecistą sukien niż ozdób; jakoż w rzeczy samej, postać portretowanych nikła pod nawałem aksamitów, atłasów, koronek, wstąg i kwiatów. Carolus Duran, mówiono, strzelał nasamprzód z rewolweru aby pozyskać rozgłos; potem strzelał z karabinu a nakoniec z armaty! Sądziłiśmy w tym roku że postępując *crescendo* artysta puści w Paryż ognistą bombę, Carolus Duran tymczasem zmistyfikował wszystkich i obrócił w niwecz domysły. Dał na wystawę dwa przesłiczne portrety, jeden pani Pourtalés w sukni skromnej jasno-perłowej, wybornie oświecony i wymodelowany; drugi cudniejszy jeszcze, pięcioletniej swojej córeczki. Nic piękniejszego jak ta mała pieszcotka, w czarnej aksamitnej sukieneczce, przewiązana różową szarfą, w pończoszках popielatych, z czarną alzaką kokardą na ciemnych włoskach przystrzyżonych nad czołem, z bladą delikatną twarzyczką i czarnemi, dziwnie wyrazistemi oczyma. Kudłaty bonończyk na rękę dziecka ślicznie dopełnia obrazu.

Inaczej jeszcze Carolus Duran zażartował z krytyków. Zarzucono mu że nie zna anatomii, że nie umie malować ciała i dla tego nadużywa atłasów i koronek. Paryżanie oślepieni efektami, zapomnieli że przed dziesiątkiem lat, Duran, uczeń szkoły francuzkiej w Rzymie przysyłał do Akademii Sztuk Pięknych, wielkie kompozycje jak *Modlitwa wieczorna*, *Zamordowana*, i inne, w których występowały nie tylko istoty ludzkie w prawdziwych swoich kształtach, lecz i konie naturalnej wielkości. Otóż Duran dał dowód w tym roku że zna doskonałą anatomiją. Oprócz dwóch powyższych portretów, dał na wystawę idealną postać dziewczęcia bez odzieży, skąpaną w rosie, oświeconą blaskiem rannego słońca. Znaczący podziwiają doskonałość form anatomicznych, jak nie mniej mistrzowskie oświetlenie. Zemsta godna prawdziwego artysty!

Z pomiędzy ziomeków naszych pp. Krajewski, Korwin Milewski i Przepiórski wystąpili z pięknymi portretami. Aby zakończyć nasze sprawozdanie pod dobrą wróżbą, powiedzmy słówko o prawdziwie utalentowanej artystce, pannie Izidorze Mikulskiej. Portret hrabiny L... wykonany przez nią w tym roku, zasługuje nie tylko na uwagę, lecz na istotny podziw. Piękne rysy sześćdziesięcioletniej matrony, wymodelowane śmiało i umiejętnie, wyraz oblicza napiętnowany gę-

bokim spokojem, owym spokojem jaki zwykle następuje po burzy. Młoda artystka umiała oddać, nie tylko samo podobieństwo rysów, ale co właśnie cechuje prawdziwy talent, umiała przeniknąć duszę wzoru swojego, odgadnąć długie walki uwydatnione w bladłej pożółkłej cerze, w oku zapadłym i przygasłym, a bardziej jeszcze, w wyrazie głębokokiej rezygnacji. Ten to wyraz pochwyciła nasza artystka i podniosła go do wysokiego ideału. Suknia czarna jedwabna, pełna prostoty, koronka czarna zarzucona lekko na puklach siwych włosów, wszystko to tworzy razen prawdziwie harmonijną całość.

Panna Mikulska uczennica Cogneta i Karola Chapelain, jakkolwiek jeszcze bardzo młoda, od lat kilku znana już w artystycznym świecie paryzkim. Prace jej od roku 1868 znalazły już uznanie na kilku wystawach z kolei. Do najcelniejszych jej utworów należą rodzajowe obrazki: *Młoda matka*, *Trwoga macierzyńska*, *Odwiedziny u prababki*, i kilka pięknych portretów szczególnież D-r G. nabyty przez hr. Branickiego i ofiarowany do jednego z zakładów naukowych. W pracowni artystki zajął nas piękny portret jej matki, jak nie mniej własny jej wizerunek nie wykończony wprawdzie jeszcze, ale oddający wiernie pełne wdzięku rysy młodej artystki naszej.

Nie chcemy nużyć uwagi czytelnika, pozostawiamy też opis innych obrazów i rzeźb do kroniki sierpniowej.

Pod tytułem *Gynecologia*, pani Olympia Audonard napisała historyczny rzut oka na stanowisko kobiety w pasmie sześćdziesięciu wieków. Autorka o której mówiliśmy już rozbiegając w jednej z kronik podróż jej po Ameryce, należy do kobiet dopominających się o swe prawa, tak piórem w publikacjach różnej treści, jak żywem słowem w corocznych konferencyach. Gorliwa zapaśniczka w walce, pani Audonard umiała jednak ochronić się od przesady i śmieszności, w jakie wpadły zapalone jej współszermierki wypowiedające wojnę społeczeństwu.

Tyle już w ostatnich czasach pisano o prawach kobiety, w samą Warszawie tyle pism prowadzi gorącą polemikę w tym przedmiocie, tyle postawiono teorii, tyle rzucono w świat nowych pomysłów, że nie myślimy bynajmniej wchodzić w szranki i powiększać liczby walczących. Jeśli więc zamierzamy mówić o dziele pani Audonard, to jedynie traktować je chcemy ze stanowiska czysto literackiego, unikając zarówno roli rzecznika jak i oponenta w podniesionej sprawie wyzwolenia kobiety.

Książka którą mamy pod ręką wykazuje nam kobietę w starożytnych społeczeństwach u Hindów, Persów, Egipcyan, Greków, Latynów i Germanów, w czasach pogańskich a następnie przy pierwszym brzasku chrześcijaństwa. W jednym tomie zawarta całość; autorka zapowiada nam jednak tom drugi; ogarnie on historią niewiasty francuzkiej od

czasów Galskich aż do dzisiejszój chwili; niemniej ukaże na tle dziejów kobietę hiszpańską, włoską, angielską, polską, a nawet chińską i muzułmańską. Pani Audonard wzięła sobie za cel dowieść jak dalece ustawy społeczne wpływają na obyczaje kobiety: o ile niewola znikczemnia ich charakter, o ile znów swoboda daje im samo poznanie własnej godności.

Założenie piękne; nie brak autorce erudycy aby je loicznie przeprowadzić; załujemy tylko że brak jój niekiedy zimnej krwi i spokojności. Rażą nas te ciągłe przymówki *ad hominem*, to do Dumasa roszczącego sobie prawo życia i śmierci nad kobietą, to do zmarłego prawnika Dupin, z którym autorka polemizowała niegdyś w przedmiocie zbytków niewieścich. Takie kłucie śpilkami, zwykłe w artykułach dziennikarskich, przyjęte nawet w akademickich mowach, wydaje nam się nie na dobre w badaniu psychologiczném. Dalecy jesteśmy od zupełnego potępienia owęj soli, którą Francuzi na wzór mistrzów swoich Ateńczyków, lubią zaprawiać nawet płody suchej erudycy; protestujemy tylko przeciw jój nadużyciu. Wprawdzie trudna to rzecz dla autorki tak dowcipnej jak pani Audonard, wstrzymać złośliwy żart, gdy sam nasuwa się pod pióro. Zobaczmy oto jak umie dopatrzeć słabą stronę przeciwników i zręcznie w nią ugodzić.

„Mężczyzni—mówi—nie pobbłazają nam kobietom; chłoszczą nas przy każdej sposobności. I my téż mamy ostry oręż, użyjmy go we własnej obronie. Owym orężem polityka.

Skoro mężczyzna powie nam: Kobiety są lekkie, lubią świecidła, wstążki, poświęcają nieraz ważne i święte sprawy tym drobnostkom.

Odpowiem na to: A mężczyzni czyż nie gotowi częstokroć postąpić wbrew przekonaniu dla złotego świecidła i wstążeczki?

Gdy mi powiedzą: Kobiety nie umieją nigdy porozumieć się między sobą.

Odpowiem im: A mężczyzni czyż umieją porozumiewać się w polityce? Ci obstają za kolorem czarnym, tamci za błękitnym, ci znów pragną białego! Barwy sztandaru są dla nich trudnym do rozcięcia węzłem gordyjskim; spierają się, a kraj tymczasem dąży do zguby. Ich kłótnie gubią Francją!

Powiedzą mi: Kobiety są gadatliwe, całemi godzinami rozprawiają o niczém.

Odpowiem na to: A niektórzy mówcy parlamentarni, czyż całemi godzinami nie sypią słów brzmiących lecz pustych, z których nie wycisnąć jednéj myśli praktycznej!

Powiedzą mi: Przekupki kłócą się i niekiedy drą za włosy.

Odpowiem: A w klubach, przed wyborami, czyż się inaczej dzieje?

Powiedzą nakoniec: Kobiety zazdroszczą sobie, spotwarzają się wzajem!

Odpowiem na to: A mężczyzni przeciwnych obozów, czyż nie szkalują jedni drugich? Czytajmy tylko dzienniki!

Koniec końcem, dodaje autorka, polityka dostarcza nam sownie broni na przeciwników naszych; dzięki jój, mogą oddać wet za wet. Radzę też szczerze kobietom niech się nie wdzierają na owo pole, które wydaje tyle ciernisk i chwastów: zostawmy drugim odpowiedzialność!

We wstępie, autorka jednym rzutem oka przebiega sądy filozofów i myślicieli, głoszone na krzywdę kobiety, uznające ją albo złem koniecznym, lub przynajmniej istotą słabą, niby wiotką jemiotę, której potrzeba opleść się o dębowe konary. Zobaczmy te zarzuty.

Salomon rzekł: „Wdzięk niewieści kłamliwym jest, a dobroć występkiem“.

Plaut wyraża się z równą pogardą: „Nie chcemy wybierać pomiędzy kobietami, najlepsza z nich nic nie warta.“

Poeta grecki Hezyod w owój Puszczy Pandory, z której na świat wyszły wszystkie plagi, widzi uosobioną kobietę. Posłuchajmy go tylko:

„Kulawy Wulkan posłuszny woli Saturnowej, ulepił z ziemi postać podobną do czystej dziewicy. Boskie Gracye włożyły jój na szyję złoty łańcuch; długowłose Godziny ozdobiły jój czoło wieńcem wiosennych kwiatów; Pallas dała jój piękną szatę; Posłannik bogów na rozkaz Zeusa uzbroił serce jój sztuczną mową, zdradą i kłamliwym uczuciem. Herold bogów mienił tę kobietę Pandorą, gdyż mieszkańcy Olympu złożyli jój dary, aby się stała plagą dla śmiertelników.“

„Z Pandory, dodaje *Teogonia*, zrodziło się plemię niewieście. Złowrogie plemię osiadło między ludźmi. Jowisz dopuścił na mężów plagę niewiast“.

Eschyles mówi w *Siedmiu Wodzach*:

„Płeć to zniechęcona przez mędrców, tak w niedoli jak w szczęściu. Bodajbym nigdy nie łączył się z niewiastą, bo jeśli rozkazuje, pycha jój nieznośna; jeśli trwożliwa, staje się plagą domu.“

Sofokles przyznaje niekiedy cnotę niewiastom, upomina jednak aby mąż nie ulegał im nigdy; snadnie mu przebaczy jeśli schyli kark pod jarzmem tyрана.

Poeta Xenarque napisał: „Szczęśliwe koniki polne, albowiem nieme są ich towarzyski“.

Sokrates utrzymywał że straszniejsza miłość kobiety niż nienawiść mężczyzny, że lepiej żyć ze smokiem niż z niewiastą.

Eurypides zazarty wróg rodu niewieściego, ów Dumas grecki jak go nazywa autorka, woła w oburzeniu: „O jakże płeć niewieścia nędznie uposażona, w porównaniu płci męskiej. Wyższa od niej w przewrotności, o ileż niższa cnotą!“

„Kobiety, mówi w *Orestesie*, stoją zawsze kamieniem na drodze, która wiedzie ród męzki do szczęścia! W *Ifigenii* znajdujemy to słowo: „Gdy mąż w rodzinie umiera, godzien jest żałoby; niegodna jój kobieta!“ „O Jowisz! woła, ustami Hippolita, i czemuż to niewieście dałeś miejsce pod słońcem? Nie byłoby lepiej, gdyby ludzie kupo-

wali na wagę srebra lub złota, posiew przyszłych pokoleń złożon w świątyniach twoich i wychowywali dźiatwę bez udziału kobiety?"

Z owego steku ohydy i upokorzenia, autorka przechodzi do piérwszych wieków chrześciańskich. Chrześciaństwo, rzecze, uświęciło kobietę. Wobec męczeństw i prześladowania, potęgą wiary i odwagi dorównała mężczyźnie. Świadczy liczba świętych i męczenniczek.

Odmieniły się rzeczy. Przyszły wieki rycerskie: waleczni zapasnicy biorą za godło: „Mój król i moja pani.“

Świetna to epoka dla niewiast. Widzimy je krzątające się w dziedzinie sztuk pięknych i poezyi; dzięki im, obyczaje łagodnieją, społeczeństwo przychodzi do ogłady.

Trubaduruwie i Truwerzy, królowie i księżęta, Ryszard Lwie serce, Rajmund Beranger, Bertran z Hornu, Andrzej Tibold hrabia Szampanii i tylu innych, ogłaszają niewiastę istotą wyższą, wybraną, ideałem piękna i wdzięku. Rycerze walczą w obronie jęj czci znieważonej; poci przebiegają zamki i grody: w cudnych pieśniach opiewają cnotę i urok swych bohdanek.

I znów odwróciła się karta: wiek odrodzenia stał się dla kobiety wiekiem upadku! Szekspir rzekł mówiąc o niej: *zdradziecka jak fala!* Byron powtórzył za Szekspirem:

„Znam burzliwe kobiety, znam burzliwe fale:
Nad kochankiem się więcęj, niż nad majtkiem żalę.“

Poważny Monteskiusz tak się wyraża w sławném dziele „*Duch Praw.*“ Przyroda obdarzywszy mężczyznę siłą i rozumem i nie stawiając innęj tamy jego potędze, nad ową siłę i ów rozum, kobiecie dała tylko wdzięki, i chciała, aby jęj wpływ kończył się z temi wdziękami.

Naruszewicz jak widać sparafrazował Monteskiusza w sławnym wierszu:

„Natura wołom rogi,
Dziarskie kopyta koniom,
Rącze zajmą nogi,
Trąbę zaś dała słońiom;
Ptakom lot, rybom skrzele,
Nam roztropność w podziale.
Kobiętom zaś nie miała
Nic więcęj: cóż im dała?
— Pięknosc, która im stoi
Miasto strzał, miasto zbroi.
I miecz i tarcza pękną
Przed tą, która jest piękną.



Rousseau widział także w kobiecie bawidełko przeznaczone dla uciechy mężczyzn.

Bonald głosi aksyomat, że kobięta i mężczyzna nie stoją na równi i nigdy zrównać się nie mogą, lecz nie tłumaczy powodu takiej teoryi.

Robespierre apostoł wolności, równości i braterstwa okazał się niemniej zaciętym wrogiem kobiet. Kiedy Siéyes i Condorcet domagali się na korzyść kobiety godniejszego jej stanowiska, w kodeksie praw i społeczeństwa, Robespierre głosił z trybuny że połowa rodu ludzkiego musi ulegać drugiej.

Napoleon I-szy nie sprzyjał też kobietom. Kiedy dyskutowano w senacie nad kodeksem, wyrzekł pamiętne słowa: „Nie zgadza się z duchem francuzkim, aby kobieta miała działać według swój własnej woli.“

Legouvé w dziele *O kobiecie* pozbiierał wszystkie zdania, stwierdzające mniemaną niższość kobiet. „Rzecz określona stanowczo co do przeszłości—dodaje żartobliwie. Są na niebie gwiazdy drugorzędne, satelity, których przeznaczeniem krążyć około ciała wyższych i służyć im za orszak. Taką rolę odgrywa księżyc względem ziemi. A więc w mniemaniu świata, kobieta jest satelitą mężczyzny. Niektóre gwiazdy jak Jowisz naprzykład mają po cztery księżyce. Obraz to polygamii.“

Pani Audonard przytacza te słowa i dodaje do nich dowcipną uwagę: „Jeżeli taka opinia obraża miłość własną kobiety, niech ją pocieszy ta myśl, że ludzka nauka nieraz okazała się mylną. Długo mniemano, że słońce jest satelitą ziemi, że krąży w około niej, aby blaskiem swoim oświecać ludzi, owych królów stworzenia. Potrzeba było Kopernika, aby sprostał błąd wiekowy.“

Idąc loicznie do założeń swego, autorka występuje stanowczo z dowodami w ręku przeciw twierdzeniom tych, którzy zaprzeczają kobiecie siły fizycznój. Dzieli kobiety na cztery kategorie: na wielkie panie, mieszcanki, robotnice i wieśniaczki; naprzeciw każdej stawia odpowiednią kategorię mężczyzn.

Co do wielkich pań: bezsilność ich nie ulega wątpliwości. Brak powietrza, słońca i ruchu, moda długiego w noc czuwania, te warunki tak wprost przeciwne higienie, czynią je podobnemi do egzotycznych kwiatów; a jednak te eteryczne istoty w wiecznej pogoni za wrażeniem, trawiąc noce na balach i widowiskach dają dowody niepospolitej siły, niestety użytej tak marnie!

Zobaczymy, pyta autorka, czy młodzieniec światowy żyjący w tychże warunkach, okaże dowód siły muszkułarniej, gdy mu przyjdzie rąbać drwa, tłuc kamienie, nosić worki ze zbożem? Żyjąc inaczej miałby dostatek sił na cieślę i na drwala, jak wytworna pani na praczkę. Siła leży w nas, potrzeba ją tylko rozwinąć.

Weźmy mieszcankę. Ta pracuje na równi z mężem, musi w dodatku karmić i wychowywać dzieci.

A robotnica? Patrzymy na tę kobietę pochyloną nad brzegiem rzeki, po kostki zanurzoną w wodzie; patrzymy jak trze i wykręca bieleznię, czy w skwar lipcowy, czy w zamieć grudniową. Wszystko to dla niej jedno, musi zawsze pracować! Stabaż to, pytamy, kobieta? Dzień się kończy: obładowana pękiem mokrych chust, powraca do do-

mu, niekiedy zdaleka. Mąż wraca także z roboty. On przynajmniej odpocznie chwilę; dla niej spoczynku niema! I któż ugotuje wieczergę? kto obszyje męża i dżiatwę? Przekupka gdy wlecze w pocie czoła swój wózek, śmieciarka gdy zamiata ulicę, małoz wypotrzebują siły?

Zobaczmy teraz wieśniaków. Czyż kobieta wiejska mniej pracuje od męża? Kosi trawę, rżnie zboże, okopuje kartofle motyką, zbiera kamienie, kopie grzędy, piele, posiewa ogród. Przez cały dzień siedzi skulona, a wieczorem gdy mąż zaśnie znużony pracą, ona zamiata izbę, krząta się przy ognisku. Nadchodzi niedziela: mąż spieszy do karczmy, pije za stołem w gronie druhów; żona pracuje w domu: dla niej niema niedzieli. Mimo to krzepka i zdrowa, wychowuje dorodne dzieci, żyje długo, dłużej od męża; świadczą o tém cyfry statystyczne. I któż powie, że mąż silniejszy od niej?

Pani Audonard stawia mnóstwo dowodów świadczących o sile kobiety, gdzie tę siłę rozwijano odpowiedniem ćwiczeniem. Dowodów tych dostarcza jój Herodot, gdy mówi że w starożytnym Egipcie niewiasty chodziły na targ, pracowały w polu, podczas gdy mężowie przędli wełnę pod cieniem strzechy. W podróży po Egipcie autorka przekonała się sama, że po wiekach XX-tu obyczaje w niczém się nie zmieniły. Dziś jak za czasów Herodota, niewiasta pracuje tam jak bydlę, a Fellah kręci wrzeciono u drzwi swojego domu.

Głęboka erudytką przypomina jak dawne Giermanki z czasów Tacyta dzieliły z mężami trudy wojenne, jak starożytne niewiasty Galjskie oblegały i zdobywały miasta, jak Amazonki wojowały zawzięcie w Czechach, jak Wlasta przez lat ośm ściagała trop w trop Przemysława, aż poległa z orężem w ręku: jak Libusza narzucała prawa Władysławowi.

„Niech kto nie sądzi, dodaje, mówiąc o Amazonkach, że radabym wskrziesić te rycerskie niewiast zastępy. Cywilizacya nowożytna miała dość smaku, że uwolniła niewiasty od służby wojskowej. Wdzięczna jój za to jestem, radabym tylko dowieść, że jeśli kobieta niema być żołnierzem, to nie dla braku wytrwałości w trudach i siły.“

Odpowiedziawszy na zarzut słabości fizycznej, pani Audonard odpiera zarzut intelektualnej nieudolności, czyniony zarówno kobietom. Uwaga jój bardzo słuszna, że kto chce sądzić prace umysłowe kobiet w stosunku do prac męzkich, powinien wziąć na uwagę sposób niedbały w jaki je kształcono i zapory jakie napotykały. „Geniusz, mówi, to iskra Boża złożona w nas przez Stwórcę, ale iskra ta nie wybuchnie płomieniem, jeśli nie wykrzesana pracą naukową, nie wyrobiona stopniowym rozwojem myśli. Gdyby Kopernik nie miał najmniejszego pojęcia astronomii, gdyby go nie uczono matematyki elementarnej, nie byłby odkrył ruchu ziemi, gdyż to odkrycie było owocem nauk, nie samego tylko natchnienia. Chemia i matematyka, to podwaliny wszelkich odkryć. Przesąd pozbawia kobiety owych

nauk; ztąd zarzut, że nic dotąd nie odkryły zupełnie jest niesłusznym. Aby dobrze czytać, trzeba koniecznie znać alfabet. Otóż w naukach kobiety nie doszły nawet do alfabetu. Nieświadomość ta, z góry im narzucona, ściągą na nie zarzut niższości umysłowej.“

Mówią, dodaje autorka, że umysł kobiety ma zdolności właściwe sobie, odrębne. Zgadzam się, ale jestże to dowodem jój upośledzenia? Rubens nie byłby odkrył tego co odkrył Galileusz, a Galileusz z pędzlem w ręku byłby zapewne malował obrazy bez wartości. Obaj przecież byli geniuszami.

Mężczyzna i kobieta stworzeni na to, aby dopełniać się wzajem. Kto chce utrzymać rozbrat umysłowy między niemi, popełnia prawdziwą nieloiczność. Jeżeli taki rozbrat szkodzi społeczeństwu, bo zmniejsza sumę wiedzy ludzkiej, szkodzi nie mniej tém, że psuje harmonią pomiędzy małżonkami. Mąż uczony nie może zamienić myśli z żoną, nie mówi z nią o tém co ją najżywiej obchodzi: ona go nie rozumie. W takich warunkach żona nie może być prawdziwą towarzyszką męża: będzie jego bożyszczem albo bawidełkiem, niewolnicą albo kucharką. Małżeństwo, święte w całym znaczeniu słowa, wymaga spójni w myśli i w duchu, w uczuciu i w dążności umysłowej.

Potrzeba więc podnieść myśl kobiety, aby wrócić małżeństwu świętość jaką dziś postradało.

Słowa te nabierają więcej znaczenia, gdy je odniesiemy do francuzek, których wykształcenie umysłowe bardzo słabe w porównaniu z wykształceniem mężczyzn.

Po takim wstępie, autorka zapuszcza się w świat starożytny; daje obraz czterech pierwotnych ognisk cywilizacji: Hindostanu, Egiptu, Grecyi i Rzymu; czterech wielkich społeczeństw, jakimi przedstawiają się u kolébki dziejów i w dalszym historycznym pochodzie. Z głębokich badań ten wyprowadza wynik, że w wiekach pierwotnych kobieta stała wszędzie w prawach na równi z mężczyzną, że później dopiero w miarę skażenia obyczajów zstępowała coraz to niżej, aż w końcu upadła zupełnie. Z równą stała się niewolnicą.

Pochodnia cywilizacji, mówi pani A., zgasła dziś w Indyach, ale o dawnym jój blasku świadczą dotąd pyszne pagody i powalone złomy gruzów, na których wyrte są sceny ze starożytnej mytologii; świadczą o niej i odwieczne księgi Wedy, obejmujące zasady historii religijnej, moralności i praw społecznych. Ziemia i przyroda uosobione tu w „Aditi“ czczonéj przez oraczy Aryów. Pieśni Wedy wystawiają tę boginię jako matkę bogów, rozdawczynię wszelkiego szczęścia. Wspominają także „Zorzę“ (Ousna) sprawiającą czaty u bram niebios.

Z wyżyn mytycznych zstępuje autorka na ziemię, przypomina zasadnicze prawo Manu: „Jeżeli ojciec uważany jako obraz Brahmę, matka jest żywym obrazem ziemi. Ojciec to święty płomień domowego ogniska, matka to płomień ofiarny tlejący przy obrzędach.“ „Dwie władze, dodaje, męzka i żeńska zupełnie równe sobie.“

„Gdziekolwiek niewiasta żyje w ucisku, opiewa Rygweda, klątwą Brahmy ciąży tam nad rodziną; gdzie niewiasta szczęśliwa i poczczona, tam rodzina kwitnie i rośnie.“

Historia Indyi przedstawia kilka odrębnych epok. W pierwszej odnoszącej się do czasów kiedy Arye osiedli u podnóża Himalaj, niewiasty wolne, otoczone poszanowaniem, dzieliły trudy wraz z mężami. W starożytnych epopeach widzimy jak podniecają dzielność bohaterów, jak walczą przy ich boku. Później w epoce najwyższego rozkwitu cywilizacji, rycerscy Kszatrye spełniają tam czyny waleczności; ręka ukochanej najmiłszą dla nich nagrodą. Ci protoplaści średniowiecznych trubadurów, umieją władać zarówno piórem jak i łukiem; pozostały po nich wielkie poemata złożone niekiedy z dziesięciu tysięcy wierszy, na cześć uwielbionych istot. Oto urywek pieśni, w której poeta Gassamy tak wystawia oblubienicę:

„Nad brzegiem jeziora Dussudu, pod cieniem zielonych konarów utkanych krasnym owocem, kryje się dom mojej narzeczonej. Ona tak piękna, że wobec niej kwiaty zginają łodygi ku ziemi, jakby upokorzone widokiem siostry, stokroć od nich cudniejszej.“

„Gdy się ukaze, motyle porzucają kwiaty, sam nawet biały kwiat lotusu i ulatują nad nią.“

„Pszczółka przybiega do niej z brzękiem; znać więc, że kwiat ten mieści w sobie słodycz najwyższą!“

„Moja oblubienica czysta, jak gołąbka, co wybiegła za ledwie z gniazdką. Nikt nie dotknął jej ręki miłosnym uściskiem, nikt nie położył palących ust na jej usteczka purpurowe. Ona czysta! Ona mnie kocha! Ja to pierwszy dam jej poznać słodki urok miłości.“

„Wieczorem, kiedy słońce tonie w falach oceanu, kiedy miesiąc otoczony rąbkami chmurek, pogrąża ziemię w ciemności; kiedy wszystko śpi, gdy milkną dzienne gwary, ja kryję się w nadbrzeżnym sitowiu. Petzam jak wąż, zbliżam się do jej domu, mam słodką nadzieję, że litosny powiew, co igrał niedawno z włosami ukochanej, przyniesie mi ich woń czarodziejską!“

Pani Audonard porównywa sławną Romayanę do Illiady. I tu, i tam dzielni bohaterowie staczają zapasy o kobiety; ale o ileż Walmiki przewyższył Homera w pojęciu doskonałości niewieściej. Helena to tylko cud piękności; Sita zaś, to ideał wiary małżeńskiej i poświęcenia. Kiedy Rama, idąc na wygnanie, wiedziony szlachetnym uczuciem, żąda, aby młodziuchna małżonka powróciła na królewski dwór ojca swego, wzniosła odbiera odpowiedź z ust obrażonej:

„Niewiasta porzucona przez męża, odrzeczce Sita, umarła już, lubo żyje w goryczy i poniżeniu. Brahmini tak określają powinność naszą: żona, która wiernie postępuje za mężem, jak cień za śladem człowieka, idąc kiedy on idzie, spoczywając, kiedy on spoczywa, szczęśliwa, gdy łączy duszę z duszą małżonka swego: żona taka w przyszłym nawet świecie iść będzie za mężem, jak szła za nim na ziemi.“

Dodajmy tu uwagę, że pani Audonard zgadza się na określenie indyjskie tak wiernie odbite w mowie naszój *iść za mężem*; nie widzi w niem upokorzenia dla kobiety, pragnie tylko, aby miłość szczerą, oparta na szacunku, przewodniczyła im w pochodzie przez najezoną cierniem drogę życia; pragnie, aby sąd opinii z równą ścisłością surowością zboczenia, czyto męża, czy żony, jak to czynił u starych Hindów, gdzie mąż za złamanie wiary małżeńskiej, pozbawiany praw kastowych, stracony bywał do rzędu pariasów.

Ciekawe szczegóły dodaje autorka o teatrze Hindów, który poprzedził rozwój sztuki dramatycznej w Grecyi. Sławny dramaturg indyjski Kalidasa, współczesnym był Wirgilemu i Horacyuszowi. Doskonałość jego sztuk świadczy, że poeta, który się zdobył na takie arcydzieła, musiał mieć długi szereg poprzedników. Goethe tak się wyraża o Sakuntali:

„Chcesz-li czar wszystek zakląć w jednym słowie:
 Świeży kwiat wiosny i owoc jesieni,
 Ziemię i niebo, i woń ziół w dąbrowie;
 Zdrój wód, z kąd czerpią ochłodę spragnieni,
 Co bawi umysł, co serce zapala:
 Wszystko ci powie słowo Sakuntala.”

Widzimy tu najpiękniejszy typ małżonki, która w miłości czerpie siłę do przebaczenia obłędu i bolesnej dla serca jój obrazu.

Teatr indyjski miał charakter czysto-romantyczny. Autorowie nie zachowywali nigdy jedności miejsca ani czasu. Sztuki dzieliły się na dwa rodzaje: wyższego i niższego rzędu. Zasadnicze prawo wzbraniało kończyć rzecz traicznie, śmiercią bohatera lub bohaterki, czyto w widzialny, czy domniemany sposób. Obraz przენiewierstwa równie był zakazany. Żona cudza nie mogła być nigdy celem grzesznych zabiegów. Poszanowanie dla kobiety zabraniało ukazywać ją z piętnem hańby na czole. Chłostano za to inne wady, naprzykład kłótliwosć niewieścią w nader komiczny sposób. W wielu komedjach spotykamy typ skąpój. Zamyka chleb, liczy każdemu kęski; mąż i domownicy cierpią męczarnie głodu. Ten wysysa kamyki, tamten żywi się trawą i korzonkami. Skąpa żona kraje suknie tak ciasno, że mąż nie może się w nie wtłoczyć, suszy mu głowę, czemu tak utył, narzeka, że dzieci rosną, że nienastarczyć im chleba i odzieży; aby dać im zapomnieć o głodzie, wymyśla zabawne powieści. Mąż błaga o pieniądze, żona opiera się; ulega w końcu: daje drobny pieniążek z długą admonicyą za marnotrawstwo.

W żadnej sztuce nie widać typu skąpego męża. Dowodzi to, że kobieta jest w domu kasyerką i strażniczką fortuny. Ona ma w ręku klucze, wypłaca sługom należytość, pobiera dochody, rozdaje jałmużnę, doбира sobie zięciów i synowe. Kobieta indyjska daleka od zależności, jest, co się zowie, panią w domu własnym.

Dziś znika coraz bardziej stara prostota w obyczajach Hindów. Bajaderki niegdyś czyste strażniczki świątyń, zmieniły zupełnie charakter. Mimo to kobiety w ogólności utrzymały się tam na niepodległym stanowisku, są duszą domowego ogniska. Wiele z nich oddaje się pracy umysłowej. Almy (uczone) tworzą, śpiewają i deklamują wiersze, układają sceniczne zabawy; żadna uczta nie obejdzie się bez nich. Ogół otacza je wielkiem poszanowaniem.

Z Indyi autorka przechodzi do starożytnj Persyi. I tu w czasach pierwotnych, niewiasta żyła na równych prawach z mężczyzną. Religia Zoroastra utrzymała tę równość. Wprawdzie wyłącza kobietę od służby w świątyni, lecz nakazuje czcić, jako dobroczynne geniusze, imiona tych, które zastępnęły cnotą i odwagą.

W poemacie Szah-Nameh, który odbija w sobie duszę starożytnj Persyi, widzimy kobietę głęboko poszanowaną. Poeta-historyk ukazuje nam dwie bohaterki, walczące obok mężów, sławne poetki, gędźbiarki i śpiewaczki. Wolność, jakiej używały, podnosiła im ducha. Typem ich owa sławna Artemizya żona Mauzoleusza, której świat zawdzięcza jeden z cudów swoich w Halikarnesie. Ale od czasu, jak Kambizes wprowadził wielożeństwo, kobieta upokorzona, traci uczucie dawnj godności. Obyczaje psują się coraz bardziej. Dziś przyszło do tego, że mężczyzna kupuje kobietę lub najmuje ją na liczbę lat określonych kontraktem.

W Assyrii autorka pokazuje nam pyszną postać Semiramidy. Napis własnego jej układu, skreślony na grobowcu w Babylonie, jasno maluje tę wielką osobistość: „Przyroda dała mi ciało niewiasty, czyny moje uczyniły mnie równą najdzielniejszym mężom. Władalam państwem Ninusa, które ku wschodowi sięga po rzekę Nihanam, na południe po krainę kadzideł i miry, na północ do Sokdyanu. Assyryjczyk przedemną nie widział nigdy morza, jam dostrzegła cztery, dotąd niedostępne ludzkim stopom i zapanowałam nad niemi. Jam zmusiła prądy rzek, aby płynęły g'woli chęci i pożytkowi memu. Jam używniła ziemie jałowe, skrapiając je wodą rzek moich; jam pobudowała niezdobyte warownie, poprowadziła drogi przez zjeżone krawędzie opok, przez pustynie deptane tylko nogami dzikich zwierząt. I w pośród tych wszystkich trudów, znalazłam czas ku uprzyjemnieniu życia sobie i wiernym moim.”

Runął gród zanurzony w zbytłkach i rozpuście; niewiasty przyszły do ostatniego poniżenia. Ojcowie i mężowie za garść złota sprzedawali żony i córki zdobywcom pysznego Babylonu.

Podróż po Egipcie w roku 1867, pozwoliła autorce zbadać na miejscu pomniki długotrwałej potęgi tego państwa, nad którym wadało 470 królów i pięć ukoronowanych niewiast. Królowe te pozostawiły głębokie ślady w dziejach Egiptu. Pierwsza z nich piękna Nitokrys, okrutna mścicielka zamordowanego brata, buduje sobie na grób istniejącą dotąd piramidę. Amauze miłośniczka sztuk pięknych w ciągu dwudziestoletnich rządów, wznosi w Tebach

wspaniałe gmachy i pałace, o czém świadczą symboliczne płaskorzeźby i hieroglify. Na 1600 lat przed erą chrześcijańską Imahoumod (matka wdziękow), podejmuje berło po Faraonie Horusie: włada mądrze i biegle godna córka wielkiego ojca. W sto lat po niej panuje królowa Taoser. Na świeżo odkrytym grobowcu w Bibun el Molouk widać ją w płaskorzeźbie, jak składa bogom ofiary i z ust ich odbiera zlecenia. Ostatnia z nich sławna z pychy, intryg i nieszczęść, umiała być wielką nawet w zbrodni. Kiedy kohorty Augusta Cezara zajmują podbity Egipt, Kleopatra, nie chcąc przeżyć hańby, przykłada do piersi jadowitą gadzinę i kona wraz z niepodległością starożytnéj ziemi Faraonów!

Rzeźby na dawnych pomnikach odkrytych dziś w Egipcie, wtajemniczyły autorkę w życie domowe egipskich niewiast. Wszystkie ją przedstawiają otoczoną zbytkiem i przepychem. Tu siedzi obok małżonka, pochylona nad szachownicą, tam przygląda się płasom niewolnic lub słucha przygrywających gęźbiarzy. To znów w świetnym orszaku domowników, strojna w klejnoty bierze udział w uczcie publicznej: tam w dziedzińcu przepysznej willi, spoczywa wśród kwiatów i wodotrysków. Wszędzie i zawsze widać w niej panią domu.

Z Egiptu pani Audonard prowadzi nas do Grecyi. W wiekach Homerycznych ukazuje kobietę szczęśliwą i wolną. Praca utrzymuje w niej siły ducha i ciała. Bogini mądrości zaślania ją tarczą swoją, jak to widzimy w ustępie z Odyssei.

„Tu niewiasty kamienne obracają żarna
I pełnemi w nie garściami sypią złote ziarna;
Ta lnianą nić z kądzieli wyprzędą radosno,
Tamta bieluchną wełnę nasnuwa na krosno.
W ciągłym ruchu migocą ich ręce niewieście,
Niby listki topoli przy wiatru szeleście,
A tkanka ich wyrobu w pełne fałdy spływa
I świeci, by na słońcu błyszcząca oliwa.

Jako mężom feackim nie sprostą świat cały,
Gdy nawy swemi porą wzdęte morza wały,
Tak feackie niewiasty nad innemi słyną,
Dziełem skrzętnéj swéj ręki, wytworną tkaniną;
Bo mądrością i smakiem Minerwa je darzy
I czystą myśl tych niewiast trzyma w swojej straży.”

Związek małżeński świętym był w mytycznéj epoce: dowodem słowa Homera. Ulyses tak przemawia do Nauzyki:

Przezacnego małżonka bądź szczęśliwą żoną,
Niech kwitną wasze progi zgodą niezmaconą;
Bo nie znaleźć śmiertelnym pomyślniejszój doli,
Jak kiedy serce z sercem jedna myśl zespoli,
Gdy słodka zapanuje nad domem ich władza.
Ta jedność do rozpaczy wroga doprowadza,

Uszczęśliwia przyjaciół i parze dobranej
Rozsiewa promień szczęścia na domowe ściany.

Za Homera niewiasta była królową. Ze zmianą obyczajów zmieniły się jej losy. Mieszkańcy Miletu i innych osad greckich w Medyi, uciekając przed azyatycką powodzią, szukają przytułku w pierwotnej swój ojczyźnie. Przesiąkli nawskróś wschodnim wpływem, przynoszą zbytki i zepsucie do Aten. Zaraza szerzy się gwałtownie. Wówczasto rozpoczyna się w Grecyi nowa era, pełna chwały dla literatury i sztuk pięknych, smutna pod względem ustaw społecznych i moralności. Kobieta stała się niewolnicą najprzód ojca a potem męża; niewola, jak zwykle, zrodziła gorzki owoc.

Homer opiewał niewiastę wolną, Arystofanes ukazuje niewolnice zamknięte w Gyneceach. Upadek niewiasty pociąga upadek całego społeczeństwa. Mężczyźni, żyjąc między sobą albo w towarzystwie zepsutych kobiet, przemawiają w dziwnie cyniczny sposób. Język dzisiejszych przekupek słabe dałby wyobrażenie owego języka, jaki słynny komik kładzie w usta wytwornych niegdyś Ateńczyków. Z pomiędzy komedyi Arystofanesa przytaczamy jedną, która maluje najwybitniej obyczaje i dążności ówczesnych kobiet. Tytuł jej „*Sejm Niewieści*.“

Praxagora promotorka emancypacyi w Atenach, około r. 415 przed naszą erą, powołuje niewiasty do domu swego; przybywają tłumnie. Każda według umowy, odziana w płaszcz męzowski, ma na nogach twarde buty, w jednem ręku kij, w drugim trzyma fałszywą brodę. O świecie udają się razem na zgromadzenie; utworzą większość i żądać będą, aby wodze rządu powierzono kobietom. Tymczasem próbują sił w wymowie. Jedna woła o wino.

— Czy mężczyźni piją na zgromadzeniu?—pyta druga.

— Zapewne że piją—odpowié Praxagora—i jakie jeszcze wino! To téż ich wyroki podobne do marzenia pijaków! I promotorka wstępuje na zaimprovizowaną mównicę.

— Sprawa kraju—rzecze—ciąży mi na sercu równie, jak i wam wszystkim. Oburzam się, patrząc na bezład naszego miasta, którym rządzą ludzie przemrotni. Mamy zgromadzenia; ktokolwiek pobiera pieniądze, chwali istniejący porządek, kto nie bierze nic, rzuca pioruny na rządzących.

Ty ludu mój powodem jesteś wszystkich klęsk, ty szafujesz mieniem publiczném! Rzeczpospolita chromieje, ale czas jeszcze ją ocalić! Oddajmy władzę niewiastom, to jedyna deska zbawienia. O ileż one roztropniejsze i oględniejsze od nas! U nich wszystko idzie po dawnemu. Piorą wełnę w ciepłej wodzie, jak dawniej, rozczyniają ciasto, jak dawniej, obchodzą święto Cerery, jak dawniej, dokuczają męzom, jak dawniej, przyjmują do domu kochanków, jak dawniej, oszukują w wydatkach domowych, jak dawniej, piją czyste wino, jak dawniej. Otóż Ateńczykowie, oddajmy im rząd kraju, nie patrzmy

na drobnostki, pamiętajmy tylko, że są matkami, że nie zechcą szafować krwią żołnierzy, zresztą kobieta umie zbierać pieniądze.

Mowa ta wywołała oklask obecnych kobiet, przylepiają brody i wsparte na kiju z dawną pieśnią na ustach, idą na zgromadzenie.

Mężowie tymczasem budzą się ze snu; tu następuje scena pełna dowcipu, lecz zaprawna grubiańskimi żartami.

Blepyros mąż Praxagory, napróżno szuka płaszcza i butów. Kładzie złotą tunikę żony, wsuwa jej obuwie i tak wychodzi z domu. W bramie spotyka sąsiada, przebranego również po kobiecemu.

— A to co? jakże ty wyglądasz—zawołał sąsiad.

— Od godziny szukam płaszcza i nigdzie go nie widzę.

— Powiedz żonie niech go poszuka.

— Żonie! Dziwne rzeczy, jej także nie ma w domu! Nie rozumiem co się z nią stało.

— Szczególna przygoda. Czy wiesz że ja sam jestem w podobnym wypadku.

Wchodzi nowa osoba. Chremes powraca ze zgromadzenia, opowiada że nigdy nie widział takich tłumów. Piękny, blady jakiś młodzieniec, rzecze do Blepyrusa, wysławiał kobiety, a spotwarzał cię strasznie.

— I cóż o mnie powiedział?

— Że jesteś złodziejem.

— Ja tylko? A o tobie nicże nie mówił?

— Co ci w to wchodzi! Mówił jeszcze że zdradzasz tajemnicę stanu.

— Ja tylko?

— Ty i my wszyscy.

— Mówił — ciągnie Chremes — że kobiety są mądrością samą, że szanują pieniądze, że nie wydają tajemnic Cerery, gdy my tymczasem zdradzamy tajemnicę stanu.

— Miał słuszność— rzecze Blepyrus.

— Mówił nareszcie, że kobiety pożyczają bez świadków jedna od drugiej, klejnoty, suknie i srebra i oddają wszystko sumiennie. My zaś procesujemy się nawzajem, chociaż pożyczamy przy świadkach.

— I to prawda!

— Koniec końcem, podał wniosek aby oddać rządy kobietom.

I zgromadzenie zgodziło się na to większością głosów.

— Tak więc postanowiono?—woła Blepyrus.

— Nieinaczej. Większość stanowi prawo. Ojcowie nasi mawiali, że najszaleńsze postanowienia obracały się zawsze na dobro Rzeczypospolitej!

Kobiety rzuciwszy mężką odzież, powracają do domu; każda tłumaczy jak może nieobecność: mężowie jak zwykle dają wiarę na oślep.

Blepyrus oznajmia żonie, że zgromadzenie złożyło losy Rzeczypospolitej w ręce kobiet.

— Tém lepiej—odręcze Praxagora, udając skromną minkę.

— A to czemu?

— Czemu? Bo nie będzie ani spisków, ani wojen, ani szpiegostwa.

— A z czego ja będę żył—zawoła Blepyrus z rozpaczą.

Kobiety oddają przewodztwo Praxagorze, ta ogłasza Rzeczpospolitę Platona. Wspólność majątków, wspólność żon, wspólność dzieci.

Naiwny obywatel składa wszystko co ma do massy; *praktyczny* przynosi czwartą część, *przebiegły* nie daje nic, woli korzystać z mienia drugich.

Kiedy obiad na stole, przybiegają tłumy; gdy potrzeba łożyć na obiad, nie zobaczyć nikogo.

Gdy idzie o pracę, każdy wymawia się, nie chce pracować dla drugich, woli korzystać z cudzej pracy. Szczęściem republikanie mieli tłumy niewolników; gdyby nie to, ziemia leżałaby odłogiem, śmiecie zasypałyby miasto. Większość próżnuje, oszusty wyzyskują uczciwych.

Kiedy młodzian ofiaruje serce pięknej dziewczycy, stara baba bez zębów pochwyca go za rękę:

— Czekaj mój piękny—rzecze—w imię równości dopominam się o twoją miłość!

Kiedy młoda dziewica szepcze słodkie wyznanie do ucha młodzianowi, stary jednoooki dziad, staje pomiędzy niemi.

— Zatrzymaj się panienko, wyznanie twoje także do mnie należy; według systematu wielkiego Platona, wszystko musi wspólném być wszystkim!

W innych komedjach Arystofanes chłoscze niemniej wady niewieście. Z tych pocisków pokazuje się jasno, że mimo rygli żelaznych i strasznych Molosów postawionych na straży u progu gynecceum, kobieta, brak wolności godziwej nagradzała sobie swawolą.

Od Greków autorka prowadzi nas do Rzymian. Drużyna rozbojników spanoszona gwałtami i łupieżą, zakłada miasto na siedmiu wzgórzach. Nie ma zrazu niewiast w owém mieście. Drużyna rozbiega się na prawo i na lewo, porywa Sabinki! Przyrzeka im zupełną równość w prawach. Branki przywiązują się do zdobywców, występują jako pośredniczki między mężami a rodziną. Na głos ich, wojna ustaje.

Romulus wdzięczny niewiastom za pośrednictwo, nadaje im przywileje, uwalnia je od ciężkich prac domowych: kądziel i krosna jedyném ich zajęciem.

W pierwszej epoce Rzymu, świadczy Momsen, rodzina urzędowa była w sposób mądry i sprawiedliwy, pod jednaką powagą ojca i matki. Mąż pilnował spraw zewnętrznych, żona była wyłączną pa-

nią domu. Majątek ich był wspólny. Prawa i obyczaje szanowały niewiasty. Dzięki tym instytucjom, imiona matron rzymskich wspinałym blaskiem świecą na kartach dziejów.

Koryolan postanawia zgubić Rzym: matka wygnańca Weturya i żona Wolunnia przybiegają ze łzami i odwodzą go od zbrodniczego zamiaru.

— Matko—zawoła Koryolan—wybrałaś między Rzymem a synem własnym! Nie zobaczysz mnie więć! Bodajby rzymianie umieli ci być wdzięczni.

Odwdzięczył to senat, rozkazał wnieść pomnik na cześć niewiast.

Na 500 lat przed Chrystusem, Lukrecya małżonka Kalatyna, znieważona przez Sixtusa syna Tarkwiniusza Pysznego, powołuje ojca, męża, braci i krewnych. Błada od grozy, wyznaje przed nimi hańbę własną; woła o pomstę, a niezdolna żyć w takiej bezczesći, w obec nich przebija się sztyletem. Bohaterstwo młodej kobiety oburza umysły przeciw królom, sprowadza rzeczpospolitą.

Tacyt ukazuje Agrypinę żonę Germanika, jak ożywia mężtwo w zmordowanych wojną legionach, jak sprowadza z Itali zwłoki małżonka, jak oskarża Pizona o morderstwo. Zowie ją niewiastą z wielkim sercem.

Niemniej sławna w dziejach Porcy. Kiedy małżonek jej Brutus postanawia zamordować Cezara i pilnie ukrywa przed żoną krwawy zamiar, ona odgadłszy tajemnicę, rani się w obec męża. Brutus pyta o powód:

— Chcę ci dowieść—odrzecze śmiało—że gdy ręka twoja chybi, jam gotowa iść z tobą do grobu.

Po śmierci Brutusa połknęła rozżarzone węgle, dotrzymując obietnicy.

Wśród tych wielkich matron, najwspaniałej świeci postać Kornelii córki Scypiona Afrykańskiego, małżonki Gracchusa: zostawszy wdową czuwa nad wychowaniem dwanaściorga sierot. Piękna jeszcze, odmawia ręki licznym zalotnikom; kiedy król Egiptu pragnie złożyć u stóp jej koronę, ona ukazuje mu dzieci: „Oto—rzecze—najpiękniejsze klejnoty moje!“ Światła ta matrona zgromadza do domu swego uczonych i poetów, uprawia z zapałem literaturę grecką. Ciceron przytacza jej listy jako wzór wytwornego stylu. Rzymianie wzniesli jej pomnik z napisem: „Kornelii matce Gracchów.“

Zmieniły się czasy i obyczaje. W miarę jak Rzym rozrasta się do potwornych rozmiarów, zepsucie podkopuje do gruntu jego posiadły. Zwycięzkie kohorty ze wszystkich krańców świata, znoszą łupy i złoto. Zbytek nikczemni serca, szal rozpusty zalewa miasta, jak płomienista lawa. Niewiasta sponiewierana, okryta pogardą, traci dawną powagę wraz z uczuciem własnej godności. Niewola uświęcona prawem, pogrąża ją w coraz to głębszy odmet.

Juwenalis, Tacyt, Marcialis i Owidiusz malują straszniemi rysami obyczaje współczesnych sobie matron. Stracone z dawnego stanowiska rzucają się w szalone zbytki; miłość strojów staje się panującą ich namiętnością. W tym kierunku wyteżają całą działalność, marnotrawią wszystkie siły ducha. Rozpasana fantazyja smakuje w potworności. Prospercyusz szydzi z włosów malowanych żółtą a niekiedy błękitną nawet farbą.

Owidiusz ułożył taką elegię, na włosy ukochanej:

„Błagałem cię gorąco, nie słuchałaś rady.
Po co barwić włos kruczy zatrutemi jady?
Uznałaś po niewczasie prawdę w mojem słowie,
Gdy jednego już włoska nie ma na twój głowie.
A piękneż one były, pomnij ukochana,
Gdy cię jak płaszcz falisty kryły po kolana.

Nie obwiniaj śmiertelnych o złośliwe psoty,
Czarodziej-że to urzekł twę krucze uploty?
Ściągał je dłoń zawiścią podżegana mściwą?
Ty zniszczyłaś je sama, zatrutą oliwą!

Dziś aby sztucznym blaskiem świeciły twe lica,
Żupem włos ci oddaje wroga niewolnica!
A gdy cię zalotników rój dworskich otoczy,
Gdy słać będą cudny blask długich warkoczy;
Wtedy gładkie twe czoło wstyd krasą zrumieni;
Zapytasz siebie w duchu: „mnież chwałą szaleni“
Maż się chlubić, mój umysł do pychy zbyt skory,
Z głowy branki germańskiej zdartemi kędziory?

Obok ohydneho obrazu niewiast rzymskich z epoki ostatnich Cezarów, pani Audonard stawia jako sprzeczność, obraz dzikich ale wiernych i wolnych giermanek, które podzielały z mężami trudy wojenne, podsycaly w nich ducha radą, nawet przykładem. Przychodzi wreszcie autorka do konkluzyi: „Widzieliśmy, mówi, do jakiego stopnia poniżenia spadła niewiasta w sławnych Atenach i w zwyciężkim Rzymie, ale oto połyska nowe światło, czysta i święta moralność Chrystusowa! Zobaczymy wnet jak niewiasta zrzuca z siebie potarzaną szatę, jak dusza jój budzi się z długiego snu, z jakim zapalem przyjmuje owe rozkazy Boże, owe przepisy sprawiedliwości, czystości i miłosierdzia, co świadczy wymownie, że żywioł niewieści godzien był zrozumieć całą wzniosłość téj religii, którą Bóg w miłości swojej dał poznać ludziom, za pośrednictwem Chrystusa!

Niewiasta chrześcijańska w górę podniosła głowę, nabrała przeświadczenia o swéj godności moralnej, którą prawa ludzkie uspiły, okazała, że dusza niewieścia nie jest niższą, od mężkiej, skoro przy-

muje tak skwapliwie tę przeczystą moralność, owe przepisy, będące najwyższym wyrazem prawdy i sprawiedliwości!

Autorka wsparta świadectwem ewangelii, przypomina, jak Chrystus w czasie nauczania swego, otoczony był zawsze gronem niewiast, jak miłosierny dla nich przyjmował je pomiędzy uczniów, jak na prośbę siostr zmarłego Łazarza, przywraca mu żywot cudownie; jak dla Maryi Magdaleny ma tylko słowa przebaczenia, nadziei; jak okazuje miłosierdzie nad jawno-grzesznicą, mówiąc: „Kto bez grzechu, niech rzuci w nią kamieniem;” jak nigdy żadnym słowem nie poniża niewiasty, nie naznacza jej podrzędnego stanowiska. Przypomina niemniej autorka, jak święte niewiasty z godną uwielbiania odwagą, nie opuszczają Chrystusa w chwilach męki krzyżowej, jak stoją u stóp krzyża, jak podejmują ciało, oblewają je łzami, składają w grobie i nad grobem pilnie trzymają strażę; jak zmartwychwstały Bóg-Człowiek, nagradzając tę żarliwość niewieścią, ukazuje się naprzód Magdalenie, jakoby na znak, że niewiasta godniejsza ujrzyć światło, poznać i uczcić Boga.

Jakoż ledwie, że z ust apostołów rozbrzmiało po świecie słowo ewangelii, niewiasty wyrzekają się pierwsze dawnych błędów i gorącym sercem przyjmują nową naukę. Święty Paweł poświadczając to wielokrotnie w listach swoich. W Atenach, w tym ognisku zepsucia i błędnej filozofii, przyjmuje chrzest pierwsza Damaris, niewiasta wysokiego znaczenia. W Rzymie wiele dostojnych matron wyznaje naukę Chrystusową.

Pani Audonard na dowód potężnej wiary niewiast, wylicza długi szereg męczenniczek, które po bohatersku przypieczętowały krwią siłę własnych przekonań. Na dowod dzielności ich umysłowej, wspomina świętą Teresę, której pisma postawiono obok dzieł Ojców kościoła. Nakoniec, na dowód wysokiego patriotyzmu, wymienia Genowefę świętą, patronkę z Nanterre i Joannę, cudowną patronkę z Domremy.

Autorka tak głęboko patrząc na rzeczy, nie mogła pominąć owych listów świętego Pawła, w których apostoł zaleca uległość żon dla mężów. Podczas kiedy inni zwolennicy emancypacji niewieściej, głoszą, jakoby święty Paweł nakreślił te słowa, ulegając ówczesnym przesądom, upowszechnionym pomiędzy Żydami, pani Audonard poddaje głowę pod wyrok Apostoła.

Święty Paweł napisał do Efezów:

„Żony niechaj będą poddane mężom swym, jako panu.

Albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową kościoła.

Ale jako kościół poddany jest Chrystusowi, tak téż żony mężom swoim we wszystkiém.

Mężowie miłujcie żony wasze, jak Chrystus umiłował kościół i samego siebie wydał zań.

Tak i mężowie mają miłować żony swoje, jako swoje ciało; kto miłuje żonę swoją, samego siebie miłuje.

Dlatego opuści człowiek ojca, matkę i złączy się z żoną swoją, i będzie dwoje w jednym ciele.

Sakrament to wielki jest, a ja mówię w Chrystusie i w kościele." Zobaczmy, co odpowiada na to autorka.

„Zaprawdę nie widzę w tém nic upokarzającego dla kobiety, coby dać mogło do myślenia, że święty Paweł uznaje w niej istotę niższą. Porównywa ją do kościoła, do przeczystej oblubienicy Chrystusowej, téj Strażniczki świętej prawdy i najwznioślejszej moralności! Mąż powinien ją miłować, jak Chrystus miłuje swój kościół aż do oddania życia za nią! Powinien ją miłować, jak miłuje sam siebie!

„Oświadczam więc stanowczo—kończy autorka—że od chwili jak *wszyscy* mężowie stosować się będą do świętych rozkazów apostoła Pawła, nie będą troszczyć się o kodeks; uznam za rzecz najślusniejszą, aby kobieta oddana była całkiem na łaskę pana, któryby ją miłował jak siebie samego, gotówby dla niej poświęcić ojca i matkę, a nawet umrzeć za nią; któryby ją miłował tą miłością czystą, świętą i nieskończoną, jaką Chrystus miłuje swój kościół.

„Gdyby mężowie rozumieli *wszyscy* obowiązki małżeńskie według świętego Pawła, żona szczęśliwa w tej ścisłej jedności duszy, serca, ciała i myśli, żyłaby spokojna i zadowolona nie pytając o prawa“.

Wszyscy! Wyraz ten dziwnie jakoś maćci nam harmonię, pięknych zkądinąd dowodzeń pani Audonard. Doskonałość jestże udziałem wszystkich? Jeżeli zresztą mężowie wyłamują się zbyt często z pod przepisów świętego Pawła, alboż to i *wszystkie* żony przyjęły do serca słowa Apostoła Narodów?

O ile kodeks praw może zapewnić szczęście i spokój kobiecie, nie nam wyrokować o tém. Zapowiedzieliśmy z góry że nie chcemy wdawać się w polemikę, w sprawie która dziś podała broń tyłu zdolniejszym od nas szermierzom. Przy toczącej się walce, dzieło pani Audonard może zająć nie jednego z naszych czytelników, dla tego przebiegliśmy je tak szczegółowo.

Są w tém dziele ustępy przeciwne zupełnie naszym przekonaniom. Godziż się aby autorka tak wytrawna, z takim poszanowaniem cytująca słowa ewangelii, tak lekko traktowała Mojżeszową Genezę, jak to czyni pani Audonard? Zgoda na to że młodzieuczne angielski rozczytując się w Starym Testamencie, mogą natrafić tam na ustępy niekoniecznie potrzebne do uzupełnienia summy wiedzy dziewiczej; ale na co zgodzić się nie możemy, to na systematyczne wyszukiwanie plam na słońcu, na sądzenie starożytnych obyczajów według modły dzisiejszej. Gdyby Stary Testament bezwarunkowo był doskonałym, nie byłby potrzebował dopełnienia. W każdym razie jednak zasługuje on, aby ci co go czytają, naśladowali owych synów Noego, którzy z miłości rzucili płaszc na obnażone ciało Patriarchy.

Wspominaliśmy w roku zeszłym, że znakomity muzyk nasz w Paryżu, Wojciech Sowiński, zamierza wydać w języku polskim, ważne dzieło historyczne p. t. *Słownik muzyków polskioł* dawnych i nowoczesnych, na wzór dzieła które wydał po francuzku w roku 1837. Otóż zamiar ten przyszedł do urzeczywistnienia. Mamy właśnie przed sobą pierwsze formy wyszłe z pod prassy. Nowa publikacya nie jest prostym przekładem: autor od szesnastu lat zebrał mnóstwo nowych materyałów, historycznych i biograficznych. Dosyć powiedzieć, że czterysta imion nie objętych w dziele francuzkiem, wzbogaci polskie dzieło.

Imię Sowińskiego znane w kraju, więcj zapewne jeszcze znaném jest w artystycznym świecie paryzkim, gdzie muzyk nasz wyrobił sobie wysokie stanowisko. Msze jego utworu, grywane tam często po kościołach, jego oratorya i hymny, ozdobą są koncertów religijnych; jego uwertury i pieśni choralne wywołują grzmiące oklaski na orfeonicznych zgromadzeniach; jego marsze brzmią w orkiestrach wojskowych; jego mistrzowskie studia na fortepian, zalecane tam uczniom przez najpierwszych nauczycieli.

Zaczm przystąpimy do ostatniego dzieła, powiedzmy słówko o autorze. Sowiński równie jak Szopen, a dawniej jeszcze książe Ogiński, położyli dla kraju tę wielką zasługę, że dali poznać światu wielkie bogactwo naszych rodzinnych melodyj. Ogiński w akkordach poważnych polonezów, zaklął harmonijne dźwięki przeszłości. Twórczy Szopen zidealizowanym mazurem i rzewną dumką, wyśpiewał żal i tęsknotę serc zbolątych, Sowiński oprócz rodzinnych tonów które rozpowszechnił w muzycznych kompozycjach wykazał jeszcze światu jako głębokii erudyta, kilkowiekowe prace polskie w wydziale artystycznym, świadczące o jój wysokiej cywilizacyi, która rozwijała się niegdys na równi z cywilizacyą pierwszorzędnych ludów w Europie.

Urodzony na Wołyniu we wsi Łukaszowce w r. 1805, Wojciech Sowiński uczył się pierwszych zasad sztuki od ojca, niegdys dyrektora muzyki pułku Malczewskiego; wysłany później do Wiednia, kształcił się tam na fortepianistę, pod kierunkiem Karola Czernego; w kompozycyi zaś i harmonii, mistrzami jego byli: Gyrowetz i Leidedorf. Po raz pierwszy wystąpił publicznie w koncercie Humla, na teatrze Körtner Thor w Wiedniu. Zachęcony pierwszym poklaskiem, wyjechał do Włoch r. 1828, zwiedził Wenecyą, Medyolon, Bolonią, Parmę, Placencyą, Rzym i Neapol; dał się słyszyć w wielu koncertach, a imię jego coraz więcjzego nabięrało rozgłosu. Udał się wreszcie do Paryża, gdzie stale zamieszkał od czterdziestu lat zgórą.

Wiadomo jak Francya umie ocenić i podnieść każdy talent. Pod żywotném jój tchnieniem, z iskry wybucha płomień. Wkrótce oceniono tu Sowińskiego i policzono do pierwszych fortepianistów. Muzyczne jego kompozycye zwróciły powszechną uwagę. Były to czasy panującego w muzyce klasycyzmu, czasy Humla, Fielda, Kalk-

brenera: pierwsze téż utwory mistrza naszego, taki mają charakter. Trzymając się jednak ściśle klassycznych przepisów, Sowiński każdy swój utwór umiał wypiętnować narodową samodzielnością. W początkach zawodu wydał śpiewy i pieśni polskie, w tłumaczeniu francuzkiém p. t. *Chants polonais, nationnaux et populaires*. Ten zbiór dał poznać Francuzom nasze pieśni historyczne, dumki, krakowiaki, mazury i kołomyjki.

W roku 1835 udał się do Londynu. Podróż ta silnie wywarła wpływ na młodego artystę, wyższy dała polot jego twórczym zdolnościom. Zebrania muzyczne na dworze księżnej Kent, matki królowej Wiktoryi, wyrabiały w nim smak artystyczny, zasłyszane po raz pierwszy oratoryum Haendla, odkryło mu nowy świat sztuki.

Za powrotem do Paryża, Sowiński był świadkiem, a co więcéj jednym z promotorów wielkiego przewrotu, jakiemu uległa cała muzyka w owych czasach. Przewódcami nowego ruchu byli z nim sławni mistrze: Szopen, Liszt, Tahlberg, późniéj Mendelson. Sztuka popchnięta przez nich w nieznané tory, odżyła nowém życiem. Wówczas to nastąpił rozdział pomiędzy muzykami: jednych przezwano *pianistes penseurs* (myślicielami), drugich *pianistes tapageurs* (hałaśliwemi). Pierwsi z nich ożywieni poezją i uczuciem głęboko narodowém, przeszli do potomności, Szopen i Sowiński należą do ich liczby:

Smutne koleje życia, doznane nieszczęścia i zawody, wpłynęły z swéj strony na nowy kierunek prac artysty naszego. Gra jego przybrała cechę dziwnie rzewną i melancholiczną, utwory nosiły tenże charakter. W dziele 50-tém, wydaném w dwóch zeszytach, p. t. *Heures de recueillements, les Larmes* i t. d. uderza nas wielka samodzielność w pomysłach; widać tu nowe zupełnie formy, czuć świeże tchnienie poezyi. Wszystkie odąd kompozycye noszą wybitną cechę tego zwrotu.

Niepodobna tu wliczać szczegółowo licznych prac, któremi Sowiński zasłynął w świecie artystycznym. Ogólna ich liczba dochodzi stu szesnastu. Zcharakteryzował je wybornie jeden z pisarzy naszych. Powtarzamy tu cudne określenie: na lepsze zdobyć się niepodobna.

„Wszystko w muzyce Sowińskiego nasze, i rzewność śpiewu, i potęga melodyi, i owa tęsknota ducha, co porywa na przemian to piorunami burzy, to cichą boleścią, a kończy się zawsze dźwiękiem ufności i nadziei! Zasłyszysz tu, jak matka usypia dziecinę swojską pieśnią, jak skowronek śpiewa na kłosistych polach naszych, jak dumki ludowe żalą się niebiosom! Pieśń Bogardzicy prowadzi myśl do kołębki narodu, hymn królowej Jadwigi w czasy rycerstwa. Taka muzyka, to nie kołtykanie rozdrażnionych nerwów, to nie budzenie saméj fantazyi, ale zdrowy pokarm dla cierpiących, wypoczynek dla znużonych pracowników“.

Do najpopularniejszych pieśni naszego artysty należy: *Skowronek, Święta miłości* ze znanym tekstem Krasickiego, *Jaskółeczka* ze słowami Uderowicza, *Lutnia* ze słowami Świejkowskiego.

Uwertura do opery *Jadwiga*, pierwsza z dzieł ułożonych na całą orkiestrę, odznacza się oryginalną melodią i świetną instrumentacją. Inna znów uwertura do *Mazepy*, rozpoczęta prześliczną dumką ukraińską, zakończona tryumfalnym marszem, gdy kozacy obierają Mazepę na Atamana, grywana często na koncertach, zachwyca paryżką publiczność.

Nie możemy pominąć pięknej elegii na śmierć Mickiewicza na fortepian, i przepysznój symfonii na wielką orkiestrę p. t. *Powrót do Ogniska*. Tę ostatnią artysta ofiarował towarzystwu muzycznemu lwowskiemu. Z religijnych utworów, oprócz trzech mszy grywanych po kościołach tak w Paryżu jak i w innych miastach Francji, zasługuje na szczególną uwagę: *Zbiór religijnych pieśni polskich* z tłumaczeniem francuzkiem, do akompaniamentu organów. Znajdujemy tu suplikacje *Święty Boże*, i wiele innych hymnów. Wydaniem ich nasz kompozytor dał poznać religijnym zakładom francuzkim, wielkie bogactwo kościelnej naszej muzyki.

Prawdziwém arcydziełem Sowińskiego jest wielkie Oratorium *Święty Wojciech* z librettem układu Krystyna Ostrowskiego. Ten znakomity utwór, wydany w roku 1845, odegrany był we dwa lata potem w sali Herza przez pierwszych śpiewaków z orkiestrą i chórami. Pieśń Boga-Rodzica nadaje mu cechę prawdziwie narodową. Główną tu osobą Wielki Apostoł Polski święty Wojciech; występuje również Bolesław Chrobry. Przeplatają szereg scen chóry aniołów, chóry pogan i ludu.

Oratorium składa się z dwudziestu siedmiu ustępów podzielonych na trzy części. Aryę ze słowami: „*Synu mój przebudź się*“ odśpiewano w Warszawie na korzyść Instytutu Muzycznego. Chór finałowy znany niemniej w polskim przekładzie.

Sowiński przebywa zwykle w Paryżu, otoczony kołem artystów, uczniów i przyjaciół. Doroczne jego koncerta są prawdziwą uczcą dla miłośników sztuki. Wytrawny mistrz umie je urządzić z nieporównanym smakiem, przeplatać orkiestrą i chórami, zakończyć jakby bankietem, wesołą operetką. Słynni skrzypkowie i wiolonczeliści, najchętniej biorą w nich udział. Solistki francuzkie, za odśpiewaną po polsku *Jaskółeczkę*, zbierają wieńce i oklaski. Gorętsze jeszcze oklaski zbiera nasz znakomity mistrz, który z nauką i doświadczeniem dojrzałego wieku, łączy werwę męzką i zapal prawdziwie młodzieńczy.

Poranki muzyczne w domu Sowińskiego, równém tchną życiem jak i jego koncerta. Owiani czarem swojskich melodyi, oddychamy tam pełną pierśią, jak znojni wędrowcy, gdy wśród skwarnej pustyni napotykną zieloną oazę. W gronie sędziwych drubów napotykną tam Nestora rytowników naszych, Antoniego Oleszczyńskiego. Półwiekowa blisko przyjaźń łączy tych dwóch wytrwałych pracowników, którzy na ziemi obcej mnożą ojczyste plouy.

Sowiński ceniony niemniej pomiędzy francuzami jako pisarz i erudyta. Słownikiem muzyków polskich dał on poznać światu do tysiąca imion zasłużonych na polu sztuki. Później w roku 1869 wydał po francuzku dzieło: *O życiu i pracach Bethowena*, przekład wolny z niemieckiego. Wielkie powodzenie jakie znalazła ta publikacja, zachęciły autora do nowój: przełożył zyciorys Mozarta i wydał wzbogaciwszy własnym ocenieniem.

Dwa wielkie dzieła: *Oratorium Świętego Wojciecha* i *Słownik muzyków polskich* są koroną prac Sowińskiego. Powiedzmy kilka słów o tej ostatniej pracy. Autor zebrał w niej skrętnie bądź z kronik, bądź z dokumentów rozrzuconych po bibliotekach, bądź z ustnej tradycji, wszelkie wiadomości dotyczące się muzycznej sztuki w kraju naszym. Dopomagał mu w tém stary przyjaciel, głęboki erudyta, Ambroży Grabowski zmarły przed kilką laty. Szereg nazwisk ułożony alfabetycznie; porządkiem, obejmuje kompozytorów, wirtuozów, śpiewaków, równie jak instrumentistów, lutnistów, organistów, poetów lirycznych, a nawet miłośników muzyki: słowem tych wszystkich którzy bezpośrednio czy też pośrednio, wpłynęli na rozwój sztuki muzycznej u nas. Do wielu imion dołączone ciekawe i obszerne zyciorysy. Rozpoczyna dzieło historyczny rzut oka na muzykę w Polsce i opis dawnych instrumentów.

Autor rozbiera nasamprzód pieśń Boga Rodzicę, przechodzi po tém do kantyczek. Nuta pieśni kolendowej: *W żłobie leży*, zwraca szczególną jego uwagę; dopatruje w niej nutę czysto-narodową jakoby zaród poloneza. Z Gallusa, Kadłubka i innych, wydobywa ułamki pieśni średniowiecznych zapisane w kronikach w przekładzie łaćńskim. Ale najznakomitszą nowość dzieła stanowi drogocenny pomnik muzyki z r. 1460! Jest to hymn do świętego Stanisława, ułożony na cztery głosy, staro-gotycką notacją. Sama pisownia świadczy o jego starożytności.

Chwała Thobie Goszpodzynie
Ysz othwych Swyathych chesz slyne
Ktora nygdy nyeszagynye,
Y na wyeky nyepzremynye.

Zyeszych sza polszka korono,
Ysz znasz thakiego patrona:
Dostoynego Stanysława,
Yen sze wyszedł Szczepanowa.

Obok tego pomnika, widzimy drugi nadzwyczaj także ważny, wydany po raz pierwszy. Jest to pieśń „Ave Maria“ z XVI wieku, ułożona na cztery głosy. Wynalezioną była w Marienburgu przez Kętrzyńskiego. Oto początek pieśni:

Zdrowa bud' Marya niebieska lilia,
Pani Bogu mila matko liutoschiwa.

Oba te autentyki pomieszczone będą w fac-similach na końcu dzieła.

Wiek XVI był dla muzyki naszój—mówi autor—równie pomyslnym jak dla literatury. Zorza Zygmuntońska ogarnęła sztukę muzyczną i dała jój prawdziwie świetny rozwój. Psalterz Gomułki stawia autor na równi z dziełami szkoły włoskiej, sławnej pod mistrzem Palestriną. Upodobanie Jagiellonów w muzyce przyczyniło się wielce do jój rozkrzewienia. Wnuk Jagiełły, który umarł z przeziębienia zasłuchawszy się zbyt długo w pieśni słowiczej, otrzymali w spadku smak muzyczny wysoko wyrobiony. Jan Albrecht i Aleksander mieli w służbie sławnych Finków; jeden z nich Herman, dzieło swoje *Practica musica*, poświęcił Albrechtowi.

Zygmunt Stary dalej jeszcze posunął upodobanie; kapela jego składała się z prawdziwych wirtuozów. Pomnożyli ich liczbę artyści włoscy przybyli z Boną z Medyolanu. Zygmunt August miał przy sobie ulubionego lutniścę Węgrzyna. Na grobowcu tego króla w katedrze krakowskiej wyryte narzędzia muzyczne: harfa, róg, trąba, skrzypce i gitara, świadczą o miłośnictwie sztuki. Nieustąpiła bratu ostatnia Jagiellonka Anna. Ona to ufundowała przy katedrze kolegium, Roratystów, którzy obowiązani byli co dnia śpiewać mszę na głosy. Instytucja ta, jedna z pierwszych jakie się pojawiły w Europie, przetrwała dotąd. Pierwszym jój dyrektorem był Mikołaj Czech z Poznania. Partycje jego utworu przechowują się w bibliotece katedralnej krakowskiej. Wielcy panowie idąc za danym z góry popędem, trzymali śpiewaków i lutnistów nadwornych. Sławne były kapele Stanisława Górki i Jana Zamojskiego. Zawiazywały się liczne cechy i bractwa przy kościołach. Lutniści stanowili w Krakowie cech osobny: mieszkali na Kaźmierzu. Jedną bramę miasta zwano od nich *Bramą muzyków*.

Stefan Batory odziedziczył po Jagiellonach upodobanie w sztuce muzycznej. Pozostało po nim mnóstwo narzędzi: organy, regaty, klawikord, skrzypce, fujary, brombony i rogi, jak świadczy spisany inwentarz. Bratanek jego, kardynał Andrzej, utrzymywał przyjazne stosunki z Palestriną. Wysłany przez króla do Rzymu, kształcił się w muzyce pod kierunkiem tego wielkiego mistrza.

Za Zygmunta III zakwitnęła muzyka kościelna. Orkiestra katedry krakowskiej była jedną z pierwszych w Europie. Jezuici sami utrzymywali stu śpiewaków przy kościele św. Piotra i Pawła.

W wieku XVII, kiedy w Europie muzyka czyniła wielkie postępy, w Polsce zatrzymał się jój rozwój, ale ożywił ją jeszcze odblask zbiegłego stulecia. Władysław IV gorliwy opiekun sztuk pięknych, utrzymywał na zamku orkiestrę wraz z baletem. Na owym teatrze zjawiła się po raz pierwszy opera włoska. Jan Kazimierz

rozrywał się niemniej muzyką, wśród nawału kłesk szarpiących kraj bez ustanku. Kiedy jadąc do Hiszpanii uwieziony był w zamku Vincennes, ulubiony sługa Piotr Ellert, grą na lutni słodził mu smutne chwile. Jan Sobieski lubił także muzykę. Nim został królem utrzymywał sławną orkiestrę na zamku swoim w Żółkwi. Żona jego Marya Kazimira pięknie grała na klawikordzie. Głośny był w świecie klawikord, ofiarowany jej przez cesarżowę po zwycięstwie wiedeńskim.

XVIII wiek wskutek burz zewnętrznych i ogólnego upadku ducha, okazał się niepomysłnym tak dla muzyki jak w ogólności dla literatury i sztuk pięknych. Pomimo że orkiestra dwóch Augustów Sasów uchodziła za najlepszą w Europie, mimo że dwór utrzymywał stale operę włoską, na którą Warszawianie mieli bezpłatny dostęp, wpływ dworu nie oddziaływał na naród pod tym względem, tak jak oddziaływał szerząc upodobanie w kufu i biesiadach.

Za Stanisława Augusta odżyła muzyka, zastosowana głównie do sztuki dramatycznej. Bogusławski tworzy operę narodową, połysk to chwilowy: wszystko runęło z końcem wieku!

Umysły podnoszą się do Boga — mówi autor — przemaga liryzm, powstają piękne pieśni religijne: *Kiedy ranne wstają zorze*, *Przed oczy Twoje Panie* i t. p. Elsner, Kurpiński i inni układają Msze i Oratoria. Wacław Rzewuski tworzy Requiem na pogrzeb Czackiego. Zawiązują się stowarzyszenia muzyczne: powstaje w Warszawie konserwatorium zasilonie ofiarami Staszica. Rzucono ziarno bujny wydaje owoc; sztuka muzyczna rozwija się wszechstronnie: krytyka wyrabia wyższy smak estetyczny. Królikowski kreśli prawidła rytmu. Mnóżą się zbiory ludowych melodi: kompozytorowie czerpią natchnienie w tych źródłach tak bogatych. Zjawia się Moniuszko. Mistrz ten siłą geniuszu śmiało rzuca muzykę dramatyczną polską, w nowe, dotąd nieznanne tory.

Genialny Szopen, który w świat europejskiej muzyki wprowadził tryumfalnie Dumkę i Mazurę, nie doczekał dzisiejszego rozkwitu sztuki rodzinną w Polsce. Sowiński patrzy z radością na ów rozkwit, do którego dzielnie przyłożył rękę acz z daleka; rozważa, zapuszcza badawczy wzrok w przeszłość, oblicza imiona, tworzy z nich wielki obraz i dziełem pełnym erudycji buduje pomnik wytrwałym pracownikom, którzy w pasmie wieków uprawiali muzykę narodową w kraju naszym i doprowadzili ją do dzisiejszego stanu.

Akademia Krakowska uznała zasługi uczonego artysty; zaszczyliła go tytułem członka korespondenta. Sowiński jest oprócz tego członkiem Towarzystwa muzycznego we Lwowie, oraz dwóch towarzystw francuzkich: *Filotechnicznego i Dzieci Apolina* w Paryżu.

Niech nam będzie wolno zakończyć tę kronikę literacką ploteczka. Professor Aleksander Chodźko w liście do jednej z polskich

pisarek nakreślił żartobliwie te słowa: Droga Wajdelotko nasza!
„ach nie nazywaj mnie panem!”

„Tak się zaczyna jedna z piosnek moich, kiedy ósmnastoletnie chłopię pisałem jeszcze wiérsze. Już nie pamiętam, do jakiej ziemianki wołała ta modlitwa, nawet nie pamiętam jój nazwiska; lecz pomnę wyraz dowcipnie śmiejących się oczu, zdaje się błękitnych, może i czarnych, ale figlarnie pięknych. I oto pamiętam, że modlitwa skutkowała. Dzisiaj staremu i sprozaiczonemu, chciałoby się także pobłagać, abyś droga Wajdelotko nie karmiła mnie salonowemi grzecznościami. Jaki ja pan? Ja radbym takiej duszy, takiemu pióru, jak wasze, służyć i służyć, bo to dobrej sprawie się służy.”

Oto odpowiedź zagadnionój:

Z splątanego nie snuj motka,
Nie odkwitnie zwiędłe kwiecie;
Twoja mistrzu Wajdelotka,
Nowej pieśni warta przecie.

Ukochany druh Adama,
Niech Pegaza w lot doskoczy;
Helikońska pęknie brama
I wytryśnie zdrój uroczy!

Ach! Muz orszak zagniewany
Zbiegł, że trudno dojrzeć tropu!
Lecz są wieszczce Kamijany
Wśród nieznaných skał Rodopu.

Z ich krynicy doładź świeżej
Tajemnicze pieśni słowo,
Twoja ręka niech uderzy
W starą świrkę Orfejową.

A zadzwoni nuta słodka,
Chórem gwiazdy odrbrzmia w niebie;
Twoja mistrzu Wajdelotka
Takić pieśni chce od ciebie!

Maż być dla niej ręką dziecka
Nakreślona niegdyś karta?
Wajdelotka mazowiecka
Nowej pieśni czyż niewarta?

Przegląd prassy peryodycznej

W KRÓLESTWIE POLSKIM

Rok 1873.

PISMA ROLNIOZE.

Aby należycie ocenić kierunek i doniosłość, wpływu jakiegokolwiek gałęzi piśmienictwa czasowego w danym okresie czasu, potrzeba koniecznie cofnąć się nieco w przeszłość i obejrzeć choć pobieżnie kierunek i okoliczności, w jakich się pismo rozwijać zaczęło i o ile potrafiło wyzyskać materiały które znalazło pod ręką, a następnie spożytkować je na własną i czytelników korzyść. Mówimy tu głównie o Gazecie Rolniczej, jako najstarszej wiekiem z pism specjalnie rolnictwu poświęconych, w kraju wychodzących. Opuściwszy w 1861 r. opiekuńcze skrzydła Gazety Codzienniej, pod których cieniem przez czas bardzo długi istniała jako tygodniowy dodatek, pod nieco za wiele obiecującym tytułem: „*Gazeta Rolnicza, Przemysłowa i Handlowa*,” rozpoczynając nowe samodzielne życie, Gazeta odrazu wypowiedziała czém być pragnie, mianowicie organem ziemian w celu wzajemnego porozumiewania się tychże w rzeczach, dotyczących mozołnego ich zawodu, a zarazem poradnikiem do rozwiązywania, spotykanych co chwila na téj ciernistej drodze, trudności. Że organ taki stał się już nieodzowną potrzebą, dowodzi tego niewątpliwie samo istnienie Gazety przez lat przeszło dwanaście; zaznaczamy więc jako główną zaletę Gazety Rolniczej w przeciągu wzmiankowanego okresu, że była. Czy zaś sposób wypełnienia nakreślonego sobie programu był trafnym i rzeczywiście mógł przynieść korzyści, to już inne pytanie, na które ogólna odpowiedź musi wypaść przecząco. Redakcja dążąc do jak największego rozpowszechnienia swego pisma, na pierwszym planie postawiła korespondencye gospodarskie ze wszystkich okolic kraju i ościennych prowincyj, kładąc na nie szczególny nacisk jako na szacowny materiał do przyszłej historii krajowego rolnictwa. W rzeczywistości jednak, badacz pragnący zużytko-

wać w tym kierunku pomieniony materyał, gruboby się omylił: w powodzi pobieźnych wiadomostek o miejscowych widokach na urodzaje prawie zawsze jednakowo brzmiących, o trudności dostania czeladzi i dziennego najemnika, o pomyślnych wróżbach na przyszłe plony zbóż jarych jeśli im susza nie zaszkodzi, ozimin, jeśli zima nie będzie zbyt mrozną lub nadzwyczaj mokrą, trudno odszukać materyał kwalifikujący się na podstawę do poważniejszej pracy. Ujemne te strony Gazety Rolniczej za dawniej jej redakcyi nie uszły baczości krytyki, która nie zaniedbała ich wytykać przy każdej sposobności; nawoływania te wszakże nie zdołały trafić do przekonania redakcyi: przypisując te zarzuty raczej osobistej niechęci niż objawowi wyrażającego się krytycznego poczucia w czytającej publiczności, czém organ specjalny ziemiański być winien, redakcyja postanowiła upornie wytrwać przy swoim programie *usque ad finem*; ów zaś *finis* łatwy był do przewidzenia sądząc ze stopniowego zmniejszania się liczby prenumeratorów. Broniąc nibysztandaru tradycyi, lekceważąc zdobycze nauki, jako nie dla wszystkich bez wyjątku czytelników dostępne, i kwalifikujące się jedynie do zapełnienia szpalt roczników akademii lub innych czysto-naukowych instytucyi, redakcyja usiłowała wpoić w czytelników swoich to przekonanie, że z pomocą kilku wypróbowanych recept na płodozmian, przepisów hodowli inwentarza, dając illustrowane opisy nowych i nie nowych machin i przyrządów, często bardzo tylko odległy związek z rolnictwem mających, wywiązuje się ze swego zadania najzupełniej. Jeśli więc piérwój przyznaliśmy za zastęgę Gazecie Rolniczej że *istniała*, to znowu główną przyczynę wielu jej stron ujemnych upatrujemy w tém, że była jedyném pismem rolniczém w kraju. Powstały w roku 1872 „Tygodnik rolniczy“ wziął sobie za zadanie, zaniedbane ze strony redakcyi braki uzupełnić. Podnosząc lekceważoną dotąd przez Gazetę stronę naukową, redakcyja nowego tego pisma starała się w szeregu licznych, po większej części oryginalnych artykułów obznajmić czytającą rolniczą publiczność z dzisiejszém stanowiskiem nauki rolnictwa. Okoliczność ta była niewątpliwie jedną z przyczyn, które wywołały zmianę redakcyi Gazety Rolniczej, lecz przytém postawiły nową redakcyę w dość trudném położeniu, zmuszając ją do zdobywania sobie na nowo utraconego stanowiska w skutek poprzedniego zbytelnego zaufania w korzyści wyłącznego położenia. Rzeczywiście dwa pisma rolnicze, a więc specjalne, a zład nie mogące liczyć na bardzo obszerne koło czytelników w rozmaitych klassach społeczeństwa, z jednakowo prawie nakreślonym programem, obok innych, za granicami kraju wychodzących, jakoto: „Ziemianin poznański“, „Rolnik lwowski“, które i u nas pewną liczbę czytelników posiadają, muszą spotykać na swój drodze ciężkie nieraz do zwalczania przeskody. Nie mówiąc już o braku prenumeratorów, téj groźnej posuszy niszczącej nieraz żywotne zasoby nie jednego peryodycznego wydawnictwa, sam brak zdolnych współpracowników których siły rozpraszają się

na zadosyćczynienie wymaganiom obu redakcyi, brak zresztą stałych a umiętynnych, specyalnych korrespondentów z rozmaitych miejscowości w kraju i zagranicą, którzyby peryodyczne swe sprawozdania podług pewnego z góry nakreślonego programu nadsyłałi: wszystko to sprawa, że pomimo najlepszych chęci redakcyi, posługiwać się nieraz trzeba pracami niezupełnie zasługującemi na uwzględnienie. Do takich naprzykład należą zbyt często w obu pismach pojawiające się artykuły czysto wyteryaryjnej treści, które właściwsze miejsce znaleźćby mogły w dziele specyalnie weterynaryi poświęconém; w pismach zaś dla rolników przeznaczonych, stosowniejszemi byłyby wskazówki dotyczące higieny nie tylko zwierząt domowych lecz i ludności wiejskiej, narażonej z konieczności na tak rozliczne wpływy w rozmaitych porach roku, przy właściwych w każdej z nich zajęciach i pożywieniu. Łatwiej jest ustrzedz się choroby niż leczyć ją gdy się już rozwinie, gdyż do tego potrzeba tylko pewnej dozy zdrowego rozsądku przy ogólnych wiadomościach, łatwo dla każdego dostępnych, podczas gdy ostatni wypadek wymaga już specyalnej nauki; w tym razie gospodarz ustąpić musi miejsca lekarzowi lub weterynarzowi, który jedynie jest w stanie złemu zaradzić. Wszelki więc obszerniejszy wykład patologii i terapii wyteryaryjnej, będzie dla rolnika zbytecznym, gdyż prawdziwój korzyści z niego odnieść nie może.

Napotykały jeszcze zarówno w Gazecie Rolniczej jak i w Tygodniku Rolniczym, korrespondencye z rozmaitych okolic kraju, a lubo większa ich część wolną już jest od czczych gawęd przeważnie wypełniających szpalty dawniejszój Gazety Rolniczej, jednak z samėj natury rzeczy wypływa, że treść ich rzadko bogactwem poszczycić się może; jeśli więc korrespondencye pozostać mają i nadal, radziłyśmy w nich znaleźć wiadomości o warunkach ekonomicznych różnych okolic, a mianowicie o cenach ziemi przy sprzedaży i dzierżawie, o stosunkach dzierżawców do właścicieli ziemi, o sposobie ich gospodarowania, o zasobach ich kapitałów obrotowych i nakładowych, porównania z praktyki czerpane, korzyści dzierżaw długoterminowych z krótkoterminowemi i inne tym podobne szczegóły. Przy ogólnie zachwianym materyalnym bycie właścicieli ziemskich, wydzierżawienie dóbr na czas dłuższy zasobnemu dzierżawcy, może w niejednym przypadku ocalić posiadłość ziemską, jeśli już nie dla dzisiejszego dziedzica, to przynajmniej dla dzieci jego, jeśli brak zupełny obrotowego i nakładowego kapitału gospodarowanie na własną rękę czyni niemożliwym. Okoliczność ta niewątpliwie wpłynie na wytworzenie u nas wykształcenijszój, pracowitój a zamożnej klasy dzierżawców, których zadaniem będzie dokonać tego dla dobra krajowego rolnictwa, czego znaczna część właścicieli dla braku kapitału uczynić nie jest w stanie. Wiadomości podobne, przedstawiające sumiennie i dokładnie fakta dokonane, dadzą nam miarę o ile zbliżamy się w praktyce do zasad przez naukę i doświadczenie stwierdzonych, a tém samém wskażą jakie już kroki poczyni-

liśmy na drodze postępu pod względem zdrowego pojęcia ekonomicznych zadań gospodarstwa.

Drugą kwestyę niezmiernie ważną stanowi kwestya oficjalistów, służących i czeladzi dworskiej. Zwyczajem jest prawie powszechnym w korespondencyach nadsyłanych z prowincyi, z dalszych zwłaszcza okolic, narzekać na brak wykształcenia, na niesumienność, złą wolę i lenistwo różnych klas pracowników gospodarskich; wyznajemy że głosom tym niezupełną dajemy wiarę, jako opartym na zbyt jednostronnym poglądzie. *Audiatur et altera pars...* Dlaczegoż właśnie ta strona, jeśli się czuje pokrzywdzoną, nie zechce podnieść swego głosu g'woli własnej obronie i wyświeetleniu kwestyi, gdy szpalty pism rolniczych gościnnie dla niej stoją otworem, tém bardziej, że namiętny sąd w takich razach zawsze będzie stronny; lecz umiarkowane wykazanie stron ujemnych wzajemnego stosunku między chlebobawcą a pracownikiem, byłoby bardzo pożądaném. Pragnęlibyśmy tylko mieć te wiadomości z pierwszej ręki, od osób rzeczywwiście w tój kwestyi interesowanych, a więc od gospodarzy rolnych, tak właściciele ziemskich jako téż dziedziców i oficjalistów, pomiędzy któremi zapewne nie mała liczba się znajdzie takich, którzy i czytają i pisać potrafią. Zresztą materyały tój treści nadsyłane do redakcyi choćby *in crudo*, lecz z dobrą wolą, posłużyłyby do ułożenia z nich pewnej całości, której na doniosłości braknąć nie będzie. Gdyby nawet z tego powodu miała się pomiędzy obu pismami wywiązać żarliwa polemika, nie mielibyśmy nic przeciwko temu, zastrzegając z góry obowiązek ciężący na redakcyach utrzymywania jój w granicach przyzwoitości i umiarkowania, zgodnych z powagą i godnością pisma. W każdym razie, dyskusye takie, więcéjby krzyżyć przyniosły niż gwałtowne wzajemne napaści, których szpalty obu pism rolniczych były widownią, rok temu przeszło. Przeważający w Gazecie Rolniczej kierunek ekonomiczny usposabia jój redakcyę do podniesienia tój kwestyi, zwłaszcza że rozporządza dostatecznemi ku temu siłami w gronie swoich współpracowników.

Olbrzymi rozwój nauki rolnictwa na drodze teoretycznej nie został pomięty milczeniem i w naszych pismach rolniczych; Tygodnikowi Rolniczemu należy się zasługa, że pierwszy podał do wiadomości ziemian naszych rezultaty prac takich badaczy, jak Grandeau, Déherain i inni, lecz i pod tym względem należy być oględnym w wyborze; artykuły czysto-naukowe, dostępne tylko dla ludzi należycie z nauką obeznanych, są przez nich czerpane bezpośrednio ze źródeł, mianowicie z licznych roczników i pism specjalnych niemieckich i francuzkich, posiadających i bogate zasoby, i liczny zastęp czytelników. My nie mamy stacyj doświadczalnych, w którychbyśmy własne spostrzeżenia robić i te do wiadomości ogółu podawać mogli; musimy zatem koniecznie zapożyczać się u obcych, którzy nas dawno na tój drodze wyprzedzili; lecz czynmy to z bardzo starannym doborem, abyśmy tylko prawdziwie pożyteczne rzeczy

brali. Nadewszystko strzeżmy się ubierania cudzoziemskich myśli i pojęć, w nasze swojskie niby szaty. Niech już lepiej zapożyczony artykuł, będzie poprostu tłumaczeniem godnej uwagi pracy, nie zaś przeróbką, mającą uchodzić za oryginalną pracę. Podobne usterki spotykamy często w Tygodniku Rolniczym; wolelibyśmy, aby redakcyja tego pisma ostateczności téj unikała.

Niepodobna nam w téj krótkiej wzmiance podać wyczerpującego rozbioru peryodycznej naszej literatury rolniczej; z przyjemnością, wszakże zaznaczamy fakt, że gdyśmy przed laty piętnastu żadnego jeszcze pisma rolniczego téj formy i treści nie mieli, dzisiaj dwa z jednakowym prawie programem znajdują dla siebie warunki bytu. Dalszy ich rozwój zależeć będzie od uznania dobrych chęci i sumiennej pracy redakcyi, o których z góry jesteśmy przekonani.

St. R.

GAZETA RZEMIEŚLNICZA.

Rok 1873.

Rok 1873 był drugim rokiem wychodzenia Gazety Przemysłowo-Rzemieślniczej. Zadaniem jęj było starać się: 1) o rozkrzewienie oświaty między rzemieślnikami; 2) o wskazanie rzemieślnikom najdogodniejszych i najłatwiejszych środków produkcji i 3) śledzić konkurencyę zagraniczną na naszych targowiskach przemysłowych, wskazywać, co ta konkurencyja robi, gdzie co robi i czy my umiemy temu zapobiedz i jakim sposobem?

O ile zkadinał wiadomo, rok pierwszy wydawnictwa pokazał, że oddziaływanie na starszą generacyę rzemieślników t. j. na majstrów i czeladź, jest bardzo trudnem i mało skutecznem. Redakcyja zatem wzięta za stosowne zwrócić się ku młodszym rzemieślnikom, ku terminatorom i młodszej czeladzi. W tym celu zamieszczane były artykuły takie n. p. *Wzór umowy dla uczniów* (N. 2), za pomocą którejto umowy chciano obronić uczniów od wyzyskiwania i złego traktowania. Umowa ta, napisana przez budowniczego mularza Szpadkowskiego, w istocie po jęj ogłoszeniu, w wielu razach stała się wzorem do umów. Dalej dla łatwiejszego wpływu na młodzież, redakcyja z współredakcyą Opiekuna Domowego urządziła odczyty popularne dziesięciogroszowe, bardzo dobrze przez rzemieślników przyjęte; z odczytów tych niektóre drukowała w szpaltach Gazety, jak Makowieckiego: *Do czego nauka doprowadzić może*; drugi: *Jakim sposobem może być lepiej rzemieślnikom*; Wiślickiego: *Co rzemieślnicy zrobić mogą dla swych dzieci*; Głowackiego: *O odkryciach i wynalazkach*; Heuricha: *Jak rzemieślnicy u nas mieszkają, jak mieszkać mogą i powinni*; D-ra Dolińskiego: *Zkąd się biorą choroby, jak się od nich chronić*.

Jako dalszy ciąg starań o szerzenie oświaty między rzemieślnikami, zaliczyć trzeba także wydawnictwo redaktora gazety: *Książek dzieściogroszowych dla rzemieślników*, których ośm wyszło w r. 1874.

Obrona także młodzieży rzemieślniczej była treścią artykułów wstępnych p. n.: *Ustawy rzemieślnicze*, i *O praktykantach* przez Ludwika Szwede. Szczególniej też artykuł atakujący starszych zgromadzeń rzemieślniczych, wywołał donośne zajęcie: czego między innymi jest dowodem sama gazeta, która mieści w sobie aż trzy artykuły w odpowiedzi na takowy i to artykuły pisane przez samych interesowanych t. j. rzemieślników; jeden przez starszego krawców, drugi przez jednego z podstarszych, a trzeci przez majstra stolarskiego.

Artykuły czysto techniczne, wykazywać mające jak robić, przeważnie były czerpane z pism zagranicznych specjalnych. I tu jednakże spotkać się można było z artykułami oryginalnymi, jak: Ciszewskiego cieśli, Grotowskiego inżyniera, Heuricha budowniczego, Jabłońskiego dyrektora kopalń nafty, Juszczyka krawca, Klimaszewskiego inżyniera, Kreusza introligatora, Łepkowskiego mydlarza, Pietraszka inżyniera, Skwierczyńskiego mechanika, Szmita inżyniera, Szpadkowskiego budowniczego i kilku innych. Redakcja starała się pobudzać rzemieślników i techników polskich do pisania, czego dowodem lista powyższych, a do której dodać jeszcze należy i innych piszących w kwestiach ekonomicznych jak: Borowski Lucyan, Flaszyński krawiec, Gaszczyński stolarz, Szwede Ludwik i Temler Aleksander garbarze, i Zawiszewski drukarz.

Z pomiędzy artykułów technicznych, oryginalnych, zwracają uwagę: *Ulepszenia w kryciu dachów* T. Szpadkowskiego, *O eksplozji kottłów parowych* Jana Pietraszka, *Ulepszona maszyna parowa białachmura zwana przez tegoż: Ateurometr* przez Kropiwnickiego, *Ślusarstwo* (wykład) przez Skwierczyńskiego, *O asfalcie i jego zastosowaniu w przemyśle* przez Klimaszewskiego Piotra i wreszcie: *O nafcie* przez Adolfa Jabłońskiego dyrektora kopalni oleju ziemnego w Bóbrce w Galicyi.

W wykonaniu nakoniec trzeciego zadania śledzenia konkurencyi zagranicznej i szukania sposobu sprostania takowej, redakcja zwracała głównie uwagę na konieczność rozszerzenia naszego handlu w Rosyi i na niezbędną wiązania się drobnych rzemieślników w spółki. Za pierwszą koniecznością przemawiały listy z Petersburga i Jenisejska i artykuł „Nasze rynki do sprzedaży wyrobów krajowych,” a za drugą koniecznością artykuły „Nasze szewstwo.“ „Jakim sposobem może być lepiej rzemieślnikom“ i inne.

Gazeta poruszała także wiele innych projektów, jak *Muzeum przemysłowe*, o które obecnie starają się w Petersburgu, *Nagród za współpracownictwo* dla czeladzi szczególnie, założenie *Towarzystwa zachęły przemysłu warsztatów rzemieślniczych*, z których jeden założony został przez p. Leszczyńskiego i wiele innych, rozwój przemysłu i rzemiosł mających na celu.

Z tego krótkiego przejrzenia kierunków i treści Gazety rzemieślniczej widzieć się daje, iż redakcyja, o ile okazała poczucia potrzeb samego zadania, o tyle w wyborze środków, prowadzących do celu, okazała wiele żywotności i praktyczności.

PISMA CODZIENNE.

Gazeta Warszawska, Gazeta Polska, Wiek, Dziennik Warszawski, Gazeta Handlowa, Kuryer Warszawski, Kuryer Codzienny.

W państwach, mających swe własne życie polityczne, pisma codzienne niemal wyłącznie zajmują się sprawami publicznymi, pośrednicząc w roznoszeniu wiadomości z dziedziny tego życia politycznego, objaśniając czytelników z wypadkami własnego kraju bliższych lub dalszych stron. Wszelkie inne objawy ruchu umysłowego i społecznego już na drugim postawione są planie i w wielu razach tylko bardzo ograniczone zajmować mogą miejsce w gazetach politycznych. U nas gazety inne mają warunki swojego bytu i rozwoju. Pośrednicząc w rozpowszechnianiu wiadomości codziennych z pola wypadków politycznych wszystkich innych krajów, nie są w stanie tym tylko przedmiotem zając uwagi swego czytelnika. Zwracają się codziennie ku ważniejszym wypadkom światowym i o nich czynią sprawozdania, zmieniając ciągle swój zmienny przedmiot, żadnego wyłącznie kraju nie mając na uwadze. W tytule wymienione pisma u nas dopełniają tego obowiązku, dając codziennie niemal ogólny obraz stanu politycznego Zachodu lub rozbierając szczegółowiej ten lub ów przedmiot z dziedziny politycznej, który swą doniosłością na szczególniejszą uwagę zasługuje. Korrespondencye treści politycznej z różnych krajów nadsyłane, przez ludzi bliżej obeznanych na miejscu, wzmacniają dział polityczny i dają dostateczne *dla nas* objaśnienia. Rok ubiegły jak w ogóle, wpłynął korzystnie na nasze gazety, zdaje się, przez ukazanie się współzawodnika „Wiek”, tak w szczególe w dziale politycznym do większej pobudził ruchliwość. Ukazały się bowiem artykuły wstępne, poświęcone szczegółowszemu rozbiorowi ważniejszych wypadków politycznych danej chwili. Mniej lub więcej dokładnie przedstawione sprawy, mniej lub więcej trafnie ocenione zdarzenia z dziedziny politycznej, stanowią mniejszą lub większą wartość téj lub owéj u nas gazety działu politycznego. W tym względzie, zdaje się, wymagania naszej publiczności są zaspakajane w dostatecznej mierze. Gdy jednak warunki naszego położenia nie pozwalają nam wyłącznie zwracać się ku wypadkom na szerokiej widowni politycznej, gazety więc nasze codzienne ogarniały zarazem i inne pola ruchu naukowego i społecznego. Wspólnie wszystkie trzy gazety poświęcały w roku ubiegłym przedewszystkiém swoje odcinki bądź oryginalnym bądź tłumaczonym powieściom. Gazeta

Warszawska w tym sposobie, zdaje się, zadość czynić stronie literackiej pisma codziennego. Dwie inne gazety przez umieszczanie częścię rozbiórów dzieł literatury zagranicznej i krajowej, przez dawanie wiadomości i nowinek literackich, obowiązkom pisma codziennego gorliwiej sprostać usiłują. Jestto rzecz redakcyi, jak w tym względzie swoje zadanie pojmuje. Szczupłość lub rozległość tego działu, ma swoje zasady, nie jest jednak także bez zarzutu. Gazety właściwie organami literatury być nie mogą: krytyki naukowe i literackie nie do pism codziennych wyłącznie należą. Mają one innych czytelników, z grona których ci, co żywiej ruchem naukowym i literackim się zajmują, w tygodnikach lub innych pismach peryodycznych potrzeby swe zaspokoić mogą. Ze wzmagającą się u nas działalnością wydawniczą, pisma codzienne nie są w stanie objąć i ogarnąć tego rozległego a tak różnorodnego pola.

Nierównież ważniejsze zadanie do spełnienia mają pisma codzienne w dziedzinie spraw społecznych, a mianowicie spraw społecznych własnego kraju. Przedmiot ten z natury swój również blisko obchodzi każdego obywatela kraju miejskiego lub wiejskiego, jak wszechdziejowe wypadki lub polityczne życie pozostałego za nami świata. Liczne wprawdzie łączą nas węzły z tém wszystkiém, co się po za granicami naszymi dzieje. Umysł nasz ma swe szersze potrzeby: z ciasnoty naszego widnokregu występujemy, wkraczając w ruchliwą sferę życia historycznego wielkich narodów na Zachodzie, ale mamy drugą stronę, z którą nas wiąże również bliska nasza siedziba, jęj losy i losy naszych współmieszkańców. W ubiegłym roku rozbudziła się w naszych gazetach większa czynność i dbałość o to, co się między nami dzieje. Starano się przez korespondencye informować czytelników o położeniu naszych miast bądź większych lub mniejszych, o naszej prowincyi. W tym względzie wiele jeszcze życzeń zostało niespełnionych. Korespondenci naszych gazet nie dość pojęli swoje stanowisko i zadanie. Zapewnie nie wina to redakcyi, ale chyba trudność w odszukaniu właściwych zdolności, ludzi, którzyby przy większych środkach i przygotowaniu lepiej zadaniu swemu podołać. Poświęcono w roku przeszłym po raz pierwszy od wielu lat bacniejszą uwagę sprawom społecznym. Postęp to znaczny i nie bez istotnych korzyści. Za taką wskazówką pójdą zapewne redakcye naszych gazet i powoli wyrobiją sobie odpowiednie siły. Zdaje się, że większe powodzenie na przyszłość téj lub owęj gazety zależeć będzie mianowicie od przędszego wyrobienia zdolnych piór do objaśniania i kierowania czytelnikami w sprawach, ku którym cała usilność powinna być, a w części jest skierowaną naszego społeczeństwa pracującego. Tu właśnie na tém polu ma przed sobą do spełnienia nasze dziennikarstwo najwyższe i najwdzięczniejsze zadanie. Tu jest misya, gdzie się nasze dzienniki dobrze zasłużyć mogą ogółowi. Wskazówki, objaśnienia nie zamykające się w granicach tylko miasta, w którym wychodzą gazety, ale ogarniające cały kraj, cały horyzont, gdzie praca rolna, przemy-

słowa i kupiecka może się rozwinąć, wzmocnić, przyczynią się nie mało do wyniesienia naszego dziennikarstwa na ten wysoki stopień znaczenia w życiu społecznym, na jakim się znajduje dziennikarstwo lepsze na Zachodzie i zjednania sobie tego szacunku i powagi, jakiej używać ma wszędzie prawo piśmiennictwo codzienne dobrze zasługujące się swemu ogółowi.

A. P.

PISMA HUMORYSTYCZNE.

Pozornie humorystyka jest najłatwiejszym rodzajem produkcji literackiej, bo kiedy artykuł naukowy wymaga pewnego przygotowania, chociażby kompilacyjnego, kiedy powieść lub pomniejszy nawet utwór poetycki wymaga mniej więcej artystycznego wykończenia i wdzięku formy; humorysta może wywołać efekt, podobać się czytelnikom, ba nawet zdobyć sobie sławę luźnymi notatkami, kilkoma słówkami, lub kreskami, nie troszcząc się o surowe wymagania estetyki i kodeksów naukowych. Byle tylko dowcip, a ludzie będą się śmieli. Ta łatwość pozorna zachęca wielu początkujących na widowni życia młodzieńców do sięgania po wieniec Arystofanesa, pierwej zanim się załatwić potrafią z nudnymi paragrafami gramatyki lub logiki.

W szlachetniejszym atoli i głębszym znaczeniu, humor, potrzebuje nie tylko dowcipu, i to wytwornego, ale i wykształcenia, znajomości społeczeństwa i świadomości celu, dokąd chłostane ironią typy zaganiane być mają. Humorysta powinien wiedzieć to samo, co filozof, polityk, moralista; jeżeli przemawia do społeczeństwa w innej formie, nie znaczy to, aby treść jego mowy miała być inną, lub co gorsza żadną. Wiadomo, że najznakomitsi pisarze humorystyczni z charakteru swojego na wesołych i lekkomyślnych chłopaków wcale nie zakrawali. Cechowała ich owszem małowówność, skupienie w sobie, poważny nastrój umysłu, czasem nawet wielka drażliwość, wynikająca z głębokiego odczuwania wad i niedoli społecznych.

Śmiejąc się do rozpuku z „Dusz Zmarłych” lub „Rewizora” czytelnik nie domyśli się nigdy, że autor ich, Gogol, znosił ciężkie udrczenia moralne, które go do czarnej melancholii doprowadziły.

Rozglądając się w naszych pismach humorystycznych, przychodzimy do ogólnego spostrzeżenia, że w redakcyach nie zasiadają owi ludzie zgryźliwi, których trapi wciąż troska o niedole społeczne. Zdaje się, że głównym ich celem jest zarcik, przypięcie komuś łatki, wywołanie chociażby przelotnego uśmiechu. Nie wywierają też one widocznego wpływu, nie ryją głębszej brzozy w pamięci. Co prawda, położenie ich jest trudne; przy ograniczeniu zakresu ich obserwacji życiem wyłącznie towarzyskim i prywatnym, muszą się z konieczności posługiwać kwestyami abstrakcyjnie-psychologicznymi lub tematami

z nauki obyczajowej. Z tego powodu niepodobna będzie nam rozbierać krytycznie całą treść rocznych kompletów; poprzestaniemy na krótkiej charakterystyce. Zaczynamy od najobszerniejszego, co do rozmiarów pisma.

K O L C E,

tygodnik humorystyczno-satyryczny, ilustrowany.

Pismo to poczęło wychodzić w r. 1871 z początku zeszytami; po dwu zeszytach musiało zmienić swój tytuł na „Ostrołę” i „Kosę;” w 1872 r. zamieniło się na dwutygodnik większego formatu i przybrało ilustracje (od 6 lipca 1872), od roku zaś 1873 wychodzi jako tygodnik w dzisiejszej swój postaci. W ciągu krótkiego czasu przeobrażenia były więc niezwykle częste; zmieniał się nawet po razy kilka skład redakcyi: obecnie założyciel pisma p. Dzikowski, już wcale do niej nie wchodzi.

Dawniejsze koleje działalności humorystyczno-satyrycznej są smutne: wytykania osobistości, opisywanie scen brudnych i gorszących, obelżywe epitety żywcem z dawnych ech Przeglądu Tygodniowego przeniesione, prywatna zawiść i zemsta głównego redaktora, ciągłe wymyślanie na członków redakcyi Kuryera Warszawskiego i tym podobne nieprzyzwoite wystąpienia, ujemną doniosłość czasopisma wzmogły znakomicie i ze strony prasy wyjednały mu bezwzględne milczenie.

Wśród tego chaosu, gorszącego bojowonia i skandalików, objawił się zwrot ku lepszemu w artykułach wstępnych, podznaczonych literami M—i.

Autor ich pragnie się utrzymać na gruncie głębszej, społecznej satyry; ze szlachetną tendycją, a dość często i z prawdziwym humorem, karci śmieszność i wady, a niekiedy nawet podaje wskazówki reformy, co już zakres pisma humorystycznego przechodzi. W artykule np. „Obieranie Zawodu” zwraca uwagę ogółu na prawo wartości, któremu ulega narodowa produkcya i gorąco zaleca, aby zbyt wiele jednostek w danym czasie i miejscu nie sposobilo się do jednakowego powołania, gdyż niektóre z nich potem, nie znalazłszy odpowiedniego zajęcia, zmarnują tylko czas i kapitał. W artykule „Panny na wydaniu” z niekłamany zapałem powołuje je do nauki i produkcyjnych zajęć, chłószcząc sarkazmem jednostronnie, estetyczne wychowanie, przyzwyczajenie do zbytku i bezczynności, nieznanomość warunków życia, drzémkę salonową i rozognioną powieściami wyobraźnią, wytwarzającą marzenia o konkurentach, którzy wśród takich okoliczności, niby Messyaszy, oczekiwania Żydów zawiodą. W ogóle M—i dotykał różnorodnych kwestyj, a raczej ułomności społecznych; z humoremi wśmiał nicość umysłową i moralną pewnych „złotych” i powszednich amantów, bawiących się w miłostki podczas polowania na posag (Kandydaci na mężów). Skarcił (Salonowe illuzje) zabytki przecenia-

nia swego rodu lub stanowiska, co do dziś dnia, pomimo rozwoju idei o osobistej wartości człowieka, jest w pewnych razach przyczyną towarzyskiego rozdziału klass pracujących i śmiesznej, na uludzie opartej dumy. Wykazał niedorzeczność źle i pozornie pojętej oszczędności (Oszczędność przede wszystkim); zamknięcie lenistwa (Apoteoza próżniactwa), wiodące częstokroć do ubóstwa, poniżenia i zaprzędania skarbu swoich przekonań; dokładnie scharakteryzował handlarzy ulicznych i t. d. i t. d.

Tenże sam autor pod pseudonimem Sercojeża (jak to łatwo z języka i tendencji odgadnąć) prowadził rubrykę „Ech prowincjonalnych,” w której z właściwym sobie humorem dotykał przeróżnych śmieszności na partykularzu. Korrespondencye, osobiste wycieczki i fakta w innych pismach zamieszczane, służyły mu za materyał. Niekiedy wprawdzie dał przytułek jakiemu skandalikowi, co za rzecz bezwarunkowo ujemną uważać należy, czuł jednakże niewłaściwość takiego kroku i w odezwach do korrespondentów prosił ich o nadsyłanie wiadomości głębszego, ogólnego znaczenia. Z korrespondencyi drukowanych oddzielnie odznaczają się „Listy otwarte szlachcica łęczyckiego.”

Co się tyczy humoresek, zasługują tylko na zaznaczenie: „Geneza koncertu” „Pożyczka”, skreślone za werwą i dowcipem, „Spółka chybiona,” w której autor wyśmiewa iluzye postępu, oraz „Satysfakcja,” napisana na czasie z celem odwieńdzenia od pojedynków zwolenników średniowiecznego wymiaru sprawiedliwości. Wszystkie są pióra M—i.

Z innych rubryk „Kronika Literacka” do téj nazwy nie ma żadnego prawa. Nie widać w niej ani uzdolnienia, ani bezstronności sprawozdawczej, ani nawet dowcipu. Toż samo powiedzieć należy o rubryce „Teatr.”

Poezya a raczej wiersze w Kolcach również smutno się przedstawiają. Ciągłe jedne i te same erotyczne ogólniki, oklepana nieśtałość i interesowność niewolników Amora, przybrana w rymy częstochowskie—oto prawie i wszystko. Udatniejszemi bywają niekiedy wierszyki Korwina.

Ostatnia nakoniec rubryka „Pod sekretem”—magazyn skandalików i osobistych zawiści lub upodobań, na wzmiankę nie zasługuje.

Zmieniając od N—ru 69 firmę redakcyjno-wydawniczą, Kolce, w treściwym i jedynym artykule „Wiedza—to potęga” wypowiedziały zakres swój i dążenie. Oznaczając stosunek satyry do ruchu społecznego, któremu rozwój wiedzy przyszwieca, postanowiły „rozbudzać opinią publiczną, piętnować wady pogardą i śmiesznością i oddziaływać na stan obyczajów,” a za materyał brać wszystkie zjawiska towarzyskiego życia. Miały zamiar: „Kłuć ale z miłością, z pragnieniem poprawy i dobra, nie dotykać osobistości, pośrednio wpływać na rozwój życia społecznego, na podniesienie ogólnej oświaty, dobrobytu i moralności.” Ale na ziszczenie tych dobrych chęci jeszcze oczekujemy. Oprócz bowiem wybornego artykułu „List uczonego filologa do hreczkosieja” nie spotykamy nic prawie godnego uwagi. M—i przestał pisać. W „Echach

prowincoyonalnych" zaczęto pomieszczać słabo skreślone korespondencye nadsyłane z prowincyi. Wujaszek w olbrzymich artykułach, za-tytułowanych sakramentalném: „Tylko sza!" za mało okazuje dowcipu. Mniej go jeszcze okazał p. Teofil Tarcza, który pisuje liczne, ale ogołocone z wszelkiej treści pożywnéj korespondencye z Warszawy, adresowane do jednego z pism amerykańskich. Dopiero w r. b. niedawno nastąpiła powtórnie zmiana redakcyi i widoczniejszy zwrot ku lepszemu. Siły są dotąd wprawdzie bardzo słabe; pana Babtystę, który się mieni być redaktorem, opanowała mania wierszowania, ale przynajmniej Bolesław Prus dosyć dowcipnie redaguje nową rubrykę „Na czasie." Rozwadnia wprawdzie swój humor, w zbyt ciasném obraca się kole i pozwala sobie zbyt często erotycznych dwuznaczników; w każdym razie jednak ze względu na brak humorystów, stanowi dla Kolców cenny nabytek. W dodatku Kolce drukowały dosyć nudną powiastkę „Kuternoga," oraz powieści tłumaczone z francuzkiego, zwykle nie-szczęśliwie wybrane. Ilustracye Kolców są wykonywane w inny sposób, niż w Tygodniku lub w Kłosach. Są to szkice litografowane; rysunek zwykle udatny: przypominają bardzo Journal Amusant. Odznaczają się przed innemi rysunki p. Szymanowskiego.

ab.

KURYER ŚWIĄTECZNY.

Mniejszy co do rozmiarów, niż Kolce, ale większą cieszący się popularnością. Wychodzi zaczął w r. 1863 jako „Kuryer Niedzielny", aż do r. 1865 zajmował się sprawami polityki i literatury; potem zmienił nazwę i od 1 października stał się pismem wyłącznie humorystycznym. Redakcyą prowadzi zawsze p. Łaszczyński. Lawirując wśród rozlicznych trudności, Świąteczny umie nieraz pobudzić do szczerego śmiechu, układa często zręczne wierszyki, np. oracyą do p. Igła, restauratora w Dolinie Szwajcarskiej z powodu cen zbyt wysokich na piwo i jedzenie; staje się tłumaczem uczuć i żalów ogółu publiki warszawskiej; zdobywa czasem wpływ na niektóre czynniki życia miejskiego. Jemu to może przypisać należy w znacznej części utworzenie nowych żółto pomalowanych zewnątrz omnibusów, które zdobyły już sobie wdzięczne uznanie pasażerów z Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia. Przypomnijmy sobie, że właśnie Kuryer Świąteczny przez czas jakiś prowadził osobną rubrykę p. t. Czarna Księga, a w niej portretował rozkołatane landary z wypisanym wyraźnie numerem. Czuwa też redakcyja dość starannie nad przyzwoitością i moralnych uczuć nie obraża. Chętnie też każdy kupuje sobie za dziesiątkę mały ale zwawy numer.

MUCHA.

Nieco większego formatu, usiłuje współzawodniczyć z Kurjerem Świątecznym, ale z ustaloną od dawna powagą, walka iść musi nie łatwo. Po nowym 1874 r. zreorganizowała swoją redakcyę; o ile to na polepszenie pisma wpłynie, orzekać w tej chwili nie chcemy.

ab.

PISMA PROWINCYONALNE.

Niedawno jeszcze Warszawa była jedynym ogniskiem dziennikarstwa i ruchu literackiego na całe Królestwo. Dopiero z końcem r. 1865 objawić się mogła prowincyi dążność do zakładania pism, któreby czuwały nad miejscowemi potrzebami okolicy. Pierwszy krok na tém polu postawił ś. p. Julian Liedtke, założyciel „Kurjera Lubelskiego.” Za jego przykładem poszedł p. Chodyński w 1870 roku założyciel „Kaliszanina;” w r. 1873 ukazał się „Tydzień” Piotrkowski pod redakcyą p. Antoniego Porębskiego; w tymże roku zaczęła wychodzić „Gazeta Kielecka,” która po kilku miesiącach zamarła, ale w roku bieżącym odżyła znowu, oby na czas dłuższy! Nadto posiadamy jeszcze organ miasta fabrycznego Łodzi p. t. „Lodzer Zeitung”; gdy ten jednak nie poczuwa się do żadnej solidarności z prasą naszą, pod względem dążności prześciga pisma pruskie w popieraniu polityki Bismarka, a z języka jest nam zupełnie obcy, przeto i w obecnym przeglądzie znaleźć miejsca nie może.

Istnienie prasy prowincjonalnej jest zjawiskiem nader pocieszającym. Nieliczna ludność miast naszych, posiada tak szczupłe zasoby do kształcenia umysłu, że nawet przybywający do niej ludzie wyższej i ruchliwszej inteligencji, najczęściej marnują swój kapitał umysłowy wśród otaczającej ich apatii powszechnej, wśród drobiazgowych kłopotów, wzruszeń i wrażeń powszedniego życia, które można by vegetacyą nazwać. Okolica, wsie i dwory, z samej natury swoich zatrudnień rolniczych, nie natchną miasta zapałem do literatury lub nauki. A tymczasem powszechna otępliałość umysłowa wydaje zwykle swoje opłakane owoce: niezaradność w rolnictwie i przemysle, nieopatrność w prowadzeniu interesów i w życiu towarzyskiem, niezdatność do zajęć szlachetniejszych, a szczególnie — ciemnotę złośliwą, rujnującą, wstrętną ciemnotę. Skoro więc wśród takiego społeczeństwa znajdzie się kółko ludzi energiczniejszych, którzy potrafią zaciekawić i pociągnąć je do pomyślenia o własnym życiu, o własnych potrzebach i celach egzystencyi, winniśmy policzyć im to za wielką zasługę, tém większą, że z większemi, niż każdy redaktor warszawski, muszą walczyć trudnościami.

Jakkolwiek serdeczne żywimy dla prassy prowincjonalnej współczucie, musimy jednak zastrzedz, że dokładnego przeglądu jój podać nie jesteśmy w stanie, gdyż nie posiadamy kompletów w składach redakcyi, a poszukując po mieście, nawet w Bibliotece uniwersyteckiej nie byliśmy w stanie znacznych braków skompletować. Z tego powodu nie możemy o Gazecie Kieleckiej nic dodać do wzmianki powyżej zamieszczonej.

1. KURYER LUBELSKI.

Numer pierwszy ukazał się na dwa dni przed nowym 1866 rokiem. Zagał rzecz wiérsem p. t.: „Pierwsze słowo,” żądając miłości i opieki dla siebie od Lublinian.

„Przy pomocy, wielkie dusze
Wyrastają na geniusze”

Chociaż autor nie zbyt starannie studyował „Sztukę Rymotwórczą” Franciszka Dmochowskiego, jednak na umyśle czytelnika dobre robi wrażenie zapał i wiara poety.

A ci, którzy mu (Kuryerowi) nie radzi,
W zółci pióra niech maczają,
Niech się srożą, przyganają;
Niechaj godzą mu na życie:
On nie zginie!—Zobaczycie!

I wiara ta nie zawiodła, bo oto w końcu roku, redakcyja podziękowała czytelnikom za życzliwość, zapowiedziała prenumeratę na rok przysły i utrzymała pismo aż dotąd przez lat 8. Po śmierci p. Liedtkego redakcyja objął p. Wdowiński.

Kuryer Lubelski obejmuje dział wiadomości rządowych, wiadomości o jarmarkach i wypadkach w okolicy, korespondencyą czasem nawet z Wiednia, wiadomości zagraniczne, czerpane z gazet warszawskich, wiérse, humoreski, powieść w fejetonie (widzieliśmy kilka tłumaczonych z angielskiego pani Braddon) i nareszcie ogłoszenia płatne. W pierwszym roku istnienia czytaliśmy dwa artykuły historyczne: o Lublinie i Piotrkowie po-Trybunalskim; nadto z owy professor Winc. Dawida dowiedzieliśmy się, że w Lublinie w roku 1815 był wydany „Almanach Lubelski dla amatorów literatury ojczyźtęj” przez K. Urmowskiego; w 1840 wyszła książka zbiorowa p. t.: „Fijołek” za staraniem Zofii Ściśłowskięj, oraz że od roku 1818 do 1830 istniało „Lubelskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.” Teatr i zabawy m. Lublina doznawały troskliwéj czujności od redakcyi. W układzie materyału dziennikarskiego nie dostrzegliśmy widocznego systematu; w ogólnym

charakterze wpada w oko pewne nie zbyt udatne naśladownictwo Kuryera Warszawskiego; w pisowni razi czasem chwiejność. Gdyby redakcja mogła i chciała zbliżyć się do programu „Tygodnia” Piotrkowskiego, sądzimy, że pismo jój zyskałoby na urozmaiceniu treści i na głębszem wglądaniu w życie społeczeństwa, któremu służy.

2. KALISZANIN,

gazeta miasta Kalisza i jego okolic.

Wychodzi raz na tydzień od dnia 4 stycznia 1870 r. W numerze 1-ym redakcja określiła swój program w tych wyrazach: „Idź więc z swą sakwą podróżną, jak *nowiniarz miejski i gawęda wioskowy* w drogę żywota!” Jest to program zbyt ogólnikowy i nieokreślony. Dopiero z przejrzenia pisma dowiedzieliśmy się, że w szpaltach jego panuje wielka różnaitość, oprócz bowiem rozporządzeń rządowych znajdowaliśmy tu wiadomości miejscowe i okoliczne, kronikę teatralną, przegląd polityczny, luźne i króciuchne „Wiadomości z literatury, sztuk, nauk, przemysłu i handlu i t. d.” powieść w odcinku, poezye, korespondencye, a nawet szarady: to wszystko na małym arkusiku. Możliaby więc zarzucić zbyt wielką różnaitość, która może uczyć czytelników roztargnienia, ale ma tę dobrą stronę, że bardzo rozszerza widnokrąg ich myśli. Zaznaczyć też winniśmy, że na kartach Kaliszana ukazało się kilka cennych rozpraw historycznych, pomiędzy innemi np. „Dzieje i opis miasta Kalisza” przez Adama Chodyńskiego w r. 1870, „Synody Kaliskie” przez p. Cezarego Biernackiego, prace J. Szaniawskiego i kilka innych.

3. TYDZIEŃ (Piotrkowski).

Założony w r. 1873, pod redakcją Antoniego Porębskiego. Pomimo zwykłych trudności i kłopotów literackich, pomimo cholery, która na czas jakiś rozprzegła drukarnią, publiczność otrzymała wszystkie numera i z początkiem nowego, drugiego roku z zadowoleniem zapewne odczytała odezwę redakcyi z zapowiedzią wytrwałej nadal pracy i nowych ulepszeń. Mamy więc nadzieję, że pismo już swoją egzystencją ustaliło i zamieniło się „w stałego towarzysza i przyjaciela domowego” Piotrkowian. W istocie też, dzięki talentowi redaktora, dzięki gorliwości kilku bliższych jego współpracowników, Tydzień dostarczał swoim czytelnikom wiele pożytecznych wiadomości i rad obywatelskich. Znajdujemy w nim: informacje na polu rolnictwa (cenniki zboża etc. od filii wrocławskiej Banku rolniczo-przemysłowego Kwilecki, Potocki i s-ka), oraz handlu (kursa giełdy warszawskiej); rady w kwestyach życia ziemiańskiego (w 11-tu

artykułach np. „Stacya doświadczalna rolnicza“, „Wielka czy średnie fabryki nawozów“, „Szkoły rolnicze w Puławach, Dublinach i Żabikowie i t. p.); kronikę miasta Piotrkowa (p. L. Rz.). Często-kroć Tydzień dawał inicjatywę w zaspokojeniu potrzeb społecznych (Uwagi o straży ogniowej i zaopatrzeniu miasta w wodę p. Wł. Korzeniowskiego; Towarzystwo zaliczkowe i Uwagi o niem p. L. Zaskackiego; Oświetlenie gazem p. L. R.; O urządzeniu kontroli dla służących; O konieczności usunięcia suteryn w jednej dzielnicy miasta i t. p.). Dwa z tych projektów (O straży ogniowej i o Towarzystwie zaliczkowym), zredagowane w paragrafach, zostały przedstawione do zatwierdzenia władzy i zapewne niedługo będą w czyn wprowadzone. Ale redakcja nie zadawała się czuwaniem nad interesami powszednimi swojej okolicy. Znaleźliśmy spory szereg korespondencyi (nie licząc 47 miejscowych): z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Torunia, z nad Dniepru, z Kijowa (dostarcza wiele ciekawych wiadomości o stanie obecnym Rusi i o zlicytowanych obecnie skarbach historycznych Wiszniowca (nr. 22) p. F. Eismonta, młodego poetę), z Kazania przez niezmordowanego L. Niemojowskiego, a nawet z Drezna przez J. I. Kraszewskiego. Z wystawy wiedeńskiej p. W. Małowski zdał sprawę o przemysł polskim. Nareszcie czytaliśmy niejedną pracę ogólnego znaczenia. Do takich zaliczamy nasamprzód opisy wielu miejscowości szczególnie przemysłowych i górniczych: np. Dąbrowy, gór Dymińskich i Połowieckich, gdzie się znajdują rudy ołowiane, oraz Czarkowy hr. Pusłowskiego z kopalnią siarki, produkowanej rocznie w ilości 40,000 pudów („Z pod gór Sandomierskich“ p. Andrzeja z Rzucowa n-ra: 49, 50 i 52). Bardzo interesującym jest artykuł p. W.: „Gorączka Górnicza w okolicach Dąbrowy“ (nr. 11), w którym się oceniają skutki prawa z 12 (24) czerwca 1870 r., oraz ukazu 1864 r., który nadał włościanom prawo własności nietylko do powierzchni, ale i do wnętrza gruntów. Dla historyków cenną jest praca p. Chwilczyńskiego p. t. „Pajęczno“, niegdyś miasta, dziś osady. Autor skreślił dzieje Pajęczna od XIII w. posługując się oryginalnymi dokumentami, opisał stan jego obecny i uczcił wdzięcznym wspomnieniem niezwykłych zalet nauczyciela parafialnego, Józefa Konopackiego, który udzielał początkowej nauki szanownemu badaczowi pomników pism średnio-wiecznych Kazimierzowi Stronczyńskiemu.

Jeden tylko można uczynić zarzut, że pod względem technicznym wydawnictwo nie okazało należytej oględności i akurataści. Numery 47 i 48 (wprawdzie z powodu cholery) wyszły razem w spóźnionym terminie, powieść p. t. Głowa Rodziny, zdaje się nie została ukończoną; od połowy roku ustały zupełnie sprawozdania handlowe. Trudno jednak kłaść nacisk na takie uchybienia, skoro się zważy, z ilu trudnościami walczyć musi redakcja w małym mieście, rozrządzająca szczupłymi zasobami (prenumerata bowiem roczna wynosi tylko 3 rs.). Spodziewamy się, że pomnożenie liczby prenumerat-
rów i wzrastające dla pisma współczucie publiczności, nastąpi re-

dakcyi możność usunięcia na przyszłość podobnych uchybień. W ogólnym bowiem wniosku przyznać winniśmy, że „Tydzień“ do-
brze pojął zadanie organu miejscowego i dobrze świadczył usługi
literaturze krajowej

Tadeusz Korzon.

ZAMKNIĘCIE.

Doszlśmy do końca obszernj i mozolnej pracy. Czytelniczy nasi mają przed oczyma obraz 39 pism (prócz Bibl. Warsz.), z których się składa nasza prassa peryodyczna. Dokładaliśmy gorliwych usiłowań, aby charakterystyczne ich cechy były należycie uwydatnione, aby złożone w nich zasoby talentu, nauki, użyteczności mogły znaleźć rzetelną ocenę. Jeżeliśmy nie jednakowo we wszystkich częściach zadaniu temu sprostali, niech nas wytłumaczy trudność jego, ogrom materyału, oraz pewne różnice poglądu i techniki krytycznej, właściwe każdemu z pojedynczych współpracowników, nieuniknione przy pracy zbiorowej, która w obecnym razie jedynie możliwą i praktyczną była.

Rezultat ogólny przeglądu niniejszego da się zawrzeć mniej więcej w następnym wniosku:

Liczebnie prassa nasza doszła do takiego bogactwa, że rozmaite potrzeby społeczne, estetyczne, wyznaniowe i naukowe (oprócz nauk ścisłych i technicznych), mogą być zaspakajane. Publiczność, poszukująca średniego wykształcenia, jest obsłużona dostatecznie i tylko uczeni lub specjaliści, mechanicy, inżynierowie, fabrykanci są zmuszeni udawać się o informacje peryodyczne do literatur obcych; organ bowiem noszący na karcie tytułowej napis: „Przyroda i Przemysł“ obrał sobie za cel szerzenie wiadomości przeważnie z dziedziny przyrodoznawstwa i stara się podawać je w formie popularnej. O uczonych można się nie troszczyć, wiadomo bowiem, że nigdy nie poprzestają na jednej chociażby najbogatszej literaturze; a zresztą, znając z konieczności kilka języków cudzoziemskich, zawsze potrafią sobie zaradzić. Rzeczywistą lukę stanowi brak pism, poświęconych sprawom przemysłu, techniki i fabrykacyi; ale brak ten jest objawem ułomności społeczeństwa naszego, jest wynikiem niskiego stanu, w jakim znajduje się przemysł krajowy. Widoczny dowód mieliśmy na niefortunnej próbie utworzenia organu dla gorzelnictwa, piwowarstwa i cukrownictwa, który nie mógł się utrzymać dla braku prenumeratorów. Gdy jednak nacisk okoliczności ekonomicznych i sam duch czasu popycha nas na drogę przemysłu, miejmy nadzieję, że niedługo objawi się żywszy ruch na tém polu, a wtedy i literatura nie omieszka rozbudzonym potrzebom dostarczyć karmi. Liczne zastępy młodych techników, którzy chlubnie pokończyli lub obecnie kończą

kursa w zakładach zagranicznych, niewątpliwie potrafią usłużyć i przemysłowi i literaturze.

Pod względem jakości w prassie peryodycznej prócz obszernie i w ogóle udatnie rozwiniętej belletrystyki, prócz fejletonu, który stał się częścią niezbędną gazet i pism tygodniowych, oprócz artykułów poświęconych sprawom chwili obecnej: zaznaczyć winniśmy rozbudzenie się powszechne dążności naukowych. Pierwsze atoli kroki w tym kierunku stawiane, nie są wolne od zarzutów i nie zadowolnią surowszych wymagań.

Kilka pism (nowych) wystąpiło pod hasłem Bakonowskim: „wiedza to potęga“; kilka redakcyj i firm wydawniczych zabrało się do przyswojenia nam dzieł obcych. W tym poczcie mięści się kilka prac znakomitych, ale z przykrością zaznaczyć musieliśmy, że niektóre wydawnictwa były podjęte w widokach spekulacji wyłącznie pieniężnej i wykonane bez należytej znajomości przedmiotu, tak niedokładnie, że oryginały zostały skażone i przekłady nie mają wartości. Wytykaliśmy też niejednokrotnie, że redakcyje pism, popularyzujących naukę, pozwały swoim współpracownikom przykrywać strzępami chorągwi naukowej lekkomyślne gawędziarstwo. W ogóle, w pismach popularno-naukowych i literackich przeważała metoda (jeśli to metodą zwać można) układania artykułu z dorywczo przejrzaną książką lub nawet z innego artykułu, ogłoszonego w jakimś piśmie zagranicznym. Podobne procedery mogą być tolerowane tylko w literaturze początkującej, w społeczeństwie, które liczy szczupłą gronko ludzi piśmiennych. My na to patrzeć nie możemy bez rumieńca wstydu wobec XVI wieku, wobec wielkich pisarzy i uczonych, którzy tak niedawno jeszcze do grobu zstąpili. Łącząc przeto głos nasz ze wszystkimi publicystami, do jakiegokolwiek należą stronnictwa, o ile wrażają publiczności cześć i zamiłowanie do nauki, musimy w imię tej czci właśnie zażądać od redakcyi, szczególnie pism nowych, podniesienia kamertonu i obostrzenia wymagań naukowych. Nie wymagamy badań samodzielnych od autora, piszącego artykuł popularno-naukowy, ale żądać mamy prawo, aby ten autor był ze swym działem dobrze obeznany; aby sprawdzał dzieło, z którego czerpie, zasadami ustalonymi przez innych koryfeuszów nauki; aby nie pisał pod wpływem pierwszego nieprzetrawionego wrażenia, lecz poczekał na tę chwilę, kiedy przez obejrzenie rozbieranej kwestyi z kilku punktów widzenia, umysł jego potrafi oznaczyć dla niej właściwą wagę i miarę.

Pod względem nareszcie etycznym, moralnym i obywatelskim nie znaleźliśmy dowodów zepsucia, jakiemu uległo dziennikarstwo wiedeńskie lub północno-niemieckie, tak łakome na „fundusz gadzinowy.“ Dostrzegaliśmy wprawdzie zapędy stronnice i za daleko posuwaną pieczołowitość o tryumfy wyznawców tej lub owej zasady filozoficznej, wszakże jedno tylko pismo stanowczo przekroczyło granice godziwej walki z przeciwnikami i oparło istnienie swe na skan-

dału. Mamy nadzieję, że to naśladownictwo paryzkiego „Figaro“ pierzchnie przed rozbudzonem sumieniem czytelników, a nadzieję tę uzasadniamy na widocznem polepszeniu, jakie się objawiło w pismach polemicznych w ostatnich miesiącach. Z chlubą atoli zaświadczyć winniśmy, że posiadamy kilka poważnych organów ściśle naukowych (jak np. pisma lekarskie), których nie powstydziałaby się żadna z literatur europejskich, że niejednokrotnie znajdowaliśmy prace gruntowne i wytrawne nawet w pismach o lżejszym programacie; żeśmy widzieli w kilku przedsiębiorstwach wydawniczych gorącą chęć niesienia pożytku społeczeństwu nawet z uszczerbkiem dla interesu materialnego. Pod tym względem na wdzięczne uznanie zasługują szczególnie publikacje rolnicze i rzemieślnicze.

Ukończony obecnie przegląd prassy peryodycznej doznał, o ile nam z ogłoszonych zdań wnioskować wolno, w ogóle przychylnego przyjęcia, oprócz trzech pism, które wystąpiły z zarzutami mniej więcej namiętnymi. Gdy jednak same te pisma, a przynajmniej dwa z nich w oświadczeniach późniejszych i w zmianie tonu swoich artykułów, objawiły zamiar usunięcia stawionych przeciwko nim zażaleń; gdy harce pomiędzy tak zwaną „młodą i starą prassą“ w ostatnich czasach ustały: niechże nam wolno będzie wynurzyć nadzieję, że w roku bieżącym, a może da Bóg i nazawsze, cała prassa nasza w sporze o zasady usuwać będzie wszelkie zaczepki osobiste i rekryminacje gwałtowne; że w technice dziennikarskiej, a szczególnie popularno-naukowej podniesie skalę wymagań; nareszcie: że przekradającym się do nas z Zachodu ponętnym wpływom spekulacji literackiej, oprze się i silnie w sobie rozżarzy pragnienie pracy dla moralnego, umysłowego i materialnego dobra współziomków.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

J. Kościelski. Władysław Biały Książę Gniewkowski. Tragedya w pięciu aktach z prologiem. Poznań. Nakładem Żupańskiego, 1874. Stronnic 171 tekstu i 6 stronnic nut. Pieśń wojenna i śpiew Anny, muzyka St. Moniuszki.

„Wnuk króla Łokietka, synowiec Kazimierza Wielkiego Władysław, od białych włosów przezwany *Białym*, w XIV wieku występuje wydatnie na kartach dziejów naszych, jako postać godna zwrócić na siebie uwagę poetów i artystów polskich.” Temi słowy rozpoczyna K. Wł. Wójcicki swój szkic historyczny, poświęcony życiu i przygodom księcia Gniewkowskiego ¹⁾. I w samej rzeczy, zapoznając się bliżej z tym pięknie nakreślonym szkicem, jako też i z wiadomościami podanymi o Władysławie Białym przez Naruszewicza, przychodzimy do przekonania, że nie tylko historia polska, lecz i powszechna nie przedstawia nam wiele osobistości, których charakter i przygody życia zawierałyby w sobie więcej momentów prawdziwie dramatycznych, podawały poetom i artystom bogatszy materiał do najrozleglejszych utworów, niż właśnie charakter i życie Władysława Białego. Oto w krótkości, co nam o nim historia donosi. (Zob. przytoczony powyżej szkic K. Wł. Wójcickiego).

Jeszcze za życia Kazimierza Wielkiego, Władysław Biały należał do najpotężniejszych książąt polskich. Po ojcu był dziedzicem Gniewkowa, stolicy linii książąt kujawskich, po bracie swoim owdaną Bydgoszczą, a z daru króla Kazimierza Wielkiego stryja swego, został nadto panem Inowrocławia. Chciwy władzy i sławy, nie wypełniał swych powinności, jako lenny hołdownik Korony, lecz domagał się praw udzielnego księcia. W sporze o granice,

¹⁾ Zob. K. Wł. Wójcicki. Szkice historyczne. Kraków 1869 str. 12 do 86.

zabił Stanisława Kiwałę, sędziego kujawskiego, a w zuchwałości swojej dochodził do tego stopnia, że się stawić nie chciał przed sąd króla Kazimierza pod pozorem, że król go prześladuje i odebrać pragnie jego dzielnice. Z czasem jednak rzec się musiał swęj władzy nad różnemi powiatami, a zniechęcony tém upokorzeniem, jako téż ciężko i boleśnie dotknięty śmiercią żony swojej, córki Alberta Strelckiego na Szlązku, którą kochał namiętnie, porzucił strony rodzinne i udał się na pielgrzymkę do dalekiego Wschodu. Przy grobie Chrystusa w Jeruzalem szukał spokoju dla serca znękanego. Następnie wrócił znowu do Europy, bawił przez czas niejakiś na dworze cesarza Karola IV i przyjmował udział w krucyacie krzyżaków przeciw Litwie. Lecz na nowo zniechęcony do gwaru życia, szukał spokoju w celi klasztornej i wstąpił, jako laik najprzód do zakonu Cystersów w dyecezyi kolońskiej, a niedługo potem do Benedyktynów w Dyżonie. Tutaj przez lat 16 o całym świecie zapomniął, oddany swemu życiu zakonnemu. Wiadomość zaś o śmierci Kazimierza Wielkiego 1370 r. rozbudziła znowu w Władysławie gorącą krew gniewkowską; sercem jego owładnęła dawna chęć władzy i sławy, wkradają się nadzieje świeckie o zamienieniu kaptura mniszego na koronę królewską, o wstąpieniu na tron polski, jako potomek Piasta i najbliższy spadkobierca Kazimierza Wielkiego. Nadzieje te podtrzymywane zostały wezwaniami obywateli wielkopolskich, *Przedpelki* ze Starzewa, *Wiszoty* z Kurnika i wielu innych, którzy nie chcieli, aby nad niemi panował obcy król węgierski Ludwik, lecz pragnęli widzieć na tronie księcia z krwi Piastów. W skutek tego, mnich porzuca klasztor i udaje się do papieża Grzegorza XI do Awinionu w celu uzyskania rozwiązania ślubów zakonnych. Papież jednak odmawia rozwiązania; Władysław nie śmie wbrew woli papieża występować otwarcie, jako pretendent do korony polskiej; udaje się do Węgier, do dworu Ludwika, aby przy jego pośrednictwie uzyskać pożądane rozwiązanie ślubów zakonnych. Starania te pozostają jednak bez skutku, a Władysław, obawiając się zdrady ze strony Ludwika, opuszcza potajemnie Budę i udaje się do Gniezna. Tutaj odbiera przysięgę wierności, tak od mieszczan jak i od szlachty wielkopolskiej; następnie zajmuje Gniezków, dąży do silnie obwarowanego zamku Złotori nad Wisłą; napada na miejscowego starostę, bawiącego w swojej wiosce niedaleko Złotori, bierze go do niewoli i groźbą, że mu każe uciąć głowę, zmusza straż do poddania warowni. Zaraz potem staje pod twierdzą *Szarlęj*, która, bojąc się groźnej potęgi Władysława, otwiera mu swoje bramy.

Król Ludwik usłyszawszy o tych postępkach pretendenta, zwołał pospolite ruszenie szlachty pod dowództwem Sędziwoja z Szubina. Ten ostatni otoczył i ścisnął Władysława w Inowrocławiu. Opuszczony przez wielu ze szlachty kujawskiej, obawiając się zdrady, książę Biały poddaje się pod warunkiem wszakże, że król mu wy-

da jego posiadłości dziedziczne. Ludwik jednak nie dotrzymał przyrzeczeń danych przez Sędziwoja, przeciwnie ogłosił Władysława *bannila*, wydając rozkaz, aby go wszędzie ścigano, a schwytanego bez sądu, jako wiarołomnego mnicha i pretendenta śmiercią ukarano.

Taki przebieg rzeczy zmusza Władysława do tajemnej ucieczki. Uniknąwszy szczęśliwie zdradliwych zasadzek, dostaje się do Marchii Brandeburskiej i znajduje u Ulryka de Ostein hołdownika korony polskiej, przyjazne przyjęcie. Tutaj, Władysław w dowód swego nieugiętego i zawziętego charakteru, nanowo rozmyśla o środkach dostąpienia tronu i przygotowuje nową wyprawę przeciwko Ludwikowi. Przy współudziale Ulryka de Ostein zebrał w r. 1375 liczne hufce najemnych rycerzy i udał się nanowo w drogę przeciw Złotorzy. Starostą tej warowni był naówczas szwagier Sędziwoja Krystyn ze Skrzypowa, znany ze swęj gnuśności i opilstwa. Książę Biały skorzystał z tej słabości starosty. Przekupieni rybacy dostarczyli staroście w łodziach dobrego i mocnego wina, a gdy się upił wraz z głównymi przywódcami warowni, Władysław przystawiwszy drabiny do murów, zajął zamek bez oporu i osadził w nim swoją załogę. Tymczasem Ulryk de Ostein, oblegający Gniewków, zmusił mężnego starostę Gierarda ze Słoniewa do oddania warowni w ręce księcia Białego. Stawszy się w ten sposób panem dwóch silnych zamków, Władysław ruszył dalej na oblężenie Inowrocławia. Lecz tutaj szczęście go znowu opuściło. Zastępy królewskie z rozkazu Sędziwoja pod dowództwem starosty sieradzkiego Jaśka Kmity i starosty brzeskiego Barkona z Wejsemberga, natarły na Władysława na otwartem polu pod Gniewkowem i zadały mu cios tak straszny, że książę Biały ocalił zaledwie życie. Z kilkoma tylko rycerzami dostaje się do Nieszawy, a ztąd po Wiśle do Złotorzy. Tutaj jednak broni się jeszcze przez cały rok 1376, zadając nieraz bardzo dotkliwe klęski wojskom Sędziwoja i Kazimierza księcia szczecińskiego, oblegającym Złotorzę. Sędziwój w końcu ucieka się do zdrady, aby zająć tę ostatnią warownią księcia Białego. Zdrajca był mieszczanin Hanko z Brześcia, który obiecuje wpuścić zastępy królewskie przez jedną z bram. Książę Biały dowiaduje się jednak o zdradzie i sam dla siebie z niej korzysta, bo wpuszczając część królewskich przez umówioną bramę, daje rozkaz spuszczenia ciężkich, żelaznych bron takowej, oddziela takim sposobem przednią straż królewskich od reszty zastępów i bierze ją do niewoli. Hanke zaś i współników na stosie żywcem spalić kazał. Wszelkie starania Sędziwoja wzięcia szturmem Złotorzy pozostają bez skutku; waleczny książę szczeciński Kazimierz wraz z wieloma rycerzami przypłacił życiem chęć zdobycia siłą tego zamku. Z tém wszystkiém jednak Władysław, wyczerpawszy zasoby i bojąc się nowęj zdrady, sam rozpoczął układy z Sędziwojem o wydanie Złotorzy. Dla ocalenia honoru rycerskiego zażądał jednak pojedynku na włócznicę z jednym z wojowników królewskich. Żądaniu temu zadosyć uczynił starosta

kujawski, Bartosz z Sokołowa. Pojedynek odbył się pod murami Złotorii, lecz miał koniec niepomyślny dla księcia Białego. Bartosz odniósł nad nim zwycięstwo: zranił go w prawe ramię, zrzucił z konia, zmusił do poddania się na łaskę królewską. Posłany do Węgier, książę Biały łaskawie był przyjęty przez króla Ludwika, sprzedał mu ziemię Gniewkowską za 10,000 złotych pragskich, a sam otrzymał bogate opactwo w Węgrzech. Lecz niedługo potem porzucił Węgry i powróciwszy do Dyżonu, przywdział nanowo habit benedyktyński.

Na tém jednak nie kończą się jeszcze dramatyczne przygody Władysława Białego. Śmierć króla Ludwika, która nastąpiła roku 1382, rozbudziła we Władysławie po raz trzeci chęć do zajęcia tronu polskiego. Po otrzymaniu téj wiadomości, mnich dyżoński posłał natychmiast powiernika do papieża Klemensa VI, zamieszkującego w Awinionie, z prośbą, aby go zwolnił od ślubów zakonnych i zezwolił na wystąpienie z prawami do tronu polskiego. Klemens VI, pragnąc zjednać sobie Polskę w sporze swoim z Urbanem VI, papieżem przebywającym w Rzymie, chętnie się przychylił do prośby księcia Białego przez wydanie *breve* z dnia 15 września 1382. Opuszcza tedy Władysław klasztor, a przybywszy do Polski, zbiera znowu zastępy ochotników i rozpoczyna działania zaczepne. Tymczasem jednak Jadwiga, po ojcu odziedziczywszy tron polski, oddała rękę swoją Władysławowi Jagielle. Okoliczność ta odjęła księciu Białemu nadzieję szczęśliwego obrotu jego sprawy. Historia przynajmniej nic nam nie mówi o dalszych staraniach pretendenta; przeciwnie donosi nam, że Władysław przez parę lat znowu się błąkał po Niemczech, a postanowiwszy powrócić do klasztoru w Dyżonie, na drodze umarł 1 marca 1388 roku. Zwłoki księcia-mnicha jednak stosownie do jego ostatniej woli przeprowadzono do Dyżonu i złożono na wieczny spoczynek w pośrodku kościoła S-tój Benigny.

Po takim przedstawieniu różnorodnych przygód Władysława Białego, nie potrzebujemy zapewne zwracać dopiero szczegółowo uwagi czytelnika na bogactwo motywów dramatycznych tego niespokojnego żywota. Władysław Biały mógłby natchnąć genialnego poetę do stworzenia prawdziwie wielkiego, historycznego dramatu. W jego charakterze i życiu odbijają się jak najwyraźniej charakter i dążności nie tylko jego wieku, lecz całych wieków średnich. Książę Biały, to rycerz średniowieczny w całym tego słowa znaczeniu; w nim łączą się wszystkie sprzeczności, charakteryzujące wieki średnie i nadające im piętno tak odmienne w porównaniu z nowszymi czasami. Z odwagą, walecznością i nawet okrucieństwem wojownika łączy on jak najczulszą miłość dla kobiety, królowej swego serca; z żądzą sławy i władzy, z namiętném upodobaniem w zatargach rycerskich, łączy głęboki pociąg do spokojnej kontemplacji, do mistycznego życia w klasztorze. Miecz i serce, honor i kobieta, grabież i hojność, stopy gorejące i krzyż na sztandarze, zamki

warowne i Ziemia święta, życie burzliwe i zacisze klasztorne, bitwa i kościół, tron i ołtarz, król i papież, świat i Bóg: wszystko co z równą siłą oddziaływa na żywy umysł rycerza średniowiecznego i, niby różnobarwne szkiełka kalejdoskopu, nadaje wiekom średnim ów charakter niezrozumiałej dla nas fantastyczności i romantyzmu. Jeżeli przyciemnimy, że rycerz nasz był potomkiem królewskiego domu Piastów, że miał pewne prawa do tronu swych ojców, że znajdował się w jak najbliższych osobistych stosunkach z ówczesnymi władcami świata, z królem węgierskim i polskim Ludwikiem, z cesarzem Karolem IV, z papieżami: Grzegorzem XI i Klemensem VI, że jako pretendent do korony polskiej przyjmował bezpośredni udział w losach swego kraju, że do celu owego dążył z rzadką zawziętością i energią pomimo wszelkich trudności i nieszczeń; że nareszcie skończył tragicznie w obcej ziemi: natenczas pojmiemy, co może zrobić poeta utalentowany z podobnego materiału historycznego, gdy potrafi skorzystać z bogactwa jego prawdziwie dramatycznych momentów.

Po tych wiadomościach wstępnych, które zdawały się nam koniecznymi dla należytego ocenienia tragedji historycznej pana Kościelskiego, zwracamy naszą uwagę na sam ten utwór. Chcąc zaś dać, o ile to być może wyczerpujący rozbiór tego dzieła, a na rozbiór taki zasługuje ze wszechmiar tragedia p. Kościelskiego, głównie dla samego wyboru tak szczęśliwego i zajmującego tematu, zajmiemy się najprzód szczegółową oceną, tak treści jak i układu każdej ze składowych części tego utworu, a następnie wypowiemy nasze zdanie o całości.

Tragedja p. Kościelskiego składa się z pięciu aktów i prologu. Ten ostatni zaś zarówno treścią, jak i obszernością swoją stanowi niezbędną, składową część całego dramatu i dlatego w oczach krytyka uchodzić może tylko jako osobny akt wstępny, któremu autor odmówił nazwy aktu jedynie dlatego, że nie chciał odstąpić od przyjętego podziału poważnego dramatu na pięć głównych części. Estetycy w samej rzeczy prawie jednomyślnie i nie bez poważnych przyczyn, rozdzielają każdy większy dramat na następujące składowe momenta: 1-o) akt wstępny, mający na celu oznajomić czytelnika i widza z ogólną sytuacją przedstawianego utworu; 2-o) akt pierwszego zawiązku naprężenia dramatycznego, działania i przeciwdziałania, 3-o) akt kulminacyjny najwyższego naprężenia walki dramatycznej, 4-o) akt zwrotu czyli rozpoczynającego się rozwiązania i w końcu 5-to) akt katastrofy, samo rozwiązanie węzła dramatycznego. Jeśli podział ten jest trafny, i jeżeli odstąpienie od niego powinno być umotywowanem szczególnymi okolicznościami, to mamy prawo już zaraz na wstępie naszego rozbioru rozpatrzyć bliżej z tego stanowiska układ dzieła p. Kościelskiego i porównać takowy z powyższą regułą techniczną.

Powiedzieliśmy powyżej, że prolog do naszej tragedyi zastępuje właściwie miejsce aktu wstępnego: wynika to bezpośrednio z treści tego prologu. Jesteśmy w Dyżonie (autor mówi w Dywionie), w klasztorze Cystersów (dlaczego nie Benedyktynów?) Rzecz rozpoczyna się rozmową dwóch mnichów o ich zajęciach klasztornych. Jeden przepisywał kroniki Rzymu, drugi zaś skończył właśnie przepisanie starożytnych foliów greckiej mądrości; lecz w księdze została nie zapisana karta, którąby pragnął wypełnić opowieścią z życia prawdziwego. Na to pierwszy mnich odpowiada następnemi słowy, mającemi na celu oznajmić nas zarówno z przeszłością bohatera dramatu, jak i z główną tendencją poety:

Idź bracie! (mówi) niech Duch Święty twe zamysły wspiera;
 Masz tu w klasztorze dobry wątek do zdarzenia,
Niechaj i naszych dziejów pomrok nie zaciera.
 Zapisz swą kartę dziejmi książęcego brata,
 Władysława z Gniewkowa, co tu Bogu służy;
 Jego przeszłość jest pono w wypadki bogata,
 Zanim wziął włosienicę, był to rycerz duży;
 Nie myślał końcem życia spoglądać z za kraty,
 Był on, słyszę, gdzieś królem pomiędzy Sarmaty.
 Wielki rycerz i możny przed obliczem Pana,
 Lecz skoro mu umarła żona ukochana
 I on umarł dla świata, ale w Panu odżył!
 Ot! masz bracie wspomnienie święte i klasztorne!

W drugiej scenie prologu występuje sam Władysław Biały i w pięknym monologu odsłania nam swój stan duchowy, uzupełniając takim sposobem przytoczone powyżej wiadomości o jego zewnętrznych kolejach życia. Władysławem, opanowującym pewien niespokój, pewną tęsknotę za dawnym życiem rycerskim, w obec którego duszna i ciemna cela klasztorna wydaje mu się *trumną*, w której *umiera pierś chora*. Kiedyś był on spokojnym i pragnął zakończyć życie w klasztorze, a dziś!

Dziś (mówi) znowu jakaś mara napada mnie zbrojna.

Gdzie stąpię, słyszę bitwy gwar i szczęk oręża,
 Dawnych braci po mieczu widzę nikłe cienie;
 Chcę się modlić, pokusę modlitwa zwycięża:
 Bronić się od cierpienia, srogie to cierpienie!

Tak więc gniewkowski książę, hardy wojownik
 Padło ci kończyć żywot w mnisiej włosienicy,
 Całe ci szczęście zgasło w jednym ócz promyku,
 Całą przyszłość pogrzebał—jeden skon kobiety!
 Gdybyś ty była żyła Maryo!—gdybyś była

Uśmiechem dalej chobrze rozgrzewała serce,
 Nigdyby się skroń moja w proch nie poniżyła,
 Byłby dziś drzał przedemną król, kraj i oszczerce...
 Świat cały drzał przedemną; jam nie drzał przed Bogiem:
Ukałał mnie, wziął ciebie, wszystko z tobą razem!

Rozmowa Władysława z jednym ze wzmiankowanych powyżej mnichów, uwydatnia jeszcze bardziej stan duchowy księcia-mnicha. Tamten życzy mu pokoju w Panu; Władysław odpiera, że to pozdrowienie rozdziera mu serce; na to mnich radzi mu, aby się ukorzył przed Bogiem i modlił o spokój i zdrowie, gdyż dusza jego chora. Władysław jednak odpowiada namiętnie:

Nie chora, ale silna, za silna na kratę;
 Dlatego mię rozterki gnają niepojęte;
 Moje sny jeszcze chęcią *czynu* są skrzydlate:
 By tutaj żyć, potrzeba mieć skrzydła zwichnięte.
 Patrz bracie! we mnie młodość kipi jeszcze warem,
 Jeszcze chwycić świat cały w ramiona ponęta.

Na dalsze napomnienia mnicha, Władysław wypowiada w gorzkich słowach swój pogląd na życie klasztorne. W klasztorze, mówi, próżniactwo, bezczynność jest szczęściem, szczęściem zgnilizna. Prześleńczyć dnie nad księgą, a nocy na modlitwie, to praca kłamliwa.

Inną znam pracę w życiu: czynem się nazywał
 Czyn, czy to głową w radzie, czy grotem w gonitwie:
 To życie!

Ten wewnętrzny rozbrat Władysława z życiem klasztornym, staje się w piątą i ostatnią scenie prologu czynem. Po krótkim monologu, w którym książę wypowiada nadzieję, że krew jego przecież nie zastygnie w mnisiej trumnie pod głazem wilgotnym, że mu w kraju rodzinnym zaświeci może słońce łaskawsze; że mu przyjdzie może jeszcze działać, a może nawet panować: po tym monologu zjawia się Wiszota z Kurnika w odzieniu żebraczym, z zamiarem odszukania w klasztorze Piasta i wezwania go w imieniu całego kraju, aby wrócił do Polski i objął rządy po Kazimierzu, który syty więcej chwały, niżeli wieku, zstąpił między naddziady w wawelskie grobowce.

Rozmowa Wiszoty z Władysławem, oddaną została przez autora w prawdziwie artystyczny i efektowy sposób. Książę nie poznaje początkowo Wiszoty, a ten też zachowuje swoje inkognito w celu zgłębienia Władysława, wywiedzenia się, *jakiem korytem* myśl jego w klasztorze bieży. Opowiada mu tylko Wiszota, że kiedyś był

rycerzem, gdzieś w dalekiej stronie za setną rzeką, i opisuje w pięknych słowach ten swój kraj ukochany, w którym wprawdzie niebo nie jest tak jasne, jak w Franków krainie, w którym jednak żyje plemię szlachetne i rycerskie.

Tam rycerskość prawdziwa, tam cnota prawdziwa,
Z niepozornej powłoki na jaw się dobywa;
Tam się możesz upoić prawości obrazem,
Choć nie złotem moj naród sławny, lecz żelazem:
Żelazem on jest silny, mieczem wrogom srogi,
A pług z miecza przekuty uprawia rozłogi;
Tam niewiasty cnót starych pewnym idą torem,
Tam może dzielnej ręki, radnej głowy wzorem!

Daliej opowiada Wiszota o swym wodzu mężnym, który jednak już nie żyje; nie żyje, bo zwątpił o sobie i wstąpił do klasztoru aby żyć życiem trupów.

Wszystko to roznamiętnia coraz bardziej księcia-mnicha.

Piekło! (woła) oni tam żyją, ja konam!

A gdy Wiszota o swym wodzu mówi: „on w grobie, dajmy mu już spoczywać“ wtedy Władysław książę i rycerz zabija w swém sercu mnicha i woła namiętnie:

Spoczywać! o biada!

On nie zna co spoczynek, lecz siłę posiada,
Siłę, co wszystkie węzły rozerwać jest zdolna,
Podeptać święte śluby i wyjść znowu wolna;
Siłę, co wszystkie więzy i sieci rozmota...

Tu Wiszota daje się poznać Władysławowi i ukłękawszy przed nim mówi: „Panie! uczyn jak mówisz!“ Następnie donosi mu, że po Kazimierzu zabrał dziedzictwo *Węgier samozwaniec*, i że kraj cały pokłada jedyną nadzieję w owym księciu Białym. Po krótkim wahaniu się ze strony Władysława, uprzytomniającego sobie świętość ślubów zakonnych, prolog kończy się piękną apoteozą księcia do miecza, który mu podał Wiszota.

O mieczu! piękne cacko, o ilekroć razy
Szukałem cię na szarój ścianie mojej celi;
Nie było cię! i męstwo pordzewiało w skazy;
Wzięli miecz, wszystko razem z moim mieczem wzięli!
Dziś z tobą rycerskiego ducha czuję jeszcze.
O! zostaw mi ten miecz twój, niech się nim popieszczę;
Miecz mam znowu, miecz znowu przyciskam do łona!

Z tym mieczem, mówi dalej, powróci do kraju, lecz w kraju? pyta następnie, a Wiszota odpowiada: *korona!* Zastłona spada.

Podaliśmy nieco obszerniej treść prologu dlatego najprzód, że on stanowi najpiękniejszą i najlepszą część całego dzieła, a powtóre dla tego, żeby wykazać doniosłość téj treści w układzie dramatu p. Kościelskiego. Każdy przyzna, że charakterystyka Władysława, jego stosunku zarówno do życia klasztornego jak i do owego rodzinnego kraju, jest niezbędną dla należytego zrozumienia całego dalszego przebiegu dramatu, w którym Władysław ma odgrywać rolę główną. Charakterystyka ta, odsłania nam duszę bohatera, wykazuje najtajemniejsze dążności jego serca, stanowiące zawiązki jego późniejszych działań. Otóż rzeczy tak ważnych nie można żadną miarą oderwać od związku z pozostałą całością, o nich nie można traktować w prologu tylko, który według przyjętego zwyczaju odgrywa rolę bardzo podrzędną, a w każdym razie powinien być tego rodzaju aby usunięcie jego nie wpłynęło na samą treść dramatu. Prolog można porównać z przypiskiem autora podawanym niezależnie zupełnie od tekstu. Przypisek taki może być często bardzo pouczającym i zajmującym, lecz nigdy nie powinien zawierać w sobie rzeczy koniecznej potrzebnej dla zrozumienia tekstu, inaczej nie możnaby pojąć dlaczego autor podaje w przypisku to, co powinno znajdować się w samym tekście. Kto pisze o Władysławie Białym popełniłby wielką nielogiczność, gdyby o charakterze jego traktował w przypiskach; takiéj nielogiczności dopuszcza się poeta, który w prologu zajmuje się charakterystyką swego bohatera, a w samym dramacie o podobnej charakterystyce prawie zupełnie zapomina.

Na usprawiedliwienie swego prologu, autor mógłby się wprawdzie odwołać do przykładu kilku wielkich poetów, którzy téj formy wstępu dramatycznego w niektórych utworach z powodzeniem używali, jak n. p. Göthe we Fauście, Szyller w Dziewicy Orleańskiej, Słowacki w Lilli Wenedzie, i inni. Lecz na to odpowiemy najprzód, że największy poeta dramatyczny, Szekspir, z prawdziwie wielkim taktem unikał wszelkich prologów dramatycznych (wyjątek stanowi krótki ustęp do *Poskromienia złośnicy*) pojmując dobrze ich niestosowność a nadto zauważyć należy, że w przytoczonych przykładach prologi mają tylko na celu objaśnienie ogólnej sytuacji w której dramat się odbywa, a nie wprawiają bynajmniej w ruch głównych sprężyn przyszłej akcji dramatycznej. Dlatego téż przytoczone dramata mogą się obejść bez prologów, nie tracąc wcale na jednolitości i spójni w swéj treści głównej. Tymczasem nasz autor, jak widzieliśmy, przeniósł do prologów rzeczy tak fundamentalne dla całej dalszej akcji dramatycznej, że śmiało powiedzieć możemy, że jego dramat bez prologu po prostu istnieć nie może; z usunięciem prologu ucięłoby całemu dziełu głowę, lub co gorsza wydartoby mu serce; w jednym i drugim zaś razie mielibyśmy do czynienia z trupem, pozbawionym życia i ducha. Żałujemy mocno, że p. Kościelski pisząc swój dramat, nie obznajmił się należycie z dziełami dotyczącymi techniki dramatycznej n. p. z dziełem znakomitego

powieściopisarza i poety dramatycznego Gustawa *Freytaga* p. t. *Die Technik des Dramas*, 2 wyd. 1872. Tu na str. 101 i nast. mógł być się dowiedzieć o wymaganiach dobrego wstępu dramatycznego, a zarazem o niebezpieczeństwie na które się naraża autor rozpoczynający swe dzieło obszernym prologiem dramatycznym. Niebezpieczeństwo to polega na tém, że środek ciężkości dramatu zbyt łatwo się nachyla do prologu, wskutek czego całość staje się chwiejną lub nawet zupełnie upada. Nasz autor, jak zaraz zobaczymy, nie uniknął tego niebezpieczeństwa.

Akt pierwszy przenosi nas do sali tronowej zamku królewskiego w Gnieźnie. Występują: król Ludwik, w ubraniu węgierskiem i wojewoda wielkopolski Sędziwój z Szubina. Rozmowa ich pięknie udramatyzowana, chociaż nieco przydługa ma na celu oznajomić nas z położeniem kraju i z głównymi charakterami przeciwnego Władysławowi obozu. Prolog oznajomił nas z bohaterem i głównym jego współnikiem Wiszotą; tutaj występuje król Ludwik jako potężny przeciwnik księcia-mnicha, wraz ze swoim głównym pomocnikiem Sędziwojem. W królu przedstawia się nam człowiek surowy, despotą, widzący w narodzie tylko *podły molloch*, którego krnąbrność powściągnąć należy. Sędziwój natomiast reprezentuje pierwiastek pojednawczy, radzi królowi aby na wzór Kazimierza Wielkiego był ojcem ludu, a wtedy może być pewnym równiej wdzięczności i miłości. W tym celu Sędziwój prosi króla aby nie opuszczał kraju, nie wracał do Węgier, tém bardziej że jego tronowi grozi niebezpieczeństwo, gdyż „mnich wiarołomny świętokradzką dłońią sięga do skroni, kędy korona“. Król lekceważy sobie tego przeciwnika, gdyż jak mówi:

Króla stać na to, aby nędzną tę głowę
Zdeptać i szablą tonsurę wygolić!

Z tém wszystkiém jednak Sędziwój, znający dobrze stan rzeczy, radzi aby król przychylił się do prośby Władysława, domagającego się posłuchania u króla.

Dozwól (mówi Sędziwój), niech stawi się mnich przed twą chwałą,

Niech powie czego żąda, co przynosi?
Skromny gdy będzie, mir w kraju zabłyśnie;
Dumny, to ręce umyjesz w żałości,
Krzywdzić nie będziesz krwi więcej niewinnej:
Na głowę mnicha krew spadnie i zemsta.

Po odejściu króla i Sędziwoja występują w scenie drugiej panowie radni w celu przedstawienia się Ludwikowi. Między niemi odgrywa główną rolę Wiszota, starający się zjednać Władysławowi

głosy radnych panów. Występuje on w charakterze wichrzyciela agitatora, i woła nawet z zapamiętaniem:

Niech żyje król nasz, Władysław z Gniewkowa!

Niektórzy jednak panowie radni, między niemi szczególnie Jaśko Kmita, protestuje przeciwko podobnemu postępowaniu. Oni jak mówią nie uznają nigdy Władysława, tego „wilka w mnisiej skórze.“

W scenie następnej jesteśmy świadkami pierwszego starcia głównych przywódców działania i przeciwdziałania t. j. Wiszoty i Sędziwoja. Pierwszy reprezentuje dążności głównego bohatera dramatu, Sędziwój zaś z urzędu i przekonania broni praw królewskich, gdyż według niego tylko poszanowanie dla tych praw zapewnić może krajowi dobrobyt i spokój. W krótkiej lecz prawdziwie dramatycznej rozmowie tych dwóch postaci, uwydatnia się bardzo dobrze wzajemny do siebie stosunek stron wojujących. Nie ma tu jeszcze działania, ale są słowa które rokują działanie, jak to sam Sędziwój wyznaje mówiąc trafnie i pięknie:

Obłuda człowieka

Wprzód niż żelazem, słowem chce panować.

Sędziwój zarzuca Wiszocie, że pod „płaszczkiem publicznej swobody, własne łata łachmany i strzepy“, że pan jego „nie doniesie krajowi przysięgi, gdyż Bogu nawet nie dochował wiary.“ Wiszota na to:

Mówisz jak klecha wyuczony kazania,
Co djabłu wyrwać ma duszę grzesznika.

SĘDZIWÓJ.

Gorsza niż szatan jest kraju zamieszka;
Czuć złe, i milczyć, to więcej niż zdradzać!

WISZOTA.

Zkąd do napomnień ci sprawa i prawo?

SĘDZIWÓJ:

Zkąd do zaburzeń ci chęćka wichłaczu?

Ta rozmowa doraźna przechodzi naturalnym sposobem w działanie, gdy Wiszota powiedział Sędziwojowi ironicznie, że chce być Sieciechą, a ten odpióra, że lepszy był Sieciech, niżli Pełko zdrajca. Na co Wiszota, dobywając miecza woła: „Zdrajca, to słowo krew twoją mi spłaci!“

Lecz wtém otwierają się podwoje sali tronowej i wstępuje król Ludwik z arcybiskupem gnieźnieńskim i duchownymi.

Ludwik ma mowę tronową, przerywaną w celu dramatycznym uwagami panów radnych wypowiedzianymi na stronie. Mowa króla pełna jest surowości i gróźb.

Są w dłoni królewskiej pioruny,
Są gromy z nieba na króla skinienie.

Król—a stanowczość to jedno jest słowo;
Król—sprawiedliwość, dwa dźwięki to równe.

Z tém wszystkiém jednak Ludwik zgodził się na prośbę Sędziwoja, wypowiedzianą powyżej i dozwolił księciu Białemu zjawić się przed tron i wypowiedzieć publicznie swe żądania. Ludwik kończy swą mowę:

„Próg niech przestąpi mój brat, pan Gniewkowa.“ I wsamém rzeczy Władysław zjawia się w zbroi i staje przed tronem Ludwika.

Konieczność zniewala nas przerwać tutaj na chwilę opowiadanie dalszego przebiegu dramatu, dla wypowiedzenia kilku uwag krytycznych, które się nam narzucają wobec tak ważnego faktu, jakim jest zjawienie się osobiste Władysława przed tronem Ludwika. Nie trudno zauważyć że sam ten fakt znajduje się w jak największej sprzeczności ze wszystkiém, cośmy dotąd w naszym dramacie o księciu Białym słyszeli. Czyż mnich dyzoński na to tylko podeptał święte śluby, aby stanąć bezczynnie przed tronem swego śmiertelnego przeciwnika? czy na to tylko wyłamał żelazne kraty swój celi, ukuł z nich zbroję rycerską i miecz krwawy, aby zabłyszczyć na radzie w sali tronowej swego rywala? Gdzie się podziała jego dusza silna, przed którą drżał świat cały? Gdzie się podziały jego sny niespokojne o gwarze bitwy i szczęku oręża? gdzie jego marzenia o tronie i koronie? Czyż to wszystko się rozpierzchno wraz z spuszczeniem zasłony, oddzielającej króla od aktu pierwszego? O nie! książę Gniewkowski, wnuk Łokietka, w którym krążyła krew królewska Piastów, nie mógł nigdy a nigdy stanąć w Gnieźnie i ukorzyć się dobrowolnie przed Węgrem Ludwikiem! Taki charakter jak on mógł stanąć przed tronem swego przeciwnika nie jako rycerz swobodny i pan na Gniewkowie, lecz tylko jako hardy więzień spętany łańcuchami; nie na pierwszym wstępie do kraju rodzinnego, lecz tylko w ostatnim akcie swego dramatycznego żywota, ulegając tragicznej konieczności losu. Jeżeli historia nam donosi o zjawieniu się Władysława w Peszcie, to przyczyny tego zdarzenia nie są nam bliżej znane, a w każdym razie fakt ten nie powinien być w ten sposób użytkowany, jak to czyni nasz autor. Czegoż się możemy spodziewać po bohaterze, który już w pierwszym akcie tak rażąco i nie potrzebnie zmienia swoją rolę, i tak mało pokazuje charakteru właściwego prawdziwym bohaterom.

Nadto zauważyć musimy, że wystąpienie Władysława przed tron Ludwika nie jest wcale umotywowaném w sytuacji, którą nam

przedstawia sam autor w pierwszych scenach swój tragedyi. Od samego początku aż do chwili w mowie będącej, słyszeliśmy tylko o księciu Białym jako o pretendencie do tronu, na którym zasiadał Ludwik. Tylko z tego stanowiska zrozumiała jest niechęć króla dla wielkopolan sprzyjających Władysławowi, tylko w tym duchu pojąć można antagonizm między obiema partjami; działanie Wiszoty przeciw sprzymierzeńcom królewskim, jego opór ze Sędziwojem i t. d. Zresztą Wiszota jak widzieliśmy po prostu wywołuje Władysława jako króla. W jakim stosunku pozostaje książę Biały do tej agitacji Wiszoty? Autor nam tego w pierwszym akcie nie objaśnia i dla tego mamy prawo przypuszczać, że stosunek ten się nie zmienił w przeciągu czasu między prologiem i pierwszym aktem. Władysław zgodził się na wezwanie Wiszoty i Wielkopolan, przybył do kraju; czyż możemy przypuszczać, aby tutaj wobec stronnictwa przeciwnego nie działał w jak największej zgodności ze swymi przyjaciółmi? A jeżeli miał jakieś tajemnicze motywa do działania na własną rękę, to ten zmieniony stosunek księcia do Wiszoty należało uwydatnić w osobnej scenie, inaczej ten rozdźwięk jednego z dwóch głównych stronnictw całego dramatu pozostaje niezrozumiałym. Wiszota mówi o Władysławie jako o swym królu, a ten zadaje mu kłam, korząc się przed tronem Ludwika. Zaznaczamy tedy dwie ważne sprzeczności w samym fakcie wystąpienia Władysława w pierwszym akcie: 1) sprzeczność z samym sobą, ze swymi pierwotnymi zamiarami, ze swoim charakterem; 2) sprzeczność z otwartym wystąpieniem jego współników.

Sprzeczności tych autor nie zdołał usunąć przez dalszy przebieg działania; przeciwnie, motywa jakie książę Biały przed królem wypowiada dla usprawiedliwienia swego zadziwiającego postępowania, są tak słabe i mało znaczące, że dają niestety dowód, iż autor nasz nie zrozumiał wcale potężnego charakteru swego bohatera.

Władysław przyznaje przedewszystkiém królowi, że przybył do kraju, aby usiąść na tronie Piastów.

Kiedy kraty celi przysły

Przed moją piersią (mówi), w szalonym obłądźcie
Pędziłem, a mych marzeń tron był końcem.

W kraju błagalnie wierzyłem orędzie

I ludu mego chciałem zostać słońcem!

Duma rodowa i Piasta nazwisko,

Drogi mi świetną znaczyły przed duszą...

A cóż skłoniło księcia Gniewkowskiego do tak rychłego odstąpienia od zuchwałych zamiarów? Co zdołało skruszyć jego energię i zgnać jego dumę? Czy przekonanie o niemożności urzeczywistnienia tych zamiarów, czy sroga nauka nieugiętego losu? Bynajmniej: u naszego autora ten przewrót w całym charakterze bohatera, w całym celu jego istnienia i dążenia, skutecznia się środkami

daleko mniejszemi, prostszemi. Sielankowy szum gajów rodzinnych wystarczał, aby męznego żołnierza i dumnego rycerza, aby księcia krwi królewskiej przeistoczyć na człowieka pokornego, na filantropa, brzydzącego się próżnym rozlewem krwi. Otóż własne jego słowa:

Ach! jakże prędko szum gajów rodzinny
 Rozwiał marzenia: krwią nie chcę się wślawić;
 Na Piastów tronie zasiadł władzca inny,
 Aby go posiąść musiałbym go krwawić.
 Nie chcę krwi ludu rozlewać daremnie,
 Skroń mą rozbijam o te tronu stopnie,
 Które mą stopą gnieść chciałem, i we mnie
 Masz *poddanego: nie współzawodnika!*

Szanujemy jak najbardziej zarówno liryczny polot ducha, który w tych słowach się wyraża, jak moralną ideę, jaką poeta zapewne miał na oku wypowiadając takowe przez usta swego bohatera. Lecz to wszystko nie może złagodzić wymagań dotyczących jednolitości i prawdy psychologicznej każdego charakteru dramatycznego, cóż dopiero bohatera takiej doniosłości, jakim jest Władysław Biały. Który rycerz średniowieczny był do tego stopnia sentymentalnym, że się bał rozlewu krwi ludzkiej, gdy chodziło o urzeczywistnienie jakiejś idei romantycznej? Któryż z pretendentów i uzurpatorów w historii, marzył kiedykolwiek o osiągnięciu swego celu bez walki na życie i śmierć? Czyż Władysław słysząc w Dyżonie o Ludwiku, mógł przypuszczać, że mu się uda zrzucić potężnego władzcę z tronu bez wojny i rozlewu krwi? Po cóż wtedy jego apoteozy do miecza, do gwaru bitwy, do szczęku oręża? A jeżeli miał serce pełno miękkich, bardziej mnisich niż rycerskich sentymentów, to pocóż porzucił klasztor? po co nie wraca do niego czémprędzej, gdy niema odwagi przeprowadzenia swego dzieła do ostatnich wyników? Cóż ma począć w świecie rycerskim książę Gniewkowski po takim upokorzeniu samego siebie, po zrzeczeniu się wszystkich tych motywów, które spowodowały jego zmartwychwstanie z grobu klasztornego? Jaki może być dalszy cel jego dążeń? Jakie może być jego znaczenie w dalszym przebiegu dramatu p. Kościelskiego? Według naszego przekonania, rola księcia Białego skończyła się z pierwszą chwilą jego kornego wystąpienia przed Ludwikiem. Przez to wystąpienie autor zamiast obudzić interes dla swego bohatera, przytłumił w każdym krytycznym czytelniku i widzu współczucie, jakie dotąd towarzyszyło głównej postaci jego dramatu. Współczucie, interes dla bohatera są zawsze wynikiem obawy naszej o los, jaki go czeka, naszej niecierpliwości z powodu dalszych kolei jego życia i działania. Ten interes potrafił autor obudzić w sercu i umyśle czytelnika na początku swego dzieła, w prologu, w pierwszych scenach pierwszego aktu. Władysław zaś korzący się przed Ludwikiem już nie obudza w nas ani

obawy, ani nadziei, ani niecierpliwego oczekiwania. Poddał się i koniec. Tego rażącego błędu już żadne dalsze efekta dramatyczne poprawić nie zdołają. Autor sam zabił moralnie swego bohatera w pierwszym akcie. Najpotężniejsza fantazyja nie jest już w stanie powrócić mu życia, postawić go znowu na nogi i wlać w jego serce ową energię dramatyczną, którą się za życia odznaczał.

Rzecz jednak naturalna, że autor w dalszym przebiegu swęj tragedyi nie mógł się kierować wyłącznie motywami liryzmu i sentymentalności. Musiał tedy odszukiwać sztucznie nowych powodów do naprężenia dramatycznego, bez którego niema życia i działania. Po usunięciu zaś jedynie właściwego i naturalnego naprężenia, wszelkie nowe w tym kierunku starania nie mogły być uwieńczone skutkiem pożądanym, przeciwnie przybrać musiały charakter naciągany, sztucznie nadrobiony. I w samęj rzeczy nie w inném świetle przedstawiają się nam motywa, uwydatnione przez autora dla wywołania nowęj walki dramatycznęj między Władysławem i Ludwikiem.

Król przyjmuje upokorzenie księcia Białęgo z wielkiem zadowoleniem i mówi do niego: Obyś tak czynił jak mówisz roztropnie.

Na to Władysław występuje z żądaniem treści następującej:

Pragnę!

Zwróć mi mój Gniewków, ziemię Inowłodza:

A ja przysięgam, że dumę mą nagnę

I z burzyciela uczynię ci wodza.

Ludwik naturalnie odmawia tęg prośbie:

Raz człek umiera (mówi), że śmierci manowca

Trup do swych dzierzaw nie wraca, ni miecza.

Żeby zaś odjąć Władysławowi wszelką nadzieję odzyskania swęj ziemi dziedzicznęj, król obdarowywa Gniewkowem Kazimierza księcia szczecińskiego. Pomimo wspaniałości tego ostatniego, skutkiem któręj nie chce przyjąć daru, dlatego, że się tęg ziemi domaga dziedzic prawy, pomimo groźb Wiszoty i innych stronników księcia Gniewkowskiego, którzy wołają:

„Z księciem jest prawo, więc będą i miecze!“ Ludwik pozostaje nieugięty. I otóż nowy powód do naprężenia dramatycznego. Władysław będzie chciał przemocą odzyskać ziemię dziedziczną: z tego wywiąże się walka między nim i Ludwikiem. Czy w samęj rzeczy tak będzie? Jest to pytanie uprawnione wobec tego, cośmy dotąd o Władysławie słyszeli. Może znowu szum gajów zmięni jego postanowienia. Może sobie przypomni rycerz wojowniczy, że jeżeli nie chciał splamić swęgo miecza krwią ludzką dla uzyskania tronu, to tęg mniej godziłoby się rozpoczynać walkę krwawą o posiadanie jednęj ziemi gniewkowskięj. Autor sam czuje dobrze, że przytoczony powód nie jest dostatecznym do umotywowania walki dramatycz-

néj przyszych aktów. Ztąd uwydatnia jeszcze nowy motyw téj walki.

Podczas sporu króla z Władysławem wpada do sali tronowej tłum wieśniaków, żalących się na Węgrów, którzy tratują zboże i palą chaty wieśniacze. Ludwik niema litości dla nędzy ludu i woła niecierpliwie :

Precz mi z motłochem! nie króla to ucho
Jękiem wieśniaczym obrażać!

.....
Precz z oczul

Ta srogość oburza Władysława. Nazywa on Ludwika ojczymem i postanawia stanąć w obronie ludu, jako ojciec prawdziwy.

Poznasz dłoń trupa (mówi do Ludwika), i poznasz czy
Dłoni miecz nowych nie wzbudzi piorunów; [w zmarłéj
Tu mi plon życia, tu święta powinność.

.....
Królu węgierski, kamienne twe serce
Jest dla méj nogi pierwszym stopniem tronu!

Oto drugi powód do naprężenia dramatycznego. Władysław wraca tedy do swéj pierwotnéj idei, staje się znowu pretendentem. Ale czy ten zwrot jest umotywowanym dostatecznie? Bynajmniej. Władysław znajdował się w kraju; mamy prawo przypuszczać, że znał dobrze stan rzeczy, sytuacyą, w której się znajdował i że nie potrzebował dopióro być świadkiem owéj sceny z wieśniakami, aby powziąć rzeczony zamiar. Scena ta mogła tylko służyć za usprawiedliwienie jego pierwotnych zamiarów, gdyby od nich nie był odstąpił, gdyby nie był się kornie poddał Ludwikowi; teraz zaś zwrot podobny wskutek jednéj *przypadkowéj* sceny, jest co najmniej naciągany.

Autor, widocznie pomieszał tutaj dwa zupełnie różne sposoby motywacyi dramatycznój; motywacyą psychologiczną w saméj osobie działającej i motywacyą artystyczną dla widza lub słuchacza, mającą na celu w sposób należyty uwydatnić sprężyny działania dramatycznego. Przytoczona scena z wieśniakami mogła mieć tylko znaczenie motywacyi artystycznój, t. j. mogła tylko w oczach widza uwydatnić czynniki przyszłego działania i usprawiedliwić rodzącą się walkę dramatyczną. Lecz scena ta nie powinna była nigdy uzyskać znaczenia motywacyi psychologicznój, zmieniającej dążności samego bohatera. Jeżeli Władysław znając dobrze położenie wieśniaków przed pierwszém swoim wystąpieniem, pomimo to miał pewne powody do ukorzenia się przed Ludwikiem; to te powody musiały być poważnemi i nie mogły być usuniętymi tak nagle przez ową scenę. Jeżeli

zaś scena ta była w stanie rozbudzić w księciu postanowienie wystąpienia publicznie ze swemi pretensjami do tronu, to pojąć nie można dla jakiej przyczyny od tego pierwotnego postanowienia odstąpił, co go mogło skłonić do pokory? Czyż tylko chęć posiadania ziemi Gniewkowskiej bez rozlewu krwi?

Na przedstawieniu przytoczonych motywów, kończy się akt pierwszy.

Treść aktu drugiego jest następująca: Jesteśmy na zamku w Złotoryi.

W scenie pierwszej i drugiej występują Anna, córka Hanki z Brzezia i Marta jej piastunka. Anna w słowach pełnych uczucia i energii, wypowiada Marcie swoją gorącą miłość do księcia Władysława. Poznała ona go w Gnieźnie na uroczystości wjazdu króla Ludwika. Książę Gniewkowski był na uczcie w domu jej ojca, puszkarza, który należał do stronników księcia. Anna usługiwała przy stole i nalewała księciu wino. Nie ostrożna i zatwożona, uroniła na szatę księcia krople purpurowe. Książę wtedy z uśmiechem rzucił wzrokiem na skłopotaną dziewczę. A Anna?

Ja (mówi ona o sobie) z dziecięcym
Strwożeniem, pierwszym wtedy splonąłam rumieńcem.
Pamiętam, ten dzień pierwszym jest dniem w moim życiu,
Przed nim nie żyłam, może żyłam, ale nie wiem;
Życie z całym palącym w mej piersi żarzewiem,
Dopiero się poczęło w pierwszym serca biciu.

Idź za nim, jako Anioł Stróż stać mu przy boku,
W każdej chwili weń patrzeć i być przy nim wszędzie;
Czerpać źródło rozkoszy w jasnym jego oku
I ginąć, byle tylko w jego wiernych rzędzie!

A jednak choć mi dusza kraje się na ćwierci,
Nic mu wyznać nie mogę, chyba w chwili śmierci.

Dalsze sceny tego aktu dają nam poznać kilka nowych postaci dramatu. Widzimy tu przedewszystkiem Hankę z Brzezia, który będąc puszkarzem na zamku Złotoryi, znajdującym się w rękach królewskich, postanowił przez zdradę oddać zamek Władysławowi. Anna wie dobrze o tej zdradzie i wspiera ją moralnie, w nadziei prędkiego zobaczenia księcia. Lecz jej miłości stoi na zawadzie zamiar ojca wydania jej za mąż za Wszebója, młodego rycerza, syna Wiszoty. Wszebój kocha Annę z całą siłą młodzieńczego serca. W długiej rozmowie z Anną (scena 6) przedstawia się nam jako człowiek niezwykłe namiętny i szorstki. Należy on do stronnictwa Władysława, ale dla tego, że ojciec jego stoi na czele tego stronnictwa. W głębi zaś serca nienawidzi krwawo księcia mnicha, który,

jak mówi Wszebój, wyrzec się nie może swój mnisiej natury i zamiast siłą oręza, woli, w ciemnej nocy podstępem zdobywać nieprzyjacielskie zamki. Przytém Wszebój prędko domyśla się, że serce Anny zajęte jest księciem. Anna przynajmniej otwarcie mu wyznaje, że go nie kocha i że nigdy jego nie będzie. Wiadomość tę Wszebój przyjmuje z niewymowną złością i goryczą. Rycerski młodzieniec nigdy nie przypuszczał, aby córka puszkarza mogła mu odmówić miłości. Gniew jego wyjawia się w najsroźszych słowach. Kochanka z razu stała się w oczach jego czarownicą, jędzą, żmiją, której grozi, że pozna rękę obrażonego rycerza. Anna wobec tych obelg zachowuje się śmiało, energicznie, a nawet bohatérsko.

Stój wściekły! (woła do Wszeboja), gniew twój powstrzymaj
Mężny szermierzu z słabemi niewiasty! [na wodzy,

Zbierz wściekłe zmysły i wyznaj w swój duszy,
Jaki to nędzny jest rycerz, choć w stali,
Którego słaba kobiéta powali
I słowem jedném w nim mężtwo pokruszy!

Anna wychodzi z Martą, a Wszebój w krótkim monologu odślania nam całą swą duszę szatańską; myśli o zabójstwie Anny i o samobójstwie. „Ja muszę krew żłopać,“ woła roznamiętniony i postanawia odkryć tego, któremu Anna oddała pierwszeństwo.

On mego szczęścia tu przeżyć nie może:
Znajdę, zębami mu żyły otworzę!

Prócz przytoczonych nowych postaci zapoznajemy się w akcie drugim jeszcze ze starostą Złotoryi, Krystynem ze Skrzypowa. W dwóch scenach tego aktu (4-éji 8-éj) przedstawia się on nam, jako pijak z profesyl. Zasmakowawszy w winie przez podstępnych rybaków w dar mu przyniesioném, już od dzbana odejść nie może. Akt kończy się niespodziewaném wystąpieniem księcia Władysława, który wskazaną przez Hankę furtką wraz ze swemi hufcami od strony Wisły do zamku się dostał. Występując na scenę nakazuje starostę i załogę królewską okuć w kajdany i wtrącić do lochu.

Otóż treść aktu 2-giego; porównywając go z aktem pierwszym, nasuwa się nam bardzo wiele uwag krytycznych. Wypowiemy tylko najważniejsze z nich. Przedewszystkiém razi nas w całym tym akcie nowość zupełna wszystkich prawie czynników dramatycznych. Akt 2-gi nie jest dalszym ciągiem pierwszego, lecz samodzielną całością, która mogłaby służyć za akt pierwszy do nowego zupełnie dramatu. Osoby, sytuacja, treść, duch, naprężenie dramatyczne są zupełnie inne, nie mają nic wspólnego z aktem poprzednim. Akt pierwszy postawił nas w wyżynach historii; osoby działające brały

bezpośredni udział w losach całego kraju; naprężenie dramatyczne nie wynikało ze stosunków osobistych, lecz z sytuacji historycznej, w której się znajdowały osoby działające. Czytelnik zainteresowanym został nie dla tej lub owej jednostki, lecz dla idei, w imię której jednostka działała. Jednym słowem akt pierwszy należał do dramatu historycznego. Tymczasem w akcie drugim treść historyczna odgrywa rolę bardzo podrzędną. Najwybitniejsze postacie tego aktu: Anna, Wszebój i Krystyn nie są przedstawicielami żadnej idei historycznej, żadnego stronnictwa, nie zdradzają żadnej chęci przyjęcia czynnego udziału w przebiegu głównej akcji dramatu zcharakteryzowanej w akcie pierwszym.

Anna jest wyłącznie zajęta sobą, swoją miłością. Miłość tę autor uwydatnił wprawdzie z wielkim talentem, nadał jej odcień heroizmu, związał z głównym bohaterem dramatu. Z tym wszystkim jednak nie ma ona charakteru historycznego i nie znajduje się w żadnym związku z główną ideą aktu pierwszego. Jej znaczenie w dramacie historycznym takiego zakroju, jakiego się spodziewać należało po prologu w akcie pierwszym, mogło być drugorzędne. Autor miał zupełne prawo miłością tą wypełnić kilka scen, i związać ją z losami bohatera, miał również prawo nadać Annie miejsce wydatne w akcji dramatycznej. Lecz nie miał prawa sentymentami Anny i jej stosunkiem do Wszeboja zapełnić prawie cały akt drugi. Toż samo należy powiedzieć o samym Wszeboju. I on podobnie jak Anna daje się powodować wyłącznie osobistymi motywami: on nie jest charakterem historycznym, a zatem mógł stać tylko na drugim lub nawet trzecim planie; w każdym zaś razie wystąpienie jego nie powinno było krępować rozwoju historycznej idei dramatu. Krystyn wreszcie ze swoim opilstwem, choć przedstawiony bardzo charakterystycznie, ma tylko znaczenie karykaturalnego arabesku. W tym charakterze byłby zupełnie w swoim miejscu, wydatne zaś miejsce jakie zajmuje występując wraz z Anną i Wszebojem jako główna postać aktu drugiego, muszą wywołać w każdym widzu wrażenie jak najprzykrzejsze. Szekspir jak wiadomo, wyprowadza na scenę dość często podobne karykaturalne postacie, ale tylko do uwydatnienia postaci głównych. O tych zaś nasz autor w drugim akcie zapomniał zupełnie.

Co się zaś tyczy króciutkiego wystąpienia Władysława w końcu aktu, to ono bezwątpienia może wywołać wielki efekt dramatyczny, może nawet złagodzić w części wytkniętą powyżej niestosowność wyprowadzenia na widownię wyłącznie osób nieznaną i drugorzędnych. Pomimo to jednak, sposób zachowania się Władysława nie jest bez zarzutu. Dostaje się on do zamku przez *zdradę*, a zatem sposobem nie bardzo rycerskim, jak to Wszebój trafnie zauważył. Okrzyki hufców książęcych przy zajęciu zamku:

„Książę niech żyje, niech żyje wódz drogi!“ brzmią jakąś ironią. Czyż potrzeba na to być księciem i wielkim wodzem, aby w nocy przez

otwartą furtkę wejść do zamku i okuwać w kajdany spią żalogę? Mamy prawo zapytać, co zmusiło dzielnego rycerza, księcia Gniewkowskiego, do posiłkowania się zdradą dla zajęcia Złotoryi? Czyż do tego dzieła przystąpił bez żadnego skrupułu, bez poprzedniej walki? O tém wszystkiém autor nam nic nie mówi, a są to rzeczy dla charakterystyki bohatera daleko ważniejsze niż wszystko cośmy słyszeli z ust Anny, Wszeboja lub Krystyna. Widocznie brak w akcie drugim sceny, któraby uwydatniła stosunek Władysława do owego podstępny. W ogóle brak scen takich, któreby oznajomiły nas jak z zamiarami obydwóch wojujących stronnictw, tak i z faktami historycznymi, które miały miejsce między hałaśliwém zebraniem w Gnieźnie a oblężeniem Złotoryi przez Władysława. Co robi król Ludwik i jego stronicy? Czy śpią podczas oblężenia jednego z najsilniejszych zamków królewskich? Jakim sposobem zebrał Władysław hufce rycerskie, jak się dostał pod mury Złotoryi, czy dał dowody swego mężstwa, waleczności, czy też zawsze używał zdrady dla dopięcia swych celów? Oto pytania, które nam mimowolnie narzucają się przy wystąpieniu Władysława w Złotoryi. Autor nie ma odpowiedzi na te pytania, i dla tego właśnie akt drugi jego dramatu nie wiąże się wcale z pierwszym, a obraca się około nowego zupełnie tematu.

Przejdźmy dalej do aktu trzeciego. Rzecz się dzieje, podobnie jak w akcie drugim, w zamku Złotoryi, zajętem przez Władysława. Po scenie wstępnej w której występuje Wiszota, Stefan z Trlanga i Przedpełko ze Stęszewa, opowiadając sobie w sposób charakterystyczny przygody ostatniej wycieczki, spotykamy się z Władysławem. Sądziłoby wypadało, że marzy o tronie, że zastanawia się nad środkami energicznego urzeczywistnienia grózb rzuconych publicznie przed tron Ludwika! W czémże inném szukać punktu kulminacyjnego całego dramatu! Autor rzecz tę zupełnie inaczej pojął. W obszernym monologu przedstawia nam księcia Białego srodze zakłopotanego miłością dla Anny; w obec téj miłości zapomina o wszystkiém inném, o swéj missyi dziejowej, o swych groźbach i marzeniach rycerskich, staje się natomiast sentymentalnym, zgnuśniałym, niepraktycznym kochankiem.

Ona, i wszędzie ona! (woła) czy śród bitwy
 W szale zwycięstwa nacieram na wrogi,
 Czyli wracając z zwyciężkiej gonitwy
 Z rogów oddźwiękiem wstępuję w te progi:
 Ona i wszędzie ona! śród modlitwy,
 W nocy bezsennéj, czy gdy sen złowrogi
 Spadnie ołowiem, jak kiru zasłona...
 Ona, i wszędzie ona! wszędzie ona

Precz (mówi na końcu), precz złote mary, wielkości i sławy!

Precz panowania zwodnicze mamidła!
 Precz szlaku bojów, pożogą jaskrawy!
 Strząsam te więzy, odpycham te sidła!
 Szczęście jedyne: kochanki wzrok łzawy.
 Spokój jedyny: pod miłości skrzydła.
 Nad sławę, która wojownika czeka,
 O! wyższém stokroć jest szczęście człowieka!

Wszystko to bardzo jest piękném i daje dowód głębokiego poetycznego uczucia autora, ale niestety jest zarazem i dowodem braku jasnego pojęcia: jak dramatu w ogólności, tak w szczególności dramatu historycznego. Pretendent do tronu, rycerz bohatérski, porzuca wszystkie swe dążności, zmienia niejako całą swą naturę to dla szumu gajów, to dla sentymentalnej miłości. Rzucił rękawicę rycerską pod nogi potężnemu królowi, a teraz już po raz drugi odstępuje od dzieła bez poważnej przyczyny. Czyż Władysław mógł być do tego stopnia zaślepionym miłością, że nie wiedział jaki los go czeka gdy się powtórnie podda królowi? czyż sądził, że się będzie mógł poświęcić swęj miłości i owemu szczęściu człowieka, gdy się dostanie w ręce królewskie w skutek nieczynności? Według nas, miłość w charakterze takim jakim był Władysław, i jakim go przedstawia sam autor w prologu i akcie pierwszym, mogła mieć tylko za skutek rozbudzenie energii do nowych czynów, chęć osiągnięcia jak najwyższych celów. Przecież to ten sam Władysław mówił w prologu o swęj piérwszej miłości:

Gdybyś ty była żyła, Maryo! gdybyś była
 Uśmiechem dalej chobrze rozgrzewała serce,
 Nigdyby się skroń moja w proch nie poniżyła,
 Byłby dziś drżał przedemną król, kraj i oszczerce.

Czy powtórna miłość tegoż samego bohatera miała mieć zupełnie przeciwnie skutki! W miejsce czynów rycerskich, zgnuśniała, bezmyślną nieczynność! Przecież Władysław to nie Hamlet!

Ten sentymentalizm wcale nie bohatérski dochodzi do najwyższego szczytu w następnych scenach, szczególniej w rozmowach Władysława z Wiszotą i z samą Anną.

Do Wiszoty książę mówi między innemi:

Niech giną me czyny!
 Pamięć niech zginie mych zwycięstw na ziemi!
 Wielkim ten tylko, kto szczęsnym być umie.
 W inném miejscu mówi:
 Nic o wielkości i nic już o sławie!

A gdy Wiszota donosi księciu, że wojska królewskie przed Złotoryą nadciągają, aby ją oblegać, wtedy Władysław bez wielkiego namysłu, postanawia zrzec się wszelkiej obrony i walki.

Wszystko mi mówi (woła): wypadki swym biegiem,
 Serce me biciem, sumienie rozgrzane
 Tętnem miłości: rzuć bój Władysławie!

Stosownie do tego książe rozkazuje stanowczo, aby wywieszono na wieży białą chorągiew na znak, że zamierza oddać zamek bez boju. Wszelkie perswazyje Wiszoty, mają tylko za skutek, że książe wyznaje Wiszocie, że kocha córkę puszkarza, i że dla swój miłości, nie chce dalej prowadzić krwawego boju. Wiszota wypełnia rozkazy księcia, lecz zaprzysięga w swym duchu zemścić się krwawo na puszkarzu i jego córce za to, że swemi dumnymi zamysłami obałamucili Władysława. Ten zaś wypowiada główną myśl autora, sprowadzając w następnych słowach całą swoją wewnętrzną walkę do przeciwieństwa między *powinnością* i *miłością*.

Będę szczęśliwy, ach jestem szczęśliwy,
 Odkąd nie myślę o tronu podbojach,
 Lecz o podbiciu jedyne go serca!
 Straszna ofiara: ja dla niej poświęcam
 Prawo, uczciwość, sumienie! kraj cały.
 W Piastów potomka wzrok wlepił i serce,
 Zdradzam ich wiarę, ja zdradzam ich wiarę!
 Straszna rozterka: *powinność* i *miłość*!

I tak z wyżyn historii zstąpiliśmy teraz zupełnie na pole zwyczajnego, obyczajowego dramatu. Powinność i miłość, oto oś, około której obecnie całe działanie się obraca. Ten temat codzienny usunął do reszty pierwiastek historycznego dramatyzmu z naszego utworu. W obec tej rozterki, pozbawionój znaczenia prawdziwie dziejowego, Władysław przestaje być charakterem historycznym, a staje się osobą zwyczajną, codzienną. Takim go też widzimy w rozmowie z Anną, gdy zapominając o nadciągającym nieprzyjacielu, swą miłość gorącą jej wyznaje. Anna wprawdzie wierna swój żyłce heroicznój, którąśmy w akcie drugim poznali, nie chce, aby książe dla niej na wpół drogi stanął, nie chce, aby dał pierwszeństwo miłości przed *powinnością*; mówi mu nawet otwarcie:

Tylko nikczemny

To co rozpoczął, nie kończy ze sławą.

i domaga się, aby nie ustąpił, aż na swój głowie nie ujrzy korony.

Na twojej skroni, o Panie—korona!

Tyś mój Bóg, król mój, mój anioł i pan!

Ja cię nie będę miłością kobiety

Plątać na drodze, gdzie czynów swych żniwo;

Tobie korona, rycerskie podniety...

Mnie... bądź ty wielki! ja będę szczęśliwą!

Wszystko to jednak nie było w stanie rozbudzić w Władysławie p. Kościelskiego krwi rycerskiej i zagrzać jęj do czynów. Nawet na heroizm Anny, która, jak widzimy, wyrzeka się miłości dla wielkości księcia, Władysław patrzy okiem najzwyczajniejszego kochanka. Jedyną odpowiedzią na wysoki polot jęj ducha, są trywialne słowa księcia:

Ona mnie kocha! ach ona mnie kocha!

Pojmujemy dobrze i gęboko miłość, rozumiemy, że Władysław mógł pokochać Annę; ale nie pojmujemy, jakim sposobem książę krwi królewskiej, dążący do tronu, mógł wpadać w niewymowny zachwyt i sądzić, że dosięga szczytu szczęścia dlatego tylko, że go kocha Anusia, córka puszkarza!

Po rozmowie Władysława z Anną, następują trzy sceny (7, 8 i 9), w których jako główne postacie występują Wiszota, Hanko i Wszebój. Sceny te są dobrze udratyzowane, dialog płynie żwawo, myśli się iskrzą i grożą wybuchem w czynię; sama zaś rzecz niestety nie ma bezpośredniego związku z główną ideą utworu, z główną sprężyną całego naprężenia dramatycznego. Każda z wymienionych postaci działa na własną rękę, jest osobnikiem oderwanym od związku z całością.

Wiszota zaprzysiągł zemścić się na Hance i jego córce i stara się w tym celu zapewnić sobie współdziałanie Stefana i Przedpełki. Hanko też się szczęśliwie nasuwa. Mężni rycerze nacierają we trzech na niewinnego starca, zarzucając mu, że ich chce zdradzić i oddać w ręce królewskich. Hanko już się gotuje na śmierć, wołając:

Oto pierś moja, gdy krwi wam potrzeba
Żłopcie: nasyćcie zwierzęce pragnienia!

Wtém zjawia się na szczęście Wszebój i staje w obronie ojca Anny. Wszebój podsłuchał był tajemnie rozmowę Władysława z Anną; wie zatem, że Hanko niewinny, a chcąc się zemścić na Władysławie, postanawia ocalić Hanę, żeby go użyć za narzędzie swęj zemsty. Wrywa tedy szczęśliwie starca ze szponów Wiszoty i bierze na stronę, aby wtajemniczyć go w swoje zamiary.

Tymczasem nadeszły wojska królewskie pod mury Złotoryi. W skutek wywieszenia białęj chorągwi, zjawiają się w zamku jako posłowie: książę Kazimierz szczeciński i Bartosz ze Sokołowa, domagając się od Wiszoty wydania kluczy zamkowych. Wiszota odmawia. Powstaje spór między nim i posłami. Wtém nadbiega Władysław. Czy odda królewski miecz, aby zostać szczęśliwym kochankiem? Bynajmniej, autor zgotował nam nową niespodziankę, a jego bohater obecnie już po raz czwarty zmienia swoje *stanowcze* postanowienia.

Stojcie! (woła Władysław) porporzec uiech zwiną z nad bramy.

Bronić się będę do śmierci.

Książę Kazimierz ochładza niespodziewany zapał bohatera, zwracając uwagę na to, że teraz już zapóźno się bronić. Władysław na to odpowiada słowami zdradzającemi dziwną mieszaninę sentymentalnej dobroduszości i spóźnionego heroizmu.

Bracie szczeciński (mówi), w chwilowej rozterce
 Umysł mój chory odbiegał odwagi:
 Z zamku ustąpcie, ja bronić się będę.

Nie można się dziwić, że rycerz prawdziwy, jakim zdaje się być książę Kazimierz, na podobne postępowanie i podobne słowa niema innej odpowiedzi nad wzgardę. To też Kazimierz otwarcie wyznaje Władysławowi, że go ma za nędznika, który nie zna rycerskiej uczciwości, i że znieważa rycerskie prawidła, bo mu wygodniej z mniemiemi podstępami niżli z prawością rycerza. Cóż na to Władysław? Otóż jak zwykle zmienia swe postanowienie jako chwiejna trzcina. Już zamku bronić nie myśli, a natomiast proponuje *bratu* szczecińskiemu pojedynek na włócznie, mówiąc:

Słuchaj o *bracie*, jam *jeszcze (!)* rycerzem,
 Głos powinności znam *jeszcze (!)* i cenię,
 Jeszcze ja jestem rycerzem—niech zginę,
 Jeśli nie takim jak znałeś mię ongi.
 Głos twój mi wcześniej obudził sumienie,
 Ale z nim razem straszliwą rozterkę;
 Oddać ci zamek *powinność* mi każe,
 Każe *powinność* mych bronić przyjaciół:
 Chceźli, niech oręż rozstrzygnie zawzięłość.

I otóż już znowu nowa rozterka, nowa zawzięłość dramatyczna, zdaje się już czwarta w naszym dramacie. Ta nowa rozterka ma miejsce w samej idei powinności, jest rozterka między powinnością poddania i powinnością bronięcia zamku. Zkąd ta nowa zawzięłość powstała, nie wiemy, bo nie wiemy dlaczego książę Biały odrazu znowu odstąpił od zamiaru poddania się królowi. Żeby Władysław p. Kościelskiego lepiej nie był tyle filozofował o powinności a natomiast działał jak mu natura nakazywała, toby nie potrzebował być wyszukiwać sztucznie tak subtelných rozterek. Brak jednolitości i konsekwencji w przeprowadzeniu pierwiastkowego naprężenia dramatycznego, ciągnęła zmiana zasadniczej idei dramatu, nadwergęzenie historycznego charakteru jak w całości tak i w szczegółach, oto niedostatki rażące, które nam zaznaczyć należy w obec powyższego przebiegu działania. Na umowie pojedynku między Władysławem i księciem szczecińskim kończy się akt trzeci.

Akt czwarty przedstawia coraz to nowe rozterki i zawzięłości. Jesteśmy w obozie Sędziwoja pod Złotoryą. Dowiadujemy się że ksią-

że Szczeciński poległ pod murami zamku, w pojedynku z Władysławem. Z drugiej zaś strony słyszymy, że i Wszeboj odniósł cios śmiertelny z ręki Bartosza. Nadto spotykamy się zupełnie niespodziewanie z Anną i Martą, które w drodze do Gniezna schwytane zostały przez żołdactwo i dostawione do namiotu Sędziwoja. W jakim celu opuściły Złotoryę? Trudno byłoby się domyśleć, gdyby Anna sama nam nie powiedziała, że opuściła zamek na to tylko, aby miłość jej nie osiadała rdzą gnuśną na mieczu i sercu Władysława. Czyn to do pewnego stopnia heroiczny, ale motywa sztuczne i naciągane. Główne zaś sceny aktu czwartego wypełnione są rozmową Sędziwoja z Wszebojem. Ten ostatni chce się zemścić na Władysławie, zjawia się potajemnie w obozie Sędziwoja z propozycją wpuszczenia królewskich przez furtkę otoczoną do Złotoryi, według słów Wszeboja; Hanko przyrzekł być pomocnym w tej rzeczy: Sędziwój zaś okazuje się szlachetniejszym niż książę Władysław w akcie drugim, i zrazu nie chce skorzystać ze zdrady dla zajęcia zamku. Wtém jednak zjawia się goniec królewski, który donosi Sędziwojowi, że zostaje usunięty z godności wodza naczelnego i że na jego miejsce królowa naznaczyła jakiegoś Węgra. Ta okoliczność skłania Sędziwoja do przyjęcia propozycji Wszeboja w celu bezzwłocznego zajęcia zamku. Sędziwój już wydaje rozkazy w tym celu, lecz Anna wysłedziwszy Wszeboja, usłyszawszy o co rzecz idzie, występuje otwarcie przeciw zdrajcy i stara się sparaliżować jego zamiary, dowodząc Sędziwojowi, że Wszeboj jego samego zdradzi. Nim zaś ta scena rozwikłaną została, nadchodzi wiadomość, że książę Gniewkowski napada na obóz. W następnej chwili zjawia się sam Władysław i ocala niespodziewanie Annę z rąk Wszeboja, który ją do piekła wtrącić zamierza. Władysław zaś i Anna pomimo gwaru bitwy i szczęku oręża, jako wierni kochankowie, nie mają naturalnie nic pilniejszego do czynienia jak przycisnąć serce do serca. Akt kończy się objęciem kochanków i sentymentalnym wykrzykiem Anusi:

Luby! na wieki już twój!

Cóż tu dodać do tej treści aktu? Oto powiemy tylko że cały ten akt składa się z samych niespodzianek! Niespodzianie spotykamy Annę i Martę w obozie nieprzyjacielskim, bo motywa ich ucieczki z zamku nie są dostatecznie wyjaśnione. Niespodzianie nadchodzi goniec królewski, bo o działaniu stronnictwa królewskiego po akcie pierwszym nieśmy już nie słyszeli, król Ludwik zginął ze sceny bezpowrotnie. Czyż na to tylko wystąpił w akcie pierwszym, aby zaraz po tém zejść na zawsze z widowni naszego dramatu? Królów, potężnych przedstawicieli przeciwnego bohaterowi działania, tak pobieżnie nigdy traktować nie należy. Ludwik niema żadnego znaczenia dla całego przebiegu działania dramatycznego. Więc po co wystąpił na scenie? Czy tylko dla efektu? Dalej pytamy: w jakim stosunku Sędziwój pozostaje do rządów królewskich? jakie powody mogły skłonić króla czy królowę do usunięcia tak wiernego i ważnego sprzymierzeńca? Jakie zamiary miał Sędziwój, przystawając na zdradzieckie zaję-

cie Złotoryi? czy chciał oddać zamek nowemu wodzowi Węgrowi, czy też zamierzał działać na własną rękę? i t. d. Oto pytania które się nam nasuwają na widok gońca królewskiego, pytania wielkiej wagi dla dramatu historycznego, w którym akt czwarty ma być dalszym ciągiem aktów poprzednich, szczególnie pierwszego. Kilka wiadomości rzuconych pobieżnie przez samego gońca, nie mogą służyć za dostateczne rozwiązanie wszystkich tych pytań.

Niespodziankę w tym akcie stanowi nawet pojawienie się Władysława w obozie Sędziwoja. Scena ta najprzód zbyt podobną jest do ostatniej sceny aktu drugiego, aby nas nie miała uderzyć powtórzeniem. Nadto nie możemy sobie wytłumaczyć powodu, dla którego Władysław napadł na obóz nieprzyjacielski. Według umowy z księciem Szczecińskim, pojedynek miał stanowić o posiadaniu zamku. Władysław zwyciężył, więc zamku nie wydaje: to w swoim porządku. Lecz z jakiego powodu bezpośrednio po tym pojedynku napada na Sędziwoja? Przed pojedynkiem rzekł się nawet obrony zamku, a teraz znowu sam rozpoczyna działania zaczepne? Zkąd ta nowa zmiana? Czy znowu zamarzył o koronie? czy też szukał z mieczem w rękę swojej Anusi? Odpowiedzi nie mamy.

Wreszcie i Anna, najkonsekwentniejsza i najudatniejsza ze wszystkich postaci naszego dramatu, przedstawia się nam na końcu tego aktu zupełnie inną niż na początku. Opuściła zamek aby nie stać Władysławowi na zawadzie w osiągnięciu wielkości i chwały; dała sobie słowo, że się prędej nie uspokoi, aż nie ujrzy na jego głowie korony. Tymczasem jedno maluczkie zwycięztwo z jego strony wystarczy dla niej do powrócenia w jego objęcia i do oddania się mu na wieki! Czy sądziła, że po tém małym zwycięztwie, Władysław już będzie mógł odpocząć na swych laurach, że jój miłość już na przyszłość nie będzie dla niego hamulcem, wstrzymującym polot jego wielkiej myśli? Jeżeli tak sądziła, to była bardzo łatwowierną.

Przechodząc do statniego aktu, do aktu rozwiązania, wyznać musimy, że takowy rozpoczyna się pod bardzo niefortunną gwiazdą. Ma on rozwikłać węzeł dramatyczny: lecz na czém takowy polega? Jesteśmy w kłopotcie co odpowiedzieć na to pytanie. Czego się spodziewa czytelnik po tym akcie? Czy może być mowa o jakimś naprężeniu dramatycznym, którego rozwiązania moglibyśmy wyglądać z niecierpliwością. Władysław pobił wojska królewskie. Anna powiedziała, że jest jego na wieki; zdrajca Wszebój wykryty przez Annę; czegoż więc potrzeba. Otóż żeby nie skończyć na czterech aktach, autor wymyślił nowe naprężenia dramatyczne.

Akt 5-ty rozpoczyna się monologiem Hanki. Miał on zamiar wraz z Wszebojem zdradzić Władysława, gdyż Wszebój wmówił w niego że książę znajduje się w blizkich stosunkach z jego córką Anną. Ucieczka Anny z zamku uspokoiła starego ojca, jako dowód że pozostała niewinną i że odbiegła od uścisków Władysława. Ale w tém

słyszysz dźwięk pieśni wojennój. Książę wraca do zamku ze zwyciężki wycieczki. Hanko widzi na ramionach jego swoją córkę i woła:

Anna, na jego ramionach, o piekło!
On nie szedł chwały tam szukać, lecz swojej,
Swojej... o Boże! nie daj mi wymówić!
Hanko! to córa twa, córa mieszczańska
W księcia objęciach! o gadzie niewdzięczny!

na ten fakt dojrzuje w sercu Hanki zamiar połączenia się z Wszebojem dla zdradzenia Władysława.

Następuje scena efektowa, w której Władysław stara się oćucić zemdłą Annę. Ma on znowu na myśli tron, mówiąc do kochanki:

Tron, Anno, bez ciebie
Zda mi się trumną: tyś słońcem mém, życiem,
Chwałą mą, czynem i bóstwem, aniele!

Anna zaś mówi o matce zmarłej, która ją do siebie woła, chcąc oderwać od ciepłej piersi kochanka, mówi dalej o ojcu, który chce zdradzić księcia wraz z Wszebojem. Władysław znowu tego wszystkiego jakby nie słyszał, mówi:

Przy sercu mém nowe
Życie się pleni.

Tymczasem Wszebój i Hanko gotują się do strasznej zemsty. Już im nie dosyć oddać zamek w ręce królewskich, ale nadto postanawiają zabrać co żywo i pastwić się nad wrogiem. Zemsta rozpoczyna się rozmową Hanki ze swoją córką, w sposób wprowadzicie bardzo dramatyczny, lecz nienaturalny i straszny. Hanko opowiada Annie o zamiarze zdradzenia Władysława i domaga się nawet jej udziału przez postawienie lampy w oknie na znak wojskom królewskim. Anna naturalnie odmawia. Wtém nadchodzi Wszebój z wiadomością, że Władysław wie już o zamierzonej zdradzie. Idzie tedy o jak najspieszniejsze dokonanie dzieła. W tym celu Hanko wybiega a Wszebój woła na Annę o lampę. Ta zaś rzuca ją o ziemię. Wszebój napada na nią, mówiąc:

Ha! podła jaszczurko,
Wtóry raz mnich twój nie wstrzyma mych ciosów.

Lecz myli się. Władysław się znowu zjawia na ratunek Anny. Wszebój naciera na księcia, Władysław zaś wytrąca mu miecz z ręki i każe wiązać zdrającę. Anna zaczyna błagać księcia aby oszczędzał jej ojca. Władysław na to odpiera:

Ojciec twój cały, a miłość jest moja
Jego strażnikiem.

Następnie daje rozkazy, z nieznaną nam dotąd energią mówiąc:

Dać hasło z nad baszty,
 Tak jako zdrajca ułożył z Szubińskim;
 Bronę wraz podnieść, a skoro rąbusie
 Wcisnąć się chciwie weń poczną, wraz spuścić,
 Wszystkich przytłoczyć, a rąbać kto żywy.
 Wszębój zaś związan pośrodku dziedzińca,
 Spalon na stosie, niech widzi swe dzieło!

Takim sposobem, sentymentalny filantrop i kochanek, co tak często unikał rozlewu krwi, i marzył o szczęściu swoim i ludu, stał się dorazu okrutnym barbarzyńcą, co rąbie i pali bez litości. Prawdziwy Władysław, jakim go przedstawia historia, mógł mieć podobną żyłkę, ale energia i stanowczość jego miały przynajmniej pewien cel; chciał on osiąść tron, zedrzyć z obcej głowy koronę i włożyć na swoją, a tego wszystkiego bez gwałtów trudno osiągnąć. Tymczasem Władysław pana Kościelskiego, daleko jest skromniejszym w swoich dążnościach, pana się zadawał miłością dziewczyny. Jego srogość nie ma tedy żadnego celu, nie wiąże się ani z jego charakterem, ani z jego dotychczasowem postępowaniem.

Po powyższym rozkazie Władysława, następuje krótka scena, w której Stefan i Przedpełko postanawiają, mimo woli księcia, stracić i samego Hanke jako współnika Wszeboja. Anna przeczuwa, że ojcu jój grozi niebezpieczeństwo. W krótkim monologu wypowiada z tego powodu swój niepokój, zarzucając sama sobie, że własnego ojca zdradziła. Myśl o miłości Władysława i jego przyrzeczeniu oszczędzenia ojca, uspakaja ją zupełnie, lecz tylko na krótką chwilę, gdyż zrazu wbiega Marta i donosi, że w podwórzu zamkowym na stosie w płomieniach, pali się ojciec jój Hanko. Przypisując ten czyn okropny Władysławowi, Anna woła:

Zdradził mię—ojca wbrew słowu danemu
 Zabił niewierny! więc on mię nie kocha...
 Nie kochał strasznie! mój ojciec!

Teraz i Anna myśli tylko jakby się zemścić nad Władysławem. W tym celu stawia kaganiec na oknie, na znak, żeby Sędziwój według umowy z Wszebojem wszedł do zamku przez furtę nadbrzeżną; sama zaś wybiega na podwórze i rzuca się w płomień, które pochłonęły jój ojca. Przybywa Władysław, Anna umierając rzuca na niego przekleństwo. Tymczasem nadchodzi Sędziwój; Władysław broni się, lecz Sędziwój wytrąca mu miecz z ręki i bierze do niewoli pretendenta, mówiąc:

Idź skonać w klasztorze!

Nie można zaprzeczyć, że cały ten akt pełnym jest dramatycznych efektów i zdoła wywołać głębokie wrażenie; ale pomimo to, stanowi znowu osobną całość, niepowiązaną należycie z poprzedniemi działaniami i sprzeczną w sobie. Władysław, jak widzieliśmy, przedstawia się nam w odmiennym zupełnie świetle niż w aktach poprzednich. Działanie zaś wszystkich pozostałych osób daje się sprowadzić do jednego słowa: *zdrada*. Wszębój zdradza, Hanko zdradza, Anna nawet zdradza, a Sędziwój zwycięża przy pomocy zdrady. Gdzież tu szukać rozwiązania węzła dramatycznego, w czém się objawia zasadnicza idea całego utworu? Za co pokutuje Władysław? Czy za to, że zdeptał śluby klasztorne a wziął do ręki miecz rycerski? pokochał kobietę? Czy też za to, że wystąpił buntowniczo przeciwko uświęconej władzy królewskiej Ludwika? Czy za to, że jako Piast nie wypełnił swych powinności względem swego ludu, lecz oddał pierwszeństwo błahęj miłości? Czy wreszcie za to, że dał się uwieść zbyt srogą srogością przy ukaraniu zdrajcy Wszeboja, rozpalając stos, na którym zgorzała szczęście samego Władysława? Nie możemy dać żadnej stanowczej odpowiedzi na wszystkie te pytania, a jednak każde z tych pytań jest wyrazem zupełnie różnej *idei*, innego pojęcia całego utworu.

Daléj, Sędziwój zwycięża; lecz w jakim charakterze zwycięża? Czy jako wierny wódz królewski, co w chwili następnej ustąpi miejsca Węgrowi, czy téż w charakterze samodzielnie działającego wodza? On skorzystał ze zdrady Wszeboja w jakichś myślach ubocznych, „aby Węgier nie sztydził z narodu.“ Może wzięcie do niewoli Władysława zatrzyma Sędziwoja na miejscu naczelnego wodza, lecz czy przeto w kraju lepiej będzie, niż w pierwszym akcie, w którym Władysław wystąpił w obronie zdeptanego ludu? Jednym słowem, trudno, bardzo trudno dopatrzeć się w całym utworze jednej głównej idei. Autor sam nie zdał sobie jasnej sprawy ani z charakteru Władysława, ani z idei historycznej, która się wiąże z jego dążnościami. Ztąd niejasność i chwiejność całego dramatu, brak jednolitości w przebiegu działania dramatycznego, brak spójności między różnemi aktami; ztąd ów nieoznaczony charakter dzieła, trzymający środek między dramatem prawdziwie historycznym wyższego zakroju, a dramatem obyczajowym osnutym tylko na tle historycznym. Autor naciąga coraz to inne sprężyny; ażeby wywołać naprężenie dramatyczne, tam stronnictwa polityczne, tu powinność i miłość, tam chęć sławy i żądza czynów, tu bezmyślna nieczynność, tam zdrada i podstęp, tu nieporozumienia i oszczerstwa; ale wszystkie te sprężyny i koła ruchu dramatycznego nie równoważą się nawzajem, nie wiążą się należycie ze sobą, i dlatego nie posuwają dzieła naprzód do pewnego celu, lecz mają za skutek bieg zygzakowy, w prawo i w lewo, w górę i na dół, naprzód i nazad, jak czółno na falach bez steru i sternika. Sądzymy, że czytelnik najprzychylniejszy autorowi, zapoznawszy się dokładnie z treścią naszego dramatu, nie dojdzie do innego o nim przekonania.

Z tém wszystkiém jednak nie możemy zakończyć tego rozbioru bez wykazania dodatnich stron jeżeli nie samego utworu, to przynajmniej talentu naszego autora. Dla tego talentu, który się w całym dziele przebija, zadaliśmy sobie pracę tak szczegółowego rozbioru tego dramatu. Pan Kościelski ma widocznie wielkie zdolności poety dramatycznego. Jego dyalogi odznaczają się życiem i niezwykłą dramatycznością, z nich tryska na każdym kroku chęć czynu, działania. Nawet tam, gdzie dyalogi mają za treść myśli oderwane lub uczucia serdeczne, jak np. rozmowy mnichów w prologu, lub dyalogi Władysława z Anną, towarzyszy im pewna dramatyczność; tutaj widać że myśli mówiących płyną różnym zupełnie korytem, że się ze sobą ścierają, wzajemnie naprężają. Podobnież i dykcya naszego autora odznacza się zwykle pięknnością, powagą, siłą i jędrnością. Czczych słów mało, wszystko zdradza myśl lub głębokie uczucie, lub wolę namiętą. Wreszcie i pierwiastek działania dramatycznego nie jest zaniedbanym, przybiera nawet wielką efektywność w akcie ostatnim naszego dramatu. Wszystko to są zalety nader ważne, które mogą rokować naszemu autorowi piękną przyszłość, gdy zdolności dramatyczne wesprze należytemi studjami, tak psychologicznych jak i technicznych stron dramatyizmu. Wady jakieśmy zmuszeni byli zaznaczyć w obecnym utworze p. Kościelskiego, są głównie wynikiem braku takiego studjum. Autor wziął się do stworzenia wzniosłego dramatu historycznego, i wznosił się w samej rzeczy na początku dosyć wysoko; lecz nie umiał zatrzymać siebie i czytelnika na tych wyżynach, właśnie dla braku należytej znajomości warunków dramatu historycznego, dla braku studjów psychologicznych w konsekwentnem przeprowadzeniu charakterów historycznych. Nie wątpimy, że uzupełniając te braki, pracując nad sobą i nad swym przedmiotem, autor zdoła w czasem wydać dzieła doskonalsze, czyniące bardziej zadość wymaganiom krytyki. Według nas, nie brak autorowi do tego zdolności, i nawet wyższego talentu.

Henryk Sruve.

Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Tom VII. Wydanie zupełnie poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów, staraniem J. I. Kraszewskiego. Poznań, 1874 (w 8-cc, str. 308 i VII).

Kiedy w końcu roku 1871 J. I. Kraszewski ogłosił prospekt na wydanie wszystkich pism Kazimierza Brodzińskiego, całość objąć miała sześć tomów; ale gdy kończył się tom właśnie szósty w druku, spostrzegł że pozostałe rękopisma potrzebują ram obszerniejszych. I oto mamy tom siódmy, którego większą połowę (od str. 1—229) stanowią *synonimy polskie*.

Z jednej strony przysłowia narodowe stanowią wielki skarbiec ojczyźnego języka, w którym lud oprócz wspomnień historycznych, złożył naukę wielu wieków i doświadczenia w jedrnych a węzłowatych wyrażeniach, odbijających jako w zwierciadle zarówno charakter rodowy, jak myśl, która ożywiała dawną społeczność. W nichto głębszy myśliciel znajduje obfity materiał do filozofii narodowej, a brak nam tylko zgromadzenia i spisania w wielką księgę, zabytków tak drogowennych, nad któremi setki lat pracowały i tą duchową strawą, jako chlebem Bożym, zasilały ciągle młode pokolenia w żywym słowie sądziwych ojców i matek.

Z drugiej strony *synonimy* wykazują całe bogactwo języka, w gronie zasobu wyrazów prawie jednoznacznych, które przy bliższem i rozważniejszem rozpatrzeniu, okazują nie małą różnicę. Pierwsi ich twórcy przekazali je we właściwem znaczeniu, następcy poszli za ich przykładem; język bez pisma i gramatyk kształcił się sam powszechnem użyciem, bogacił nowemi nabytkami, które potrzeby społeczne wywołały. I znajdujemy już w XVI stuleciu kiedy rozwinęła się literatura polska we wszystkich kierunkach wiedzy, że język ten wystarczył każdemu zarówno moralistcie, jak historykowi i poecie. Imiona Reja z Nagłowic, Jana Kochanowskiego, Marcina Bielskiego, Łukasza Górnickiego, Cypryana Bazylika, jak i Piotra Skargi, stoją tu jako świeczniki.

Jeżeli Jan Kochanowski był prawodawcą ówczesnej pisowni polskiej, którą przez następne wieki szanowano: żaden z pomienionych pisarzy, korzystając z bogactwa języka, nie zastanawiał się nad synonimami. Pierwszy ślad ich dopiero znajdujemy w kazaniu ks. Rozwadowskiego (*Rozwód żaloszny*, 1632 r.), mimochodem rzucony.

„Kiedy kto idzie w drogę z Krakowa do Wilna i brata swego, który w Prusiech mieszka na onej drodze, o nim nie myśląc, ani onego widzieć się spodziewając, z przygody *najdzie*: a kiedy umyślnie zgubionego klejnotu szukamy i dostajemy, tedy mówimy, żeśmy *wynaleźli*.”

Było to przez kaznodzieję potrącenie myśli przypadkowe: w następnych latach, nikt jej nie podniósł. Dopiero na początku naszego stulecia w *Pamiętniku Warszawskim* Franciszka Dmochowskiego tłumacza *Iliady* i Ludwika Osieńskiego, znajdujemy żywsze krzątanie się około synonimów polskich. Wreszcie Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół nauk, któremu wiele pięknych prac, jak i pomysłów dla zubożenia literatury krajowej zawdzięczamy, po zredagowaniu obszernego programu do napisania „Historji polskiej“, w którym znać biegłego badacza dziejów (drukowany w *Pamiętniku* L. Osieńskiego, za czasów Księstwa Warszawskiego), uznało potrzebę wydania synonimów polskich i poleciło napisanie programu do konkursu prof. Bentkowskiemu. Niewiadomo z jakich powodów później inny program chciano mieć od K. Brodzińskiego, który go przedstawił spełniając dane sobie polecenie.

„Towarzystwo (pisze w nim) zwróciło uwagę na brak w polskim języku dokładnej synonimiki. Każdy język może jedno pojęcie różne-

mi wyrazami oznaczać, lecz w miarę ukształcenia się, wyrazy jednoznaczne, albo w mowie piśmiennąj nikną, albo logika, smak i uczucie, nadają im delikatne odcienia, tak, iż każdy wyraz przybiera swoje oddzielne znaczenie. Tym sposobem powstały słowniki synonimowe, a mianowicie w Niemczech Eberharda i Massa, we Francyi Girarda, Beauza, Rouband'a i w. i., które Guizot w jedno zebrał i na zasadach Eberharda udoskonalił.

„Język polski sam z siebie bogaty i przez nauki znacznie ukształcony w dziedkach rozumu, czucia i smaku, ma już po większej części oznaczone obręby blisko-znacznych wyrazów, lecz dotąd słownikiem synonimicznym poszczycić się nie może. Towarzystwo widząc potrzebę takiego dzieła i możność wykonania onego w obecnym stanie języka, zaprasza osoby mogące tę przysługę narodowi uczynić do napisania: *Dykcjonarza Synonimów języka polskiego.*

„Jeżeli dzieło to, jako pierwsze w języku ojczystym nie zdoła dokładności Eberharda osiągnąć, obejmować przynajmniej powinno ogół wyrazów blisko-znacznych, z oznaczeniem ich podobieństwa i różnicy, nietylko według zwyczaju powszechnego i znakomitych pisarzy, lecz ile możności według etymologii polskiej lub słowiańskich języków; szczególnież zaś, aby wykład synonimów nie był robiony według cudzoziemskich i do nich naciągany, lecz żeby się zasadzał na duchu i własności języka polskiego.“

Owóż cały program Brodzińskiego. Przy końcu znajdujemy *honorarium* oznaczone:

„Za dzieło za najlepsze uznane przeznaczają się medal złoty wartości *złotych polskich sto*, które prezes Towarzystwa na ten cel ofiarował. Nadto Towarzystwo zostawia autorowi własność rękopismu i drukowanie onego na swoją korzyść. Gdyby zaś autor życzył sobie rękopism Towarzystwu na własność oddać, natenczas wydaje Towarzystwo swoim kosztem i autorowi 200 egzemplarzy złoży.“

Brodziński zabrał się szczerze do tej mozolnej pracy, a potrzebując nietylko rozległej znajomości dawniej literatury i języka, ale i oddzielnego poczucia, w zrozumieniu i pojęciach cieniowania się wyrazów, dla tym właściwszego oddania rzeczy. Owoc wieloletnich trudów *Spiewaka Wiesława*, mamy teraz przed oczyma. Pragnęlibyśmy zwrócić uwagę naszych badaczy nad językiem polskim na tę pracę Brodzińskiego i w tym celu o tym jedynie tomie szerzej wspominaemy. Gdy wydawnictwo całe ukończonem zostanie i zamknięte w VIII tomach, we właściwym dziale podamy studia nad stanowiskiem zgasłego poety i estetyka. Dwom mężom zawdzięczamy uratowanie drogich pism Brodzińskiego: w ostatnich latach swego życia, sędziwy Fr. S. Dmochowski pierwszą myśl tego podjął, z zapalem młodzieńczym i niezwykłą energią dokonał, odszukawszy rękopisma uważane jako zatraczone w ład pewien utożył i przestał J. I. Kraszewskiemu. Ten wszelako mniej miał trudu w przygotowywaniu ich do druku, w tym

porządku i tak starannie, jak to widzimy w niniejszém wydawnictwie. Jestto obu rzeczeczywiście nie mała zasługa literacka i obywatelska.

Myśl zacna Towarzystwa Przyjaciół nauk nie przebrzmiała daremnie ani usiłowania Brodzińskiego, otrzymujemy bowiem pewną wiadomość, że dostojny ksiądz biskup A. S. Krasieński, tak chlubnie znany już w literaturze naszej, autor *Prawa kanonicznego, Słowa o pułku Igora*, i w. i. opracował i wykończył do druku: *Synonimologię polską*, którą oparł na ogromie cytat tak starożytnych jak i dzisiejszych autorów naszych. Tom świeżo wydany Brodzińskiego, może nie mało przyłożyć się do wzbogacenia tak pożądaney pracy dla literatury polskiej. W.

Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta. zabawy, pieśni, muzyka i tańce przedstawił Oskar Kolberg. Krakowskie. część III, (Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1874 r. w 8-ce str. 350).

W zeszycie na miesiąc kwiecień Biblioteki Warszawskiej r. b. złożyliśmy sprawozdanie o wydanym tomie drugim opisu etnograficznego, w którym nasz niez mordowany badacz wziął pod uwagę Krakowskie. Obecnie mamy część trzecią, która całość stanowi w sobie.

Po przedstawieniu w pieśniach i tańcach usposobienia krakowskiego ludu, tu autor wkracza w dziedzinę jego ducha, a w szczególności, dotykając jego wyobraźni, wykazuje zarazem gusta, zabobony i przesady. Na czele stawia nam *świat nadzmysłowy*: wyobrażenia o początku świata, o ziemi, niebie, piekle, wspominki z historii świętej i t. p. Godném tu jest uwagi, jak lud po swojemu przerabia Pismo Święte i jego podania; pojęcia o słońcu, księżycu, gwiazdach, obłokach, jak i fantastyczne postaci, którym przewodzą *dyabeł i upiór*.

Obszerny ustęp stanowią zebrane ciekawe szczegóły o czarach, wróżbach, gustach, przepowiedniach; niemniejszy o zwierzętach, ptakach, gadach i owadach, które w świecie ludowym tak przeważną grają rolę, jako téż o *roślinach*, mających mieć własności lecznicze i czarodziejskie. Dział *przesady*, obejmuje wszystkie niemal, które stanowią najgłówniejszą część życia wieśniaka, podług których zastosowywa gospodarstwo domowe i rolne, oraz ratunek w chorobach rodziny swojej. Obszerne *przypisy* (od str. 188 do 352) uzupełniają pracowicie zgromadzone wiadomości i podają w streszczeniu dwa w przeszłych wiekach sławne dzieła, a mające ścisłą łączność z przesadami, o których autor w tym tomie mówi. Pierwszém jest *Młot na czarownice*, wydane w Krakowie 1614 r. Tłumaczem z łaciny jest Stanisław Żabkowicz sekretarz księcia Ostrogińskiego, ale w tym

przekładzie pomieścił własne *dodatki*, malujące charakterystycznie społeczność polską tego okresu, na co nasz badacz nie zwrócił swojej uwagi. Drugim dziełem jest: „*Dyabeł w swojej postaci*” ks. Jana Bohomolca dwa tomy wydane w Warszawie 1777 r. Druga część ma najwięcej styczności z pracą O. Kolberga, albowiem opowiada nam w niej świątły kapłan zdarzenia, na jakie sam patrzył, lub miał z najwiarogodniejszych źródeł, szczególnież téż wielce zajmujące sceny z upiorami. Wdzięczni jesteśmy autorowi, że w *przedmowie* gruntownie ocenia dzieło Ryszarda Berwińskiego: „ *Studya o literaturze ludowej*”, w którym lekkomyślnie i bez krytyki, odmawiając wszelkiej samodzielności naszemu ludowi, wszystko przypisuje naleciałkom z obczyzny, co by się jedynie dało zastosować do najwyższej warstwy społeczności naszej. Zaraz po wyjściu tych studyów w Bibliotece Warszawskiej zdaliśmy obszernie o nich sprawozdanie, przedstawiając całą nieznaną ludu i dorywcość zdań zarozumiale wypowiedzianych. „ *Sąd tak bezwzględnie przez R. Berwińskiego postawiony, mówi dobrze O. Kolberg, ostać się długo, jako pewnik, nie mógł. Zaprzeczając bowiem umysłowi naszego ludu twórczości i na bierne, naśladowcze jedynie skazując go ducha stanowisko, ubliżałby on naturze ludzkiej w ogóle, która jakkolwiek uległa być może prądom wypadków, czy to gwałtownie, czy mniej nagle z zewnątrz na nią napływających, nie zrywa przecież odrazu wszystkich oguiw, wiążących ją z przeszłością, nie wyrzeka się jęj bezwarunkowo, chociaż nie zawsze czuje wagę i pojmuje znaczenie przechowanych w swém łonie tradycyj. Jak tedy z jednej strony skutkiem nowszych coraz wypadków i wyobrażeń, mógł on w pewnych kraju miejscach, nie jedno zapomnieć, uronić, to z drugiej zapamiętał także i zachował nie małą zabytków podobnych ilość (acz je często zwichnął), tam zwłaszcza, gdzie wpływy wyżej wskazane działały stabięj. Jeżeli i u innych narodów, nad którymi niemniejsze, jak nad naszym huczały dziejów nawałnice, są mnogie tego rodzaju zabytki, to nie widzę przyczyny, dlaczegoby znaleźć ich nie było można i wśród naszego ludu umysłowo i pamięciowo nieupośledzonego.*”

Tom ten, jak i poprzedni, wydany z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, pod zarządem Akademii Umiejętności w Krakowie, zamyka jednę z najobszerniejszych monografij nietylko w wydanych materyałach etnograficznych O. Kolberga, ale i w literaturze naszej.

K. Wł. W.

Album F. Kostrzewskiego, wykonane w zakładzie artystyczno-litograficznym B. Stawoszewskiego. (folio kart 24) r. 1874.

Z pojawieniem się pierwszych druków polskich na początkach XVI-go stulecia, pokazują się *karykatury* w drzeworytach, odpowiednie do treści wydawanych broszur; wszakże w nich nie szukajmy ani rysunków, ani jakiegokolwiek wartości artystycznej. Jeżeli mieliśmy malarzy, którzy umiejętnie wkładali pędzlem, nie było społecznej potrzeby do chwytania ołówkiem humorystycznych postaci, ani też zdolnych potemu wykonawców. Humor i dowcip skryształizował się w żywym słowie tak prozą jak wierszem, i po za te granice nie przedarł się wcale. W przeszłym dopióro stuleciu *Aleksander Orłowski*, który stworzył nam karykaturę polską, i zachwycał swemi rysunkami Warszawę jako stolicę Księstwa Warszawskiego, najwięcej brał wątku, podobnie jak *Charlet* do typów wojskowych, i łatwo to objaśnimy sobie, gdy przypomnimy że Orłowski mieszkał w pałacu *pod Blachą* w Warszawie u księcia Józefa Poniatowskiego, ciągnął miał styczność z wojskowemi, i wdrożył się wybornie w świat żołnierski. Nie pomijał też brać postaci i z innych sfer społeczności polskiej. Widzieliśmy akwarellę wyborną, przedstawiającą grono kontuszowców podochoconych, jak idą niepewnym krokiem ulicą Warszawy z pełnemi puharami. Jedni krzeszą ognia dobytymi szabłami z bruku miejskiego, drudzy piją, inni śpiwają hulaczą piosenkę, za wtorem dziarskiego *teorbanisty*, który zawinawszy długi *seledec*, gra na teorbanie i przyśpiewuje, skacząc przytém *kozaka* w przysiadach. Większych rozmiarów była także akwarella tego artysty, którą słynny *Taillerand* zakupił. Przedstawiała wnętrze kościołka ujazdowskiego, (na którego miejscu stoi dzisiaj Pałac Belwederski) w czasie odpustu. Orłowski w tej kompozycji rozwinął prawdziwy humor i dowcip: czyto w postaci księdza wrzaskliwym głosem mówiącego z ambony, czy w przedstawieniu zgromadzonego ludu, który w postaciach i ubiorze nietylko różnicę wydatną stanów ale i dwóch różnych pokoleń, podawał. Pomieszczone biory kontuszowców i dworskie francuzkiego kroju, czupryny po szwedzku strzyżone z zawieszistym wąsem, i peruki pudrowane, a obok tego chłopi i wieśniaczki z pobliskich okolic, urozmaicały artystycznie cały ten obraz. Kiedy się z Warszawy Orłowski przeniósł do Petersburga, tu chwycił wybornie charakterystyczne typy Czerkiesów, Baszkirów, Kałmuków, służących w wojsku rosyjskiem, jako też i wstawionych Kozaków z kampanii 1812 roku. Lubo artysta ten mniej był karykaturzystą, w ścisłym tego słowa znaczeniu, a więcej rysownikiem typów charakterystycznych, pomimo to tyle rozlewał on w postaciach przedstawiane humoru, że śmiało go postawić należy na czele polskich ołówkowych humorystów.

Od roku 1818 zyskał sobie rozgłos *I. Sokółowski*, którego rysunki zdobią dzieło *Puszelnika z Krakowskiego Przedmieścia*, i *Tygodnik polski i zagraniczny* Brunona hr. Kicińskiego. W pierwszym odwzorował nam postacie znane z ulicznego handlu, obnoszących garnki i rynki, cebule, płótna i koldry, orzechy włoskie i t. p.: w drugim artystów naszych dramatycznych, w rolach zarówno poważnych jak i komicznych.

W długie lata po Sokółowskim pojawił się już w ostatnim okresie *Wincenty Smokowski*, dzielny rysownik, który śmiałością otówka przypominał żywo Orłowskiego. Jego polonusy, żydzi i figury ludowe, są wyborne z życia pochwycone.

Piawski, wydawca *Kramu warszawskiego*, znakomite zajmuje miejsce obok Orłowskiego. i jak on jest więcej charakterystycznym rysownikiem. Dopiero prawdziwy humorysta otówkowy pojawił się we *Franciszku Kostrzewskim*. Talent ukazał najprzód w *Wolnych żartach*, następnie w *Tygodniku Ilustrowanym* i *Kłosach*, a obecnie zasila wszystkie większe i mniejsze ilustracje.

Kazimierz Chłędowski jeden ze zdolniejszych młodych pisarzy, w zajmującej rozprawie: „*O Karykaturze* (Przewodnik Naukowy i Literacki. Zeszyt IV, 1874 r. Lwów) w zamknięciu takowej, wspominawszy o Orłowskim, o ostatnim artyście naszym, którego słusznie uważa za humorystyczną podporę pism ilustrowanych warszawskich pisze:

„Kostrzewski rysuje bardzo dużo, więc nie dziw, że wielu z tych rysunków zbywa na prawdziwej werwie: gdyby jednak zrobić wybór z jego rysunków, tobyśmy znaleźli tam rzeczy prawdziwie cenne i z wielkim oddane humorem. Jego typy ludowe, typy uliczne warszawskie, noszą cechę prawdy i często wyborne są obmyślane.“

Spełnił to życzenie po części nasz artysta, z tą różnicą, że nie powtórzył w świeżo wydanym *Albumie* dawniejszych swoich postaci, ale podaje nam nowe typy charakterystyczne.

Na czele stawia nam chłopka Mazura wychodzącego z domu, widać w dalszą podróż, w baranięj czapce, ciepłym kozuchu z palicą w rękę i fajką zapaloną, z tém pełnem chłopskiego filozofa zdaniem: *Zawdy cek wie, jak wychodzi z domu, ino jak niby będzie wracał, to tego ni jak nie wie*; bo widać znał słabość swoją do kwaterki i pociąg do karczemu przydrożnych. Następnie widzimy młodą i piękną wieśniaczkę, smutnie stojącą z załamanemi rękoma nad zdechłym prosiakiem, który miał dać sutą okrasę przez całą zimę. „*Oj paskudny miesiąc na mnie się zwalił, (mówi ze łzami), bom dopiero co owdowiała, dzieciśka niedomagają i mój kochany prosiacek parł: o mój Boże!*“

Wyborne są obiedwie postacie ze świata wioskowego, zarówno jak i *ekonom*, który na zapytanie pani jadącej kareta i dopytującej się o drogę, z gniewem się odwróciwszy mówi: *Patrzcie ją! „Jak się ta wieś nazywa mój poczciwy człowieku“.* *Ja nie żaden poczciwy człowiek, tylko ekonom.*

W ogóle naszemu humorystcie najlepší się udają postacie ludowe, zarówno wiejskie jak miejskie; na dwadzieścia cztery rysunków w tém

Albumie, te głównie wydatnieją. Góral, stróż kamieniczny, piaskarz, do nich się liczą. Z wyższej sfery najdowcipniejszy jest rysunek przedstawiający szczęśliwych rodziców.

Matka siedzi w fotelu, a ojciec z podniesionemi okularami, z obliczem uśmiechniętym, ale wymownie bezmyślnym, czytając list w te się do swój małżonki odzywa słowa: „Patrz i słuchaj asydżko, jak to nasz Feluś z Paryża pisze: „Drogi ojcze, wybacz że do ciebie piszę w negliżu, ale tak gorąco!... Jakto zaraz widać grzeczność paryżką.“

Pod względem wydawnictwa rysunki te są starannie wykonane przez artystę, a odbicie czyste i troskliwe, dobrze poleca nowy zakład litograficzny p. B. Sławoszewskiego. R.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Szanowny recenzent dzieła *Wiadomości Archeologiczne*, obok pochlebnych słów o pomieszczonej w niem między innymi mojej pracy, zrobił mi zarzut, iż niesłusznie zużycie ułamku znalezionej na *stacyi krzemiennej* toporka przypisuje zeszkobaniu takowego na leki starożytnych mieszkańców z czasów użytku krzemienia. (Bibl. War. t. II str. 509 z r. b.). Ponieważ powodem zarzutu stała się tylko pewna niejasność mego wyrażenia, a nie różnica naszych przekonań; winienem przeto rzecz sprostować. O owym toporku tylko napisałem, mając na myśli zabobony ostatnich wieków i dzisiejsze, a nie czasy przedhistoryczne. „Zupełne zużycie wszystkich boków tego szczytku przez tarcie, a z drugiey strony powszechna wiara ludu naszego w lekarskie własności tak narzędzi kamiennych, jak strzałek piorunowych (belemnitów) i rogów jelenich, skrobanych od wieków na leki, tłumaczy w części rzadkość tych młotków w niektórych okolicach: (lud wielkopolski ma oddzielne wyrażenie *utrzyć choremu kamyczka*).” Mówiąc o ludzie „naszym” lub „wielkopolskim,” t. j. współczesnym i o dzisiejszych jego zabobonach, znalazłszy także toporek koło jego mieszkań, nie mogłem tu myśleć o czasach przedhistorycznych użytku narzędzi krzemiennych. Wyrażenie „od wieków” ma tu znaczyć tylko, że przesąd nie jest owocem ostatniey chwili, tak jak owe zabobony, o których szanowny recenzent wspomina, że były „używane *niegdys* w zachodniey Europie.” Wszystkie bowiem te przesady znane są *od wieków*, na co się obadwa zgadzamy, będąc zarazem najmocniey przekonani, że o środkach lekarskich mieszkańców Litwy z czasów użytku krzemienia nic nie wiemy: i do żadnych pewników nigdy nie dojdziemy. Wina moja, że nie przypuszczając mniemania, o które zostałem posądzony, nie obwarowałem zdania mego jasnymi słowy.

Jeżewo, dnia 22 czerwca 1874 r.

Zygmunt Gloger.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa, czerwiec 1874.* Z drukarni A. Pajewskiego wyszedł: *Warszawski Rocznik literacki poświęcony literaturze, bibliografii, oświacie i księgarstwu.* Rok trzeci 1873 r. Redaktor Stanisław Czarnowski magister prawa i administracji (w 8-ce, str. 159 i 20). Jestto wydawnictwo pożyteczne, streszczające ruch umysłowy z całego roku 1873.

— Szósty miesiąc się zaczyna od otwarcia *Zakładu rękodzielniczego dla kobiet w Warszawie.* Zakład ten zatwierdzony przez władzę jako szkoła rzemiosł, potrafił zgromadzić 109 kobiet tak miejscowych, jak i z różnych stron, z Ukrainy, Wołynia, Podola i Litwy. Ogłoszone drukiem sprawozdanie przez zarząd, wykazuje jakie przedmioty i nauki są już rozwijane w oddzielnych działach zakładu. Widzimy że obok wykładu buchalteryi, są: rękawicznictwo, nauka kroju i szycia sukien, introliigatorstwo, nauka robienia sztucznych kwiatów. Jak się rozwinie pomieniony zakład i z jaką korzyścią dla społeczności, czas dopiero dłuższy wykazać jest w stanie: początki dobrą są wróżbą.

— D-r Sywski, Polak rodem, obecnie dyrektor muzeum miejskiego w Tryeście, będzie jednym z nauczycieli arcy-księcia Rudolfa następcy tronu austriackiego. Ma mu wykładać zoologią.

— W Krakowie wyszła monografia p. n. *Zegiestów w Galicyi.* Zarys balneologiczny, napisał D-r Bolesław Lutostański redaktor „Zdrojowiska”. W drukarni Leona Paszkowskiego 1874 r. w 8-ce str. 42. Wydanie staranne, ilustrowane.

— Wyszła z pod prasy rozprawka p. n. *Spoleczne znaczenie poezyi i współczesne jej stanowisko,* w krótkim rysie skreślił Antoni Pilecki (w 12-ce, str. 43). W ustępie (od str. 18 do 21) co mówi autor o literaturze polskiej a głównie poetach, zaczawszy od Reja z Nagłowic, pokazuje zupełną nieznanomość przedmiotu.

— Znany z prac archeologicznych Zygmunt Gloger poczynił w tych dniach dosyć odkryć dawnych siedlisk ludzkich z czasów użytku krzemienia w Łomżyńskim i Tykocińskim koło wiosek: Zambrzyce,

Zalesie Stare, Kobylino i Kruszewo. Odkryte narzędzia są przedziwniej roboty, szczególniej betty strzał piękniejsze od duńskich i w ogóle zagranicznych. Archeolog nasz przyszedł do przekonania, że w owych czasach, które miał wiecej mogły być współczesne państwu rzymskiemu, kraj nasz miał już prawie wszędzie mieszkańców i przecięciowo na pięć siół dzisiejszych niezawodnie istniała jedna wówczas osada. Siedlisko jój znajdowało się zawsze na pagórku piaszczystym.

— Otrzymaliśmy pismo: *Krynica, dwutygodnik poświęcony odczytym zakładom zdrojowo-kąpielowym*, pod główną redakcją D-ra Michała Zieleniewskiego. W trzecim numerze z dnia 15 czerwca r. b. znajdujemy, oprócz rozpraw poświęconych właściwemu przedmiotowi, *Listę gości* przybyłych do Krynicy już od 9 maja r. b., kiedy opłata mieszkań od trzecią część jest niższą od ceny taryfowej. Wydawnictwo to, wielce pożądane dla szukających pomocy w zdrojowiskach krajowych, zawdzięczamy niezmordowanym zabiegom D-ra Zieleniewskiego, który od wielu lat jest w Krynicy naczelnym lekarzem i głównie się przyłożył do szerokiego rozgłosu tej miejscowości. Pragnąc należy ażeby dwutygodnik ten mógł objąć wiadomości potrzebne i z innych krajowych zdrojowisk: że myśl tę podziela redakcja widzimy w jój odezwie, ażeby *Listę gości* zarządy innych zdrojowisk nadsyłać zechciały.

— Archeolog i numizmatyk Karol Beyer z Warszawy, któremu zawdzięczamy przepyszne albumy z wystaw starożytności w Warszawie i Krakowie, ofiarował gabinetowi archeologicznemu w szesnicy jagiełłońskiej, naturalnych rozmiarów kopią słynnych spizowych podwoi katedry gnieźnieńskiej z wyobrażoną na nich w wypukłej rzeźbie historią męczeństwa Ś-go Wojciecha, która to kopia wykonana jest z massy papierowej. Pan Beyer ofiarował był poprzednio takąż kopią drzwi do muzeum starożytności w Wilnie, a niedawno znowu Zakładowi Ossolińskich; ale odlew, który świeżo wzbogacił zbiór uniwersytecki, jest nierównie od tamtych cenniejszy. Doszły zbioru tego także fotografie różnych zabytków katedry gnieźnieńskiej, oraz przerysy starożytnych, cudownych obrazów N. M. Panny, przygotowane do dzieł, których wykonanie zapowiedział ksiądz J. Polkowski.

— Drukowany przed dwoma laty nakładem J. K. Żupańskiego dramat w pięciu aktach przez Ludwika Orpiszewskiego p. n. *Mikołaj Zebrzydowski*, ukazał się na pulkach księgarskich. O tym utworze we właściwym dziale złożymy obszerniejsze sprawozdanie.

— W ostatnich dniach maja r. b. przy niwelacji ulicy w pobliżu Złotej bramy w Kijowie, odkopano dwie murowane ściany i kamienną płytę z napisem, który dobrze się dotąd przechował, na brzegach tylko wyrazy zostały uszkodzone. Znaleziono przytém kilka sztuk monety polskiej i rossyjskiej z XVII wieku.

— *O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich. Odczyty publiczne w muzeum Techniczno-Przemysłowem w Krakowie A. H. Kirkora.* (Kraków 1874 r. w 8-ce str. 356). Jest to wykład popularny, ułożony dla szerszego koła publiczności, przedmiotu zupełnie

niewyczerpujący, ale zaznajamia z nim więcej tych, dla których rzecz sama była zupełnie obcą. Najwięcej miejsca w tej książce zajmuje literatura rossyjska, którą sam autor zbadał gruntowniej. Charakterystyczne anegdoty, opowiedziane z wielkim humorem, przyczyniają się do ożywienia wykładu. Najdowcipniejsze odnoszą się do Bułharyna, znanego powieściopisarza, którego *Wyżygina i Muzepę* znamy z tłumaczenia. Był on rodem z Litwy i za Napoleona I-go oficerem.

— *Zacni Ludzie. Książka do czytania dla młodzieży, ułożył Juliusz Starkel.* We Lwowie 1874 r. (w 16-ce str. 470). Zawiera w sobie charakterystyczne ustępy z historii polskiej, najważniejsze wiadomości z geografii, astronomii, fizyki, w szerszych rozmiarach traktat z ekonomii politycznej, mianowicie o stowarzyszeniach zalickich i konsumcyjnych, o ogrodnictwie, stolarstwie, leśnictwie, mineralogii i zoologii, w końcu o kupiectwie, książkach rachunkowych i higienie. Podane to jest wszystko jasno i przystępnie, stylem poprawnym i gładkim, ożywione duchem zacnym, przez co praca ta policzoną być może do najlepszych w dziale literatury ludowej.

— *Życiorys Rajmunda Rembienińskiego* przez S. W. Poznań 1873 r. (str. 96). Wydatna to była postać za czasów Księstwa Warszawskiego, jako zajmująca wysokie stanowisko w hierarchii urzędników administracyjnych. Prefekt departamentu płockiego, niezwykłą energią wprowadzał w wykonanie swobodę osobistą włościan, zapewnioną im przez nową ustawę z 1807 r. Życiorys ten ma niemałe zalety i dla badacza okresu pomienionego drogocennym jest materiałem.

— *Wzory prozy wedle rodzajów i kształtów chronologicznych z literatury zebrane przez prof. Jana Rymarkiewicza.* Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego 1874 r. (w 8-ce str. 562). Jest to wydanie już drugie tego użytecznego podręcznika dla szkół średnich. Do tego dołączony jest: *Dodatek*, obejmujący: „Historią poezyi w okazach” (str. 191).

— *Wspomnienia z przeszłości* Stanisława hr. Wodzickiego od r. 1768 do 1840, Kraków 1874 r. jako pamiętnik, niemałą mogą być pomocą dla badacza okresu, obejmującego lat 72 okrągło. Najbogatsze są tu zasoby do panowania Stanisława Augusta.

— Na posiedzeniu komisji archeologicznej *Akademii Umiejętności w Krakowie* z dnia 9 czerwca r. b. zajmowano się czytaniem obszerniej pracy J. I. Kraszewskiego, obejmującej program encyklopedyi starożytności polskich. Do bliższego roztrząśnienia tego projektu i poczynienia odpowiednich wniosków, wyznaczono delegacją. Następnie poruszono sprawę dalszych badań zwalisk na wyspie jeziora Łednicy pod

Gniezmem. Wreszcie postanowiono upoważnić p. J. I. Kraszewskiego do reprezentowania akademii na kongresie antropologiczno-archeologicznym w Sztokholmie w sierpniu r. b.

— Ogłoszone zostały *Warunki konkursu dramatycznego krakowskiego na rok 1874/75*: 1) Pierwszą nagrodę w kwocie 550 fl. otrzyma sztuka, dramat, tragedia lub komedia, wypełniająca cały wieczór, najmniej w trzech aktach. 2) Drugą nagrodę w kwocie 300 fl. otrzyma sztuka najmniej w dwóch aktach. 3) Pozostałe 300 fl. rozłoży komisya wedle swój woli z tém zastrzeżeniem, że gdyby nadesłana została sztuka ludowa, godna grania, mieć ona będzie pierwszeństwo do nagrody 200 fl. Gdyby dwie poprzednie nagrody przyznane nie zostały, kwota 300 fl. pod pozycyą 3 wyrażona, musi być rozdana. 4) Termin nadsyłania utworów 1 stycznia 1875 r. 5) Sposób postępowania komisji będzie przy ocenianiu ten sam, co na poprzednich konkursach krakowskich. 6) Komisya wynagradzać będzie tylko utwory, mające warunki sceniczne. 7) Tylko takie utwory przyjęte będą do konkursu, które nie znajdowały się na poprzednich konkursach, które nigdy nie były grane lub drukowane. 8) Utwory nadsyłać należy pod adresem: *Stanisław Koźmian dyrektor teatru w Krakowie*. Nazwisko autora nie może się znajdować na okładce, lecz w zapieczętowanój kopercie. 9) Utwory wynagrodzone stają się własnością teatru krakowskiego; inne teatry, chcąc je wystawić, winny je od autorów nabywać. Termin rozpoczęcia czynności komisji, oznaczony został na 1 stycznia 1875 r. Do tego czasu, a najpóźniej do 15 stycznia, nadesłane być mają sztuki współubiegające się o nagrody na ręce dyrektora teatru p. Koźmiana. Każda sztuka polecona być musi przez dwóch członków, aby mogła być do wspólnego czytania przypuszczona. W tym celu komisya podzieliła się na 4 sekcyje. Do pierwszej należą pp. Bartels, Kłobukowski, hr. Tarnowski; do drugiej pp. Estreicher, hr. Potocki, Szukiewicz; do trzeciej pp. Koźmian, Pawlikowski i Siemieński; do czwartej pp. Lisicki, Ładnowski, Sokołowski. Komisya ukończy swoje posiedzenia i czynności d. 15 lutego 1875 r. i większością głosów orzeknie o losie współubiegających się sztuk.

— Odbyte dnia 11-go maja pierwsze ogólne zgromadzenie Towarzystwa Tatrzańskiego, pozwala wróżyć, że Towarzystwo to pomyślnie rozwijać się będzie i wiele zrobić będzie mogło w kierunku swego zadania, którym jest wspieranie badań naukowych nad przyrodą Tatrów, rozpowszechnianie tych badań oraz ułatwianie publiczności podróży w Tatry. Towarzystwo Tatrzańskie, którego prezesem jest hr. Rey, wiceprezesem pan Uznański, a sekretarzem dr. Maksymilian Nowicki, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, liczy obecnie 26 członków założycieli, reprezentujących kapitał 2,600 złr. i 172 członków zwyczajnych, opłacających rocznie po 9 złr., czyli razem 1,548 złr. Ogól-

ne zgromadzenie uchwaliło zmieniony statut, wydział zaś zaraz naza-
jutrz ułożył budżet wydatków na pierwsze potrzeby, uchwalił wydać
mapę całych Tatrów, zarządzić straż tatrzańską dla ochrony kozic
i świstaków, zarządził niektóre pomniejsze naprawy i budowy potrzeb-
ne dla wygody zwiedzających Tatry, oraz ułożył program wycieczek,
jakie w porze do zwiedzania Tatrów najstosowniejszej urządzić za-
mierza.

— Stanisław Grudziński ogłosił drukiem odczyt w Krakowie mia-
ny d. 28 listopada 1873 r. p. n. „*Adam Mickiewicz, w obec dzisiejszego
społeczeństwa*”.

— P. Tadeusz Żuliński wydał rozprawę p. n. *Nasi uczeni*. Jest
to gruntowna krytyka dzisiejszego jednostronnego kierunku, fałszy-
wie opartego na pozytywizmie.

— Królem kurkowym we Lwowie na rok 1874/5 został p. Eutele
Paweł, rzeźbiarz, a pierwszym marszałkiem p. Schumann August. Strze-
lanie do tarczy celem zostania królem kurkowym odbywało się w strze-
lanicy miejskiej podczas Zielonych Świątek, następnie we środę i przez
całą sobotę tegoż tygodnia, a zamknięte zostało w niedzielę. Każdy
kandydat na „króla“ miał do dyspozycji 40 strzałów; musiał on za-
powiedzieć, którym strzałem rozpoczyna strzelanie „na króla;“ kto
w 40 zapowiedzianych strzałach zrobił najcelniejszy strzał, ten został
królem. Otóż strzał najcelniejszy zrobił p. Eutele, i jemu też dostało
się w tym roku berło królewskie, ofiarowane lwowskiemu towarzystwu
strzeleckiemu przez króla Zygmunta Augusta. Drugi najlepszy zapo-
wiedziany strzał zrobił p. Schumann, i jemu też przypadła godność
pierwszego marszałka.

— W dniu 2-gim czerwca r. b. odbyło się w Poznaniu posie-
dzenie wydziału nauk historycznych Towarzystwa przyjaciół nauk,
na którym znany badacz D-r Szulc odczytał rozprawę p. n. „Jeden
z ważniejszych głosów o autentyczności kamieni mikoszewskich“.
Nad tymi zabytkami wielu archeologów poświęciło długie studia:
Aleksander Przezdziecki napisał i drukował obszerną rozprawę za ich
autentycznością, przeciw temu wystąpił Karol Estreicher, uważając
za podrobione. Spór trwa ciągle; *Akademia Umiejętności* w Krako-
wie zachowuje oba kamienie w swém muzeum, i nie uznała wniosku
niektórych, ażeby je usunąć ze swego zbioru. Teraz poważny głos
D-r Szulca przemawia za ich autentycznością. Rzecz się więc, mamy
nadzieję, dokładniej zaczyna wyświecać.

— Budowa teatru polskiego w Poznaniu energicznie jest pro-
wadzona, co daje rękojmią że w zimowej porze r. b. rozpoczną się już
w nim widowiska.

— Kółko inżynierów istniejące w łonie „Towarzystwa kształcą-
cej się młodzieży polskiej w Monachium,“ zamieniło się w końcu mar-
ca r. b. na „*Towarzystwo politechników polskich*,“ egzystujące samoist-

nie. Celem politechników jest wzajemna pomoc naukowa, a prócz tego usiłowanie poznania bogactw mineralnych krajowych i umiejętnego użytkowania tychże na korzyść krajową. W tym celu członkowie wspomnianego Towarzystwa, chemicy, za pośrednictwem dzienników poznańskich i galicyjskich wzywają właścicieli rudy, łomów kamieni, fabryk żelaznych i t. d. o nadsyłanie im okazów do analizowania, a każdy z nadsyłających otrzyma szczegółowe ocenienie wartości nadanego produktu.

Adresować należy: „An den polnische polytechnischen Verein in München.“

— W Rzymie wychodzi z pod prasy ważne dzieło deputowanego Dominika Bertego, byłego ministra oświecenia i profesora uniwersytetu rzymskiego: „O Koperniku“ a mianowicie o jego pobycie we Włoszech, wyczerpujące ten przedmiot. Berti opierając się na prywatnym świadectwie O. Theinera prefekta watykańskiego archiwum, spodziewa się, że w archiwach jednej z papieżkich rodzin znajdą się współczesne, a bodaj własnoręczne dokumenta dotyczące naszego astronoma. Podaje on przytém ciekawy prognostyk Dominika Novarry nauczyciela Kopernika z 1504 roku o naszym kraju, tudzież zajmujące bardzo prorocstwo niejakiego Ameryka Polaka (Americus Polonus) z 1478 r. o Marcynie Lutrze, którego jak najdokładniej przepowiedział. Proroctwo to, którego oryginał pomienioną datę noszący znajduje się w archiwum księcia Baltazara Ludovi-Buoucampagni, zostało nie dawno dopiero znalezione, a dziejopisarz Kopernika umieścił je zaraz w przypiskach do swego dzieła, poświęconego jak wiadomo Uniwersytetowi Jagiellońskiemu.

— Stowarzyszenie polskie *pomocy naukowej w Paryżu* pod prezydencją Jana hr. Działyńskiego, ogłosiło sprawozdanie za r. 1873. Dochód roczny wynosił 10,317 fr. 20 c., z tego stypendystom wypłacono 4,755 fr., uczącej się młodzieży 3,070; na tezy i wpisy 325, do kapitału żelaznego 678 fr. 45 c. Kapitał żelazny Towarzystwa wynosi obecnie 18,628 fr. 65 c.

— W Londynie wyszedł zbiór opowieści ludowych słowiańskich w tłumaczeniu angielskiem p. t. *Slavonic Fairy Tales. Collected and translated by John T. Naake of the British Museum.* 8°. London, 1874. (Klechy słowiańskie wybrane i przetłumaczone przez Jana Bogumiła Naake, urzędnika Muzeum Brytańskiego). Zbiór ten składa się z 40 opowieści: polskich 11 (z K. Wł. Wójcickiego); czeskich 8 (z teki Erbeny); rosyjskich 8 (z B. Bronicyna i Czudińskiego), oraz 13 serbskich (z W. S. Karadzica). Przyczyną, dla której tłumacz nie zamieścił więcej klechd z Wójcickiego jest to, że wszystkie inne już były przetłumaczone dawniej i drukowane w czasopismach.

— Baron Aleksander *Hübner*, dyplomata austriacki, przedsięwziął w roku 1871 podróż prawie na około świata, wyjechawszy bo-

wiem z Irlandyi, przybył do Ameryki, następnie wielką koleją atlantycką dostał się do Kalifornii, popłynął przez Ocean Spokojny do Japonii i Chin, ztąd przez Egipt wrócił do Europy. Wrażenia z téj podróży spisał z wielkim talentem i wydał w r. 1873 w 2-ch tomach po francuzku p. t. *Promenade autour du monde*. Hachette, Paris, a teraz po niemiecku p. t. *Ein Spaziergang um die Welt*. Leipzig 1874. Weigel. Obraz Sawaunów, wizyta u Brighama Jounq, proroka Mormonów, szkice Chin, a szczególnie obszerny opis Japonii i uwagi co do stanowiska Francuzow, Anglikow i Rossyan w Chinach, budzą żywe zajęcie.

— *Reinisch*, Leo w dziele: *Der einheitliche Ursprung der Sprachen der alten Welt* (Wien, 1873, Braumüller) dowodzi, że wszystkie rasy ludzkie pochodzą od jednéj rodziny, zamieszkałej niegdyś w Afryce środkowej pod równikiem, w okolicy wielkich jezior. Dowodzenie jego polega na porównywaniu języków, „erytrejskich i indogermańskich“ z afrykańskimi, szczególniej zaś z językiem ludu Teda, które podobno od 3000 lat zamieszkuje wschodnią krawędź płaskowzgórza Libijskiego od pustyni Kufara do jeziora Tsad. Porównania jednak są tak hazardowne, że nie przekonywają wcale czytelnika; np. nazwa gołębia tabar, ayer, hakm, sipor, of, columba, pakshin i t. p. mają stanowić jedno brzmienie, świadczące o pokrewieństwie języków. Przy takich wywodach mimowolnie przypomina się staroświecki żart z filologów, że samogłoski u nich znaczą nie wiele, a spółgłoski jeszcze mniej.

— Ekonomia polityczna Scheffle'go wyszła w 3-ém całkowicie przerobioném wydaniu p. t. *Das gesellschaftliche System der menschlichen Wirtschaft*, ein Lehr und Handbuch der ganzen politischen Oekonomie etc. Tübingen, 1873, Laupp. 2 tomy. Oryginalną stroną tego dzieła stanowi kojarzenie zasad ekonomicznych z historią i filozofią, oraz wyjaśnienie korzyści, jakie pociągać za sobą musi pełnienie obowiązków moralnych, a nawet poświęcenie w zakresie gospodarstwa społecznego. Spożywanie podług Schäfte'go jest to przeobrażanie materii w siłę osobistą, celem gospodarstwa narodowego jest „najwyższy, czysty pożytek dla moralnego rozwoju i zaspokojenia potrzeb największej istoty organicznej na ziemi, mianowicie społeczeństwa ludzkiego.“ Pomiedzy wieloma cennemi ustępami, na szczególną uwagę zasługuje nowa teoria wartości. W niektórych wywodach swoich autor rozwija wnioski podane przed kilkoma laty w ważnej rozprawie p. t. *Capitalismus und Socialismus*.

OD REDAKCYI.

— *X. J. Piotrowskiemu w Poloczniczy.* Księgarnia Gebethnera i Wolffa nie odebrała prenumeraty od pana i nie wysyłała zeszytów. Zapewne pan u innego księgarza prenumerował i u niego należy się téż upominać o zeszyty brakujące.

P. W. Brokl w Kijowie. Zeszyt na maj wysłany został d. 6 maja, zapewne dotąd musiał go pan odebrać. Jeżeli zaś zeszyt ten nie doszedł rąk jego, trzeba się o to upominać na stacyi pocztowej, i gdyby zatracony został, donieść redakcyi, która upomni się gdzie należy o stratę i panu zeszyt prześle.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca *Józef Berger.*

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA MAKIAWELA

PRZEZ

E. S.

P R O L O G.

AUTOR.

Zwracam się ze słowem mojem wstępniem nie do słuchaczy, bo rzecz którą przynoszę nie jest dramatem, ale zwracam się do czytelnika, jeżeli będę dosyć szczęśliwym że go znajdę. W miarę bowiem jak piszą ludzie coraz więcej i nieraz coraz gorzej, bo coraz prędzej, trudność złowienia czytelnika wzrasta. Niecierpliwość téż i pośpiech wzrastać musi w czytelniku, w miarę jak materyał piśmienniczy, z którym potrzeba mu się zapoznać, staje się obfitszym. Nie można więc nadużywać dziś cierpliwości czytelnika, a robić mu owszem pewne ułatwienia w zrozumieniu słowa zagadki mieszczącej się w utworze przedstawiopym. Słowo to zagadki, głównie odnosi się do powodów wyboru przedmiotu i celów, jakie sobie w nim założył.

Bierze się z przeszłości pewne postaci wydatne i wprowadza w utworze literackim do życia, dlatego: że to daje autorowi możność wypowiedzenia przez usta obce, swoich uczuć, myśli i przekonań, albo bierze się postaci zupełnie związku z autorem nie mające, ale mówiące za siebie i przez siebie, w duchu właściwej im roli i epoki. Bierze się jedne dlatego że są piękne, pociągające, inne dlatego że streszczają w sobie jakiś ważny w dziejach ludu lub myśli kierunek; jedne dlatego, aby służyły za ilustracyą czasu i epoki, inne dla przykładu jaki z nich czerpać można.

Przykłady zaś mogą być albo dodatnie, albo ujemne. Jedne są skazówką, drugie przestrogą. Przeznaczeniem jednych pociągać za sobą, drugich odwracać od dróg nieczystych.

Skromny obrazek, który przynosimy, nie mający wcale pretensyi dramatu lub pełnego obrazu, nie wypłynął z myśli, uczuć i przekonań autora: niema tam wcale subiektywności jego. Wielka postać genialnego pisarza powstała refleksyjnie i stanęła jak *objectum* przed jego umysłem.

Rusza on się, żyje, mówi i działa na tle i w obrębie własnych swoich wypowiedzianych przez siebie, lub odgadzionych w loicznym tamtych następstwie myśli i zasad. Z myśli tych i zasad wieje pewna groza; przeczuwa się w nich krew i żelazo. Na wysokości tej inteligencji górującej nad wiekami, duch chrześcijański nie położył błogosławionego swego pocałunku. Siebie też ona ma tylko na celu; wszystko co jej nie służy, przeszkadza jej. Co jej przeszkadza musi być usunięte, a środki są obojętne.

Nagość suchego rozumu i dzikość egoizmu, w żadnym może piszącym nie zeszyły się w tym stopniu i nie wydały tak nauczającego plonu jak w sławnym mężu, którego chwil kilka na scenę wywodziśmy.

Chmurny też, posępny i zimny jest nasz dzień z życia Makiawela, niema w nim, bo być nie może, ciepła ożywiającego uczucia. Uśmiech tam nie rozwesela; myśli nie podnoszą i nie pokrzepiają.

Kto więc szuka piękna i żywych wrażeń w tém co bierze do czytania, niechaj utwór ten pominię: to nie dla niego. Dla myśli przecież lubiącej szukać przyczyn i źródeł różnic charakterów, a w nich źródła i przyczyn cnót i występków, może się nastrożyć w niniejszym urywku jakie spostrzeżenie.

(Ranek, las do posiadłości Makiawela należący w bliskości Floroncyi. Makiawel w ubraniu wieśniaczym; na nim siatki i sidła do łapania ptastwa, naczynia z lepem, pęk złowionych kwiczołów).

MAKIAWEL (*sam*). Zdobycz nie wielka, sześć kwiczołów, a co zabiegów, co podejść, jakie wysilenia sztuki myśliwskiej. Ależ i ptastwo ma swoje wybiegi. Ten rój skrzydlaty nie jest tak bardzo nieogłędny i płochy, jak się napozór wydaje. Jeżeli Arystofanes wziął go za wzór, a raczej karykaturę demokracji i wcale zręcznie się z tego wywiązał, jest w tém dowód jak wielki dowcip pisarza z lada rysów podobieństwo korzyści wyciągnąć potrafi...

Wreszcie choć zdobycz nie wielka, ale ruch, rozrywka umysłu, świeże powietrze, to są rzeczy, które na wagę złota kupowaćby warto, gdyby nie przychodziły darmo.

Cóż bo za ranek był precudny, kiedy ze słońcem wyszedłem do lasu. Rosa, świeżość, woń, złote promienie słońca, wszystko to zléwało się w precudnie harmonijną całość... A co za rzeźwość wstępuje przez zmysły w umysł... Ilekcroć ze wschodzącem lub zachodzącem słońcem zanurzam się w zieleni leśnej, odradzam się i potężnieję duchowo. Cisza i pokój ustroni, gałęziami drzew sklepionej, są rojem mojej myśli i mojej wyobraźni...

I muszę z biedy i potrzeby ciąć te drzewa, które są moja rozkoszą wyniszczać miejsca moich popisów myśliwskich! od czasu jak zostałem niczem i biédakiem. Jakże wam zazdroszczę, bogaci, co możecie pozwalać rość waszym drzewom...

Dant nie był mi dziś potrzebny; obyło się bez pomocy poezyi. Wieleż za to chwil szarych i jałowych ten bujny fantasta, ale znawca serca ludzkiego i badacz głęboki namiętności, rozjaśnił mi i skrócił. On jeden przedemną pojął jasno potrzeby Włoch... W tym punkcie złączyło nas braterstwo myśli, którą on wyraził jak poeta i polityk, a ja jak polityk prozaiczny...

Nietylko pomiędzy żyjącymi, pomiędzy żyjącymi i umarłymi może być powinowactwo, przyjaźń, jedność myśli i uczuć. Wielcy mędrzy i poeci żyjecie w nas! Nie-napróżnościście myśleli, cierpieli, pisali. Iskra waszego geniuszu krąży jak siła tajemnicza. Błędy wasze czas wytrawia i usuwa; wielkie myśli, uczucia i pragnienia nie giną.

(Zamyśla się i schyla głowę).

Cóż robić? wśród czczości mizernego wiejskiego żywota, wśród drobnych i nudnych zajęć około chleba powszedniego, trzeba chwycić każdą drobną rozrywkę, by myśl w sile i świeżości utrzymać, a po rozrywce pracą myśli wybijać się z dzisiejszej nicości i przebijać przez wieki i przestrzenie.

Wy nieprzyjaciele wszystkiego, co wychodzi nad zwykły poziom miernoty; wy, co myślicie żeście zdeptali i uniepożytecznili wydatnego człowieka, dlatego, żeście go zakrzyczeli, zmusili do milczenia, albo zamknęli w dziurze głębokiej, lub w nicości zajęć codziennych: jakże się nieraz mylicie. Myślą w ciszy i samotności wysnutą przebiję on nieraz wasze pajęczce sieci; rzuci gromy, które w posadach wstrząsną lepiankę fałszu, chciwości lub pychy.

...Wyroki fortuny są mgłą pokryte, pochod jej kryje się po nieznanym i zawitych drogach; trzeba więc czuwać, środki stosować do okoliczności: postawić śmiało nogę na cudzym karku, gdy inaczej wyżej sięgnąć nie można.
Homo homini lupus.

(Klaszcze w dłoń... wchodzi wieśniak).

MAKIAWEL *(do wchodzącego)*. Jak się masz Antoni! jak idzie sprzedaż drzewa?

ANTONI. Słabo paniczku, niewiele się targuje.

MAKIAWEL. Wiele masz w kassie?

ANTONI. Z dwóch tygodni ledwie tyle, co potrzeba na opłacenie robotników.

MAKIAWEL. To nie dobrze. Masz list?

ANTONI. Jest panie (*wyjmując z kieszeni, oglądając się w około i oddaje*).

MAKIAWEL (*dając znak ręką*). Możesz iść.

(*siada na pniu, rozwija list i czyta głośno*).

„Najdroższy Mikołaju, kiedyż cię znowu zobaczę? Tęsknię i wdycham, co wcale nie idzie na korzyść mojego rzemiosła, śpiewania, śpiewania codziennie i to o rzeczach wesołych i rozśmieszać mających. Ulituj się i przybądź pocieszyć zboliałe serce, a przez to odżywić gasnącą śpiewaczą wenę. I strofy, które mi przysłałeś, osłuchały się już publiczności; potrzeba koniecznie nowych: ułóż je i przywieź. I wszystkie zapasy pieniężne się wyczerpały. Różne niedostatki pokazują się w mojej toalecie. Moje kolczyki brylantowe znowu w zastawie. Ale najgorzej ze wszystkiego z biędnym sercem moim. Nie wystawiaj dłużej na bolesną prośbę biędnej, strapionej, a tobie tylko oddanej Basi“ (*chowa list*).—Piosnek i pieniądzy, zawsze to samo; nieoszacowane dziewczę, pełne ponęt i wesołości. Mniejsza o piosnki, ale pieniądzy: z kąd ich brać? No, cóż robić? (*klaszcze w dłoń i woła*) Antonil (*do wchodzącego, oddając mu papier wydobyty z kieszeni*). Masz ten papier, weź wszystkie pieniądze jakie masz w kassie i zanieść to wszystko do Florencyi: wiesz gdzie?

ANTONI. Wiem ci paniczku, ale czémże robotników zapłacę?

MAKIAWEL. Tęm co wpłynie później; odwleczesz ich: poczekają. (*Antoni, skrobiąc się w głowę, odchodzi*).

II.

Willa Makiawela la Strada. Ława przed domem ocianiona drzewami. Makiawel siedzi podparty ręką, przed nim przybory myśliwskie i pęk kwizozłów. Wbiega Ludwiś, syn jego sześciolatek, rzuca się na kolana ojca i ściska go).

LUDWIŚ. Tatko mój kochany! (*sposzregłszy ptastwo leżące na ławie*). Biędne ptaszki! i to ty tatko je pozabijałeś, to nie dobrze; biędne ptaszki, jak spuszczaają główki. Jak można zabijać ptaszki?

MAKIAWEL. A nie zjadasz ich chłopcze? i wcale się nad nimi nie litujesz jak upieczone.

LUDWIŚ. To co innego, bo już nie żyją. Ale żywe zabijać! a jak tatko mieszkasz w mieście, to ptaszków zabijać nie mogłeś, to i cóż robiłeś?

MAKIAWEL. Pisałem, pracowałem, jeździłem po obcych krajach dalekich, bardzo dalekich, ale nie za ptaszkami.

LUDWIŚ. A czemuż teraz tego samego nie robisz?

MAKIAWEL. Bo to nie od mojej woli zależy. Dawniej potrzebowano mnie we Florencyi, teraz mnie nie potrzebują. Nie zawsze człowiek robić może, co chce i umie. Rzemieślnik tylko zawsze robi jedno. Dlatego jak urośniesz, radzę ci być krawcem, kowalem albo młynarzem, bo to chleb najpewniejszy: zawsze będziesz robił jedno.

LUDWIŚ. Nie, tatko, ja chcę być żołnierzem.

MAKIAWEL. To wolisz ludzi zabijać, jak ptaszki.

LUDWIŚ. Wolę, bo ludzie bronią się i mnie także zabić mogą.

MAKIAWEL. Bravo chłopczel! *(stawia go na kolanach i całuje, chłopiec zeskakuje i wybiega).*

MAKIAWEL *(sam)*. I zkąd się biorą takie uczucia i pojęcia w dziecinie? Uczucie miłości i współczucia dla istot drobnych i pojęcie sprawiedliwości w stosunku do ludzi? Wrodzone? To czemuż tak wielu temu zaprzecza? Nabyte? To zkąd? Miałeby ślepy zwierzęcy instynkt zachowania i egoizmu nie być najpierwotniejszym i najsilniejszym popędem w człowieku od samego początku jego istnienia? Sądziłem zawsze, że jest takim. I oto malec przychodzi i zamąca moje wyobrażenia o naturze ludzkiej. Jeżeli powiem, że to jest proste powtórzenie tego, co zasłyszał, to wątpliwość przez to usunięta nie zostanie. Dziecko słyszy wiele i widzi wiele rzeczy: złe i dobre, brzydkie i piękne. Jeżeli temu chłopcu wśród tej mieszanki wrażeń drgnęła tylko dusza pod wrażeniem miłości i sprawiedliwości, to musi być w niej skłonność chyba wrodzona do tego powinowactwa. Otóż to powinowactwo, już samo w sobie jest zagadką dziwną, której nie objaśnia moja teoria.

III.

(Marjeta żona Makiewela wchodzi i siada na ławie obok męża z robotą w ręku).

MAKIAWEL. Widzisz plony mojego dzisiejszego polowania?

MARJETA. Widzę *(zajęta robotą—pauza)*.

MAKIAWEL. Smutna jesteś Marjeto—jest ci co? czy zaszło co niedobrego?

MARJETA. Nie. Czyż nie dosyć złego?

MAKIAWEL. Krótka i sucha jesteś w twoich odpowiedziach.

Co ci jest?

MARJETA. To samo jest mi dziś, co mi było wczoraj, co mi będzie jutro. Trapi mnie i nęka wasze położenie.

MAKIAWEL. Położenia ogólnego stosunków, w które zaniósł wypadki publiczne, niezależne od naszej woli, trudno odmienić. Są to rzeczy mocniejsze, jak wola pojedynczego człowieka. A jeśli ci co w domu nie dogadza, to powinnaś mieć na pamięci tę prostą, a nader praktyczną uwagę, że trzeba się poddać temu, czemu nie można zaradzić. Cóż ci przecie jest?

MARJETA. Co mi jest? Powinienbyś dawno to wiedzieć, a nie mnie o to pytać.

Jestem, jak wiesz, bez pomocy dostatecznej, bez wyręczenia w moim domowym gospodarstwie. Wyrzec się musiałam wszelkiej rozrywki. Nie widuję nikogo z moich, bo jechać do nich nie mogę, a przyjąć ich nie mam czém. Żadnej z moich sukien koloru już rozróżnić nie można. Wstydę się chodzić do kościoła w niedzielę, bo młynarka i szynkarka, lepiej odemnie ubrane... Mniejsza przecież o to wszystko. Z tém można się oswoić. Bolesniejszém jest spotykać się ze śmiechem albo litością ludzi. Jedno i drugie, choć zamaskowane przyjaźnią i współczuciem, wygląda z wyrazu oczów, przeciska się obok słów, co innego znaczyć mających. Wieleżto razy ukłuły mnie wyrazy: „biędna pani sekretarzowa stanu, biędna pani ambasadorowa; cóż to za zmiana, jak to dawniej inaczej było” i tym podobne; ależ i o to mniejsza: i do poniżenia, i do litości, i do śmiechów szyderczych można wreszcie przywyknąć.

MAKIAWEL. Wiem, dobrze to wiem, że niedostatek jest smutny i niewygodny.

MARJETA. Nie wątpię o tém. Ale miałabyś o tém nie wiedzieć, że niedostatek wzrasta, kiedy nie ma miary i granicy w wydatkach? Lubisz rzeczy, które wiele kosztują i mówisz, że się bez nich obejść nie możesz. Powiedzieć ci i to muszę, że wiem, że wydajesz pieniądze za domem... *(zatrzymuje się, Makiawel patrzy na nią z zimnym uśmiechem i milczy: po pewnym przestanku Marjeta mówi).* Nie o wymówki tu przecież chodzi ani o zazdrość, ani nie o mnie.

MAKIAWEL. O cóż więc chodzi słodka gołąbko? Przystań być tajemniczą, powiedz, do czego to wszystko prowadzi.

MARJETA. Jeżeli mam jak najjaśniejszą myśl moją tłumaczyć, to ci powiem Mikołaju: wyraźnie widzę, że nie dbasz o to, aby nasze położenie odmienić. Los i przyszłość dzieci mnie zatrwąza.

MAKIAWEL. Me Hercule—twarde słowa z ust kobiety i żony... W mojej mocy przywrócić rzeczpospolitą, której z pożytkiem i zaszczytem służyłem i odbudować dla siebie stanowisko w odbudowanej przezemnie rzeczpospolitej? Nie pamiętasz-że? że wycierpiałem już więzienie i torturę za samo

podejrzenie o tę myśl? W mojej-że mocy wywrócić Medyceuszów lub skierować ich względy ku mnie? ku mnie dawnemu słudze Rpltej, podejrzanemu, chociaż niesłusznie o tajne knowania przeciw dzisiejszej formie rządu? Upadek dawnego porządku pochłonął sług dawnych; przepaść zdaje się rozdzielać ich od nowego księcia.

MARJETA.

Tylu jednak ludzi dawnych wyptynęło na wierzch.

MAKIAWEL.

Ludziom mniej wydatnym, łatwiej przychodzą te skoki polityczne. Co do mnie, zrobiłem co można.

Trzy tylko zresztą znam drogi zabiegania o miejsce publiczne, jeżeli go nie da zastuga, zaufanie i uznanie zdolności. Drogami temi są: przekupstwo, intryga i pochlebstwo. Na przekupstwo nie mam pieniędzy; nie wszędzie się też i nie zawsze da ten środek zastosować. Intrygą także nie wszędzie i nie zawsze można dojść do celu. Użyłem pochlebstwa, zdaje mi się jednak, że bez skutku. Nie mam dotąd żadnej wiadomości, czy przyjął Laurenty ofiarowane mu dzieło „o księciu”; ale samo milczenie tak długie już mi wskazuje, że się niczego dobrego spodziewać nie mogę. Widzisz więc, że użyłem nawet środka, który moralisci w swoim kodeksie nazywają podłością, my politycy praktyczni, fortelem.

MARJETA.

Ależto bolesném jest to, co mi powiadasz.

I ja w smutnej mojej niewiadomości, pragnęłam i spodziewałam się tyle. Nie jedno słowo mojego narzekania, mogło się stać dla ciebie pobudką na fatalnej drodze. Mogłoby jednak być inaczej? Szłam obok ciebie, jak dziecko albo sługa, niepodniesiona do wysokości prac twojej myśli i niewtajemniczona w twoje dążenia i nadzieje. To też skończyłam na tém, że już wreszcie nie widzę, tylko drobne troski domowe i przyszłość dzieci.

MAKIAWEL.

Nie przesadzaj Marjeto ani w obawach ani w troskach. Bierz rzeczy jak są. Co do mnie w szkole politycznej, jaką odbyłem, nauczyłem się posługiwać i lisiemi i lwiami środkami. Mam cel obrany przed oczami, jeżeli dojdę do niego, powodzenie zasłoni środki. Jeżeli nie dojdę, nie zrażę się, poszukam innych środków. I nie będę wybierał pomiędzy nimi zbyt skrupulatnie i na przyszłość. Jakie czasy takie społeczeństwo, jakie społeczeństwo, taki człowiek. Nie troszcz się o mnie. Marjeto, ty co byłaś tak odważna w chwilach niebezpieczeństwa, tak pełną poświęcenia w tenczas, kiedy jęczałem w więziennych torturach, gdzie podziiałaś twoją odwagę i rezygnację? Powiedziałaś mi, że ci nie chodzi o siebie, tylko o dzieci. Wierzaj mi, los dzieci ubogich rodziców nie jest tak groźny, jak ci się zdaje; ubogi musi sam na siebie liczyć. Bu-

dzi się w nim większe poczucie własnej siły i wartości, sto razy więcej cenne jak majątek. Umacnia ono człowieka w zmianach losu. I ja winienem jemu moją energię. I ja byłem bez majątku i bez stosunków: sam sobie otworzyłem drogę. Jeżeli upadłem w oczach ludzi, nie upadłem w oczach własnych i w umyśle moim leży wielki zasób przyszłych prac, zasług i obowiązków.

MARJETA.

Strachem i smutkiem mnie przejmuje to wszystko, co dziś od ciebie słyszę. Czy tylko się nie łudzisz mężu? Jeżeli dwadzieścia lat pracy, służby, poświęceń dla sprawy publicznej zaprowadziły cię do niedostatku i zapomnienia, to czegoż już po pracach twego pióra spodziewać się możesz w niewdzięcznej ojczyźnie? W samotności umysł twój zdrętwieje i uśnie; zabraknie ci środków pomocniczych i zachęty; silna woła twoja nawet może się skruszyć w tym nawale drobnostek codziennych trudności, trosków i nicości, która cię otacza. Nie byłoby jeszcze innych dróg dla ciebie: pomyśl.

MAKIAWEL.

(*śmiejąc się*) Marjeto moja, chciałabyś koniecznie z tój martwój bryły żelaza, którą masz obok siebie w postaci męża, ukuć narzędzie przydatniejsze dla siebie i dla dzieci. Narzędzie jest gotowe, chociaż tego nie widzisz, ale może do innych celów jest przeznaczone. Dostatków i stanowiska może już nie zdobędę w ojczyźnie? Ale czyż to jest meta posłannictwa człowieka? Niewygodnie jest mieć mało, kiedy się nawykło mieć więcej. Nie miło jest spotykać ludzi, a spotyka się takich ustawicznie, którzy powołaniem człowieka mierzą jego zasługę i wartość i mówią: był czémś, teraz w zapomnieniu i niedostatku, widać że mało wart. Nie miłe to wszystko, nie lękaj się przecież aby mnie to przygnębiło. Wreszcie musisz wiedzieć że już nieraz myślałem nad wyborem dla siebie innego rzemiosła. Zapóźno to wprowadzić, ale myśleć i szukać nie szkodzi. W różnych krajach, różne korzystne spotykałem zawody, w każdym niemal co innego popłaca. Tu kupiectwo, tam łupieztwo grosza publicznego, tu szpiegostwo, gdzieindziej żołnierka: tu komedyanci, tam metresy: tu trzeba być szlachcicem aby dojść do czego, gdzieindziej księdzem; gdzieindziej żołnierzem: gdzieindziej jeszcze krzykaczem i gębaczem tylko, a jeżeli można i oszustem. U nas trzy tylko są rzemiosła korzystne: panującego, księdza i kupca. Kto potączyć może dwa z tych rzemiosł np. pierwsze i drugie jak papier, albo pierwsze i trzecie jak Medyceusze, tego fortuna nie ma miary i granic.

MARJETA. Dosyć już, dosyć; wpadasz w żarty, to już skończmy lepiej.
(*wstaje i odchodzi*).

(*Makiawel zamysła się i opiera głowę na dłoni*).

MAKIAWEL. (*sam*) Słaba i dziecinna kobieta! Cierpi nademną, nudzi, biędy się sama, niepokoi się losem dzieci. Wiatr nią jak trzcina powiewa. Czasem syczy i kąsa jak podrażniony gad. Twardy losie, gnieć, może się sam wreszcie zawstydzisz swojej srogości! Gdybym przynajmniej sam był: ale czuć obok siebie istotę, której odwaga i rezygnacya kruszy się i słabnie codzien pod ciosami losu! Kobiety! im więcej się w was wpatruję, tém więcej się przekonuję, że szczytne jesteście w niebezpieczeństwie, wielkie poświęceniem; wśród wielkich nieszczęść i cierpień umiecie dzielić torturę, wygnanie, oddać majątek w potrzebie, iść nawet na stos za ukochanym. Jednej tylko rzeczy nie umiecie, tych szarych długich dni zapomnienia, niedostatku, upadku i zwrotu fortuny, niesprawiedliwości dla talentu i zasługi, które się spotykają w życiu tylu nawet znakomitych ludzi: tych nie umiecie znieść z nimi ze swobodą i poddaniem. Cześć i miłość wasza upada, jeżeli jęj nie podpira i nie odżywia cześć, rozgłos, sława, powodzenie, płynące z okoła na głowę ulubionego obfitym strumieniem. I dla was chwilowe powodzenie jest miarą wartości człowieka.

O! te szare, czcze, długie dni niełaski losu, które większą sztuką jest spokojnie i ze swobodnym umysłem przepłynąć, jak najgwałtowniejsze a krótkie katastrofy; te was nudzą i do rozpaczcy doprowadzają: w tenczas gotowieście nieraz wyrzec się przedmiotu waszj czułości.

(*Wchodzi obcy podróżny i zbliża się do Makiawela*).

PODRÓŻNY. Czy z panem Mikołajem Makiawelem mam zaszczyt mówić?

MAKIAWEL. Tak, ja to jestem.

PODRÓŻNY. Powierzony mi list od jednego z najzyczliwszych twoich przyjaciół, oddaję ci w przejeździe. Nie położył na nim swojego nazwiska ani adresu, bo nie chciał, aby przypadkiem wpadłszy w obce ręce nie stał się bronią przeciw wam obudwom. (*Nachyla się i do ucha szepcze mu imię tego, od którego list mu oddaje*). A teraz żegnam, bo pilno mi w drogę (*wychodzi*).

MAKIAWEL. (*Otwiera list i czyta głośno*). „Domyślam się kochany Mikołaju, z jakim upragnieniem wyglądasz wiadomości odemnie. A jednakże tak długo nic ci donieść nie mogłem. Gdyby twoje nadzieje i oczekiwania nie były skupiły się tak wybitnie w skutkach spodziewanych po dziele twojem i jego zaofiarowaniu Laurentemu, byłbym mógł o domysłach i wątpliwościach, jakie z kolei różne wska-

zówki mi nastęcały, również z kolei ci donosić. Ale znając położenie twoje i usposobienie twoje, nie chciałem niepewnościami i domysłami cię karmić. Obok tego wypadało niezapominać że stosunki nasze piśmienne muszą być jak najrzadsze i do ważnych tylko rzeczy się ograniczać. Bo podejrzliwość i nieufność są wielkie. Czekalem więc, dopóki się wszystko ostatecznie nie rozwiązało. Koniec końcem rozwiązanie to jest niepomyślném dla ciebie. Nie obwiam słów moich, bo wiem, żeś człowiek mężny, i na złe i dobre gotowy. Życzliwi dla ciebie w otoczeniu Laurentego nie łatwo przełamać mogli wstręt jego do czytania twego dzieła, wstręt wynikający tak z nieufności zakorzenionéj zdaje się w nim mocno do twojéj osoby, jak z jakiegoś nie wytłumaczonego niesmaku do pism politycznych. Gdy jednak zaczęto mu czytać, widocznie zajął się. Milczące to, ale w wyrazie twarzy i wzroku malujące się zajęcie wzrosło, gdy czytający wszedł w rozdział o nowym księciu i o sposobach ugruntowania jego władzy, żadne jednak słowo nie zdradziło tajemnic jego myśli. Rachowaliśmy wiele na wpływ tych części dzieła, które mówią o potrzebie wojska narodowego, o całości i odrodzeniu Włoch, o szkodliwości wpływu i przewagi cudzoziemców, a mianowicie na ten ustęp, który zagrzewa oswobodziciela Włoch i zapowiada mu zapał z jakim będzie od wszystkich powitany. I to przeszło bez wpływu, przynajmniej nic go nie zdradziło. Ani przychylném ani nie przychylném słowem nie wyraził swego sądu o dziele. O tobie nie wspomniał. Na wzmiankę, zrobioną przez jednego z tobie życzliwych, spojrzal na niego ze zmarszczoną brwią i machnął ręką, jakby odpędzając wszelkie napomknienia i przypomnienia. Tak upłynęły tygodnie, miesiące. Nie masz już środka, ani nadziei. Jeżeli można stawiać domysły o tém, co się dzieć mogło w ciemnéj otchłani jego myśli pod wrażeniem twójego dzieła, gotówbym był wnosić, że obawa i nieufność względem ciebie wzrosły w nim po jego przeczytaniu. Im więcéj człowiek jest w konieczności kryć swoje myśli, uczucia i zamiary, tém więcéj nie na rękę mu, ci którzy je decyfrują, wyjaśniają i na widok publiczny wywodzą. Głębokość i przenikliwość, które włożyłeś w twe pismo, nie mogły ci téż pójść na pożytek, zwłaszcza w połączeniu z twoją przeszłością. Zanadto pokazałeś, iż umiesz czytać w kartach, aby cię do gry miano przypuścić. Tu potrzeba narzędzi, ale nie mistrzów. Tak ja sądzę, ale nieprzyjaciele twoi głoszą, że kto, jak ty z jednych przekonań tak łatwo przechodzi w przeciwne, u żadnego rządu, z jakichkolwiekby

on wychodził zasad, zaufania znaleźć nie może. Dozwól przyjaźni mojej, abym skończywszy rolę sprawozdawcy z rzeczy, którą widziałem i których się domyśliłem, przybrał na chwilę rolę krytyka i wymierzył ci moje osobiste przekonanie o kilku ważniejszych twierdzeniach i zasadach z twego pisma, których nie podzielam, albo które potępiam.

„Muszę zacząć od tego, choć to obrażać może twą skromność, że podziwiam i uwielbiam jasność twoich pojęć, prostotę twego stylu, podniosłość i szerokość twoich poglądów. Uważam cię za chlubę i ozdobę naszej literatury, a zarazem za myśliciela, którego pisma w dalekiej przyszłości rozważać będą i komentować. I dlatego to właśnie tak głęboko mię raziły niektóre ustępy pisma twego. Pod piórem tylko wielkiego pisarza fałszywe zasady i szkodliwe wyobrażenia nabierają doniosłości i znaczenia. Mierność może prawić źle lub dobrze, nie wiele to ma wpływu. Czy nie zadaleko uniósł cię, czy nie zaćmił twego wzroku twój wielki i rzetelny patriotyzm? Widzę to jasno, że dla niego poświęcasz wszystko i wyżej go stawiasz nad wszystkie prawa moralne.

„Żałuję nieskończenie, że nie mogłem wpłynąć na to, aby skłonić cię do usunięcia tych nielicznych ustępów, które każą twe piękne dzieło. Szkodzić ci one mogą nie tylko na żyjących ale i u potomnych. Szkodzić ci zaś będą dlatego, że w naturze ludzkiej to leży, aby złe uważać jako wpływ tej części natury ludzkiej, która może ulegać i ulega wpływowi doskonalszego jej pierwiastku, to jest ducha i woli. Złe zatem z postępem czasu zmniejszać się może. Każda więc teoria, którą przyjmuję jako punkt wyjścia stałą przewagę złego i źródła jego upatruję w przewrotności i szataństwie całej natury ludzkiej, musi nie tylko obrażać i oburzać sumienie ludzkie, ale i do fałszywych wniosków doprowadzać.“

(Makiawel gniecie list z gniewem i wypycha go do kieszeni).

Dosyć tych bredni... Idealisto! Gdybyś tak jak ja dotknął się spraw ludzkich, wejrzał w pobudki działaczy, czytał był w ich sercach, i przestawał z wielkimi zbrodniarzami, noszonymi na ręku od losu, nieustannie walczyć musiał z chytrą i obłudą, brodzić ciągle w błocie namiętności najobrzydliwszych i koniec końcem widział jak dopięcie celu i powodzenie największe brzydoty i zbrodnie pokrywa, jak tłum klaszcze łotrom uwiecznionym powodzeniem i tłumaczy ich przeszłość! Ale ty żyłeś w świecie abstrakcji i ideału. Kiedyż narzeczcie ludzie rozpatrzą się dobrze w świecie zwierzęcym

i w swojej własnej zwierzęcości? *Homo homini lupus!* To nie dosyć. Wilk, lis, lew, hyena odbijają się w nas jużto z kolei, jużto stanowiąc pojedynczo przeważne tło charakteru. Kiedy do tego przekonania stanowczo przyjdziemy, wyswobodzim się z pod panowania frazesów jak ludzkość, miłość, prawo, poświęcenie. Istotna regulatorka spraw świata, siła, odzyska swoje uznanie i przed nią tylko świat korzyć się będzie. Mocniejszy będzie zjadał słabszego bez frazesów i bez hypokryzyi, słabszy uzna się za przeznaczonego na zjedzenie, przestanie szemrać, i będzie bardzo pięknie..... A jednakże sam czuję ból, oburza się coś we mnie na niesprawiedliwość losu i ludzi.... O sprzeczności rzeczy ludzkich!

(*Po pauzie*).

A więc przegrana—upadłem. Gdyby mi się powiodło było, klaskanoby mi, uwielbiano moją zręczność. Upadłem, więc mądrość moja i zręczność moja nic nie warte. Szczęść wam Boże przyjaciele i nieprzyjaciele, bądźcie bogaci, szczęśliwi, potężni, trząsajcie krajem i wiekiem waszym: miejcie się za wybrańców Opatrzności, za mędrszych i godniejszych. Ja będę maluczkiem, ubogim, zapomnianym. W gruncie rzeczy ani wy, ani ja nie jesteśmy lepsi nad nasz wiek: jesteśmy jego wychowañcami. Ja przynajmniej podnoszę się myślą w przyszłość, wy życie dla dnia dzisiejszego. Ale dosyć tego, skończmy akt tragedyi; komedyo, na ciebie kolój! Swobodo umysłu nie opuszczaj mnie, wesołości nie daj się wysuszyć i zamącić: tryskaj obficie ze źródła méj duszy i jako krynica ożywcza, skrapiaj spalone żarem przeciwności niwy żywota mojego.

III.

(Gospoda wiejska. Makiawel, Karozmarz, Młynarz grają w karty przy jednym stoliku. Rzeźnik i Wapniarz piją wino przy drugim).

RZEŹNIK (*trzymając szklankę z winem pod światło*). Jeżeli kiedy wino było lepsze, jak tegoroczne, to niech mnie djabli porwą! A różne się już pijało. Nieraz się kulą przewierciło otwór w spleśniałej beczce. Szumiął i rozlewał się po ziemi szlachetny napój. Nabierało go się hełmem lub połą. Ale co to takie picie? To nic warto! Trzeba móż wypić spokojnie, przejrzyć się w szklanicy, aby prawdziwy nektar wszystkie swoje przymioty rozwinął. (*zwracając się do wapniarza*) Były to czasy, były. Po-

wiadam ci, że nie ma życia, jak wojaczka. Kieszenie zawsze były pełne, życie wesołe, a o jutro wcale się nie dbało. Wygodna to rzecz widzieć i czuć, że wszystko, do czego się końcem pałasza lub kulą dosięgnie, do ciebie należy. Jak jednemu dowódczy się nie szczęściło, szliśmy do drugiego; jak ten był za surowy, szliśmy do trzeciego: jak tu łupów było mało, szliśmy do czwartego.

WAPNIARZ.

To mi życie!

RZEŹNIK.

Spiaramy się zawsze o to z Makiawelem; on powiada, że wojsko powinno być narodowém, że każdy powinien w niem służyć, że powinna w niem być karność, uczucie honoru, poszanowanie własności, pojęcie spraw narodu. Jeżeli jest kto w całych Włoszech, którego do takiego wojska namówi, to niech mnie djabli wezmą!

MAKIAWEŁ

(*do rzeźnika*). Zaśpiewaj lepiej stary hajdamako a nie rozprawiaj; twoje śpiewki więcéj warte, jak twoje rozumowania.

RZEŹNIK

(*popijając z przekąsem*). Teorye, teorye mości dobrodzieju, z książek świat nie da się urządzać. Doświadczenie, życie, to grunt.

WAPNIARZ.

Ty boś zawsze przy szczęściu, a ja czego się dotknę, to nie idzie.

RZEŹNIK.

To téż nie jesteś kontent ze świata, jak stara panna. Wypij i pójdź grać. (*Przysiadają się do stolika gry*).

MAKIAWEŁ.

Pamięł...

MŁYNARZ.

A to już chyba czary?

RZEŹNIK.

Stary bazarzu wiecznie ze swojemi czarami.

MŁYNARZ.

A cóż to? jeżeli to bajki, to już chyba nie ma prawdy na świecie. To Katarzyna nie odebrała mleka moim krowom? To Adamka nie zadała Janowi?

MAKIAWEŁ.

Widziałem w Niemczech, jak palono czarownice. Czy nie miałbyś téż ochoty spalić Katarzyny i Adamki?

MŁYNARZ.

Ja gotów, dalibóg gotów, niech mi tylko pozwolą.

RZEŹNIK.

A nie mówisz nic o Zuzi z błękitnymi oczami, co ciebie samego oczarowała. Czy jąbyś téż spalił? Doprawdy szkodaby było. A jeżeli palić, to palić wszystkie.

MŁYNARZ.

Cichobyś był.

RZEŹNIK.

A! boisz się, żeby do twojej staréj, co nie doleciało. Najlepiej stare popalić a młode zostawić.

MAKIAWEŁ

(*do młynarza*). Dictum acerbum—prawda?

MŁYNARZ

(*odwraca się*). Poczekaj stary bajaziarzu, złapię ja cię.

GOSPODARZ.

Moja wygrana. Płaćcie mi po dwa pieniądze.

MŁYNARZ.

Jakto? ja nie.

GOSPODARZ.

A czemu nie oddałeś do koloru?

MŁYNARZ.

Ale—bo.

GOSPODARZ.

A widzisz—kręcisz.

WAPNIARZ. Ja was zgodzę; na nowo, jeszcze raz: tamto za nic.

GOSPODARZ. Jakto za nic—moje pieniądze.

RZEŹNIK. Próżne wykrety. stary sknero; przegrałeś: zapłać.

MŁYNARZ. Gwałtu! okradziony jestem.

GOSPODARZ. Zawsze tak krzyczysz jak przegrasz, a nie możesz od-
uczyć się grać.

MAKIAWEL. Dajcie mu pokój, łechczywy jest, to nie jego wina; to
już taka natura: jak się wysapi, to zapłaci. Grajmy dalej.

RZEŹNIK. Dobrze, ale tak to grać nie warto—potrójna stawka.

WAPNIARZ. To mnie chcesz odpędzić od gry. Nie odejdę. Niech
idą cztery soldy. Nie zjesz mnie w kaszy arystokrato.

RZEŹNIK. Maszże go znowu z jego arystokracją. Jak świeńcz
zawsze jedną piosnkę śpiewasz. Ma kto grosz więcej
od ciebie—arystokrata; zje kto kawałek mięsa—arystokra-
ta; weźmie nową kapotę na siebie—arystokrata; umie
czytać na książce—arystokrata. Pochwyciłeś za słowo,
jak pijany za kij i bijesz nim na prawo i na lewo każdego,
kto ci się nie podoba, a nikt ci się nie podoba, bo każde-
mu coś pozazdrościsz.

WAPNIARZ. Już mnie ty nie ucz, bo ja wiem, że gdyby równość była
na świecie, toby lepiej było.

RZEŹNIK. Aha! to to; ależ gdyby wszyscy tak goli byli jak ty, to
ktoby ci szklanę wina kupić? A dlaczego sam nigdy
miejsca zagrzać nie mogłeś? Nad niczem fałdów przy-
siedzieć? Ale jak palił Sawonorola na rynku książki,
obrazy, kosztowności, sprzęty, Bóg wie niejakiej wartości,
to mu pomagałeś, wrzucałeś w ogień, znosiłeś, dmuchałeś!
a teraz chcesz mieć, jak i drudzy. Nie miej, kiedyś
wzgardził mamoną, a jeżeliś święty, to nie zazdrość
drugim.

GOSPODARZ. Ja wygrałem—proszę o zapłatę.

RZEŹNIK. Ej do diabła nie uważałem, jak gra szła przez tę jego
głupią gadaninę.

KILKU RAZEM. Przegrałeś, przegrałeś.

WAPNIARZ (do rzeźnika). Już mnie nie przekonasz, nie żałuję
tego, że mam palik, i gdybym mógł, światbym na cztery
rogi podpalił.

RZEŹNIK. Synu bięsa, żebyś raz już poszedł do swego ojca na
komorne, tobyś może był kontent.

WAPNIARZ. A nie możesz znieść tego, że jest ktoś między wami,
co się sprawiedliwości dla biedaków domaga.

RZEŹNIK. Gadajże z głupim! A któż to winien, że ci twój własny
niestatek na zły koniec wyszedł, kłóćce się z nim
o niesprawiedliwość.

MŁYNARZ. Różną miarką los ludziom dzieli, co to mówić o równości?

- WAPNIARZ. A tak, twoją podwójną miarką młynarza, żeby mi był los wydzielał, tobym był miał tyle, co i ty.
- MŁYNARZ. No i o mnie zawadzik: odczepże się odemnie.
- GOSPODARZ. Moja wygrana!
- WAPNIARZ. Znowu ja nie dopatrzyłem się. Niech lichy weźmie taką grę!
- GOSPODARZ. Płaćcie, płacćcie!
- MAKIAWEL. Słuchajcie, powiem wam jedno zdarzenie.

(*Głosy: słuchamy, dobrze; dosyć już tych swarów*).

W pewnej gospodzie zeszło się dwóch ludzi. Dawno znajomi, długo się nie widzieli, przywitanie ich było serdeczne. Wiele mieli sobie nawzajem do opowiedzenia, bo obadwa różne, a niewesołe przeszli koleje. Jeden z nich był niegdyś majątny hrabia, teraz podupadły i zrujnowany, ze starym tylko hrabiowskim dyplomem w kieszeni. Drugi niegdyś kupiec, przemysłowiec, później zubożony marnotrawca, teraz z resztką małą fortuny w kieszeni wietrzący nowych zysków i nowego zwrotu losu. Dawniej miewali z sobą grube interesa, z których rozmaicie się względem siebie wywiązywali; teraz tylko pozostało wspomnienie lepszej przeszłości i to, jak nie sympatyczna, nawzajem ich łączyło. Kiedy jednak wspomnienia złych losów i wino rozgrzały ich głowy, skwasili się obadwa i nuż w urazy do ludzi i do czasów, a nareszcie w przymówki do siebie. „Panowie, mówił przemysłowiec, zawsze byli przyczyną wszyskiego złego. Ich pycha, ich próżniactwo, ich zbytek rujnujące ich, rujnują kraj. Podróżomanią wyprowadzają pieniądze za granicę. Dają zły przykład drugim, wszystko z niemi chce współubiegać się lub dorównać im. Każą się obyczaje.” Na to odpowiedział hrabia: „Przypomnijno sobie, wieleś zarobił odemnie, a wiele od innych takich, jak ja. I wam brakło, jak nas brakło. Trzeba było chcieć i umieć wziąć się do chleba, kiedy była pora. Nie zasypiać gruszek w popiele, nie dać się ubiedz cudzoziemskiemu handlowi i przemysłowi, oszczędzać i oświecać się, toby się było wyszło na to, na co gdzieindziej wyszli ludzie tego rzędu, to jest, że przez majątek i ukształcenie doszli do wpływu i znaczenia politycznego.”

„Každy parweniusz—ciągnął dalej hrabia—dorobivszy się chce zaraz grać rolę pana i wszystko porzuca, a jeżeli on dotrwa do śmierci w swoim zawodzie, co rzadko, to już z pewnością jego dzieci nie.”

„Parweniusz?—odparł dotknięty do żywego przemysłowiec—czy nas z innéj gliny Pan Bóg ulepił, że wam tylko wolno rej wodzić między innymi i używać?”

„A widzisz—odparł szlachcic—o co ci chodzi. I nam tego nie wolno bezkarnie. Najoświeceńsi, najzdolniejsi i najmoźniejsi tylko mogą się stale utrzymać przy pierwszeństwie i przewadze społecznej. Kto te warunki uroni, jego wpływ upaść musi; urodzenie i dyplomaty upaść muszą.“

„Patrz na mój dyplom *(wyjmuje go z kieszeni i pokazuje)* szeląga, łyżki strawy z niego wycisnąć nie mogę.“

„Sprawiedliwie—mówił przemysłowiec—bo to głupstwo, dym i nie wycęć.“

Skoroć jak słusznie powiadasz dym to i nic wycęć—odpierał hrabia—po co jeszcze z tym dymem wojujecie? Niech go wiatr sam rozwieje. A mianowicie, po co się za tym dymem uganiacie, po co go łapać chcecie?

„No, jakże chcesz—odpowiedział tamten—trochę próżności, to już człowiekowi wrodzone.“

„Jeżeli tak—odpierał drugi—to ja, wyrozumiejcie i u drugich. Kiedyście lepsi od nas, wysmiewacie nas w waszych pismach, szarpiecie naszą przeszłość, to nie wpadajcież w nasze grzechy. Uczcie się i sposobie się zastąpić nas, bo moje naprzykład miejsce już jest do wzięcia, a ty mój bracie możesz mnie zastąpić? Jesteś światlejszy, bogatszy, oszczędniejszy, lepiej ogólne interesu kraju rozumiejący? Jakiś się trochę dorobił, zacząłeś próżnować i tracić i cóż wycęć umiesz odemnie?“

I tak od słowa do słowa spór się zajątrzał, przyszło do grubych przymówek; potem rozgrzawszy jeszcze lepiej czupryny, bo pić nie przestawali, zaczęli już kułakami sobie odgrażać, a tymczasem złodziej, który całą tę zwadę miał na oku, podsunął się i po kolei każdego kieszenie zlustrowawszy, wszystko co w nich było zabrał. Poszedł hrabiowski dyplom w ręce złodzieja i to najmniejsza była szkoda, ale poszły pieniądze przemysłowca, a te były resztką jego fortuny. I cóż myślicie? czy jak się spostrzegli, że są okradzeni, bo się wreszcie postrzegli, choć napili, czy się pomiarkowali i razem złodzieja gonili? Wcale nie; nuż w nowe swary kto winien, kto dał początek kłótni, z czyjój przyczyny okradzeni. Tymczasem złodziej przepadł.

MLYNARZ. W tém jest ten sens moralny, że gdybyście się nie byli kłócili, toby was był gospodarz nie ograł.

MAKIAWEL. Dziecko jesteś! Wygrał kilka soldów, bo był przy szczęściu, nie korzystał z ich kłótni i grał rzetelnie.

MLYNARZ. Jeżeli to nie do naszego gospodarza było pito, to ja zgadłem, co znaczy cała przypowieśćka.

MAKIAWEL. No, słuchamy.

- MŁYNARZ. Oto znaczy podobieństwo słońca i księżycy, co się ze sobą zgodzić nie mogą, a świt i zmrok ich okrada, a kiedy ...
- RZEŹNIK (*przerywając*). Toś trafił, a toć jasno jak na dłoni, że każda kłótnia dyabła warta. Zjé licha, kto o mnie zawadzi, pięścią tylko odpowiem, ale ani słowa.
- MŁYNARZ. A jak zatkać gębę tym, co zawsze pluskają niepotrzebnymi słowami?
- GOSPODARZ. Ej, rozśmiać się i kwita; widzicie jak ja cierpliwie wszystko znoszę i wszystko przyjmuję.
- RZEŹNIK. Dla miłego grosza mojemu bracie, dla miłego grosza.
(*Żegnają się i rozchodzą*).

IV.

(Wieczór. Gabinet Makiawela; wokoło szafy napełnione książkami, kilka pięknych obrazów znakomych społecznych mistrzów wisi na ścianie. Na kolumnie marmurowej piękna starożytna rzeźba, przedstawiająca boginię Nemesis. Na środku stół zielonem sukniem okryty i oświetlony lampą, założony książkami i papierami. Przy nim Makiawel ubrany w szaty, jakich używał, urzędując we Florencji).

MAKIAWEL (*sam*). Teraz dopiero jestem u siebie i wśród swoich. Liberyo mojej nędzy, moja wieśniacza kapota, zdejmując cię ze siebie, złożyłem z tobą na bok dzienne troski, prace, zajęcia i rozrywki. Dogodna mi byłaś w lesie i na polowaniu. Dobrze mi było z tobą wśród chłodu rannego i skwaru dziennego. Przystataś mi bardzo do grubych rozrywek w gospodzie, wśród gminnej gawiedzi z poczciwymi niekiedy popędami serca, ale przesądną, ciemną, grubiańską. Teraz do widzenia z tobą, do jutra.

Pójdźcie moi umarli przyjaciele, moi przewodnicy, moi mistrzowie; słowem żywem, któreście złożyli w księgach, pocieszcie, oświećcie, przynieście rozrywkę myśli. Z wami i wśród was umysł mój ożywia się i podnosi. Wy mi wracacie umierające nieraz we mnie uczucie mojego ludzkiego rozumu. Wśród drobnych zajęć, drobnych ludzi, zdrobniatych pojęć i wyobrażeń, człowiek zdaje się sam drobnieć, niknąć, nikczemnieć. Obcowanie z wami w samotności, wśród uroczystej ciszy wieczornej, wydobywa myśl moją z pyłu, blask jej i życie przywraca.

Dzięki wam, wielcy przedstawiciele przeszłości; nie tylko otwieram dla was serce moje, ale aby was uczcić wedle możności, biorę na wasze przyjęcie świąteczne odzienie moje, choć to odzienie wśród dzisiejszego ubóstwa smutne tylko budzi we mnie wspomnienie dni lepszych. Zacni przewodnicy moi, cześć wam! Wasza

przyjaźń nie zawodzi, zawsze bezinteresowna, zawsze czysta; co mieliście w sobie najlepszego, tém się ze mną dzielicie; pozwalacie spółbiegać się ze sobą, a nie zazdrościcie mi; karmicie mię, a nie upokarzacie i nie wy-mawiacie darów swoich.

Ach! ależ i wśród żywych w męczącej pielgrzymce życia, spotykało się ludzi, którzy taki balsam pociechy i uspokojenia wlać umieli w duszę, tyle skarbów serca i rozumu rozdzielić pomiędzy drugich! Głęboko się zapisały w sercu i pamięci mojej rysy i wspomnienie ich. Żyć we mnie będziecie, wy wszyscy, których współczucie, jedność myśli i wyobrażeń połączyły ze mną; wy wszyscy coście serdecznie i przyjacielsko dłoń mi swą podali, usiłowania moje uszanowali, wsparli radą, podzielili się smutkiem i radością, pocieszyli w trudnych i wątpliwych chwilach. Przyjaciele moi, żywi i umarli, rozproszeni po świecie, dalecy i bliżcy, wy coście o mnie zapomnieli i wy co o mnie jeszcze pamiętacie, jeżeli słowa moje dojdą do was kiedy, albo wieść o mnie, albo pismo moje, wiedzcie, że jednym z najdroższych skarbów mojego życia jest pamięć o was i że ona świeci i świecić nie przestanie w gruchęj ciszy mojego ustronia i smutku mojej starości. *(po pauzie)* Ale już nie jeden odwrócił się i nie jeden może teraz odwraca się odemnie. .

Fatalna polityko! po co weszłaś w moję drogę? Brzydzę się tobą, tak jak ty obrzydziłaś mi rodzaj ludzkil Rozdzielasz mnie z przyjaciółmi, kłócisz mnie z krajem, może nawet z potomnością! Cóż robić, taka jest dziwna natura umysłu ludzkiego. Nienasycony, niespokojny, ciekawy, wszechświat cały chciałby objąć i przeniknąć; błędzi w przestrzeniach jak w swojej przyrodzonej dziedzinie; z niezmordowaną pracą śledzi prawa ogólne i dumny jest i szczęśliwy, jeżeli choć cząstkę ich pochwyti i przyswoi sobie.

To co inni robili dla gwiazd, dla żywiołów natury, dla sztuk, dla języka, to ja zapragnąłem zrobić dla budowy politycznej społeczeństw, zbudować naukę: ścisłą naukę. *(Dobry list, rano odebrany i zgnieciony, prostuje i czyta w milczeniu. Po chwili)*. Możeż ścisła nauka obejść się bez cyfer? A mogąż w polityce być inne cyfry jak ludzie? I mogąż w niej być ludzie czém inném jak tylko cyframi? A jednakże te cyfry czują i cierpią. Chyba więc na innęj drodze trzeba budować taką naukę. Miałżebym się mylić?

Mniejsza o współczesnych, u nich się nic nie dowiem... Rozumie wieków, co ty powiesz o mnie i o mo-jém dziele? i o pracy mojego żywota?...

Ach gdybym to zdołał przeniknąć, odgadnąć!

(*Nachyla się, opiera głowę o rękę, zamysła się i powoli zasypia*).

(Posąg bogini Nemezis, stojący na kolumnie, otacza się jasnym obłokiem; w obłoku tym zstępuje ona ze swego miejsca i staje w żywej postaci przed śpiącym Makiawelem. W jednej ręce trzyma pochodnię gorejącą, w drugiej dwa węże wijące się i syczące; na głowie jej korona z jelenim rogiem).

NEMEZIS. Sąd potomności zwiastuję ci: „Światło geniuszu twego będzie przyćmione, boś nie uszanował zasad prawa i ludzkości, bawiących w sumieniu wszystkich; imię twoje choć sławne pójdzie w poniewierkę, bo połączy się z każdą zbrodnią i fałszem politycznym; charakter twój prywatny uznany będzie za niedorównywający twojemu geniuszowi, boś w widokach osobistych, aby wyjść z zapomnienia i ubóstwa, oddał teorię, jakiej nikt przed tobą nakreślić nie śmiał, choć wielu ją wykonywało na usługi tego, który cię mógł wywyższyć. Włochy cię uczczą jako jednego z pierwszych promotorów swęj jedności i niepodległości, ale złą sławę rzucisz na ich charakter polityczny i na wiek, który cię wychował. Tytuł Anti-Makiawela dany dziełu w przyszłości odległej, będzie zawsze znaczył rehabilitacją prawa i moralności. Znajdzie się mistrz, który tego tytułu użyje za maskę dla polityki przyjętej od ciebie. Ale ten, który zjednoczy kiedyś Włochy, nie w Cezarze Borgii, jak ty, będzie szukał dla siebie wzoru.“

(*Nemezis wstępuje na kolumnę, obłok znika; Makiawel się budzi*).

MAKIAWEL. Cóż za sen!

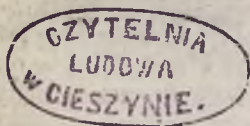
BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.



(Ciąg dalszy).

IX.

Królewicz mógł bezpiecznie odpoczywać: czuwali zań w Polsce liczni zwolennicy, a w Dreźnie pracowali Sułkowski i Brühl.

Równie ambitny, jak jego współzawodnik, Sułkowski pewniejszym był swojego stanowiska. Miał serce królewicza, a co stokroć więcej ważyło—jego nałóg. Fryderyk od najmłodszych lat miał go przy sobie. Z nim razem przebyli najdziwniejsze zmiany, przeżyli pierwsze wrażenia, urosli na ludzi. Sułkowski znał pana swego, bo patrzył, jak się on wyrabiał na to, czém został wkońcu; Brühl więcej się go domyślał i odgadywał.

Po nawróceniu na katolicyzm Augusta II dla tronu polskiego, nawróceniu, które było zupełnie dla króla obojętném, gdyż najmniejszej nie miał wiary; papież Klemens XI począł sta-

rać się pilnie, ażeby syn nie poszedł za matką, żarliwą protestantką, ale wstąpił w ślady ojca. Dla Augusta Mocnego było to zadanie nadzwyczaj drażliwe.

Elekcyjny tron polski, nie był pewnym: w Saksonii protestanckiej wiara była przeszkodą i niebezpieczeństwem. Zresztą matka królowa Eberhardyna (z domu Beireuth) i babka Anna Zofia (księżniczka duńska) czuwały nad tém, ażeby syn i wnuk nie poszedł za ojcem. Obie te panie były nietylko żarliwe, ale nieubłagane przywiązane do swojego wyznania. August II, co nie jest rzeczą wątpliwą, starał się z Polski uczynić monarchią dziedziczną, choćby część jęj miał poświęcić; w nadziei tęg mógł syna wychować na katolika... inaczej było mu to obojętném. Na nagłace breve papieżkie, August Mocny odpowiedział 4 września 1701 roku, zaprzysięgając papieżowi, iż syn będzie katolikiem, a 8 lutego 1702, zapewnił Stany Saskie, że syn będzie lutrem. W istocie nie wiedział jeszcze co lepięj, co dogodnięj i co polityka doradzi.

Młodziuchnemu Fryderykowi dano zrazu do dozoru wychowania jego z ręki babki p. Aleksandra von Miltitz, człowieka wcale niezdolnego do zajęcia się tak ważną sprawą. Babka zaś, jak świadczą współczesni, sama przez się nie wiele miała sądu; rządziły nią protestanckie tartufy, a po obiedzie zwykle mniej jeszcze wiedziała, co robiła, niż z rana. Małego Fryderyka odebrano królowęj Eberhardynie, babka miała go przy sobie. Miltitz pedant, skąpiec, nudziarz i leniwiec nie wiele mógł dobrego zrobić swém wychowaniem. W rzeczach wiary obojętny, nie przywiązywał do nich zbytnięj wagi, za to protestanci duchowni dworu królowęj matki aż do zbytku młodego księcia obsiadali. Katolika nie przypuszczono ani jednego do małego wychowańca. Doniesiono o tém do Rzymu (Fürstenberg), a z Rzymu przyszło napomnienie nowe.

Dwunastoletniego Fryderyka odebrano nareszcie z rąk kobiet i wysłano z nauczycielem w pierwszą podróż, ale z tęg powrócił wkrótce. Obie królowe niespokojne, aby go nie uczyniono katolikiem, w czternastym roku publicznie kazały mu złożyć wyznanie wiary luterskiej i razem według obrzędów protestanckich, poleciły go bierzmować (confirmatio). Król, który podówczas był w Gdańsku, doniósł o tém sam papieżowi,

pisząc, że gdyby nie pewne okoliczności, okropnieby ukarał tych śmiałków, co się wazyli na krok tak zuchwały bez jego wiedzy.

Składały się okoliczności tak, iż Rzym Augustowi był potrzebny, musiano się mu zasługiwać, postanowiono więc dotrzymać słowa i nawrócić Fryderyka. Sprowadzono z Polski wojewodę Inflantskiego Kos'a i uczyniono go przy księciu ochmistrem. Sułkowski już naówczas się przy nim znajdował.

W 1711 r. zabrał z sobą syna August do Polski, zkąd zawiózł do Pragi i tu nastąpiły narady z nuncyuszem Albani. Postanowiono zmienić cały dwór i otoczenie królewicza, dając mu samych katolików. Nie wiedział o tém wcale Fryderyk i za powrotem do Drezna, w niedzielę najpierwszą poszedł do luterskiego kościoła na znak wytrwania, przybierając sobie imię Constans. Wkrótce potem we Frankfurcie przy wyborze cesarza, był także jeszcze na nabożeństwie protestanckiem.

Zaraz potem wojewoda Kos wystąpił z rozkazem króla, pożegnał i odprawił dotychczasowego ochmistra barona Miltitz; cały protestancki dwór królewicza z nim razem, wyjąwszy lekarza, kucharza i kasyera i miejsca ich obsadził katolikami. Dalszym kierunkiem miał się zająć O. Salerno. August II wyprawiał zarazem w podróż syna i rozkazywał mu najprzód jechać na karnawał do Wenecyi! Było to pierwsze w świat wystąpienie. Sławne jeszcze podówczas bywały karnawały na placu Ś-go Marka. W styczniu 1712 r. wyruszono wprost z Frankfurtu w tę podróż, która dla oddalenia królewicza od wpływów protestanckich, trwała lat siedm.

Listy wszystkie, które pisywał do rodziny, musiały przechodzić przez ręce Kosa i generała saskiego Lützelburga, człowieka bystrego umysłu, ale obyczajów nie zbyt chwalebnych.

Królewicz zrazu zaniepokojony w sumieniu, znalazł środki udania się o ratunek do Anny królowej angielskiej i Fryderyka IV króla duńskiego. Pierwsza zapraszała go do Anglii, drugi oświadczał, że jeśli zostanie katolikiem, utraci prawa do spadku duńskiego.

Breve papieżkie tegoż roku zapewniło Augusta, iż w razie napaści książąt protestanckich, Ojciec Święty gotów mu pomagać, choćby miał na to sprzedać ostatnią koronę swoją. Kró-

lewicz tymczasem w towarzystwie Sułkowskiego, który wkrótce stał się jego powiernikiem, będąc do niego wiekiem zbliżony, podróżował po Włoszech incognito pod imieniem hrabiego Misnii lub hrabiego Luzacyi. Dwór jego składali, oprócz Sułkowskiego, wojewoda Koss, generał Lützelburg i O. Salerno, ale ubrany po świecku, jako dworak, a oprócz tego Sas, jezuita O. Vogler. Sekretarzem był także jezuita Kopper, pod nazwiskiem pana Weddernoy i w ubraniu świeckiem. Wpływ więc na księcia był codzienny i nieustanny, któremu w ciągu lat tylu, oprzecz się było niepodobieństwem. Z Wenecyi udali się do innych miast włoskich do Bolonii, gdzie władze papieżkie uroczyście przyjmowały księcia. Tu O. Salerno nareszcie nawrócenia dokonał. Wyznanie wiary złożył w największej tajemnicy królewicz w ręce legata papieżkiego kardynała Cassoni. Później i Albani i Salerno w nagrodę otrzymali kapelusze kardynalskie.

Nawrócenie długi czas pozostało tajemnicą, a że Stany Saskie domagały się powrotu i August nie chciał ich drażnić, wstrzymano zamierzoną już podróż księcia do Rzymu. W 1713 r. wracał do kraju wraz z O. Salerno, który z Werony, pożegnawszy się, pojechał do Rzymu, ale pozostał w ciągłej korespondencyi ze swym wychowawcą.

Wprost jednak nie kazano jechać księciu do Drezna, ale najprzód do Düsseldorfu, gdzie jakiś czas mieszkał u kurfirsta Pfalzu gorliwego katolika; później udał się na dwór Ludwika XIV, który przez papieża był o nawróceniu uwiadomiony. W tej podróży było jakieś posądzenie o spisek na porwanie księcia przez jego krewnych protestanckich, ale cała ta sprawa nie jest wyjaśnioną. Obawiano się ciągle, ażeby książę nie wyrzekł się przyjętej wiary. W Paryżu przyjęto gościa bardzo uprzejmie, jak widać z listów stariej księżnej orleańskiej, znajdowano go nawet miłym, chociaż bardzo mało-mównym (i takim na całe życie pozostał).

Wojewoda Kos był najdoskonalszym z dworaków, podobał się też wielce. O zmianie religijną mało kto wiedział jeszcze, a sam królewicz własnej matce się do tego nie przyznawał. Z Francyi zamiast do Anglii, jak zrazu mówiono, powieziono księcia na Lyon i Marsylią do Włoch i do Wenecyi

znowu, gdzie Signoria i szlachta wysadziła się na zabawienie go i przyjęcia. Maskarady, regaty, komedye, bale następowały jedne po drugich.

Z porady Klemensa papieża nakoniec postanowiono dla zapewnienia się o księcia, ożenić go z gorliwą katoliczką; rozpoczęto o to starania w Wiedniu przez O. Salerno, minister Starhemberg i książe Eugeniusz dopomogli do tego tak skutecznie, iż arcyksiężniczka przyrzeczoną została. Zawieziono królewicza do Wiednia, gdyż najmniejszego kroku bez rozkazu ojca uczynić nie mógł i nie chciał.

Nawrócenie zawsze jeszcze było tajemnicą, chociaż względy na królową matkę ustały, bo ta właśnie życie była skończyła. W październiku 1717 roku, jednego poranku hrabia Lützelburg nakazał całemu dworowi księcia stawić się o godzinie dziesiątej rano w jego przedpokoju. Około jedenastej zaszła przed pałac karetą nuncyusza m-ra Spinoli, naprzeciw któremu wybiegła część dworu, dla wprowadzenia go na pokój. Wkrótce potem wszedł małeńki człowiek ze skrzynecką zakrytą, a p. Lützelburg wysunął się z pokoju księcia i odezwał do dworaków, że w apartamencie królewicza coś się odbywać ma (*etwas passiren*), czemu panowie protestanci mogą, jak chcą być lub nie być przytomni. Otworzyły się drzwi na roścież, nuncyusz przy stoliku czytał mszę, której książe będąc chory, słuchał w łóżku, ale z pobożnością wielką.

Po mszy oddalił się nuncyusz, a książe odezwał się do dworaków swych protestantów:—Teraz panowie już wiecie czém ja jestem, a zatem wkrótce proszę za mną.

Na cò generał Kospoth odparł:

— Jeszcze się o tém nie myślało, trudno się tak nagle decydować—a książe dodał:—Masz W. Mość słuszność, trzeba wprzódy zostać dobrym chrześcianinem, nim katolikiem...

Tajemnica została odkrytą, w niedzielę następną królewicz poszedł na mszę do Jezuitów i komunikował. Radość ztąd wielka była w Rzymie.

Saxonii dano zapewnienie nowe, iż wiara protestancka pozostaną, ale starania o nawracanie były rzeczą nieuchronną i przewidywaną. Królewicza nie puszczano z Wiednia przez siedemnaście miesięcy. August dostarczał obficie

pieniędzy na świetny dwór i dawane bale. Tu też odbyły się zaślubiny z Maryą Józefiną w roku 1719.

Sułkowski cały ten czas najbliższym był osoby królewicza i nieodstępny! Z nim razem tegoż roku przy dworze młodej pary powrócił do Drezna, które z największym przepychem przyjmowało córkę Cezarów. Sułkowski z nałogu i z potrzeby podzielał wszystkie ulubione zabawy i zajęcia królewicza, jego myśliwstwa, konne łowy, zamiłowanie w teatrze i w sztuce. W podróży po Niemczech, Włoszech, Francji, w towarzystwie pana, widział wiele i wykształcił się znakomicie; nauczył się znać świat, a co najwięcej poznał dobrze słabości Fryderyka, umiał z nich korzystać, dogadzać im, rządzić niemi i czuł się tak potrzebnym, że mniemał się nie zwalczonym. Sam na sam królewicz był z nim w największej poufałości, a lata ten stosunek wzmacniały. Stosunki zawiązane na dworach austriackim, francuzkim, papieżkim, ubezpieczyły także Sułkowskiego, który wszędzie mnogich liczył przyjaciół.

Nie obawiał się więc ani współzawodnictwa Brühla, ani żadnego podstępu. Przez żonę, niegdy frejlinę królewiczową, pannę von Stein-Jettingen, miał też ucho i poparcie u Józefiny, którego zdawał się pewnym.

Dworak daleko wytrawniejszy od Brühla, ale daleko od niego mniej pokorny i śmielszy, „kawaler” jak naówczas mówiono najlepszego tonu. Pięknej postawy, układny, Sułkowski nie miał zdolności pierwszego ministra, ale dumę i ambycję wielką. Mniej oswojony ze sprawami bieżącymi kraju niż Brühl, który oddawna przy Auguście w kancelaryi jego pracował, rozumiał to dobrze, ale miał pod ręką człowieka, którym spodziewał się wyręczyć. Sięgał więc po władzę w przekonaniu że ją utrzyma i że jęj podoła. Życie jego było skromniejszem od Brühla, który pod rozmaitemi pozorami, lubił coraz świetniej występować i kochał się w zbytku. Sułkowskiego dwór nader był szczupły, służba nie wytworna, ekwipaże nie wykwinne.

Objęcie ministeryum i zarządu państwa właśnie oddaném mu być miało, gdy jednego poranku, nim się udał do królewicza, Sułkowski posłał po swojego powiernika. Siedział z książką francuzką w ręku w gabinecie, czekając nań, gdy powołany radzca Ludovici nadbiegł zdyszany.

Przy osobie ministra pełnił on te same obowiązki co Henicke przy Brühlu, był to jego factotum, zastępca, naczelnik kancelaryi, wyręczycieli poradnik! Sułkowski sam mało wprawny w interesa, posługiwał się nim we wszystkim.

Jedno spojrzenie na tę figurę dostatecznie ją poznać dawało. Charakterystyczniejszej twarzy trudno było spotkać, ani łatwiej umiejaczej się zmieniać i przybierać wszelki wyraz, jakiego położenie wymagało. Lat przeszło trzydzieści Ludovici starszym się wydawał niż był. Twarz cała w fałdach, bystre oczy czarne, usta ruchome, o których trudno było powiedzieć nawet jak rzeczywiście natura je stworzyła, bo i wązkiemi i szerokimi być umiały; cała postać wyłamana i kuglarsko się wyginająca, nieustannie w ruchu, czyniły radcę Ludovici zjawiskiem nieprzyjemnym i niespokojnym. Trzeba się doń było przyzwyczać aby go módz znieść. Nieustannie patrzył w oczy, badał, wyrывał z ust niedokończone wyrazy. Sułkowski szczęściem był doń nawykły i powagą swą niecierpliwość jego trzymał na wodzy. Ludovici pełne miał wszystkie kieszenie papierów, wszedłszy skłonił się i sparłszy na poręczy najbliższego krzesła, czekał co mu pan minister powiedzié raczy.

— Dokumenta mam z sobą—rzekł nakoniec uderzając się po boku z którego kieszeni papiéry wyglądały—jeżeli W. Ekscellencya pozwoli.

— Nie o tém się z w. panem radzić chciałem dzisiaj—odezwał się Sułkowski—mamy o czém innym do mówienia.

Ludovici pochylił się z niecierpliwą ciekawością, oczy mu się iskrzyły.

— O czémże, o czém? W. Ekscellencya raczy...

Sułkowski zdawał się namyślać jeszcze czy ma się zwićrzyć zupełnie; ta chwila wyczekiwania i niepewności, podniosła jeszcze, żywą już ciekawość pana radcy. Ściagał go oczyma, nachylał się jakby wylatujące z ust słowa chciał co najprędzej pochwyć.

Sułkowski zapatrzył się w okno. Wstał, potem powoli w bok się biorąc

— Jest to dosyć nieprzyjemna rzecz—rzekł—że żyjąc na dworze, nawet tak nieograniczonym, będąc zaszczyconym

zaufaniem kurfirsta jak ja... mimo to pewne środki ostrożności przeciw zachciankom władzy zachować należy.

Ludovici uśmiechnął się, oczy roztworzył i ręką dziwnie w powietrzu poruszać zaczął, ale przerywać nie śmiał.

— Mogę śmiało powiedzieć—kończył Sułkowski—że się tu nie obawiam nikogo, ale też nikomu wierzyć nie mogę.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie—dorzucił Ludovici—wierzyć nigdy nikomu nie trzeba. Mówił mi to jeden bardzo rozumny człowiek, że z przyjaciółmi zawsze obchodzić się należy tak jakby jutro naszymi wrogami być mieli.

— Nie o to idzie, mój Ludovici, mogą się stać wrogami, a nic mi nie zrobią; ale o ich ruchach, zamiarach i myślach chcę być uwiadomionym.

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie—wtórował Ludovici.

— Dotąd nie miałem potrzeby, dziś mi się zdaje to koniecznym.

— Słusznym, pięknym i sprawiedliwym—powtórzył radca—tak, tak! musimy mieć ludzi, którzyby oko mieli na wszystkich...

— Tak jest, nawet na osoby wysoko położone—z przyciskiem dorzucił Sułkowski.

Ludovici spojrzął i nie będąc pewnym znaczenia tych wyrazów, wyczekującą przybrał postawę. Nie wiedział jak wysoko ma prawo sięgnąć myślą i domysłem.

Sułkowski nie bardzo się chciał jasno tłumaczyć.

— Ja—dodał z pewnym zakłopotaniem—we wszystkie urzędowe czynności moich współkolegów wglądać nie mogę...

— Urzędowe czynności—rozśmiał się Ludovici—ale to nic jest, Ekscellencyi prywatne ich czynności częstokroć nie równie więcej znaczą...

— Radbym więc mieć o tém...

— Słusznie, pięknie, sprawiedliwie, raporcik—wtrącił Ludovici—każdego dnia, regularnie. Tak: pisany, ustny?

Zawahali się oba.

— Ustny mi starczy—rzekł minister—waćpan mi go sam przynosić możesz, zebrawszy materyały właściwe.

— Ale słusznie, tak! ja... i zapewniam W. Ekscellencyi, że wierniejszego sługi mieć nie może.

Tu skłonił się i w téjże chwili głowa, która była opadła aż na poręcz krzesła, podleciała znowu szparko do góry.

— Pozwolę sobie tu uczynić kilka uwag—szepnął Ludovici ciszej.— Posłowie obcy, rezydujący przy dworze powinni ściślemu podlegać nadzorowi, cóż to są bowiem, jeśli nie urzędowe państw swych szpiegi: hm? Nie wyjmuję nawet z przeproszeniem hrabiego Wallensteina, choć jest zarazem wielkim ochmistrem dworu... A cóż dopiero mówić o Waldburgu pruskim? o margrabim de Monti, o rezydencie Woodward, o hrabi Weissbach... i baronie Zülich.

— A! mój Ludovici, obce państwa nie tyle częstokroć grożą co wewnętrzne intrygi.

— Słusznie, pięknie—podchwycił Ludovici—tak! tak! tak. Nikt nademnie wyżej nie szacuje i nie ceni ministra Brühla...

W téj chwili Sułkowski bystro spojrział na radcę, radzca na niego i rozśmieł się szeroko, rękę do góry podniósł, głowę pochylił: zamilkł. Znaczyło to: zrozumieliśmy się, trafiłem we ćwieczek.

— Jestto mój dawny przyjaciel — począł Sułkowski — człowiek, którego niepospolite talenta szacuję.

— Talenta... wielkie, niepospolite, ogromne, straszne! —z gestykulacją żywą potakiwał Ludovici— a tak.

— Radzca masz wiedzieć, że zmarły król silnie go polecił Najjaśniejszemu królewiczowi, że ma się żenić z hr. Kolowrat, że królewiczowa pani bardzo mu sprzyja. Pomimo to wszystko źlebyś sobie tłumaczył to co mówię, gdybyś sądził iż mu nie ufam, że się go lękać mogę...

— Tak, ale ostrożność jest nakazana, a nadzór konieczny... Tamtędy płynie strumień złoty i rzeka srebra...

Sułkowski nakazał milczenie.

— Skarżą mi się niektórzy na język ostry Watzdorfa?

— Młodszeo — przerwał Ludovici— tak, tak, niepowściągliwy, ale to młyn, który miele własne kamienie: nikomu to nie szkodzi, oprócz jemu, a jak niema być zły, kiedy...

Nie dokończył, gdy wielki hałas dał się słyszeć w bliżkiej sieni domu, z której drzwi wiodły do pokojów gościnnych, piśkliwy głos, szamotanie się ludzi, chodzenie. Sułkowski nadstawił ucha. Ludovici zamilkł i cała twarz i postawa jego przyoble-

kła się inaczej; zmieniony do niepoznania, stał się poważnym urzędnikiem z dworaka. Ściągnięte usta wyrażały zadumanie głębokie. Pisk przerywany śmiechem kobięcym rozlegał się ciągle w sieni. Ktoś widocznie domagał się wnijsicia i chciał je zdobyć przebojem.

Sułkowski dał znak radzcy, że na ten raz konferencya była skończoną i postąpił ku drzwiom. Zaledwie się one otwały, gdy ten śmiech suchy i dziwno brzmiący wleciał z przedpokoju, a nim gospodarz mógł wyniść na spotkanie, dama najpocieszniej przybrana w żałobę, wpadła do gabinetu.

Podobne jój figurki chyba na parawanach i z porcelany lepione się trafiają. Niezmiernie strojna i nadzwyczaj brzydka, chuda, żółta, woniejąca węgierską wodą (La Reine d'Hongrie: larendogłą, zastępującą wówczas kolońską), w wysokiej fryzurze, na korkach wysokich, małeńka kobięcina wpadła szastając suknią i mizdrząc się do Sułkowskiego oczkami zmrużonemi, buzią wysznurowaną, w której już połowy niegdyś perłowych ząbków nie było.

W chwili gdy ten niespodziewany gość brał szturmem gabinet, Ludovici nawpół zgięty wysuwał się z niego, a przybyła, pomimo iż była bardzo zajęta, oczyma za nim powiodła.

— *A ce cher Comte!* — zawołała — widzisz, widzisz nie-wdzięczny hrabio! nim mogłeś się dowiedzieć że ja tu jestem, ledwie ucałowawszy kolana mojej Najjaśniejszej wychowanicy, przybiegłam do ciebie: *N'est ce pas joli de ma part?*

Sułkowski się skłonił i chciał jój rękę ucałować, ale go klapnęła po ramieniu czarnym wachlarzem.

— Daj pokój... stara jestem, to ci smakować nie będzie; ale daj mi gdzie sięść.

Obejrzała się, i na piérwszém krześle upadła.

— Muszę odetchnąć: chciałam z wami pomówić na cztery oczy.

Sułkowski stanął przed nią w gotowości do rozmowy. Podniosła ku niemu głowę.

— No cóż? straciliśmy tego wielkiego, wspaniałego, nieodżałowanego Augusta naszego!

Westchnęła, Sułkowski wtórował.

— Szkoda go, ale między nami powiedziawszy, żył dosyć i użył wiele i nadużył... Ja o tém mówić nie mogę: *Des hor-*

reurs! Cóż teraz będzie z wami, sierotami biédnemi? Królewicz? prawda? nientulony w żalu? tak? Ja od mojego dworu przybyłam z kondolencyą do niego i mojej drogiej Najjaśniejszej wychowanki.

Pochyliła się nieco i sparła niby wdzięcznie na poręczy krzesła, do ust przykładając wachlarz.

— Cóż słyhać? mój hrabio, drogi hrabio? co słyhać? Już wiem, że wy należne wam otrzymaliście stanowisko. Cieszmy się z tego wszyscy, bo wiemy że dwór nasz na was rachować może we wszelkim wypadku?

Sułkowski się skłonił.

Z tych wyrazów łatwo odgadnąć, iż przybyła była posłanniczką dworu austryjackiego. Była to sławna niegdyś nauczycielka królewiczowej Józefiny, później frejlina, panna Kling, którą posyłano tam gdzie mężkie poselstwo byłoby zbyt nieoptymalnie. Panna Kling była jednym z najrzęczniejszych ówczesnych dyplomatów na posługach cesarza.

— Pani już o wszystkim od Najjaśniejszej królewiczowej wiedzieć musi.

— Ale o niczem w świecie nie wiem, drogi hrabio; wiem tylko—prędko mówiła panna Kling—że wam należy pierwsze dostojęństwo, że macie Kurfirsta serce, że Brühl ma wam dopomagać. Ale mówże mi hrabio, co to jest ten Brühl?

Sułkowski się zamyślił.

— Jestto mój przyjaciel—rzekł w końcu.

— A! teraz... to rozumiem. Wiecie, że królewiczowa mu przyrzekła Kolowratównę i że ona podobno nie bardzo sobie życzy. Wszak Brühl szalał za Moszyńską?

Wszystko to tak prędko biegło z ust panny Kling, że Sułkowski na odpowiedź się namyślić nie miał czasu.

— Tak—rzekł krótko—Brühl podobno się żeni...

— Ale luter jest?

— Ma przyjąć wiarę katolicką.

— Byle nie tak jak, z przeproszeniem nieboszczyka, jak ten wspaniały wielki August II, który swoim ulubionym wyłom kładł różańce na szyję.

Sułkowski zmilczał.

— Cóż więcéj? królewicza nie widziałam jeszcze... zmienił się? posmutniał? żal mi go! Załoba... opery tak długo nie posłyszysz. A Faustyna? cóż? czy ją kto zastąpi?

— Najjaśniejszy królewicz pragnie wszystko utrzymać w takim stanie jak było za rodzica jego ś. p. Augusta.... Faustyny niktby zastąpić nie potrafił.

— Ale to stara kobiéta i głos ma tylko piękny.

— To téż ten w niéj tylko zachwyca—odezwał się Sułkowski.

Panna Kling zakryła się wachlarzem i pokiwała głową.

— Prawdziwie—rzekła cicho—dla mnie kobiety nader drażliwe pytanie; ale jestem ciekawą i muszę wiedziéć. Mój Sułkowski! czy on dotąd jest wierny żonie. Ja ją tak kocham, moją Najjaśniejszą wychowanicę.

Hrabia aż się cofnął.

— To nie ulega najmniejszój wątpliwości—zawołał żywo. Najjaśniejsza królewiczowa nie opuszcza go ani na chwilę: jeździ z nim na łowy, do Hubertsburga i Dianenburga nawet.

— Ażeby ją zbrzydził i aby mu się przedzój naprzykrzyła—szepnęła Kling—to nie dobra rachuba. Ja się zawsze lękam tego bałamuctwa, które jest we krwi...

Spojrzała na hrabiego, który głową potrząsał.

— Królewicz jest tak pobożny...

Kling pokryła uśmiech wachlarzem. Okna pokoju, w którym się toczyła ta rozmowa, zwrócone były ku rynkowi. Pomimo że mówiono dosyć głośno, wrzawa, śmiechy i hałas jakiś uliczny, pod samemi oknami stał się tak silny, że Sułkowski namarszczywszy brwi, nie mógł się powstrzymać, aby się nieco ku oknu nie zbliżyć i nie wyjrząc jaka tego była przyczyna.

W owych czasach uliczny hałas i rozpasanie pospólstwa były bardzo rzadkie. Jeśli się co podobnego trafiało, musiało być spowodowaném wypadkiem ważniejszym i niejako urzędowym: wyrokiem jakim sądowym, wykonaniem jego, lub tym podobnie. W istocie przez okno widać było nagromadzone tłumy, w sąsiednich kamienicach pełno głów we drzwiach i szybach. W pośrodku ciżby, która się cisnęła i falowała, jakiś pochód niezrozumiały się odbywał...

Panna Kling, niezmiernie ciekawa, porwała się z siedzenia, podbiegła do okna i rozsunięwszy firanki starała się wido-

wisku, które jój badanie przerwało przypatrzeć. Sułkowski spoglądał także.

Tłum właśnie pod samymi przeciągał oknami, a ogromna kupa dzieci i starszych obdartusów goniła za dziwną figurą w ciemnej sukni, siedzącą na osiołku twarzą do ogona. Osła prowadził pacholek czerwono ubrany... Smutno było spojrzeć na tego nieszczęśliwego winowajcę, człowieka nie młodego, ze spuszczoną głową, przygarbionego, przybitego wstydem i męczarnią na lata jego ciężką. Chwilami oczy sobie zakrywał... to znowu chwycił się osła aby nie spaść, to opierał na szyi, to na grzbiecie.

Z okna można było rozpoznać dobrze zbladłą, zbolałą, żółtą twarz ukaranego przestępcy, który, wnosząc z sukni, do lepszego stanu należał. Z kieszeni jego wystawały papiery. Z nóg zwieszonych pospadały trzewiki, suknie miał poszarpane i rozpięte. Jakiś rodzaj osłupienia nastąpił widać po doznaniem upokorzenia; machinalnie tylko bronił się od upadku, nie patrząc na to co się koło niego działo. Pomimo że dokoła osła szli z halabardami pacholkiwie miejscy, tłum nielitościwy zawsze i okrutny, wypatrzywszy chwilę ciskał błotem i kamyczkami na starca. Cała jego suknia okryta już była plamami, a z twarzy ściekało także błoto. Pacholkiwie się śmieli, dzieci biegły, schylały się, goniły i zażarcie dopełniały bezmyślnego okrucieństwa.

— Ale cóż to jest?—zawołała panna Kling—co się tu u was dzieje? nie rozumiem!

— A! nic, nic!—obojętnie zawołał Sułkowski—bardzo prosta rzecz. Nie można bezkarnie dozwolić, aby ta hałastra, gryzpiórki jakieś co papier zasmarowują, śmieli się porywać na sądzenie ludzi klas wyższych i mówienie o nich bez należącego uszanowania.

— Ale naturalnie—odparła p. Kling—a cóżby to było, gdyby im dozwolono tykać najświętszych rzeczy...

— Wiem co to za jegomość, to wydawca jakiegoś pisemka, które gazetami albo nowinami nazywamy, niejaki Erell... Dawnośmy uważali że sobie za wiele pozwala. Na ostatek przeskrobał coś w swoich *Dresdner Merkwürdigkeiten* i kazano go przeprowadzić po mieście na takim osle, jakim on sam jest.

— *Et c'est justice!* — zawołała panna Kling — to bardzo dobrze: z temi ludźmi dosyć surowemi być nie można. Wyborny przykład, radabym, aby go w Wiedniu naśladowano i żeby się nam dostali w ręce ci, co w Hamburgu i Hadze pozwalają sobie odkrywać najskrytsze dworów tajniki!

Patrzali oknem jeszcze, tłum się wrzeszcząc tłoczył. Stary ów Erell, znać wycieńczony, chylił się na prawo i lewo, jakby co chwila z osła się miał zsunąć. Ale pacholkiwie uważni chwyтали go pod pachy i umocowywali znowu, a że ich to niecierpliwiło, nie obeszło się bez poprawiania pięścią niezdarne go pismaka, który pozwalał sobie popełniwszy taką zbrodnię, udawać jeszcze delikacika.

Na zawrocie ulicy widowisko to wreszcie wraz z tłumem, który wiodło za sobą, zniknęło za murem, a panna Kling powróciła do swojego fotelu.

Któżby się był naówczas domyślił, że ten którego na posmiewisko wystawiano tak nielitościwie, przedstawiał sobą jedną z tych potęg nieznanych, do jakiej miało dorosnąć dziennikarstwo?

Nie popsuło to widowisko humoru ani szczebiotliwej panie Kling, ani Sułkowskiemu. Znikło z pamięci, znikłszy z oczów; poczęły się szepty i dopytywania. Gospodarz jednak dosyć zimno i ostrożnie odpowiadał na rzucane mu do rozwiązania zagadki.

— Mój drogi hrabio—dodała wkońcu posłanka—powinieneś rozumieć to dobrze, iż dworowi mojemu idzie o to, aby zdrowy wpływ tylko miał przystęp do umysłu kurfirsta, a nawet mojej najjaśniejszej wychowanki. Wprawdzie aktem urzędowym zrzekliście się wszelkich roszczeń i przyjęli sankcyą pragmatyczną—lecz... łacnoby ktoś mógł was wprowadzić na pokuszenie. Dwór mój ufa ci kochany hrabio—dodała cicho—i możesz nań rachować, bo wdzięcznym być umie.

— Liczę się do najwierniejszych sług J. Cesarskiej Mości—rzekł Sułkowski.

Panna Kling wstała i otrząsała suknię na rogówce, gdyż pomimo twarzy i wieku, dbała wielce o swój strój. Przejrzała się w wiszącém zwierciadle, uśmiechnęła, dygnęła; Sułkowski podał jej rękę i wychodzącą przeprowadził do oczekującej na

nią dworskiej portchaise, do której zaprzężeni dwaj hajducy w kanarkowej liberyi unieśli zaraz kłaniającą się długo i wdzięcznie baronównę.

X.

Wkrótce po opisanych tu scenach, w godzinie obiadowej, która naówczas była tak wczesną, że na zamku o drugiej zwykle od stołu wstawano, Brühl niezmiernie zmęczony wpadł do swojego domu.

Na twarzy jego zwyczajnie tak rozpromienionej, znać było rozdrażnienie wielkie. Spojrzał na zegar i nie dając sobie tak potrzebnego wypoczynku, pobiegł do znanej nam garderoby. Czterech lokajów czekało tu na jego ekscellencyą, piątym był Hennieke z nadzwyczaj kwaśną twarzą, stojący w progu i zdający się domagać posłuchania.

Zobaczywszy go w zwierciadle Brühl, odwrócił się niecierpliw.

— Czego chcesz?—zapytał.

— Rzecz niezmiernie pilna—ponurym głosem zawołał Hennieke.

— Ale i mnie téż niezmiernie jest pilno...—rzekł niecierpliwie Brühl.

— A mnie pilniej jeszcze, niż waszój ekscelencyi—mruknął zausznik.

Widząc że się go nie pozbędzie, minister pobiegł do progu... czekał na to, co mu miał powiedzieć Hennieke. Lecz radzca potrząsł głową i wskazał wyraźnie, że tu przy świadkach rozpocząć nie może. Minister szybkim krokiem napowrót przebiegł do gabinetu... Zamknięto drzwi.

— Mów prędko!

Hennieke zapuścił ręce z palcami długimi i kościstymi w głąb kieszeni swój kamizeli, dobył z niej powoli coś błyszczącego i milcząc podał Brühlowi.

Była to moneta, czy medal wielkości talara. Brühl poszedł z nią do okna, bo dzień był pochmurny... oczy jego pilnie się zatrzymały na medalu, którego jedna strona wyobra-

zała tron z siedzącą na nim figurą z fajką w szlafroku, a poznać w niej było łatwo, lub domyślić się raczej kurfirsta młodego; trzy figury podierały tron jego, dwie w paziowskich strojach, a jedna w lokajskiej liberyi. Odwróciwszy medal, mógł przeczytać na nim dystych szyderski, stosujący się do Sułkowskiego, do niego i do Henickego:

Jest nas tu trzech razem:

Dwóch paziów i lokaj.

(Wir sind unserer drei

Zwei Pagen und ein Lakai).

Popatrzywszy chwilę Brühl, cisnął medalem o ziemię; ten się potoczył, a Henicke schylił po niego troskliwie, goniąc toczący się aż pod kanapkę. Podniósł się wreszcie, Brühl stał zamyślony i gniewny.

— Cóż w. ekscelencya na to?

— Co? dajcie mi tego, co to zrobił.. zobaczycie—zawołał Brühl.

— Co to zrobił—podchwycił gniewnie Henicke.. to odbito w Holandyi, tam gdzie nasze ręce nie sięgają, ale poddyktowane z Saxonii. Któż tam się o to troszczy, czy ja byłem lokajem, a wasze obiedwie ekscelencye paziami. Holendrom to zupełnie wszystko jedno. To wyszło ztąd, z Saxonii.

— A zatem trzeba dojść sprawy—zawołał Brühl, bądź co bądź nie potrzeba żałować na to wydatku... nasłać ludzi. Henicke ruszył ramionami.

— Piękna byśmy mieli policyą i dobrych szpiegów, gdy byśmy tego dojść nie mogli! Ten medal daj mnie...—dodał Brühl—ja go potrzebuję mieć. Zkąd go masz?

— Mnie go niewidzialna podrzuciła ręka. Znalazłem go w domu na stoliku. Znajdziecie może i wy u siebie.

— Potrzeba surowości do ostatecznych posuniętej granic, do Koenigsteinu na całe... krzyknął minister. Niedawno Erela trzeba było przewietrzeć, oprowadzając po ulicach; ale tego jegomości bezpieczniej zamknąć, aby się nauczył szanować ludzi.

— Najprzód go trzeba znaleźć!—mruknął Henicke. Postaramy się o to... Mnie w tak dobrém towarzystwie—rzekł

z tajonym gniewem—wcale nie wstyd. Ekscelencyom może być przykro stać obok ex-lokaja.

Spojrzał bystro na Brühla.

— Ha! ale ten lokaj potrzebny... bez niego obejśćby się było trudno... dużo rzeczy widział, wiele słyszał, nie mało ich przez ręce przepuścił; gdyby się go pozbywać chciano...

— Cicho, milcz Henricke—przerwał minister—niepotrzebne czynisz przypuszczenia. Medal wykupimy i zniszczymy, a sprawcę ty znajdziesz. Za kilka tysięcy talarów, wiele zrobić można.

Wyprawić człowieka rozumnego do Holandyi na miejsce.

— Ja sam pojedę—rzekł Henricke... nie dziś, to jutro namacam tego jegomości. Nie byłby człowiekiem, żeby coś tak dowcipnego wymyśliwszy, nie pochwalił się z tém przed kimkolwiek. Trochę cierpliwości... będziemy go mieli.

Brühlowi było pilno, skinął na konfidenta i wyszedł—Henricke znikł. Chmurniejszy nieco pobiegł się przestroić, oblać wonną wodą, dobrać sobie do stroju tabakierki, szpady, peruki i kapelusza. Spojrzał na zegarek i kazał zachodzić karecie. Konie stały w gotowości. Zaledwie siadł, uniosły go ku przedmieściu Wilsdrufskiemu. Dzień był piękny, wiosenny, ciepły, słoneczny. U bramy minister stanąć kazał, lekki płaszczyk narzucił na ramiona, wysiadł z powozu i odprawivszy go do domu, stał póki mu z oczów nie zniknął. Obejrzał się potem bacznie, a że wśród przechodzących, nikogo oprócz ludzi z gminu nie było, posunął się żywo za bramę, gdzie się poczynały ogrody. Ścieżką sobie znajomą dostał się do furtki, od której miał klucz w kieszeni i jeszcze raz obejrzawszy się na wszystkie strony, wbiegł do ogródka, którego rozkwitłe jabłonie, okryły go strzęsionemi z gałęzi różowych kwiatów listkami.

W głębi widać było skromny bardzo domek wiejski, cały w bzowych krzakach utulony. Ptaszki świergotały na gałęziach, cicho było i pusto; Brühl szedł ulicą wysadzaną drzewy, powoli, zamyślony z głową spuszczoną. Trzask otwierającego się okna zbudził go. W oknie stała wspaniałej postaci kobieta, zdająca się oczekiwać na niego. Spozrzegł ją i lice mu się rozjaśniło. Zdjął kapelusz i pozdrowił ją, rękę przykładając do serca.

Ci, co niegdyś znali w całym blasku jęj niezrównanej pięknosci, dziś zamkniętą na pustym zamku i zestarzałą w tęsknocie i boleści Cosel, byliby w rysach młodęj pani, stojącej w oknie, znaleźli do nięj choć dalekie podobieństwo. Nie miała ona blasku matki ani tych rysów rzeźbionych, które do późnej starości zachowały się niestarte nawet łzami, ale miała majestat i powagę, i potęgę jęj wejrzenia.

Stojąca w oknie była hrabina Moszyńska, której mąż w Warszawie przygotowywał elekcyą królewicza. Ona wolała pozostać w Dreźnie; kilką krokami spiesznemi Brühl znalazł się w progu domku... ona wyszła naprzeciw nięgo. Wnętrze chatki daleko ozdóbniejsze, niżby się po jęj skromnej powierzchowności spodziewać było można, strojne było w zwierciadła, w wytworne sprzęty i wonne od wiosennych kwiatów. W pierwszym dosyć dużym pokoju, stał nakryty do obiadu stoliczek na dwie osoby, świecący od srebro, kryształów i porcelany. Nie było nikogo, oprócz hrabinęj i ptaszków, które w brązowych klatkach świergotały, idąc w zapasy ze swemi braćmi na swobodzie.

— Tak późno!—szepnęła Moszyńska, którą Brühl w rękę całował.

— Prawda, późno—odparł minister, dobywając brylantami kameryzowany zegarek—ale mnie wstrzymano interesem niemilym a ważnym.

— Niemilym? cóż takiego?

— Dziś nie mówmy o tém, radbym zapomnieć...

— A ja chciałabym wiedzieć...

— Dowiecie się kochana hrabino; zawsze zawcześnie o rzeczy nieprzyjemnej—rzekł Brühl, siadając naprzeciw nięj i głowę opierając na dłoni. Cóż zresztą dziwnęgo, że człowiek, co jak ja, po stopniach isć musiał i doszedł trochę wyżej, ma nieprzyjaciół w tych, co za nim pozostali, i którzy się mszczą bezsilnemi szyderstwami.

Hrabina, która słuchała z uwagą natęzoną, poruszyła się żywo i z uśmiechem lekceważenia, piękną rączką uderzyła po stole.

— Szyderstwami! potwarzami! słowy!—zawołała—i wy jesteście tak słabi, że na to zważacie? że was to obchodzi? że boli?

Musiałabym zwątpić o was kochany Henryku, gdybyście być mieli tak słabi. Kto chce wielką w świecie odegrać rolę, ten na sykanie widzów wcale zważać nie powinien ani się powodować oklaskami. Jedno i drugie nie wiele warto. Jeżeli cię boli posłyszane słówko, żal mi cię: nigdy nie dojdiesz do niczego. Nadto trzeba umieć być wyższym...

— Nikczemne urąganie—wrzucił Brühl.

— Cóż cię to tak może obchodzić, że pies z za płotu szczeka?— spytała piękna hrabina.

— Drażni mnie.

— Nie spodziewałam się tego... wstydź się.

— Nie wiecie o co idzie.

To mówiąc Brühl, dobył z kamizelki medal, który wziął z sobą i posunął ku hrabinie. Ta obojętnie nań rzuciła zrazu okiem, przypatrzyła się rysunkowi jednej strony, powoli odwróciła go na drugą; przeczytała napis, uśmiechnęła się, ruszyła ramionami i chciała wyrzucić przez okno, gdy Brühl rękę jej wstrzymał.

— Potrzebny mi—rzekł.

— Na co?

— Nie puszczę tego płazem—odparł minister. Koncept wyszedł z Saxonii.

Jeśli dozwolimy nicować nasze czynności i nie ukarzymy zuchwalca...

— Znajdźcie go najprzód—szepnęła hrabina—a potem dobrze się zastanówcie, czy, mszcząc się, nie podniesiecie dzieciństwa do ważności, której ono nie ma.

— Zanadto sobie pozwalają!—zawołał Brühl. Niedawno Erella trzeba było na osłe wodzić po ulicach, a autora medalu wypadnie zaprosić do Koenigsteinu.

Moszyńska ruszyła ramionami pogardliwie.

— Zemstę, wierz mi, zostaw Sułkowskiemu—rzekła—a w ogóle dopóki musicie panowanie dzielić z nim, starajcie się, aby na jego ramiona spadało wszystko, co drugich boli, na siebie bierzcie, co miłe. Spodziewam się wszakże, iż długo téj spółki z nim nie będzie—dodała ciszej.

— Jak długo ona potrwa nie wiem—odezwał się Brühl. Mojem zdaniem należy mu dać czas, aby on sam zbytkiem ufności w sobie, i jaką omyłką się zgubił.

— Masz słuszość i to nieochybnie nastąpi. Sułkowski ma dumę i zarozumiałość ogromną, jest pewnym, że zrobi z królem, co zechce. Należy mu dać plac i pole, na którymby koziołka przewrócił. Tymczasem *il tirera les mazzons du feu*. Rozśmieła się hrabina, ale Brühla rozweselić nie mogła: siedział chmurny i zamyślony.

Wdzięcznie ubrana i figlarnie wyglądająca służąca, w trzewczkach na korkach, w czepeczku białym na kształt owój sławnej czekoladniczki wiedeńskiej Liotarda; z podpiętym fartuszkiem, z rączkami do łokcia obnażonemi i dowodzącemi, że się nie zapracowywała, bo były białe i delikatne; wniosła w téj chwili wazkę srebrną. Uśmieżkiem i wejrzeniem powitała nieznacznie Brühla, a wazkę postawiwszy na stole, wybiegła prędko z pokoju.

Obiad we dwoje począł się przy rozmowie ożywionój. Moszyńska dopytywała o wszystko: o pannę Kling, o jój poselstwo, nawet o projektowane małżeństwo Brühla, o którym mówiąc westchnęła i namarszczyła brwi.

— Nie spodziewam się, żeby mi ono odebrało serce wasze Henryku—odezwała się cicho—panna cię nie kocha, ona ci jest obojętną... żenisz się pono więcéj dla królewiczowój, dla starój Kolowratowój i dla stosunków, niż dla siebie; ja to wiem i dlatego jestem spokojną.

— Możecie nią być—rzekł minister—serca drugiego nie mam, a to jakiem miał oddałem dawno. Żenię się tak samo jak dziele władzę z Sułkowskim, bo to jest koniecznością położenia.

— Królowi, królowi nadskakuj; stań mu się potrzebnym: baw go, siedź, nie odchodź, poluj choć cię polowanie nudzi. Sułkowski, jeśli się nie mylę zechce odpoczywać, zapragnie grać rolę wielkiego pana, ty się stań nieodzownym. Król... nazywam go już tak, bom elekcyi pewna i korony, potrzebuje kogo i zawsze przy sobie, dlatego aby mu się choć uśmiechać, jest słaby, łatwo nabiera nałogu twarzy i ludzi. O tém wszystkim trzeba pamiętać.

— A! droga hrabino! chwytając ją za rękę—zawołał Brühl—bądźcie moją opiekunką, moją Egeryą, moją opatrnością, a o przyszłość moge być spokojny...

Rozmawiali tak, gdy głosy jakieś dały się słyszeć u furtki i wnijsia. Służąca wbiegła przestraszona. Hrabina porwała się od stołu z brwią namarszczoną, gniewna.

— Co to jest?—zawołała.

— Jakiś... ja nie wiem, ktoś ze dworu. Z listem czy zaproszeniem, domaga się gwałtem by był wpuszczonym.

— Tu? tu? ale któż mu mógł powiedzieć że ja tu jestem? Mnie tu dla nikogo niema.

Domawiała tych wyrazów, gdy pomiędzy drzwiami w ogródku, pokazał się mundur szambelański. Ogródnik zapierał mu drogę, szambelan niezważając nań szedł powoli. Brühl schylił się, spojrzął przez okno, poznał Watzdorfa i na znak hrabinéj, cofnął się do drugiego pokoju drzwi zamykając za sobą. Pozostał stół nakryty na dwie osoby. Hrabina rozkazała prędko sprzątnąć drugi talerz, a zręczna subretka uniosła nakrycie, zapomniawszy tylko o szklance i kieliszku. Nikt na to nie uważał. Hrabina po chwilce siadła do stolika, chociaż bardzo niespokojném okiem spoglądała ku ogródkowi; brew jéj marszczyła się i ręka drżała z gniewu.

Watzdorf tymczasem przebojem szedł aż do domku, zbliżył się do otwartych drzwi od ogródka, i stanąwszy w nich naprzeciw hrabinéj, zwrócił się do goniącego ogrodnika.

— A widzisz... Jéj ekscellencya jest, wiedziałem o tém dobrze.

To mówiąc z szyderskim skłonik się wyrazem, ciekawie i nieprzyzwoicie rozglądając dokoła, jakby jeszcze kogoś szukał oczyma.

Gdy stanął naprzeciw niéj, Moszyńska przybrała bardzo surową fizygnomię.

— Co pan tu robisz?—zawołała groźno.

— Po stokroć panią hrabinę przepraszam, jestem najnieszczęśliwszym z szambelanów i najniezręczniejszym z ludzi. Królewicz dał mi bilet, pojechałem do jéj pałacu, odprawiono mię z niczem. Bilet królewicza a pana to zawsze rzecz pilna. Puściłem się w pogoń za W. ekscelencyą, szedłem tropem i doszedłem aż tu.

— Że waćpan chcesz naśladować wyżły i gończe, to mnie nie dziwi panie szambelanie—syknęła wstając hrabina—ale ja

zwierzyną być nie lubię. Nigdzie więc ukryć się i odetchnąć spokojnie od szambelanów nie można...

Watzdorf zdawał się nasycać tym gniewem. Spoglądał na stół, stało przy nim jeszcze krzesło Brühla z zawieszoną na poręczy serwetą. Hrabina widziała jak się uśmiechał przypatrując się tym sprzętom zdradzieckim. Nie zmieszkała się wcale, ale gniew jój tylko wzrósł do najwyższego stopnia.

— Gdzież ten bilet?—zawołała.

— Ja poczekam, kiedym już raz miał szczęście znaleźć W. ekscelencyę, będę cierpliwym.

— Ale mnie waćpan do niecierpliwości przyprowadzisz, bo ja patrząc nań nic do ust wziąć nie będę mogła—odezwała się Moszyńska.

— Pani mi przebaczy, ale ta cudna woń wiosny, radbym nią tu odetchnąć.

— Wiosna w polu jest jeszcze daleko wspanialszą i piękniejszą; oddaj mi pan bilet i zostaw mnie w mojej samotności.

Watzdorf się uśmiechał szydersko i powoli po wszystkich kieszeniach szukał biletu.

— W istocie samotność w tym kątku, we dwoje... a! jakby była rozkoszną—mrucał inpertynencko.

— Ja i moja *suivanta*, tak jesteśmy we dwie, a ogrodnik który tak nieroztropnie waćpana wpuścił, za co dostanie odprawę... trzeci...

— Gdzież ten bilet królewicza?

Watzdorf szukał go powoli i dobywał różnych rzeczy z kieszeni, między innymi, jakby przypadkiem natrafił na medal i odezwał się:

— Proszę hrabinę, co to za zuchwali i nikczemni są paszkwilanci. Ktoby się to co podobnego spodziewał?

Położył medal na stole, a sam dalej kieszenie przebieirał. Hrabina spojrzęła, poznała medal, udała że go wcale nie zna, zaczęła rozpatrywać i z najzimniejszą krwią odrzuciwszy go rzekła:

— Wcale lichy koncept! Ale cóż on komu szkodzi?

Szambelan popatrzył na nią.

— Może królewiczowi poddać myśli niepotrzebne?

— Jakie?—spytała hrabina.

— Dobrania sobie innych podpór do tronu?—rzekł Watzdorf.

— Kogóż? waćpana, panie szambelanie, Froscha i Storcha? Watzdorf zakąsił wargi.

— Pani hrabina jesteś złośliwą...

— Pan mnie nie tylko do niecierpliwości, ale do złości istotnie doprowadzić możesz. Gdzież ten bilet?

— Właśnie jestem w rozpaczy, zdaje mi się że go straciłem.

— Biegnąc za mną, aby mi przykrość wyrządzić—mruknęła hrabina—aby mnie tu ścigać, gdy pragnę być samą.

— Samą!!—powtórzył Watzdorf z szyderskim śmieszkiem, i popatrzał na zdradzieckie krzesło.

— Rozumiem — wybuchnęła Moszyńska — wejrzenie waćpana zwraca się ku temu krzesłu i więc jeszcze posądzasz mnie? Czy hrabia Moszyński polecił mu straż nademną?

Mówiła jeszcze z gniewem największym i lice jęj zapalało się, co ją piękniejszą jeszcze czyniło, gdy zaszeleściła suknią kobieca, i osoba, która już przez kilka chwil wprzód, wszedłszy po cichu, stała ukryta za chińskim parawanem z laki, który w nięj nie jedno osłaniał, wyszła powolnym krokiem, poważnie na środek pokoju.

Watzdorf osłupiał.

Było coś tak dziwnego w tém zjawisku, że nawet hrabina zadrżała ujrawszy je.

Wchodząca powoli kobieta, słusznego dosyć wzrostu, niemłoda, z dziwnie przejmującym wejrzeniem i królewską postawą, z twarzą, na której wiek nieśmiały zniszczył nadzwyczajnej piękności śladów, była ubraną tak dziwacznie, iż ją prędzej za obłąkaną niż za zdrową na umyśle wziąć było można. Miała na sobie rodzaj szerokiej togi czarnej, obszywanę galonami, ze skaplerzem dziwacznie w litery jakieś szytym na piersiach. Pas, którym druga suknia spodnia była przepasana, miał na sobie czarno na złocie malowane znaki kabalistyczne i zodyakalne. Na głowie, na czarnych, bujnych włosach rodzaj zawoju, przepleciony pargaminowym szlakiem w hebrajskie zgłoski, z dwoma długimi końcami spadającymi na ramiona, mało co, białe i piękne okrywał czoło. Piękne swe wyraziste oczy

zwróciła na natręta, brwi ściągnęła, wzgardliwie popatrzała nań i odezwała się głosem surowym:

— Czego tu waćpan chcesz? pociós tu przyszedł? abyś córkę i mnie szpiegował, a potóm zabawiał królewicza opowiadaniem, jak wygląda stara Cosel? Nieodrodny synu „chłopa z Mansfeldu“ i bufona, czy i ty mnie przesiadować będziesz... Idź precz! idź mi zaraz precz... precz ztąd! Ani mi się waż. Daj mi być z córką samą...

Ręką wyprężoną wskazała drzwi, Watzdorf pomieszany cofnął się. Błysnęły mu oczy, nie rzekł słowa... wyszedł.

Cosel przeprowadziła go oczyma aż na ścieżkę i zwróciła się do córki.

Nie były to pierwsze jój odwiedziny ze Stolpen w Dreźnie, ale tym razem Moszyńska się jój nie spodziewała nawet, weszła aby ją uratować od posądzenia. Hrabina wstała na matki przyjęcie... przyszło jój na myśl, że Brühl który się był cofnął do gabinetu, zobaczywszy odchodzącego Watzdorfa wnijść może i niepotrzebnie ją zdradzić przed matką.

Zmieszała się. Tymczasem Cosel zasiadła spokojnie miejsce Brühla.

Wypędziwszy natręta, zamyślona zdawała się już prawie nieprzytomną. Ręką wychudłą ale białą i piękną jeszcze, uderzała po stole machinalnie, oczy jój biegały po pokoju.

— Weszłam tu niespodzianie—szepnęła wkrótce, nie patrząc na córkę—ale pozwoliłaś mi w tym domku przyjmować tych, z któremi ja się widzieć potrzebuję: dałam wiedzieć pastorowi, aby tu przyszedł.

Moszyńska okazała zdziwienie.

— Nie lękaj się, on dopiero nadejdzie wieczorem—dodała Cosel.—Ale któż tu był z tobą? dlaczego się skrył??

Moszyńska milczała chwilę, namyślała się, matka patrzyła na nią jak w tęczę, z pewnym politowaniem.

— Rozumiem—rzekła z pogardliwym śmiechem—dworskie intrygi. Nowy pan, nowi ludzie, musicie się na tym ślizkim lodzie trzymać jak można, by nie upaść.

To czego się obawiała Moszyńska, stało się w téj chwili: Brühl zjawił się w otwartych drzwiach drugiego pokoju, i ujrzawszy tę postać, której nigdy jeszcze nie widział, ale się jój

znaczenia domyślał łatwo, osłupiał nie wiedząc co począć ze sobą.

Moszyńska zwrócona plecami nie widziała go, ale po oczach matki domyśliła się; rumieniec okrył jęj twarz na krótko, zbladła i ośmieliła się wprędce.

Cosel oczy miała wlepione w pięknego mężczyznę i z chłodną krwią tak mu się przyglądała, jakby ciekawemu jakiemuś stworzeniu, którego charakter odgadnąć pragnęła.

— A więc to on jest?—rzekła uśmiechając się.

Moszyńska zwróciła się nagle.

Brühl stał w progu.

— Kto on?—zapytała Cosel.

— Minister Brühl—cicho odpowiedziała Moszyńska.

— Wszystko nowe u was! oprócz potomstwa chłopca... Brühl! o nikim podobnym nie przypominam sobie. Postęp waćpan—rzekła po królewsku dając mu znak ręką—nie lękaj się. Widzisz przed sobą kapłana wiary nowęj... arcykapłana... arcykapłankę... Słyszałeś o mnie? Jestem wdową po królu Augustie Mocnym... bylam jego żoną... hrabinę Cosel widzisz przed sobą, słynną na cały świat ze szczęścia i nieszczęść swoich. U moich nóg leżeli mocarze świata, rozkazywałam milionom. August mnie kochał jedną...

Mówiła powoli, na twarzy córki znać było przykre wrażenie, jakie na nięj ta mowa czyniła, ale jęj przerwać nie mogła. Brühl stał zdziwiony i niemy, lecz przybrał tę swą słodką i ujmującą, grzeczną i uprzedzającą postać, z którą się zawsze obcym przedstawiał. Pochylny nieco, zdawał się słuhać z nadzwyczajnym zajęciem.

— Masz waćpan szczęście widzieć królowę przybyłą z tamtego świata... umarłą, pogrzebioną a żyjącą tylko aby niewiernych nawracać na wiarę prawdziwą w jedyneho Boga, który się Mojżeszowi objawił w krzaku ognistym.

Moszyńska oczy spuściwszy, poruszona to drżała, to ukradkowym wejrzeniem matkę błagać się zdawała, aby zamilkła...

Czy Cosel to zrozumiała, czy milczenie Brühla widocznie zmieszanego, wstała z krzesła...

— Pójdę spocząć—rzekła—nie będę przerywała wam konferencyi. Córka Coseli powinna Saxonią rządzić. Rozumiem...

To mówiąc tym samym krokiem majestatycznym, patrząc w górę, powoli przeszła poza stołem i doszedłszy drzwi któremi Brühl przed chwilą do pokoju wszedł, znikła im z oczów.

W progu drugich już po kilkakroć napróżno ukazywało się dziewczę z półmiskiem srebrnym w ręku.

— Ja idę—szepnął cicho Brühl, porywając za kapelusz—nie chcę wam być zawadą. Dzień to nieszczęśliwy, lecz nie-pocziwy Watzdorf, który chciał mnie tu niewątpliwie pochwy-
cić, odszedł z niczém: to mnie cieszy.

— Watzdorf miał medal—szepnęła Moszyńska—cieszył się nim; widzę w nim zajadłego nieprzyjaciela. Coś mu przewinił?

— Ja? nic! chyba żem nadto był dla niego grzeczny.

— To zjadliwa żmija, ja go znam—szepnęła Moszyńska.

— To bufon tylko jak ojciec—rzekł pogardliwie Brühl, ruszając ramionami—ale jeśli mi wejdzie w drogę...

— Ten wiersz na medalu, nie jestże podobnym do jego niesmacznych ucinków??

Brühl tylko spojrział na hrabinę, myśl ta zdawała się go uderzać.

— Każę go szpiegować—rzekł krótko—w takim razie nie długo swobodnie chodzić będzie po świecie.

To mówiąc przycisnął rękę hrabiny do ust, chwycił swój płaszczyk rzucony u drzwi, który w cieniu leżąc mógł ujść oczów Watzdorfa i wybiegł do ogrodu.

Tąż samą ścieżką, którą szedł w nadziei długiej swobodnej rozmowy, wracał nazad myśląc już tylko jak się ztąd dostanie do domu, nie będąc postrzeżonym.

Furtka od której miał klucz, zatrzaszkiwała się wewnątrz; nie potrzebował jęj otwierać, wyszedł zaniebawszy wyjrzyć wprzódy i całej swęj przytomności umysłu potrzebował, ażeby nie dać poznać po sobie jak go obeszło, gdy stojący na straży Watzdorf, przywitał go nadzwyczaj grzecznym, szyderskim pokłonem.

Brühl oddał mu go, z taką uprzejmością i wesołością swobodną, jak gdyby nie został pochwyconym na uczynku...

— A! to wy, panie szambelanie! — zawołał — jakżem szczęśliwy!

— Ja to się nazwać mogę tym szczęśliwym — począł Watzdorf — bo nigdy się nie spodziewał przyszedłszy tu napaść się wonią rozkwitłych jabłoni, iż mi los pomyślny zdarzy spotkać pod jabłoniami Waszą Ekscelencyę. Jeśli się nie mylę — dodał — to owoc jabłoni zwie się podobno zakazanym owocem?

— Tak jest — zawołał Brühl śmiejąc się — cha! cha! Ale ja tu nie po owoc, a tém mniej po zakazany przyszedłem. Hrabina Cosel miała prośbę do królewicza pana naszego i kazała mi się stawić.

W nadanym zwrocie rozmowie, tyle było prawdopodobieństwa, iż Watzdorf trochę się zmieształ.

— A pan, panie szambelanie, co tu robisz w tém sielskiem zaciszu? — zapytał minister.

— Szukam szczęścia, którego nigdzie znaleźć nie mogę — mruknął szambelan.

— Pod jabłoniami?

— Trafia się ono i tam — mówił Watzdorf — i chyba prędzej jak na dworze...

— Widzę że panu nie smakuje to życie?

— Nie mam talentu do niego — odparł Watzdorf idąc powoli z Brühlem.

— Ale masz pan dowcip, ostre narzędzie, kterém obronny niczego się możesz nie lękać...

— Tak, doskonałe narzędzie do robienia sobie nieprzyjaciół — dodał Watzdorf.

Chwilkę szli milczący, szambelan zdawał się namyślać.

— Nie miałem jeszcze zřęczności powinszować Waszej Ekscelencyi — odezwał się nagle.

— Czego? — odparł Brühl.

— Powszechnie mówią, że najgenialniejszemu z ministrów, przeznaczono najpiękniejszą pannę z naszego dworu?

Głos którym to mówił zdradzał takie uczucie, iż Brühl spojrział nagle wpadając na myśl, że Watzdorf mógłby być tym, któremu piękna Frania serce oddała. Był to domysł a raczej przecucie: drgnął. Jeśli tak, rzekł w duchu, twórca medalu

i kochanek przyszłej mojej żony, powinien się dostać w miejsce bezpieczne.

Lecz ani medal, ani pochwycone serce dowiedzionemi jeszcze nie były. Patrzeli na siebie uśmiechając się, ale z nawiścią w oczach. Brühl im więcej wstrętu miał do kogo, tém dłań czuł się w obowiązku być grzeczniejszym: nie darmo był ze szkoły Augusta Mocnego.

— W. Ekscelencya zbyt królewicza samym zostawiasz — odezwał się Watzdorf — hrabia Sułkowski ma wiele zajęcia, a Frosch, Storh i O. Guarini nie starczą...

Brühl przybrał jak najwdzięczniejszy uśmiech znowu.

— Pan szambelan masz może słusność, człowiekby chciał dla zasłużenia się tak dobremu panu, iść na wyprzodki choćby z Froschem i Storchem, ale trzeba téż starać się i o pozyskanie serca swęj narzeczonej, o której pan wspomniałeś.

— Zdaję mi się że to zbytuczna troska — rzekł Watzdorf — po co temu serce, kto będzie miał rękę i resztę... to jest całą panią. Serce może zostawić komu innemu. Masz W. Ekscelencya doskonały przykład na hr. Moszyńskim, który się o serce hrabiny nie troszczy wcale.

Brühlowi rumieniec wytrysnął na twarz, stanął, uśmiechał się jeszcze, ale cierpliwości mu brakło z tą szczypawką, która go kąsała.

— Panie szambelanie — odezwał się — mówmy seryo: czy zgrzeszyłem czém przeciw wam, że mnie pragniecie żarcikami swemi dojmować; czy to tylko przywyknienie do kąsania, którego nie chcesz się pozbyć?

— I jedno i drugie może — odparł Watzdorf — ale nie spodziewałem się ażeby takiego olbrzyma jak W. Ekscelencya, taka pchła jak ja zaboląć mogła.

— Nie boli mnie też to — przerwał Brühl — ale nieprzyjemnie swędzi. Czy nie bezpieczniejby było mieć we mnie przyjaciela?

Watzdorf wybuchnął śmiechem.

— Ministrowie nie mają przyjaciół — zawołał — to stoi przecie w elementarnym katechizmie polityków.

— Zato na nieprzyjaciółach nigdy im nie zbywa.

Watzdorf uklonił się jakby do niego pito, zdjął kapelusz i poszedł nie oglądając się w boczną ulicę.

Było to jakby wypowiedzeniem wojny. Brühl osłupiał prawie.

— On? mnie? wojnę i przyjaźń wypowiadać? Cóż? oszalała chyba? Co to jest? Zawsze mi był nieznośnym, z kąd nagle taka złość do mnie? To potrzebuje wyjaśnienia.

Szybszym krokiem, zaslouiwszy się płaszczykiem, poszedł wprost ku domowi. Po drodze miał właśnie dom w którym pracował Hennicke i wsunął się doń. Przy kancelaryi, osobny pokój przeznaczony dla ministra, stykający się z tym, w którym radzca zasiadał, był pod kluczem jego. Wszedł więc niepostrzeżony i zastukał do kancelaryi, w której żywe głosy słychać było. Stuknięcie to uciszyło je natychmiast, Hennicke wszedł z piórem za uchem, zdziwiony nieco. Brühl siedział w krześle.

— Każ mi pilnować szambelana Watzdorfa — rzekł — daj mu anioła stróża, niech krok w krok chodzi za nim. Lecz że Watzdorf ma przebiegłości wiele, musisz dobrać człowieka, któryby potrafił uczynić się niewidzialnym, a umiał wcisnąć się wszędzie. Trzeba przekupić sługę i przetrząsnąć jego papiery.

— Watzdorfa? — powtórzył zausznik w zadumaniu — Watzdorfa?? Czy jest nań jakie podejrzenie?

— Wszystkie jakie tylko najgorsze być mogą.

— Czy musi paść? — spytał Hennicke: Brühl zamyślony nie odpowiedział zrazu.

— Zobaczymy — rzekł — nie chcę sobie robić nieprzyjaciół, rosna oni sami; lecz jeśli rzecz się okaże potrzebną...

— Czy zawadza? — pytał znowu pomocnik.

— Nie lubię go.

— Wina gdy będzie potrzebną, znajdzie się zawsze.

— Miejcie ją w zapasie — mruknał posępnie Brühl — starałem się i staram być miłym dla wszystkich, dobrym, uprzejmym; potrzeba się pokazać że strasznym być mogę.

I wstał z krzesła.

Sługa wiódł za nim wzrokiem z wyrazem ironicznym. Brühl nie oglądając się nań, wyszedł z pokoju.

Watzdorf, który na zakręcie ulicy rozstał się z Brühlem, spiesznie z początku uszedłszy kilkanaście kroków, zwolnił

chodu i włókł się jakby bez myśli i celu. Twarz jego okryła się chmurą: czuł pono wewnątrz, iż dogadzając rozdrażnieniu jakiemuś, popełnił kilka niedorzeczności, które mógł opłacić drogo. Gniw przeciw Brühlowi zbyt go palił, aby się mógł powstrzymać. Watzdorf wychowany przy dworze, nawykły od dzieciństwa do tego wszystkiego co się na nim widzi i spotyka, syn tego, którego przezwano „trefnisiem“ wyrósł wśród tych wpływów co go popsuć mogły jak innych, na człowieka rażącego swą nieubłaganą prawdomównością i szyderstwem. Wszystko co go otaczało działało nań, jak często na pewne wybrane organizacje działa zło, odrażając od siebie. Atmosfera wśród której żył. napełniała go oburzeniem i wstrętem.

Miłość dla Frani Kolowarth, której piękność zawróciła mu głowę, przyczyniała się także do obudzenia w nim ohydy dla świata, co ten śliczny kwiat wychował na tak zepsutą wczesnie istotę. Widział on w niej wszystkie jęj wady, zalotność, płochość, dumę i egoizm, chłód serca; a pomimo to, od szalu dla niej powstrzymać się nie mógł i płakał nad nią i nad sobą. Nie przypisywał jęj przywar naturze, ale wychowaniu, dworowi, jęgo obyczajom, powietrzu, któręm oddychała.

Rodzaj rozpaczy go ogarniał... Uważali wszyscy w ostatnich czasach, to usposobienie Watzdorfa do najwyższego stopnia wzmożone i spotęgowane. Czuć w nim było tę złość, jaka w nim wrzała. Gdyby był mógł pomścićby się był na kimkolwiek bądź; a że Brühl był narzeczonym Frani, na niego zléwał całą zólc jaką serce miał przejęte.

Dworacy i dawni przyjaciele, stronili teraz od Watzdorfa, niektórzy z nich mówili otwarcie, że czuć go było trupem.

Nie mając co zrobić z sobą, prawie machinalnie, nieszczęśliwy szambelan posunął się do przyjacielskiego dotąd domu Faustyny. Pięrsza część żałoby już była upłynęła, mówiono o rozpoczęciu opery. Sułkowski zarówno i Brühl skłonni byli namówić króla do tego, znając jak namiętnie lubił muzykę i Faustynę.

Chociaż Hasse liczył się jako mąż divy, nie mieszkali jednak razem: *il divino Sassone*, jak go przezwali Włosi, zapamiętały muzyk zajmował osobną kamieniczkę, w któręj była na dole sala do prób dla muzyki. Faustyna po pańsku miała

urządzone apartamenta. Od niej płynęły rozkazy, do niej teatralni szli z prośbami klienci.

Watzdorf w przedpokoju spytał lokaja o panią i otrzymał odpowiedź, że jest w domu. Mógł się tego domyślić po głośnej rozmowie na sposób włoski i w języku włoskim prowadzonej, która aż do przedpokoju dochodziła. Gdy oznajmiony wszedł, zastał piękną włoszkę w ubiorze dosyć zaniedbanym, z twarzą gniewną i zapérzoną, co jej nie dodawało wdzięku, stojącą naprzeciw O. Guariniego, który spokojniuteńko wśród salki po cywilnemu ubrany się przechadzał.

Twarz jego śmiała się z politowaniem: Faustyna ściagała go z pięściami zaciśnionemi.

Guarini zobaczywszy szambelana, wskazał mu włoszkę obu rękami.

— Patrz, patrz! co ta kobiéta ze mną wyrabia—śmiał się —z najspokojniejszym człowiekiem w świecie, który w imię spokoju i zgody do niej przychodzi. *Furioso! diavolo! furioso!* Żebyż zamiast krzyzcć śpiewała...

Faustyna odwróciła się do Watzdorfa:—Biorę was za sędziego—zakrzyczała— chce mnie uczynić malowaną lalką, chce abym się kłaniała wszystkim, abym nie miała woli. Jutro mi jego protegowani teatr do góry nogami obrócą. Nie! musi iść precz, pójdzie precz!

— Za co? za co?—cicho i wysuwając z kołnierza głowę jak żółw ze skorupy, szepnął Guarini—dlatego że piękny młodzian nie pali ofiar przed tobą? że mu niebieskie oczy francuzki wdzięczniej świecą niż twoje?

Faustyna plasnęła w dłonie.

— Słyszysz go, tego *prete* obrzydłego!—krzyknęła, rękami poczynając mu wywijać przed samą twarzą—alboż to ja potrzebuję hołdów? albo mi ich mało? albo mi nie miały czasu obrzydnać?

— O! kobiecie kadzidło!—zaśmiał się Guarini.

— Ale o kogoż idzie?—spytał Watzdorf.

— *Un poverino*—odezwał się Jezuita—którego ta nielitościwa chce wypędzić z teatru.

— *Un assassino! un traditore! una spia!* — wołała Faustyna.

Watzdorf jakkolwiek smutny tą pocieszoną kłótnią, codziennie się odnawiającą pomiędzy aktorką a księdzem, pobudzony był do śmiechu.

— Ja państwa pogodzę! — zawołał — czekajcie!

Zwrócono nań oczy, gdyż zgoda była bardzo pożądaną.

— Niech winowajca idzie precz — rzekł Watzdorf — a na jego miejsce jak skoro aktora dobrego potrzeba, weźcie jednego z ministrów. Niema lepszych nad nich! a że Faustynie z ministrem się nie zechce kłócić, będzie zgoda.

Guarini pokiwał głową: Faustyna umilkła jakby zrozpaczona i poszła się rzucić na sofę. Jezuita wziął pod rękę szambelana i odprowadził go do okna.

— *Carissimo* — rzekł łagodnie — jeszcze do kanikuły daleko, a wy coś zdajecie się jakby rażeni od upału.

— Nie, jeszcze się nie wściekł — rzekł Watzdorf — nie zaręczam jednak żeby do tego nie przyszło.

— E! cóż ci jest? spowiadaj się.

— Chyba kolana Faustyny za konfesyoną będą służyły...

— Poganin jakiś! — zaśmiał się Jezuita — co ci jest? pytam.

— Ale nic mi, mój ojcze, świat mi się wydaje głupim i po wszystkim.

— *Carissimo perdonna* — rzekł Jezuita — głupim, to ty mi się wydajesz plotąc rzeczy niezdrowe. Wiiesz, ja ci dam jedną radę. Gdy cię taki humor napadnie, idź w pole, gdzie nikogo niema, w las, gdzie tylko sarny możesz popłoszyć; wyklinij się, wyłaj, wykrzycz i powracaj do miasta uspokojony. Wiiesz, że tego środka już w starożytności używali ci, co języka wstrzymać nie umieli.

Słuchał Watzdorf obojętnie.

— Żal mi waćpana — dodał O. Guarini.

— Żebyś ojcze wiedział, jak mnie żal wszystkich was — westchnął Watzdorf — ale któż tu nas rozsądzi przy kim prawda i czyj żal lepszy?

— Dajmyż sobie pokój — odezwał się Jezuita i pochwycił za kapelusz.

Faustyna jeszcze swą włoską furę wydychiwała na sofie, Guarini podszedł do niéj i skłonił się pokornie:

— Raz jeszcze ośmielam się prosić Waszój Ekscellencyi za tym *poverinem*: uczynicie to dla mnie.

— Wy uczynicie bezemnie co się wam podoba—odparła Faustyna—ale jeśli mnie zmusicie do znajdowania się z nim na scenie, daję słowo, że mu publicznie dam policzek.

Guarini na obie strony pokiwał głową, ukłonił się i poszedł z raportem do królewicza.

Była to ta godzina miłego spoczynku, który Fryderyk używał z rozkoszą po całodzienném próżnowaniu: godzina jego fajki, szlafroka, Froscha i Storcha, Sułkowskiego, Brühla i O. Guariniego, gdyż oprócz nich, nikt do niego wówczas przystępu nie miał.

Guarini wchodził, gdy mu się podobało. Nie było téż mniej zawadnego, a miłszego towarzysza. Król lubił się śmiać, śmieszył go; chciał milczyć, pomagał do zachowania milczenia: zapytywany odpowiadał wesoło, a nigdy w niczém się nie sprzeciwiał.

W pokoju kurfirsta nie było nikogo, oprócz Brühla.

Stał naprzeciw krzesła pańskiego w postawie przymilenia pełnej i coś szeptał. Królewicz słuchał pilnie i głowę znacząco potrząsał.

— Słyszycie, mój ojcze, co mówi?—rzekł do wchodzącego Jezuity.

Ten zbliżył się.

— Mów dalej—odezwał się Fryderyk.

Brühl posłuszny począł, mierząc znaczącym wzrokiem O. Guarini.

— Umysł niespokojny, szyderski i od niejakiego czasu z niewiadomych powodów, stał się tak ostrym i nieznośnym...

— O! o!—szepnęła królewicz—to źle...

— O kim mowa?—cicho spytał Jezuita.

— Ośmieliłem się zwrócić uwagę Najjaśniejszego pana, na szambelana Watzdorfa.

Guariniemu na myśl przyszło spotkanie z nim przed chwilą.

— W istocie—rzekł—i ja go znajduję w usposobieniu szczególném.

— Tém gorszém—dodał Brühl—że to jest na dworze choroba zaraźliwa i czepiająca się drugich...

Królewicz westchnął, widocznie już go to nudziło, nie odpowiedział nic.

— Gdzie ten błazen Frosch?—zawołał nagle— pewnie już śpi gdzie w kącie.

Jezuita pośpieszył do drzwi i skinął. Frosch i Storch poczęli wyprzedzając się biedz do królewskiego pokoju i wpadli tak, że Storch się wywrócił, a Frosch siadł mu zaraz na grzbiecie. Królewicz począł się śmiać serdecznie, biorąc za boki.

Rozstąpili się widzowie.

Storch upokorzony natychmiast szukał pomsty nad nieprzyjacielem, podniósł się sądząc że nagłym poruszeniem wywróci go, ale ostrożny malec zsunął się po nim i drapnął do kąta, chowając za krzesła.

Trzeba było widzieć z jaką pocięką oczy Fryderyka poszły za zapaśnikami, ciekawe końca téj walki. Za krzesłami oba trefnisie kwicząc i piszcząc poczęli zwykłą, rozweselającą królewicza, w najsmutniejszych życia godzinach, bitwę na słowa i pięście. Oboje sypało się gradem... Fryderyk śmiał się, zapomniawszy już o wszystkiém co dnia tego słyszał... Nie wiem jakby to długo było trwało, gdyby O. Guarini nie szepnął na ucho N. panu, że godziua wieczornego nabożeństwa w kaplicy nadeszła i wprost od pajaców swych, nagle spoważniały wielce królewicz, udał się wraz z Jezuitą do zamkowej kaplicy, gdzie nań już żona czekała.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

PIÉRWSZY ROK
POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

Juliana Horaina.

II.

Nazajutrz wypadło już na seryo pomyśleć o przeniesieniu się do miasta, gdyż nie chcieliśmy dłużej nadużywać gościnności okrętowej. Kiedyśmy się biedzili zkąd dostać parę furmanek dla przewiezienia naszych rzeczy, weszło do sali kajutowej dwóch obdartusów Murzynów, oświadczając że oni gotowi tego się podjąć. Moja żona z córką siedziały na pysznej aksamitnej kanapie: wyobraźcie sobie zdziwienie, a nawet przerażenie obu tych pań (?), kiedy obadwa brudne Negry najpoufałej usiedli obok, a jeden z nich wziął mi z ust cygaro nie powiedziawszy nawet „za pozwoleniem pańskim“ i zapalił swoje. Trzeba było znieść spokojnie tę *demokratyczną* poufałość, która się nawet mnie nie podobała. Zaczął się targ: zażądali z razu 10 dolarów za dwie furmanki, ale zgodzili się wreszcie za 8: wówczas dopiero zapytali, dokąd mają przewieźć? i czy rzeczy pomieszczą się na dwóch furmankach? Na pierwsze oświadczyłem, żeśmy najeli mieszkanie naprzeciw katolickiego kościoła, i że *ja sam wskażę drogę idąc przed wozami.*

— *Katolik czocz, katolik czocz* (pisze się *church*); my wiemy gdzie to jest i zaraz was zawieziemy—odpowiedzieli Negry.

Naładowali wozy naszymi tłómkami: dla bezpieczeństwa posadziłem na każdym wozie po jednym synie i ruszyliśmy w podróż. Po damy moje i młodsze dzieci miałem przyjechać później. Ja szedłem na czele, ale skorośmy przebyli ów *gmach przewozowy*, Murzyni ruszyli naprzód tak prędko, że nie mogłem ani ich wyprzedzić, ani za nimi zdążyć. Naprózno protestuję, wstrzymuję, krzyczę, łaję; używam najenergiczniejszych wyrazów poczerpniętych z pobratymczego narze-

cza; napróżno mi w tém dopomagają malcy siedzący na wozach... Nic nie pomaga! jak groch na ścianę. Murzyni skręcili w inną ulicę prowadzącą w przeciwną stronę: podwajam krzyki i przekleństwa; wszystko napróżno; oni niczem nie wstrzymani jadą naprzód i naprzód, tak że częstokroć przy zawrotach w ulice, traciłem z oczu wozy, rzeczy i malców.

Na moje szczęście na którymś wozie coś się zepsuło, musieli się zatrzymać. Dopędzam zziajany, przekładam z pomocą Tadzia, żeśmy zbłądzili, że nie tam jedziem gdzie potrzeba, że już dawno bylibyśmy na miejscu, gdyby mi jak była umowa, pozwolili iść naprzód. Murzyni się śmieją, doprawdy „śmiechem śpiących zbrodniarzy, gdy im się śni o piekle,“ i na moje argumenta odpowiadają, że wiedzą lepiej gdzie *katolik czocz* i niebawem tam nas zawiozą. Widząc jednak moje zmęczenie, zaproponowali abym siadł na który wóz. Pomogli wdrapać się i usadowiłem się na tłómkach na wysokości najmniej sześć łokci nad powierzchnią... bruku. Musiałem trzymać się oburącz; i doprawdy siedzenie moje było mniej wygodne i bezpieczne, niż tron hiszpański Amadeusza I.

Po kilkunastu minutach wozy zatrzymały się przed kolumnadą świątyni przypominającej trochę strukturą naszą katedrę wileńską. Była to katedra katolicka w Baltimore, uważana za najwspanialszą świątynię w Stanach Zjednoczonych.

Mówię przeklętym potomkom Chama że to nie ten kościół, nie ta strona miasta; a oni już się zabierają składać moje tłómki na chodniku. Szczęściem postrzegłem dwóch księży używających czasu przed kościołem: zapytałem czy nie mówią po francuzku? Na ich potwierdzającą odpowiedź, przełożyłem pokrótce rzecz całą. Zapytali mnie wówczas przed jakim katolickim kościołem nająłem mieszkanie? jest ich bowiem ze trzydzieści. Nie umiałem odpowiedzieć. Pytają przy której ulicy? Również niewiadomość. Pytają o adres domu? nic nie wiem! Zaufany w moje topograficzne zdolności i w klucz najętego mieszkania który miałem w kieszeni, a przytém roztrzępany niby łobuz warszawski, zapomniałem był wczoraj o tém wszystkiem się rozpytać i zanotować. Zapytano mnie nareszcie czém się ten kościół odznacza? Odpowiedziałem naiwnie, że w tym kościele ambona jeździ po kolei żelaznej. Zaczęli się śmiać i odpowiedzieli że tak się dzieje we wszystkich kościołach wszelkich wyznań. Na chybił trafił wskazali jednak Murzynom inny kościół, przy którym prawdopodobnie mogłem nająć mieszkanie. Pojechalіśmy tam, ale to również nie był ów pożądaný. Tak w ciągu kilku godzin stawaliśmy z wozami przed *pięciu* kościołami, ale żaden z nich nie był nam potrzebny, a słońce pochyliło się już z południa. Co mię jednak bardziej jeszcze niecierpliwilo i gniewało, to to że Murzyni po każdym takiem niepowodzeniu śmieli się najserdeczniej trzymając się za boki. Wolałbym aby wyrzekali, kleli, złorzeczyli; ale nie! śmieją się tylko i to śmiechem jakimś suchym, urywanym jak powinien się śmiać grzechotnik amerykański!

Potrzeba jest matką wynalazków, powiada nasze przysłowie; synom więc moim Opatrzność natchnęła szczęśliwą myśl zaproponować powrócenie do okrętu, a ztamtąd Tadzio podjął się zaprowadzić nas prosto do najętego mieszkania. Genjalny ten pomysł, ja i Murzyni przyjęliśmy z uniesieniem; dziwiliśmy się tylko, że nam samym wprzód tak prosta myśl nie przyszła do głowy. Pojechalśmy napowrót do okrętu. Ale ledwośmy się zbliżyli do domu przewozowego, Tadzio krzyknął: *haldon!* a Ludwik *stop!* co razem znaczy: zatrzymaj się, stój! Starszy zeskoczył z wozu, i niby jak pilot, objął komendę karawany; kazał zawrócić i w niespełna pół godziny wprowadził nas do przystani, ... to jest przed dom w którym mieliśmy zamieszkać. Rzeczy nasze, z pomocą gospodarza domu zostały wniesione do trzech naszych pokoików, według mojego wskazania.

Trzeba było rozplącić się z Murzynami: ze drzeniem zapytałem wiele im należy? przekonany będąc, że hojnie mi policzą kilkogodzinną, daremną wędrowkę. Nie pomału więc byłem zdziwiony, kiedy mi oświadczyli, że należy im się 8 dolarów, to jest tylko tyle ileśmy się umówili. Jak sądziecie czytelnicy: ileby to na ich miejscu policzyli nasi *poczciwi* warszawscy doróżkarze, tragarze i t. p. przemysłowcy?

Dostałem z pośpiechem dwie dwudziesto-frankówki i podałem czarnym obywatelom. Popatrzyli na złoto i oddali mi nazad oświadczać, że tych pieniędzy nie znają i nie wezmą. Nowy ambaras: według wskazania gospodyni domu udałem się do wekslarni i tam za dwa napoleondory wyplacono mi papierami 8 dol. i 95 centów. Oddałem to wszystko Murzynom; ale nowe zdziwienie, kiedy mi centy zwrócili napowrót.

— Weźcie to sobie *na pivo*—mówilem.

— Dobrze, ale chodźcie z nami wypić—odpowiedzieli.

Poszliśmy więc wszyscy do szynku, przepiliśmy i przejedliśmy owe 95 centów.

Wypadało teraz pojechać po moje damy. Wielką miałem ochotę nająć tychże samych Murzynów z wozami dla przewiezienia moich pań; ale wiedziałem dobrze, że jedna z nich szczęściem nie zona i nie córka, za nic w świecie nie zgodzi się jechać na *prostym* wozie. Więc znowu za poradą gospodyni udałem się do karetnika, który za 5 dol. podjął się przewieźć z okrętu resztę mojej rodziny.

W godzinę byliśmy z powrotem i przyjemnie zostaliśmy zdziwieni znalazzszy samowar buchający parą, przyrządy do herbaty i krobę z resztkami wiktuałów rozpakowaną. Poczciwie chłopcy za własne pieniądze kupili u piekarza węgli drzewnych, chleba, niestety pszennego, ćwierć funta masła. Tak więc piérwszy chleb na amerykańskim lądzie był nam ofiarowany przez synów.

Wypadało przygotować się do noclegu: ale na czém spać, kiedy nie ma łóżek? Poszedłem po rozum do głowy: niewiele go tam wprawdzie znalazłem, ale zawsze tyle, że mógł mi doradzić kupienie materyałów do tymczasowego użycia. Za 9 dol. dostarczono nam

natychmiast trzy materace, z których dwa były napchane wiorami i słomą, w trzecim zaś dawało się uczuć z jednej strony odrobinę bawełny. Rozmieściliśmy się więc na noc jak mogli: starsi na materacach, młodszy na podłodze podestawszy co się nadarzyło i zasnęli snem sprawiedliwych.

Teraz kiedyście i wy, kochani czytelnicy, zapewne zasnęli przy czytaniu tak drobiazgowego opisu przygód naszej podróży; uważam za konieczne usprawiedliwić się poniekąd przed wami, że ten mój opis w tak pospolity, oryginalny i usypiający sposób prowadzę i prowadzić zamierzam.

Jakby przewidując że mi przyjdzie na starość tułać się po świecie, od dzieciństwa samego z największym zajęciem czytałem podróże po odległych krajach. Kiedy zaś postanowiłem z rodziną moją udać się do Ameryki lub do innej części świata, upodobanie to przeszło w namiętność. Przeczytałem tysiące tomów podróży i w ogólności byłem niezadowolony, bo J.W. i W.W. panowie podróżnicy, mają zwyczaj stawiać siebie na piedestale i udrapowani w togę uczoną humanitarną, filozoficzną, artystyczną lub każdą inną, prawie *ex cathedra* i opisywać wspaniałe lub straszne widoki przyrody (opis Niagary czytałem pewno sto razy), mniej więcej dramatyczne przygody, w których sami zwykle grają główną i zaszczytną rolę; opisywać galerie, muzea, zakłady filantropijne, wspaniałe katedry, zamki królów, niekiedy dla rozmaitości wigwamy dzikich, salony bogaczy, burze, polowania na słonie, nosorożce, krokodyle i inne bestye.... słowem podróżnikowi nigdy nie brak treści. Ale ja sam przyszły podróżnik, nie tego szukałem w opisach: ja tęskniłem i szukałem w podrózach przygód zwyczajnych, pospolitych, osobistych, mogących się przytrafić najzwyczajniejszemu człowiekowi, któreby mię więcej nauczyły jak znaleźć się w danym razie, niż owe szumne i częstokroć bardzo piękne opisy,... a jednak szukałem zwykle napróżno. W dostępnych dla mnie literaturach: polskiej, francuskiej i rosyjskiej, znalazłem zaledwo kilka dzieł, któreby mogły, w praktyczny sposób czegoś nauczyć przyszłego podróżnika. Powiadają że literatura niemiecka posiada wiele takich praktycznych, *chudopacholskich* podręczników, ale ta jest dla mnie niedostępna; a tymczasem żadne z tych dzieł nie raczono przełożyć na znane mi języki.

Nie dla reklamy, a dla pożytku osób, które mogą się znaleźć w podobnych moim okolicznościach, uważam za stosowne polecić: „Podróż po Ameryce“ Zimmermana; dzieło oryginalnie napisane w rosyjskim języku, które radziłbym nawet przepolszczyć. Potem Kaliksta Wolskiego, choćby to tylko co było umieszczone w „Kłosach“. Bo co do innych pism w tym rodzaju, jako „Przechadzki po Ameryce“, „Podróż do Nowego Orleanu“ etc., te nie wiele większą mają wartość

jak „Listy z Ameryki do przyjaciół w Europie“ lub „Pierwszy rok pobytu w Ameryce“.

Australia była szczęśliwszą: dwaj ziomkowie nasi: Korzeliński i Sygurd Wiśniowski zwiedzili tę część świata i przysłużyli się nam wyborym opisem swoich przygód. Obecnie pan Sygurd Wiśniowski, którego miałem przyjemność poznać wraz po jego przybyciu do Ameryki i z którym stale utrzymuję przyjazne stosunki piśmienne, zamieszkał w państwie Minnesota na własnem gospodarstwie. Ledwobym się nie założył, że również ciekawie i z talentem opisze swój pobyt w Ameryce, jak w przeszłym roku napisał „*Dziesięć lat w Australii*“. Zanim to jednak nastąpi, a radbym aby jak najprędzej nastąpiło, musicie kontentować się mojami osobistemi drobiazgowemi przygodami i moim chudopacholskim opisem, który jakkolwiek pod zmienionym tytułem, zawsze będzie niczém lepszym jak „Listy z Ameryki do przyjaciół w Europie“. Na inne poważniejsze dzieło zdobyć się nie potrafię.

Jeszcze kilka słów na moje usprawiedliwienie: gdybym był przeczytał uważnie choć tak błachy jak mój opis, uniknąłbym niezawodnie kilkogodzinnej tułaczki z wozami i Murzynami po Baltimorze. Gdybym wiedział na przykład, że po kilkunastodniowej podróży przez Ocean wypadło koniecznie dać, dzieciom przynajmniej, *na przeczyszenie*, możebyśmy uniknęli wielkich nieszczęść i strat, które się zwały na naszą rodzinę po przybyciu do Ameryki. Gdyby... ale potem o tém.

Nazajutrz... Nie lękajcie się jednak, abym każdy dzień naszego pobytu w Ameryce opisywał. Te szczegóły, jakkolwiek byłyby pożyteczne dla przyszłych przesiedleńców, będą tylko dotyczyć chwil pierwszych. Otóż nazajutrz, ugotowawszy kawy na żelaznym piecyku gospodyni, zajęliśmy się rozpakowywaniem potrzebniejszych rzeczy.

Nie zegar, lecz głód przypomniął nam obiadową godzinę. Spojrzeliśmy wszyscy na siebie i pomyśleli, co będziemy jeść? Iść do traktierni—nieposób: jest nas tylu! Działki drobne, a jedno w pieluszkach. Kazać przynieść? To łatwo w Europie, ale nie w Baltimore, bo tu nie ponoszą. Zgotować samym sobie? Nikt z nas nie umie i nie potrafi. Posłaliśmy jednak starsze działki poradzić się u gospodyni. Ta oświadczyła, że mozem dostać w szynku (saloon) zupy z ostryg i za dolara zgodziła się nam takową przynieść. Jakoż po chwili na jednej z większych skrzyń naszych, ukazała się drewniana misa z zupą ostrygową, na której pływało coś podobnego do pulpetów. Zupa była kwaskowata; ja i działki jedliśmy takową z głodu, ale moje kajutowe damy zaledwie pokosztowały. Podjadłszy, żal mi się

ich zrobiło. Dzieci oświadczyły, że wczoraj widziały niedaleko w *grocery* ¹⁾ jaja, i że bardzo lubią jajecznicę.

Udałem się tam z malcami.

— *Hau mocz eggs?* To jest po czemu jaja? zapytał Tazio.

— Za 25 centów ($\frac{1}{4}$ doll.) damy wam 16. Ale czekajcie: wy pewno cudzoziemcy nowoprzybyli? damy wam 20.

Nowe moje zdziwienie; w naszych *pocziwych* magazynach cudzoziemcom, a więc nieznaną cen miejscowych, danoby może 12.

Rozpatrując ciekawie dokoła, spostrzegłem między szynkami zawieszonych kilka kawałków słoniny.

— *Hau mocz?* Już ja sam zapytałem po angielsku, wskazując dwufuntowy kawał.

Kupczyk, 14 letni chłopiec, zdjął, odważył i powiedział: 30 centów.

Wziąłem. Przypomniało mi się, że wypada kupić świec. Patrząc dokoła i nie spostrzegam. Pytam syna, jak świece po angielsku? Nie wie. Więc ja sam mówię: *hau mocz bougie?* Kupczyk patrzy na mnie i nie rozumie. Powtarzam: bougie, bougie? Kupczyk jakby zrozumiał, prowadzi mnie w głąb' magazynu i pokazuje wiośło dzieciinne (*buggy's*).

O małym się nie rozśmiał. Przypomniała mi się anegdota: jak Dumas, mniejsza który, chcąc raz w Londynie, w restauracyi, uraczyć się grzybami, a nie wiedząc, jak to nazwać po angielsku, zaczął giestami i znakami pokazywać, czego żąda: podane mu... parasol! Ale ja nie w ciemie bity przez zanego prefekta Sławuta, przypomniałem inny francuzki wyraz i zacząłem powtarzać: *chandelle, chandelle*.

— *Keudells!* zawołał, śmiejąc się kupczyk i podał mi świece.

— *Hau mocz?*

— Czterdzieści centów funt.

Oj droga pomyślałem. Czy nie ma tańszych?

Podał mi inne, pośledniejsze, które kosztowały o połowę taniej. Zabraliśmy to wszystko, zapłacili i zabierali się do wyjścia. Kupczyk zatrzymał Tazdia i zapytał:

— Kto jesteście?

— Polacy.

— Toście zapewne żydzi? Na co wam słonina?

— My chrześcianie katolicy, odpowiedział Tazio.

— A! doprawdy? To macie jeszcze jedną świecę.

Przychodźcie do nas; my wam z *początku* będziem taniej sprzedawać.

¹⁾ Proszę o prawo obywatelstwa dla tego wyrazu, który oznacza magazyn najrozmaitszych wiktualów do codziennego użycia. Po francuzku wyraża się to wybornie wyrazem: *epicerie*. Wstyd mi że nie wiem jak po polsku.

Powróciliśmy z tryumfem do mieszkania: była pewność, że przez jakiś czas nie poumieramy z głodu. Posłałem wraz syna do tegoż magazynu dla kupienia drewek i chleba; rozłożyliśmy ogień na kominku, dostali ze skrzyni trzynóżki i patelnię. Pod moim kierownictwem zrobioną została wspiana jajecznicą ze słoniną! Do tego herbata i głód był zażegnany. Tegoż dnia za 15 dol. kupiłem parę łóżek drewnianych: jedno z nich zajęła moja teścia, na drugim szerszém umieściła się moja żona z córką i najmłodszym synkiem.

Na łózkach mię oszukano. W kilka tygodni później dwa drugie także same łózka, kupione zostały za sześć dolarów, ale je kupił dla nas Amerykanin.

Nazajutrz mieliśmy rosół z bulionu Liebiga i drobnych krulek amerykańskich „farina”. Zdobyliśmy się także na kawał mięsa (22 centy funt), z którego mieliśmy pyszny befsztyk. Konsumatory Stempkowskiego, Bocqueta i innych podobnych, spojrzeliby nań z pogardą, ja sam kazałbym go niegdyś za okno wyrzucić; ale tu nam bardzo smakował.

W parę dni, opatrzywszy się nieco, postanowiłem pojechać do Waszyngtonu dla poradzenia się osobiście u szanownego ziomka naszego Katusowskiego, co mamy począć, jak sobą rozporządzić? Zajrzałem do gazety angielskiej i nic nie rozumiejąc, wyczytałem, że od 6 z rana do północy, co godzina odchodzi pociąg; podróż trwa półtorej godziny, kosztuje od osoby dolar 10 centów, od dzieci do lat 10 połowę. W tych dniach wyczytałem w gazetach, które już trochę rozumiem, że z powodu współzawodnictwa kompanii cena została zniżoną; przejazd między Baltimore a Waszyngtonem kosztuje obecnie 80 centów. Rozpytawszy się dokładnie o drogę do banhofu, udałem się tam z Julcią na godzinę przedpołudniem, aby przybyć do Waszyngtonu za dnia. Przeszedłszy kilka wiorst po najparadniejszej ulicy Baltimore, a doszedłszy do ulicy Liberty według wskazania, zwróciliśmy się na lewo. Liberty street nie była wprawdzie paradniejszą od innych, a jednak wydała się nam bardzo piękną i wspianą; widać, że sama nazwa tak ją upiękusiła. Gdybym wiedział, że taka ulica znajduje się w Baltimore, pewnoby tam wynajął mieszkanie i nie błąkał się tak długo; a może nie doznalibyśmy nieszczęść, które później na naszą rodzinę spadły. Na stacyi kolei zostaliśmy nieprzyjemnie zdziwieni, kiedy nam oświadczono, że pociąg odejdzie dopiero za pięć godzin, to jest o piątą w wieczór; bo w niedzielę od 10 ranniej do 5 wieczorniej pociągi nie kursują. Jest to zwyczaj, a w niektórych północnych stanach prawo, które się praktykuje na wszystkich liniach kolei żelaznej Stanów Zjednoczonych.

Powracać do mieszkania, od którego pewno byliśmy o parę mil angielskich oddaleni, aby po paru godzinach znowu przedsiębrać podróż, wydało się nam niegododnie, postanowiliśmy więc te kilka godzin przeczekać na banhofie. Rozpatrywaliśmy się tymczasem na wsze strony.

Stacya kolei w Baltimorze bardzo licha, chociaż na rycinie, którą mi pokazywał w Bremen Klauskuhl, niezłe wygląda; w rzeczywistości zaś nie wytrzyma porównania nawet z waszą stacyą warszawsko-wiedeńską. Ściany wewnątrz, a nawet i zewnątrz pokryte rozmaitemi ogłoszeniami prywatnemi z zrobionemi z wielkim przepychem chromatografii. Za to urzędowych obwieszczeń, przepisów etc.—brak zupełnie. Meble wspaniałe, ale podłoga brudna, bo w niedzielę nie wmyatają. Na kilka minut przed piątą zaczęła się zbierać publiczność: znak że rychło pociąg odejdzie. Szukamy kassy dla kupienia biletów; w całym gmachu nie znajdujem, aż dopiero, idąc w ślad za innemi, spostrzegliśmy, że zewnątrz stacyi, o parę kroków od wagonów, siedzi przed stolikiem jakiś żentlmen, bierze pieniądze i wydaje kartki. Podeszliśmy tam, a Julcia powiedziała litewską angielszczyzną:

— Waszyngton: półtora biletu.

— Jaki Washington?

Tu już ja pospieszyłem dodać: *District Columbię*. Wziął pieniądze, oddał nam resztę i bilety. Pytamy się, dokąd mamy siadać?

— Gdzie się wam podoba—była odpowiedź.

A wagonów pewno było ze sto. Na środkowej linii spostrzegamy wagony, na których napisano: „Baltimore Md.—Waschingon D. C. Wagony te już zapełnione pasażerami; wsiedliśmy więc tam na chybił, trafił. Co mię jednak zdziwiło, że pociąg wiozł kilkaset osób, a przy kassie banhofowej nie było natłoku; zaledwo kilkanaście osób kupowało bilety. Później to zrozumiałem, kiedym się dowiedział, że w Baltimore jest kilkanaście, a może i więcej biur, w których się sprzedają bilety. Wiele zaś jest osób abonowanych na miesiąc, kwartał, cały rok, a powiadano mi nawet, że są abonowani i na całe życie(?); a takie abonamenta daleko taniej kosztują, niż każdorazowa opłata. Wiele więc osób przychodzi na stacyę z biletami w kieszeni i siada do wagonów o nic nikogo nie pytając. Można nawet wsiąść do wagonu bez biletu, byle tylko potem konduktorowi zapłacić, który jest również upoważniony do sprzedawania takowych.

Bez żadnych ostrzeżeń, sygnałów, dzwonek, świstów, pociąg ruszył z miejsca i wówczas tylko lokomotywa *zaryczala*, a dzwon na niej umieszczony i poruszony parą, odzywał się co chwila, ostrzegając gapiów, aby umykali z drogi. Wszakże to trwało tylko, dopókiśmy nie wyjechali za miasto i przedmieścia. Pociąg pędził szybko, podobno 40 mil na godzinę, zatrzymując się co chwila przed lichemi domkami w polu lub w lesie, wysadzając i przyjmując pasażerów, co trwało niedłuzej pół minuty.

Wypatrywaliśmy oczy rozglądając się po okolicy; ale ta w bliskości Baltimory wydała się nam nieszczególnie: równina, moczary, rzeczki powolnie płynące, jednem słowem okolica przypominała Stuczynę lub Żuławy. Potem wjechaliśmy w lasy, ale i te gorzej mi się wydały niż sobie wyobrażałem: po obu stronach kolei drzew wiel-

kich nie wiele; były to raczej trzebieże, na których budują się nowe osady lub folwarki (fermy). Zmrok trwał krótko, noc zapadła; ale w lasach cicho: nie słychać nawet wieczornego świergotu ptaszego. Tak samo i w wagonach: wszyscy siedzą cicho, spokojnie, żadnych śmiechów, żartów, nawet rozmów nie słychać; chociaż mieliby prawo mówić *głośno* jakimi chcą językami. Chodzą tylko po wagonach chłopaki i dżentlmeny sprzedający owoce, ciastka, gazety. Gdyby nie zupełnie nowe położenie, podróz taka mogłaby znudzić. Ale oto zaczyna odzywać się dzwon; znak że się zbliżamy do Waszyngtonu.

Po chwili pociąg się zatrzymał, wjechawszy pod przykrycie także nieszczególniej stacyi; wszyscy zaczęli wysiadać, wysiedliśmy i my. Przeszedłszy jakąś salę znaleźliśmy się przed banhofem. Z publiczności, kto pieszą, kto omnibusem (carr), kto kareta, wszyscy się rozjechali i rozeszli; a my biedactwo stoimy na ulicy i nie wiemy co z sobą począć?

— Czego tu czekacie?—zapytał nas dobrotliwie jakiś dżentlmen, w którym odgadłem policyanta.

— Nie wiemy dokąd się udać na noc—odpowiedziałem; a Julcia to powtórzyła po angielsku.

— Jeśliście bogaci, to siadajcie do karety, zawiozą was do hotelu, ja wskażę do którego.

— Nie, myśmy biedni.

— To chodźcie zemną, ja was zaprowadzę do boardinghauzu, gdzie nie drogo was będzie kosztować.

Poszliśmy. Prowadził nas ulicą słabo, choć gazem oświetloną, i wkrótce zatrzymaliśmy się przed jakimś wielkim, lecz brudnym domem. Wziął z okna od ulicy, zapewne dla niego przygotowany, kawał chleba z masłem, serem, mięsiwem i zapukał do drzwi. Otworzono. Przemówił coś do kobiety, widocznie nas polecając i odszedł. Kobieta uprzejmie nas poprosiła do środka i wprowadziła do obszernej, czystej i przyzwoicie przybrananej izby. Kilka osób siedziało przy długim stole stojącym pośrodku i widocznie kończyło obiad czy wiecznerę. Poprosiliśmy, aby i nam dano co przekąsić i herbaty. Usłużono natychmiast; ale przekąska z zimnego mięsiwa i herbata, niebardzo nam smakowały.

Do herbaty amerykańskiej dotąd przyzwyczać się nie możemy: jestto mieszanina z różnych gatunków, bardzo mocna i smakiem przypomina znaną u nas zieloną. Sądzę że byłaby szkodliwą, ale Amerykanie piją nie wiele i nie inaczej jak z odrobinką mleka.

Poprosiliśmy, aby nam dano pokój do prznocowania; dano nam dwa na dole: jeden ciemny, bez okien, zawalony jakimś starymi sprzętami; drugi o dwóch oknach na ulicę, ale w obu czuć było wilgoć, stęchliznę i zimno. Bo chociaż w końcu października dni były ciepłe, ledwo nie gorące, ale noce już chłodne, a piece znajdowały się jeszcze na letnich leżach. Zresztą, wiem z doświadczenia, że nigdzie tak łatwo przeziębic się nie można jak w ciepłych krajach.

Nie było co wymyślać: Julcia układała się w drugim ciemnym pokoju, ja w pierwszym.

Obudziłem się równo ze dniem. Słońce już świeciło, dzień zapowiadał się piękny; ale w pokoju tak zimno, że potrzeba było bohaterskiego wysilenia, aby wstać i zacząć się ubierać; a jednak ja zdobyłem się na to: wstałem i ubrałem się, tylko prędkiej jak zwykle. W domu jeszcze wszyscy spali, choć było już po szóstej. Słońce znęciło mię do wyjścia na ulicę. Wyszedłem: rozumię się zamknąwszy córkę na klucz w pokojach.

Przyzwyczajonemu do widoku wielkich miast europejskich, ta część Waszyngtonu wydała mi się nie osobiwie. Jakkolwiek chodniki były wyłożone wielkimi płytami kamiennymi, ale przy nich wiele placów pustych, zarosłych chwastami, niezabudowanych; a i tam gdzie są domy, powierzchowność takowych bardzo nieszczególna. Spojrzałem na lewo: o kilkaset kroków odemnie, na wzgórzu wyniosłem, wznosił się gmach wspaniały, imponujący i widocznie ze wszystkich punktów miasta widzialny. Choćbym nawet nie widział wiele razy na rycinach, domyśliłbym się że to Kapitol. Cóż powiecie! mnie staremu, schorzałemu, serce mocniej zabiło na widok kapitolu! Patrzałem objętnie na Tuilleries, Wersal, Schonbrun, Sanscouji i rozmaite inne dworce; ale tylko widok Wawelu i Kapitolu mię poruszył: pierwszy, to chlubna przeszłość; drugi, to wspaniała przyszłość i bodaj przyszłość całej ludzkości; tamte inne... to tylko smutna terażniejszość. Nie miasto rozlegające się dokoła, ale ten gmach, ten kapitol jest stolicą wielkiego, wolnego narodu, który radzi sam o sobie, rządzi sam sobą.

Nie mogłem oprzeć się pokusie, poszedłem bliżej przypatrzeć się kapitolowi; obszedłem go dokoła i żał że nie mogę w zupełności podzielić się z wami przyjaciacie myślami, które widok tego domu we mnie obudził. Na taki kapitol mógł tylko zdobyć się Rzym od Tarkwiniuszów do Oktawiana i Unia amerykańska! Nie Ludwik XIV, nie Fryderyk Wielki, nie Napoleon, także podobno Wielki, mogli urzeczywistnić pomysł takiego gmachu; na to potrzeba było Waszyngtona i spadkobierców jego uczuć i myśli. Tamci budowali pałace dla siebie, ten i ci, wzniesli pałac dla narodu! Powiadają jakoby jest myśl przeniesienia stolicy Stanów Zjednoczonych w głąb kraju, podobno do St. Louis, ale to się nie sprawdzi: dopóki kapitol sam się nie rozsypie w gruzy, stolica federacji amerykańskiej w nim będzie.

Przechadzka do kapitolu zabrała mi kilka godzin czasu, kiedym powrócił do mieszkania, wszyscy już powstawali, zjedli śniadanie i rozeszli się do pracy. Julcia moja także wstała i trochę się przelekła ujrawszy się samą i w zamknięciu. Gospodyni zaprosiła nas na śniadanie składające się, jak zwykle w Ameryce, z kawy z przystawkami, to jest: chleba, masła, séra, szynki i jaj na miękko. Po śniadaniu zaczęliśmy rozpytywać się o rodaka naszego, dla widzenia się z którym przybyliśmy do Waszyngtonu.

— Kto on jest?—zapytała gospodyni Irlandka.

- Polak.
- Dobrze; ale jakiej religii?
- Chrześcianin... zapewne katolik.
- To idźcie do księdza, tam się dowiecie.

Była nawet tak grzeczną, że sama nas zaprowadziła. Ksiądz starsuszek, Szwajcar rodem, przyjął nas bardzo uprzejmie; rad był udzielić wszelkich informacyi, ale ziomka naszego nie znał i w spisie swoich parafian nie mógł odnaleźć. Kazał sobie podać książkę adresową (directori), która w każdym większym mieście amerykańskim co rok się wydaje i w niej wyszukał. Wypisał nam dokładnie potrzebny adres i zaczął rozpowiadać którądy mamy się udać. Postrzegłszy jednak, że trudno nam będzie trafić i że na moje chore nogi za daleko, kazał założyć konia do powoziku z parasolem (bo pudłem nazwać tego nie można), sam nas powiózł. Przybyliśmy przed dom, ale ten był zamknięty i na stukanie nasze nikt nie odpowiadał. Tylko z blachy przytwierdzonej do drzwi przekonaliśmy się żeśmy odnaleźli mieszkanie obywatela Henryka Kałusowskiego. Nauczony smutnym doświadczeniem w Baltimore, teraz miałem wynotowany adres *boarding'u* na bilecie wizytowym i wsunąłem takowy w dziurkę od klucza. Poczcziwy ksiądz, a nawet jak się później dowiedziałem nominat-biskup, zaproponował nam przejazdkę po Waszyngtonie i że nas odwiezie do mieszkania. Jakoż zawiózł nas najprzód do kościoła Ś. Ludwika, potem do kościoła OO. Jezuitów. Obie te świątynie nie wielkie, czyste, nawet wesołe; może dlatego że brak w nich zbytecznej ornamentacyi, do której przywykliśmy w starożytnych europejskich kościołach i cerkwiach. U Jezuitów postrzegłem w ołtarzu *ex-voto*, składające się, jak i u nas, ze srebrnych lub złotych wyobrażeń rąk, nóg, oczu, serc z płomieniem i t. p.

OO. Jezuiści przyjęli naszego przewodnika z wielkim uszanowaniem i dystynkcyą, nas zaś bardzo grzecznie i uprzejmie. Zaproszeni zostaliśmy do klasztoru, raczej kolegium: pokoje obszerne, czyste, na ścianach obrazy religijne, po większej części z życia Ś. Ignacego Lojoli, nie pospolitego pędzla; podłoga wysłana miękkimi kobiercami, meble wygodne; jednem słowem znaczo, że OO. dobrodziejom bardziej chodzi o komfort, niż o zbytek. Rozmowa z Ojcami (wszyscy mówili po francuzku) łatwa, zajmująca, wesoła, nawet dowcipna.

Do Towarzystwa Jezusowego miałem i mam trochę uprzedzenia: z *jaunemi* Jezuitami byłem po raz pierwszy w zetknięciu, kiedy wchodziłem do nich, to z takim uczuciem jakby do osławionego domu, ale dość było godzinnój, poufałej rozmowy, aby mię ośmielić. Nie tak Jezuiści straszni, jak ich malują. Prosiłem, rozumię się żartem, aby mi pokazano torturowe narzędzia św. inkwizycyi, a przynajmniej te, których używali dla zbawienia Indyan w czasie władztwa w Paraguay'u. Śmieli się z tego szczerze, ale na skinienie Ojca, zapewne przełożonego, rozsunęły się drzwi i zaproszono nas na *luczz*. Było to śniadanie gustowne, a nawet obfite, jakby niegdyś w jakim zamożnym litewskim

domu; przytém wódki, likiery, wina wyborne. Co mię tylko raziło w tém wszystkiém, to zachowanie się dwóch młodych posługujących laików, czy seminarzystów: stali oni przy ścianie ze złożonemi na pierśsiach nakrzyż rękoma, ze spuszczonemi w dół oczyma (co im nieprzeszkadzało wszystko widzié i być na skinienie O. rektora) i z tak pokornemi minami, że raziłyby one w Europie, a cóż dopiéro w Ameryce? Ci dwaj byli w habitach, wówczas gdy wszyscy inni, nawet nasz biskup, w surdutach.

Podjadłszy, nażartowawszy, podpiwszy nareszcie (wino kalifornijskie *angelica* bardzo mi przypadło do serca; przypomina ono tokaj węgierski, tylko znacznie mocniejsze), zabieraliśmy się do wyjścia. Ksiądz rektor zatrzymał nas jeszcze chwilkę: zrobił mi kilka uwag, które okazały się później przydatnemi, zalecił zaś przedewszystkiém abyśmy dzieci posyłali do szkół katolickich, unikając publicznych, bezwyznaniowych; zaprosił także, abym go odwiedził dla dłuższej pogadanki. Julci ofiarował pudełko kolorowe, które wybrał z pomiędzy kilku dawniej przygotowanych. W pudełku tém znalazły się obrazki świętych, szkaplerze, medaliki i... cukierki. Potém jeszcze kilka razy byłem w Waszyngtonie, ale tak zawsze zaferowany i zakłopotany, że wyszły mi z pamięci zaprosiny Ojca rektora; wszakże jeśli mi zdarzy się jeszcze raz być w tém mieście, to nie zaniedbam odwiedzić wielebnych. OO. Soc. Jesu, którzy dla nas okazali się tak grzeczni i przychylni.

Odwiezieni do mieszkania przez czcigodnego biskupa, który z wielką zręcznością kierował koniem przejeżdżając natłoczone ulice; zabieraliśmy się powtórnie do wyjścia, mając już adres naszego ziomka, gdy naraz otwierają się drzwi i wchodzi pan Henryk Kałusowski z żoną. Poznałem go odrazu, gdyż był tak łaskaw że mi jeszcze do Europy przesał swoją fotografię w zamian za moją. Samo przez się że byłem uszczęśliwiony taką wizytą. Zarekomendowaliśmy się sobie wzajemnie, uścisnęliśmy się serdecznie, jakby dawni znajomi przyjaciele... Pani Kałusowska zabrała Julcię do siebie, gdzie jęj z dwiema mało co starszemi od nięj panienkami było bardzo wesoło i przyjemnie. Pan Henryk został z mną na kilka godzin. Cośmy w tym czasie przegadali... szkoda że wam tego powtórzyć nie mogę. Powiem tylko, że pan Henryk krzepki, rzeźki staruszek (choć i aż może nie godzi się względem niego używać tego tytułu); jako dawny wojskowy trzyma się prosto, nawet kilkudziesięcioletnia praca biórowa pochylić go niezdolała: jest średniego wzrostu i z niezupełnie jeszcze zbielałym wzrostem; mówi czysto i płynnie po polsku, co rzadko się zdarza z ludźmi, którzy lat 40 na obczyźnie przeżyli. Różnica wieku między nami lat 15, ale postawiwszy nas obok siebie, ja wydałbym się o tyle starszym. Po parogodzinnej rozmowie zabrał i zawiózł mię karrem (omnibus) do siebie.

Haboken N. J. 26 maja, 1874 roku.

STAN MORALNY
SPOŁECZEŃSTWA NASZEGO,
na podstawie wykazów
STATYSTYCZNYCH KARNYCH.

§ 1. Zadaniem statystyki sądowej jest oprócz kontroli czynności tych organów władzy publicznej, zebranie wskazówek dotyczących moralnej strony bytu społeczeństwa. Szczególniej ważne są wskazówki jakich dostarcza statystyka kryminalna. Jak bowiem miarą materialnej cywilizacji jest większa lub mniejsza stosunkowo do naturalnych zasobów, produkcyjność kraju; tak znamieniem moralności społeczeństwa jest utrzymywanie woli ludzkiej (pomimo wpływów z ułomnej natury człowieka wynikających) w szrankach obowiązującego prawa, jako w zasadach, jeżeli nie w szczegółach wpływającego z wielkiego źródła prawdy powszechniej. Oczywiście, właściwą miarą niemoralności objawiającej się w wystąpieniach z owych szranków prawa, będzie nie tyle może ilość, ile jakość tych wystąpień.

Znaczenie wskazówek jakich udzielają wykazy statystyczne, zależnym jest od liczby danych. Im więcéj danych statystycznych, tém większa pewność albo przynajmniej prawdopodobieństwo wniosków ztąd wyprowadzanych ¹⁾. Albowiem to co osobno uważane wydaje się jako zrzędzenie przypadkowe, przez peryodyczność, przez powtarzanie się w różnych epokach i miejscach, staje się niejako prawidłowém, naprowadza na istnienie pewnych praw regulujących życie społeczne i byt osobnika w społeczeństwie. Szczególniej rzuca światło na ten przedmiot, porównanie wykazów statystycznych

¹⁾ La science apprend qu'en comparant les documents statistiques, la probabilité d'un resultat, toutes choses d'ailleurs égales, croit avec le nombre des observations. Quetelet et Heuschling, *Statist. Intern.* Bruzel. 1865 p. LXVI.

różnych krajów i epok, przy uwzględnieniu warunków, w jakich znajdują się te kraje i jakie towarzyszyły danej epoce. Ścisłe wszakże porównanie jest jeszcze bardzo utrudnione, nie tylko dla niejednostajności wykazów statystyczno-sądowych, które każde państwo prowadzi podług odmiennych zasad, ale nadto, dla zbyt jeszcze wielkich różnic w ustawach karnych, gdy czyny niezabronione, albo co najwyżej, za przewinienie policyjne uważane w jednym państwie, w drugim pod względem karalności postawione są na równi z ciężkimi przestępstwami.

§ 2. Materyały do statystyki kryminalnej naszego kraju są jeszcze ubogie. Jakkolwiek już sprawozdanie wydziału sprawiedliwości za rok 1816 rzuca myśl ogólnego wykazu statystyczno-kryminalnego z całego kraju; jakkolwiek wielokrotnie potem czytamy w podobnych sprawozdaniach zapowiedź zebrania, uporządkowania i ogłoszenia podobnego wykazu: wszystkie jednak sprawozdania aż do r. 1847 pokazują, że myśli tej należycie nie objęto. Nietylko bowiem że najważniejsze dane jako to: klasyfikacja przestępstw i ich sprawców, to całkiem pominięta, to podług corocznie odmiennej skali podawana była; ale nawet ogólne cyfry spraw, obwinionych i aresztowanych wykazywane były widocznie bez należytego sprawdzenia ich podstawy: bynajmniej nie troszczono się o usunięcie z nich rażących niekonsekwencji i sprzeczności odbierających im częstokroć nawet pozór wiarygodności ¹⁾. Nie chcemy przeto powiedzieć, żeby

¹⁾ Tak liczba spraw karnych, którą wykaz r. 1837 podaje na 33,737, poskoczyła w r. 1838 na 58,969, w latach zaś 1842/3 spadała z 72,780 na 46,712. Wzrost nagły w latach 1837/8, urzędowy sprawozdawca usiłuje usprawiedliwić epidemią cholery, jaka panowała w r. 1837. Jednakże bez porównania cięższe epidemie lat 1848, 1852, 1855 nie zatamowały biegu sprawiedliwości, gdyż w r. 1847 było spraw 44,401, r. 1848 52,989; r. 1851 60,200, r. 1852: 68,825, w r. 1855 liczba spraw zmniejszyła się wprawdzie stosunkowo do poprzedniego, z powodu rzeczywistego w tym ostatnim, przyrostu przestępstw wywołanego nieurodzajem i drożyzną; mimo jednak trwania drożyzny i zwiększenia się przestępstw, liczba spraw z r. 1855/6 zwiększyła się zaledwie o 3,000. Wyjaśnienie przyczyny tych usterków znajdujemy w sprawozdaniu za r. 1848, pierwszym dokładnym a przynajmniej dającym pojęcie o rzeczy, gdyż wyjaśniającem pochodzenie cyfry ogólnej wykazu spraw karnych. Ponieważ każdy sąd składał od siebie z osobna wykaz spraw przez niego rozpoznawanych a znaczna ich liczba przechodziła dwie lub więcej instancyj, tworząc tym sposobem dla tych sądów oddzielne sprawy, działo się więc tak, że jedna i ta sama sprawa dwukrotnie lub trzykrotnie figurowała w wykazie sumarycznym, co oczywiście w dwójnasób i więcej pomnażało tę ogólną liczbę, jeżeli (co nieraz może zdarzało się) stosownego zredukowania jej w wykazie zbiorowym nie uczyniono. Czasem podawano tylko sprawy no-

sprawozdania z lat 1848—1864 nie pozostawiały pod tym względem do życzenia. Szczególniej też wykazy z ostatnich 4 lat tego okresu, odznaczają się odstępami od przyjętego porządku, utrudniającymi ściśłość w porównaniu z laty poprzednimi ¹⁾. Jeżeli zaś to porównanie jeszcze jest trudniejsze między wspomnianym okresem a ostatnimi 8 laty, których wykazy prowadzone są podług zupełnie odmiennego planu, to zato nowy system kontroli czynności sądów karnych, zaprowadzony w r. 1865 ²⁾, zapewnia wykazom statystyczno-kryminalnym dokładność, od której dawniejsze były częstokroć bardzo dalekie. Żałować tylko należy, że praktyczne względy nie pozwalają na rozwinięcie niektórych szczegółów, nadewszystko zaś, że ustawy 2 marca 1864 r. wyłączając z pod kontroli Komisji Sprawiedliwości jurysdykcyę gminne, zniewalają do pominięcia z ogólnych wykazów tak ważnych jeśli nie ciężarem winy, to liczbą wykroczeń, które prawo r. 1861 do ustawy gminnej odniosło.

Niniejsze spostrzeżenia dotyczące statystyki kryminalnej Królestwa, opieramy głównie na danych z ostatnich 8 lat. Rzecz tę dzielimy na 2 części: 1-a obejmuje czyny kryminalne i wypadki rozpoznaniu sądów karnych podlegające; 2-a opisuje różne klasy pod sądnych, jak obwinionych w ogólności, tak w szczególności skazanych.

CZĘŚĆ I.

Statystyka czynów i wypadków przez sądy karne rozpoznawanych.

§ 3. Oprócz właściwych przestępstw Kodeksem kar głównych i poprawczych objętych, rozpoznaniu sądów karzących podlegają: wypadki nagłej śmierci i pożary. Do wypadków nagłej śmierci należą właściwie samobójstwa; ponieważ jednak kodeks obowiązujący zalicza je do przestępstw, w tym więc oddziale wypadnie nam o nich uczynić wzmiankę.

worozpczęte w ciągu roku, to znowu łączono zaległe z lat poprzednich. Zamieszaniu temu położono koniec w r. 1848, kiedy zaczęto podawać 2 wykazy: jeden z wyszczególnieniem liczby spraw w każdej instancyi rozpoznawanych; 2-gi, rzeczywistej liczby oddzielnych spraw, z rozróżnieniem nowych i dawniejszych, załatwionych i niezałatwionych.

¹⁾ Z wykazów r. 1860 posiadamy tylko urywkowe wiadomości, z 1861 r. zaś prawie żadnych, co tém większą sprawia trudność, że sprawozdanie za ten rok jest jak najbardziej ogólnikowe.

²⁾ O tym systemie, jako też w ogóle o sposobie prowadzenia kontroli czynności sądów nie tu nie wspominamy, odsyłając do artykułu: Zbiór wiadomości Statystycznych o sprawach karnych za r. 1872. wyd. p. minist. Spr. w Petersburgu, w Gaz. Sąd. z r. b. Nr. 4.

ODDZIAŁ I.

Dynamika przestępstw.

(Przestępstwa w stosunkach czasu).

1. Ruch przestępstw w powszechności.

§ 4. Liczba spraw pod rozpoznanie sądów karnych przycho-
dzących, w przybliżeniu tylko i to względnie daje wyobrażenie o licz-
bie przestępstw, ponieważ z 1-ój strony wiele spraw obejmuje po dwa
i więcej czyny kryminalne, z 2-ój zaś, do liczby spraw wchodzi takie,
których dochodzenie przerwane zostało dla niebytu czynu karygo-
dnego, oraz takie, jak dochodzenia przyczyny nagłej śmierci i pożaru,
w których rzadko kiedy wykazuje się czyn karogodny. Ponieważ
jednak dopiero od r. 1848 rozróżniać zaczęto *czyny karne* czyli
właścive przestępstwa, od *spraw karnych*, chcąc przeto dać jakie-
kolwiek chociaż wyobrażenie o zmianach jakim te stosunki ule-
gły od czasu pierwszych w naszym kraju sprawozdań sądowych
do ostatniego roku, podajemy od r. 1816 wykaz spraw nowo-rozpoczę-
tych w ciągu roku (o ile zdołaliśmy znaleźć jakie ślady z dawniej-
szych lat do r. 1848), oraz wykaz obwinionych, jak w ogóle, tak
w szczególności z więzienia odpowiadających; nadto, od r. 1848 wy-
kaz właściwych przestępstw każdego roku nowo-podanych do wiado-
mości sądów.

Cały przeciąg czasu quaestionis, dzielimy na 4 okresy, na pod-
stawie zmian zaszłych tak w ogólném urządzeniu kraju i prawodaw-
stwie, jak w szczególności zmian zaszłych w ustawodawstwie karném
i w sposobie prowadzenia samych wykazów ¹⁾. Tab. I, patrz str. 342.

§ 5. Wykazy te słabą dają podstawę do porównania krymi-
nalności wymienionych 4-ech okresów, gdyż skala obliczania zupełnie
odmienna jest w ostatnim z nich, od poprzedzających, szczególniej
od 2-ch pierwszych. Pomijając już niedokładność tych ostatnich,
przypominamy, że wykazy pierwszych 3 okresów obejmują wszelkie

¹⁾ Okres 1-y obejmuje epokę królestwa kongresowego; w 2-im, pra-
wodawstwo poprzedniej epoki doznaje stopniowój zmiany pod wpływem porząd-
ku politycznego inaugurowanego przez statut organiczny r. 1832; 3-oi zaczyna
się od wprowadzenia ustawodawstwa karnego rosyjskiego, przez obowiązujący
dotąd Kodeks karny. Ostatni w którym panuje nowy system prowadzenia
kontroli sądów i wykazów statystycznych, poprzedzają radykalne zmiany w or-
ganizacyi nie tylko rządowój ale i społecznej kraju. Odrębną z wielu wzglę-
dów epokę stanowi 4 lecie 1861/4 r., w krótkim atoli przeciągu czasu zaszło
zmian tak wiele, że lata 1863 i 1864 już nie są podobne do 2 lat poprzedzają-
cych. Niektóre szczególności wskażemy przy okazji.

Okres I.

Rok	Liczba spraw	Liczba obwinio- w ogóln.	Liczba aresztowa- nych
1816	10053	?	3446
1817	? 7488	10695	3657
1818	9035	?	?
1819	?	25318?	?
1820	?	27468?	6231?
1821	?	?	6775?
1822	15432	?	4774
1823	17535	?	4239
1824	19549	?	4451
1825	20986	?	4542
1826	21725	?	4686
1827	20751	?	5034
1828	21039	?	4822
1829	21511	?	4287
1830	¹⁾ 23324	?	4691
1831	18071	?	? 4742

Okres II.

Rok	Liczba spraw	Liczba obwinio- w ogóln.	Liczba aresztowa- nych
1832	30372?	32420	4742
1833	48167?	35846	4789
1834	²⁾ 27700	?	?
1835	28186	45030	6262
1836	27911	56319	7033
1837	27037	58534	6314
1838	28954	58895	6535
1839	31975	63152	7126
1840	33438	58252	7718
1841	35679	62124	8369
1842	37339	71834?	9477
1843	39250	83675?	8822
1844	39683	91645?	8858
1845	44663	98669?	15263?
1846	44576	75136?	13185?
1847	44401	86272	17239?

Okres III.

Rok	L i c z b a			
	spraw	prze- stępstw	Obwinionych	
			w ogólności	z aresztu odpowia- dających
1848	52989	60361	72250	18752
1849	54621	54621	72249	11541
1850	56863	58032	81121	15791
1851	60200	62171	89002	16425
1852	68825	63019	87665	15935
1853	76709	64355	83337	15927
1854	78013	62423	76237	14847
1855	57736	51555	67237	12927
1856	60865	59937	80821	14827
1857	62536	53822	81372	15635
1858	58574	58514	81852	15735
1859	65964	62615	90858	15731
1860	64457	62614	88278	17186
1861	57866	56816	78894	16173
1862	54824	48744	73790	15197
1863	35513	37090	52620	14352
1864	30524	20753	53823	10447

Okres IV.

Rok	L i c z b a		Rok	Liczba obwinio- nych z aresztu odpowia- dających	
	spraw	prze- stępstw			w ogólności
1865	22419	29761	1865	3809	
1866	24763	30532	1866	4126	
1867	28063	30889	1867	5034	
1868	29714	34059	1868	5706	
1869	28686	34667	1869	4453	
1870	28381	32667	1870	20975	
1871	32489	33672	1871	21287	
1872	25887	37991	1872	19638	
				4780	

¹⁾ Z tego roku posiadamy tylko wykaz skazanych za zbrodnie i występki.

²⁾ Spraw o zbrodnie było w tym roku 905, obwinionych 1415; spraw o występki 1271, obwinionych 11477; co do tych są wykazy szczegółowe; wykaz przewinień policyjnych nie kompletny.

wykroczenia, które z wydaniem ustawy gminnej r. 1860 na mocy ustawy przechodniej 11 czerwca 1861 r. w części przeszły pod rozpoznawanie wójtów gmiu i burmistrzów; w skutek zaś prawa 2 marca 1864 r. w największej części wyłączone zostały z jurysdykcji zwykłych sądów i centralnej magistratury sprawiedliwości. Biorąc za podstawę liczbę spraw przez sądy 1-jej instancji załatwionych i uważając że sprawy takie tworzą zaledwie może $\frac{1}{3}$ spraw karnopolicyjnych jurysdykcjom gminnym podlegających, uwzględniając takżę wykazy z epoki mocy obowiązującej kodeksu r. 1818, w których to latach sprawy o wykroczenia stanowiły 30—35% ogółu spraw ¹⁾, możemy przyjąć z przybliżeniu, że z liczby spraw i czynów karnych oraz obwinionych w dawniejszych wykazów (do r. 1864), wypada stracić przynajmniej $\frac{1}{3}$, dla otrzymania summ odpowiednich wykazom z ostatnich lat 8-u. Chociaż i tak cyfry dawniejszych wykazów pozostaną za wysokie, 1-e, dlatego że w ich liczbie mieszczą się sprawy w zarzutach nie dających dostatecznej podstawy do dochodzenia sądowego, na które zwrócił uwagę reskrypt Komisji Sprawiedliwości d. 16 lipca 1866 r., oraz sprawy przerwane dla niebytu czynu karogodnego, które z wykazów ostatniego okresu, podobnie jak wykroczenia ustawy gminnej pominięto ²⁾. Po 2-ie, głównie dla tego, że przy utrudnionej za dawniejszego systemu kontroli wykazów dostarczanych przez sądy, zwyczajna słabość ludzka, chęć wystawienia własnej zasługi w jak najkorzystniejszym świetle, nie przywiązując wielkiej wagi do zadania statystyki kryminalnej, znajdowała rzeczą naturalną pomnażać jak najwięcej wykaz swoich czynności, podając za osobne sprawy te, które już figurowały w wykazach innych instancyj. Co do aresztantów, różnica wykazu ostatnich 8-u lat od dawniejszych, polega głównie na tém, że w tych ostatnich wraz z uwię-

¹⁾ Tak w r. 1835 na ogół spraw (28,186), sprawy o zbrodnie i występki stanowiły 66,8% (18,704), w r. 1836—66% (17,912 z ogółu 27,911), w r. 1837, tylko 59,0% (16.127 z 27037), w r. 1838—62% (18043/28954), w r. 1839—59,8% (18117/31975), w r. 1840—70% (24257/33438), w r. 1841—73% (24257/35679), w r. 1842—73,6% (28537/37339), w r. 1843—65% (25852/39250). Nadmienić przytém musimy że prawodawstwo r. 1847 bynajmniej nie przyczyniło się do zmniejszenia liczby spraw o przewinienia policyjne, które w kodeksie r. 1818 szczerple bardzo zajmują miejsce.

²⁾ Sprawy takie (art. 97 i 98 KK.) dopiero od r. 1866 wykazywać zaczęto, a liczba ich dosyć jest znaczna, mimo wszelkich starań o jak największe ich zredukowanie. Tak w r. 1867 wykazano ich 473 t. j. 5% ogółu spraw nowowprowadzonych; w r. 1870: 722 (przeszło 4%), w r. 1872, 654 (około 4%). Liczba spraw załatwionych przez repozycyę (w znacznej części dla nieuzasadnionego oskarżenia) wynosi przecięciowo rocznie blisko $\frac{1}{4}$ ogólnej liczby spraw mimo reskryptu z r. 1866.

zionami w toku śledztwa, zamieszczeni byli aresztowani policyjnie, których liczba oczywiście musi być znacznie większa.

§ 6. Ponieważ w takim położeniu rzeczy, stosunek przestępstw podług dawniejszych wykazów, do liczby ludności nie byłby akuratny, wykazy więc te służyć mogą jedynie za wskazówkę postępu moralności (a raczej niemoralności) w każdym okresie z osobna. Porównując tedy przyrost przestępstw z przyrostem ludności, znajdujemy:

Od r. 1816 do 1830 (r. 1831 jako wyjątkowy, pomijamy) ludność wzrosła o 35%; liczba spraw karnych o 132%; ponieważ jednak, jak to zeznaje sprawozdanie urzędowe z r. 1822, wykazy pierwszych 6 lat są niezupełne i dopiero od r. 1822 zaczęto się starać o należyte skompletowanie wykazu spraw karnych i więźniów; porzostając przeto na danych dotyczących 8 lat (1822/30) znajdujemy powiększenie się liczby przestępstw (t. j. spraw karnych) o 51%, na przyrost ludności około 25%¹⁾.

W II-im okresie, liczba spraw karnych zwiększyła się o 48%, liczba obwinionych przeszła o 135%, aresztantów o 263%; a przyrost ludności wynosił tylko 26,5%²⁾.

Od r. 1848 do 1862 (lata 1863 i 1864 jako wyjątkowe pomijamy) spraw karnych i przestępstw przecięciowo przybyło na 20%, obwinionych i aresztantów na 12% a przyrost ludności wynosił zaledwie 5%³⁾. W ostatniem wreszcie 8-leciu, w którym ludność podług ewaluacyi, na zasadzie wiadomości ogłoszonych z różnych gubernii Królestwa, zwiększyć się miała o 17%⁴⁾, liczba właściwych przestępstw (t. j. z pominięciem wykroczeń ustawy gminnej i t. d.) zwiększyła się o 64%, obwinionych o 70,4%, aresztantów o 45%; wreszcie, skazanych prawomocnie na kary (zaczęto ich wykazywać szczegółowo dopiero od r. 1864) w ciągu tego okresu, podniosła się od 5507 do 11,987 a więc o 118%. Czyli że biorąc przecięciowo wszystkie

¹⁾ Ludność Królestwa w r. 1816 wynosiła 2,717,287 dusz, w r. 1822 3,658,729, w r. 1830 (właściwie w końcu r. 1829) 4,137,634.

²⁾ Minimum ludności w tym okresie przypada na koniec r. 1831: 3,762,003 dusz; maximum na r. 1846 4,867,129.

³⁾ W skutku nieurodzajów, epidemii i różnych t. p. klęsk, ludność Królestwa zmniejszyła się w tym okresie z 4,851,639 dusz (r. 1851) do 4,673,918 (r. 1855), odtąd zaś zwiększyła się do r. 1862 na 4,972,193. Obliczenie z końca r. 1863 dało 4,986,230, ooby znaczyło wzrost ludności mimo okoliczności, któreby raczej ubytku jej apodziewać się kazalo. Co przedewszystkiem jednak dowodzi niedokładności dawniejszych obliczeń. (Por. Materiały do stat. Król. p. R. Wierzohlejskiego w *Ekonomiście* 1867. I z. 94.

⁴⁾ W r. 1865 ludność ta była obliczona na 5,319,363, ewaluacya pod koniec r. 1872 daje 6,193,712 dusz.

powyższe dane ze statystyki kryminalnej (t. j. liczbę spraw, obwinionych i t. d.) i zestawiając je z rezultatami ruchu ludności, znajdujemy w sumarycznym rachunku, że w pierwszym okresie wzrost przestępstw mało co jest większy od przyrostu ludności. W II-im przestępstw przybyło blisko 6 razy więcej niż ludności, w III-im, blisko 3 razy, w ostatnim zaś przeszło $3\frac{1}{2}$ razy. Jeżeliby się jednak zdawało, że rezultat ostatniej epoki jest mniej niekorzystny niż lat 1832/48; to po bliższem rozpatrzeniu, téj pociechy odmówić sobie wypadnie. Pomijając to że cyfry obwinionych i aresztowanych z lat 1842, 1843 i następnych, widocznie przesadzone, na błędnym muszą opierać się rachunku, jak również to że przyrost aresztantów w poprzednich 3 okresach (jeżeli nawet obliczenie jest rzetelne) ma daleko mniej wagi, gdyż w téj liczbie (jak powiedziano wyżej) większą część stanowią aresztowani policyjnie, częstokroć bez pewnych poszlak przestępstwa. Zwrócić musimy uwagę, że w żadnym okresie wzrost przestępstw nie jest tak ciągły i stanowczy, jak w ostatnich 8-u latach. Owszem w epoce która poprzedziła r. 1863, widzié się dawało polepszenie, które (jak pokażemy w swoim miejscu) było nie tylko co do ilości ale i jakości przestępstwa. Rezultat niewątpliwie, tak sprzyjających dobrobytowi mieszkańców okoliczności, jak rozbudzać się zaczynającego życia społecznego, które aż do najniższych warstw społeczeństwa poczęści przenikało. Choć nie możemy zataić tego, że w szczególności w latach 1861 i 1862 znaczne zmniejszenie się liczby obwinionych tak z wolności jak z aresztu odpowiadających, wyjaśnia się poczęści zaprowadzeniem ustawy gminnej, która znaczne stosunkowo do Kodeksu kar z r. 1847 złagodzenie kar za pomniejsze wykroczenia zaprowadziła, oraz i deferowaniom burmistrzom lub wójtom gmin niektórych spraw o podobne wykroczenia ¹⁾. Jeżeli w każdym razie zmniejszenie się owo liczby przestępstw jest świadectwem pewnego polepszenia moralnego, to znaczniejsze jeszcze zmniejszenie, w latach 1863 i 1864 świadczyłoby raczej o osłabieniu moralném, które w epoce zaburzeń czyni znacznie większym wymiar sprawiedliwości ²⁾. Przedewszystkiem wszakże potrzebaby było oznaczyć w jakiej mierze działanie władz sądowych ścieśnione zosta-

1) Postanowienie Rady Administracyjnej d. 11 ozerwca 1861 roku o tymczasowej jurisdycyi burmistrzów i wójtów gmin.

2) Pokazuje to także r. 1831, w którym liczba spraw karnych stosunkowo do poprzedniego r. zmniejszyła się o 60%, oczywiście nie w skutku polepszenia się moralnego. Takież znaczenie w wielu krajach Europy Z-éj miało zmniejszenie się liczby przestępstw w r. 1848; cf. Oettingen, Die Moralstatist. Erlangen 1868—71 II Bd. s. 702.

ło zaprowadzonym w końcu r. 1863 ¹⁾ stanem wojenno-policyjnym, który jurysdykcją wojskową rozszerzył, aż na sprawy z prywatnych stosunków wynikłe.

II. Ruch przestępstw podług głównych ich podziałów.

§ 6. Z tego, co się wyżej powiedziało, trudno wątpić, że w naszym kraju przestępstwa mnożą się ciągle, jakkolwiek wykazy lat 8 ostatnich, przedstawiają znacznie mniejsze od dawniejszych cyfry spraw, przestępstw i obwinionych. Co jest tém bardziej uderzające, że (o ile polegać można na danych nie zawsze należycie sprawdzonych), w większej liczbie krajów Europy uważają raczej zmniejszenie się, niż zwiększenie zbrodni ²⁾. Powszechnie zaś obserwują w Europie zmniejszanie się, przynajmniej względne *przestępstw dotyczących własności*, obok zwiększenia się *przestępstw dotyczących osób* (t. j. życia, zdrowia, czci i t. d. ³⁾. A obiedwie te kategorie, przedstawiają się w następującym stosunku.

	Przest. dotycz. osób.	Przest. dotycz. własności.
W Prusach ⁴⁾ w r. 1854	8,90%	88,41%
1855	8,04	88,93
1856	9,32	87,6
1857	13,81	81,52
1858	17,03	77,92
1859	16,63	78,17
1862	15,8	44,3
1863	17,	41,6
1864	18,14	41,6
1865	17,7	38,5

¹⁾ Stan wojenny ogłoszony wprawdzie został d. 14 paździer. r. 1861, ale wiadomo że na bieg spraw prywatnych interesów dotyczących, bynajmniej to nie wpłynęło. Inaczej rzecz się miała, gdy z końcem r. 1863 cały kraj podzielony został na mnóstwo drobnych okręgów wojskowych, których naczelnicy otrzymali dyskrecyonalną władzę, jaką dopiero od jesieni r. 1864 ograniczać zaczęto.

²⁾ Hausner. Vergleich. Statist. Lemberg 1865. Bd. 1. s. 138 fg, Cf. Oetting. lib. cit. 3, 699, 740. W szczególności liczba przestępstw zmniejszyła się miała w Anglii, we Francyi, Belgii i Niderlandach; w mniejszym nieco stopniu: w Bawaryi i Wirtembergu, w Prusach, Badeńskiem i Szwajcaryi mało, zaś w Saxonii, Austrii i Rossyi (Oetting. 734), okazuje się wzrost przestępstw. W Austrii szczególnie niekorzystny postęp objawia Galicya!

³⁾ Hausner lib. cit. s. 141 i Oetting. s. 700.

⁴⁾ Archiv für Preus. Strafr. Berlin 1867 s. 322. 398. Oetting. s. 718/9.

	prz. osobom	prz. własności	
W Bawaryi 1862/3	38,38	33,16	
	1864 36,16	37,72	
	1865 36,55	39,79	
	1866 33,42	41,18	Szczególniej też
			prz. osobom prz. własności
we Francyi ¹⁾	1826—1834	25,6%	74,4%
	1836—1844	31,8	68,2
	1845—1850	32,8	67,2
	1850—1855	33,1	66,9
	1856—1860	38,	61,3
	1861—1865	42,9	57,1
W pewnym stopniu także i w Anglii ²⁾ :			
	r. 1858	4,8	89,5
	1859	4,5	89,9
	1860	4,34	84,1
	1861	4,79	90,
	1862	5,1	89,01
	1863	5,51	87,4
	1864	5,0	87,6

§ 7. Ogólnikowe wszakże te wykazy, zbyt słabe podają wskazówki, co do jakości przestępstwa, tém bardziej, że określenie każdej z tych dwóch kategorii, jest niejednostajne, gdy np. wykazy francuzkie podciągają pod nie ogół przestępstw; angielskie i pruskie wyróżniają jeszcze przestępstwa, dotyczące obyczajów i niektóre specyalne (np. wykroczenia służbowe urzędników), bawarskie nadto wydzielają z przestępstw, dotyczących własności, wykroczenia skarbowe, do przestępstw zaś przeciw osobom, doliczają niektóre występki obyczajowe, przestępstwa polityczne i samowolność. Kolumna przestępstw przeciw własności w wykazach pruskich z lat 1854—1859 obejmuje także wykroczenia skarbowe, które są wyłączone z wykazów lat 1862—1865. Bez tych uwag, wydałoby się niepojęte, że np. przestępstwa, dotyczące własności, w Prusach tworzą przeszło 2 razy większy %, niż w Bawaryi, przestępstwa zaś dotyczące osób na odwrót. Wielka przewaga przestępstw, dotyczących własności, w wykazach angielskich pochodzi ztąd, że one obejmują tylko ciężkie przestępstwa, gdy, jak wiadomo, obelgi i lekkie uszkodzenia zdrowia, są najpospolitszymi wykroczeniami praw osobistych ³⁾.

¹⁾ Oetting. l. c. s. 700 i Legoyt. Resumé 10-nal de la Just. Cr. w Alman. d'Economie polit. 1863 p.

²⁾ Elliot. Statist. Journ. 1868 Sept. i Oetting. 709 fg.

³⁾ Tak np. u nas przed r. 1864, gdy wykazywano wszelkie najdrobniejsze nawet wykroczenia do wiadomości sądów doszły, obelgi i potwarze stanowiły blisko $\frac{1}{3}$ ogółu przestępstw, a przeszło $\frac{2}{3}$ przestępstw dotyczących praw osobiatych. W r. 1860 na 34,533 przestępstw tej kategorii, obelg liczoneo 27,221; w r. 1859 na 35,208, obelg 28,860. W Anglii przeciwiocwo rocznie wykroczeń takich liczy się 65—66 tysięcy.

Wyszczególnienie mniej więcej dokładne oddzielnych przestępstw, wykazy nasze dają dopiero od r. 1848. Ze względu na niedokładność podziału ogólnego przestępstw na 2 kategorie wyróżniamy ich 4, przedstawiając summę każdej w odsetkach dla ułatwienia porównania:

R o k		P r z e s t ę p s t w a p r z e c i w							
		Praw. osobistym		Prawu własn.		Urząd. i porz. publicznemu		Religii i obywatelności ¹⁾	
Okres III.	2) 1848	25395	50,03 ⁰ / ₀	21609	41,87 ⁰ / ₀	3741	7,16 ⁰ / ₀	917	1,77 ⁰ / ₀
	1849	27536	53,29	20541	35,64	5559	9,35	945	1,72
	1850	30280	50,43	20576	36,5	6180	11,35	996	1,72
	1851	30035	45,11	22620	41,24	8447	12,02	1019	1,63
	1852	29098	44,06	24820	42,29	9019	11,92	1092	1,73
	1853	30050	45,6	25204	41,24	8010	11,56	1091	1,6
	1854	24900	40,	29081	46,65	7617	12,03	825	1,32
	1855	22483	44,05	22998	44,5	5278	10,01	796	1,54
	1856	25302	42,8	26874	45,	6991	10,55	871	1,65
	1857	29882	51,6	19934	34,43	6984	12,24	1022	1,73
	1858	31442	53,64	18989	32,2	6891	12,03	1252	2,13
1859	35208	56,	18806	30,04	7305	11,88	1296	2,07	
1860	34533	55,19	19445	30,69	7895	11,97	1241	2,04	
Stos. śred. z lat 13:		29088	48,59	22423	38,55	6887,46	11,18	1028	1,68
Okres przejści.	1861	28478	50,04?	18324	32,24?	8936	15,73?	1078	2,09?
	1862	14598	44,37	14464	37,3	8786	16,02	896	2,31
	1863	15945	43,08	11785	38,02	5865	16,35	877	2,55
	1864	14197	47,	10897	38,62	4041	12,3	618	2,08
Stos. śred. z lat 4		18304	44,816	13867,5	34,813	6907	14,44	867	2,26
Okres IV.	1865	4390	28,7	6931	45,17	3992	20,31	1043	6,82
	1866	4133	24,59	7881	44,47	5321	26,92	1031	5,92
	1867	4286	23,75	7385	36,51	5826	35,42	747	4,32
	1868	4587	22,36	8564	43,04	5778	31,23	834	4,43
	1869	5904	23,22	7975	38,	6058	34,41	938	4,47
	1870	5101	23,21	6617	31,5	8576	42,36	993	4,93
	1871	5769	26,22	7413	33,77	5678	35,45	981	4,66
1872	6271	25,3	9341	38,28	7998	31,65	995	4,87	
Stos. śred. z lat 8		5055	24,271	7763,4	38,422	6403,4	32,218	945,3	5,089
St. śr. z lat:		15815,7		14414,5		6950,45		963,43	

¹⁾ W wykazach za rok 1848 znajdujemy ogólną cyfrę przestępstw 60,361; w sprawozdaniu zaś wydziału kryminalnego 47,782. Tymczasem summa wykazanych czynności karnych daje 51,663. W obec widocznej niedokładności rachunku, trzymamy się tej ostatniej cyfry, jako pośredniej.

²⁾ Tu zalicza się, oprócz przestępstw objętych działami II i XI, oraz

§ 8. Na pierwszy rzut oka uderza tu różność stosunku, jaki się przedstawia w okresie IV-ym od poprzednich. Pochodzi ona przedewszystkiém z odmiennego sposobu obliczania. Już powiedzieliśmy, że wysokie cyfry przestępstw w dawniejszych wykazach, pochodzą z zaliczenia drobnych wykroczeń, dotyczących osób i własności prywatnej, które z wydaniem ustawy gminnej, w części już od r. 1861, zupełnie zaś od r. 1865 z wykazów pominięto ¹⁾. Jeżeli zważymy, że obelgi do ustawy gminnej odnoszące się stanowiły blisko $\frac{2}{3}$ ogólnej summy przestępstw dotyczących osób ²⁾; to łatwo zrozumiemy, że kolumna ta już od roku 1861, zmalała o 10%⁰ blisko, (choć w rzeczywistości przestępstw takich nie ubyło w latach 186 $\frac{1}{4}$), a przeszło do połowy od r. 1865. Za tém zmniejszeniem się 1-jej kolumny, musiało pójść stosunkowo zwiększenie 3-ch pozostałych. Tym sposobem liczba przestępstw przeciw własności w latach 186 $\frac{1}{4}$, wydaje się stosunkowo większą, niż w poprzednim okresie, choć w rzeczywistości zmniejszyła się, jak to pokazują zresztą cyfry bezwzględne. W wykazach zaś okresu IV-go, oprócz spraw obelgowych (do Ust. Gmin. odn.) pominięte są sprawy o dochodzenie przyczyny nagłej śmierci, co razem stanowiło niemniej $\frac{3}{4}$ ogólnej liczby przestępstw p-w osobom, w dawnych wykazach. Ubytek ten kompensują wprawdzie niektóre wykroczenia p-w własności, np. drobne kradzieże, szkody polne i leśne i t. p., które po wsiach rozpoznają sądy gminne, a po miastach, lubo przez zwykłe sądy rozpoznawane, szczegółowemi jednak wykazami nie są objęte: takie zaś wykroczenia stanowić mogły w wykazach do r. 1864 blisko $\frac{2}{3}$ ogólnej cyfry przestępstw, dotyczących własności. Dla zrównoważenia więc nowszych wykazów z dawniejszemi, wypadaloby z kolumny 1-jej odtrącić 25—30%⁰, a widoczném byłoby, że przestępstwa, dotyczące własności, które po r. 1865, są przynajmniej o $\frac{1}{3}$ liczniejsze od osobistych, również stanowczą miały przewagę i w dawniejszych latach. Jakkolwiek zaś w wykazach ostatniego okresu bezwzględne cyfry przestępstw 3-jej i 4-jej kolumny nie są większe, niż w okresie III-im, przy względzie zaś na liczniejszą ludność, mniejsze, (co wszakże pochodzi głównie z większej ścisłości w obliczaniu, jak to się wyżej powiedziało ³⁾); wszelako stosunkowy ich poczet jest tak znacznie większy (mianowicie w kolumnie 4-jej, blisko $2\frac{1}{2}$ razy większy, niż w okr. III-im, w kolumnie 3-jej przeszło 3 razy), iż trudno wątpić, że przestępstwa tych kategorii szczególniej zaś w kol. 3-jej zamieszczono

art. 715—735 włącznie K. K. spędzenie płodu i przestępstwa przeciw oził i wstydnemu niewiast.

¹⁾ Porówn. § 5 niniejszego pisma. Nieuwzględnienie różnic w skali obliczania, nieraz dało powód do błędnych wniosków przy porównaniu danych z różnych krajów. Oetting. s. 706 w odsyłaczu.

²⁾ Porówn. przyp. (1) do § 5 i przyp. (1) do § 7.

³⁾ Porówn. § 5 i przyp. (2) do tegoż §.

ne, *musiały się zwiększyć*, iż zwiększenie to znaczniejsze jest, niż przyrost ludności. Lepiej tę rzecz wyjaśni ruch przestępstw, uważany w każdym okresie z osobna.

§ 9. I tak w okresie III-im kolumna I przedstawia postęp malejąco-rośnący, któremu odpowiada takiż, lubo mniej wyraźny ruch w kol. IV-ój, podczas gdy kolumna II przedstawia kierunek wprost odwrotny, kolumna III zaś od r. 1850 przynajmniej, utrzymuje się mniej więcej w mierze. Do r. 1856 przestępstwa dotyczące praw własności, zdają się zwiększać przy stosunkowem zmniejszaniu się liczby przestępstw, dotyczących praw osobistych a poniekąd religii i obyczajów. Odtąd ma się wprost przeciwnie. Jest to zapewne skutek stale pomyślnych urodzajów i polepszenia bytu materialnego w latach 1856/62, po poprzedzającej, ciężkiej 7-mce, w której zwłaszcza lata 1851, 1852, 1853, 1855, różnemi klęskami materialnymi odznaczone, wywoływały wraz z nędzą ludu występne czyny przeciw własności. Jak to już powiedzieliśmy, mimo pozorną różnicę pod względem stosunku przestępstw osobistych do majątkowych, okres przejściowy jest dalszym ciągiem 2-ój połowy okresu II-go. Widoczny wzrost przedstawia tu tylko kolumna III-a, co objaśniają ówczesne okoliczności, mianowicie duch niesforności, jaki w latach 1861 i 1862 objawiać się zaczął w niższych klasach ludności, szczególnież wśród włościan, w obec oczekiwanej zmiany stosunków włościańskich ¹⁾. W okresie VI-ym stosunek przestępstw objętych kol. 1-ą do II-ój, mało co się zmienił w ciągu lat 8. Urodzaje ciągle prawie mierne, a nawet złe i wzrastająca drożyzna w znacznie większym stosunku, niż płaca zarobkowa, tłumaczą wydatniejszą, niż w poprzednich latach przewagę przestępstw kol. 2-ój nad 1-ą, choć w rezultacie przyrost w tej ostatniej kolumnie, był nieco większy. I tak przestępstwa osobiste zwiększyły się o 38%, majątkowe o 35%. Przestępstwa kolumny IV-ój okazują pewne, choć bardzo nieznaczne (1,08%) zmniejszenie. Natomiast uderzającym jest rezultat, jaki przedstawia kolumna III. Wprawdzie stosunek odsetkowy, jaki tu przedstawia ta kolumna w porównaniu do lat poprzednich jest w znacznej części skutkiem odmiennych skali obliczania, albowiem w skutku pominięcia obelg i drobnych wykroczeń przeciw własności prywatnej, przestępstwa dotyczące władz rządowych i własności skarbowych, musiały koniecznie zająć tu bardziej przeważne miejsce, co już po części miało miejsce w latach 1861/4, w których przecież liczbą takich przestępstw widocznie zmniejszała się po burzliwym r. 1861. Można także zauważać, że jak to ostatnie zmniejszenie jest skutkiem pewnego osłabienia czynności władzy publicznej, tak wzrost przestępstw tej kategorii w ostatnim okresie dowodzi wzrastającej energii tej władzy, coraz silniejszej represji czynów, powadze jej i działaniu przeciwnych. Objasnienie to

¹⁾ Por. Sprawozdanie urzędowe wydziału kryminalnego za r. 1861.

wszakże wystarczałoby tylko w takim razie, gdyby szło jedynie o stosunkową przewagę téj kategorii w okresie IV nad poprzedniemi. Ale tu idzie głównie o nadzwyczajny wzrost téj kategorii przestępstw w ostatniem 8-leciu (przeszło 10²/₀); a z tego względu, szukając podstawy w odmiennym od lat dawniejszych sposobie działania organów władzy publicznej, trzeba byłoby przyjść do wniosku, że energia ich, dotąd przynajmniej, wydała skutek ujemny: silniejsza represya pociągnęła za sobą tylko silniejszy opór resp. coraz większe naruszenie tych praw i urzędzeń, które najmocniej ochraniać być miały.

Zresztą zwiększenie się wykroczeń przeciw władzom i urządzeniom publicznym nie jest zjawiskiem, jednemu tylko naszemu krajowi właściwem. Zaznacza go statystyka policyjno-karna wielu krajów niemieckich, szczególnie Bawaryi ¹⁾, także Austrii i Francji (od r. 1826), podobnież w Cesarstwie Rosyjskiem ²⁾. Ale jakkolwiek niejednostajność skali obliczeń, nie pozwala na ścisłe porównanie, trudno jednak wątpić, że ta kategoria przestępstw, nigdzie może nie stanowi tak wielkiej proporcji, jak w naszym kraju od r. 1865. I tak przestępstwa te stanowią:

w Anglii	(w latach 1861/3)	8,22% ogółu przestępstw.
w Bawaryi	(„ 1862/6)	12,18
w Kr. Pols.	(1848 — 1864)	12,31
we Francji	(1826 — 1866)	13,86
w Prusach	(1860 — 1864)	16,71
w Saxonii	(1860 — 1863)	16,85
w Rosyji	(w lat. 1857, 1860/3 i 1872)	22,3
w Kr. Pols.	(w lat. 1865 — 1872)	32,218

Dawniejszy więc stosunek u nas podobny jest do tego, jaki przedstawiają w ogóle kraje Europy zachodniej; stosunek z ostatnich 8-u lat, jest prawdziwie wyjątkowy. Coś podobnego znajdujemy jedynie w wykazach Cesarstwa Rosyjskiego za dawniejszej procedury, kiedy osobliwie w latach 1860/63, wykroczenia téj kategorii stanowiły około 30% ogółu przestępstw ³⁾. Z tego względu nie można

1) Ob. Oetting l. c. s. 716 i Meyer. Stat. der gerichtl. Polizei. München 1867.

2) I tak w okresie lat 1826/30 wykroczenia te stan. 6% og. przest.
 od 1831—35 7,33
 1836—40 9,69
 1841—45 11,12
 1846—50 13,41
 1851—55 16,7

(Legoyt l. c. p. 136)

3) Ob. Oetting. s. 735. Wykazy z lat 1857 i 1872 (mimo zaprowadzenia w tym ostatnim ściślejszej metody) są niezupełne. Por. Sprawozd. o Wykazach tego ostatn. r.

zaprzeczyć tu pewnego wpływu instytucjom r. 1864 i następnych, mającym na celu, jak wiadomo, zlanie zupełne Królestwa z Cesarstwem.

§ 10. Należyte wszakże ocenienie znaczenia téj kategorii, wymaga wykazania udziału w niéj każdego rodzaju objętych nią wykroczeń. I tak w ogólnej liczbie stanowią:

	W okr. z lat 1848—62		W okr. z lat 1865—72	
	przeciętowo rocznie	na 100 przest. téj kategorii	przeciętowo rocznie	na 100 przest. téj kategorii
1. Opór władzy i samowładność.	1614	23,44	841	13,69
2. Samowolne opuszczenie kraju.	63	0,92	503	5,33
3. Znieważenie władz i urzędników.	768	11,33	667	11,
4. Wykroczenie urzędników w służbie rządowej.	732	10,64	816	13,18
5. Naruszenie powinności wojskowej.	228	3,31	768,4	12,09
6. Fałsz stępli, monet i biletów kredytowych. . .	70	1,01	300,9	4,85
7. Defraudacye celne. . .	354	5,15	244,1	4,01
8. Inne wykroczenia przeciw własn. skarb. . .	36	0,52	1434,	22,41
9. Tułact. i włóczęgostwo.	848	12,41	242,3	4,0
10. Ważn. wykroczenia porządku policyjnego. .	1051	15,46	586,5	9,53

Znaczne zmniejszenie się w ostatnim okresie liczby wykroczeń pod pozycyą 1-ą i 9-ą, daje się wytłumaczyć tém, że Wykazy lat dawniejszych zaliczały tu mnóstwo drobnych wykroczeń, które obecnie odnoszą się do Ustawy gminnej, a po wsiach podlegają jurysdykcyom gminnym. Nie ulega zaś wątpliwości, że liczba takich wykroczeń jest znacznie większa niż tych, do których Kod. kar gł. i popr. ma zastosowanie. Z innych przestępstw niniejszój kategorii, poz. 3-a nie przedstawia widocznej zmiany, biorąc pod uwagę to, że w ostatnim okresie obliczanie było ściślejsze, co raczéj *zmniejszenie*

Winniśmy taż nadmienić, że rubryka przestępstw téj kategorii w Wykazach krajów zachodnio-europejskich, obejmuje przestępstwa polityczne wcale niefigurujące w wykazach naszego kraju, wktórym od r. 1833 przestępstwa te nie należą do kompetencyi zwyczajnych sądów.

niż *zwiększenie* cyfry pociągnąć za sobą mogło ¹⁾. Tylko w pozycyi 7-jej można już przyznać pewne polepszenie w ostatnich latach: ściślejszy dozór celny utrudnił rzemiosło przemytników. Jeżeli zaś nadzwyczajny wzrost w poz. 9-jej datuje szczególnie od r. 1866, w którym zaprowadzona została ustawa o akcyzcie, i pochodzi od pomnożenia się wykroczeń przeciw tej ustawie, to wzrost przestępstw nr. 6. doniosłością następstw nietylko dla skarbu, ale dla całego społeczeństwa, najważniejszych może w całej tej kategorii, na szczególną zasługuje uwagę. Względne zmniejszenie się, zapewne szkodliwego i demoralizującego przemytnictwa, małym jest zyskiem dla powszechności w obec niebezpieczeństwa dla własności i kredytu, jakie przynosi 5-krotne pomnożenie się fałszerstw waluty pieniężnej.

Znaczącym jest także wzrost w poz. 5-jej. Nie usprawiedliwia go dostatecznie zawieszenie pobora w latach: 1857—1861, gdyż nawet za pominięciem tychże, przecięciowo roczna liczba wykroczeń tego rodzaju (w latach: 1848—1856) będzie przeszło o 153% mniejsza od przecięciowej z ostatnich lat 8-u.

§ 11. Bardziej jeszcze uderzającym niż ta różnica jaką ten ostatni okres przedstawia w porównaniu do lat poprzednich, jest wzrost prawie coroczny wszystkich niemal wykroczeń tej kategorii od r. 1864. I tak:

	Było wykroczeń w latach:								Przyrost od r. 1865 w procent.
	1865	1866	1867	1868	1869	1870	1871	1872	
1. Opór władzy i samowładność.	484	538	550	672	798	775	839	907	89%
2. Samowolne opuszczenie kraju.	19	667	127	58	224	589	353	586	298,0
3. Znieważenie władz i urzęd. .	403	529	649	602	802	783	694	666	65,2
4. Wykroc. w porząd. służb. publ.	497	522	837	1054	993	889	1001	855	72,
5. Naruszenie powinności wojsk.	145	306	417	672	873	738	768	1328	816,
6. Fałszowanie mon. i bil. kred.	84	168	187	296	268	413	351	337	301,
7. Inne wykroczenie skarbowe. .	277	272	927	1421	1571	3549	3044	2308	740,4
8. Ważn. wyk. porządku polic. .	652	670	774	1129	726	676	707	872	33,74

Tak nadzwyczajny, a w niektórych pozycjach stały, coroczny przyrost występów odbiera możność odwoływania się do przyrostu ludności, który w ciągu tego czasu co najwyżej na 13% obliczany być może. Ten wzrost przestępstw uzasadnia wyrażone powyżej przekonanie, że liczba ich w ostatnim okresie jest większa niż w poprzednich, nawet w tych pozycjach, w których cyfry wykazane są mniejsze. Bo jestże prawdopodobnem, żeby w r. 1865, w którym ludność kraju

¹⁾ Por. uwagi oo do tej materji w § 5.

wynosiła 5,330,000, występów samowładności i innych t. p. miało być przeszło $2\frac{1}{2}$ razy mniej niż lat 12 przedtém, gdy ludność o $\frac{1}{5}$ przeszło była mniejsza? Tłumaczenie stanem wojenno-policyjnym ścieśniającym działalność władz cywilnych resp. cywilno-sądowych, nie zaspakaja kwestyi, gdyż w r. 1863, w którym stan ów *de facto* w większej części kraju panował, liczba przestępstw *quaestionis* była jeszcze przeszło dwa razy znaczniejsza niż w r. 1865. Zresztą stan ów dotychczas formalnie odwołany nie został, a w skutku tego, oraz z mocy art. 58—62, 30—35 Ust. przechodniój do Kodeksu 1847 roku, jakoteż różnych specjalnych instrukcyi, wiele ważnych nawet wykroczeń niniejszej kategorii, ulega załatwieniu poza obrębem zwykłych sądów.

Charakterystycznym jest stosunek jaki zachodzi między postępem w pozycyi 3-ój, a 4-ój. W obydwóch daje się dostrzegać postęp rosnąco-malejący, z tą małą różnicą, że maximum wykroczeń w poz. 3-ój przypada na r. 1869; w poz. 4-ój zaś na 1868, przytém postęp malejący w drugie połowie 8-lecia zatrzymuje się w r. 1871, który przedstawia przewyżkę nad rokiem poprzednim. W każdym razie znaczącą jest analogia tych dwóch pozycy, która jakby okazuje że poszanowanie osób będących organami władzy publicznej, odpowiada stopniowi zaufania na jakie te osoby zasługiwać się zdają.

Niewątpliwém jest, że na pomnożenie się przestępstw nr. 4. w ostatniém 8-leciu ¹⁾, wpłynęły instytucye włościańskie 2 mar. 1864 r. Blisko półowa tych przestępstw spełnia się na wsi, a więc prawdopodobnie przez urzędników gminnych, inne bowiem władze wyjątkowo chyba tam przebywają. Instytucya wójtów wybieralnych z pośród włościan, zaprowadzona nagle i w okolicznościach wyjątkowych, musiała wywoływać i ciągle wywołuje wiele nieregularności. Odpowiedzialność jaką pociągają za sobą dosyć rozległe atrybucye nadane tym indywiduom, z trudnością pogodzić się daje z ciemnotą i zupełnym brakiem ducha obywatelskiego, dosyć naturalnym w tój klasie. Trudnoby jednak utrzymywać, że w takiéjże proporcyi, albo chociażby mniejszej, nastąpiło polepszenie w innych warstwach klasy urzędniczej. Jeszcze mniej można tłumaczyć powiększenie się występów tego rodzaju, pomnożeniem się ogólnej liczby osób tój klasy. Ustawa

¹⁾ Pomnożenie się to, widoczne mimo przesadzonych cyfr dawniejszych wykazów ma jeszcze więcej znaczenia, jeżeli zważymy że ono dotyczy głównie ważniejszych przestępstw tego rodzaju, jakoto: nadużycie władzy, fałsz w urzędowaniu, branie datków i sprzedajność. I tak ciężkich takich przestępstw tego rodzaju w okresie 1848—1862 przypada rocznie 229, w okresie 1865—1872: 423 t. j. blisko dwa razy więcej. Od r. 1849 do 1862 liczba takich przestępstw zmniejszyła się o 46,1⁰%, w latach 1865—1872 zwiększyła o 64,6⁰%.

2 marca nie stworzyła nowych urzędów, zmieniła tylko charakter i atrybucyę dawniejszych; przybytek pisarzy gminnych skompensowało zmniejszenie liczby gmin. Reformy mające na celu zniesienie administracyjnej autonomii Królestwa *ex principio* dążyć musiały do zmniejszenia liczby osób mających być organami rządu w tém Królestwie. Zresztą, gdyby mimo tego wszystkie, personel urzędniczy miał być rzeczywiście liczniejszym obecnie niż za dawnych urzędzeń, to tłumaczyłoby mogło przewyżkę wykroczeń tego rodzaju w obecnym okresie, stosunkowo do poprzednich, ale nie wzrost ich liczby od początku obecnego okresu.

W obec powszechnego zajęcia się reformą wojskową, szczególnież myślą pomnożenia siły zbrojnej, na uwagę rządu zasługuje wzrost wykroczeń dotyczących powinności wojskowej. Można powiedzieć, że żadne przestępstwo w wykazach 8 lat ostatnich nie przedstawia tak znacznego i stałego postępu ¹⁾.

Z tego względu i przyrost wykroczeń przeciw obowiązkowi poddaństwa (samowolne opuszczenie kraju) zasługiwałyby na pewną uwagę, jako objaw względnego zadowolenia czy niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy. Wszelako, jakkolwiek liczba tych wykroczeń wielokrotnie zwiększyła się od r. 1865 i przecięciowo w trójnasób większa jest w tym okresie niż w poprzednich, niema tu jednak podstawy do wyprowadzenia stanowczego wniosku: pierwsze, że emigracja jest jeszcze u nas bardzo szczupła w porównaniu z innymi krajami (np. sąsiednie Niemcy); po drugie, że największa część spraw tych sądzona jest zaocznie, częstokroć w znacznym upływie czasu po spełnieniu inkryminowanego czynu: wykazy więc roczne nie są właściwą miarą postępu téj gałęzi kryminalności. To nawet i tłumaczy wielką nieregularność w wykazach co do tego przestępstwa, gdy np. z liczby 19 (r. 1865) podniosły się do 667 (r. 1866) i spadły we dwa lata potem do 58.

Wspomnieliśmy już (§ 10) o zmniejszeniu się w obecnym okresie wykroczeń celnych a pomnożeniu występków fałszowania waluty. Co do pierwszych, które okazują stały ubytek od r. 1867 zauważyć winniśmy, że one tylko do pewnego stopnia dochodzą do wiadomości władz sądowych, te z nich mianowicie, które dla trudności w wykryciu winy nie dają się załatwić porządkiem administracyjnym. Tém większej jest doniosłości pomnożenie się w 4-nasób występków nr. 6. Postęp ten jest témbardziej zatrważający, że w przestępstwach tego

¹⁾ Występki w poz. 2-ój, dla wyjątkowego iob charakteru i odrębnej procedury, nie mogą być tu porównywane.

rodzaju, represya karna dla trudności wykrycia rzeczywistego winowajcy, jest bardzo niedostateczną ¹⁾.

§ 12. Ze wszystkich przestępstw najpospolitsza jest u nas *kradzież*. Stanowi ona 26,39% a więc przeszło 1/4 ogółu przestępstw. W innych krajach kradzieże stanowią większy jeszcze stosunek. I tak: we Francyi stanowią one 23,1% ogółu przestępstw, w Bawaryi 35,81%, w Saxonii 38,22%, w Prusach 39,18%, w Anglii 44%, w Rosyji 45,42% ²⁾; Z czego jednak wnosić nie należy, żeby kradzieże były u nas w ogóle mniej liczne niż w innych krajach; gdyż biorąc stosunek do ludności, wypada na 100 tysięcy mieszkańców kradzieży u nas 141,56, podczas, kiedy w Rosyji 140, w Anglii 74,5, we Francyi 68,1; tylko w krajach niemieckich więcej: w Bawaryi 176, w Prusach 217, w Saxonii 228 ³⁾.

Z natury tego przestępstwa wynika, że na pomnożenie lub zmniejszenie jego stanowczy wpływ wywierać musi mniejsza, lub większa łatwość w zaspokojeniu materyalnych potrzeb ludności, a więc mniej lub więcej korzystny stosunek cen żywności do zarobku. Taniósć albo względna taniósć podwyższa stosunkowo płacę zarobkową, bo daje możność zaspokojenia potrzeb życia przy mniejszej stosunkowo pracy, a więc zmniejsza ofiarowanie (podaż) ze strony robotnika. W kraju zaś tak przeważnie rolniczym jak tutejszy, regulatorem wszystkich tych stosunków jest rezultat żniwa.

Pokazuje to następująca tablica:

¹⁾ Ze wszystkich przestępstw, najmniejszy stosunek skazanych do obwinionych, przedstawia właśnie fałszowanie monety i papierów kredytowych. Gdy na ogół przestępstw z liczby obwinionych, skazani do uwolnionych dla braku dowodów są jak 4,326 do 5,674, w przestępstwie *quaestionis* stosunek ten jest jak 102 do 898, t. j. być może, blisko 9 na 10 tego rodzaju przestępców unika kary.

²⁾ Porównaj co do Prus: Archiv. f. Preus. Strafr. 1867, s. 322—398 i art. Statist. d. Preus. Schw. Ger. w tymże r. i nast. Co do Saksonii: Jahrb. d. Deutsch. Rechtswis. II, Bd. s. 267—9. Co do Francyi i Anglii tablice Guerry'ego w dziele: „Statist. mor. de l'Anglet. comp. a celle de France.” Paris 1864, fol. Także, oraz co do innych krajów: Legoyt. La France et l'étr. 2-e ed. Paris 1865. Ootting. lib. dic. Bd. II, s. 693 fg. Hausner. Vergl. Stat. s. 162. Bd. I.

³⁾ Dla zbliżenia do naszych wykazów, liczyliśmy tu przestępstwa rozpoznawane przez sądy poprawcze zarówno jak i przez sądy przysięgłych.

Rok	Ilość kradzieży		Ogólny stan urodzajów z roku poprzedniego	Średnio ceny tax (warszawskie 4-ch g. zboża ¹⁾ .) za czwart. ros. kopiejek
	bezwzględna	% ogółu prze- stępstw		
1848	14061	32,49	Nieurodzaj; zaraza na ziemniaki. . .	428 ² / ₄
1849	13977	25,59	Obfity urodzaj. . .	370 ³ / ₄
1850	13577	23,4	Średni urodzaj. . .	415 ¹ / ₂
1851	15151	24,35	Mierny urodzaj. . .	455 ¹ / ₂
1852	16793	25,06	Nieurod. ziemniaków.	540 ⁵ / ₈
1853	17629	27,39	Mierny urodzaj. . .	619
1854	22378	36,18	Powszech. nieurodz.	827 ³ / ₄
1855	16770	32,5	Mierny urodzaj; trwa- nie drożyzny. . .	882 ¹ / ₂
1856	20521	34,2	Nieurodzaj. . . .	934 ¹ / ₂
1857	13925	24,1	Dobry urodzaj. . .	491 ² / ₄
1858	12724	21,7	d-to	435 ¹ / ₄
1859	12299	20,	Średni urodzaj. . .	469 ¹ / ₃
1860	13497	21,46	d-to	576 ¹ / ₄
śred. z lat 13:	15900	26,8		
1861	14365	25,35	Mierny urodzaj. . .	551 ¹ / ₈
1862	10487	27,15	d-to	569 ¹ / ₄
1863	6152	16,16	Dobry urodzaj. . .	502 ¹ / ₃
1864	6781	22,75	Średni; stagn. handl.	458 ³ / ₄
śred. z lat 4:	9443	23,33		
1865	4709	30,77	Urodzaj niższy od miernego. . . .	548 ¹ / ₂
1866	5310	30,57	Nieurodzaj. . . .	682
1867	5556	32,31	d-to	882
1868	6229	33,13	d-to	839
1869	5778	28,	Urodzaj mierny; obfi- tość ziemniaków. .	743
1870	4727	22,19	Urodzaj średni. . .	563 ¹ / ₂
1871	5229	26,91	Urodzaj niższy od miernego. . . .	771 ¹ / ₄
1872	6998	28,45	d-to	780
śred. z lat 8:	5567	29,04		
śred. z lat 24:	10303	26,39		

¹⁾ Bierzemy tutaj oprócz żyta i pszenicy, jęczmienia i ziemniaki, które jak wiadomo dotąd są jeszcze podstawą żywności ubogiej klasy w naszym kraju. Ceny, z których tu podane są przecięciowe, pochodzą z wykazów urzędowych.

Odpowiedzi na pytanie czy kradzieże w ostatnim okresie zmniejszyły się czy powiększyły, szukać należy raczej w odsetkowych cyfrach niż bezwzględnych, skoro, jakto już nadmieniliśmy dawniejsze wykazy obejmują wszelkie drobne nawet kradzieże, domowe, leśne, polne i t. p., które obecnie figurują po części między wykroczeniami Ustawy gminnej, przeważnie zaś, podlegając jurysdykcji sądów gminnych, zupełnie w niniejszych wykazach są pominięte. Nie przesadzimy zaś utrzymując, że liczba takich wykroczeń najmniej trzy razy przenosi liczbę kradzieży w wykazach ostatniego okresu podaną ¹⁾.

W obec wszakże zależności widocznej, ilości kradzieży od czynników czysto-materyalnych, niepodobna nam tu szukać świadectwa lepszej lub gorszej moralności ludu w danej epoce. Porównując jednakże okres IV z III-im, znajdujemy, że owa zależność od rezultatu zbiorów nie jest już tak wielka, jak dawniej, co jest wskazówką nieznacznie obudzającego się ruchu przemysłowego w naszym kraju. Tak w r. 1866 pomimo nieurodzaju poprzedniego lata, liczba kradzieży mało co się powiększyła (tylko o 12,79%), *stosunkowo nawet do ogółu przestępstw, raczej się zmniejszyła, niż zwiększyła*. Objasnia to pewne polepszenie bytu klasy roboczej przy znacznym podwyższeniu płacy zarobkowej, tak skutkiem reformy włościańskiej, która wywołała brak rąk roboczych, szczególnie po wsiach, jako też skutkiem zwiększonych robót publicznych po stagnacyi lat poprzednich. Ta zaś stagnacya sprawia, że lata 1861

wych. Dla braku dokładnej statystyki żniwa, poprzestaliśmy na ogólnym omówieniu stanu urodzajów poprzedniego roku. Wzmianka ta jest jednak niezbędną, ceny bowiem produktów przy znacznym obniżeniu waluty, po r. 1856, szczególnie zaś od r. 1868 nie są dostateczną skazówką wartości rzeczy.

¹⁾ Ewaluacyą tę opieramy na tém, że z liczby 8,577, jaką przecięciowo dają wykazy 8 lat ostatnich, na wykroczenia gminne, większa połowa przypada na kradzieże. Ponieważ te jednak odnoszą się jedynie do ludności miejskiej, która w naszym kraju, podług wykazów z r. 1867, stanowi mniej niż $\frac{1}{4}$ ogólnej ludności krajowej; to biorąc miarę z ilości kradzieży (większych), spełnianych na wsi (przeszło 62% ogólnej liczby), otrzymamy cyfrę około 11500, którą dodałoby należało do przecięciowej liczby kradzieży z ostatniego okresu, dla otrzymania właściwej skali porównania z okresem lat 1848—1860. Summa, z jaką w ten sposób otrzymujemy (około 17,000) pokaże, że cyfry odsetkowe przedstawiają stan rzeczy dosyć bliski rzeczywistości. Nie chcemy przeto powiedzieć, żeby liczba kradzieży pod każdym względem powiększyła się, trzeba bowiem uwzględnić jeszcze przyrost ludności. Nie rozumiemy jednak jakim sposobem autor sprawozdania z wykazów stat. sądowo-karnych za r. 1865 zamieszczonego w „*Ekonomiście*” z r. 1866 t. II, s. 243 i nast. mógł z porównania liczby kradzieży w r. 1865 do dawniejszych, wnieść o wpływie umoralniającego uwłaszczenia włościan? Témbardziej, iż sam przypomina, że tu różnice stanowią wykroczenia gminne (s. 256).

i 1862, pomimo urodzaju i taniości, okazały pewne pogorszenie stosunkowo do lat poprzednich. *Minimum kradzieży* przypada na rok 1863, na co obok obfitości ziemiopłodów i taniości, inne także czasowe przyczyny wpłynąć mogły.

Ostatnie 8-letnie w ogólności pod względem urodzajów przypomina siedm krów chudych Faraona bardziej jeszcze może, niż wielu klęskami materyalnemi odznaczone 7-letnie 1847/55, jakby na przekór pomyślniej 7-ce 1856/63. A jednak rok najcięższego w ostatnim okresie przednowku 1868, który nastąpił po naznaczonym głodem i chorobami r. 1867, pod względem kradzieży znacznie mniej odbiega od średnio-przeciętowej cyfry tego okresu, niż w okresie 1848/60, lata 1854 lub 1856 ¹⁾.

§ 13. (Z innych przestępstw przeciw własności, *rozboje i rabunki*, w okresie lat 1848/62, zmniejszyły się o 44,5%, w ostatnim zaś (1865/72) zwiększyły o 38%, *oszustwa* tam zmniejszyły się o 52%, tu zwiększyły o 13%; tylko występki *gwałtownego owładnięcia nieruchomości* raczej się zmniejszył, niż powiększył ²⁾). Czyny takie częściej miały miejsce na początku niniejszego okresu, równie w latach 1861 i 1862, skutkiem agitacji wśród ludu wiejskiego przy zmianie w stosunkach włościańskich. Same *rozboje*, lubo w ciągu 8 lat (1865/72) zwiększyły się o 38% przeszło; wzrost ten jednakże nie ma charakteru niebezpiecznego; 1), że postęp tu nie jest stały, coroczny (i tak w r. 1871 było tylko 8 rozbojów, podczas gdy w r. 1869—35); po 2-re) przecięciowo-stosunkowa liczba rozbojów, nie jest większa w obecnym okresie od poprzednich. W całym tym przeciągu czasu, najgorzej przedstawiają się lata: 1851, (w którym rozbojów i rabunków było 492), 1852 (424) i 1863 (449) ³⁾. Nie-równie mniej takich gwałtownych zamachów na własność przypada na lata ciężkiego przednowka 1854 (271) i 1856 (222). Co okazuje,

¹⁾ Liczba kradzieży zwiększyła się z r. 1853/4 o 26,70%, z r. 1855/6 o 23,34%, zmniejszyła się zaś z r. 1856/7 o 47%. Maximum różnicy w tym okresie wynosi 60%; tymczasem w okresie ostatnim, różnica ta wynosi tylko 44%. Najznacześniejsze zmniejszenie się kradzieży, było z roku 1869/70 20,70%, powiększenie się zaś z r. 1871/2, 33,50%. Wczesne zbiory i obfitość ziemniaków w r. 1868 były powodem, że mimo ciężkiego przednowka, rok ten przedstawia rezultat mniej niekorzystny.

²⁾ Cyfra z r. 1872, jest ta sama, co z r. 1865; można to więc uważać za zmniejszenie ze względu na przyrost ludności.

³⁾ Cyfry r. 1851 i 1852 podobnie jak z całego owego okresu (do r. 1860) są oczywiście przesadzone. Średnia liczba rozbojów i rabunków w tym okresie jest 287, w latach zaś 1865/72—122. Przy ówczesnym sposobie obliczania, do rabunków zaliczono prawdopodobnie bardzo wiele czynów samowładności, odnoszących się do Ustawy Gminnej.

że złość i dzikość gorsze niż doradczami, niż głód, który wpływa głównie na pomnożenie skrytych zamachów na własność.

§ 14. *Podpalenie* (umyślnie) zmniejszyło się od roku 1848 do 1862 o 28^o/; od roku zaś 1865 do 1872 o 11^o/o. Należy jednak zauważyć, że rok 1865, pod względem pożarów, należy do wyjątkowych. Faktem jest atoli, że *w obecnym okresie podpalenia są o bardzo wiele liczniejsze, niż w poprzednich*. Jakoż w latach 1848/62, stanowiły one 0,52^o/o ogółu przestępstw; w latach 1865/72 1,08^o/o. Wprawdzie stosunek ten ulega sprostowaniu ze względu, że wykazy dawniejsze obejmują wiele drobnych wykroczeń, które ogólną cyfrę przestępstw znacznie pomnażają. Wszakże średnio przecięciowa liczba podpalen z tamtych lat jest 269 z ostatnich 8 u 379. To znaczy, że w ostatnim okresie podpalenia pomnożyły się o 45^o/o. Biorąc też pod uwagę przyrost ludności i porównyując z innymi krajami wypada:

	na 100,000 ludności podpalen:	% ogółu przest.
we Francji	0,47 (w lat. 1825—1855)	0,203
w Anglii	0,64 „ 1834—1856)	0,492
w Austrii	0,83 „ 1856—1862)	0,672
w Prusach	0,95 „ 1860—1864)	1,790
w Saxonii	1,14 „ ditto)	1,300
w Bawaryi	1,37 „ 1862—1866)	1,320
w Kr. Pols.	5,53 „ 1848—1854)	0,462
ibid	4,51 „ 1855—1864)	0,462
ibid	6,6 „ 1865—1872)	1,080
Ces. Ros.	7,16 1857, 1863 i 1872)	3,726

To porównanie pokazuje że pod względem tego, tyle niebezpiecznego przestępstwa, *kraj nasz znajduje się w najniekorzystniejszém położeniu*, od którego gorsze jedno tylko Cesarstwo (Rosyja) przedstawia, a które to położenie tém bardziej jest pożałowania godnym, że złe, jak widzieliśmy, wcale się nie zmniejsza.

Pod względem psychologicznym podpalenie zasługuje na szczególną uwagę w statystyce kryminalnej. Żądza zysku, namiętność, niekiedy nawet pewien rodzaj szaleńczości, czasem łącząc wywołują ten rodzaj zbrodni. Pobudki te tém trudniej mogą być zbadane, że osiągnięcie dowodu, co do umysłu podpalenia, w wielu może w największej liczbie wypadków bywa niepodobne¹⁾. Jest wszakże

¹⁾ Na 100 obwinionych o podpalenie zaledwie 6,85 liczy się skazanych, t. j. przeszło 6 razy mniej, niż w średnioprzecięciowym stosunku ogółu przestępstw. W Bawaryi, gdzie skazani stanowią 86,2^o/o ogółu przestępców, między obwinionymi o podpalenie liczy się tylko 38^o/o.

podstawa do mniemania, że z wymienionych wyżej czynników, drugi przeważną tu odgrywa rolę. O czém sędzić można z objawiającej się skłonności do podpalania głównie w młodym wieku ¹⁾, epoce rozbudzających się namiętności. Powtóre, że *wzrost podpaień nie idzie za postępem kradzieży i innych przestępstw przeciw własności*; że np. w krajach, w których te ostatnie zmniejszają się, zupełnie przeciwnie rzecz się ma ze zbrodnią podpalenia ²⁾. I u nas, lubo uważając peryody po 7 do 8 lat, znajdujemy równoległy postęp kradzieży i podpalenia: inaczej się atoli rzecz przedstawia przy rozważaniu pojedynczych lat ³⁾. Tak lata 1854 i 1856, odznaczające się wielkiem pomnożeniem kradzieży, co do podpaień znacznie ustępują r. 1852, w którym stanowiły (424) blisko 0,69% ogółu przestępstw, t. j. blisko o połowę więcej, niż w stanie średnim (0,46%). Bardziej jeszcze wydatniejsze pod tym względem r. 1863, w którym z całego przeciągu 24 lat, najmniej było stosunkowo kradzieży, a liczba podpaień lubo bezwzględnie brana, mniejsza była od liczby wykazanej za rok 1852, stanowiła przecież 0,95% ogółu przestępstw, t. j. dwa razy więcej, niż w stanie średnim i stosunkowo najwięcej aż do r. 1865.

§ 15. Ponieważ nie ulega wątpliwości, że znaczna część *pożarów z przyczyn niewyśledzonych*, wynika z umyślnego podpalenia ⁴⁾, nie będzie przeto chybił, gdy rozważając bieg téj zbrodni z postępem czasu, weźmiemy pod uwagę ogólną liczbę pożarów z odniesieniem jej do ludności, do summy przestępstw, dotyczących własności, a także dwóch głównych zjawisk stanu atmosfery w da-

¹⁾ Nietelni do lat 21, stanowią u nas 8,7% skazanych w ogólności, a blisko 50% skazanych za podpalenie! Por. także atlas Guerry'ego w dziele Stat. mon. de l'Angl. t. XII Quetelet. Sur l'home 24 i Drobisch. Willensfreiheits. s. 49. s. 9. gdzie rzecz ta jest traktowana bardzo ogólnikowo.

²⁾ Wo Francji od r. 1826 kradzieże zmniejszyły się o 258%, podpalenia zwiększyły o 200%. W Anglii od r. 1858, kradzieże zmniejszyły się o 29%, a podpalenia nietylko że zwiększyły się o 30%, a od r. 1845 o 120%, ale nadto zwiększają się ciągle, a w ostatnich latach corocznie. I tak w r. 1845 było podpaień 494, w r. 1850—670, w r. 1855—704, w r. 1861—839, w r. 1862—928, w r. 1863—978, w r. 1864—1028, w r. 1865—1078. Elliot. Stat. Journ. 1868 p. 330 i Oetting. l. c. s. 703 i 704.

³⁾ Jak nadmieniliśmy wyżej (§ 12), kradzieże zwiększały się w naszym kraju od r. 1848 do 1855, odtąd zmniejszały się dor. 1863, odtąd, dor. 1872 znowu się powiększyły. Jakkolwiek najczęściej podpaień przypada na okres 1865/72, najmniej na poprzedzające 7-lecie; w żadnym jednakże z rozważanych tu z osobna trzech okresów nie przedstawiają wyraźnego przyrostu.

⁴⁾ Oetting. s. 704.

nym roku: ciepła wyrażonego w średniej temperaturze semestru letniego, (t. j. pory, w której jedynie przy takim klimacie, jak u nas, utrzymuje się życie roślinne) i wilgoci wyrażonej w ilości wody spadłej w ciągu tegoż semestru i liczbie dni słotnych.

Liczba pożarów				Stan atm. w ciągu 7 m. letnich		
bezwzględna	na 100,000 mieszk.	% w ogóln. licz. przestępstw prz. własn.	śred. temperat. od kwietnia do paźdz.	wys. wody sp. z deszczu od kw. do paźdz.	ilość dni słotnych	
1848	1987	4,15	9,20	11,84	372,1 mil.	96
1849	1718	3,54	8,38	10,21	402,2	83
1850	1754	3,65	8,51	11,22	520,6	91
1851	1892	3,94	8,37	10,25	511,75	107
1852	2076	4,31	8,33	10,77	291,6	89
1853	1980	4,23	7,85	10,56	533,7	125
1854	2270	4,77	7,83	10,99	453,5	101
1855	1857	3,87	8,03	11,06	568,9	119
1856	2073	4,39	7,71	10,78	324,8	100
1857	1817	3,79	9,08	11,15	408,3	91
1858	2114	4,41	11,12	11,45	480,4	75
1859	1938	4,09	10,27	11,59	431,4	84
1860	1695	3,50	8,69	10,97	361,0	82
1861	1784	3,63	9,69	10,78	370,3	84
1862	1796	3,79	12,38	11,18	242	77
1863	2134	4,39	8,05	11,38	246,7	60
1864	1694	3,38	13,55	9,44	434,7	114
1865	2241	4,41	32,33	10,72	496,7	81
1866	1784	3,71	22,64	11,05	228,5	82
1867	1569	2,76	21,11	10,19	327,4	116
1868	2389	4,33	27,91	12,22	446,1	87
1869	2254	3,87	28,24	11,04	317,4	90
1870	1632	3,31	24,83	10,52	512,5	103
1871	2121	3,54	28,55	9,54	558,1	92
1872	2296	3,76	23,51	11,96	390,	85
Lata 1848/72	1914,6	3,90	16,24	10,92	465,23	98,8

Gdyby nam szło tylko o wykazanie wpływu ciepła i suszy na pomnożenie liczby pożarów, zestawienie cyfr kolumny 1-jej z 3-ma ostatnimi, przyniosłoby walny dowód. Zależność tamtej od tych ostatnich jest taka, że *maximum* pożarów przypada właśnie na *najcieplejsze i suche* lata 1868 i 1872, *minimum* na *najchłodniejsze i wilgotne* r. 1864 i 1867. Wszakże stwierdza to tylko przekonanie

powszechne, że w lata gorące i suche najwięcej bywa pożarów. Dla nas wszakże więcej mają ważności odstąpienia od tej reguły i zaznaczymy wielką liczbę pożarów, jaka przypadła w latach 1854, 1865, 1871 chłodnych i przeważnie dżdżystych, bo w nich widzimy stwierdzenie przekonania, że *w największej liczbie razów, pożary „z przyczyn niewysledzonych” pochodzą z podpalenia.* W takich pożarach mniejszą odgrywają rolę wpływy atmosferyczne, sprzyjające rozwinięciu ognia. *Coeteris paribus* pogorzele w lata chłodne i wilgotne zdradzają koniecznie większy udział występnej woli ludzkiej. Jeżeli zaś te lata źle się notują pod względem przestępstw, dotyczących własności zwłaszcza kradzieży, staje się uzasadnionym domysł, który powodów szuka w chciwości zysku, przewodniczącej tego rodzaju przestępstwom. Jakoż pogląd na cyfry kolumny 3-jej przekonywa, że *we wszystkich niemal latach pożarami odznaczonych, panują także kradzieże, rabunki i t. d.,* albowiem wysokie cyfry bezwzględne pożarów mniejszy stosunkowo czynią procent w summie czynów dotyczących własności. Upały i susza, jak np. w latach 1852, 1868, 1872, stanowią tu bardzo może mały przyczynek. Od tej reguły wyraźnie odstępują tylko lata 1863 wyjątkowy i 1865, w którym okoliczności działające w r. 1863, mogły mieć jeszcze odbicie.

Co do znacznej różnicy cyfr trzeciej kolumny, między okresami III a IV-ym i po części przejściowym, ta pochodzi, jak to już nadmieniliśmy powyżej, ztąd, że liczby przestępstw przeciw własności, (jak w ogólności przestępstw) w ostatnim okresie są znacznie niżej wykazane, niż w poprzednich ¹⁾. Nadmieniamy przytém, że wykazy przestępstw majątkowych z dawniejszego okresu, obejmują także dochodzenia przyczyny pożarów przypadkowych, które z wykazów ostatnich 8 lat są wyłączone.

W ostatnich latach mnożyć się zaczynają pożary w samej Warszawie. Postęp zdaje się widocznym od czasu zaprowadzenia wolnych ubezpieczeń ogniowych. W r. 1867 było w Warszawie 7 pożarów, w r. 1869—12, w r. 1870—56. Nie można przecież powiedzieć, żeby środki zapobiegające temu niebezpieczeństwu, były teraz mniejsze, niż dawniej.

Nasza statystyka jest jeszcze uboga we wskazówki o tym ważnym przedmiocie; nie sama ilość pożarów, ale ich jakość daje wyobrażenie o stopniu grożącego niebezpieczeństwa. Już to na pewno sądzić można, że złość ludzka odgrywa ważniejszą rolę w większych pożarach, które znaczne poczyniły szkody. Podpalacz wie, kiedy, i co podpalać. Wyjaśnienie udziału wpływów atmosferycznych

¹⁾ Porówn. tab. w § 7 i uwagi do niej w § 8, oraz tabl. kradzieży w § 12 i uwagi nad nią.

rycznych wymaga koniecznie wykazania podpaleni i w ogóle pożarów podług miesięcy i pory dnia ¹⁾. Rzuciłoby to pewne światło na tajemniczą, a zawsze przeważnie obejmującą liczby, rubrykę pożarów z przyczyn niewyśledzonych ²⁾.

§ 16. Motoda ta (porównanie pożarów do przestępstw majątkowych i stanu atmosfery), ma pewne zastosowanie do przestępstw obyczajowych. Nauka zwróciła już uwagę, że skłonność do tych usterek, wzmagają się z przybywaniem światła i ciepła ³⁾. Zauważono również ujemny wpływ wzrostu dobrobytu na czyny tej kategorii ⁴⁾. W latach urodzaju, taniości i łatwego zarobku, obok zmniejszania się kradzieży, mnożą się ustereki przeciw obyczajności ⁵⁾. Sprawdzenie tej reguły pokazuje nam tablica w § 7. Ponieważ jednak w dwóch ostatnich kolumnach, występki obyczajowe podane są łącznie z przestępstwami takimi, jak *krzywoprzysięstwo*, *świętokradztwo* i t. p., dla lepszego więc wyświecenia odwrotnego stosunku wspomnianych występków do przestępstw majątkowych, mianowicie kradzieży, wykazują się tu występki jedynie z lubieżności wynikłe. (Patrz str. 375).

Pomijając różnice wynikłe z odmiennej skali obliczania między okresami III a IV-ym, kolumna 4 pokazuje dowodnie wzrost lub ubytek występków obyczajowych w odwrotnym stosunku do postępu kradzieży, których pomnożenie świadczy o wzmagającej się biedzie klas uboższych. W tym więc stosunku *rosną wspomniane występki* od r. 1848 do 1851, co poświadczają nietylko cyfry bezwzględne

¹⁾ Zdawałoby się, że podpalenia podobnie, jak pożary w ogólności najczęściej zdarzają się w porze upałów. Inaczej jednak pokazują wykazy krajów, w których przestępstwa te segregują się podług miesięcy. Tak np. we Francji najwięcej podpaleni przypada na miesiące zimowe, mianowicie styczeń i luty, najmniej na miesiące letnie, mianowicie lipiec (Guerry. Atlas kryminalistyczny w dziele „Statist. morale” tabl. XVI). Rezultat ten tém godniejszy uwagi, że większa część Francji leży w strefie deszczy jesiennych, a zima w całej Francji jest w ogólności wilgotniejsza, niż u nas. Widocznie podpalacze nie radzą się słońca.

²⁾ Stanowią one przeszło 75% ogólnej liczby pożarów (z wyłączeniem podpalenia, t. j. prawdopodobnie mniej, niż 1/4 pożarów pochodzi z przyczyn niezależnych bezpośrednio od woli człowieka!

³⁾ Cf. Guerry lib. cit. tab. VIII Oetting l. c. s. 498, 499.

⁴⁾ Oetting. s. 502.

⁵⁾ Miesiące zimowe, w których kradzieże są najliczniejsze, pod względem występków przeciw dobrem obyczajom, przedstawiają się najkorzystniej. Ob. Guerry tabl. VII i VIII, co do Francji i Anglii. Sprawozdanie Minist. Spr. w Rosji za r. 1872 pokazuje ten sam rezultat, co do kradzieży, który dla niezupełności wykazu nie daje dostatecznych wskazówek, co do występków obyczajowych.

R o k	Liczba wyst. obyczaj.		stosunek do kradz. w %	R o k	Liczba wyst. obyczaj.		stosunek do kradz. w %
	bezwzględna	na 100,000 mieszkań- ców kraju			bezwzględna	na 100,000 mieszkań- ców kraju	
1848	692	14,25	4,94	1861	768	15,66	5,33
1849	753	15,72	5,38	1862	753	15,10	7,0
1850	814	16,92	6,0	1863	434	8,73	7,05
1851	1168	24,08	7,66	1864	499	9,90	7,39
1852	1087	22,39	7,07		613	12,347	6,69
1853	770	16,01	4,58	1865	648	12,16	13,31
1854	695	14,51	3,04	1866	579	10,79	10,90
1855	558	11,95	2,76	1867	570	10,	10 27
1856	546	11,64	2,50	1868	598	10,49	9 59
1857	783	16,55	5,5	1869	834	14,30	14,43
1858	830	17,30	6,17	1870	752	12,59	15,89
1859	919	19,30	7,47	1871	764	12 73	12,69
1860	861	17,79	6,38	1872	722	10,42	10,65
Ok. III	806	16,80	5,34	Ok. IV	684	11,68	12,216

i stosunkowe do ludności, ale i podnoszący się procent do kapitału kradzieży. Od r. 1851 do 1856 w odwrotnym stosunku *rosną kradzieże, a zmniejszają się występki obyczajowe*. Następujące trzy lata przedstawiają znowu postęp wprost przeciwny, który w następujących potem czterech latach znowu się zmienia. Wyjątkowe wszakże okoliczności lat 1863 i 1864, odejmują znaczenie zbyt zmniejszonej w tych latach liczbie występów. Postęp w okresie IV-ym jest wcale nieważny, sumarycznie jednak brany, raczej za *malejący* niż za *rosnący* uważanym być może, odwrotnie do zwiększającej się w nim liczby kradzieży. Zasługuje tu na uwagę, że r. 1868, w którym najcięższy był przednowek, ale rok ciepły i suchy, pod względem usterek obyczajowych przedstawia pewne pogorszenie stosunkowo do poprzedniego roku, który należy do najchłodniejszych.

W porównaniu z okresem III-im, *ostatnie 8-letnie okazuje pod względem występów obyczajowych polepszenie*, choć stosunkowo do poprzednich 4-letnich lat mało znaczące. Wprawdzie zauważyliśmy już nieraz, że cyfry dawnych wykazów są mniej więcej przesadzone; gdy jednak skala obliczenia, co do przestępstw niniejszej kategorii przez wydanie ustawy gminnej i prawo z r. 1864, bynajmniej się nie zmieniła, musimy przyznać, że wbrew twierdzeniu pesymistów purytańskich, nie ma zupełnie podstawy do twierdzenia o wzrastającym zepsuciu obyczajów. Przynajmniej statystyka kryminalna nie zaznacza go na ogólnej masie ludności. Trudno zaprzeczyć, że występów tego rodzaju jest w każdym razie mniej w obecnym okresie, niż w poprzednich, a konstatując nawet przyrost ich od

r. 1865 do 1872 o 11%, widzimy, że on jest mniejszy od przyrostu ludności, a znacznie mniejszy od wzrostu innych przestępstw. Dalecy jesteśmy wszakże od upatrywania w tym punkcie, jakich dodatnich wskazówek dla moralności. Owszem według tego, co się wyżej powiedziało, znajdujemy tylko wskazówkę ujemną, co do materialnego dobrobytu ogółu; demoralizacja zaś postępuje u nas, ale na innej drodze.

Tak przy niezupełności i niedokładności materyałów statystycznych, niepodobna oznaczyć, o ile wzrost występków przeciwnych obyczajności w wielu krajach zachodniej Europy jest skutkiem spaczenia zasad moralnych wywołanego dążnościami, nurtującymi rodzinę i tradycyjne podstawy dotychczasowego społeczeństwa, i czy wzrost ów nie jest raczej nieodzownem następstwem wzrastającego dobrobytu? Jeżeli zaś fatalność taka została stanowczo zaprzeczona, to moglibyśmy szukać wskazówki do pocieszającego faktu, że społeczność nasza jest jeszcze dosyć daleką od podkopujących owych dążności. Porównanie z innymi krajami pokazuje, że u nas występki przeciwne obyczajności nie tylko nie wzrastają, ale w ogóle mniej są liczne, niż za granicą. Na 100,000 ludności przypada występków p-w. obyczajności ¹⁾:

w Saxonii (lata 1860—1864)	14,18		
w Prusach (1860—1863)	12,88		
w Anglii (1834—1864)	10,89		na 100,000
w Kr. Polsk. (1848—1872)	8,86		ludności
we Francyi (1826—1855)	6,88	w Kr. Pol. 1848/55	16,1
ibid w lat. 1856—1860	7,06	ibid 1856/60	13,
ibid 1861—1867	9,03	ibid 1861/72	8,73

Mniejszą więc cyfrę tych występków przedstawia tylko Francya, gdzie z drugiej strony, ciągły ich przyrost sprawił, iż w ostatnich latach porównanie wychodzi już na korzyść naszego kraju.

§ 17. Jeżeli jednak występki przeciwne obyczajności w ogólności zmniejszyły się, przestępstwa zaś dotyczące instytucyj religijnych

¹⁾ Wyłączyliśmy tutaj *dzieciobójstwa*, które w poprzednich wykazach zamieszczaliśmy pod rubryką przestępstw dotyczących obyczajów. Tu bowiem mieliśmy na względzie klasyfikacyą, jaką znajdujemy w wykazach porównywalnych tu krajów, tam zaś pochodzenie przestępstwa, które je łączy z usterkami obyczajowemi, gdyż zabójstwa dziecka z prawego łóża, wykazy nasze z lat 1848/72 wcale nie podają.

W wielu krajach szczerogolowo wykazy obejmują tylko ważniejsze przestępstwa, oddawane przed sądy przysięgłych. Musieliśmy więc ograniczyć porównanie na paru krajach,

(błuznierstwo, świętokradztwo, krzywoprzysięstwo) okazują przyrost małoszacny (w latach 1848/62 10⁰/₀, 1865/72 zaledwie 1,4⁰/₀); to z drugiej strony *dzieciobójstwa*, które w peryodzie 1848/62 zmniejszyły się o 21⁰/₀, w ostatnich latach powiększyły się o 18,7⁰ o ¹/₀).

¹) Występki te, których ofiarami są wyłącznie dzieci, poczęte po za obrębem małżeństwa, zostają oczywiście w związku z ruchem urodzeń nieprawnych. Wzrost tych ostatnich albo znaczną liczbę w porównaniu danego kraju z innymi, uważa wielu za niewątpliwe świadectwa zepsucia obyczajów (Hausner. 211 of. Kolb. Handbuch der Statist. s. 438. Leipzig 1862). I pod tym względem porównanie z innymi krajami daje dla kraju tutejszego rezultat najkorzystniejszy (Hausner 209 fg. Wappaus. Bevölkerungstat. Lpz. 1861—3 II Th. s. 211 fg. Quetelet i Heuschling. Statist. intern. Brux. 1865 p. XXXVII. Por. Załęski w Bibl. Warsz. z r. 1872 z XII s. 426); albowiem w Królestwie Polakiem urodzeń nieprawych wypadła blisko o 40⁰/₀ mniej, niż w Belgii; o 45⁰/₀ mniej, niż we Francji; o 50⁰/₀ mniej, niż w Prusach; o ¹/₂ mniej, niż w krajach skandynawskich; blisko 3 razy mniej, niż w krajach niemieckich: Austrii, Saxonii i Wirtembergu, a przeszło 4 razy mniej, niż w Bawaryi. Podobnie Ks. Poznańskie i inne prowincje zamieszkałe przez ludność polską, korzystnie wyróżniają się od reszty Prus, a Galicya od Cislitawii (Dieterici. Statist. Tabel des Preus. States. Berl. 1845 s. 37. Schmidt. Stat. d. Oest. Kais. 1860 s. 112). Toż samo można powiedzieć o Warszawie w porównaniu z innymi wielkimi miastami Europy, a nawet Rosyi (Załęski Stat. Warszawy w Ekonom. 1872 I s. 21); choć nie można pominąć, że liczba urodzeń nieprawych w ostatnich latach znacznie się zwiększyła. Podczas gdy do r. 1862 rzadko kiedy przechodziły 10⁰/₀ ogółu urodzeń, liczba ich w latach 1864/6 podniosła się do 20,88⁰/₀, a lubo w następnym trzyleciu 1866/9, zmniejszyła się do 16,62⁰/₀ atoli w latach 1870/1 znów wzrosła do 20,21⁰/₀ a w r. z. doszła nawet do 28,37⁰/₀. Ale jak słusznie zauważał jeszcze przed dwudziestu kilku laty jeden z poważnych pracowników na polu statystyki krajowej (Materiały do statystyki Królestwa p. Ludwika Wolskiego w Bibliot. Warsz. r. 1850 t. II s. 22³/₄) niemnogość urodzeń nieprawych znamionuje zepsucie obyczajów, gdyż właściwa rozpusta jest bezpłodna. Mnożenie się owych urodzeń, jakkolwiek pożałowania godne, jest nieodzownem następstwem coraz mniej wczesnych i rzadszych małżeństw, co jest wywołane wzrastającymi trudnościami do utworzenia i utrzymania bytu rodzinnego. To téż w Rosyi (oprócz wielkich miast), w Turcji, w Słowiańszczyźnie Pd-ój, pośród ludności jeszcze surowej i niemal pierwotnej, gdzie celibat jest stanem niemal wyjątkowym, rzadkie są téż urodzenia nieprawe (Por. Sprawozdanie p. Jemsena dyrektora biura statyst. w Petersburgu, Journal de Deb. z 19 paźdz. 1873 r. w korespondencyi z Petersburga i art. o Statyst. Kryminalnej w Rosyi w Gaz. Sąd. z r. b. N-r 4). W naszym kraju podobnie, jak w całej niemal Europie liczba małżeństw zmniejsza się. Tak w r. 1858 liczono na 1000 mieszkańców 14,3 małżeństw, w r. 1867, 7,16, a więc blisko 2 razy mniej.

Za to zmniejszać się zdaje liczba *zabójstw*, jako też *czynów*, które bezpośrednio śmierć wywołały. Zabójstwa zmniejszyły się w okresie 1848/62 przeszło o 10^o%, w latach 1865/72 nawet o 43^o%. Zaś nieumyślne zabójstwa zmniejszyły się w tamtym okresie o 13^o%, w obecnym zaś o 15,4^o%. Większą połowę tych ostatnich stanowią wypadki śmierci dzieci z powodu niedozoru rodziców, głównie ze stanu wiejskiego. Co do właściwych zabójstw zauważyć musimy, że zmniejszenie ich przypada głównie na 4 lata 1864/7, odtąd zaś liczba ich stoi niemal w mierze, a nawet pomnożyła się z r. 1871 na 72. Ależ bo zbrodnia ta dosięga *maximum* w burzliwych latach 1863/4; mianowicie też na r. 1863 wykazane jest 534 zabójstw! Cyfra zapewne niepraktykowana w rocznikach kryminalnych naszego kraju, a która zapewne nie jest jeszcze zupełną, zważywszy, jak przy utrudnionych komunikacjach i skrzepowanej czynności władz cywilnych, mnóstwo zbrodni pozostało nietylko bezkarnymi, ale nawet nie dochodziły do wiadomości sądu. Znaczenie owęj cyfry pokaże dopiero porównanie jej do ogólnej liczby dochodzonych przestępstw. Podczas gdy w ostatniem 8-leciu zabójstwa stanowią 0,720 ogółu przestępstw, a w peryodzie 1848/62 tylko 0,208; w r. 1863 stanowią one 1,439, t. j. przeszło 6 razy więcej. Do wyświecenia demoralizującego wpływu epoki zaznaczamy także *podpalenia* dwa razy liczniejsze w r. 1863, niż w stanie średnim (§ 14), a wykazana ich liczba stanowi zapewne tylko część rzeczywistęj, ponieważ pożarów z przyczyn niewyśledzonych było w tym roku więcej, niż w r. 1852, w którym było *maximum* bezwzględne podpalen. Szczególniej też *rozboje i rabunki*, które w stanie średnim stanowią 0,514^o%, w r. 1863—1,3^o% ogółu przestępstw, a więc przeszło 2½ raza tyle. Nakoniec, *kalectwa, rany i pobicia*, które w stanie średnim

Wprawdzie zwiększa się też prostytutcyca w Warszawie (co do innych miast nie mamy wiadomości). W r. 1867 wykazano kobiet tolerowanych 1391, w r. 1868—1447, w r. 1869—1479; w r. 1870—1503, w r. 1871 1572. Ale z jednej strony przyrost ten (13^o% w 5 latach) mało co jest większy od przyrostu ludności (8,7^o%), i kto wie, czy nie poobodzi on głównie ze ścisłej kontroli. Co potwierdzać się zdaje zwiększanie się liczby wykrytych z tajemnego oddawania się nierządowi, kobiet (liczba takich z 27 w r. 1867 podniosła się do 70 w r. 1871). Z drugiej strony zapytałoby się można, azali czystość polega na „obowianiu śmieci pokątach” (Oetting. s. 504 w odsel.). I jeżeli np. w Paryżu liczba prostytutek zmalała z 6846 (r. 1861) na 3656 (pocz. r. 1870), albo w Peszcie mieście tak ludném, jak Warszawa, wykaz ludności z r. 1869 podaje 274 tolerowanych (więc przeszło 5 razy mniej, niż w Warszawie!); nie jestże to tylko dowodem bardzo słabej policyi, która sprawia, że rozpusta swobodnie buja pośród ciemności, zamiast być wyświeconą i w karby ujętą.

stanowią 3,36%, w roku który rozważamy 4,79%. Wyznać jednak należy, że pod tym względem, ostatnie 8 lat poszły torem wskazanym przez końcowe trzy lata poprzedzającego okresu, gdyż i r. 1864, a szczególnie 1862, pod względem krwawych bijatyk mało co się różnią od r. 1863.

W istocie znaczący jest postęp w liczbie tych przestępstw. W latach 1848/55 stanowiły one 1,76% ogółu przestępstw, w peryodzie 1856/60, 2,61%, w per. 1861/64 4,45%, w ostatniem 8-leciu 11,9%. Godna uwagi, że przyrost ich, (podobnie jak i kradzieży) szczególnie znaczny jest od czasu zniesienia kar cielesnych. Bezpieczeństwo, co do ciała, zmniejszyło się stosunkowo przeszło 2½ raza, od czasu usankcyonowania jego nietykalności, które w opinii doktrynerów, za wielki postęp uchodzi.

A wzrost liczby tych czynów świadczących w każdym razie jeżeli nie o zepsuciu, to o grubych obyczajach, nie jest jedynie skutkiem odmienniej skali obliczania. I tak wypada:

Na 100,000 ludności:

w latach 1848—1855	21,50	} czynów uszkodzenia na zdrowiu.
„ 1856—1860	20,01	
„ 1861—1864	34,90	
„ 1865—1868	26,82	
„ 1869—1872	37,15	

Jeżeli zaś przedostatnie 4-lecie zdaje się okazywać stosunek korzystniejszy od poprzedniego, co właściwie przypisać należy głównie ściślejszemu obliczeniu od r. 1865, oraz wyjątkowym latom 1863 i 1864: to następujący wykaz wyświeca rezultat najbardziej ujemny właśnie dla ostatniego 8-lecia.

	Liczba uszkodzeń na zdrowiu		na 100,000 ludności	
	zmniejsz. się	zwiększyła	w r. 1865	
w lat. 1848—1855	8,4%	—	— 1866	22,1
„ 1856—1860	—	40,1%	— 1867	24,9
„ 1861—1864	0,36	—	— 1868	29,8
„ 1865—1868	—	65,4	— 1869	30,5
„ 1869—1872	—	17,19	— 1870	37,8
			— 1871	35,7
			— 1872	40,5
				44,6

Nietylko zdrowie ale i dobra sława nie zyskuje na bezpieczeństwie, przyrost obelg i potwarzy jest także znaczny od r. 1865, lubo nie tak stały jak uszkodzeń na zdrowiu. Następujący wykaz obejmuje czyny właściwej potwarzy oraz potwarczego oskarżenia i ważniejsze obelgi, odnoszące się do art. 1010—1016 KK.

B y ł o

w r. 1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872

czynów potwarczego osk. i fałszyw. świadectwa	właściwych ob. i potwarzy	R a z e m		stosunek do liczby kradzieży na 100	stos. do licz. przestępstw dot. w og. własności
		bezwzględnie	na 100,000 ludności		
138	1130	1268	23,8	26,92	18,15
178	851	1029	19,8	19,32	13,05
133	926	1059	19,3	19,01	14,35
162	1106	1268	22,3	20,36	14,81
183	1227	1410	24,3	24,39	17,67
148	1153	1301	22,05	27,49	19,5
120	1337	1457	24,29	27,86	19,5
126	1582	1704	27,53	24,34	18,2
		1312			

Tablica ta pokazuje (w kol. 5-ój), że wzrost obelg lubo znaczny, był jednak nieco mniejszy niż kradzieży. A jak tych przybywa zawsze w latach drożyzny, tak obelgi mnożą się szczególnie w lata pomyślniejsze pod względem urodzajów, szczególnie takie które są przytęm ciepłe (w półroczu letniem). Tym sposobem lata 1868 i 1872 (ciepłe) pomimo ciężkiego przednowka odznaczają się przyrostem obelg. Który to przyrost szczególnie wszakże widocznym jest z roku 1868 na 1869-ty, kiedy znowu kradzieże zmniejszyły się jak pokazuje kol. 5-ta.

Zjawisko to sprawdzają i dawniejsze wykazy, w których wszakże stosunek liczby obelg do ludności jest zupełnie inny z powodu zaliczania tu drobnych wykroczeń do ustawy gminnej odnoszących się. Na 100,000 ludności, wypada obelg i potwarzy:

W latach:

1848 . 37,6	1852 . 49,06	1856 . 34	1860 . 55,7
1849 . 47,62	1853 . 50,31	1857 . 40,7	1861 . 49,23
1850 . 52,18	1854 . 35,5	1858 . 48,7	1862 . 21,13
1851 . 51,88	1855 . 36,51	1859 . 54,7	1863 . 26,38

Zestawienie niniejszego wykazu z wykazami tabl. VI i VII daje stwierdzenie, dostatecznie już jak się zdaje, sprawdzonej regule, że *postęp czynów przeciwnych czci, obyczajności i zdrowiu jest prawie odwrotny do postępu kradzieży i w ogóle czynów zagrażających własności; że jak drożyzna i materialne ubóstwo pomnaża usiłowania przeciwne prawu własności; tak większy dostatek i łatwiejsze warunki bytu mnożą niebezpieczeństwo dla czci, zdrowia i w ogóle praw osobistych.*

Porównanie z innymi krajami czynimy na zasadzie wykazów z ostatnich lat 8-u, jako najmniej oddalających się od skali obliczenia za granicą. I tak przypada:

	na 100,000 ludności		w og. liczb. prz. stan	
	zabójstw	uszkodz. na zdrow. ob. i potw.	zabójstwa	obelgi, potwarze i uszk. zdr.
w Prusach 1857—1862	1,07	52,4	1,88	9,23
w Anglii 1847—1856	1,28	50,9	1,38	17,86
w Saxonii 1859—1863	1,41	71,9	1,52	8,07
w Francyi 1826—1867	1,55	47,86	1,32	7,57
w Bawaryi 1862—1866	2,49	64,3	2,40	10,88
w Kr. Pol. 1865—1872	2,33	66,26	0,72	18,4
w Ces. Ros. 1860—1872	6,1	77,5	4,77	5,59

Znaczenie cyfr kol. 4-ój jest bardzo względne z niejednostajnego traktowania spraw obelgowych. W Rossyi np. gdzie spraw tego rodzaju jest niewątpliwie więcej niż w którymkolwiek kraju Europy, największa ich część, po zaprowadzeniu reformy sądowej r. 1864 podlegająca jurysdykcji sądów pokoju, nie jest objęta wykazami kryminalnemi, jakkolwiek takowe obejmują drobne nawet wykroczenia przeciw własności i porządkowi policyjnemu ¹⁾. Łatwo zresztą zrozumieć, że zbyt niskie cyfry kol. 4-ój obok wysokich w 2-ój, świadczą tylko o wielkiej liczbie spraw karnych dochodzonych w kraju; co przemawia więcej za gorliwością urzędu niż za ścisłym wymiarem sprawiedliwości.

Nierównie większą harmonią znajdujemy pomiędzy kol. 1 a 3-ą obejmującemi zabójstwa. Ważne te przestępstwa są widać lepiej rejestrowane, stosunek jaki wypada dla naszego kraju tak co do zabójstw, jak i obelg, potwarzy i t. p. jest prawie ten sam co dla Bawaryi a znacznie korzystniejszy niż dla Rossyi, która ustępuje pod tym względem tylko takim krajom jak Portugalia (6,2 zabójstw na 100,000 mieszk.), Sycylia i Neapol (9,6/100,000) i Grecya (10,6/100,000),

¹⁾ Przecięciowo rocznie z wykazów lat 1857, 1860—1863, 1871, 1872 (z innych lat nie są nam wiadome) wypadła w Rossyi obelg, potwarzy i uszkodzeń zdrowia 16,753: w obliczeniu tém jednakże wyłączyliśmy gubernie, do których reforma sądowa r. 1864 nie została zaprowadzona, a to dla ujednostajnienia wykazów dawniejszych lat z dwoma ostatniemi, w których owe gubernie zostały pominięte.

Uszkodzenie na zdrowiu wykazaliśmy łącznie z obelgami, gdyż wykazy z powodu niejednostajnej definicyi tych występów w kodeksach, są bardzo nieregularne. Tak np. w Prusach wykazana jest liczba uszkodzeń na zdrowiu blisko 10 razy większa niż obelg i potwarzy: zupełnie przeciwnie w Anglii. Prawdopodobnie lżejsze uszkodzenia na zdrowiu statystyka angielska zalicza do obelg czynnych.

gdzie zabójstwa i rozboje są niemal stanem chronicznym. Dokładność jednak wykazów co do tych krajów, potrzebuje sprawdzenia.

Tu jeszcze nadmieniamy, że stosunek pod tym względem dla naszego kraju byłby mniej korzystny, przy uwzględnieniu wykazów z lat dawniejszych. Tak np. w r. 1864 przypadało 4,46/100,000 zabójstw, w r. 1850, 4,79/100,000, w r. 1863 aż 10,7/100,000. W tym więc roku wyjątkowym, stosunek zabójstw był u nas taki, jaki np. w Grecyi jest w stanie normalnym.

§ 18. Podług obowiązującego kodeksu, osobną kategorią przestępstw stanowią *pojedyńki*. Czynów takich przez całe 8 lat było 7, z których tylko w 1-y m dowiedzione zostało przestępstwo. I w poprzednich okresach czyny te nie były częstsze. Wyznać więc należy, że niewyróżnienie pojedyńków w kodeksie karnym r. 1818 nie było wielkiem opuszczeniem, jeżeli rozwekła kazuistyka i mnożenie liczby przestępstw (*które tak cechują kodeks r. 1847*) nie mają być uważane za szczególne zalety redakcyi ustaw ¹⁾.

§ 19. Z szeregu przestępstw dotyczących praw osobistych, pozostają jeszcze (podł. kod. obow.): *Gwałtowny napad, zagrożenie, przeciwne prawu zatrzymanie i uwięzienie*. Rozważanie każdego z tych przestępstw po szczególe nie przedstawia praktycznych rezultatów: poprzestajemy tedy na przedstawieniu ogólnego stosunku tych przestępstw w łączności.

c z t e r o l e c i a	średnia roczna liczba przestępstw	ogólny przyrost (lub ubytek) w ciągu 4-letnia	średnia liczb. przestępstw w ciągu okr.	ogólny przyrost (lub ub.) w ciąg. okr.
1848—1851	1087	+ 137%	} 1178	+ 111%
1852—1855	1262	— 80%		
1856—1860	1187	+ 39%		
1861—1864	1027	— 59) 408	— 19%
1865—1868	418	— 39		
1869—1872	397	— 0,57		

Cyfra takich przestępstw z dawniejszych lat (do 1864) jest przeszło 2½ razy większa niż w ostatnim okresie. Z tego jednak co jest wyżej powiedziane, łatwo domyśleć się można, że w tym ostatnim okresie największa część czynów w niniejszej kategorii wykazanych jużto mieści się pod rubryką wykroczeń gminnych, jużto (jak na wsi) wcale w wykazach sądowych nie jest rejestrowana ²⁾. Cyfry

¹⁾ Por. § 8 i 9 a także w § 18, uwaga przy tabl. X.

²⁾ Por. Moldenhawer spraw. o wyk. stat. kar. z r. 1865 w Ekonom. z roku 1866. II. s. 254.

więc te służyć mogą jedynie za wskazówkę ruchu w tej kategorii, który, jak to przy zestawieniu z wykazami tablic II, V i VII zauważać można, jest równoległy z ruchem występków dotyczących obyczajów i spraw osobistych a niemal wprost przeciwny postępowi kradzieży i w ogóle przestępstw dotyczących własności.

II. Dochodzenie wypadków nagłej śmierci.

§ 20. Sprawozdanie wydziału kryminalnego K. R. S. obejmuje oprócz wykazu spraw i czynów przewidzianych kodeksem kar:

I. Listę spraw, których dochodzenie przerwane zostało dla niebytu czynu karodnego.

II Wykaz ogólny spraw i wykroczeń do ustawy gminnej odnoszących się.

III Dochodzenie wypadków nagłej śmierci i IV pożarów, tak przypadkowych jako też z przyczyn niewyśledzonych.

Co do I-ych, uważamy za dostateczne to, co (wzmianka w odsyłaczu (2) § 5 o ostatnich IV) wspominaliśmy mówiąc o podpalegniach. Wykroczenia ustawy gminnej zasługiwałyby na dłuższą rozważę, gdyby sposób w jaki czynione są z nich wykazy, nie wyłączały wszelkiej możności wyprowadzenia z nich jakich wniosków. Nietylko bowiem obejmują one zaledwie $\frac{1}{3}$ czy $\frac{1}{4}$ całkowitej liczby wykroczeń ust. gmin. ale i tej nawet frakcyi wykaz, nie obejmuje danych, z którychby tak o postępie ogólnym wykroczeń jako i rodzajach i własności sądzić było można. Sumaryczna wiadomość o liczbie spraw i wykroczeń, bez rozróżnienia nawet nowo-rozпочętych od zaległych z lat poprzednich; wykaz ogólny załatwionych i niezałatwionych, obwinionych i skazanych: otóż wszystko co jest podane o tych wykroczeniach, które jeżeli nie co do jakości to ilością, niemało waga na szali ogólniej obyczajności społeczeństwa ¹⁾. Nie wchodzimy w praktyczne powody niedokładności tej części naszej statystyki sądowej, przytaczamy tylko fakt, który pozbawia nas możności posiadania tak ważnych wskazówek ruchu społecznego.

§ 21. *Dochodzenia wypadków nagłej śmierci* podwójne mają znaczenie dla statystyki obyczajowej. Z jednej strony dają one nie-

¹⁾ Z zadowoleniem czytamy potwierdzenie zdania co do ważności wykroczeń ustawy gminnej, w umiejętnym sprawozdaniu z wykazów stat. kar. r. 1865 zamieszczonem w *Ekonomiście* 1866 t. II s. 243 i dalsze. Chwaląc energią z jaką w Prusach i Saxonii karcone są defraudacye leśne i polne tak popolite pomiędzy ludnością wiejską, p. Moldenhawer słusznie uważa, że naśladowanie tego chwalebego przykładu byłoby szczególnie do zalecenia w naszym kraju, gdzie podobne defraudacye i drobne kradzieże stały się prawdziwym nałogiem państwa (s. 247).

jaką wskazówkę co do bezpieczeństwa życia; z drugiej jest bardzo prawdopodobnym; że w wielu takich wypadkach ukrywa się przestępstwo przeciw zdrowiu i życiu, albo, samobójstwo (szczególnie w wypadkach utopienia).

Przecięciowo wypadków takich bywa u nas rocznie (od 1848-72 r.) 2760. Cyfra ta przedstawia się w następującym stosunku przy porównaniu z innymi krajami Europy ¹⁾.

	Liczba wyp. n. ś. na 100,000	
	zmarłych przecięciowo w ciągu roku	ogóln. ludno- ści kraju
w Austrii (w pr. niem.)	1013	28,61
we Francji	1316	29,7
w Czechach	1010	30,5
w Belgii	1505	34,4
w Prusach	1620	36,81
w Szwajcaryi	1627	37,95
w Galicyi austr.	1246	38,
w Węgrzech	1228	45,
w Kr. Polsk	1466	53,52
w Norwegii	4201	74

Jeżeli w ogólności nagłą śmierć za wypadek nieszczęśliwy po-
czytać można, to wykaz niniejszy pokazuje że *kraj nasz* pod tym
względem w *bardzo niekorzystnym znajduje się położeniu*. Niezależ-
nie od zasadzek jakie życiu człowieka stawia złość jego bliźnich
(zabójstwo i t. p.), jest ono u nas (jak pokazuje kol. 2) blisko 2 razy
więcej zagrożone niż w Austrii lub Francji, przeszło o 80% więcej
niż w Belgii i Prusach, o 75% więcej niż w Szwajcaryi; blisko o 1/2
mniej bezpieczne w królestwie kongr. niż w Galicyi: mniej nawet
bezpieczne niż w Węgrzech, z którym to krajem stosunek jaki nasz
przedstawia, jest najwięcej zbliżony.

¹⁾ Tylko co do Francji i Norwegii dane zaczerpnięte ze źródeł urzędowych. (Por. Compte rendu de la Just. Cr. 1867, i Resumé decenal w Alman. d Econ. pol. et stat. 1860 et sq. Norges officielle Statist. udgiv. 1870 uf. dep. of Indre I. 33). Co do Austrii: Mittheilung aus dem Gebiete d. Stat. 1853 1863, oraz co do innych krajów niemieckich: Brachelli, Deutsch. Staatenkunde I Th. s. 196; Zreszta: Hausner, Vergl. Statist. I Th. s. 263. Co do Prus, por. także: Bluntschli Stateswörterbuch in 3 Bdn. Zurich 1873, Bd. III art. Preussen.

Wykaz kol. 1-jej ma tu zupełnie inne znaczenie: wyższa stosunkowo liczba świadczy tu nie tyle może o większej (stosunkowo) liczbie nagle zmarłych; ile o mniejszej ogólnej śmiertelności kraju resp. Więc np. w Belgii, Prusach, Szwajcaryi, wyższa jest stosunkowo liczba nagle zmarłych, niż u nas, bo w ogólności mniej tam umiera ludzi niż w naszym kraju.

Następujący wykaz pokazuje że liczba tych wypadków nie-szczęśliwych z małemi zбочeniami ciągle się u nas mnoży:

	bezwzględna liczba roczna przecięciowa	na 100,000 osób	
		zmarł. w og. liczbie w cią- gu roku	ogólnej ludności kraj
w latach 1848—1852	2012	1127	41,35
„ 1853—1856	2795	1438,5	62,67
„ 1857—1860	2633	1479,3	53,85
„ 1861—1864	2798	1445,3	53,82
„ 1865—1868	2973	1849	53,61
„ 1869—1872	3233	2229	55,54

Ostatnia liczba w kol. 2.ój jest *prawie* o 2 razy większa od 1-ój, co lubo stwierdza znaczne pomnożenie się wypadków nagłej śmierci, świadczy jednak o zmniejszeniu się ogólnej śmiertelności w ostatnim okresie, co bezwątpienia jest skutkiem polepszonego bytu materialnego ludności wiejskiej; (o miastach tego wcale powiedzieć nie można, gdyż z niewielu wyjątkami śmiertelność przewyższa liczbę urodzeń). Najniepomyślniejsze rezultaty przedstawiają lata 1853—1856, w których srożyły się głód i epidemie. Polepszenie bytu włościańskiego sprawiło że np. r. 1867, w którym dwaj owi nieprzyjaciele życia ludzkiego, również grasowali, przedstawia rezultat daleko korzystniejszy (na 100,000 ludn. 53,85 nagle zmarło) niż r. 1854, na który przypada *maximum* wypadków nagłej śmierci (76,4/100,000 ludn.) oraz r. 1855, w którym cholera najwięcej się rozszerzyła (72,3/100,000), zresztą mniej pomyślny niż inne lata także głodne i choleryczne 1848 (31,92/100,000) i 1852 (46,61/100,000).

Wielka stosunkowo liczba wypadków nagłej śmierci w naszym kraju, nieraz już zwracała uwagę sprawozdawców statystyki kryminalnej. Urzędowy sprawozdawca z r. 1865, uważając że u nas znacznie więcej ginie ludzi w ten sposób, niż w krajach w których „przemysł nierównie więcej rozwinięty, więcej dostarcza nieszczęśliwych ofiar i przypadków“, znajduje następnie (przy rozważaniu szczegółowych przyczyn tych wypadków), że one świadczą o wielkiej nie-dbałości o własne życie i braku środków pomocniczych ¹⁾.

¹⁾ Zdanie urzędowego sprawozdawcy dosłownie powtórzył p. Moldenhawer w „*Ekonomiście*” r. 1866 t. II s. 247.

Żałować nam przychodzi że brak stosownych materyałów nie pozwala nam na porównanie szczegółów tych z innemi krajami. Biorąc jednak pod uwagę, ogólną liczbę wypadków nieszczęśliwych, nie możemy nie zwrócić uwagi na to, że liczba ich w krajach, które pod względem śmiertelności przedstawiają stosunek najkorzystniejszy, jest częstokroć bardzo znaczna. Tak np. w Szwajcaryi, znacznie większa niż w krajach niemieckich Austrii a prawie równa Galicyi, gdzie śmiertelność ogólna jest większa jeszcze niż w królestwie kongresowém. Nie należy wszakże tracić z uwagi warunków miejscowych, jak mianowicie: tryb życia, zatrudnienie, klimat. Jest rzeczą widoczną że twardy żywot mieszkańców Północy, lub krajów górzystych i niepłodnych sprawia, iż ci więcej narażają życie niż znieśli mieszkańcy bogatych równin i pięknych dolin Południa. W Norwegii np. gdzie rybołówstwo i myśliwstwo stanowią główny sposób utrzymania ludności, wypadków nieszczęśliwych bywa blisko 7 razy więcej niż w Lombardyi (12,2/100,000).

Potwierdza to wykaz bezpośrednich przyczyn tych wypadków. Tak np. *utonienie* stanowi u nas 16% ogólnej ich liczby a stosunkowo do ludności tonie na 11 0,000—7,8. Tymczasem we Francyi, pozycyja ta stanowi przeszło 40% i 12,05/100,000 ludności. W Norwegii przeszło 50% i 16/100,000 m. Przeciwnie *pijaństwo* stanowi u nas blisko 10% ogólnej liczby wypadków n. ś., a na 100,000 miesz. ginie z pijactwa 5, podczas gdy we Francyi stosunki te są: 3,4% i 1,4/10,000 i w Norwegii 2,03% i 1,5/100,000, mimo wpływu klimatu! Pijaństwo więc zabiera u nas około 5 razy więcej ofiar niż w krajach z którymi czynione było to porównanie. Dodajemy jeszcze, że przecięciowa *cyfra roczna tych ofiar* (280) *nie jest bynajmniej zupełna: wielu bowiem tonie, ginie z przygniecenia i t. p. wypadków oraz z chorób, w skutku pijactwa.* I to jest smutnym świadectwem moralności naszego ludu, że około 30% tych nieszczęśliwych nałogowych, stanowią kobiety.

Godne też uwagi, że u nas zmarznięcie stanowi 1,9% nieszczęśliwych wypadków, podczas gdy w Norwegii najbardziej na Północ posuniętej, tylko 0,47 t. j. blisko 4 razy mniej ¹⁾.

Dopiero w ostatnim okresie, wykazy statystyczne zaczęły segregować rodzaje nagłej śmierci. W tak krótkim przeciągu trudno szukać stanowczych rezultatów; widoczny jednak jest przyrost w niektórych pozycjach. I tak od r. 1867 liczba wypadków śmierci

¹⁾ Do r. 1870 wykazy statystyki kryminalnej segregowały wypadki nagłej śmierci przez apopleksyą wynikające z pijactwa, odtąd zaś wypadki te objęte są ogólną rubryką zmarłych na apopleksyą. Z tego powodu cyfry które tu podajemy dają w rezultacie przecięciową znacznie mniejszą od tej jaką podaliśmy powyżej, mająco na względzie podanie liczby tych nieszczęśliwych wypadków, najbardziej zbliżoną do rzeczywistości.

z przyczyn nie wysledzonych, zwiększyła się o 30%; a dział ten jest nie bez znaczenia, gdyż prawdopodobnie mieści się tu wiele ukrytych karogodnych czynów przeciw życiu i samobójstw. Wprawdzie cyfra z r. 1865 (102) jest większa niż z r. 1872 (94); ale rok tamten był jeszcze dosyć blizki wypadków r. 1863, w którym spełnione było tyle zabójstw (§ 17), a to umacnia podejrzenie jakie niniejsza rubryka nastęrcza.

Wzrasta także liczba zmarłych w pologu niewiast i niemowląt.

I tak 1-yh zmarło w r. 1865 :	3	2-gich w r. 1865 :	100
	1867 :		1868 : 118
	1870 :		1869 : 130
	1871 : 12		1871 : 131
	1872 : 13		1872 : 157

Mówiło się wyżej jak znaczna jest u nas liczba ofiar pijaństwa: tém bardziej *niepokojący jest wzrost wypadków nagłej śmierci* z tego powodu. Liczba ta w r. 1865 wynosiła 65, w r. 1866—88, w r. 1867 110, r. 1868—130, r. 1869—102, r. 1870—65, r. 1871—178, r. 1872 179.

Mniejszy stosunkowo, ale *ciągły jest wzrost liczby małoletnich, którzy z powodu niedozoru rodziców ulegli nieszczęśliwym wypadkom.*

Takich wypadków było w r. 1865—	416
1866—	422
1867—	476
1868—	485
1870—	513
1871—	547
1872—	525.

Przeszło $\frac{1}{3}$ tych ofiar *ginie od ognia*: są to głównie dzieci włościan i wyrobników wiejskich. Nałogowe niedbalstwo tych ludzi, którzy niemając komu powierzyć dzieci, zostawiają je same w domu przy rozpalonym ogniu na kominie; jest główną przyczyną tych smutnych wypadków. Zwrócona już była na to uwaga władzy. Zważyć jednak należy, że represya karna nie na wiele tu przydać się może, ile że pospolici w tym razie winowajcy, rodzice, strata dzieci dosyć już są dotknięci. Tylko stosowne zmiany w urzędzeniu mieszkań włościan, nadewszystko zaś zaprowadzenie lepszej policyi bezpieczeństwa od ognia, po wsiach, mogłoby poczęści zapobiedz wypadkom które zabierają tyle ofiar ludzkich i do pomnożenia liczby pożarów także się przykładają.

Liczba wypadków *utopienia się*, zmniejszyła się blizko o 25%, szczególnież téż, w kąpeli (o 60%). Liczba wypadków *zmarznięcia* jest oczywiście zależna od pory zimowej. W ostre zimy r. 1870 i 1871, było ich przeszło pięć razy więcej (86 i 112) niż w łagodną zimę r. 1872 (22), a przeszło sześć razy więcej niż w r. 1866.

§ 22. Lista wypadków nagłej śmierci nie obejmuje samobójstw, które kodeks obowiązujący zamieszcza pomiędzy przestęp-

stwami. Dopiero w ostatnim okresie mianowicie od r. 1866 zaczęto u nas klasyfikować samobójstwa z należytą dokładnością. Dla porównania więc z dawniejszemi laty musimy poprzestać na ogólnej ich liczbie i to tak dokonanych jak niedokonanych.

Jeżeli co do wzrostu niektórych przestępstw, niejednostajność skali obliczania i niedokładność dawniejszych wykazów mogą następczą pewne wątpliwości, to nic podobnego zachodzić nie może względem samobójstw. I tak, gdy w latach 1848—1855 liczy się ich przeciętno rocznie 173, w latach 1856—1864: 136, w ostatniem 8-leciu 295, a więc przeszło o 117% więcej. *Jestto może największy przyrost samobójstw w naszym kraju zauważono.* I tak roczny przyrost samobójstw wynosi w Danii (od 1851 r.) 0,1%, w Anglii (od 1857 r.) 0,83%, we Francji (od 1826 r.) 3,38%, w Saxonii (od 1847 r.) 3,4, w Prusach (od 1846 r.) 3,5% ¹⁾; w Królestwie Polskiem (od 1862 r.) 6,5%, a licząc także usiłowane samobójstwa 14,6%.

Wprawdzie mimo tak nadzwyczajnego pomnożenia się samobójstw, liczba ich w naszym kraju jest jeszcze stosunkowo mniejsza, niż w wielu innych. I tak, gdy u nas wypada średnio na 1,000,000 ludności blisko 34 samobójstw (dokonanych), w Węgrzech liczy się 45, w Austrii (Przedlitawii) 61, w Belgii 62,45, w Bawaryi 65,5, w Anglii 66 (podł. Legoyt'a 69), w Szwecyi 67, we Francji 84, w Prusach 108, w Norwegii 108, w Saxonii 202, w Danii 256 ²⁾.

Daje się także dostrzegać, że w krajach częstych samobójstw wzrost tych wypadków jest w ogólności mniej znaczny niż w niektórych innych ³⁾, mianowicie tych, których stosunki najwięcej zbliżone są do naszego kraju. To daje wskazówkę działania u nas tych samych przyczyn, tylko z większą siłą. Zbadanie tego stanu rzeczy wymagałoby, obok przywiedzenia wielu porównań z innymi krajami, rozważenia różnych stosunków osób, czasu i miejsca, etnograficznych i moralnych, a poniekąd i politycznych; co odwiódłoby nas od właściwego zadania tej części niniejszego pisma i dlatego pozostawiając sobie traktowanie tej materii w innem miejscu, poprzestajemy na jednym tylko rysie, który wszakże daje dosyć znaczącą wskazówkę co do przyczyn wzrostu samobójstw.

¹⁾ Por. Wagner. Statist. antropolog. Untersuchung der Gesetzmäßigkeit in den scheinbar willkürlichen menschlichen Handlungen. Hamburg 1864, p. 166 fg. i Oettingen lo. § 123.

²⁾ Por. wykazy Wagnera l. o. t. LXVI. Legoyt i Oetting. t. CLX.

³⁾ Dowód tego daje wykaz porównawczy zabójstw a samobójstw w różnych krajach. Zob. przywiedziony powyżej wykaz samobójstw, oraz tabl. XI w § 17. W Saxonii liczy się blisko siedm razy więcej samobójstw a przeszło ośm razy mniej zabójstw, niż w Grecyi. Por. Hausner. s. 178. Oetting, § 121 i Wagner s. 106.

	Przebiegowa roczna liczba		Ilość kradzieży na 100 ogółu przestępstw.
	samobójstw usiłow. i dokon.	zabójstw	
lata: 1848—1856	192	183	29,37
„ 1857—1864	136,5	237,5	22,33
„ 1865—1872	292	137	29,54

Jeżeli jeszcze dodamy: że *maximum* samobójstw w okresie 1848—1856, przypada na r. 1848 (270), w którym zabójstw było znacznie mniej niż w latach następujących, a kradzieże stanowiły 32,49% ogółu przestępstw; w okresie 1857—1864 *minimum* samobójstw (123) przypada na r. 1863 kulminacyjny pod względem zabójstw (§ 17), a w którym stosunkowo było najmniej kradzieży (16,16%); że na koniec w okresie 1865—1872 *największy postęp samobójstw okazują lata: 1866, 1868 i 1872, w których również pomnożyły się kradzieże*, podczas gdy liczba zabójstw raczej zmniejszyła się niż zwiększyła: okaże się widocznym, że *postęp samobójstw jest równoległym do postępu kradzieży i w ogóle czynów przeciwnych bezpieczeństwu własności, a wprost przeciwny postępowi zabójstw i w ogóle czynów przeciwnych bezpieczeństwu osobistemu; że lekceważenie życia bliźnich wzrasta w miarę przywiązania do własnego i odwrotnie*¹⁾; że *niedostatek i w ogóle utrudnione warunki bytu materyjalnego, zdają się być nader ważnym jeżeli nie najważniejszym czynnikiem samobójstwa.*

ODDZIAŁ II.

Statyka przestępstw.

ROZDZIAŁ I.

Stosunek miast i wsi.

§ 23. Powszechnie sprawdzony jest fakt, że przestępstwa częstsze są po miastach, szczególnie w wielkich, niż po wsiach²⁾. Liczne składają się na to przyczyny, nad którymi nie potrzebujemy się długo rozwodzić. Nietylko złoczyńca znajduje większą łatwość ukrycia się w zgiełku wielkomiejskim, więcej pobudek do złego przy trudniejszych warunkach życia, w obec kontrastu między ubóstwem a zbytkiem możliwych²⁾; ale już przez samą aglomerację ludności, człowiek postawiony tu jest nierównie częściej niż pośród rozproszonej ludności wiejskiej, w położeniu dającym powód do działań przeciwnych prawu.

¹⁾ Por. Hauser Ver. St. s. 124 fg. 132 fg. Oetting. s. 807.

²⁾ Por. Fayet. w Séances de l'Acad. de scienc. moral. et polit. 1846. p. 256. Legoyt.

Podług *stosunków miejscowych*, nasze wykazy segregują *przestępstwa popełnione w Warszawie, po miastach gubernialnych, powiatowych, po innych miastach*, nareszcie po *wsiach* ¹⁾. Biorąc stosunek do liczby mieszkańców w każdej z tych kategorii, w przecięciu z lat 1865—1872 wypada na 100,000 m. przestępstw, w Warszawie 668, w miastach gubern. 604, w miastach powiatowych 579, po wsiach 282; średnio w całym kraju 367,3, w całym kraju oprócz Warszawy 350; w ogóle po miastach 617, *zatem przeszło dwa razy więcej niż po wsiach* ²⁾. Wszelako nie tak *ilość*, jak raczej *jakość* przestępstw, daje właściwą miarę moralności. Wykaz szczegółowy przestępstw ważniejszych, prostuje nieco wnioski, jakiby z ogólnych liczb wyprowadzać było można. I tak na 100,000 ludności przypada czynów: (Patrz str. 391).

Jeżeli więc na ogólną liczbę najmniej korzystny stosunek przypada na Warszawę, to szczegółowe pozycje stawiają moralność ludności Warszawy częstokroć w korzystniejszym świetle niż innych miast, a po części i ludność wsi, która niekiedy przedstawia się gorzej niż ludność miejska w ogólności. W jednych tylko kradzieżach, miasta w ogólności, w szczególności też Warszawa stanowczo przeważa: tu jednak nadmienić musimy, że do tej przewagi liczebnej znacznie przyczynia się ta okoliczność, że pewna ilość kradzieży po wsiach zwłaszcza pomniejszych, z powodu jurysdykcji gminnych, niedochodzi do wiadomości zwykłych sądów. To nam tłumaczy, że różnica pomiędzy Warszawą i miastami a wsiami, dotyczy głównie kradzieży pomniejszych. Jakoż, gdy stosunek tych ostatnich do kradzieży gwałtownych i w ogóle z okolicznościami zwiększającemi winę w Warszawie i po miastach, jest mniej więcej jak 8 : 4, na wsi tenże stosunek jest jak 8 : 7, więc kradzieży większych jesttu stosunkowo o $\frac{1}{3}$ więcej. Ponieważ zaś znaczna liczba pomniejszych kradzieży, zameldowanych po miastach, po rozpoznaniu ich sądownym, odnoszoną bywa do ustawy gminnej i sprawcy ich między skazanymi za przekroczenia tej ustawy figurują; udział więc skazanych za kradzież na

¹⁾ Podział ten nie jest może szczęśliwie obmyślany: niektóre z dzisiejszych miast powiatowych mało od się różnią od większych wsi, a urzędownie figurują jako osady; inne znowu ludnością i ruchem przemysłowym (np. fabryczne w okr. Łęczyckim) nie tylko że nie ustępują gubernialnym, ale je nawet przewyższają. Właściwszym byłby podział miast (oprócz Warszawy) podług ludności.

²⁾ W sprawozdaniu urzędowym za r. 1867 (s. 12) znajdujemy taki stosunek liczby przestępstw do ludności: w Warszawie 510 (5,1 na 1,000 dusz), w innych miastach 410, po wsiach 240, w całym kraju 300. Wszakże w oddziale I-ym zwróciliśmy uwagę, że od r. 1867 liczba przestępstw prawie podwoiła, podczas kiedy ogólna ludność kraju od r. 1867 do 1872 zwiększyła się zaledwie o 7%.

Przeciw prawom osobistym								
zabójstwa	sprawienia śmierci w bi- jetyce lub przez nie- ostrożność	skaleczenia i zrażenie uszczerbku na zdrowiu	uchylenia czci i dobrej sławie bliźniego	odgródek, najęcia i ogra- niczen. woln.	wystawie- nie ciężkich niebezpiecz- nych przez opuszczenie			
w Warsz. .	2,51	6,	43,16	54,09	9,06	0,5		
„ in. miast.	2,18	6,56	41,72	43,67	11,36	0,67		
na wsi . . .	2,53	7,83	31,73	31,73	5,57	7,18		
Przeciw prawom własności								
rozbojów	rabunków	podpalen	zniszcze- nia i usz- kodzenia cudzych rucho- mości	oszustw i podstęp- nego wyłudze- nia zobow.	przenie- wienie i przy- właszcze- nie rzeczy znalezion.	kradzieży		
						więk- szych	mniej- szych	
w Warsz. .	0,01	3,4	1,56	1,88	32,33	2,67	91,11	166,4
„ in. miast.	0,23	2,35	4,12	4,55	30,6	12,88	65,87	127,6
na wsi . . .	0,50	1,27	6,17	1,21	3,93	2,61	31,53	42,18
Przeciw porządkowi publicznemu i urządzeniom								
samo wol- ność i lekcewa- żenie władzy	uchylenia w służbie rządowej	powin- ności wojskowej i doty- czące	porząd- kowi poli- cyjnemu	falszowa- nia monet i papi- rów kredyto- wych	naruszenie ustaw celnych	innych do- tyczących skarbu		
w Warsz. .	59,54	3,46	3,	39,86	11,24	2,59	15,43	
„ in. miast.	59,32	29,53	6,85	30,	13,16	7,30	21,26	
na wsi . . .	18,13	10,	12,66	11,53	2,11	4,37	43,69	
Przeciw religii i obyczajom								
bluznier- stwo i święto- kradztwo	krzywo- przysię- stwo	występek przeciw naturze i czyny gor- zące	zgwałca- nie i uwie- dzenie do lubie- żności	kazirod- stwo	cudzołó- stwo	znieważe- nie rodziców	dalekobójst- wo ukrycie pla- nu, porzuce- nie nie	
w Warsz. .	2,26	8,34	6,47	6,27	0,7	6,5	1,1	1,05
„ in. miast.	4,57	9,12	3,47	4,46	0,27	4,38	1,06	2,07
na wsi . . .	1,60	0,87	1,45	3,02	4,57	1,85	0,09	2,57

ludność wiejską, jest daleko większy niż udział w kategorii spraw i czynów. I tak, gdy na liczbę kradzieży pomniejszych zameldowanych ze wsi udział wynosi 65% ogółu, liczba skazanych za nie ze wsi przechodzi 75%; co jeszcze służy za wskazówkę, że rzeczywista

liczba kradzieży ze wsi albo przez ludność wiejską, spełnionych jest znacznie większa od téj, jaka sądom zameldowaną bywa. Pewną jest téż rzeczą, że znaczna część sprawców kradzieży (i w ogóle przestępstw) po miastach, pochodzi od proletaryatu wiejskiego. Tak w r. 1872, gdy liczba kradzieży zameldowanych na wsi stanowiła zaledwie 60^o/_o ogółu, liczba skazanych za kradzieże wieśniaków dochodziła 73^o/_o, czyli że co najmniej 13^o/_o kradzieży po miastach spełnia ludność wiejska.

§ 24. Zasluguje na uwagę, że co do niektórych ważnych przestępstw, których, tyle osławione zepsucie miast wielkich czyni w powszechném mniemaniu, stolicę główném siedliskiem, Warszawa, przedstawia się korzystnie od innych miast. Tak np. *krzywoprzysięstwo, fałszowanie biletów kredytowych* w Warszawie jest o 10^o/_o mniej częste: nie mówiąc już o *defraudacjach celnych*, których główném polem są okolice pograniczne. Szczególniej téż: *świętokradztwo i bluźnierstwo*, 2 razy rzadsze w Warszawie niż po innych miastach, również *zniszczenie cudzej własności, przeniewierzenie się, zabór rzeczy znalezionej*, (blizko 6 razy mniej), *gwałtowny napad i odgróźki* o 10^o/_o. Nie jest to bynajmniej faktem przypadkowym, ale objaśnienia tego szukać w odmiennym nieco składzie ludności w Warszawie niż w innych miastach. Nie jest np. bez znaczenia ta okoliczność, że ludność żydowska w ogóle stosunkowo liczniejsza jest po innych miastach niż w Warszawie. Tu stanowi ona zaledwie 1/3 (podług obliczenia z r. 1872), tam przeszło połowę; a w przywiedzionych wyżej przestępstwach, ludność ta właśnie przeważny bierze udział ¹⁾.

§ 25. Jeżeli zaś kradzieże, jak się już powiedziało, w ogóle częstsze są po miastach zwłaszcza w Warszawie niż na wsi, w *podstępnie* zaś *działaniu z uszczerbkiem cudzej własności (oszustwo i fałsz* w zobowiązaniach) miasta wielokrotnie (8 razy) przewyższają wieś: natomiast częstsze są na wsi *gwałtowne czyny przeciw bezpieczeństwu własności*, jakoto: *podpalenie* na wsi blizko o 2/3 częstsze niż po miastach a 4 razy, niż w Warszawie; *rozboje* blizko 3 razy liczniejsze niż po miastach, a przeszło 5 razy, niż w Warszawie, gdzie wypadki podobne należą do rzadkich wyjątków. Jednakże *rabunek* częstszy jest w Warszawie, niż po innych miastach a bardziej jeszcze jak na wsi.

§ 26. Z przestępstw dotyczących osób, najważniejsze *zabójstwo*, częściej się zdarza na wsi niż w mieście, w samej zaś Warszawie stosunek prawie jest ten sam co na wsi. Czyny zaś *nieumyślnego sprawienia śmierci* bezwarunkowo przeważają na wsi. Różnicę tu jednak stanowią głównie *wypadki śmierci dzieci z braku dozoru*,

¹⁾ Por. art. Żydzi a ohrześcizanie wobec statyst. krymi., w Gazecie Polskiej z r. z. nr. 119.

przynajmniej 3 razy częstsze na wsi niż w mieście a około 5 razy liczniejsze niż w Warszawie. Inne wypadki sprawienia śmierci stosunkowo częstsze są w mieście niż na wsi.

Znacznie też liczniejsze w mieście są *czyny uwłaczające dobrej sławie* (obelgi i potwarze), w mniejszym stopniu, *czyny dotyczące zdrowia* (o 25⁰/₀₀). Za to stanowczo przeważają *na wsi czyny złośliwego opuszczenia* (przeszło 14 razy).

Łatwém jest do zrozumienia, że ludność miejska w większym stopniu niż wiejska uczestniczy w przestępstwach *przeciw porządkowi publicznemu* (blizko 2½ razy), w Warszawie nawet przeszło 8 razy więcej niż na wsi). Toż samo dotyczy *wykroczeń porządku policyjnego*, co już z tego wynika, że takowy ściślej jest przestrzegany wśród licznej aglomeracji ludności, niż w ustroniu wiejskiem. Gdzie jednak instytucja państwowa w równej staję styczności ze wszystkimi klassami społeczeństwa, tam opór jój stawiany okazuje się w stosunku wprost przeciwnym do wyżej przywiedzonego. I tak *wykroczenia przeciw powinności wojskowej* po miastach prowincjonalnych przeszło dwa razy mniej liczne, w Warszawie przeszło 4 razy, niż na wsi. Jeszcze mniej korzystny dla ludności wiejskiej stosunek przedstawiają *wykroczenia skarbowe*: najmniej w Warszawie, po innych miastach 3 razy więcej, na wsi 5 razy.

§ 27. Nie można nawet powiedzieć, żeby ludność wiejska przedstawiała się bezwarunkowo korzystniej pod względem *czynów obyczajności dotyczących*. Wprawdzie, brane w ogólnej massie, przestępstwa te przedstawiają postęp rosnący od wsi ku miastu, do Warszawy (13 : 15 : 25); niektóre też z nich jak *cudzołóstwo i spędzenie płodu*, bardzo rzadko, inne, jak *uwiedzenie do lubieżności i nierządu*, prawie wcale nie zdarzają się wśród ludności wiejskiej. Natomiast znacznie częstsze pośród tej ostatniej są: *zgwałcenie niewiast, dzieciobójstwo i ukrycie płodu* (stosunek: w Warszawie 1, w innych miastach 2, na wsi 2,5), również, *porzucenie nowonarodzonego dziecka* (blizko 2 razy) i prawie wyłącznie wśród ludności wiejskiej praktykowane: *kazirodztwo i przestępstwo przeciw naturze* ¹⁾.

Wszystko to zważywszy, trudno przyjść do przekonania o dodatnim wpływie na moralność prostoty wiejskiej. O postępie zaś jój świadczy wzrost przestępstw od r. 1864, w Warszawie o 30,83^o, po innych miastach o 10^o, na wsi o 96^o/₀: tu więc przeszło 3 razy więcej niż w Warszawie i 9 razy niż w innych miastach.

¹⁾ Widzimy to nietylko przy porównaniu wykazów przestępstw w miastach i na wsi, ale nawet w pojedynczych okręgach z ludnością przeważnie wiejską lub znacznym udziałem miast w ludności resp. okręgu.

ROZDZIAŁ II.

Stosunki różnych miejscowości kraju.

§ 28. Daleko ważniejsze może niż porównanie stosunkowego udziału w przestępstwach miast i wsi, jest rozważenie pod tym względem różnych miejscowości kraju. Obliczenie tych stosunków przedstawia w dzisiejszém położeniu rzeczy wielkie trudności, nie tylko dla braku dokładnych wiadomości ze statystyki ludności za lata ostatnie, ale szczególnieź dla tego, że nowy podział administracyjny, (z roku 1867) wcale nie odpowiada dotychczasowemu podziałowi jurysdykcij sądowych, tak że nie tylko gubernie i powiaty, ale nawet i pojedyncze gminy bywają rozdzielonemi pomiędzy różne okręgi sądowe. Dla tego też za podstawę wykazu przestępstw podług miejscowości wzięliśmy obliczenie ludności z lat 1865/6 z uwzględnieniem w przybliżeniu przyrostu jój do r. z. Obliczenia dotyczące tych miejscowości, których podział administracyjny przypadkowo odpowiada sądowemu, zupełna przytém zgodność rezultatu w pojedynczych pozycjach, przekonały nas, że skala jaką tu przyjęliśmy przynosi nieznaczne tylko zboczenia od stanu rzeczywistego. Za jednoś w niniejszym podziale wzięliśmy obręb jurysdykcji sądów poprawczych. Podział na gubernie i powiaty z przywiedzionych wyżj powodów jest niemożliwy. Podział na jurysdykcyje sądów kryminalnych, zapewne najłatwiejszy, ale w nim zupełnie znikają cechy charakterystyczne pewnych miejscowości. Podział znowu na okręgi sądowe byłby zanadto drobiazgowy a przy ewaluacji ludności byłby jeszcze trudniejszy, niż ten który przyjęliśmy.

§ 29. Rezultat otrzymany w obecnej segregacji, jak z 1-ój strony okazuje różnice dosyć znaczne na kraj tak mały i zamieszka-
 nany przez ludność prawie jednego plemienia, tak z 2-ój, zaprzecza
 poniekąd opinii jakiej używały niektóre okolice. *Maximum* prze-
 stępstw w Królestwie (za pominięciem Warszawy) przypada na kra-
 niec jego północny, na obwód jurysdykcji sądu popraw. w Kalwaryi
 532 na 100,000 m., co jednak znacznie się zmieni, jeżeli nie *ilość* lecz
jakość przestępstw weźmiemy pod uwagę. Przestępstwa *czysto-spe-*
cyjalne, jak wykroczenia skarbowe, oraz dotyczące obowiązku poddań-
 stwa (samowolne opuszczenie kraju) stanowią tu tak znaczny udział,
 że za ich pominięciem, obwód niniejszy stanie dopiéro w 4-ym czy
 w 5-ym szeregu. Z tego względu daleko słuszniej uważać za *najgo-*
rzjéj notujący się obwód Brzesko-Kujawski, który co do ogólnej liczby

przestępstw zajmuje 2-cie miejsce (458,35), ale w którym wszystkie prawie ważne przestępstwa, w większej stosunkowo przedstawiają się ilości, niż w którejkolwiek innej miejscowości kraju za wyłączeniem Warszawy. Trzecie miejsce zajmuje obwód Łomżyński (457), który z tych samych powodów co i Kalwaryjski przedstawia się gorzej może niż w rzeczywistości. Obwód otaczający Warszawę przedstawia się korzystniej od bardzo wielu innych. Obwody Kaliski i Piotrkowski, pomimo znacznej aglomeracji ludności miejskiej i względnie dosyć znacznego ruchu przemysłowego, mieszczą się zaraz po Białskim i Siedleckim, w których ogólna liczba przestępstw jest najmniejsza (250—269).

Godne uwagi że *maximum*, przypada na okolice najzamożniejsze i gdzie oświata stosunkowo najwięcej jest upowszechniona pomiędzy ludem, podczas gdy *minimum* przypada na ziemię Białską z ludnością najuboższą i najmniej oświeconą.

§ 30. Szczególnie charakterystycznym jest stosunek różnych miejscowości pod względem pojedynczych rodzajów przestępstwa. Tak ostawiony z rozbojów, rabunków i kradzieży gwałtownych, obwód Chęciński, dalekim jest jeszcze od tego co znajdujemy w obwodzie Kieleckim, gdzie *kradzieże z okolicznościami zwiększającymi winę*, częstsze są nawet niż w Warszawie. Pod względem *rabunków* i *rozbojów*, obwód Chęciński zaledwie dochodzi połowy tej cyfry jaką przedstawia obwód Kujawski; choć godna uwagi że ów cnotliwy obwód Białski, tuż po nim następuje pod względem *rozbojów* i że tu także najczęstsze bywają *świętokradztwa* i *pogwałcenia grobów* (2,25), średnio w całym kraju 1,26.

W kradzieżach pomniejszych pierwszeństwo trzyma obwód Płocki (156), który prawie równa się z Warszawą (166). Najkorzystniej zaś pod względem kradzieży w ogólności przedstawiają się wraz z obwodem Białskim, Kaliski i Piotrkowski. *Oszustwem*, oprócz Warszawy (32) odznacza się obwód Kujawski (16,23) gdzie zato stosunkowo rzadkie bywają wypadki *przeniewierzenia* się (2), którymi natomiast odznaczają się obwody Łomżyński (7,5) i Siedlecki (5,35), gdzie liczba czynów takich jest przeszło dwa razy większa niż w Warszawie (2,67).

§ 31. Z przestępstw dotyczących osób, *zabójstwem* ponad wszystkie okolice kraju nie wyłączając Warszawy, odznaczają się obwody Kujawski (3,56), Kielecki (3,33); po tych następuje obwód Kalwaryjski (3,09): najmniej zaś w obwodzie Lubelskim (1,44). Godne uwagi, że w tej ostatniej okolicy bardzo częste bywają *samobójstwa* (5,9), które w Kujawach (3,89) i Kieleckim (4,1) dosyć są rzadkie a najrzadsze w Kalwaryjskim (2,13). Ten ostatni obwód dobrze się także notuje pod względem *zabójstw przypadkowych* (7,14) których *minimum*

przypada na obwód Bialski (5,07) a *maximum* na Kujawy (28), blisko 5 razy tyle co w Warszawie (6). Bijatykami odznacza się także ten obwód (48) a zaraz po nim Chęciński (45,6) i Łomżyński (43,9), po których dopiero następuje Warszawa (43,16). Sądząc podług tego, należałoby wnosić, że najmniej grubijańskie obyczaje ma ludność obwodu Zamojskiego (15) a poniekąd obwodów: Bialskiego (18,40), Siedleckiego (21,63) i Kalwaryjskiego (22,2). Pod względem *czynów przeciwnych dobrej sławie* (obełgi i potwarze) znowu góruje ob. Kujawski (50,79), który samą tylko ustępuje Warszawie (54) a daleko zostawia za sobą inne okolice kraju. W obwodzie Siedleckim który 2-gie po Kujawach zajmuje tu miejsce, czynów takich jest blisko 2 razy mniej (28,81). Najlepiej zaś i w tym rodzaju przedstawia się obwód Zamojski (11,3), ob. Kalwaryjski który tu należy do najlepszych (14,29) odznacza się znowu *czynami potwarezego oskarżenia* (4,92) a zaraz po nim Warszawski (4,73). A czyny takie w Kujawach są prawie tak rzadkie (1,5) jak w Lubelskiem (1,08) i Kalińskim (1,2). *Krzywo przysięstwo*, oprócz Warszawy (8,34) dosyć często się objawia w obw. Kalwaryjskim (6,32) i Łomżyńskim (4,9); w innych okolicach kraju przytrafia się rzadko, najmniej w obwodzie Warszawskim (0,8) i Chęcińskim (1,0).

§ 32. Także w *przestępstwach przeciw obyczajom*, 1-e miejsce po Warszawie, trzymają Kujawy. Szczególniej częste bywają tu: *zwałenie kobiety i uwiedzenie do lubieżności* (6,2), *cudzołóstwo i kazirodztwo* (9,3); to ostatnie wszakże przeważa w Kieleckiem, gdzie także panuje *przestępstwo przeciw naturze* (3,5), które w sąsiednim ob. Chęcińskim prawie tak rzadkie (0,72) jak w Zamojskim i Lubelskim, okolicach najlepszej obyczajności. *Dzieciobójstwem* (które w tej kategorii umieściliśmy, z powodu że największa część czynów pod tą rubryką wykazanych, stanowią, *ukrycie płodu albo tajnienie ciąży*) odznacza się obwód Kalwaryjski (4,54) a po nim Piotrkowski (3,67). *Minimum* przypada na Warszawę (1,05) gdzie matki z nieślubnych związków rzadko kiedy bywają zmuszone uciekać się do tej ostateczności, do której doprowadza trudność utrzymania takiego dziecka i obawa opinii.

§ 33. Pod względem *przestępstw dotyczących porządku publicznego*, odwód Kujawski jeszcze przodkuje, jeżeli pominiemy specjalnie wykroczenia. Szczególniej, *czynów samowolności i oporu władzy* wydarza się tam blisko o $\frac{1}{3}$ więcej (33) niż w Warszawie (23,8) a przynajmniej dwa razy tyle co w całym kraju średnio (15,23). *Falszowanie waluty* po Warszawie (11,24) zdaje się najwięcej upowszechnionem w strefie połudn. zachodniej, w ob. Kieleckim (8,68) Sandomierskim (7,8) i Chęcińskim (7,61). *Defraudacyami* stanowczo odznacza się ob. Chęciński (25,23; średnio w całym kraju 5,1), co

objaśnia jego położenie geograficzne. To również tłumaczy dlaczego ob. Bialski, który tak w tej kategorii jak co do ogółu przestępstw przedstawia się najkorzystniej, przeciwnie, nad wszystkie okolice kraju przeważa liczbą *wykroczeń przeciw zdrowiu publicznemu* (13,61, w całym kraju średnio około 7). *Włóczęgostwo* panuje szczególniej na skrajnej północy (w ob. Kalwaryjskim 12,81 w całym kraju średnio blisko 41, zład najwięcej też wypadków *samowolnego opuszczenia kraju*. Obwód Kalwaryjski wraz z miastem Warszawą obejmuje blisko 90% całkowitej liczby czynów tej ostatniej kategorii.

Charakterystyczne są stosunki różnych miejscowości kraju, co do wykroczeń *przeciw powinności wojskowej*. Najwięcej ich bywa w Płockiem (22,2) i Pułtuskim (20,9), dalej w Kalwaryjskiem (18,71) i Łomżyńskiem (18,01); niemało także w Chęcińskiem (15,23), w Kujawach (14,54), w Kaliskiem (12,69) i Piotrkowskiem (12,14). Najmniej oprócz Warszawy (3) w ob. Bialskim (4,69), Zamojskim (4,93) i Lubelskim (5), głównie z okolic Nadbużnych. Ludność więc stosunkowo zamożna i oświećsza, więcćj okazuje odrazy do tej powinności, niż uboga i nieoświecona.

Co do Warszawy, mały stosunkowo udział jéj ludności w tych wykroczeniach tłumaczy się nietylko większą dla niéj łatwością uwolnienia się od poboru w inny sposób, ale głównie małą stosunkowo do ogółu ludności liczbą popisowych; gdyż oprócz ludności napływowej stanowiącej tu blisko $\frac{1}{4}$ ogółu, oprócz większej, niż w reszcie kraju, przewagi ludności żeńskiej ¹⁾ nad męzką, z pozostałych nawet znaczną większość stanowiły osoby dotychczas *de facto* przynajmniej niepodlegające poborowi.

§ 34. Wypadki nagłej śmierci *najczęstsze* bywają w Warszawie (143,5), gdzie też najwięcej bywa do nich okazyj. Potém następują niespokojne Kujawy (75,04), okolice Warszawy (70) i przemysłowy obwód Łęczycki (64,44). *Najrzadsze*, w spokojnych okolicach obw. Łomżyńskiego (40) i Kalwaryjskiego (43).

Więćj wszakże nauczające są podziały tych wypadków, między któremi *wypadki śmierci dzieci z niedozoru* i osób dorosłych z *pijaństwa* zastępują na szczególną uwagę. Porównanie stosunków miejscowych pokazuje, że względną troskliwością rodzicielską odznacza się, oprócz Warszawy, (4,27% wypadków nagłej śmierci), ludność obwodu Bialskiego (6,95%), Lubelskiego (8,74%), Łomżyńskiego (10,23%)

¹⁾ Według ewaluacji na r. 1872, stosunek ludności męskiej do żeńskiej w całym Królestwie jest jak 1000 : 1064, w Warszawie ten stosunek jest jak 1000 : 1160.

i Kalwaryjskiego (10,85%), podczas gdy największe niedbalstwo pod tym względem panuje w Kujawach (44,69%) i Łęczyckiem (33,64%). Zwyczaj zostawiania dzieci przy rozżarzonem ogniu, bywa przyczyną *przeszło połowy* takich nieszczęśliwych wypadków w Kaliskiem (55%) i Kujawach (54%) *blisko połowy* w Piotrowskiem (45%), Łęczyckiem (44%) i Płockiem (43,8%); podczas kiedy włóścianie ob. Kalwaryjskiego odznaczają się pod tym względem wyjątkowym porządkiem (4,27%).

Pijaństwo najwięcej stosunkowo *zabiera ofiar* w Sandomierskiem (25 71) i Lubelskiem (25,63); nie mało też w Radomskiem (24,28), Chęcińskiem (24,3) i Łęczyckiem (23,26). *Największa stosunkowo trzeźwość* panuje w Płockiem (12,3), Kalwaryjskiem (12) i Łomżyńskiem (11,5), oraz w Warszawie (4,16).

Za to Kalwaryjskie odznacza się stosunkowo *najczęstszemi pożarami* (33,77). Daleko od niego odchodzą pod tym względem obw. Łomżyński (24), Radomski (22,08) i Zamojski (21,62), które z porządku potem następują. *Najrzadsze* pożary bvwają w Kujawach (12), którąto jednak okolicę pod względem *podpaleń* (7) raczej do gorszych, niż do lepszych zaliczyć wypada. W tój kategorii obw. Kielecki (15 43) stoi na równi z Kalwaryjskim (15,95); *minimum* przypada na Warszawę (1,56), a z obwodów wiejskich na Siedlecki (4,02) i Warszawski (4,62).

ROZDZIAŁ III.

Ruch przestępstw w różnych miejscowościach kraju od r. 1865.

§ 35. Na ogół przestępstw *największy* ich *przyrost* okazują obwody: Sandomierski (133%), Kalwaryjski (126,1%), Płocki (114%) i Łomżyński (108,6%). Jeżeli jednak zauważymy, że różnicę tę w znacznej części stanowią wykroczenia specyalne, szczególniej dotyczące przepisów o akcyzie, które powstały dopiero od r. 1866, a któremi odznaczają się właśnie te obwody ¹⁾, to zdaje się, że *maximum* przyrostu przestępstw, przypada raczej na obwody: Siedlecki (103%), Radomski (83%) i Bialski (90,8%). *Minimum* zaś, na obwody Kujawski (7,2%), Chęciński (18,2%) i Łęczycki (19,1%). Zastępuje więc na uwagę, że *najznaczniejszy przyrost* okazuje się w okolicach, w których *przecięciowa liczba przestępstw okazuje się najmniejszą*, podczas gdy okolice, przedstawiające się *najniekorzystniej*, co do średniej liczby przestępstw z całego okresu przecięciowo, co do ruchu przestępstw okazują *rezultaty najbardziej zaspakajające*.

Gdyby nie było podstawy do przypisywania takiego postępu, okolicznościom czasowym i przypadkowym, można byłoby mniemać,

¹⁾ Por. wyżej § 29.

że postęp czasu zmierza i na tém polu do zrównoważenia odrębności miejscowych, i jakoby do stopniowego ich zatarcia.

Biorąc pod uwagę pojedyncze rodzaje przestępstw, znajdujemy, że *kradzieże podwoiły się* w obwodach: Pułtuskim i Radomskim, *potroiły* prawie w obwodach: Sandomierskim, Siedleckim i Bialskim; *zwiększyły się tylko o połowę*: w Płockim, Kieleckim, Lubelskim, Zamojskim i Warszawskim; *malo co pomnożyły się* w Kaliskim, Piotrkowskim, Kujawskim i Łęczyckim. *Uszkodzenia na zdrowiu podwoiły się* w obwodach: Warszawskim, Piotrkowskim, Chełmskim, Kieleckim, Siedleckim i Łomżyńskim, *potroiły się* w Płockim, Pułtuskim, Sandomierskim i Lubelskim, *w czwornasób zwiększyły się* w Kalwaryjskim i Bialskim. *Występki samowolności i lekceważenia władzy*, zwiększyły się szczególnie w obwodach: Kieleckim i Kalwaryjskim, oraz w okręgach Nadbużnych, także w Warszawie. *Podpalenia* mnożą się w Kieleckim, Sandomierskim i Lubelskim. *Zabójstwa* w Sandomierskim, Piotrkowskim, Kujawskim i Łęczyckim. *Świętokradztwo, bluźnierstwo i krywoprzysięstwo* w Sandomierskim, Pułtuskim i Siedleckim. *Oszustwo* w Płockim, Kalwaryjskim i w Warszawie. *Dzieciobójstwo* w Płockim i Pułtuskim. Cyfry te jednak nie są tak znaczne, żeby postęp ten uważać za stanowczy; jedynie co do *kradzieży, uszkodzeń na zdrowiu i wykroczeń porządku publicznego* dotyczących, jako reprezentujących się w dosyć wysokiej liczbie, zasługują na uwagę.

ROZDZIAŁ IV.

Przybliżony rezultat ruchu przestępstw od r. 1834.

§ 36. W powyższem porównaniu musieliśmy poprzestać na ostatniem ośmioleciu. Różność skali obliczania, (o której mówiliśmy w oddziale I-ym niniejszej części) czyni niepodobnem takie porównanie ostatniego okresu (1865/72) z poprzednim (1848/64). Mniejsze trudności przedstawia okres drugi (z okresu 1-go zupełnego wykazu przestępstw nie znamy), kiedy potrójny podział przestępstw znacznie ułatwiał wykazanie ich podług przybliżonej ich ważności; w szczególności zaś wyróżnienie z ogólnej liczby, czynów odpowiadających mniej więcej obecnym wykroczeniom ustawy gminnej.

Najdawniejszy a zupełny wykaz statystyczno-kryminalny, jaki znamy z téj epoki, obejmuje sprawozdanie z r. 1834. Jest to więc w przybliżeniu obraz tych stosunków z pierwszych lat okresu drugiego. Porównanie tych odległych już czasów z obecnymi nie jest bez interesu. Ponieważ przy dziś obowiązującym kodeksie rozróżnienie czynów, które dątyby się podciągnąć pod zbrodnie, a występki z kodeksu r. 1818, jest prawie niepodobne, przy porównaniu więc stosunków miejscowych, musimy tu poprzestać na podziale podług jurysdykcji sądów kryminalnych.

Biorąc tedy stosunek do ludności z lat 1834 a 1865 znajdujemy, że przestępstwa w ogólności zwiększyły się w tym przeciągu czasu:

w obw. jurisd. sądu kryminalnego	Warszawskiego o	275,030%
— — —	Płockiego —	349,800%
— — —	Kieleckiego —	268,572%
— — —	Lubelskiego . —	225,61 %

Porównanie zaś szczegółowych rodzajów przestępstw w całym kraju okazuje:

	Na 100,000 ludności było przest. w latach:	
	1834	1865/72
Przeciw porządkowi publicznemu	13,4	39,83
„ służbie publicznej	1,4	3,63
„ bezpieczeństwu własności	46,5	204,48
„ „ życia	6,2	14,5
„ „ zdrowia	7,7	33,2
„ czci i dobrej sławie	20,8	32,1
podpalenia	4,2	6,1
dzieciobójstwa	0,3	1,56
krzywoprzysięstwa	4,	6,1
Występków obyczajności dotyczących	8,	12,63

Porównanie to okazuje, że przyrost przestępstw na ostatnie 8-letnie stosunkowo do r. 1834 przypada głównie na czyny, dotyczące *własności, porządku publicznego i zdrowia*. Mniej stosunkowo na czyny dotyczące *życia*, tylko *dzieciobójstwo* powiększyło się pięciokrotnie. *Najslabszy* przyrost przypada na *występki przeciw obyczajności, czci i dobrej sławie*.

B.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historja kija: dzieło p. Antoniny Real.—Legenda o kiju Adamowym.—Kij Kuina.—Kij feudalny.—Kij pielgrzymi.—Przysłowia o kiju.—Kij cywilizacyjny.—Towarzystwo zawiązane w celu podniesienia teatru paryzkiego: konferencya p. Feval.—Wyciągi z dwudziestu ośmiu tomowej korespondency Napoleona III, przygotowane do druku w języku polskim przez hr. B. z wyłącznym poglądem na legiony i wypadki Księstwa Warszawskiego.—Zmarły Juljusz Janin.—Wystawa obrazów w pałacu przemysłowym.—Obrazki anegdotyczne p. Gerome, uwiecznione wielkim medalem honorowym.—Corot pejzastyta.—Nad Wisłą, Szermentowskiego.—Myt narodowy: ślub dziewicy galakięd z Focoejczykiem.—Zamilowanie Helenizmu we Francyi.—Obrazy mytologiczne. Alzacya.—Bitwy.—Znaczenie sztuki rodzajowej.—Obrazki rodzajowo etnograficzne.—Wystawa rzeźby.—Chwała zwyciężonemu, Meroiera. Wielki medal honorowy.—Popiersia i grupy do ozdoby gmachów publicznych.—Pomniki tryumfalne dla Peru, Brezylji i Egiptu.—*Gloria Victis!*

Pod tytułem: *Histoire du Baton* (Historja kija), zebrał p. Antoni Real rozmaite tradycje o tym sławnym *monitorze Bočkowskim*, jak go niegdyś u nas nazywano *królu świata*, jak go zowie sarkastycznie przysłówie francuzkie. Książka to dowcipna, a nawet pełna erudycyi. Określone w niej znaczenie kija w całym pąsmie dziejów u wszystkich ludów świata, w ich mytologii, prawodawstwie, obyczajach, zabobnach i t. d.

Pierwszy kij, o jakim historia wzmiankuje, to kij wygnańca, tułacza, jakby na dowód, że człowiek wygnańcem jest na ziemi. Oto legenda o kiju Adamowym, stworzona we Francyi: przytacza ją autor.

Kiedy Bóg stworzył Adama, nadał mu panowanie nad ziemią i mianował go królem wszystkich zwierząt, a zwierzęta posłuszne mu były; ale od chwili, kiedy człowiek podniósł bunt przeciw Stwórcy, zwierzęta wypowiedziały mu posłuszeństwo.

Adam sam nie wie, jak radzić.

—Boże mój! zawoła z pokorą, czémże ja zdołam poskromić drapieżne zwierzęta, co jeżą na mnie kły, rogi i pazury? Jakże zdołam sprawować władzę, skoro mnie słuchać nie chcą?

A Pan odrzecz Adamowi:

— Ułam wielką gałąź z najbliższego drzewa, uderz nią pierwsze zwierzę, które nie zechce być powolnóm.

Adam ułamał gałąź, liście same natychmiast z niej opadły; wyrobił z niej kij wielki.

Kiedy zwierzęta zobaczyły kij w ręku człowieka, uczuły dziwną trwogę i usunęły się pokornie. Sam tylko lew, zuchwalszy od innych, rzucił się nań z rozwartą paszczą. Adam uskożył w bok, ugodził go w łeb kijem z szybkością błyskawicy: lew powalił się na ziemię.

Postrach zdjął zwierzęta. Drżąc przyczołgały się pod stopy człowiekowi i na znak uległości, jęły lizać kij, którym był uzbrojony.

Odtąd — kończy legenda — Adam odzyskał dawną władzę: zwierzęta uznały go znów królem. Kij stał się głównym przywilejem nadanym człowiekowi. On sam, z pomiędzy wszystkich istot stworzonych, potrafił ocenić jego wartość i użyć go w potrzebie.

Niestety, filozofowie nowój szkoły chcieli dowieść, że małpa spokrewniona z człowiekiem, dzieli z nim zaszczyt kijożnawstwa; pokazało się jednak, że czworonożna gawiedź, jeśli używa kija, czyni to wprost przez naśladowanie, a nie z wrodzonego instynktu. Kij wyłącznym jest przywilejem dwunożnych zwierząt, doskonałym zastępstwem tego, czego im przyroda odmówiła: kłów, rogów, szponów i pazurów, najdzielniejszym środkiem do wprowadzenia w czyn aksjomatu: *sila jest prawem*.

Adam używał kija wyłącznie do obrony przeciw lwom i tygrysom, syn jego Kain, podniósł go niestety, na brata.

Szczep Kaina rozrodził się potężnie, siła zwalczyła prawo, kij zapanował na ziemi. Myśl tę wyraził Vossiusz poeta holenderski; w obszernym poemacie; oto czterowiersz z niego:

Ach! rzućmy wzrokiem na pochod dziejowy;
Wiecznie się, wiecznie, powtarza to samo:
Przetrwał na ziemi kosztur Kainowy,
Zmazan krwi bratniej pierworodną plamą!

Vossiusz drukował swój poemat w Amsterdamie w XVII-tym wieku w czasach najzażartszych walk kainowych. Podczas kiedy krew bratnia zalewała Niderlandy, teologowie z Leydy i Amsterdamu owiani technieniem wojowniczym, prowadzili zacięty spór naukowy o broń, jakiej użył protoplasta wszystkich Kainów. Jedni, opierając się na tradycyi, która dała pobudkę dawnym flamandzkim malarzom utrzymywali, że Kain zabił Abła tym orężem, jakim Samson pogromił Filistynów, to jest paszczką zwierza; inni znów dowodzili, że kijem: do tych należał poeta Vossiusz, jak widać z przytoczonego ułomku.

Nie sam oręż kainowy był celem sporów między holenderskimi teologami. „Kto chce psa uderzyć, znajdzie kij;“ kto szuka sprzeczki,

znajdzie wszędzie i zawsze gotowy do niej powód. Spierano się niemniej o kij Adama. Uczni z Leydy utrzymywali, że Bóg dał Adamowi kij z drzewa migdałowego. Stawiali jako dowód kij Aaronowy, który położony w arce przymierza, okrył się kwiatem i zrodził migdały. Teologowie z Amszterdamu twierdzili z równą zaciętością, że kij Adama pochodzi ze sławniej jabłoni; że pierwszy nasz ojciec odłamał z niej tę samą właśnie gałąź, o którą owinął się wąż, kiedy kusił pierwszą niewiastę. Oczywistym dla nich dowodem, był ów cudowny kij, który w ręku Mojżesza stawał się wężem i znów przybierał zwykłą postać.

„Kij Adama—pisze jeden z uczonych—pochodzi z drzewa wiedzy dobrego i złego! ma bowiem dwoistą naturę. Nie jestże on sam złem i dobrem stosownie do sposobu, w jaki go używamy? Dobrem jest, gdy służy za podporę, złem, gdy się staje narzędziem zbrodni i morderstwa.

Ktokolwiek znaczył coś na świecie, ktokolwiek miał prawo rozkazywać słabszemu, nosił kij, wybitne znamię władzy. Wyobraźnia ludów uzbroiła nim nawet bóstwa. Święto słonecznego kija, obchodzono w Egipcie z wielką uroczystością w czasach panującego fetysyzmu. Według realistycznych pojęć ówczesnych, słońce nie byłoby mogło utrzymać się w powietrznej przestrzeni, gdyby niewidzialny kij nie służył mu za podporę. Bogowie idealniejszych Greków używają téż kija. Bachus nosi, sławny Phyrz wyrobiony z krza winnego; Herkules kamienną maczugą zmiata łeb hydrze lernejskiej. Bohaterowie Homera: Agamemnon, Achilles, Ajax, Hektor, Patrokles, używają kijów z obsadą w górze metalową: pierwszy to krok na drodze wojskowego postępu, który rozkwitając coraz bardziej i bardziej, miał wydać iglicówki i Krupyl!

Kije sławnych bohaterów Homerowskich, nietylko że służą do boju, są one niemniej znamiem królewskości: są to pierwotne berła. Zrazu król nie rozstawał się z berłem ani na chwilę; Saul miał je pod ręką, gdy siedząc u biesiady, podniósł je na syna Jonathasowego; miał je przy łożu, gdy Dawid zaskoczył go nocą w obozie.

Później, w miarę jak rozszerzała się władza królów, berło przybierało coraz to mniejsze rozmiary: wykowano je ze srebra lub ze złota; nasadzano drogiemi kamieniami, zdobiono w orły, lilie i niezliczone godła. Z oręża stało się symbolem, ozdobą, przedstawiało raczej siłę ducha, nizeli siłę pięści.

Autor pokazuje nam kij w niezliczonych jego przemianach: tu jako pastorał w ręku biskupów i opatów; tam jako znamię feudalnej władzy w ręku wielkich wassalów koronnych. Powiedzmy téż mimochodem, że pan Real nie rozumie prawdziwego znaczenia feudalizmu. Według autora powstał on w chwili, kiedy papież Grzegorz VII, upokorzył królewskości. Trudno temu przeczyć, że w czasach słabnącej władzy królów, możnowładztwo podnosiło głowę; widzimy to i w dziejach naszych po rozdziale kraju przez Bolesława Krzywoustego;

ależ feudalizm ma zupełnie inny początek. U wszystkich ludów cywilizacji aryjskiej, to jest opartej na indywidualizmie, był on kamieniem węgielnym społeczeństw, wypływał bowiem z potrzeby decentralizowania władzy, a tém samém zachowania ludów od cezaryzmu. Kiedy Grzegorz VII upokorzył cezaryzm, hierarchia feudalna zyskała na tém, przyszła do rozkwitu, oddała wielkie usługi cywilizacji, bo wyrobiła w jednostkach uczucie godności osobistej, a co ważniejsza, wyrobiła instytucje prowincjonalne, tę najsilniejszą tamę przeciw nadużyciom jedynowładztwa; potem rozpasła się w szalony sposób i upadła zgnieciona cezaryzmem wówczas, kiedy wraz z literaturą i sztuką, odrodziła się w Europie idea polityczna samowładczej Romy.

Nie myślimy bynajmniej przeczyć autorowi, kiedy wylicza gwałty i zbrodnie feudalnych panów; zaprzeczamy tylko w tém, że wyprowadza niewłaściwie początek instytucji. Grzegorz VII, powtarzamy, nie stworzył feudalizmu: instytucje współczesne nie mogą być dziełem jednostek, chociażby najgenialniejszych; na wyrobienie ich składają się wieki i pokolenia: geniusz ludu stworzyć je tylko może.

Nieprzebrębany wróg kija możnowładców p. Real, względniej określa kij pasterski, to jest pastorał biskupów i opatów średniowiecznych. Wykazawszy całą potęgę kluniackiego opactwa, którego zwierzchnik nosił tytuł: *Rex Cluniacensis et militiae princeps*, autor tak przedstawia władzę owych zakonnych potentatów.

„Bądźmy sprawiedliwi. O ile gnębiony był, łupiony i ciemniony lud rolniczy na ziemi magnata, o tyle doświadczał pomocy i opieki lud skupiony pod cieniem monasteru. Należy oddać słusność zakonnikom, że jeśli jedną ręką zgarniali ofiary bogaczów, drugą szczerdzą za to obdarzali ubóstwo. *Sous la crosse il fait bon vivre*, (pod pastorałem błogo żyć), mówi średniowieczne przysłowie. Ktokolwiek z pod zwierzchnictwa świeckiego przeszedł pod władzę opata, czuł się szczęśliwym, wiedział bowiem, że nie będzie okładany kijami ani téż sprzedany, jak bydło!

„Nie oskarżajmy pastorału!—mówi dalej—upokarzał on pychę wielkich, wyzywał w zapasy samowładztwo, trzymał ze słabymi przeciw mocnym, z uciemnionymi przeciw ciemnocytelom. Nie potwarzajmy zakonów. Jeżeli pod pastorałem opata wkładało się tu i owdzie rozprężenie, jak to wyraża święty Bernard, były one przeciw świętynią nauk, skarbnicą wiedzy, przytułkiem otwartym dla nieszczęśliwych. W cieniu ich przesładowani znajdowali bezpieczną uchronę przed gwałtami kija feudalnego.”

Na kogo ten kij spadał najczęściej? oto, jak mówi autor, na biednych poetów! I opowiada przegodę Jana z Meung autora: *Romansu Róży*. Poeta ośmielił się powątpiewać o moralności i cnotcie dam dworu Ludwika Pięknego. Zgroza niestychana! Panie domagają się kary na niegodnego oszczercę. Królowa przemawia za niemi. Filip rozkazuje uwięzić oskarżonego. Nieszczęśliwy poeta ma być

rozebrany do naga i zachłostany ręką obrażonych pań, ręką nie-przebłaganą!

Położenie okropne! Jan Meung nie traci jednak głowy: poddaje się pokornie pod wyrok, błaga tylko królowę, aby mu dozwoliła zastrzedz warunek, co do sposobu egzekucyi. Królowa zgadza się na to.

— Niechaj—rzecze poeta—pierwszy pocisk wymierzy ręką téj, która najwięcej popełniła zdrożności.

Żadna nie przyjęła pierwszeństwa: poeta szczęśliwie uszedł chłosty.

Następcy Jana Meung, mniej zręczni od niego, tak często przypłacali ostre słowa niemniej ostrymi pociskami, tyle naodbierali razów, że smutne ich losy stworzyły przyszłowie. *Traiter quelqu'un en poete*, (obchodzić się z kim, jak z poetą), znaczyło to samo, co wybić kogo kijem. Te nieszczęśliwe ofiary znalazły historyografa w Wiktorze Fournel; napisał on dzieło p. t.: *Rola kija w literaturze*. Według niego XVI-ty i XVII-ty wiek, najwięcej dały się we znaki poetom. Wspomina przygody dziewięćdziesięciu ochłostanych; w liczbie ich znajdujemy imiona najszlachetniejsze w swoim czasie, jak naprzykład imię Woltera, który odebrał kije na rozkaz księcia de Sully z rąk lokajów tegoż magnata.

Od kija, groźnego narzędzia kary, zemsty i gwałtu, przejdźmy do kija pielgrzymiego. Wielką rolę ten kij odgrywał w pielgrzymkach średniowiecznych; był on nietylko podpora, ale przyjacielem i towarzyszem wędrowca, zaklętym talizmanem, chroniącym go od wszelkiej złej przygody. Tak określa kosztur pielgrzymi, pieśń ludu francuzkiego, którą dajemy w przekładzie.

Kij pielgrzyma.

Po gościńcu tam szerokiem,
 Idzie pielgrzym krok za krokiem;
 W torbie suchar, w tykwie wino,
 Płaszcz ma z wielką peleryną,
 Nalepiany muszelkami:
 Znak, że bywał za morzami.
 Kapeluszem pokrył głowę,
 Ma paciorki kokosowe;
 W ręku długi kosztur trzyma,
 Święcon w Rzymie dla pielgrzyma.

Ta podpora sił dodaje,
 Z kijem cudze zwiedza kraje;
 Coraz w duszy mu weselój:
 Dziś powraca z Kompostelli,
 Zaczém długi rok upłynie
 Spocznie w świętój Palestynie:

Piecze lato, czy dmie zima,
Kij podporą dla pielgrzyma!

On mu czerstwe daje zdrowie,
Święte myśli rodzi w głowie;
Krzepi serce dzielnym hartem,
Dopomaga w walce z czartem:
Gdy złe wlezie mu przed oczy,
Swiśnie kijem, czart uskoczy!
Jak stróż anioł kij go chroni,
Do żyłastój wrostł mu dłoni;
Wierne czaty nad nim trzyma:
Kij puklerzem dla pielgrzyma!

Stuku puku! Któż otworzy?
W dom ja niosę pokój Boży!
— Chodź pielgrzymie! płomień błyska,
Siądź na ławie u ogniska!

Kmieć pielgrzyma w chacie swojej
Darzy chlebem, winem poi,
Ściele łożę z trawy świeżej;
Kląkli obaj do paciérzy.
Pielgrzym podjął kij sękaty,
Błogosławi progi chaty:
Głód nie zajrzy tu ni nędzal
Czarta z progę w lot wypędza,
W Imię Ojca, Syna, Ducha:
Kij podpora, kij otucha!
Spoczął pielgrzym, słodko drzymie:
Kosztur spoczął przy pielgrzymie.

Nie pierwszy lepszy kij posiadał przecież tę cudowną siłę. Potrzeba go było do tego przygotować. Oto recepta znaleziona, w jakiémiś odwieczném: *Sylva Herum*.

Ułam nazajutrz po Wszystkich Świętych grubą gałąź bzu dzikiego; każ ją okuć od dołu, wyjmij rdzeń, włóż w jego miejsce oczy młodego wilczka, język i serce psa, trzy jaszczurki zielone i trzy serca jaskółek, rozdzielone papierem posypanym saletrą. Potóż na to siedm listków werbeny, urwanój w wigilią Ś-go Jana Chrzyciela i barwisty kamyk, jaki się znajduje w gnieździe dudka. Obsadź kij w górze, jaką chcesz gałką, a możesz być pewnym, że ten kij ustrzeże cię: od rozbójników, od psów wściekłych, od wszelkiego drapieżnego zwierzęcia, od jadowitój gadziny, słowem od wszelkich złych przygód; że odgadnie sam niebezpieczne ścieżki i sprawi, iż będziesz je omijał; że nakoniec, zaklętą mocą swoją zjedna ci życzliwość każdego, przy czyjém ognisku szukać będziesz wytchnienia w drodze.

Bez tylu przecież zachodów otrzymywano łaskę czarodziejską; tu starczyła sama potęga słowa. Oto przepis:

O wschodzie słońca masz odłamać gałązkę leszczyny, co jeszcze nie rodziła orzechów, oberwać z niej liście i wyrzec: „Odłamuję cię w imię Eloima, Muthrosona i Semifory, abys miała własność laski Mojżesza i Aarona i odkryła mi wszystko, co wiedzieć pragnę.“

Toż samo zaklęcie powtarzało się przy każdym użyciu onéj laski. Autor wyczerpując do gruntu przedmiot, wkońcu przytacza około trzydzieści przysłów osnutych na kiju. Rzecz dziwna, że oprócz jednego: *przez kij kogo przesadzić*, żadne z nich nie ma odpowiedniego w naszój mowie, kiedy tymczasem inne przysłowia nasze, spotykają się bezustannie z francuzkami. Widoczny w tém dowód, że:

Na różnych ziemiach, różne rosną kije,
A zawsze boli, czy ten, czy ów bije!

Jedno z francuzkich, bardzo charakterystyczne:

Kij na człeka dopust Boży:
Swój dolega, cudzy gorzej!

Inne przysłowie ich mówi: *Nauka jest kijem żywota*. Sens to dwoisty. Jestże ona podpora, czy chłostą dla tego, kto jéj życie poświęcił? Zdaje się, że i jedném, i drugiem; świadczy *dictum* powyżéj przytoczone: *obchodzić się z kim, jak z poetą*. Może tu być i trzecie jeszcze znaczenie; kiedy życie pociąga nas, jak wół pociąga pług za sobą, nie dajmyz mu gnusnąć ani spoczywać marnie.

Silnemu wystarczy kij krótki. To przysłowie tłumaczy nam dlaczego za czasów Karola Wielkiego, berło które miało kształt długiej dzidy, sprowadzono do małych rozmiarów. Gdyby Ludwik XVI miał dzidę Kłowisów lub téż potęgę duchową Karlomana, byłby uchronił głowę od gilotyny.

Zostać o białym kiju: przysłowie to sięga pierwotnych czasów monarchii francuzkiéj. Prawo Salickie, równie jak nasze z czasu Piastów, skazywało zabójcę na grzywny. Jeśli winowajca nie miał czém się okupić, jako baniża wyganiany był z domu, z *białym* to jest odartym z kory kijem, na znak ostatecznego ubóstwa.

Przysłowie staro-polskie: *Szlachcie u dworu służy a w domu kij mu rośnie*, nie ma odpowiedniego we Francyi. Historia tłumaczy to wybornie: kiedy tam szlachta porastała w pierze u stóp tronu, nasi dostojnicy, niedość że z własnego żyli grosza, lecz w każdéj potrzebie hojną garścią sypali złoto na potrzeby rzeczypospolitéj. Czestokroć téż pola ich *zarastały lasami*. Nie mówimy tu o czasach ostatnich, kiedy Stanisław August rozdawał starostwa nie zasłużonym ale szczęśliwym ulubieńcom!

Inne francuzkie znowu (jakiego u nas niema śladu) oddaje chlubne świadectwo obyczajom naszym. Oto dosłowny jego przykład:

Pod kijem, zły czy dobry koń dziarsko wywija:
Na złą czy dobrą żonę nie żałować kija!

Otóż przebiegliśmy wszystkie zbiory przysłów, zacząwszy od Knapskiego i Rysińskiego do ostatnich filologów naszych; odczytaliśmy *Zarys historyczny Niewiasty Polskiej*, przez czcigodnego K. Wł. Wójcickiego, i nigdzie nie spotkaliśmy się z podobnym argumentem. *Koń i niewiasta* często idą obok siebie w przysłowia naszych, i nic w tém dziwnego, jak słusznie mówi wspomniany nasz starożytnik: „Koń, on ciąży towarzysz łowów i bitew, tyle użyteczny i ulubiony, niepoślednie zajął miejsce w języku dawnym, w którym tak wiernie odbija życie czynne żelaznych mężów XV-go i XVI-go wieku“!

Koń powolny, żona wierna, sługa pilny, muszą być w łasce u *małych*, mawiali ojcowie nasi: *koń jeźdźcem, żona mężem stoi*, powtarzano w czasach kiedy się nie śniło nikomu o wywalczeniu samodzielnych praw dla rodu niewieściego. *Z koniem nie igrzaj, niewieście nie ulegaj*, dowodzili mnień grzecznie; ale zbiorowy rozum narodu nie stworzył przysłowia, w którémby kij odgrywał rolę na grzbiecie kobiety. Nieodrodni synowie Aryów, Polacy lepiej niż Francuzi trzymali się przysłowia, przechowanego dotąd u podhimalajskich współplemienników, Hindów: „*nie uderzaj kobiety nawet gałązką lotusowego kwiatu*“.

W dowcipny i niespodziewany sposób autor zakończy swoją rozprawę, określeniem ostatniego kija, do maleńkich wprawdzie sprowadzonego rozmiarów, którego znaczenie przecie olbrzymie na polu inteligencji. Tym kijem cywilizacyjnym, tą czarodziejską laską co dobywa zdroje ze skały, mieni p. Real... pióro!

Wiadomo że pierwsze zabytki piśmienne jakie znamy, kreślone kijkiem z trzciny na korze drzewa. Co więc, u niektórych ludów, nie samo tylko narzędzie służące do pisania, lecz niemniej materyał na którym kreślono zgłoski, był kijem, to jest krażkiem drewnianym. Chińczycy pisali na bambusie, Teutonowie na słupkach ociosanych z buczyny. Świadczy o tém podziśdzień wyraz *Buch*, określający zarówno książkę jak i bukowe drzewo. W złożonym wyrazie *buch-staben*, druga część pochodzi od *stab* czyli *kijek*.

Nie koniec jeszcze na tém: najdawniejsze rękopisma składały się ze skórek baranich, dolepianych jedna do drugiej, i owijanych wokoło drążka. W téj to formie posyłano niegdyś urzędowe polecenia a nawet prywatne listy.

W VII-ym dopięro wieku, zamiast kijków, używać poczęto ptasich piór do pisania. Wiek nasz żelazny, nowy wprowadził obyczaj. Po tysiącletniem zapomnieniu, kijek wystąpił na jaw, zamieniony w obsadkę do żelaznego dziobu; zakorzeniony tylko nałóg pozostał mu nazwę pióra.

Autor kończy rzecz odezwą do rodaków: „Wy wszyscy, którzy piastujecie ten kij, godło potęgi umysłowej, pamiętajcie, że Francya powinna piórem odzyskać sponiewieraną chwałę, i dobić się pierwszorzędno miejsca wśród ucywilizowanych narodów. Bodajby ten oręż w ręku waszym, służył wiernie prawdzie i sprawiedliwości; bodajby się stał w całym znaczeniu kijem cywilizacyjnym!“

Ta konkluzya narzuca nam na myśl wiersze bezimiennego francuzkiego poety, który wobec klęsk doświadczonych od Prusaków, szuka odwetu w piórze swoim: Dajemy tu przetłumaczony ten wierszyk.

„*Moje pióro.*“

Czas w pomysł tak bogaty,
Jedno daje, drugie bierze;
Z mego cechu brat przed laty,
Orał gęsią po papierze.

Ja nie sprzyjam gęsiom wcale,
Lubo czyn ich światu znany;
Brenusowe nasze Gale,
Toć mi droższe nad Rzymiany!

Idźmy dalej! postęp górą,
Gęś na pastwę daję gminu;
Wolę nowe moje pióro,
Dziób ze stali, trzon z bursztynu!

Ten mi bursztyn przypomina,
Kiedy serce się pożali,
Łzą przeczystą Apolina,
Skamieniałą w morskiej fali.

Ach! okupi dźwięki płaczem,
Kto kołysze serce niemil
I bóg pieśni był tułaczem,
I on płakał za swojemi ¹⁾.

Gdy powiodę wzrok po stali,
Oko mętą znajdzie chmurą;
Tyleż ojce zmarnowali,
Ledwie starczy jój na pióro!

¹⁾ Podanie mówi, że Apolo wygnany z nieba pasał trzody Admetowe. Łzy jego wyronione w tęsknocie, skamieniały w głębi morza i stały się bursztynem.

Między świeżo zawiązanymi we Francji towarzystwami, jedno poruszyło szczególnież umysły, i stało się przedmiotem żywej polemiki po dziennikach i pismach. Mówimy tu o towarzystwie zawiązanem w celu podniesienia teatru. Trudno dziś zgadnąć o ile cel osiągnięty zostanie. Potrzeba na to solidarnego współdziałania dyrektorów, pisarzy dramatycznych, krytyków i samėjej publiczności. W każdym razie spodziewać się potrzeba, że jeżeli posiew rzucony w wielkiej części upadnie na martwą opokę, jakieś przecie ziarneczko z niego, znajdzie grunt odpowiedni, zakiełkuje, wybuja zdrowym kłosem, i dostarczy ziarn do nowego posiewu.

Zrozumiało towarzystwo, że współdziałanie publiczności niezbędnym jest warunkiem do uwieńczenia dzieła. Wypowiedziało zatem myśl swoją w publicznej konferencji, przez usta Pawła Feval, znanego powieściopisarza i pełnego talentu mówcy. Feval, wybornie wywiązał się z zadania; umiał on ożywić konferencyą swoją prawdziwym dowcipem, i uniknąć w niej pedantycznego moralizowania, tak wstrętne go Francuzom. Wesotem i lekkim napozór, w gruncie zaś bardzo głębokim słowem, wykażał zgubną przepaść, w jaką skażony teatr pograżać może społeczeństwo. „Dawno już, dawno—mówi on—trzeba nam było obrócić‘ oczy ku tój stronie. Teatr wywiera wielki wpływ na umysły! Nie należę do tych którzy przypisują mu wyłącznie złe jakie się stało, a przecie niezbitą jest prawdą, że ilekroć chorobliwy sarkazm, pogarda wszelkiego piękna i dobra, lekceważenie rzeczy wielkich, mania wydrzeźniania, cześć paradoksu, przebiorą godziwą miarę, tylekroć następuje wylew najohydniejszy ze wszystkich, wylew błota cuchnącego krwią i sromotą. O! nie próżne to słowo!... bezecna to powódź: widzieliśmy ją wszyscy!”

„Aby podnieść teatr z upadku, braknie nam pisarskich talentów?” —pyta mówca—bynajmniej! I wylicza długi poczet poetów i pisarzy, któremi słusznie chlubi się Francya. Wymienia najprzód Wiktora Hugo „tego olbrzyma, który szczęściem dla sztuki, nie zawsze zajmował się polityką,“ i Aleksandra Dumasa, godnego spadkobiercę sławy ojcowskiej „któremu pomimo licznych zarzutów, nikt przecie nie odmówi ogromnych zdolności,“ wymienia Emila Augier „błyszczącego dowcipem galskim“, i wytwornego Juliusza Sandeau, i pełnego wdzięku Oktawa Feuilleta, i zręcznego Wiktora Sardou, i Juliusza Barbiera, który *Dziewicę Orleańską* poruszył w sercach tyle patryotycznych uczuć, i Manuela autora *Robotników*, i Coopego i Legouwego, i tylu innych jescze.

„W obec takich zawołanych mistrzów, dodaje Feval, nie myślimy utyskiwać na ubóstwo sztuki dramatycznej. Mamy wyborne komedye i piękne dramata; ale czego nam brak? oto dobrego teatru, do którego matka mogła śmiało wprowadzić córkę, teatru, któryby z repertoaru swego, wyrzucił wszelkie szkarady, któryby po sztuce uczciwej co dziś zapala umysł i podnosi serce, nie wystąpił jutro z najbezpieczniej-

szym skandalem. Takiego teatru niema Paryż: hańba to wielka dla Francji!

„Nie idzie nam o to—dodaje—aby zamienić teatr na kościół lub na szkołę. Nie żądamy od niego moralnych kazań, ani naukowych dysertacji; chcemy aby był miejscem godziwej rozrywki i błogiego wytchnienia, gdzieby uczciwa rodzina znalazła, jeśli można, zdrowy pokarm, a przynajmniej uniknęła niebezpiecznej zarazy.“

Dowcipnie opowiada mówca jak w ciągu ostatniej zimy znalazł się w jednym z pięknych teatrów, na przedstawieniu *Joanny d'Arc*. Sztuka budziła wielki zapaf; artystka przedstawiająca bohaterkę, zdobywała grzmiące oklaski. „Obliczałem w duchu—dodaje—ile to nie wyczerpanych źródeł dostarczyłyby mogły roczniki dziejów naszych! Dyrektor tego teatru piękną utworzył sobie drogę, po takiej próbie, rzuci się cały w poezye historyczne: ani wątpić już o tém! Ledwie upływał miesiąc, wchodzę znów do tego teatru. Cóż widzę? oto sparodyowaną legendę Orfeusza! Jakiż to przepych w dekoracyach, w kostiumach, ileż błyszczących fraszek, jakaż to czarodziejska muzyka! Nasłuchawszy się do syta niesmacznych żartów, bynajmniej nie ateńskich, pytałem sam siebie, jaki być może cel takiej parodyi, tak błyszczącej na zewnątrz od złota, wewnątrz zapowietrzonej zgnilizną? Celem jój chęć przypodobania się publiczności, a przecież ta sama publiczność, pochłaniała niedawno duszą całą gorące słowa Joanny d'Arc!

„Żal mi było szczerze—ciągnie mówca—tego przesłicznego mythu znieważonego parodyą. Orfeusz to istny klejnot poezyi starożytnej. Gdyby zdolny jaki poeta podjął ten cudny symbol, odświeżył go, przybrał według dzisiejszych pojęć sztuki, zastosował do naszych obyczajów, zostawiając mu głębokie znaczenie, stworzyłby prawdziwe arcydzieło.“

P. Feval kreśli taki plan dramatu obmyślonego naprędce.

„Mój Orfeusz nie trzyma liry w ręku, gdyż lira nie idzie do pary z czarnym frakiem. Młody on, piękny, wspaniałomyślny, pełen szlachetnych uczuć.

„Moja Eurydyka młodziuchna, nieświadoma życia, pełna wdzięku i niewinności. Szczęśliwa para wstępuje w świat po różach.

„Świat rzeczywisty, równie jak świat mytologicznych bajek, najeżony mnóstwem niebezpieczeństw. Wprawdzie węże nie pełzają po woskowanych posadzkach sal balowych, ławo tam jednak odebrać ukąszenie jadowitej gadziny.

„Gdzież one pełzają te ofiary potworu o siedmiu głowach jak starożytna hydra? głowami temi próżność, nuda, chęć zabaw, bezczynność, kaprys, chciwość wrażeń, czcza utuda strojąca się w barwy miłości! Gdzież one pędzą? gdzie się gubią?

„Niektóre z nich zasługują na pogardę, drugie nieszczęśliwie raczej niż winne rzeczywiście. Świat mylić się może w sądzie o nich, gdyż świat nie zawsze sprawiedliwym jest sędzią. Moja Eurydyka

rzuciła się w przepaść piekła paryżkiego. Straszliwe to piekło za prawdę. Widzimy ją tu młodą jeszcze i piękną, przesuwaną się w gronie swobodnych i szczęśliwych. Jedne pędzą na nią z góry, mierzą ją nielitościwie okiem wzgardy i potępienia; inne zgubione same, szyczą z jej niewinności, radeby ją wtrącić na samo dno otchłani: wówczas nadchodzi Orfeusz.

„Orfeusz zstąpił przez wszystkie szczeble, prowadzące z ziemi do piekła. Szuka on duszy nad którą winien czuwać w imieniu praw ludzkich i bożych. Spotyka po drodze, nie jeden sarkazm szydzący, nie jedną zniewagę, przechodzi jednak śmiało. On uosabia miłość miłość najwyższą, uświęconą małżeństwem.

„I oto Orfeusz zbliża się do swój Eurydyki, zdobywa ją, wrywa z tego piekła. Prowadzi ją za rękę; idzie obok niej z głową podniesioną, z okiem tryumfującym. I świat otwiera szeregi, przepuszcza młodą parę, milknie złośliwy poszept, na żadnych ustach nie dopatrzeć szydzącego uśmiechu.

„Przy Orfeuszu prawo. On przedstawicielem małżeństwa, tego ostatniego węzła naszych zagrożonych instytucyj, wyrazem rodziny, na której wspiera się społeczeństwo.“

Taki to wątek wysnuł artysta z mythu sponiewieranego bezecną parodią. Słuchacze przyklasnęli mu z zapalem. Nazajutrz po konferencji, liczne głosy krzyknęły po dziennikach: „Mistrzu! znalazłeś na śmietniku bryłę złota, do ciebie należy wyrobić z niej kunsztowny klejnot.“

„Słynny powieściopisarz, nieraz już próbował sił w teatrze. Jego: *Syn szatana* i *Tajemnice Londynu* żywo zajmowały publiczność paryżką. Spodziewać się należy, iż wkrótce Paryż powita na deskach teatralnych nowego, zrehabilitowanego Orfeusza!

Widzieliśmy w rękopiśmie polskim przygotowaną do druku nadzwyczaj ważną publikacją, która rzuci nowe światło na historię pierwszych lat tego stulecia. Są to wyjątki z korespondencji Napoleona I, wydanych kilka lat temu na rozkaz ostatniego cesarza.

Dzieło to obejmujące dwadzieścia ośm tomów, streszczone zostało w polskim przekładzie w jeden obszerny tom: tłumacz hr. Bystrzanowski miał na myśli objąć w tym skrócie wszystko cokolwiek odnosi się do dziejów naszych, czy to bezpośrednio, czy też pośrednio, dopełniając rzecz własnymi uwagami. Jakkolwiek pierwsze tomy nie mają prawie styczności ze sprawą obchodzącą głównie tłumacza, zajmują go jednak żywo jako charakteryzujące w szczególny sposób wielkiego bohatera wieku.

Tom pierwszy zaczyna się od oblężenia Tulonu zajętego przez Anglików. Było to w roku 1796. Napoleon miał wtedy lat dwadzieścia cztery: tylko co postąpił na majora, zastępował dowódcę artylerji.

Zaledwie że donosi Dyrektoryatowi o zdobyciu warowni, układa już plan kampanii piemontkiej. Wyprawa cała trwa od 2 do 28 kwietnia. Rezultat jój ogromny. W skutek powodzenia oręża francuzkiego, król sardyński opuszcza koalicją.

„Głowa Napoleona — mówi tłumacz — to istny wulkan; strugi lawy płyną z niej szeroko. Plany jego olbrzymie, genialne, czyto na polu wojskowych, czy politycznych działań.“

W raporcie do Dyrektoryatu po pierwszych tryumfach włoskich, zachwala dzielność Sułkowskiego, okazaną pod Saint Georges; w krótcie potem zawiadamia w liście generała Berthier, że obrał sobie na adjutantów obywateli Muiron, Sułkowskiego i Duroca. Muiron w kilka dni poległ pod Arcole, Sułkowski we dwa lata potem zginął półkownikiem w Kairze, Duroc marszałkiem Francji pod Reichenbach, w roku 1813.

W liście do Berthiera datowanym z pod Arcole, znajdujemy ten ustęp: „Złóżcie mi generale spisy dotyczące się wymiany jeńców. Życzeniem jest mojem, aby przed innymi wymieniono Polaków, gdyż zdają się być chętniej od innych.“

Jak Cezar w Galii, Napoleon we Włoszech okazuje nadzwyczajną działalność; pamięta o wszystkim. Uczeni zajmują go szczególniej. Przywraca Kanowie usuniętą mu pensją. „W Medyolanie, pisze, widziałem sławnego Oriani. Oniemiał przedemną. Gdy przyszedł do siebie rzekł drżący: „Racście przebaczyć mi generale, bo pierwszy raz będąc w tych zamkowych pokojach, nie przywykłem jeszcze do ich blasku. Biedak, nie domyślał się nawet jak surową naganę rzucił temi słowy na rządu arcyksięcia.“

Drugi i trzeci tom poświęcone również sprawom włoskim. Tu już co chwila napotykamy wzmianki o Polakach. Było ich 5000 we Włoszech. Bonaparte liczył ich do wyborczego wojska.

Wmiarę coraz nowych tryumfów, zwycięzca, istny orzeł, rozwija skrzydła i wyteża szpony. W depeszy do Dyrektoryatu z 30 czerwca 1797 roku, czytamy tę śmiałą pogroźkę: „Zapowiadam wam, a mówię w imię ośmdziesięcioletniej armii, iż minęły czasy, kiedy nędzni adwokaci i rozprawiacze, ścinali głowy żołnierzom. Jeśli mnie usuniecie od komendy, wnet armia włoska z generałem swoim przystąpi pod rogatkę Clichy... ale wtedy biada wami!“

Inaczej Bonaparte przemawia do uczonych. W owymto czasie instytut narodowy zamianował go członkiem swoim. W odpowiedź na tę nominacyą, pisze list do prezydenta, pełen skromności i prostoty: „Wybór znakomitych mężów składających instytut, jest dla mnie prawdziwym zaszczytem. Czuję iż długo będę ich uczniem, zaczem zdołam im sprostać. Gdybym mógł w wyraźniejszy sposób okazać im mój szacunek, użyłbym go bez wątpienia.“

„Prawdziwe zwycięstwa, które nie budzą w nikim żalu, to zdobyte dokonane na nieświadomości ludzkiej. Nie ma zaszczytniejszego i korzystniejszego zajęcia dla narodów, nad te które się przyczy-

niają do rozszerzenia koła myśli ludzkich. Rzetelna potęga rzeczywistości, powinna się na tém zasadzać. aby nie pojawiła się odtąd w świecie żadna myśl nowa, któraby nie była jej własnością."

Na podpisie poniżej nazwiska, wymieniony wprzód tytuł *Członek Instytutu*, potem dopiero: *Wódz naczelny*.

W listach i raportach z Egiptu, (roku 1798). powtarzane co chwila powtarzane nazwisko Sułkowskiego, jak niemniej kilku innych legionistów. W liście do Berthiera czytamy to chlubne świadectwo. „Zawiadomcie natychmiast generale obywatela Sułkowskiego, że postępuje na szefa szwadronu, w nagrodę usług jakie oddał armii, szczególnie w Malcie, oraz przy zdobywaniu Aleksandryi, gdzie po dwakroć został strącony z muru. Nie przestaje być dlatego adjutantem moim.“

W raporcie do Dyrektoryatu, wyraża się o Sułkowskim; „to oficer najwyższej zastugi.“ I niebawem mianuje go szefem brygady. Zawiadamiając potem Dyrektoryat o bitwie pod Salheygh, mówi że dzielny Sułkowski został kilkakrotnie ranny od kuli i pałasza. Gdy urządza instytut naukowy w Kairze, w liczbę członków sekcji ekonomiczno-politycznej, zamieszcza nazwisko Sułkowskiego. Wkrótce niestety! pisze z żalem do brata Ludwika: „Sułkowski na czele kilku gidów, zabity został wczoraj rano.“

Nigdy olbrzymi geniusz Napoleona nie rozwinął potężniejszych sił, jak w tej starożytnej kolebce cywilizacji. Każda chwila, każdy obraz, rozbudza w nim myśl nową. „Żołnierze!—woła ukazując im piramidy—czterdzieści wieków patrzy na nas!“ Nazajutrz, wojsko zdobyło Kair. Zwiedzając Suez i brzegi morza Czerwonego wpada na myśl kanału, coby złączył to morze z Nilem. Urządza dwa szwadrony, każdy z dwustu wielbłądów: jeźdźców uzbraja w długie piki bambusowe. Myśl jego wszystko ogarnia, żelazna ręka trzyma wszystko w najsilniejszych karchach. Rozkaz dzienny z 8 stycznia 1799 roku wymowne daje świadectwo panującej karności.

Oto wyjątek z niego: „Doktor wojskowy któryby z obawy nieprzyjaciela, lub zaraźliwej choroby, odmawiał pomocy rannym lub chorym, podlega równej karze jak żołnierz uciekający z pola bitwy. Obywatel Roger, chirurg w Aleksandryi, okazał się tyle podłym, że odmówił pomocy rannym, podejrzanym o zetknięcie się z zapowietrzonymi. Ma być ubrany po kobiecemu, oprowadzany na ośle po ulicach Aleksandryi z napisem: „Niegodzien zwać się obywatelem francuzkim.“ Potem wtrącony zostanie do więzienia i odesłany do Francyi a tam wykreślony z listy odywatełskiej.

Wśród rozkazów dziennych z tego czasu, widzimy kilka do generała Zajączka, najprzód gubernatora prowincyi Mersuf, następnie prowincyi Jejani. „Brak sił, mówi w ostatniej. masz zastąpić zręcznością.“ W innym wspomina chlubnie szefa inżynierii Łazowskiego.

Po powrocie z Egiptu, pisze do generała Dąbrowskiego pod datą 25 grudnia 1799 roku, list zawarty w tych słowach:

„Wróciwszy do Europy, rad dowiedziałem się, obywatelu generale, o waszém i waszych mężnych Polaków działaniu we Włoszech, podczas ostatniej kampanii. Świetność oręza naszego zaćmiły chwilowe niepowodzenia, lecz wszystko nakazuje nam wierzyć, że wkrótce nowym on blaskiem zajaśnieje. Powiedzcie waszym mężnym, że liczę na nich, że uniem ocenić ich poświęcenie, że będę zawsze ich przyjacielem i towarzyszem. Chciejcie być upewnionym generale, o mojem wysokiém poważaniu i przywiązaniu.“

Bonaparte zostaje konsulem. Odtąd zamiast rozkazów dziennych napotyamy administracyjne rozporządzenia, nacechowane równie jak tumte piętnem geniuszu. Oto naprzykład słowa wyrzeczone r. 1800, do Trybunatu Sekwany: „Kiedy stronnictwa rozdzielały Francją, sprawiedliwość złe była wymierzana; nie mogło być inaczej. Stan taki trwa już lat dziesięć, wy go przemienicie. Nie badajcie nigdy do jakiego stronnictwa należał człowiek, żądający od was sprawiedliwości, ale zważcie słuszność powodów surowo i bezstronnie. Oręzem zapewnia się pokój z ościennemi państwami; pokój zaś wewnętrzny między obywatelami, zapewnia się sprawiedliwością.“

Oto wyjątek z listu do duchowieństwa francuzkiego z tegoż roku: „Ja także jestem filozofem, i wiem że w jakimkolwiek bądź społeczeństwie, człowiek nie może uchodzić za cnotliwego i sprawiedliwego, gdy nie wie żkąd przychodzi i dokąd dąży. Prosty rozum nie wystarcza by nas przekonać o tém; bez wiary postępuje się wśród ciemności. Religia katolicka jedynie dostarcza człowiekowi światła pewnego, nieomylnego, o jego początku i ostatecznym końcu.“

Następuje znów wojna, zakończona tryumfem Marengo. Z pola bitwy pierwszy konsul śle rozkazy do Paryża, poleca zasilić czempredziej armią egipską: z wojskiem mają być wyprawieni aktorowie, śpiewacy, tancerze. Oto własne słowa: „Przedmiot ten niby błachy, ma ważność polityczną; działając niby na umysł ludzi w spoczynku i dobrym bycie żyjących, zajmuje ich wyobraźnią, broni od zepsucia i gnuśności.“

W tymże czasie ustanawia na górach Cenis i Simplon domy przytułku na wzór istniejącego na górze Śgo Bernarda. Każdy z nich wyposaża w dobrach, przynoszących 20,000 dochodu.

Dbały o rozwój przemysłu i sztuk pięknych, urządza w Paryżu coroczne wystawy artystyczne i rękodzielnicze. Geniusz jego wzrasta w miarę, jak zdobywa wolność w działaniu. Bonaparte, jako dożywotni konsul, w ośmnastu miesiącach rządów swoich przywraca we Francji cześć religijną, porządkuje skarb, otwiera powrót wychodźcom, buduje drogę przez Alpy, rozpoczyna sławny kodeks praw, ustanawia Instytucją Legii Honorowej, urządza nowe zakłady wychowania publicznego. Na zewnątrz zdobywa godność prezydenta rzeczpospolitej włoskiej, zostaje protektorem Szwajcaryi, rozjemcą ksiąząt niemieckich. Wówczas zimny, ale mądry prawnik Tronchet,

wyrzekł o tym zbawcy Francji z uwielbieniem i przestraczem: „Ten młody człowiek poczyna, jak Cezar, oby jak on nie skończył”

Postęp nauk żywo go obchodzi. Kiedy stawny Laplace przypisał mu dzieło astronomiczne, dziękuje tym listem: „Obywatelu, senatorze! wszystko, co poznałem z waszego dzieła, wydaje mi się tak jasnym, że boleję mocno, iż sprawy publiczne nie pozwalają mi poświęcić więcej chwil temu, czytaniu. Dziękuję wam za przypisanie mi dzieła, które przyjmuję z całą przyjemnością. Pragnę, aby następne pokolenia, czytając waszą *mechanikę niebieską*, nie zapomniały o szacunku i przyjaźni, jakie miałem dla jój autora.”

Niemniej zajmują go rodzinne sprawy. Pragnie, aby każdy z członków rodziny umiał utrzymać się na godnym stanowisku. Kiedy siostra jego Paulina postanowiła pójść w podróż do S-t Domingo, gdzie mąż jój generał Leclerc był naczelnym dowódcą, pisze do szwagra z wyraźnym zadowoleniem: „Cieszę się mocno z postanowienia Paulinki. Nie powinna lękać się śmierci. Gdyby przyszło jój nawet umrzeć wśród wojska, umierałaby z chwałą, czując się pożyteczną mężowi. Wszystko szybko znika na tym świecie, oprócz wrażenia, jakie po sobie pozostawiamy w dziejach!”

Podobne uczucia wyrażał później w liście do Hortensyi strapionej śmiercią starszego syna: „Życie najeżone tyłu skałami, może być źródłem tyłu nieszczęść, iż śmierć nie jest z nich największym. Żyć to cierpieć—dodaje; człowiek prawy musi wytrwale walczyć, aby opanował sam siebie.”

Tom trzynasty korespondencji cesarza Napoleona, ważny dla dziejów naszych. Widzimy tu z listów poufnych, jak cesarz obmyśla w głębokiej tajemnicy plan kampanii pruskiej, która miała uświetnić się wielkim zwycięstwem pod Jena. Uktadając w myśli zamiar utworzenia Księstwa Warszawskiego, aby nie odkryć planów swoich, nie wspomina prawie o Polakach, lub też mówi o nich obojętnie, nawet z naganą. Radby odwrócić od nich powszechną uwagę. Głęboki polityk nagle zrzuca maskę wraz z rozpoczęciem kroków wojennych.

Listy i dokumenta tomu czternastego, datowane w wielkiej części z Poznania i Warszawy. Jeden z nich 17 grudnia 1806 roku, datowany z Kutna: „Hrabia Rzętkowski właściciel Kutna, pisze Napoleon, zobowiązał się dostarczyć 12,000 racyi chleba białego dla gwardyi.”

Przypominamy sobie z tej okoliczności opowiadanie jednej z współczesnych osób, żony późniejszego podprefekta w Kutnie, Ambrożego Zaborowskiego. Gdy Rzętkowski zobowiązał się dostarczyć chleb dla wojska, oficer, zajmujący się dostawą, żądał, aby dar chleba zamienić na suchary. Wyraz *biscuits* przestraszył Rzętkowskiego. „Teraz zima! zawołał, porywając się za głowę, zkadże tu wziąć tyle jaj na biszkopty! Uspokojono go, tłumacząc, że *biszkopty* żołnierskie nie potrzebują tej przyprawy.

Okoliczność ta nasuwa nam inne jeszcze wspomnienie z owych czasów. We wsi Skłęczkach pod Kutnem, mieszkał rodzony dziadek nasz, stary żupnik Seweryn Trzeciński, niegdyś konfederat barski. Wiedział on z posłuchu o zbliżającej się armii napoleońskiej. Zamiast dzienników, które były wówczas osobliwością w dworku szlacheckim, wiadomości dostarczała mu żydowska poczta, przewana pantoflową. Jurek arendarz był jakby żywem ogniwiem, łączącym jego myśl z wielkimi wypadkami świata.

Dnia jednego z rana wpada do dworu zadyszany arendarz.

— I cóż tam nowego mój Jurku?—spyta ciekawie starzec.

— Wielka, wielka nowina Wielmożny Panie! lecę z nią co duchu! Żona tylko co powróciła z miasta; „Francuzi już w Kutnie!”

Żupnik zerwał się z krzesła. Z okiem zaiskrzonym od radości biegnie do żyda, pochwyca go za szyję, wyciska pocałunek na śniadą jej twarzy.

— Francuzi w Kutnie! woła drżący jak listek—prawdąż to kochany Jureczku! Dosiu!—zagadnie zwracając się do żony—daj tu Jejmość kieliszek gdańskiej anyżówki, poczęstuj arendarza. A jutro skoro świt moja Dosiu, każ wytoczyć beczkę przed bramę. Oni tego zwyczajni, u nich wina, jak wody. Tędy iść powinni do Warszawy—zawadzą pewno o nas!

Jurek wychylił kielich, skłonił się jarmułką do nóg pańskich.

— Francuzi w Kutnie!—powtórzył żupnik—a iluż ich tam jest mój Jurasku?

— Żona widziała jednego tylko z przeproszeniem Wielmożnego Pana.

— A ty łotrzel gałganie!—zawoła dziadek grzmiącym głosem—won mi za drzwi, bo ci zgolę brodę i pejsy!

Nim przerażony żyd zdołał wycofać się chyłkiem, rozległ się po izbie odgłos potężnego policzka.

W kilka dni potem ściany skromnego dworku radosną brzmiały wrzawą. Tłumno było w podwórzu, tłumniej jeszcze na drodze. Beczka wina stała na ligarach; żołnierze znużeni pochodem, czerpali z niej do woli. Żupnikowa przynosiła z piwnicy jedną za drugą butelkę spleśniałego węgryna; żupnik wychylał ją ze starszyzną wojskową. Okrzyk: *Vive l'Empereur!* rozlegał się dokoła.

Powróćmy do korespondencji. Warszawa dziwnie przypadła do smaku cesarzowi. „Zamek tutejszy, pisze w liście, bardzo okazały i wspaniale urządzone. W mieście mnóstwo pięknych domów i bogatych pałaców.”

Wśród tych wszystkich prac organizacyjnych i wojskowych, Napoleon o niczym nie zapomina. Zajmują go posiedzenia akademickie w Paryżu i sztuki piękne, i teatru. Przychodzi w pomoc uczonemu Bertholetowi, rozkazuje wypłacić mu 150.000 franków.

O ile jednak Cesarz wspiera nauki, o tyle znów chciałby widzieć uczonych z piórem w ręku, a usunąć ich od spraw publicznych.

Wyraża tę myśl w liście do brata Józefa: „Życie za nadto z literatami i uczonemi. Są to zalotnice, można się do nich poumizgać, lecz nie brać ich nigdy na żony ani też na ministrów.

W ciekawym liście do kanclerza państwa Lecepeda wypowiada cesarz myśl swoją, co do wychowania kobiet. Oto wyjątek z programu dla zakładu w Ecouen, przeznaczonego dla córek legonistów. „Niechaj panienki będą przedewszystkiēm wierzące, nie zaś rezonantki. Pragnę, aby z tego zakładu wychodziły nietylko kobiety przyjemne, lecz cnotliwe zarazem; chcę, aby przyjemność ich wypływała z serca nie z samego rozumu. Gdybym pozwolił, aby je kierowano na przyjemne tylko kobiety, wnetby je przekształcono na zalotnice.

„Część religijna wychowania, ma być jak najstaranniej prowadzona. Należy uczyć panny pisać, rachować, zasad języka, nieco geografii i historii. Trzeba wprawiać uczennice do oszczędności, aby umiały rachować się z sobą i znały wartość każdej rzeczy. W ogóle panienki powinny być zajęte trzy części dnia ręczną robotą. Należy je wychowywać tak, jakby nie miały przynieść mężom więcj nad 1,500 do 1,800 franków dochodu. Można im wykładać nieco lekarskiej nauki i aptekarstwa, aby w nagłej potrzebie umiały sobie zaradzić. Powinny znać się na kuchni i na urządzeniu domowych zapasów. Panienska, wychodząca z Ecouen, niechaj umie skroić i uszyć suknię, naprawić odzież męzowską, sporządzić jakiś przysmaczek, pielęgnować w chorobie męża i dzieci. Ubranie panien ma być jednostajne z materyi prostēj, ale miętego dla oka kształtu, z uwagą na skromność i zdrowie. Żywność niechaj będzie najprostsza: zupa, mięso, jarzyna. Chcę przedewszystkiēm, aby umiały prowadzić gospodarstwo. Matka w ubogiēj rodzinie winna być sama nauczycielką dzieci swoich.“

Rzecz dziwna! potężny umysł Napoleona, umiał w potrzebie zajmować się tak drobiazgowemi szczegółami. Dla niego nie było drobnostek. Wśród największego nawału spraw, tak ścisłym był w rachunkach, że w liście jednym wyrzuca ministrowi Fouché omyłkę o franka i czterdzieści pięć centimów! Wymawia niemniej ministrowi wojny, że obliczając pułki, omylił się o kilku żołnierzy!

Podczas pobytu w Warszawie, dowiedział się cesarz, że matka Sułkowskiego żyje w Galicyi, przyciśnięta wiekiem i niedostatkiem. Rozkazał natychmiast wypłacić jēj sześć tysięcy franków dożywotniej pensyi.

Korrespondencye datowane z obozu pod Eylau w roku 1807, obejmują ważne rozporządzenia, tyczące się organizacyi Księstwa Warszawskiego.

Nadzwyczaj też ciekawe listy do marszałka Davousta, przebywającego z wojskiem w Warszawie. W jednym z nich z 1808 roku, Napoleon tak odpowiada na jakiś niestuszne zarzuty: „Nie mogę się skarżyć na komisję w Warszawie: robiła co mogła. Nie mogę się skarżyć na księcia Józefa Poniatowskiego i Stanisława Potockiego,

robili co mogli. Myślą jest moja, żebyście generale nie dawali ucha tym wszystkim domniemaniom. To sprawy stronnictwa i nic więcej. Trwajcie w dobrych stosunkach z rządem saskim, dajcie im pokój! Rzecz naturalna, że ci ludzie nie chcieliby mieć u siebie wojska francuzkiego. Pragnę jeszcze więcej niż oni, wycofać je ztamtąd. Skoro tylko ukończą się sprawy pruskie i rzeczy wejdą w zwykłe karby, zaraz je ztamtąd wyprowadzę."

Oto inny list do Davoust'a z tegoż samego roku. „Polacy są lekcy, ruchliwi; wielkie miasta zwykle noszą to piętno (Warszawa więcej, niż którekolwiek inne). Są oni, jak powierzchnia morza, co nigdy przez dwa dni z rządu nie pozostanie jedną. Lecz w gruncie przywiązani do Francyi. Pojmujecie, że biorąc do służby Polaków, ich dobro miałem na celu. Mam ja we Francyi tyle żołnierzy, ile zechcę. Zezwoliłem nawet, aby zamieszczono w umowę ten warunek, iż nie będą używani ani do służby morskiej, ani téż w dalekich osadach."

Cesarz mówi tu o legii nadwiślańskiej, przeznaczonej do Hiszpanii w r. 1808 w liczbie 8000 ludzi.

Ważny stanowią przyczynek do dziejów naszych korespondencye Napoleona z czasu wojny austryackiej roku 1809 i nowych tryumfów, które spowodowały rozszerzenie Księstwa Warszawskiego.

Niemniej ważne korespondencye z czasów kampanii 1812 roku. Przegląd ich, choćby najpobieżniejszy, przeszedłby ramy i cel kroniki naszej. Ograniczamy się więc na téj krótkiej wzmiance.

Smierć Juliusza Janin okryła żałobą Paryż; cała Francya odczuła boleśnie stratę pisarza, który przez czterdzieści lat piastował berło w dziedzinie krytyki literackiej, słusznie nazwany księżciem krytyków. Janin tę wielką położył zasługę, że stworzył w literaturze nowy rodzaj. Jemu to zawdzięczać należy owe tygodniowe i miesięczne pogadanki czyli kroniki, dziś niezbędne w każdym poważniejszym dzienniku lub przeglądzie. Na téj drodze był on mistrzem nie tylko dla Francuzów, ale dla nas wszystkich, których obowiązkiem jest

obznajmiać ogół z rozwojem literatury i sztuk pięknych.

Juliusz Janin literatem był w wyłącznym, w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa; wszystko zresztą dodatkiem było w jego życiu publicznym. Czterdzieści lat przeżył w swoim gabinecie z piórem w rękę, istnie jak Benedyktyn w celi, powtarzając codziennie Cyce-ronski axiomat; „literatura jest pokarmem młodości, urokiem wieku dojrzałego, najwyższą pociechą starca!" Dodajmy tu jeszcze, że był człowiekiem najzacniejszym, że w trzydziestoletnim pozyciu z wy-

braną przez siebie małżonką, dawał budujący przykład cnót domowych, niezwykłych w dzisiejszym społeczeństwie francuzkiém.

Te cechy życia Janina odbijają we wszystkich jego pracach; wpływały one silnie na Francją, wpływały, rzecz można, na wszystkie narody, bo gdzież jest zakątek ucywilizowanego świata, gdzieby imię fejdjonisty „Debatów“ nie było znaném i sympatyczném?

Do polityki nie mieszał się Janin: przynajmniej nie było to nigdy jego celem. Jeżeli okazywał stałe przywiązanie do Orleanów, pobudką mu do tego były niezaprzeczone cnoty domowe Ludwika Filipa i całej jego rodziny. Wiadomo, że te cnoty zyskały Orleanom uznanie tych nawet, którzy byli wrogami działań ich politycznych. Janin kochał tę rodzinę, harmonizującą z jego własnym usposobieniem, pod względem życia domowego. Że Ludwik Filip umiał zbliżać do siebie ludzi inteligencyi, nie ulega to wątpliwości; wymownym dowodem wielka większość akademików francuzkich, oddana dotąd całą duszą Orleanom. A przecież sam król, mimo usilnej chęci, nie mógł zmienić Janina w zapaśnika swego na polu działań politycznych; nie mógł skłonić go nigdy do przyjęcia urzędu. Janin pragnął pozostać wolnym i wszystkie chwile poświęcać ulubionej pracy. W czasach powszechniej dziś manii politykowania, tak wyłączne zamknięcie się w obrębie czysto literackim, czyni prawdziwy zaszczyt pisarzowi, wystawionemu na tyle pokus!

Dobroć serca, zacność charakteru, przebijała we wszystkich krytykach zmarłego akademika. Trudne to położenie w ciągu lat kilkudziesięciu wydawać co tydzień sąd o artykułach, o literatach, plemienu tak zarozumiałém, tak samolubném, tak drażliwém! Potrzeba było w rzeczy samej ogromnego talentu, wielkiego taktu, aby umieć wskazywać niedostatki, prostować skrzywienia, nie obrażając osób, a zarazem nie obrażając prawdy. Na to nie wystarczyłby ani ogromny talent, ani wielki takt krytyka; potrzeba było czegoś więcej: szczerzej miłości dla ludzi, spokoju wewnętrznego. Szczęśliwy Janin otrzymał w podziale tę miłość i ten spokój. Okazało się to w całym blasku po jego skonie. Patrzymy: oto na piersiach zmarłego leży krzyż, kapłan modli się u wezgłowia! tymczasem tłumy wiernych i niewiernych spieszą złożyć hołd głębokiej czci, na dalekie przedmieście Passy, gdzie przeżył lat wiele i gdzie zakończył długi a piękny żywot.

Sam Janin głosił publicznie w pismach, nawet przed dwoma laty w mowie akademickiej, że wszystko co mógł dać społeczeństwu, zawdzięcza dobrej żonie swojej. Sławny był przed laty trzydziestu trzema jego odcinek w Debatach, w którym zamiast tygodniowego sprawozdania o teatrze, skreślił wymowny obraz swego szczęścia. Właśnie tylko co był pojął młodą, urodziwą i posażną panienkę. Upojony radością, pragnął wylać tę radość z duszy, podzielić ją z ogółem życzliwych mu czytelników. Pod tytułem: *Le mariage du chrilique*, nakreślił wymowną rozprawkę, raczej poemacik prozą, prawdziwe arcydzieło swego rodzaju. Cały Janin maluje się w tych słowach. Mówi on o krytyku

ożenionym, jakby o trzeciej niewiadomej osobie. Oto początek rozprawki:

„Będziez to dopiero podziwi! Jak to? on się ożenił? On, w jego wieku? (miał lat trzydzieści siedm). Niepodobna! To człowiek napół umarły! Jemuż się było żenić? Rozum jego i tak już stępiak: wytleje do iskierki! A więc rzucił się w pozytywizm życia! odbiegł daleko, daleko od ideału! Ożenił się!... nieba!... jaka szkoda!... Tak mówili najłaskawsi, tak się żalili na okrutne, nielitościwe losy!... Poczcivcy! oni myślą że skoro obrałeś zawód literacki, musisz wyrzec się prawa do życia rodzinnego, do ogniska, do słodkiej pociechy domowej! Według nich ktokolwiek silnie trzyma pióro i umie niem zręcznie obracać, powinien żyć życiem jakiegoś wyrodzonego Don Juana!”

Wybornie określa dalej stosunek literata do zwykłych śmiertelników, taki przynajmniej jaki istniał w Paryżu przed trzydziestu kilkoma laty.

„Kiedy przechodzi ulicą poeta, powieściopisarz, historyk, lub co na jedno wychodzi krytyk, matki pokazują go palcem synom i dorosłym córeczkom i małej nawet dziatwie. Ileż tu westchnień, ile wykrzykników: to on! on! przeklęty człowiek! karmi się krwią i zbrodnią, jakby powszednim chlebem! groza i klątwa idą za nim tuż w ślady! Z drogi przed nim! gdzie stąpi, ziemia się rozpada! oddech jego zaraża powietrze trucizną. Chłopcze! nie dotykaj pióra! to narzędzie straszne, pałace. Weź raczej łokieć w rękę, nie pytaj o nic więcej. Łokieć to najbezpieczniejszy kij pielgrzymi, z nim przejdiesz przez życie śmiało, zawadyacko. Kupować i sprzedawać: w to mi graj! Ale żyć myślą, talentem, rozumem, pięknym stylem! strzeżcie się tego dzieci! strzeżcie się... nie tak czynili wasi ojcowie!”

„I żenić-że się nam z taką rekomendacją? Choćbyś był najuczciwszym, najpracowitszym, najwymowniejszym, spróbuj tylko, zobaczysz co ci odpowiedzą. To ciekawy paragraf w życiu literata! Jeżeli masz trochę rozumu, szczyptę sławy, jeżeliś zyskał sobie dwudziestu lub trzydziestu czytelników, pokaż się tylko w jakim arystokratycznym salonie: wszyscy cię otoczą, najwięksi panowie podadzą ci rękę, najpierwsze panie z przymileniem patrzeć ci będą w oczy, karmić cię słodkimi słówkami! Wszystko idzie wybornie... najdostojniejsi uznają w tobie mistrza. Tak... ale nazajutrz po tém świetném przyjęciu, poproś tylko o rękę ostatniego czupiradełka co siedziało ponuro w kącie, oświadczyć cię o niezgrabną klocowatą pannę, co cię wczoraj obsypywała grzecznościami; powiedz, że chcesz temu potworkowi dać pocziwe twe imię, twoją chudobę skromną, twój byt pomierny lecz szczęśliwy, twą przyszłość świetną może. Ojciec odpowie ci dumnie: „Nie dostaniesz pan córki mojej! Panna sama rzecz z przekąsem: „Proszę, jaki zuchwały! i pogódźże tu jedno z drugiem, te pieszczoty i te imperzynencye.“

„Zkąd ta niechęć literatów dla wytwornego salonowego społeczeństwa?“ zapytuje Janin i odpowiada na to:

„Posłuchajmy co mówią o literatach: ci ludzie nie znają świata, zarozumiałe to i niesforne pyszałki. Na czole ich wypiętnowana zimna pogarda, nic im nie przypada do smaku. W milczeniu ich odgaduję naganę, roznoszą wkoło siebie jakby zatruty miazmat. Nudni, nietowarzyscy, jedném słowem nieznośni.

„Prawda, mój Boże, oni nietowarzyscy! czemu? boście ich zapchali w jakiś świat urojony i odgradzili sami od waszego świata zwyczajnego. Nie dobrzy dla was! to zwykła wasza skarga! chciejcie tylko, rzeczy się odmienia. Bądźcież wy dobrzy dla nich! kochajcie ich, oni was pokochają! Przeciwnie zaś, pycha za pychę, zuchwalstwo za zuchwalstwo! Strzeżcie się... zawzięci to szermierze! nie radzę wam występować z nimi w zapasy!”

Po takim wstępie, Janin przychodzi do głównego swego przedmiotu.

„Krytyk ożeniony wczoraj, był oddawna trawiony nudą. Czuł się wygnanem ze świata rzeczywistego; wygnanie mu ciążyło. Pomału, po wielu zawodach, zrozumiał mądrość zawartą w słowie: „źle człowiekowi samemu“, tak jest, w tych szczególnież wiecznych sporach wyobraźni ze zdrowym sądem, źle człowiekowi samemu! Potrzebujesz koniecznie podzielić te wrażenia, jakie na umyśle i wyobraźni twojej sprawiają sztuki piękne. Lepiej uczujesz cały urok artyzmu, kiedy masz przy sobie duszę co cię zrozumie, umysł jasny i prosty, co cię podnosi i ukrzepia, kiedy oko twoje spotyka słodki uśmiech na ustach istoty ukochanej.

„Sam nie śmiesz częstokroć objawić uwielbienia i zachwytu, obawiasz się przesadzić w pochwałach. Nie śmiesz także ganić artystycznych utworów: możesz się posunąć za daleko, okazać bez litości! Często nudota trawiąca pierś krytyka, oddziaływa mimowoli na krytykowany utwór. Pisarz i poeta przypłaci nieraz ciężko, smutek i oschłość duszy swojej! Niesprawiedliwym jesteś, bo czujesz w sercu gorycz! Przeciwnie zaś, pod wpływem wewnętrznego zadowolenia, pogląd twój staje się wyższym, spokojniejszym; twój zapał szczerzy wtedy i prawdziwy! Myśl jedna dopełnia drugą, uczucie zléwa się z uczuciem; inaczej sądzi w dwoje!”

Nie zawiódł się Janin w nadziejach objawionych nazajutrz po zawartym związku. W trzydzieści lat potem, wprowadzony uroczystość w grono nieśmiertelnych, mówiąc o Sainte-Beuvie, którego miejsce zajmował w akademii, chlubnie oddał świadectwo tój, co podzieliła z nim życie.

„Cóż brakło Sainte-Beuwovi? oto brakło mu przykładu i rady zacnej matzonki. Często on musiał powtarzać słowa pisma: źle człowiekowi być samemu!”

Nie możemy pominąć zakończenia rozprawki skreślonej z powodu małżeństwa. Janin opowiada z radością i chlubą, jak na ślubny obrzęd szczęśliwego krytyka, zbiegli się tłumnie ludzie wszelkich barw i odcieni, tak politycznych jak literackich. Wyprowadza ztąd teorią,

że w obec wielkich zdarzeń zaszytych czy to w rodzinie, czy w narodzie, umilknąć powinna wszelka niechęć, wszelka prywatność! Oto wymowne jego słowa:

„Dalejże my wszyscy, my lwy i tygrysy wielkiego cyrku europejskiego, my gladyatorowie codziennych zapasów, bądźmy ludźmi, jak wszyscy ludzie! W czasach zwyczajnych nasze codzienne szermierki ucieszą się dla publiczności, mszczą bowiem pokrzywdzonych, świadczą, że sprawiedliwość nie zniknęła ze świata: stanowią przeciwagę nadużyciom, wypływającym z wolności sądów o wszystkim i o wszystkich. Ale w obec wielkiej niedoli lub wielkiego szczęścia w rodzinie, w chwilach klęsk lub radości powszechnej, te szermierki byłyby godne wstrętu i politowania.“

Słowa te piękny wydały owoc i to w czasach najwyższego rozdrażnienia umysłów, jakimi są czasy dzisiejsze. Przy trumnie zmarłego zebrał się cały Paryż. Wszystkie pisma bez różnicy barw uderzyły w jedną nutę, zabrzmiały zgodnym chórem na cześć wielkiego zapaśnika, który przez lat czterdzieści nie schodził z pola, dopóki choroba na rok przed skonem nie wytrąciła mu pióra z ręki.

Ciężkim był zawołanemu szermierzowi ten ostatni rok, po tylu latach niezmordowanej pracy. Od kilku zwłaszcza miesięcy, złamany chorobą, zupełnie był prawie bezczynnym. Czuł z boleścią, że zawód jego skończony. Nieliczne odtąd utwory pióra swego, podpisywał *nieboszczyk J. J.* Na trzy tygodnie jednak przed skonem, z wiosną, stan jego polepszył się w niespodziewany sposób. Przechadzając się po ślicznym ogrodzie w Passy, w pośród rozkwitłych róż, jak mistrz jego Horacy po rozkosznym Tivoli swoim, pełen otuchy w powrót zdrowia, układał w myśli zamiar przełożenia francuzkim wierszem, pięknych *Od Horacyuszowych*, które od lat kilku przetłumaczył był prozą. O tej pracy wspominał żonie w poranku 18 czerwca, — o szóstej wieczorem już nie żył.

Żałobny obrzęd przy zwłokach odbył się z wielką uroczystością. Obok reprezentantów wszystkich ciał naukowych, akademii francuzka wystąpiła cała, aby uczcić jednego z najgodniejszych członków swoich, jednego z ostatnich koryfeuszów wielkiej epoki literackiej, z której pozostało już tylko trzech weteranów: Guizot, Thiers i Wiktor Hugo. Janin najmłodszy poprzedził ich do grobu. Zwłoki jego przewieziono do Evreux.

Cały Paryż zajmuje się Janinem. Dom jego w Passy, którego podwoje roztwierały się tylko dla matęj garstki przyjaciół, dziś jeżeli nie stoi otworami dla wszystkich, to każdy przynajmniej widzi go przed oczyma z niezliczonych opisów. A przesłiczna to ustron, godna artysty, który ją urządził i zamieszkiwał.

Z pozoru to domek szwajcarski. ukryty między drzewami. Klomby najrzadszych krzewów i kwiatów, rozsiane po trawnikach, otaczają go wkóło. Wnętrze domu przypomina pałacyk patrycyuszów weneckich. Na dole wielka sala jadalna: ściany jęj wyłożone taflami fajansu, malo-

wanemi artystycznie. Główną tu ozdobą wielki komin w smaku *odrodzenia*. Przez drzwi otwarte kuchnia *flamandzka* połyskuje blaskiem miedzi i cyny.

Śień i wschody prowadzące na górę, przystrojone rycinami pierwszych mistrzów. Całe piętro zajmuje ogromny salon z czterema wielkimi oknami, o różnobarwnych szybach. W czterech rogach wielkie szafy starożytne wyrzeźbione z dębowego drzewa, pełne ksiąg, z których każda stanowi osobliwość bibliograficzną. Wśród inkonabutów, Elzewirów, Aldesów, napotkać tu można unikaty i białe kruki, jakich nie posiadają księgozbiory królewskie. Wszyscy klassycy XVI i XVII wieku, zebrani tu w pierwotnych edycjach. Na środku sali stoi ogromny stół, cały zavalony przepysznyemi księgami. Prawdziwe to muzeum, pełne drogocennych dzieł pędzla i dłuta, medalów i antyków, ożywione mnóstwem kwiatów w wazonach. Portret pastelowy pani Janin i wielki biust marmurowy Janina, wśród tego zbioru starożytnych arcydzieł, świadczą chlubnie o sztuce nowożytnej.

Pod oknem stoi biurko, na niem wielki kałamarz napęczniony błękitnym atramentem.

W takiój to ustroni, wśród ulubionych ksiąg, kwiatów, rzeźb i obrazów, przy boku gorąco ukochanej małżonki, żył i pracował książę krytyków francuzkich.

Kiedy Janin rozpoczynał zawód piśmienny, mieszkał na ubogiem poddaszu, przy ulicy *du Dragon*, w studenckiej części miasta *quartier Latin*. Mieścił się w dwóch izdebkach z osmdziesięcioletnią ciotką; utrzymywał życie z lekcyi. Z piórem w ręku przyszedł do majątku i sławy, a co ważniejsza, piórem zjednał sobie cześć i miłość powszechną i szacunek tych nawet, którzy nie dzielili jego przekonań.

Oto spis drukowanych dzieł Juliusza Janin:

Osiol i kobieta gilotynowana, powieść, r. 1829 tomów 2. *Obraz anegdotyczny literatury francuzkiej od Franciszka I*, r. 1829 t. 1. *Spowiedź*, romans polityczno-religijny r. 1830, t. 2. *Barnave*, studjum historyczne z czasów wielkiej rewolucyi, r. 1830, t. 4. *Powieści fantastyczne*, r. 1832, t. 4. *Historja teatru* popularna, r. 1830, t. 1. *Powieści nowe*, r. 1830, t. 4. *Wędrowka Wiktora Oziera po Wschodzie*, r. 1834, t. 4. *Kurs historyi dziennikarstwa we Francyi*, wykład w Atheneum r. 1834. t. 1. *Droga poprzeczna*, powieść, r. 1836, t. 2. *Dwie miłości*, powieść, r. 1837, t. 1. *Fontainebleau, Wersal, Paryż*, r. 1837, t. 1. *Historja Francyi*, tekst do galeryi wersalskiej, 1837. *Wersal i jego muzeum historyczne*, r. 1838, t. 1. *Katakumby*, romans: *Nowelle* i t. p. r. 1839, t. 6. *Podróż do Włoch*, w listach, r. 1839 t. 2. *Życiorys księcia Orleanu*, r. 1842, t. 1. *Normandya historyczna, literacka i pomnikowa*, r. 1842, t. 1. *Bretania historyczna, literacka* i t. p. r. 1844, t. 1. *Klaryssa Harlowe*, przekład z Ryszardzona, r. 1846, t. 2. *Wycieczka z Paryża nad morze*, r. 1847, t. 1. *Zakonnice z Tuluzy*, r. 1850, t. 2. *Symfonie zimowe*, powieść, r. 1857, t. 1. *Historja literatury dramatycznój*, r. 1858, t. 6. *Powieści z domku*

szwajcarskiego, r. 1859, t. 1. *Koniec świata: Bratanek Rameau*, r. 1859, t. 1. *Przekład Horacego*, r. 1860, t. 1. *Drobne szczęścia*, r. 1860, t. 1. *Tydzień trzech czwartków*, powieść, r. 1861, t. 1. *Powieści bez cechy*, r. 1862, t. 1. *Powieści błękitne*, r. 1863, t. 1. *Poezja i wymowa w Rzymie*, r. 1863, t. 1. *Beranger i wiek jego*, r. 1866, t. 1. *Miłośnictwo książek*, r. 1866, t. 1. *Życiorys Ponsarda*, r. 1869, t. 1. *Książka: studjum bibliograficzne*, r. 1870, t. 1. *Brewiarz króla pruskiego*, r. 1870, t. 1. *Życiorys Aleksandra Dumasa*, r. 1872, t. 1. *Laryż i Wersal przed stu laty*, r. 1874, t. 1.

Z tego ostatniego dzieła, wydanego kilka miesięcy temu, zdamy sprawę we wrześniowej kronice naszej.

Pozostaje nam dziś dopełnić sprawozdanie z wystawy obrazów i rzeźb, rozpoczęte w kronice lipcowej. Matejko jak wiadomo, nie otrzymał honorowego medalu. Nie wiemy doprawdy jak to wytłumaczyć. Trudno nam było dowiedzieć się na pewno, czy cudzoziemiec niema w istocie prawa współubiegać się o ten zaszczyt. Tak utrzymywał dziennik *Liberté*. Gotowi jesteśmy zawierzyć mu na słowo, inaczej bowiem trudnoby pojąć taką niesprawiedliwość. Z drugiej strony zapytujemy, z kąd to zastrzeżenie co do wielkiego medalu, kiedy złote medale rozdawane bywają wszystkim, bez różnicy narodowości? Sam Matejko otrzymał je za poprzednie swoje utwory.

Tegoroczne złote medale przypadły wszystkim uczniom p. Cabanela, jednego z głównych członków rady. Daje to cokolwiek do myślenia. Niemniej wydaje się dziwnym, że na dwieście siedmdziesiąt kobiet, które wystawiły do pięciuset obrazów, rzeźb, rycin i t. p., żadna nie dostała medalu, nawet trzeciej klasy! Przekonani jesteśmy, że gdyby na wystawie sztuk pięknych mogło być zachowane *incognito*, jak to bywa w literackich konkursach, inaczej wypadłoby głosowanie!

Wielki medal honorowy sąd przyznał p. Gerome, za trzy obrazki bez zaprzeczenia wykonane pięknie, ale należące do rodzaju zwanego *anegdotycznym*. O tym to rodzaju minister oświecenia Batbie tak się wyraził kilka miesięcy temu, przy rozdawaniu medalów za rok zeszyty:

„Znawcy, którzy podziwiali utwory malarzy francuzkich na wielkich wystawach w Paryżu i Wiedniu, spostrzegli jednak zbyt przeważającą dążność do malarstwa *anegdotycznego*, dla którego zaniedbano dziś wzniosłą sztukę. Trzeba oddziaływać przeciw temu, należy podnieść się duchem w wyższe sfery.“

Po takim wygłoszeniu *sursum corda*, sąd uwieńczył najwyższą nagrodą... co?... oto trzy *anegdotyczne* obrazki pana Gerome! Dziwić się tu młodym artystom, że nie wiedzą sami jaką isć mają drogą?

Zobaczymy te uwieńczone obrazki. Jeden z nich p. t. *Rex Tibicen*, przedstawia króla pruskiego Fryderyka II, o którym przynajmniej żaden francuzki krytyk nie powie jak o Batorym: „Kto go dzisiaj pa-

mięta? kto o nim jeszcze myśli?" Król tylko co wrócił z polowania, ma na sobie zmokły amarantowy mundur, na nogach zabłocone buty. Stoi przed popiersiem Woltera, wygrywa na flecie jakąś ulubioną melodyę. Na fotelu leży zwinięta w kłębek faworyta charcica *Biche*, ta sama, której Fryderyk wystawił później w Poczdamie okazałe mauzoleum. Dwa inne charty drzemią na kobiercu, wśród porozrzucanych petycyi, czwarty leży pod wielką mapą świata.

Drugi obrazek p. t. *Szara Eminencya*, wyobraża Ojca Józefa ulubieńca Richelieu'go, w chwili kiedy przechodzi wśród grona pierwszych dostojników dworskich, którzy schylają przed nim głowy, jakoby przed cieniem straszego kardynała.

Na trzecim obrazku p. t. *Kollaboracya*, widzimy dwóch wielkich poetów: Kornela i Moliere, pracujących razem nad wspólném dziełem *Psyché*. W ubogiej izdebce przy kominku, wśród książek rozrzuconych na półkach, siedzi przed stołem stary Kornel, w skromnej, szaraczkowej kapocie i pantoflach. Z pod czarnej czapeczki wyglądają promienie siwych włosów. Czyta scenę, tylko co napisaną. Oblicze jego promienieje natchnieniem. Po drugim końcu stołu siedzi młody jeszcze Moliere, ubrany wytwornie: w czerwonych pończochach i trzewikach z wielkimi kokardami. Głowę oparł na dłoni; słuca z poszanowaniem i wyrazem milczącego zachwytu. Piękny to w rzeczy samej obrazek; sami przecież zagorzali stronnicy Geroma, jak Bergerat w dzienniku urzędowym, utrzymują, że jeżeli mistrz ten uczczony został wielką nagrodą, to nie za przedmioty wystawione w tym roku, ale za całość dwudziestoletnich prac professorskich i artystycznych. Nie zdaje nam się przecież, aby taki był cel honorowych medalów. Wyrwałą zasługę płacono we Francyi krzesłem w instytucie lub senacie dopóki był senat; medal honorowy otrzymywał artysta za obraz górujący nad innemi na dorocznej wystawie. Takim obrazem był Batory Matejki w roku 1874!

Gdyby wreszcie medal honorowy miał być zapłatą za długi szereg prac na polu artystyczném, niktby na niego więcéj nie zasłużył, jak pejzażysta Corot, starzec blisko ośmdziesięcioletni, (urodzony 1796), który od pół wieku nie wypuszcza z rąk pędzla, którego krajobrazy na wszystkich wystawach, podziwem są dla znawców, a we wszystkich galeryach świata zajmują pierwsze miejsce; pod którego kierunkiem ukształciło się tylu zdolnych pejzażyistów, będących chlubą dla Francyi. W tym właśnie roku w chwili rozpoczynającej się wystawy, przyjaciele Corota obchodzili pięćdziesięcioletni jubileusz jego artystycznego zawodu. Malarz ten, obdarzony po trzykroć złotym medalem i krzyżem Legii, nie otrzymał nigdy medalu honorowego. Sąd przysięgłych uważał, jak widać, że krajobrazy, stanowiące podrzędniejszy rodzaj w hierarchii sztuki, nie dają prawa do nagrody najwyższej. Zgoda na to, dopóki nagradzano medalem honorowym same utwory religijne, historyczne, symboliczne, słowem *grand style*, jak je zowią Francuzi; dziś jednak, skoro taki zaszczyt

przypadł twórcy anegdotyczno-rodzajowych obrazków, które w tym są stosunku do tamtych, jak w literaturze gawęda poetyczna do epepei; dziś wreszcie, kiedy dowiadujemy się, że p. Gerome uwiecznony został za dwudziestoletnie trudy, mamy prawo dziwić się, że pięćdziesięcioletnie trudy Corota, nie znalazły uwzględnienia w areopagu sędziów!

Imię Corota prowadzi nas do pejzaży. Mnóstwo ich było na wystawie. Nie będziemy ich opisywać szczegółowo; chcąc ocenić krajobraz, potrzeba go widzieć na oczy; powiemy tylko w ogóle, że zaczawszy od leciuchnych obłoczków, od perspektywy, od powietrza owiewającego całość, do harmonii w kolorycie i oświetleniu, do drzew, trawki, wody i t. p.: wszystko w pejzażach takich mistrzy, jak Corot, jak uczniowie jego Français, Chintreuil i tylu innych, uderza prawdą podniesioną do wysokiego ideału.

Trzy tegoroczne pejzaże Corota bardzo piękne; niktby nie zgadł, że kreślone ręką starca. Najwymowniejszy z nich *Wieczór*. Artysta kreślił go z prawdziwie rzewnym uczuciem, jakby chciał w nim uwydatnić koniec chlubnego zawodu. Słońce ma zająć za chwilę; w przyrodzie panuje głęboka cisza. Mała rzeczka wije się wężycznie po bagnistej murawie. Na prawo grupa wierzb płaczących, na lewo ciemny las. Łódka przepływa cicho środkiem rzeczki, zarosłej bujną trzcina. Dwoje ludzi spokojnie idzie brzegiem. Dziwnie to poetyczny krajobraz.

Wspomnimy tu jeszcze śliczne brzegi Wisły, pędzla Józefa Szermentowskiego, ucznia warszawskiej szkoły sztuk pięknych. Artysta nasz w tym obrazie okazał prawdziwy postęp. Jakaż tu harmonia, jak wiernie oddana barwa miejscowości! Niebo pogodne, a jednak utrzymane w tonie szarym, północnym. Przebiegają po nim drobne chmurki, niby stada białych gołębi. Woda zielona od drzew skupionych na wybrzeżu; środkiem tylko słońce rzuca smug promienisty. Wszystko tu mówi, wszystko żyje, nawet te wierzby z obciążoną koroną, wypuszczające górą mnóstwo świeżych odrostków; nawet ten dym, co wybiega z chaty, napół ukrytej w zaroślach prostym, bieluchnym słupkiem w górę. Na prawo kobieta z kobiałką w ręku, zdąża do chaty wąską dróżyną. Chłopiec z białym, konopiastym włosom, trzyma się matczyną spódnicy. Śliczny obrazek!

Sięgnijmy teraz okiem w wyższe sfery, przebiegnijmy szereg obrazów określonych nazwą: *Grand style*. O religijnych i czysto-historycznych wspominaliśmy już w zeszłej kronice. Pozostają nam jeszcze sceny z mitologii greckiej, których do sytu napatrzylśmy się na wystawie. Francuzi zowią się z chlubą synami i spadkobiercami Ateńczyków. Jakoż w rzeczy samej żaden naród nie przechował wierniej, jak oni, starożytnych tradycyj greckich. Ulubionym ich mytem narodowym jest owa piękna Gyptis, dziewica galska, która w przeciwieństwie naszej Wandy, „co nie chciała Niemca” oddała

rękę focejskiemu przybyszowi. Myt ten, powtórzony stokrotnie rylcem, pędzlem i dłutem, znalazł miejsce i na wystawie tegorocznej. Rzućmy oto wzrokiem na obraz p. Rave.

Wódz galskiego klanu, wyprawia weselne gody jedynacze. Według obyczaju, sprasza dzielnych junaków. Piękna Gyptis wybiera z pomiędzy nich małżonka; wybranemu poda pełną czaszę. Wkoło niskiego stołu siedzi na ziemi młodzież galska. I któż są ci smagli mężowie z czarnym, pokrętnym włosem, odmienni od nich z oblicza, z oreża i z przystroju? To przybysze z Focei. Łodzie ich zawinęły do przystani, w miejsce kędy Rodan wpływa do morza. Wódz galski, szanując prawa gościnności, zaprosił ich na gody.

Uczta skończona. Piękna Gyptis staje przed stołem, wyciąga do przybysza rękę z czaszą. On będzie jej małżonkiem. Junaki galskie drżą zdjeci zgrozą. Stary wódz sam tylko spokojny; w wyborze córki widzi wyraźną wolę niebios. On przyjmie cudzego przybysza do rodziny, da mu wielki skraj ziemi nad morzem; tam Grek zbuduje Marsylią.

Związek przetrwał; dwadzieścia wieków dotąd go nie zerwało. Gyptys pozostała wierną Focejczykowi. Jeżeli niekiedy pchana zewnętrznym prądem, odwróci oczy w inną stronę, powraca znów i tuli głowę pod opiekuńcze jego skrzydła. Tak było w czasach odrodzenia, po długim panowaniu sztuki średniowiecznej; tak było w XVII-ym wieku po wpływach gongoryzmu hiszpańskiego; tak jest w czasach obecnych, po prądzie romantycznym, który pod hasłem Lamartina i Huga wydał we Francyi grono świetnych poetów, pod sztandarem Ary Szeffera i Delacroix grono samodzielnych malarzy. Romantyzm tak w poezyi, jak we wszystkich działach sztuk pięknych, po czterdziestoletniem panowaniu, wyrodził się w gruby realizm; widzimy to i w Anglii, i w Niemczech. Sztuka francuzka nie zgrzęzła w tej powodzi. I cóż ją uchroniło? Oto wspomniła ślub dziewicy galskiej z Focejczykiem i pochwyciła tarczę Minerwy i odpiera nią napływ materyalizmu! Na długoż to wystarczy? Nie wiadomo! to jednak pewna, że owa tarcza jest dziś na porządku dziennym i w literaturze, i we wszystkich objawach sztuki. Pod cieniem jej artyści przechowują ideał piękną w formie, oczekując rychło-li zbudzi się w łonie narodu twórcza iskra i nowym wybuchnie płomieniem na nowy podziw światu!

„Pokolenie dzisiejsze artystów umie przemawiać, szkoda tylko, że mało ma do powiedzenia.” Słowa te wytrawnego krytyka, wybornie określają stan obecny. Umieć przemawiać rzecz to jednak ważna w czasach posuchy artystycznej. „Pilnujmy formy, a forma będzie nas pilnowała,” wyrzekł niegdyś wielki teolog. Ten aksyomat, przeniesiony na pole artyzmu, przedź czy później wyda zbawien-ny owoc!

Uważając rzeczy z tego stanowiska, pobłażliwem okiem patrzelśmy na te Afrodyty i Astarteje, na tych Erosów uzbrojonych łukami,

na tych rogatych Panów, na te zastępy Faunów, Sylwanów i Satyrów o kozłich nóżkach, na te płasy Hylasów z Nimfami, na tych Jowiszów i Bachusów, na owych Herkulesów przedzających kądziel u nóg Omfalii lub unoszących Dejaniry; na tych śpiących Eudymionów, na owe Ledy, Flory i Seleny, na tych Amfionów, Perseuszów i Orfejów, na te Andromedy przykute do skał, na owych Prometeuszów, którym sępy wyzerają wątrobę. Gdzie rzucić okiem, wszędzie ich pełno. My sami naliczyliśmy sześćdziesiąt utworów w tym rodzaju, wykonanych tak pędzlem, jak i dłutem. Zrazu wyznać musimy, raził nas ten dziwny anachronizm. „Kto dziś myśli o Bachusie i o Jowiszu?” zapytywaliśmy sami siebie, jak krytyk Figara pytał: „Kto dzisiaj myśli o Batorym?” Ale kiedy nam stanął w oczy ów Chrystus Ukrzyżowany pędzlem Bonata, gdyśmy zmierzli całą przepaść, w jaką gruby realizm pograża sztukę, przebaczyliśmy chętnie Francuzom, że stojąc nad przepaścią, wspomnieli przynajmniej ślub galskiej dziewicy z Focejczykiem.

Szczęśliwe, bardzo szczęśliwe ludy, które, jak Francya w dzisiejszym upadku, umiały zachować miłość dla starych mytów swoich! Nie filozofia niemiecka, która podniosła do apoteozy *walkę o byt*, o byt w najniższem, bo zwierzęcém znaczeniu tego słowa; nie filozofia niemiecka, której ostatnim wynikiem aksjomat: „Siła przed prawem;” nie filozofia, powtarzamy z Henri Martin; ale raczej dążność do realizacji ideału żyjącego w tradycjach narodowych: oto jedyna deska zbawcza, jedyna droga odrodzenia dla Francyi!

Jeśli Olymp grecki tak silnie reprezentowany na wystawie, bohaterowie mytycznej literatury greckiej także niezapomnieni. Widzimy tu i śliczną Nauzikeę, grającą w piłkę z towarzyszkami, pod okiem ukrytego w zaroślach Ulysesa; widzimy i Penelopę nad krosnami, rozparającą ledwie wysnuty wątek; widzimy i Homera wspartego na młodém pacholeciu; piękny obraz p. Bourguereau, któremu zarzucić tylko można niedostatek lokalnej barwy, przez co równie podobny do Milтона, a nawet do ślepego lirnika serbskiego, jak do rapsodów greckich. W tym szeregu utworów zasługuje na szczególną uwagę obraz p. Lewy, przedstawiający ubitego pod Troją Sarpedona. Młody artysta wziął za tekst śliczny ustęp z Iliady, kiedy Zeus patrząc z obłoku na martwe syna zwłoki, te słowa wymawia do Feba:

Idź żywo, przynieś z pola Serpedona zwłoki,
 Obmyj je w czystej wodzie z kurzu i posoki;
 Twe ręce niech go zleją w wonne aromaty
 I ciało w nieśmiertelne przyodzieją szaty.
 Sen i śmierć, snu słodkiego siostrzyca rodzona,
 Niechaj martwe to ciało wezmą na ramiona:
 Społem do macierzystej zaniosą go ziemi.
 Tam krewni go i druby poczczą łyzy rzewnemi,
 Pogrzebią zwłoki brata i żałobą zdjęci,
 Zbudują mu grobowiec ku wieków pamięci.

Obraz przedstawia chwilę, kiedy sen i śmierć przecinają powietrze lotnemi skrzydły i do rodzinnej ziemi zanoszą bohatera.

Przebiegają właśnie po nad Olympem. Widzi to Zeus, skinieniem ręki zatrzymuje skrzydlatych gońców; pragnie wycisnąć ostatni pocałunek na zimnym czole syna. W złocistej szacie, z orłem przy boku, wychyla się napół z za chmury, skłania głowę ku obliczu zmarłego. *Sen*, owiany błękitnym płaszczem, jedną ręką podtrzymuje nogi młodziana, drugą podnosi purpurowy całun. *Thanatos* (śmierć) ujęła mu rękę prawą. Odziana w wspianiałą szatę fioletowej barwy z kołczanem pełnym strzał na ramieniu, w wieńcu jeżynowym na głowie, śmierć ta, mimo bladych lic i przymrużonych powiek, nie budzi przecież grozy. Młody malarz świetnie rozpoczął tym obrazem artystyczny swój zawód.

Inny młody artysta Ranvier poruszył francuzką publiczność oswobodzonym Prometeuszem swoim. Alegorya tu bardzo jasna. Ten Prometeusz przykuty do skały, to uosobiona Francja. Oblicze jego piękne wyrazem najwyższej boleści. Poniżej stoją dwie dziewczynny proste wieśniaczki; z narodowych strojów snadno poznać Alzację i Lotaryngią. Patrzą z uczuciem grozy na męki delikwenta, na pierś jego rozdartą szponami czarnego potwora. Wśród oburzenia, promyczek nadziei połyska przecież na ich czole. Zkąd ta otucha? Oto z daleka w głębi wystąpił mściciel! Małe to jeszcze dziecko, ależ z jego lica bucha żar, postać tchnie mocą nadprzyrodzoną. Drobną rączką naciąga łuk; wnet sęp upadnie pod pociskiem już wymierzonej strzały. Tym mścicielem Herkules! nie pierwsza to już próba!

Dzieckiem w kolébce, kto łeb urwał hydrze,
Młodzieńcem zdusi Centaury!

Oprócz téj Alzacki, wiele innych napotkaliśmy na wystawie. Kilka zwróciło uwagę naszą. Jedna z nich pędzla p. Morlon, cudnie piękna wiejska dziewczyna, z książką do nabożeństwa w ręku, u piersi ma trójbarwną wiązkę kwiatów: maczek, bławatek i bieluchną stokrotkę. Za godło wziął artysta wymowny dwuwiersz.

Bogu powierza przyszłość: oparta na wierze,
Umie czekać z godnością, i modli się szczerze.

Obrazek Pabsta uwieńczony medalem, przedstawia wnętrze chaty alzackiej. Dwie dziewczynki, strojne jak na święto, splatają długie wieńce. Chłopiec podaje im witki do wiązania kwiatów. Z przyległej izby wchodzi stara matka, trzyma w ręku żółte narcyzy. Rodzina wybiera się do Nancy, uczić powrót wojsk francuzkich, po ustąpieniu Prusaków. Na innym, również ładnym obrazku, tenże artysta, w młodej matce z dzieckiem w objęciach, pochylonej nad kolébką

śpiącego niemowlątka, uwydatnił terażniejszość i przyszłość swój ojczystej kolébki.

Od Alzacy przejdźmy do wojennych obrazków. Ilość ich bardzo wielka; samych olejnych naliczyliśmy do stu. Nic w tém dziwnego. Francuzi od czasu Karola Werneta, twórcy Napoleońskiej epopei, i Horacego ilustratora algierskich tryumfów, zachowali bogate tradycje z tego wydziału sztuki. Meissonnier wprowadził nowy rodzaj, zwany epizodyczny. W miejsce wielkich bitw na rozległej przestrzeni, jał malować pojedyncze ustępy, uwydatniające przeciw całość działania i ostateczny rezultat. Mistrz ten utworzył szkołę nową. Kilka znakomitych imion zabłysło już w tej szkole.

Serce się ściska patrząc na te bitwy, oddane biegłym, a nieraz mistrzowskim pędzlem. Biedni artyści! którym przypadło malować już nie tryumfy Marengo, Wagram, Jeny, ale rozpaczliwe wysilenia Grawelotty, Rejchshoffen, Buzenwalu, straszne kłeski pod Metzem i Sedanem! Liczba tych obrazków, powtarzamy, wcale nas nie zadziwia. Młodzi malarze, jak wiadomo, na odgłos pobudki wojennej, porzucili pędzle i palety, a chwycili za oręż. Ci nawet, których dyplom z przebytej szkoły w Rzymie, uwolnił zupełnie od wojska, nie chcieli korzystać z przywileju. Wszyscy poszli na pole walki, wielu poległo jak nieodżałowany Régnault. W długich godzinach czuwania na posterunku, kreslili dorywczo szkice, a gdy po trudach życia obozowego, wrócili do cichych pracowni swoich, drżącą ręką pochwycili za pędzel, i jęli rzuć na płótno żywe wspomnienia kipiące w głębi duszy.

Do najznakomitszych w tym rodzaju, należy obraz p. Neuville: *Bitwa Loarskiej armii przy drodze żelaznej w r. 1870*. Główna akcja skoncentrowana w pobliskim lesie. Z poza drzew pożółkłych od soty listopadowej, buchają kłęby dymu. Garstka „mobilów“ tuli się poza nasyp drogi. Trupy zasały ziemię. *Wizyta na forpocztach* p. Dupray, zajmuje też uwagę powszechną. W zimowy dzień, wśród śnieżnej zamieci, generał Ducrot z admirałem la Roncière objeżdżają posterunki. Wicher dmie, kule sypią się gradem, ubity koń generała leży powalony na ziemi. *Szarża kirasyerów pod Reichshoffen*, pędzla p. Detaille, przypomina wielką chwilę w fazach ostatniej wojny, kiedy bohaterski oddział, rzucając się na śmierć niechybną, ocala armię Mac-Mahona. Do pierwszorzędnych utworów należą dwa obrazy p. Protais: *Popłoch i czaty pod Metz*. Ostatni zwłaszcza dziwnie piękny. Zachodzące słońce obléwa niby złotą powodzią warowne miasto: oddział czuwa na straży; dowódca ich siedzi smutno, z głową pochyloną: znać przewiduje przyszłość.

Od wojennych do rodzajowych, stanowią przejście dwa pełne myśli obrazki p. Brunet Honard: „Przed wojną i Po wojnie.“ Pierwszy przedstawia obszerny dworzec wiejski. Po bokach zielona murawa i wielkie jabłonie pokryte bladoróżowym kwiatem, w dziedzińcu wielki ruch: krowy piją wodę u studni, żrebce pływają wesoło, kokosze pro-

wadzą kurczęta; ludzie krzątają się spokojnie około gospodarki, pies śpi wyciągnięty na słońcu.

„Po wojnie“ wszystko inaczej! Gdzie był dwór sterczy kupa gruzów, gdzie zieleniała murawa, śnieg grubo zawałił ziemię. Nagie konary jabłoni rysują się na tle ołowianego nieba. Znikły konie i krowy, pies tylko wyje na śmietniku. Ułan pruski wjeżdża przez bramę.

Przychodzimy teraz do ostatniego działu, zwanego rodzajowym. Jest on tém samém w malarstwie, czém powieść w literaturze. Rodzajowa sztuka tryumfuje dziś wszędzie; w Anglii i w Niemczech więcéj jeszcze niż we Francyi, tu bowiem, jak mówiliśmy wyżej, Helenizm stoi na straży smaku estetycznego, i nie daje mu upaść w niski realizm. Śmiało téż powiedzieć możemy, że czystszy smak zachował się w rodzajowym malarstwie francuzkiem, niżeli w rodzajowej literaturze, to jest powieści. Pomiedzy malarzami, nie znalazł tu owych Zoilów, Flanbertów, Fegdeau, *e tutti quanti*, którzy skazili i zohydziili powieść francuzką. W tym nawale rodzajowych obrazków, jakie widzieliśmy na wystawie, mnóstwo było rzeczy błachych, które żadnego nie zostawiły wrażenia; lecz śmiało wyznamy, że ani jeden z tych obrazów nie raził cynicznym realizmem, jak raził smak czytelnika sceny z *Panu Bovary*, lub *Brzucha paryzkiego* p. Zolli.

Wielu estetyków potępia surowo dzisiejszy popęd sztuki, objawiający się powieścią w literaturze, obrazkiem rodzajowym w dziedzinie malarstwa. Wielka to niedorzeczność. Godzi się potępiać nadużycie, lecz należy uszanować zasadę. Nie cofnąć wstecz potoku, popłynie on tam, gdzie mu wieki wyżłobiły koryto! Sztuka rodzajowa idzie w parze z rozwojem idei demokratycznej. Minęły czasy kiedy wierzono, że wzniosłe uczucia są wyłącznym przywilejem bohaterów, półbogów! Kto dziś nie wie że pod bluzą wyrobownika, pod siermięgą chłopka, serce bije równie silném, a może zdrowszém tętnem, jak w piersi tych, których świat zowie jeszcze wielkimi; kto nie wie że dramat życia odgrywa się zarówno na poddaszu, lub w ubogiej chacie, jak w złoconych pałacach! Sztuka rodzajowa podniosła właśnie ten dramat i ujęła go w ramy, onato przyczynia się dzielnie do sprowadzenia z dziedziny abstrakcyi, pojęcia o braterstwie i równości między ludźmi! Doktrynery sponiewierali ideę demokracji, w imię jęj rozsiewając nienawiść i niezgodę; artystom przypadło wrócić ją do godności i wprowadzić ją w życie!

Myśli te nasuwały nam się mimowoli, gdyśmy przebiegali wzrokiem piękne sceny z życia roboczego ludu, tak liczne na tegorocznej wystawie.

Wśród nich uderza oczy wielki obraz *La falaise* (Skała nad morzem) Juliusza Bretona, tego znakomitego mistrza w oddaniu scen ludowych, który przed dwoma laty otrzymał honorowy medal, za grupę dziewcząt wiejskich u studni. Dzisiejszy utwór nie ustępuje tamtemu. Morze rozhukane bije o stopy skały. Na niebie wiją się chmury czarnym kłębem. Mewy z rozpostartemi skrzydłami unoszą się nad

wodą. Na skale nie zbyt wysokięj leży kobięta, w wielkim czepcu bretońskim, zwrócona twarzą ku ziemi, odziana ubogo, bosa. Wrzeczono i kądziel odrzuciła opodal. Wyras najwyższej trwogi odbija z jęj oblicza. Oczy ma ściga fale, a raczęj maleńką łódkę, istną łupinę orzecha szamotaną wichrem, zmierzającą do poblizkięj wysepki. Smutny to dramat! Hugo oddał go niegdys wierszem:

Biedna żona rybaka! mąż sam jeden płynie,
 Sam pod tém chmurném niebem, w tęj strasznej godzinie.
 Dzieatki małe: któż ojca od szkody zachowa?
 „Gdybyć prędzęj urosły!“ Odwołaj te słowa,
 Matko! straszniejsze kiedyś twą pierś zbiegną dreszcze,
 Powiesz z płaczem: „Ach gdyby małe były jeszcze!“

Juliusz Breton utworzył już szkołę i zdolnych przysposobił uczniów. Jeden z nich Piotr Billet otrzymał w tym roku medal za piękny obraz: *Wiesniaczki zbierające chróst w lesie*. Na pierwszym planie, stoi młoda dziewczyna, wsparta plecami o pień dębu. W prawęj ręce trzyma powrósło, lewą przyłożyła do głowy. Śnać myśl tęskna mąci tę biedną głowę; smutny dramat targa sercem dziewczyny. Napół otwarte usta mówić się zdają:

Oj! tam się pochмуowało, zkąd mi świtać miało!
 Oj! to moje kochanie z wiatrem poleciało!

Trzy towarzyski znają jak widać tajemnicę jęj serca: łatwo zgadnąć że ona celem ich rozhoworu. Patrzą na nią badawczym wzrokiem. Jedna wypuściła z ręki toporek, spoczywa na murawie; druga karmi pierś niemowlątko, trzecia siedzi skulona: wszystkie bosc. Całość pełna prostoty i poetycznego uroku.

Równie piękny obraz Perrault'a, przedstawia śpiącą żniwiarę. W rysach jęj głębokii spokój: usnęła spracowana. Obie ręce podniosła do góry. Sierp leży przy jęj boku. Głowę wsparta na wielkim snopie, który osłania ją przed zarem południowym. Spódniczka jęj czerwona, połatana; gorsecik ciemny; nożęta bosc, śniade. Nie żadna to baletniczka, przebrana za wiesniaczkę, ale krzepka dziewoja wiejska, piękna w prostocie swojęj.

Wyborne także *fraszki* p. Serres. W głębi na lewo, stara kobięta pierze pochylona nad brzegiem rzeki. Na pierwszym planie młoda dziewczyna w spódniczce czarnej, szarym fartuszkii i bieluchnej koszulce, niesie na głowie ogromny pęk mokrej bielizny. Podtrzymuje ciężar prawą ręką, lewą ujęła się pod bok dla równowagi. Rysy twarzy drobne, nie wyrobione: to pączek nie rozkwity.

Rzućmy jeszcze okiem na tę *młodą ślisarkę* alzaczka Schutzenbergera. Stoi na łódce, oburącz trzyma wiosło. Wicher dmie, wzbudzony Ren szamocze kruchą łódkę; ale dziewczę nie lęka się wichru

ni burzy, dopływa już do brzegu, przy niej kosze pełne ogrodowin. Wierny kundel jedynym jej towarzyszem i stróżem. Blask ranny ożywia śliczny obraz.

Są między innymi sceny humorystyczno-dramatyczne, jak na przykład: *Reprymanda* Wiberta. W chacie wieśniaczkiej przed stolikiem nakrytym do kawy siedzi w krześle stary zakonnik karmelita. Nieco o podał, wieśniaczka w zwykłym odzieniu roboczym, oskarża jak widać córkę, która stoi przy niej zawstydzona. Oskarża ją zapewne o próżniactwo, a może i jakieś niewinne zaloty. Piękna dziewczeczka ubrana strojnie, ma nowy zielony fartuszek, u szyi wstążeczkę, we włosach pęczek kwiatów. Zakonnik zmarszczył brwi, daje *reprymandę*, ale w obliczu jego widać słodycz i dobroć. Snać wina oskarżonej nie tak wielka jak się przedstawia troskliwej matce. Dramacik to bardzo wymowny, miły dla oka i dla serca.

Życie ludu wieśniaczego, ze wszystkich prowincji francuzkich, maluje się w długim szeregu tych rodzajowych obrazków. Ztąd ciekawe one, nie tylko dla miłośnika sztuki, lecz niemniej ważne dla badacza i etnografa. Bretonia, która dzięki swym lasom i bagniskom, zachowała wraz z językiem starych Celtów, tak wybitny charakter miejscowości, najwięcej przedmiotów dostarczyła malarzom. Widzimy Bretonów, to na odpuscie, w okolicach Morbikanu, przybranych w płócienne swity, podobne zupełnie do litewskich, to gwarno, tłumno wracających z wesela, przy rzepoleniu skrzypków. Tam znów zajęci pracą: węglarz wypala w lesie żywiczne pieńki sosen; praczki nad strugą biją chusty tradycyjnymi kijonkami; dziewczyna odsiewa przetakiem tatarkę i patrzy w morze: inna pasie bydło na polach karnaku, wśród sterczących kamieni druidycznych.

Auwernia, starożytna kolébka Wercingetorixa, uwydatniona w dwóch ślicznych obrazkach. Jeden p. t. *Niedziela w Auwernii*, przedstawia ludek wiejski w świątecznym stroju, podzielony na grupy przed kościołkiem. Drugi smutniejszy, stawia nam przed oczy pogrzeb kmiotka. Ksiądz idzie naprzód z krzyżem w ręku: dalej, czterej druhy niosą na barkach prostą sosnową trumnę. Niewiasty z głową pochyloną zamykają żałobny pochód.

Droga Francuzom Alzacya, oddana też z wielką miłością. Śliczny obraz p. Brion, ukazuje nam wesele wiejskie. Wóz uprzężony w tuste krowy, toczy się po gościńcu. Na przedzie siedzą trębacze, dalej panna młoda z wielkim bukietem otoczona druchnami: swaty i družbowie zajmują resztę drabiniastego wozu.

Normandia przynosi w plonie, to śmiałych rybaków na łodziach szamotanych wichrem jesiennym, to grupy chłopców wiejskich i dziewcząt potawiających ostrygi.

Zaden zakątek kraju nie został przepomniany. Okolice najmniej ponętne dla oka, znalazły wiernych synów, którzy z miłością odtworzyli pędzlem bagna i piaski rodzinnej ziemi. Widzimy tu i ubogą osadę w jałowych, błotnistych Landach, pomiędzy morzem

a Garonną. Widzimy nawet nędzne chaty rozsiane gdzieniegdzie po pustym stepie zwanym: Komaryą, w bliskości Awinionu.

Do tego działu etnograficznego cudzoziemcy z dalekich stron świata, przynieśli swoje daniny. Szwecya najpiękniej w nich reprezentowana. Wahlberg uczeń akademii Stokholmskiej, przedstawił „Ciemny las bukowy w Durehawen“ pod Kopenhagą i „Przystań rybacką w Wazholm“ nad brzegami Bałtyku. Piękne to obrazy, pełne barwy miejscowej. Ostatni zwłaszcza oświecony blaskiem księżycza, uderza prawdziwą harmonią. Inny Szwed Salmson oddał z wielkim życiem „Sobótki w Dalekarlli, w wigilią św. Jana;“ Nilson „Wnętrze chaty w Hallandzie“; malarka szwedzka p. Zetterström „Wieśniaka lapońskiego“ i rzewny obrazek: „Młodą wieśniaczkę“, śnać matkę nad pustą kolébeczką zmarłej dzieciny.

Holendrzy nie dali się ubiedz Szwedom. Van Heemskerch przedstawił „Potów śledzi na ławie piaszczystej Doggersbanku“; Sadee wyborną grupę „Holenderskich wieśniaczek“ zajętych kopaniem kartofli. Jarosław Czermak z Pragi, ściągnął na siebie powszechną uwagę dwoma pięknymi obrazkami. Na jednym widzimy „Schadzkę zakochanej pary w Czarnogórze.“ U stóp skały czeka piękna dziewczyna. przybrana malowniczo w kaftanik czerwony bogato sznurowany; osłania ją wielka płachta brunatna. Powyżej, wśród skał, ukazuje się zbrojny młodzian. Na drugim obrazie „Dziewcze hercegowińskie poi konie u studni.“

Węgier Munkaczi otrzymał medal za piękny, pełen dramatu obraz: *Włóczęgów nocnych*. Patrol prowadzi o pierwszym brzasku dziennym, czterech ludzi ze związanymi w tył rękoma. Grupa wyrobników i wyrobnic, idzie ulicą na robotę. Z pośród tych występują dwie kobiety; wlepiły wzrok w włóczęgów. Jedna poznaje syna, druga męża! Wstyd ich i boleść oddane po mistrzowsku.

Ameryka nawet przedstawiona tu etnograficznie. Widzimy: *Obozowisko kolonistów w lasach północnej Ameryki i szalasy Indian na stepach południowych*. Francuzcy artyści sami, wzbogacili sztukę w tym wydziale. Teodor Dellamare, z wielkim talentem reprezentuje Japonią dwoma obrazami: na jednym, *uczony Mandaryn*, maluje zgłotki pędzlem; na drugim: *grono pobożnych pielgrzymów*, zstępuje z świętej góry Fusy-Yama. Hirsch w dwóch pięknych obrazkach przedstawił: *Zydówkę z Oranu i Synagogę w Maroko*. Castres oddał wybornie: *Rodzinę cygańską w podróży*. Po gościńcu toczy się wielki wóz pokryty płótnem, uprzążony w osła i konia, na których siedzą dwaj cyganie. Z pod budy wygląda piękna młoda cyganka z niemowlęciem na ręku; druga idzie przy wozie, niesie koszyk z dzieckiem na plecach; za nią cyganie prowadzą dwóch uczonych niedźwiedzi.

Napróżno w tym nawale etnograficznych obrazków, upatrywaliśmy choćby jednego wnętrza naszej chaty, choćby jednej pielgrzymki na odpust, lub sceny na jarmarku. Braknie to przedmiotów godnych pędzla, w życiu i malowniczym stroju naszych kmieci? braknie to zre-

szłą w kraju naszym utalentowanych artystów, którzy doskonale od-
twarzają sceny ludowe? I dlaczegoż pytany kryją światło pod korcem?

Grzeczniejsze od nas Prusy, dorzuciły swój plon do ogólnego
wieńca. Grzeczniejszel mylimy się podobno! Obraz berlińczyka Maxa
Liebermann zakrawa raczej na urągowisko. Wyobraża *gromadę
Niemek*, zajętych pilnie oskubywaniem gęsi. Nie jestże ten obraz szy-
derczą allegoryą? Te gęsi oskubane, alboż to nie biedni Francuzi?
Te stopy pierzy nie przedstawiają wydartych miliardów? Dziwi nas
tylko, że butni potomkowie krzyżowego rycerstwa, chcieli uosobić się
w postaci bab niemieckich!

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć kilka słów o wystawie rzeźb
w oszklonym ogrodzie pałacu przemysłowego. Piérwszy rzut oka na
te grupy, posąg i popiersia, z marmuru, bronzu, kamienia i gipsu,
otoczone wieńcami rododendronów, róż i azalei, prawdziwie czarujący.
Przypatrując się blisko, nie doznajemy wcale rozczarowania. Między
pięciuset dziełami sztuki, niektóre wykonane mistrzowskim dłutem,
a co pociesza najwięcej to, że utwory młodych uczniów szkoły rzym-
skiej odznaczają się między innymi. Piękna to wróżba na przyszłość.

Wszyscy niemal młodzi rzeźbiarze, kształcący się w Villi Me-
dicis, nadstawili w tym roku przedmioty wzięte z Biblii lub z życia
świętych: p. Allar prześliczną: *głównę świętęj Cecylii opartą na lirze*,
wykonaną z wysokim talentem; Lafrance, młodzieuchnego: *S-go Jana
z krzyżkiem w ręku*; Mauqueste: *Jakóba z Aniołem*, prawdziwie piękną
i wymowną grupę. W ogólności spotykamy tu wiele scen biblij-
nych. Przed okiem naszym przesuwają się jakby wykute z kamienia
stronnice księgi świętęj: tu Adam i Ewa, tam Abel zatopiony w modli-
twie, tu znów Kain szarpany wyrzutem i rozpaczą; dalej Agara z Iz-
maelem na puszczy i Beniamin opuszczony od braci i Józef tłumaczący
sny i natchniona Judyta z mieczem. Chrystus kilkakrotnie oddany
w sposób nierównie godniejszy, niż pędzlem Bonnata. Blanco z Chili
wykonał piękną grupę: „Pocałunek Judaszowy“; Boggino: *Zbawiciela
modlącego się w ogrodzie Oliwnym*, w pośród uspiomych uczniów;
Martin: *Ecce Homo*, prześliczny utwór; Boryczewski posąg Chrystusa
z godtem: „kochaj bliźniego, służ mu.“ Falconis przedstawił piękną
Boga-Rodzicę.

W mytologicznym dziale widzimy wszystkich bożków Olympu,
mniej więcej udatnie wykonanych. Nie zatrzymujemy się nad nimi,
gdyżby nas to zbyt daleko zaprowadziło. Wspomniemy tylko pięknego:
Perseusza Gilberta i: młodziana ewalującego na skrzydlatęj Chimeryze,
pełną życia grupę Graneta.

Uczucia patryotyczne zrodziły nie jeden twórczy pomysł i dały
pochop artystom do niejednego prawdziwie pięknego utworu. P. Dene-
chan wykonał śliczną statwę p. t. *Syn pokonanego*. Niedostatek stoi
przed grobem ojca: boleść, wstyd, upokorzenie, chęć pomsty, malują się
na pochmurzonym czole, w zapadłym oku, w zaciśniętych ustach pa-
cholecia. Końcem szpady ukazuje rok 1870, wryty na głazie grobo-

wym. Szczególnym trafem posąg ten pomieszczono przy olbrzymim pomniku Wercyngetorixa, bohatera starłej Galii. Billier wykonał symboliczny posąg Alzacy; oblicze jój odbija najwyższą boleść. François usymbolizował Francją, dźwigającą się z upokorzenia, po ustąpieniu wojsk pruskich w r. 1873; podnosi w górę sztandar i zastania go ostrzem szpady. Lenordez w pełnej zalet grupie, oddał śmierć kapitana Lalande: dzielny ten dowódzca, po kapitulacyi Sedanu, rzuca się z garstką niedobitków między szeregi pruskie i pada rozsiekany.

Koroną tych grup, a zarazem koroną całej wystawy jest utwór Merciera: *Gloria Victis*. Młody mistrz, niedawno jeszcze uczeń szkoły rzymskiej, przeistaczając zwykłe: *dictum vac victis, gloria victoribus*, wyrażał plastycznie myśl, że chwała nie zawsze idzie w parze ze zwycięstwem, że niekiedy opromienia czoło ofiary. W jego precudnej grupie, chwała uosobiona w postaci pięknej niewiasty, podnosi z pola bitwy ugodzonego śmiertelnie szermierza; podtrzymuje go silnie oburącz. Cała postać młodziana tchnie szlachetnym zapałem; na czole jego duma, w rysach oblicza niewysławiona boleść; półotwarte usta mówić się zdają: „błogo temu kto umiera za świętą sprawę; szczęśliwy kto kona w chwili klęski! Oczy jego patrzeć nie będą na srom i niedolę pokonanych, a co gorsza na upadek serc jaki zwykle następuje po wielkiem wysileniu!“ Ciało konającego w części nagie pochyla się w objęcia sławy; lewą ręką ściska rękojeść miecza, prawa już obwisa i napół zeszywniała; tors i nogi wykonane po mistrzowsku. Sąd przysięgłych nagrodził tę grupę wielkim medalem honorowym.

Popęd do scen rodzajowych objawia się zarówno w rzeźbie, jak i w malarstwie. Do udatniejszych utworów w tym wydziale należy: *Rybak zarzucający sieci*, pełen życia i wyrazu, dłuta p. Noel. Zwraca téż uwagę: *Pastuszek*, Prerota; *Alchemik*: Heberta; *młoda Burgundka*: Talhamera; wyborny *Piwowar alzacki*: Chenillona. Najoryginalniejszy ze wszystkich: *Chłopek: Chandeta wracający z jarmarku*, z miną zamasysta, z czapką na bakier, pyszny ze świnki, którą dźwiga na ręku. Zastępuje niemniej na wzmiankę: *Winobranie*, a zwłaszcza: *powrót z łowów* rzeźbiarza belgijskiego Simonsa.

Długi szereg popiersi marmurowych i bronzowych stawił nam przed oczy, zmarłych i żywych koryfuszów świata literackiego i artystycznego. Wielka ich część zamówiona dla ozdoby gmachów i galerii publicznych. Biust Ponsarda, dłuta Adama Salomon, przeznaczony do muzeum wersalskiego. Popiersia: Moliera, Bertholeta, Ampera, Lamartina, Gay-Lussac, Cuviera, Fenelona i innych, ozdobią salę wyższej szkoły normalnej. Biusty zmarłych członków instytutu i akademii francuzkiej: Villemaina, Stanisława Julien, Viteta, pomieszczone zostaną w sali posiedzeń akademickich.

Niepodobna opisywać nam szczegółowo pomnikowych grup i posągów przeznaczonych do ozdoby kościołów, placów i gmachów narodowych, tak w Paryżu jak w całej Francyi. Liczba ich bardzo wielka, wartość niepospolita. Wykonane na fronton do Sorbony dwa po-

sągi: *Gersona i Ś. Tomasza z Akwinu*; pierwszy dłutem Felona, drugi Schoenewerka, prawdziwie majestatyczne w kolosalnym ogromie swoim.

Pomniki dla ofiar ostatniej wojny zamówione przez rozmaite miasta, odznaczają się w ogólności wytwornym wykonaniem. Pierwsi artyści poświęcili im dłuto. Hiolle uwieczniony przed kilku laty honorowym medalem, wykonał w tym celu pyszną figurę alegoryczną, dla rodzinnego miasta Cambrai.

Kiedy spojrzymy na tę Francją zbitą, upokorzoną, przyciśniętą bajecznym haraczem, zaledwie że ociekłą ze krwi, a przecież objawiającą tak twórczą żywotność na polu sztuki, zdobiacą gmachy i świątynie swoje tysiącami rzeźb, obrazów i pomników, podziwiać musimy geniusz tego uprzywilejowanego z tylu względów narodu. Patrząc na ten ruch umysłowy i artystyczny, pojmujemy najlepiej znaczenie narodowego mytu: owe zaślubiny galskiej dziewicy, z wytwornym greckim oblubieńcem!

Do Paryża, tych nowoczesnych Aten, w lat kilka zaledwie po bezprzykładowych klęskach, dziś równie jak w czasach pełnej świetności zwracają oczy ludy z najdalszych krańców świata. Ameryka i afrykański Egipt żądają ztąd pomników, aby godnie uwiecznić niemi chwałę swoją. Cognet mistrzowskiem dłutem wykuwa kolosalny posąg *Zwycięstwa*, na cześć tryumfu Peruwian nad eskadrami hiszpańską pod Callao. Leroux innym monumentem unieśmiertelnia tryumfy Brezylji; Jacquemart odléwa spiżowy posąg olbrzymich rozmiarów, ku pamięci Sulejmana Paszy, zwyciężkiego wodza wojsk Ibraimowych w Kairze. I czemuż to Peruwianie i Brezylejczycy, dzieci Nowego Świata, czemuż Egipcjanie, synowie prastarój Afryki, nie zakołatali do Berlina, upojonego tylu zdobycami? Patrząc na te płody geniuszu, na te tryumfy ducha francuzkiego, mamyż prawo nazwać paradoksalnym napis pod grupą Merciera: „Chwała zwyciężonemu!”

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Dziesięcioro Bożego Przykazania.

Na początku inkunabułu drukowanego pod koniec XV wieku: *Tractatus sacerdotalis de sacramentis* i t. d., znalazłem wklejoną kartkę z dziesięciorgiem bożego przykazania, pisanego po łacinie i po polsku. Pismo gockie stanowiące przejście z wieku XV do następnego, papier na jakim drukowano pierwsze książki i polinowanie we dwie wązkie szpalty na wzór piętnastowiecznych rękopismów i druków, wskazuje mniej więcej epokę tekstu. Jakkolwiek zabytek ten z czasów króla Jana Olbrachta lub Aleksandra pochodzący, nie mieści w sobie nic tak ciekawego ani nowego dla literatury, że jednak poprzedza wszystkie druki w języku ojczystym, zasługuje tém samym na mały kącik w waszém piśmie, które przed kilką miesiącami gościnnie pomieściło mój „*ulaemek starożytnego kazania o małżeństwie.*” Opuszczając tekst łaciński zachowuję w polskim pisownię oryginału:

Chwal boga yednego
 Nyebyerz proszno
 gymynya yego
 Szwyancz szwyantha
 y nyedzelya
 Czczy oczcza y mathka
 szwoya Nye zabyyay
 Nye nyeczyszcy Nye-
 kradny Pfalszywy
 nyeszwyadczy Zony
 nyepozaday blyszne-
 go szwego Any zand-
 dney rzeczy yego ¹⁾.

Gdy wśród innych papierów znalazłem podobnej treści słowa charakterem znacznie późniejszym XVI wieku kreślone (może nawet z jakiej książki przepisane), podaję je tutaj zachowując także właściwą pisownię:

¹⁾ Samogłosek podwójnych które wyszły z użycia w naszej pisowni około czasów króla Kazimierza Jagiellończyka, tu już nie widzimy, natomiast nowość w ówczesnej ortografii t. j. *ą* któremu widocznie jeszcze niedowierzano, gdy obok położono, *n*, po staremu. W wyrazie *zadnej* znajdujemy także znak nosowy, *an*, co zdaje się wskazywać jego dawną tam bytność, jakiej ślad w dyalekcie ludowym niektórych okolic Mazowsza dotąd pozostał. Może też jest to tylko omyłka.

Krotkie opisanie przykazania Boże. (go) Te są Boże przykazania, nauka twego zbawienya: Chwal zawsze Boga iednego, niebierz prożno imienia ie. (go) Pomni wszelkie święto święć, Oycy swego y matkę czić. Niezabijaj nikogo, nieczyni grzechu nieczistego. Nie kradni nic u bliźnie (go), nieświadc fakszu naniego. Cudzey żony ani rzeczy nieżaday u bliźniego.

Toć iest Boże przykazanie, pospołu złudmi stworzone: Ktorig człowiek gdi ie zdzierżi, żiwot wieczny ten odzierżi. Ale przestepca przykazania, strada Bożego widzenya.

Jeżewo, dnia 20 października 1873 roku.

Z. Gloger.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Wypisy polskie. Stopień 1. Z „wstępem” podającym zasady i drogi, jakich się trzymać należy w wykładzie wypisów. Ułożył August Jeske. Warszawa. Nakładem księgarni Stanisława Arcta w Lublinie, w 12-ce str. XVI 210.

Przykłady i wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich zebrane i zastosowane do „Historji literatury polskiej, opowiedzianej w krótkości dla młodzieży,” przez D-ra Karola Mecherzyńskiego b. profesora literatury w uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków. Nakład i własność księgarni Himmelblaua 1874 r. (w drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego. W 8-ce str. 803).

Pierwsze *wypisy* są dalszym ciągiem *systematycznego kursu nauk* w wydawnictwie pedagogiczno-szkolném księgarni S. Arcta w Lublinie. Rzecz godna uwagi, że żaden z warszawskich księgarży, nie podjął téj pięknej, a więcéj jeszcze użytecznej myśli, tak potrzebnej niezbędnie w kółkach rodzin polskich; ale dawnym zwyczajem tylko tłumaczeniami z podróży i zagranicznych powiastek starają się troskliwość rodziców w wychowaniu swéj dżiatwy, pozornie i utudnie zaspakajać.

Wydawnictwo, które prowadzi p. August Jeske, z pomocą księgarża prowincjonalnego, już ocenione zostało w naszym piśmie,

w zeszyte na styczeń r. b.; my tu ograniczamy się jedynie na wydaném świeżo dziełku: *Wypisów polskich*.

Autor gruntowny pedagog na czele ich pomieścił obszerną rozprawę, której tytuł: „Zasady i drogi, jakich się trzymać należy w wykładzie wypisów” odpowiada jój treści. Są tu wskazówki, które ułatwią zarówno zaczęj matce, jeżeli sama zajmuje się pierwotną edukacją swych dzieci, jak dla nauczyciela, czy nauczycielki całego wykładu i zużytkowania podanych *wypisów*.. Te podzielił autor na VIII ustępów, jak *Szkola. Rodzina. Wieś, miasto, społeczeństwo. Ogród. Zwierzęta. Pola, łąki, lasy, wody. Świat. Bóg*.

W każdym z tych działów rozwija pojęcia o właściwym przedmiocie, zasilając się wypisaniami z 24 pisarzy, pomiędzy któremi najczęściej, a właściwie użytymi zostali Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, Stanisław Jachowicz i Teofil Nowosielski, znani z wielu prac użytecznych dla młodocianego wieku ¹⁾. Jest téż tu wiele utworów pióra i samego autora.

Pan A. Jeske miał na celu rozjaśniać pojęcia dziecinne i oznajmiać z ludźmi i ze światem, który wkrótce stanie się miejscem ich życiowego działania.

Poświęcając krótki ustęp literaturze polskiej, wspomina najznakomitszych pisarzy polskich tak dawnych, jak naszego okresu.

Zaczawszy „z *Bogiem*” ostatni ustęp cały poświęca *Mu* także i kończy rzewną modlitwą Stanisława Jachowicza, jaką wznosi „mała dziecina.”

Nie znam książki w naszej literaturze, któraby lepiej odpowiadała swemu zadaniu w oznaczonym zakresie nad *wypisy*, o których mówimy, a przeznaczone dla drobnej dziatwy. Na karcie tytułowej zapisany *stopień* / zapowiada nam, że p. Jeske obdarzy nas wypisaniami odpowiedniami dla starszego wieku.

Pocieszającą mamy wiadomość, że poznali się rodzice dbali o przyszłość dzieci swoich, na wartości téj publikacji, która drukowana w 2000 egzemplarzy już jest blizką wyczerpania i wydawca wkrótce przystąpi do drugiej edycji. Dzieła téj wartości i użytku powinny się rozchodzić w dziesiątkach tysięcy wśród polskich rodzin.

Inny cel, inne zadanie mają wypisy zasłużonego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Karola Mecherzyńskiego, które wydał p. n. *Wzorów i przykładów*. Jest to dodatek do *Historji literatury polskiej*, którą niedawno tenże autor ogłosił, a obiedwie te prace są zastosowane do użytku młodzieży szkolnej. Podając tu wyjątki z najcenniejszych poetów i prozaików polskich,

¹⁾ Zwracamy uwagę szanownego autora na małą omyłkę (str. 65) przy ustępie p. n. *Boduena gorliwość i pokora*, podpisana jest Klementyna Tańska, a opowieść ta jest pióra K. Brodzińskiego i drukowaną tylko była w jój: *Rozrywkach dla dzieci*.

odwołuje się ciągle i wykazuje stronnice, do których należą w pierwszym jego dziele. Obecnie więc wydana książka uzupełnia pierwszą.

Idąc chronologicznie, mamy tu wzory zabytków piśmiennictwa najdawniejszej polszczyzny, a począwszy od Reja z XVI, XVII i XVIII wieku, najobszerniejsze zaś już z naszego stulecia.

Od Kazimierza Brodzińskiego i Mickiewicza *przykłady i wzory* przychodzą i słusznie w szerszych ustępach, zajmując większą połowę dzieła; z dawniejszych brane są starannie objaśnione.

Z niemałym podziwieniem w ostatnim okresie nie znajdujemy w tych wypisach żadnego śladu z pism naszych autorek, które ze wszystkich względów zasługiwały na to. Pomijając już liczne grono zdolnych i utalentowanych powieściopisarek, czyż nie mamy polek, których talent poetyczny już oceniony należycie został? Narcyza Żmichowska (Gabryela), Seweryna z Żochowskich Duchńska, Deotyma, Marya Ilnicka. A na ich czele nie godziło się pomieścić w tych wypisach dla młodocianego wieku, z prac Klementyny Tańskiej (Hoffmanowej) wyjątków, jak idącej w jej ślady Pauliny Kraków?

Autor podaje wyjątki z tłumaczeń łacińskich elegii Jana Kochanowskiego przez Brodzińskiego i poetów polskich po łacinie piszących w przekładzie Władysława Syrokomli (L. Kondratowicza); sądzymy, że w następnych wydaniach należy je wypuścić, jako samodzielności właściwej nie okazują, tém bardziej, kiedy nie znajdujemy ustępów z *Iliady* Homera Fr. Dmochowskiego, *Przemian Owidiusza* Brunona hr. Kicińskiego, wybornych tłumaczeń Szyllera przez J. D. Minasowicza, a szczególnież téż mistrzowskich przekładów A. E. Odyńca i *Odyssei* Lucjana Siemieńskiego. W ogóle wedle naszego zdania albo przytaczać w tak podręcznej książce wyjątki ze wszystkich najcelniejszych przekładów, lub téż ograniczyć się na samych jedynie oryginalnych utworach.

Przypomnienie A. E. Odyńca tém bardziej jest uderzające, że dopominał się poczesnego miejsca już nietylko, jako mistrzowski tłumacz, ale pełen talentu oryginalny poeta. Czyż można zapomnieć jego *Barbary*, *Felicity*, *Lubomirskiego* i zbioru *poezyi*?

Obok tego zapomniano o poetach naszego okresu, jak T. Pa-durze, D. Magnuszewskim, Maurycem Gosławskim, I. Olizarowskim, J. Szujkim. Może w tém gronie miałby już słuszne prawo do pomieszczenia się i najmłodszy z poetów Asnyk (Ell-i) w książce wydanej w r. 1874.

Nie znajdujemy téż z téjże doby i najcelniejszych prozaików polskich, jak Karola Libelta, Kremera, Trentowskiego i Cieszkowskiego (*Ojciec nasz*). Nie godziło się téż pomijać i Michała Grabowskiego, który w chronologicznym porządku stoi przed niemi. Te uwagi podajemy tém śmieliej, że spodziewamy się, że dzieło to podręczne i opracowane gruntownie, wkrótce doczeka się drugiego wydania, w którym należałoby te opuszczenia wypełnić.

W rozkwicie literatury Zygmunrowskiej, wszyscy dotąd studyjący historią literatury ojczystej, mieszczą Frycza Modrzewskiego pomiędzy piszącami po polsku, gdy wiadomo, że pisał jedynie po łacinie, a najznakomitsze jego dzieło: „O naprawie Rzeczypospolitej” przełożył Cypryan Bazylik. Czyby raz nie należało to powtarzanie błędne ominąć; Modrzewskiego pomieścić na właściwem stanowisku, jako jednego z najznakomitszych myślicieli XVI stulecia, a Bazylika, jako mistrza, we władaniu językiem polskim i najwyborniejszego tłumacza.

K. WZ. W.

Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych, 1874 roku, T. IV.

Uorganizować Towarzystwo naukowe, nadać mu pewien specjalny kierunek ściśle programem z góry objęty, nie jest to wcale zbyt łatwą rzeczą. Czteroletnia wszakże działalność Towarzystwa nauk ścisłych, najoczywiściej nas przekonywa, że szlachetni założyciele jego jasno zdawali sobie sprawę z trudności, jakie mieli do pokonania i wiernie siły swe obliczali.

Towarzystwo bowiem nauk ścisłych, jeśli ma stać się powagą w kwestyach naukowych, jeśli ma być istotnym organem nauki w kraju naszym, musi stać na wysokości tegoczesnej wiedzy. Istnienie podobnego ciała naukowego zależnem staje się od jego działalności na zewnątrz.

Działalność zaś każdego Towarzystwa oceniamy zwykliśmy podług owoców jakie dane Towarzystwo społeczeństwu przynosi. Jestto popolite *critérium*, które tak dobrze na drodze ekonomicznej, jak i w umysłowej; tak dobrze w spółkach przemysłowych, jak i w towarzystwach naukowych, mówi o ich wartości, z tą wszakże różnicą, że gdy w pierwszym razie cyfry liczebnie wzięte stanowią o wszystkim, w drugim razie nie tyle o ilość ile o jakość nam chodzi. Ta właśnie jakość płodów umysłowych, stanowi niewątpliwie o summie wiedzy Towarzystwa i daje wymiar jego żywotności.

Jeśli na podstawie tych danych, o Towarzystwie nauk ścisłych wyrokować mamy, przyznać należy, że działalność tego, stosunkowo tak jeszcze młodego Towarzystwa, świetnie dotychczas przedstawia się. W ciągu tak krótkiego czasu, przy okolicznościach wielce niesprzyjających rozwojowi jego, Towarzystwo nauk ścisłych zdołało ogłosić drukiem 35 rozpraw naukowych w 150 arkuszach, oraz nakładem szlachetnego właściciela Biblioteki Kórnickiej i przewodniczącego w Towarzystwie, wyszło 16 dzieł przeważnie treści matematycznej, obejmujących 7,500 stron. W wydawnictwie tém przyjęto udział 18 autorów.

Wielką tę zasługę przyznać musimy Towarzystwu, że potrafiło w wydawnictwach swych zachować jednostajny kierunek naukowy i wielką ścisłość w wykładzie, że zdołało uniknąć częstokroć bezwzględnej polemiki i doktryneryzmu naukowego. Tom IV Pamiętnika nauk ścisłych na podobieństwo innych tomów, przeważnie pracom matematyczno-filozoficznym poświęcony. Nie bierzemy mu to wcale za złe, w braku u nas tego rodzaju publikacji ze wszelkich miar pożądanym jest, aby Pamiętnik miał je w swą szczególną opiekę. Znajdujemy tu dalszy ciąg pięknej rozprawy p. Martynowskiego p. t. „Teorya ciśnienia cieczy na ściany płaskie i krzywe.“

Z kolei K. Brandt podał „O wytrzymałości ciał,“ następnie J. N. Franke napisał „Przyczynek do ogólnej teoryi kół ząbionych,“ dalej idzie rozprawa W. Klugera „O teoryi turbiny Fontaine'a“ wraz z zastosowaniem wzorów analitycznych do obliczania wymiarów i pracy tej maszyny“ „Teorya funkcji zmiennej złożonej“ przez W. Puchewicza; oraz „O naturze i przymiotach stali“ przez St. Baranowskiego zamykają pracę oryginalną zeszytu IV.

Oprócz tych prac oryginalnych, spotykamy tu jeszcze tłumaczenie z angielskiego „O twierdzeniu Hoene Wrońskiego przez Cayley'a,“ wreszcie sprawozdanie o niedoszłym konkursie wyznaczonym za ocenienie prac matematycznych H. Wrońskiego. Nadto Towarzystwo nauk ścisłych wyznaczyło inną nagrodę konkursową w ilości 1000 franków za napisanie *najszupelniejszej bibliografii* od r. 1830, z działu matematyki i fizyki w języku polskim (do tego czasu) ogłoszonych. Konkurs wymaga aby były objęte wszystkie dzieła i rozprawy bądź drukiem, bądź litografią w naszym języku wydane; nadto aby bibliografię rzeczoną pomnożyć krytycznemi uwagami o każdym dziele z osobna. Jeśli konkurs ten dojdzie do skutku, będzie to nabytkiem wielce pożądanym dla literatury naszej. Wszakże na tém się nie kończy działalność naukowo-społeczna przewodniczącego Towarzystwa nauk ścisłych Jana hr. Działyńskiego. „Pragniemy, mówi on w przedmowie do IV tomu, nie w samej tylko literaturze wywołać współubieganie się naszych młodych uczonych; w tym celu zamierzamy otworzyć w porozumieniu z Towarzystwem naukowe pomocy, konkurs w roku przyszłym na *dwa stypendya*: jedno w matematyce, drugie w naukach przyrodzonych, jako w dwóch głównych gałęziach naszych zatrudnień, dla kształcących się rodaków na nauczycieli, którzyby chcieli *po skonczeniu nauk uniwersyteckich w kraju, wydoskonalić się za granicą*. Ochotnicy raczą przestać swe życzenia i dowody uzdolnienia, oraz dotychczasowej pracy i pilności, aby nas uwolnić od ogłaszania w dziennikach „tak *skromnego zamiaru*.“

Czytając Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych, mogący być odczyną niejednej literatury europejskiej, możnaby przyjsć do przekonania wielce pochlebnego o naukowem wykształceniu naszego społeczeństwa. Pismo bowiem tak specjalnej treści, jeśli ściśle wypełnia przyjęte na się zobowiązanie, jeśli nadto nad początkowy program swój

wyznacza konkursu i daje stypendya, musi liczyć na wielu prenumeratorów, gdy w stanie jest podolać dawnym zobowiązaniom i przyjąć nowe. Niestety tak nie jest. Pomimo swęj niezaprzeczonej wartości, „Pamiętnik nauk ścisłych“ po większej części zdobi półki księgarskie i utrzymuje się wyłącznie ofiarnością szlachetnego właściciela Biblioteki Kórnickiej. Takich mecenasów nauk daj nam Boże więcej!

W. S.

Der Vorgeschichtliche Mensch. Ursprung und Entwicklung des Menschengeschlechtes. (Człowiek przedhistoryczny. Początek i rozwój rodu ludzkiego. Lipsk, 1874; s. 576, rycin i figur w tekście i obok znajduje się 620).

W miarę postępu nauk, obowiązkiem piśmiennictwa jest onych popularyzowanie, czyli zaznajamianie ogółu z najnowszym stanem wiedzy.

O ile wiadomości o starożytnym człowieku a raczej archeologiczne odkrycia postępują olbrzymim krokiem w ostatnich czasach, o tyle trudniej było o książki popularne w tym kierunku. Gdy nauka bowiem archeologii wychodzi dopiero z pieluch a co chwila tryska dla niej nowe źródło wiedzy; jakaż więc praca o *człowieku przedhistorycznym* przeznaczona dla ogółu mogła się spodziewać trwałości? Dzisiaj jednak, gdy tysiączne odkrycia i mozolne badania uczonych zgromadziły już dość poważny materiał do szkicu mglistej przeszłości człowieka, pokuszono się i o systematyczny o ile można obraz jego rozwoju w starożytności. Rzec to przeważnie kompilacy i taką jest powyższe dzieło, będące najnowszym i najobfitszym w treść przewodnikiem po tajemniczej krainie jaskiń, mogił i łożysk jeziornych.

Zadania tego podjął się p. Wilhelm Baer, ale śmierć zaskoczyła go gdy pisał o epoce kamienia; dalej więc ciągnął pracę Dr. H. Schaffhausen prof. w Bonn i kustoszka muzeum starożytności szlezwicko-holsztyńskich przy uniwersytecie w Kiel, panna J. Mestorf, która przyjęła na swe barki *epokę brązu*. Wreszcie uzupełnił dzieło opisem zabytków innych części ziemi i obrazem powstania człowieka (wedle teoryi Darwina), tudzież wiadomością o ludach dzikich, p. F. Hollwald.

W poważnej téż kompilacy naśladowano ustrój i tytuł wyszłego przed dziesiątkiem lat dzieła J. Lubocka. Gdy jednak w uczonym angielskim widzimy samodzielnego badacza, tu rodzaj encyklopedy starożytniczéj i zbiór zdań rozmaitéj wartości, bogatszy tylko materiałem, bo w dziesięć lat późniéj pisany: gdy w Lubocku podziwiamy jego trafność sądów, tu obszar dokonanych poszukiwań przez wielu archeologów. Jeden z nich np. duńczyk Lund miał przeszukać w prowincyi brazyjskiej Minas Geraes 800 takich pieczar z kośćmi przedwiecz-

nych zwierząt, jakich kilka zrewidowano u nas pod Ojcowem. Z téj ogromnej liczby tylko w sześciu natrafił na szczątki troglodytów.

Z postępem naukowych badań coraz dalej posuwa się w przeszłość istnienie człowieka na ziemi. O współczesności jego z obrzymiemi ssąciami tak w Ameryce jak w Europie przed katastrofami *diluvium*, nikt już dziś nie wątpi. Dolina rzeki Sommy we Francyi dostarczyła najobfitsze tego dowody. Uczeni amerykańscy idą śmiało dalej i obliczając przypuszczalnie czas potrzebny do utworzenia się tych warstw napływowych przy ujściu rzek w jakich znaleziono kości ludzkie, przypisują jednym 10,000, innym 50,000 lat wieku! Cóż za powódz czasów, gdyby się tylko dała udowodnić? Tymczasem zdaje nam się, że w żadnym razie nie można stosować dzisiejszej skali w tworzeniu się rzeczonych napływów do przeszłości, która rozlicznym ulegała przemianom.

Chociaż wydawca p. Hellwald chwali dzieło, iż pomimo udziału kilku piszących, nie znać w jego toku różnicy pióra, nie możemy jednak na to przystać. Nauka pana Baera i Schaaflhausena góruje. Krzyczących sprzeczności w istocie niema, ale oto raz czytamy że Baskowie prawdopodobnie przybyli z Ameryki, gdzieindziej znowu przytoczony p. Müller zapewnia że z Armenii. Zarozumiałość niemiecka nie mogła zbyt jawnie wystąpić na polu archeologii gdzie: Duńczycy, Francuzi, Anglicy, Szwedzi, Szwajcarzy i Włosi niemniej poważne mają zasługi. Rozbierając jednak p. Hellwald kwestyę tajemniczego powstawania istot organicznych i tak zwanego samorodztwa, ignoruje zupełnie ciekawe doświadczenia członków instytutu w Paryżu. Jeżeli zaś na czele swego rozdziału pomieścić portret Darwina, to pytamy się dlaczego nie postarał się w innych miejscach załączyć Nilsona, Lubocka i kilku innych, którym archeologia prawie wszystko zawdzięcza. Dlaczego za dogmat przyjmując teorię angielskiego naturalisty do książki popularnej, przemilcza zdania przeciwników, gdy przecież głównie na walce przekonañ zyskuje światło a myśl się ćwiczy.

P. Hellwald aby zająć wyobraźnię czytelnika i uczynić książkę pokupniejszą, przedstawia w pięknych rycinach bitwy, uczyty, pogrzeby, polowania i zatrudnienia mieszkańców jaskiń i nawodzisk, czego nikt ani widział i ani odmalował, a co bardzo dziwnie odbija przy uczonych rozprawach i jeżeli zaspokaja ciekawość dzieci i pensyonarek, to ośmiesza naukową książkę w ręku poważniejszego czytelnika. Wolelibyśmy widzieć w to miejsce brakujące w niektórych opisach wymiary przedmiotów starożytnych.

Jeżeli nadmienitem na początku, że dzieło powyższe jest najbogatszym w treść *przewodnikiem*, te pominąć nie mogę, że nie stosuje się to do archeologii ogólnie słowiańskiej lub polskiej, z których pierwsza zaledwie tu jest poruszona a druga pominięta zupełnie. Gdzież się podziela owa stynna ścisłość naukowa Niemców? Ale mylimy się: oto (po wzmiance św. Bonifacego, który powiada o Wendach, że wysoko czcili kobietę dobrowolnie idącą na stos za zwłokami małżonka),

znajdujemy szczegół, iż jeszcze w X wieku ucinano w Polsce głowę żonę po śmierci męża i palono razem na stosie. Dalej społeczność niemiecka dowiaduje się, że blisko kurlandzkiej granicy, jeszcze w XVII wieku pewien znakomity człowiek z wielu kosztownościami, koniem, psem myśliwskim i sługami (*tak*) spalony został! (str. 441). Otóż mamy i wszystko co do nas! Nazwa serbo-łużyckiego Lipska (z niemczone *Leipzig*) wyprowadzona jest od staro-keltyckiego *liub*: kąt i *tigh*: dom, miejsce (str. 257). Na to potrzeba tylko księdza Dębołęckiego, a podobne dowody mają służyć na poparcie wniosków i hipotez! Ileż to dopiero będzie łamania głowy i odkryć staro-keltyckiego języka na Pomorzu, Szlązku i w Wielkopolsce, a i my przecież mamy na trakcie Zapuszczańskim, w Sandomierskiem, Lubelskiem i Galicyi, po takiej keltyckiej osadzie.

Z. Gloger.

Przysłowia polskie odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości, spisał i objaśnił Aleksander Weryha-Darowski. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1874 r. (w-8ce, str. 219. Drukiem Metzgera i Wittiga w Lipsku).

Zmarły w roku bieżącym autor, wzięwszy sobie za cel główniejszy, zebranie przysłów polskich przywiązanych do nazwisk szlacheckich i miejscowości, oddawna nad nimi pracował. Przed wielą laty już w „Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych“ która powstała z „Dziennika Warszawskiego“ Henryka hr. Rzewuskiego, zaczął umieszczać z tych studyów swoich wyjątki, w których ostro krytykował pierwsze dzieło moje wydane przed 44 laty: „Przysłowia narodowe“ (Warszawa, 1830 r, trzy tomy). Zebrawszy w jedną całość, następnie wydał w Kijowie 1867 roku p. n.: „Jeden rozdział do przyszłej księgi przysłów polskich, obejmujący nazwiska rodzin szlacheckich a innych, w przypowieściach, znaczeniu przenośnym, ucinakach i t. p. (w drukarni Uniwersyteckiej, w 8-ce, str. 85) i wtedy, przesyłając mi egzemplarz, napisał do mnie list następny, który tu dosłownie zamieszczam, jako malujący piękną stronę charakteru, już dziś w grobie spoczywającego pracownika.

„Od nieznanego kolegi, który zawód swój literacki kończy na tém polu, na którym go zaczynałeś, chciej łaskawie pan, jako znak szacunku dla siebie przyjąć książeczkę, ze zbiorkiem pamiątkowych polskich przypowiestek.

„Przed laty dziesięciu w artykułach drukowanych w „Kronice“ p. t.: „Bajeczki,“ pozwoliłem sobie dość ostro rozebrać jedną z najmłodszych prac jego, właśnie te same „Przysłowia narodowe,“ które siła dostarczyły treści, do mego „Rozdziału.“ Zdało mi się, że tém oddałem hołd stariej prawdzie i świadectwo współczesnej nauce,

i mniemam że o to w sercu drożdzy nie chowasz, ani pomówiłeś być nowym Donatusem, który powtarzał jego aksyomat:

„*Percant qui nos nostra dixerunt.*“

„Jednakże jeśli będzie wola pana, pozwalam, a nawet proszę, równie surowo osądzić mój zbiorek przypowiestek. Należy mi to prawem słusznego odwetu, a mogę zaręczyć, że nawet sowity, nieumniejszy prawdziwego szacunku, z jakim mam honor wyznać mnie jego, szczerem sługą.“

Kijów, 18 marca, 1867 roku.

A. W. Darowski.

Nie możemy pominąć pełnej humoru przedmowy, jaką umieścić na czele tego wydania autor, maluje go ona bowiem wydatnie.

„Myślałem—pisze—do moich przypowieści skreślić przedmowę uczoną, i dwa razy zasiadałem do niej. Zadanie nie było dla mnie niepojobnym, i bardzo mądrze zabazgrałem pięć czy sześć arkuszy papieru, ale zawsze włożyłem w taką głęboką *matnię*, że gdybym ją zapełnił, sama jedna przeszłaby rozmiary całej *sieci*; jaśniej mówiąc, przedmowa objętością swoją przerastała szczupły zbiorek, do którego służyć miała wstępem. Nie chciałem wydawać literackiego potwora z głową większą od kadłuba i odstąpiłem zamiaru. Miałem nawet poniechać wszelkiej przedmowy, na zasadzie przysłowia: „że towaru nie trzeba zalecać, gdyż on sam się chwali.“ W życiu nieraz gryzmo-liłem przedmowy do pism rozmaitej treści, wyręczając w tém autorów, dobrych moich znajomych: utwory były dla mnie obojętne, sądziłem przeto bezstronnie i we wstępnych sprawozdaniach przemawiałem o nich krótko, chłodno i poważnie. Zastanowiła mnie nie pomatu szczególność, zem tego, co umiałem robić dla drugich, nie potrafił dla samego siebie i postanowiłem do moich przypowieści *sine qua non*, napisać przedmowę.

„Co to jest ten fant literacki, znany powszechnie pod nazwiskiem *przedmowy*? Jestto monolog autora, albo wydawcy, deklamowany niby przed czytelnikiem widzialnym na scenie, ale w samą rzecz dla krytyka schowanego za kulisą. Sztuczka bardzo prosta, a tém samém nie trudna, w której zwykle *qui pro quo* czytelnika z krytykiem całą stanowi intrygę. Co do mnie, bez wielkiej przykrości umartwiłbym się od téj prologowej komedyjki, ale najprzód powiedziałem sobie, że będzie, a powtóre nie jestem sam autorem książeczki: mam łaskawych współpracowników, których nawet wszystkich nie znam osobiście, więc nie wiem, jakiej są literackiej fantazyi, ani jakiej wartości jest znaczenie przedmowy w ich rozumieniu. Niéma co zwlekać, co ma być niech będzie, tylko ja *semolis arbitris*, rozprawić nie chcę. Proszę panów, moi czytelnicy całym gronem! Sam, tu, panowie krytycy, stać cicho i opodał! Szanowni koledzy

i współpracownicy! bliżej koło mnie, za mną, a podpowiedzcie, gdybym się zaciął. Zaczyna:

Przedmowa.

„Tytuł, który dałem mojej książeczce, opowiadający jej treść i przeznaczenie, uwalnia mnie od wszelkiej przedmowy; ale tak poważam moich kolegów autorów i tak szanuję moich łaskawców czytelników, że dla tych wysokich względów nie korzystam z téj wolności, nie chcąc się różnić od piérwszych, ani upuszczać zręczności wstępnego zaznajomienia się z drugimi.

„Przysłowia, które zebrałem, nie dotyczą filozofii moralnej, są to pamiątki domowe, prowincjonalne, często nawet zaściankowe, ale zawsze historyczne. Wiele z nich, dawno zapomnianych, wygrzebałem ze starych druków, a odszukując te zmarłe wspomnienia, siła umordowałem starych oczu (liczył wówczas 54 rok życia Darowski) i wypotrzebowałem młodéj, gdyż niedawno wynalezionéj, *kamsfny*. Kiedym przedsiębrał tę zmuđną zabawkę, którą dla zwyczaju nazwę technicznym wyrazem *peremiograficzną*; nie sądziłem, aby mi zabrała więcéj nad dwa miesiące i dostarczyła więcéj nad kilkadziesiąt przypowieści; ale omyliłem się tak w rachunku czasu, jak w liczbie przypowieści o całych dwie trzecie i postąpiłem właśnie, jak bałamutny budowniczy, który koszta zamysłonego gmachu cyframi oznaczy, a ten za nim stanie, wypotrzebuje trzy razy tyle pieniędzy i materiału. Ale nie dosyć było spisać przypowieści, nadto należało je objaśnić, doczytać się, a czasem domyślić wypadków, których były dalekiem echem, a w obudwu razach pilnować się od samego siebie i od moich poprzedników, którzy pracując około przypowieści, dorabiali do nich anegdutki własnego konceptu, często bez znajomości języka i historyi, a zawsze bez krytyki. Wszystkie niedostatki i braki, jakie znajdują się w téj książeczce, pochodzą głównie z przychyny, żem ich nigdzie własnemi zmyśleniami nie zapełnił i nietylko nie poszedłem w tém za przykładem moich poprzedników, ale owszem, starałem się wykazać grube fałsze i bezmyślne fałsze kłamstwa, które chcieli udawać za prawdę i to po rzymsku, po Saluściszowsku *sine ire et studio*, a nie przez żadną zazdrość rzemiosła. Nigdy w uzyciu, a to już za połowę wieku przebiegło; nie dorabiałem się piórem chleba, ani sławy: uważałem bowiem, że dla nabycia piérwszego stosowniej użyć lemiesza, a dla pozyskania drugiegj właściwsza szabla; pióro bądź gęsie, bądź metaliczne, liczyłem zawsze i jedynie za instrument do zabawki. Niech rolnik pot leje dla chleba, przeszedłem to do świadczenia i mam go dosyć: niech żołnierz we krwi brodzi dla sławy, nie kuszę się o nią i jestem już stary, to w niczém mojego rozumienia o piórze nie zmienia, przynajmniej odnośnie mnie samego; nie mam się za chudeusza, a tém mniej za geniusza, chleba nie potrzebuję, a sławy nie zajrzę, bawię się piórem, ale nie jestem wyrobnikiem, ani artystą w literackim cechu. Chybiłbym założeniu nieodróżniania

od autorów i celowi zapoznania mnie z czytelnikami, gdybym nie był zmówił, w tej niepotrzebnej przedmowie tych luźnych słów kilku o samym sobie: miałem jeszcze inny powód po temu równie ważny, a tym było uprzedzenie przyszłych krytyków, z kim będą mieli do czynienia, kiedy *ex re* mojej książeczki zechcą zagaić rozprawę. Ci ostatni łatwo pomiarkują, że mam siebie za krytyka, choćbym nawet nim nie był w ich rozumie, o to rozumienie mniejsza, a co do pomiarkowania będzie ono trafnym i uzasadnionym, jeżeli bezwzględnie na to, com o sobie powiedział, wyniknie z treści zupełnie obojętnej samej książeczki; niech przeto w sądzie o niej polegają na własnych swoich zdaniach, niezwracając bynajmniej uwagi na żadne poboczne i stronne: *mowa się mówi, a chleb się je*, powiada mądre przysłowie.

„Wiem dostatecznie dlaczego tak a nie inaczej skreśliłem moją książeczkę; ale z tego tłumaczyć się nie widzę przyczyny, niepociągnięty do odpowiedzi, i sądzę, że na dzisiaj już powiedziałem, jeżeli nie więcej jak było potrzeba, to wcale zadość.“

Kijów, d. 20 sierpnia 1865 r.

Sam tytuł tego zbioru wykazuje, że Weryha-Darowski dobrze pojmując wysokie znaczenie i wartość przysłów narodowych, własną pracę nazwał *jednym rozdziałem* do przyszłej *księgi przysłów*, bo właśnie brak nam takiej księgi. Pierwszy *Salomon Rysiński*, który się tą pracą zajął około 1580 roku, a ogłosił drukiem w r. 1618; po nim *Grzegorz Knapski* jezuita, w lat pięćdziesiąt wydał zbiór daleko obszerniejszy. Poprzednika swego pracy nie pochwała, wyrzuca mu, że spisał przysłowia bez przyzwoitego objaśnienia o ich początku, użyciu i bez dobrego po łacinie wykładu. Wyznajemy przecież, że gdyby nie zbiór Rysińskiego, zaginęłyby nam wszystkie historyczne przysłowia. F. Bentkowski sądzi („Hist. liter. pol.“ t. I), że wiele Knapski przysłów z powyższego zbioru przez skromność wypuścił; ale gdy porównamy obu pracę, widzimy że Knapski nie kierował się tą zasadą bynajmniej, bo popuszczał wszystkie historyczne i obyczajowe przypowieści, których albo nie rozumiał, albo nie umiał objaśnić. Fr. Siarczyński („Obraz wieku Zygmunta III“ t. II) za jego śladem, bez żadnej rozważy przywodzi naganę Rysińskiego. Tymczasem zbiór jego coraz większej nabierał ceny, gdy przy badaniach ściślejszych etnograficznych zbliżeniu się do ludu, poznaniu jego skarbów umysłowych jakie w żywym słowie dotąd przechował, zaczęliśmy odgadywać wiele przysłów w Rysińskiego zbiorze, dawniej ciemnych i niezrozumiałych ¹⁾.

¹⁾ Tak przysłowie u niego trzy *Niewidy*, dopióro w naszych czasach wyjaśniła, pełna postyczyną barwy powieść ludowa, o trzech niewidzialnych aniołach, które dobry Bóg zsyła na pociechę i ratunek ludzi. Podaliśmy ją w całości w czasopiśmie „Bluszoł“, mówiąc o fantastycznych postaciach ludowych.

Weryha-Darowski pracował nad nim krytycznie, szkoda że go drukiem nie ogłosił, ale pozostawił obszerny rękopism obejmujący 45 arkuszy, w którym te zabytki językowe porównał, objaśnił i przypisami zaopatrzył. Praca ta szacowna, przeznaczoną jest z woli autora do biblioteki imienia Ossolińskich we Lwowie.

Szlachcic bezimienny w roku 1600 napisał dzieło p. n. „Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwe“, które w lat dziewięćdziesiąt po jego zgonie wydaném zostało. Jestto niejako dopełnienie zbioru przypowieści Rysińskiego, ale jakże różne od niego. Rysiński zbierał przysłowia w żywém słowie używane codziennie i mnóstwo czysto ludowych zachował, a szlachcic nasz przypowieści, wyrób czysty herbowników zamikowanych w rycerskiém rzemiośle, w myślistwie i hodowli wyborowój rassy koni.

Jeżeli Rej w swoim „Zwierciedle“ wiernie nam odmalował społeczeństwo w której żył i język ówczesny w całym tém, najznakomitszym dziele XVI wieku dla starożytności polskich, przechował: Szlachcic w swém *Gospodarstwie* skrytykował nam myśli, widzenia i poglądy całej warstwy *panów braci* z tegoż wieku, zastosowany do głównych zajęć współczesnych każdego ziemianina, któremi były rola, myślistwo i rumak dzielny, na każde pojawienie się „wici“, aby zbrojnie podążyć na obronę kraju zagrożonego napadami pohańców.

Malowniczy też to język tak w „Zwierciedle“ jak w „Gospodarstwie“: krótko, jędrnie, dosadnie, a jasno i prosto każda myśl wyrażona. Znać tu pierwotną mowę niewygładzoną jeszcze piórem, ani naciśniętą wpływem obczyzny, samorodną i oryginalną, jaka dopiero z żywego słowa narodu przelewa się na papier. We wszystkich dziełach z tego okresu i późniejszych nawet widzimy, że gdzie tylko przychodzi przedmiot narodowój treści, przysłowia, jak skowronki na wiosnę, nadlatują niespodzianie. To spostrzegamy w poezjach Jana Kochanowskiego, w pismach Łukasza Górnickiego, pierwszych kronikarzach piszących po polsku i w. i.

Z upadkiem nauk, oświaty, a za temi i skażenia języka znikwały te kwiaty mowy naszej w piśmiennictwie, przechowując się jedynie w *żywém* słowie następnych pokoleń, najczyściej zaś, w niepokalanej swój czystości utrzymywały się w ustach ludu, czego dowodem dwóch pisarzy z XVIII stulecia: Stanisław Trębecki gdy nam w mistrzowskim tłumaczeniu dał: *Syna marnotrawnego* z Woltera, stawiając w niém postacie i charaktery polskie, a nad wszystkich słynny pierwszy komedyo-pisarz Franciszek Zabłocki, nie tylko zachowaniem mnóstwa przysłów ludowych, ale i umiejętnością a właściwem ich użyciu, któremi przykрасił język w dyalogach swoich ¹⁾.

¹⁾ W naszym okresie genialny Aleksander hr. Fredro, w komedji *Pan Jowialski*, dał nam wiele przysłów dziś już zapomnianych, a używanych w potocznej mowie.

W naszym okresie najpotężniejszy geniusz, Mickiewicz, gdy dotknął czysto-narodowego przedmiotu w *Fanu Tadeusza*, nie mógł wskrzeszonych postaci ożywić, jak tylko z przysłowiami, które brał z żywego słowa, dobrze z lat młodych zapamiętane.

Na bogaty ten skarbiec ojczystej mowy, lud zgromadzał pierwotnie zasoby umysłowe, zdobyte w długich wiekach doświadczenia, rozmysłu, uczuć serca, jak pracy myśli. Niedaremnie też ci co głębiej badają, w nich upatrują pierwszy zarodek filozofii rodzinnej, jako głównych podwalin, na którychby śmiało a trwale budować można przyszły przybytek nauki. Z tego skarbcza, szlachta przez długie wieki pełną ręką czerpała, a następnie wiele swoich, wyłącznie z własnego żywotu i obyczajów wytworzywszy dorzuciła: nie stanowi on bynajmniej największej wartości, którą wyłącznie naszemu ludowi zawdzięczamy, co pracował wówczas, kiedy *herb* był godłem nie osobistym, ale znaczył rody całe na chorągwiach, i za świadectwem Bartosza Paprockiego, służył za hasło, do zwoływania się jedynie, czy to zbrojno przeciw najazdowi wroga, czy w czasie klęski pożaru. Ale brak nam owęj *Księgi przysłów*, o której Werycha-Darowski zamarzył i dla niej najprzód *jeden rozdział* przysłów wydał, a w lat siedem później, powiększywszy go przytoczeniem przysłów do miejscowości przywiązanych, wydał w r. b. pod zmienionym i szerszym już nadpisem: *Przysłów Polskich*.

Niemasz tu żadnej przedmowy, którąśmy w całości przywiedli z pierwszego wydania, a to dlatego, że rzecz samą objaśnia, autora charakteryzuje, a wogóle dla szczupłej liczby egzemplarzy drukowanych, prawie jest nieznaną zwolennikom nawet literatury krajowej.

Tu układ dawny zachował, podając najprzód: *Przysłowia odnoszące się do nazwisk szlacheckich* alfabetycznie, a każde starając się objaśnić dokładnie: lubo tej koniecznej zasady nie trzymał się wszędzie, odsyłając nieraz do pism czasowych w których pisał o nich, niezastanowiwszy się że są już rzadkościami bibliograficznymi ¹⁾. Nieraz dobrze prostuje i sumiennie, dawniej źle lub fałszywie przytoczone przysłowie, jak np. o regimencie Działyńskiego, przywołując na pamięć, że należał do najwaleczniejszych, „a pod Maciejowicami padł cały, gdzie mundury jego rzędami leżały, tak jak on stał w boju nieustąpiwszy kroku”. W gorliwości jednakże wszystkiego co się odnosiło do nazw szlacheckich, widzimy kilka niewłaściwie przytoczonych. Tak przytacza (str. 26) wydrukowany przez Władysława Nehringa, w *kursie literatury polskiej* (Poznań 1866 r.) nierozważny przypisek o sędziwym a zasłużonym i z prawdziwym talentem

¹⁾ *Przysłowia combrzyż za głowę* nie objaśnia, ale odsyła do swego artykułu w r. 1857 p. n. *Bajeczki*, drukowanego w *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych* z r. 1857. A gdzież ją teraz w komplecie znaleźć?

poezie Aleksandrze Grozie, żarcik: „Panie Grozo, lepiej prozą” niby przysłowie, i powtarza jakoby swe zdanie, ocenę stanowiska jego, przynosząc Grozy prozę nad poezją. Sąd to doraźny, niesprawiedliwy, niewytrzymujący najłżejszej nawet krytyki. Tak (str. 98) zapisuje:

„Wężyku Beju,
Więcej oleju!”

I objaśnia: „Przysłowie warszawskie o Władysławie Wężyku, autorze: *Podróży po starożytnym świecie* (Warszawa 1842 r.), który po powrocie ze Wschodu, używał biletów wizytowych z tytułem *Beja*, i opowiadał przygody, nie zewszystkiemi do prawdy podobne.”

Znaliśmy osobiście i blisko Władysława Wężyka pełnego zdolności młodzieńca i najzaciejszego charakterem. Kiedy Leon hr. Żubieński po utworzeniu Biblioteki Warszawskiej, otworzył u siebie zebrania *niedzielne* (w pałacu Żubieńskich przy Królewskiej ulicy), bywał na nich Wężyk, a że lubił dowcipkować, na jeden żarcik jego, tenże sam Żubieński, te słowa powiedział mu z uśmiechem. Nie pozostały one nam bliższym nawet w pamięci, bo Wężyk wyniosłszy się w Poznańskie, tam niosąc pomoc ludowi wiejskiemu, w czasie grasującego tyfusu, padł ofiarą szlachetnego poświęcenia.

Wiele nazwisk, które w tém dziele znajdujemy, nie mogłyby przejść do zbioru właściwych przysłów polskich, np. *Allemani*, którzy nie rozumiemy dlaczego znaleźli tu miejsce na samém czelu, albo *Mamsel de Cosel*, której imie miało przejść u nas w przysłowie, dla oznaczenia kobiety zalotnej, lub złego prowadzenia. Czytelnicy *Biblioteki Warszawskiej* poznali dokładnie tę wydatną postać z powieści J. I. Kraszewskiego, którąśmy drukowali w tém piśmie w roku zeszłym: nigdzie zaś w spółczesnych źródłach nie znajdujemy, ażeby kobieta ta, energicznego charakteru, mająca uroczyste na piśmie przyrzeczenie poślubienia jój przez króla Augusta II (Mocnego), wystawioną była w kraju naszym na tego rodzaju pośmiewisko: były bliższe z polskiego rodu magnatki, które gorsze od niej role grały na dworze rozpustnym tegoż Augusta, a żaden pomnik przysłowiowy, ich pamięci nie przechował. Pomimo tych usterek, którą jak wspomnieliśmy w zbytniej gorliwości w powiększeniu swego zbioru autor pomieścić, reszta pracy, dla każdego badacza przeszłości jest drogo-cennym nabytkiem. Mamy tu nadto dodany nowy dział: „*Przysłów odnoszących się do miejscowości.*” Tymoteusz Lipiński autor opisu *Starożytnej Polski*, sumienny pracownik, już poprzednio dział ten obrobił, i w piśmie naszym podał; ale Werycha-Darowski znakomicie go powiększył, rozszerzył i objaśnieniami krytycznemi ubogacił. Wkońcu dołączył: *Dodatek przypowieści prowincjonalnych*, wyjętych z dzieła ks. Włodka: *O naukach wyzwolonych* (Rzym 1780 r.), które charakteryzują szlachtę i mieszczan rozmaitych powiatów i miast większych w całej Rzeczypospolitej. Rzecz godna uwagi, że Wery-

ha-Darowski, z jednej strony przysłowia które zapisał w swym zbiorze, objaśnia podaniami ustnemi; do rzędu tych należą z końca XVII i XVIII stulecia, a nawet już i naszego sięgające: z drugiej strony, wprost odrzuca dawniejsze tradycje, które przez trzy wieki blisko za ich źródła były podawane. Tak np. odrzuca podanie krążące w całej Polsce, o *Filipie z Konopi*, i nakreśla dozajacą, którego *Filipem* na Rusi nazywają. Zapomniał autor że w dawnych wiekach, komunikacja przy złych drogach a jeszcze gorszych mostach była utrudniona, że podróż o mil 10 lub 12 więcej potrzebowała przygotowania i przyborów, niż dziś na krańce Europy; podania więc wyrosłe w jednej miejscowości nie tak prędko mogły przejść z Rusi w Sandomierskie, gdzie gniazdo było przysłowia tego o *Filipie z Konopi*. Pomnąc zaś na prostotę szlachty *zagonowej*, która na polu elekcyjnym wołała *Rdesta* na króla, zamiast księcia Ernesta, prędszej uwierzę tradycyi, która przypisuje to przysłowie niezręcznemu odezwaniu się na sejmiku szlachcica noszącego to imię, aniżeli szukałbym go w zajuca na Rusi.

Zamykając nasze sprawozdanie, o dziele wiele mającém zalet i rzeczywistej wartości dla badacza przeszłości, należy nam poświęcić wspomnienie zmarłemu niedawno jego autorowi.

Aleksander Weryha-Darowski urodził się w r. 1813 w Lubarze, szkoly ukończył u księży Pijarów na Żoliborzu w Warszawie. Ojciec jego przed 1830 r. nabył wieś *Żerdzie* pod Kamieńcem Podolskim i tu stale osiadł z rodziną. Po śmierci rodziców, otrzymawszy majątność w Kijowskiej gubernii przeniósł się tam, ale więcej przemieszczał w samym Kijowie. Mając dostatek, niepotrzebując pracować na chleb powszedni, wiódł życie swobodne, a wolne chwile poświęcał pracom literackim, w których dowcip i humor, a nieraz gorzkie odbija szysterstwo. Temi cechami odznacza się *Legenda ukraińska, Lament skwirski*, drukowana bez miejsca i daty, a rzeczywiście wydana w roku 1862 w Brukseli, lubo napisaną była trzy lata wcześniej, głównie wymierzona przeciw zwolennikom pańszczyzny, w chwili podniesienia kwestyi włościańskiej o usamowolnieniu ludu w guberniach południowo-zachodnich Cesarstwa.

Rozrzuczona najprzód w rękopiśmie, a następnie w druku, wielu nieprzyjaciół wywołała przeciw autorowi, którzy jęj i zmarłemu już teraz, przebaczyć nie mogą. Wiele pisał wierszy, pełnych werwy, i pod względem artystycznego obrobienia wysokiej wartości; ale treścią a nieraz i wystawieniem tak rubasznym i nieprzyzwoitych, że nie mogą być drukowane. Ograniczymy się przeto, na wyliczeniu prac jego na polu historycznym. 1) *Znaki pieczętne ruskie*. Noty heraldyczne (z tablicami herbów). Paryż, druk Martinet w (8-ce 1862 r. str. 31). 2) „Manifest z powodu zbrodni dokonanej na osobie p. Bartłomieja Giżyckiego, kasztelana wyszogrodzkiego w Kniazpolu pod Kamieńcem Podolskim w 1768 r.” Drezno 1862 r. 3) „Pieśń Krzysztofa Arciszewskiego.” Lwów w drukarni Zakładu Imienia

Ossolińskich, (1863 r. w 8-ce str. 8). Będzie to zapewne stara pieśń o tym znakomitym generale artyleryi, którą przechowały liczne dawne „Silva-Rerum i Dyaryusze domowe.” 4) „Pan Samuel Maszkiewicz.” Część I-a. Bruksella. Dehou, 1863 r. (w 8-ce str. 31, XIII, z ryciną). 5) „Samuel Łaszcz strażnik wielki koronny.” Opowiadanie historyczne. Kijów, w drukarni uniwersyteckiej, 1865. (w 12 str. XIII, 31). 6) W roczniku Dr. Stanisława Krzyżanowskiego dla archeologów na rok 1870 wydrukował: „Młodość Stanisława Bohusza Siestrzeńcewicza,” późniejszego metropolity kościołów katolickich w Rosyi. Jestto wyciąg z rękopismu znalezioneego w bibliotece hr. Platara. Nie możemy policzać do tych poważniejszych prac wydanej broszury p. n. „Dyaryusz podróży do Warszawy, stara satyra.” A. W. D. Lwów, 1873 r. (w 16-ce str. 41), która z treści jest bliźniakiem owego „Lamentu Skwirskiego, z tą różnicą, że ten napisany wierszem, „Dyaryusz” prozą, i tak zręcznym podrobieniem dawnego stylu, i wyrażen, że jeden z pracowników nad dziejami, dał się podejść, i wydrukował jako rzeczywisty wyciąg ze starego rękopismu. Zaprotestowaliśmy zaraz w Bibliotece Warszawskiej, przeciw takiemu podrobieniu, a mającemu na celu zohydzenie nawet wspomnienia szlachty z XVIII wieku.

D-r Józef Rolle, znany w literaturze naszej pod pseudonymem „Maryana,” zbliżony do Weryhy-Darowskiego, który zakończył życie w Berlinie 16 kwietnia bieżącego (1874) roku. umieścił w czasopiśmie illustrowaném „Kłosa,” obszerny życiorys jego i zarazem fotografią, z której drzeworyt to pismo dołączyło. W nim, podaje wiele szczegółów do biografii Darowskiego, których nie powtarzamy, a zarazem spis drukowanych prac, jak i pozostałych w rękopiśmie. O mających związek z polskimi przysłowiami już mówiliśmy, przywodzi nadto wydanie nam nieznane: „Przysłowia do nazwisk szlacheckich,” (Kijów, w drukarni uniwersyteckiej, 1870 r.). W takim razie, obecne w r. b. w Poznaniu ogłoszone, byłyby już trzecią edycją.

Żałować potrzeba, że zmarły autor: „Pióro gęsie bądź metaliczne” liczył zawsze: „jako instrument do zabawki,” wedle własnego wyrażenia, dlatego téż, mamy tylko drobne, urywkowe jego prace ¹⁾. Zapomniał że starsi ojcowie do roku 1830 w wolnych chwilach od służby krajowej, piórem tém gęsiem, oddawali najważniejsze usługi obywatelskie, a żaden z nich nie miał na widoku jakiegokolwiek

¹⁾ Przyjaciół zmarłego D-r Józef Rolle, w liście z d. 24 maja r. b. pisze: „Darowskiego uważałem i uważam za jedną z większych inteligencyi sponiewieranych w skutek nieszczęśliwego ustroju społecznego. Umyśl zamknięty w karby niesprzyjających okoliczności, rzucił się na manowce.” Pomiń to, szlaohetne popędy w nim górowały i zacność duszy. Żałować potrzeba że zgał przedwcześnie.

pieniężnego zarobku. Ten okres „Wincenty Pol,” w improwizowanych swoich prelekcjach o literaturze polskiej z początków naszego wieku, wymownie odmalował.

K. Wł. Wójcicki.

„*Les Elzevirs de la Bibliothèque de L' Université Impériale de Varsovie. Par Stanislas Joseph Siennicki. Ouvrage enrichi de 23 planches. Varsovie. Imprimerie du Journal „Wiek” (de Jean Noskowski) MDCCCLXXIV. (W 8-ce str. 221).*”

Autor, członek wielu towarzystw uczonych, zebrał w tej pracy szacownej a mozolnej wszystkie druki najświetniejszej typografii *Elzewirskiej*, jakie obecnie posiada biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego.

Pod nazwą Elzewirów słynęła od końca XVI do początku XVIII wieku rodzina księgarzy i drukarzy osiadłych w Leydzie, Hadze i Amsterdamie, którzy najwięcej się przyczynili do rozwoju sztuki drukarskiej. Sami uczeni mężowie dokładali usilnych starań, ażeby zapewnić trwałą wartość swoim wydawnictwom. Nie żałowali hojnego grosza, ażeby korekta była jak najdokładniejsza nie tylko pod względem drukarskim, ale i naukowym. Dlatego księgi przez nich wydawane, albo które u nich były drukowane, należą do wysoko cenionych rzadkości bibliograficznych i troskliwie przez amatorów poszukiwane.

Założycielem tej firmy rozgłośnej w świecie naukowym, był Elzewir Ludwik, osiadły w Leydzie w Holandyi. Imię jego, jako wydawcy, pojawia się pierwszy raz w r. 1583 na dziele p. n. „*Drusii Ebraicarum Questionum libro duo*” (w 8-ce) i odtąd przywiązaniem zostało do jego następców, z których bracia Elzewirowie: Bonawentura w spółce z Abrahamem, założywszy księgarnię i drukarnię w Leydzie, najwięcej wstawili tę firmę, wydawszy razem więcej dzieł, niż wszyscy poprzedni i następnicy z tej rodziny, celując w edycjach klasyków łacińskich i dziełach francuzkich w małym formacie. Oni także dali początek zbiorowi historyi rozmaitych narodów, tak zwanych małych *Republik (Respublice Elzeviriane)*, na które wyrobiwszy sobie w r. 1626 przywilej od stanów holenderskich, zaczęli drukować w formacie 16-ki. Działalność tych czynnych pracowników trwała do roku 1652.

W zbiorze pomienionym znajdują się i polscy historycy p. n. *Poloniae, Lithuaniae, Prussiae, Livoniae etc. Respublica et status diversorum auctorum* L. B. Elzevir 1627 r., drugie wydanie 1642 r. Właściwie składa się z ośmnastu pism rozmaitych autorów piszących o Polsce: Krzyszstanowicza, Kromera, Gwagnina, Botera, Thuana, Michała Litwina, Łasickiego: *O bożkach litewskich i żmudzkich,*

Chodkiewiczza, Neugebauera, Alstada, Barclaya, nadto jest osobny tomik, obejmujący Starowolskiego: *Polonia*. Dokładny spis wszystkich republik wydał La Faye w dziele: „Catalogue complet des republicques imprimés en Hollande“ (Paryż 1842 r.). Sława téj firmy zgasała dopiero w końcu XVII stulecia. Obszerną wiadomość o tych najwyborniejszych drukach, znajdujemy w *Rocznikach drukarni Elzewirowskiej*, wydanych w Gandawie przez Pietersa: „Annales de l'imprimerie des Elsevirs, ou histoire de leur famille et de leur edition“ par Charles Pieters. Gandawa 1852 r., drugie wydanie tamże poprawne i znacznie powiększone 1858 r. z dodatkiem osobno wyszłym w r. 1860.

P. Siennicki pracę swoją ogłosił w języku francuzkim, w przedmowie wspomina, że poszedł za wzorem danym przez zarząd biblioteki cesarsko-publicznej w Petersburgu, który w latach 1862—1864 wydał katalog wszystkich druków Elzewirskich, jakie się w niéj znajdują.

Rozpoczyna od spisu druków, które na karcie tytułowej mają wyraźny tytuł *Elzewirów*. W dziale tym mamy wymienione dzieła, jakie posiada biblioteka uniwersytetu Warszawskiego z republik tak obcych, jak i polskich. Dział następny obejmuje spis druków Abrahama Elzewira od 1663 do 1710, który tę firmę przodków swoich poniżył, wydając same liche disertacye akademiczne. W trzecim dziale znajdujemy najwięcej wydań polskich pisarzy lub o Polsce piszących w języku łacińskim i francuzkim.

Dla bibliografa ważna to i zajmująca praca, a pierwsza poświęcona spisowi tych wyborowych wydań. Piękny zbiór, jak widzimy, druków elzewirskich posiada biblioteka naszego uniwersytetu, a powstał on z wielu klasztornych księgozbiorów i prywatnych, są tu pamiętki i po sławnej bibliotece Załuskich. W końcu w 23 tablicach litografowanych, autor podał tak godła używane przez Elzewirów, jako téż znaki i pieczęcie, któremi cechowali pierwsi właściciele te książki, a zarazem i fac-simila ciekawsze napisów, jakie znalazł na ich kartach tytułowych. Na czele dołączył widok gmachu téjże biblioteki.

Wydanie staranne i ozdobne, a drukarnia *Wieku* (Jana Noskowskiego), dobrze się zaleciła, jako zakład typograficzny.

R.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa, lipiec 1874.*—Wiadomo, jak miasto nasze hojne złożyło ofiary dla współbraci, którzy w strasznych pożarach, całe mienie stracili. Znany poeta Miron, w Kurjerze Warszawskim umieścił wiersz następujący, pełen prawdy, uczucia, który podajemy p. n.

Warszawie.

Dank ci Syrenol co swym cudnym głosem
Śpiewasz pieśń wielką miłości;
Tyś opasana nieprzebrany trzosem
Groszów litości.
Niech Bóg, jak Ojciec, błogosławi tobie
I chleb i światło ci zsyła,
Warszawo moja! wołać będę w grobie,
Byś żyła!

— Niedaleki czas już nas oddziela od zapowiadanej *wystawy płodów rolniczych i gospodarskich*, bo we wrześniu r. b. odbyć się mającej w Warszawie. Program drukowany już oddawna rozesłany, oznajomił dokładnie, co do warunków pomienionej *wystawy*, która mieścić się będzie na placu Ujazdowskim, gdzie już potrzebne przedsięwzięto roboty.

— P. P. Rafalski i Jakubowicz ogłosili prospekt na: „Warszawski rocznik adresowy firm domów handlowych i komisowych, zakładów fabrycznych, przemysłowych, technicznych, mechanicznych, rolniczo-przemysłowych i rękodzielnych, w ogóle kupieckich i różnych przedsiębiorstw i interesów, z dodaniem kalendarza na rok 1875 i wiadomości pożytecznych.”

— Dnia 1 lipca r. b. w południowej porze na scenie *Teatru Rozmaitości* odbyła się uroczystość artystyczna dla uczczenia Michała Chomińskiego, który wysłużył lat XXXV i przechodzi na emeryta. Zasługi jego, jako aktora, znane są wszystkim; czasopismo *illustrowane Kłosy* podało przed kilku laty jego portret w otoczeniu charakte-

rystycznych postaci, które uwydatnił w swoich rolach. Teraz składali mu towarzysze sztuki wraz z dyrekcją teatrów hołd, nietylko jako artyście, ale zarazem jako człowiekowi, doręczając jubilatowi złoty pierścień z brylantami i srebrny wieniec z wyłaczaną kokardą, na której stosowny pomieszczono napis.

— *T. B. Macaulaya: Dzieje Anglii* tom VIII wyszedł z drukarni J. Bergera w przekładzie Adolfa Pawińskiego profesora uniwersytetu Warszawskiego i IX w tłumaczeniu Narcyzy Żmichowskiej. Całe przeto wydawnictwo tak szacownego dzieła, złożone z X tomów, wkrótce będziemy mieli ukończone.

— *D-r Henryk Struve*, prof. filozofii uniwersytetu Warszawskiego, ogłosił w czasopiśmie niemieckim „Psychologische Monatshefte” wychodzącem w Berlinie, w pierwszych dwóch zeszytach z r. b. rozprawę obszerną p. t. „Psychologisch-metaphysische Analyse des Begriffs der Nothwendigkeit” (Psychologiczno-metafizyczny rozbiór pojęcia konieczności).

— *Encyklopedyi Rolniczej* pod redakcją T. J. ks. Lubomirskiego, E. Stawskiego i S. Przystańskiego, wyszedł zeszyt IX tomu drugiego, (a 19 całego dzieła) i obejmuje: dokończenie obszernej rozprawy: *Gorzelnictwo* z wielą drzeworytami: *Gospodarstwo oszczędne nakładowe* (extensywne i intensywne) i *Gospodarstwo angielskie* (początek).

— *Gazeta Warszawska* w pierwszych dniach czerwca r. b. rozpoczęła druk wielce zajmującej powieści Władysława Łozińskiego redaktora *Gazety Lwowskiej* p. n. *Śkarb Watażki, powieść z końca XVIII wieku*. Autor w przedwstępnym liście do „redakcyi *Gazety Warszawskiej*,” przyznaje otwarcie, że utwór ten był już drukowany w odcinku *Gazety Lwowskiej*, która w bardzo szczupłej tylko liczbie egzemplarzy się rozchodzi i wyklada powody, dla których go przesyła do powtórnego przedrukowania. *Gazeta Warszawska* uznała je za tak przekonywające i umieściła go w swoim feletonie. Przyznajemy słuszność téjże redakcyi, że nie wahała się długo, zapoznając nas z tą nową a nieznaną powieścią znakomitego pióra. Sądzimy, że podobne zdarzenia częściej się powtarzać będą, idzie tylko o wartość rzeczywistą utworu.

— W roku bieżącym w Odessie p. Bukowiecki otworzył drukarnią polską, z której wyszły dwie broszury: jedna p. t. „Psychologia i trojaki jój kierunek” p. Leszka Niezabudkę, wydana na korzyść osad rolnych w Warszawie; druga p. t. „Trzy bajki z życia Odeskiego” przez Wład. J. Wkrótce ma wyjść „Przewodnik po Odessie,” który wielkie dla przyjezdnych może wyświadczyć usługi.

— Z zapowiedzianego, pomnikowego wydawnictwa, X. Ignacego Polkowskiego, który już niemałe położył zasługi w literaturze polskiej, opisu *Katedry gnieźnieńskiej* wyszedł zeszyt pierwszy i obejmuje po przemowie do senatu metropolii gnieźnieńskiej, przedmowę i początek pierwszego rozdziału: *Katedra gnieźnieńska* pod względem

architektonicznym od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych z drzeworytami w tekście. Nadto dodanych jest pięć starannych fotodruków: 1) Widok zewnętrzny katedry gnieźnieńskiej; 2) Wnętrze katedry z wielkim ołtarzem; 3) Spiżowe podwoje katedry gnieźnieńskiej; 4) Złoty relikwiarz z głową Ś-go Wojciecha; 5) Trumna Ś-go Wojciecha z dwóch stron. Format arkuszowy mniejszy; drukiem J. B. Langiego w Gnieźnie; wydanie wspaniałe, odpowiednie znaczeniu treści.

— Otrzymaliśmy *prospekt nowego wydania pism* D-ra Libelta, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu, który dosłownie zamieszczamy.

„Pisma D-ra Libelta, mogące objąć osmnaście tomów, mniej więcej dwudziesto-arkuszowych ścisłego druku, księgarnia nakładowa ma zamiar wydać w nowym wydaniu. Niektóre z nich doczekały się już drugiej i trzeciej edycji, wszakże po największej części wyczerpane są w księgarstwie. Zdaje się więc rzeczą pożądaną wydanie nowe i całkowite.

Rozpoczynamy *pierwszą ich seryą*, mającą obejmować pisma autora filozoficzne w sześciu tomach. A mianowicie zawierać będzie:

Tom I: Krytykę rozumu i przejście do filozofii słowiańskiej.
Tom II i III: System umnictwa. Tom IV i V: Ogólne zasady estetyki.
Tom VI: Piękno natury.

Wszystkie te sześć tomów wyjdą pod ogólną nazwą: Filozofii i Krytyki. Tom pierwszy już wyszedł z druku, następne niezwłocznie po sobie wychodzić będą, tak, że w pół roku, druk wszystkich sześciu tomów ukończonym zostanie. Autor je znacznie powiększył przedśłowiem i licznymi uwagami zaopatrzył. Estetyka mianowicie znacznie przerobioną została. Pod tym względem nowe to wydanie pism filozoficznych Libelta, odznacza się i świeżością i postępem naukowym.

Cena prenumeracyjna dość nisko położona, bo 1½ tal. za tom jeden, czyli ośm talarów za sześć tomów. Późniejsza cena sklepową wynosić będzie talarów dwa za tom jeden.”

— Mylnie niektóre pisma doniosły, że Julian Horain przestał być redaktorem głównym *Gazety Newyorskij*, gdyż ciągle na czele tego pisma stoi. W jednym z ostatnich numerów pomieścił w odcinku znany wiersz A. E. Odyńca: „*Nowy Bogacz i Nowy Łazarz— nowa pieśń kantyczkowa*” i w końcu przypisek od siebie następny:

„Postanowiliśmy oznajmiać was kochani czytelnicy z arcydziełami naszych znakomitych, współczesnych autorów, podając od czasu do czasu w odcinku naszej *Gazety Newyorskij* ich utwory w całości lub w wyjątkach. Po przybyciu do Ameryki, przekonałiśmy się do wódnie, że, oprócz Mickiewicza, inni nasi znakomici pisarze i poeci, znani są ledwie z nazwiska; utwory zaś ich albo są mało, albo zupełnie nieznanne na amerykańskiej ziemi. Podejmując się redakcyi téj gazety, miałem na myśli zaradzić téj potrzebie, a obecnie, mając środki po temu, przystępuję do jój wypełnienia. Rozpoczynamy od najstarszego z żyjących dziś poetów polskich Antoniego Edwarda Odyńca. Ró-

wiesnik, kolega i przyjaciel Mickiewicza, nie ma on wprawdzie orlego polotu autora Dziadów, Wallenroda, Tadeusza; jeżeli ten ma słoneczne błyski geniuszu, rażące niekiedy wzrok nasz pospolitych ludzi, to Odyńcowi przystało miłe, łagodne i zawsze znośne dla nas światło księżycowe. Odyńca talent jest pierwszorzędny, wpływ był i jest zawsze wielki. Co do czystości mowy, harmonii wiersza, jasności myśli i stylu, żadnemu z naszych poetów nie ustępuje, a wielu przewyższa. Jako tłumacz poetów: Walter-Skotta, Bajrona, Szyllera etc., w żadnej literaturze nie ma sobie równego. A. E. Odyniec, którego względami i przyjaźnią się szcycim, ma obecnie lat siedmdziesiąt, ale życiem przykładnym zachował w zupełności swój talent poetycki, umysł rzeźwy i jasny, siły fizyczne nienadwerężone. Spodziewamy się, że Stwórca przedłuży mu życie zawsze pożyteczne dla ziomeków."

— Na wydziale historyczno-filozoficznym, *akademii Umiejętności w Krakowie*, w czerwcu r. b. sekr. akad. przedstawił prace X. Ślęczkowskiego: „Dzieje kościoła katolickiego w Polsce i na Rusi” i A. Moszyńskiego: „Przyczynek do zyciorysu Kościuszki,” oraz „Wiadomość o ostatnich książętach Wiśniowieckich i o ich biografie Janie Karolu Dolskim.” W komisji językowej D-r Adam Bełcikowski odczytał program ułożenia „Słownika polskiego,” zredagowany przez siebie za porozumieniem się z wyznaczonym na to komitetem.

Na posiedzeniu komisji historycznej téjże akademii, czytano korespondencyą D-ra Stanisława Smolki z podróży jego naukowej po W. Ks. Poznańskim; uchwalono wnioski przedstawione przez komitet redakcyjny o porządku wydawnictw i wynagrodzeniu za różne kategorie pracy wydawniczej. D-r Bobrzyński wniósł rzecz o wydanie kodeksu praw i przywilejów nadanych sądowi na prawie magdeburskiem w Krakowie, oraz ważniejszych wypisów z przechowanych aktów tego sądu. Pan. Łuszczynski złożył do użytku komisji wykaz „Oblat Castri Cracoviensis“ od 1572—1792 z szczegółowym indeksem.

— W pierwszych dniach lipca r. b. odbyło się posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu. W obec licznie zebranej publiczności zagaił posiedzenie prezes Towarzystwa Karol Libelt, sekretarz Feldmanowski odczytał sprawozdanie z działań Towarzystwa. Położono kamień węgielny pod gmach mający pomieścić bogate zbiory z dziedziny literatury, sztuk pięknych i archeologii. Budowa tego gmachu wsparta pomocą hr. Józefa Mielżyńskiego, który z własnych funduszków pożyczył 40,000 talarów, ma być w przyszłym roku ukończoną. Wydawnictwo „Roczników“ dla braku funduszków powstrzymanem być musi do dalszego czasu.

— P. Franciszk Duchiniński i małżonka jego Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, otrzymali obywatelstwo szwajcarskie w kantonie Zurychskim.

— P. Ludwik Orpiszewski, autor „Wędrowki po Mazowszu i Wielkopolsce“, wydrukował w Paryżu broszurę o 30 stronicach p. t. „Coup d'oeil sur les oeuvres les plus remarquables des poètes Polonais.“ Autor upatruje tu podobieństwo znakomitszych poetów polskich do słynnych artystów jak: Rafael, Benvenuto Cellini i t. d.

— U poźłotnika Krachwitza na Szlázku w Frankensteinie jest, jak ogłaszają gazety niemieckie, ołtarz roboty Wita Stwosza do sprzedania.

— Artur Wołyński znany autor monografii „Kopernik w Italii“ za ostatnie swoje dzieło o Galileuszu, otrzymał od króla włoskiego spinkę brylantową z jego cyfrą.

— „Gazeta Górnio-Szlázka“ zaczęła wychodzić w Bytomiu pod redakcją księdza Przynicznyńskiego: wychodzi raz na tydzień.

— A. Kuhn w dalszym ciągu badań swoich nad mętami i mową pierwotną ludów indoeuropejskich, ogłosił rozprawę p. t. *Ueber Entwicklungsstufen der Mythenbildung* (F. Dümler, 1874), wyjętą z „Rozpraw kr. akademii naukowej w Berlinie.“ Pod krytycznym jego skalpelem fantastyczne obrazy ksiąg świętych indyjskiej i uroczę bajania mitologii greckiej przeistaczają się w naiwne rozumowanie prostaczego umysłu o wschodzie lub zachodzie słońca, o walce ciemności ze światłem, dnia z nocą. Tak np. znany powszechnie męt o złotém runie, które miał odebrać Jazon, wódz Argonautów, sprowadzony jest do dwu pojęć zasadniczych: ukrycie słońca w cieniach nocy i ukazanie się tegoż w porannej jutrzence. Przekładając mowę obrazową ludzi pierwotnych na dzisiejszy język pojęciowy, ścisły, Kuhn dowodzi, że *baran Helli* oznacza światło, że ucieczka na wschód, zawieszenie runa w dąbrowie pod strażą nigdy nie zasypiającego smoka, oznacza pograżenie światłości w ciemnościach. Ogniste woły Hefesta o żelaznych racicach są to złociste obłoki, zacerwienione od pierwszych promieni wschodzącego słońca. Wybiegające coraz dalej promienie są to kły smoka, z których wyrastają zbrojni mężowie, stający do walki z Jazonem. Ten ich zabija kamieniem: to znaczy, że słońce (kamień) weszło już na widnokręgu i złote runo zostało z wschodniej kolchidy wyzwolone, odebrane. Że takie, a nie inne znaczenie mają w mowie mitologicznej wyrazy: kamień, dąb, smok etc. to autor popiera licznymi argumentami, które świadczą o niepospolitej jego erudycji. W podobny sposób wyjaśniony został ustęp z *Wed* o krowach Paina, zamkniętych w jaskini i o cięglątach Apollina, które Hermes mu zabrał. Na takiej podstawie Kuhn oparł wniosek ogólny, że męty z czasem przekształcają się stosownie do stanu umysłowego ludzi, że każda epoka posiada pewne, właściwe sobie cechy mitologii i że bajka czy też opowieść mitologiczna jest częstokroć zlepkiem kilku warstw, w rozmaitym czasie wytworzonych.

— Uczony fiński p. *Krohn* ogłosił w X t. czasopisma *Suomi* (1872) ważne swe spostrzeżenia nad dyalektami języka fińskiego, a inny uczony, p. *Donner* wydaje po niemiecku *Słownik porównawczy*

języków *fińsko-ugryjskich*. Niezależnie od tego wydawnictwa p. *Budenz* w Peszcie wydaje *Porównawczy słownik magyarsko-ugryjski* (Magyar-Ugor összehasonlító szótár). Zbadanie języków fińsko-uralskich i turańskich staje się obecnie ważnym nie tylko dla filologów, ale i dla historyków, gdy odczytywanie napisów klinowych Assyrii i Babilonu wykazało, że rasy fińska i turańska stanowiły jeszcze przed wyjściem Abrahama najdawniejszą ludność Mezopotamii i Medyi, że one to wynalazły pismo klinowe czyli ćwieczkowe, że język turański był aż do najpóźniejszych czasów mową kapłanów chaldejskich.

— Dla historyka i dla filologa potrzebną jest znajomość rozmaitych rodzajów pisma, jakie były używane w rozmaitych czasach u rozmaitych ludów i wprawa w odczytywaniu starych kronik, dokumentów, rękopisów etc. Atoli nabycie takiej znajomości i wprawy jest rzeczą niełatwą, ponieważ oryginały przechowują się w ukryciu po bibliotekach i archiwach, podobizny zaś były wydawane dotychczas w niewielkiej liczbie i po wysokich cenach. Tak np. u nas cenny zbiór podobizn kilkudziesięciu dokumentów, ułożony przez Stronczyńskiego stanowi rzadkość bibliograficzną. Dla zaradzenia tej potrzebie zawiązało się w Londynie *Towarzystwo Paleograficzne*, pod przewodnictwem E. A. Bond, kustosa rękopisów w Muzeum Brytańskim i E. M. Thompsen'a który jest sekretarzem Towarzystwa. Za pomocą autotypii Towarzystwo to wydaje corocznie po 25 do 30 wybornych facsimilów, a zbiór taki kosztuje 1 gwineę. W roku zeszłym wyszła część I zbioru p. t. *The Paleographical Society. Facsimiles of ancient manuscripts Part I* Edited by E. M. Thompsen 1873 Printed by Whittingham and Wilkins. Znajduje się tu pomiędzy innemi: prośba Ptolemeusza, syna Glaucyusza z r. 152 przed Chr. po grecku, papirus łaćniński z roku 572 po Chr. i kilka rękopisów anglo-saxońskich.

— Misyonarz *Faber* miał w 1872 r. w Hong-Kong odczyt o nauce Konfucjusza, z przedstawieniem treści trzech głównych dzieł chińskiego mędrca i przytoczeniem wielu tekstów w dosłownym tłumaczeniu. Odczyt ten wyszedł teraz w Lipsku u Th. Thomas'a p. t. *Ernst Faber's Lehrbegriff des Konfuzius*.

— *Historja Włoch* aż do czasów najnowszych przez H. *Reuchlin'a*, (Geschichte Italiens, Leipzig, Hirzel). Tom. IV i ostatni wyszedł już po śmierci autora, który prowadził swą pracę z wielkiem zamiłowaniem przedmiotu przez lat 20. Opowieść jego sięga aż do r. 1870. W części ostatniej najwięcej staranności poświęcono działalności *Cavour'a* i dziełu zjednoczenia Włoch. Tu autor posługiwał się nie tylko materiałem piśmiennym, ale i wrażeniami czerpanymi ze stosunków osobistych z osobami, które zajmowały wydatne w społeczeństwie stanowiska. Sąd o wypadkach i ludziach nacechowany zwykle spokojem obiektywnym.

— Dr. *S. Isaacsohn* zaczął ogłaszać drukiem *Historja biurokracyi pruskiej*, od początku XV w. aż do naszych czasów (Geschichte des preussischen Beamtenthums. Berlin, Puttkamer 1874). Wyszedł t. I,

sięgający od 1415 do założenia Tajnej rady stanu w 1604 r. Tom II zawierać będzie epokę 1604—1723; tom III sięgnie do początków XIX w., więc obejmie ważne pod względem organizacyjnym panowanie Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka II Wielkiego; reformy dokonane po rewolucji francuskiej będą stanowiły treść tomu IV. Biurokracja w Prusach była ważnym czynnikiem wzrostu państwa, a przez nieubłąganą ścisłość i sumiennosc w wykonywaniu obowiązków urzędu stała się obecnie najbardziej wykończonym i udoskonalonym typem wśród korporacji urzędniczych Europy. Autor pisze dzieje jej wzrostu na podstawie dokumentów źródłowych z wielką starannością, ale nie przekracza nigdy bezpośrednich granic tematu i polityczną historją kraju pomija.

— Z pomiędzy ukazujących się od czasu do czasu monografi historycznych odznaczają się zaletami wyższego talentu dziejopisarckiego praca *Karola von Noorden* o wojnie za następstwo tronu hiszpańskiego w 2 tomach, stanowiąca ustęp z dziejów Europy XVIII wieku: *Europäische Geschichte im 18 Jahrhundert. 1 Abth. Der spanische Erbfolgekrieg.* (Düsseldorf Buddens 1874). Wiele materyałów, przedtem nieznanych, znalazł autor w archiwach wiedeńskich.

— Docent Uniwersytetu berlińskiego Dr. *Hans Prutz* ukończył pracowite trzytomowe dzieło o Fryderyku Rudobrodym p. t. *Kaiser Friederich I.* Danzig, Kafemann 1874. Wykład jest jasny i żywy; pomiędzy zużytkowanemi tu materyałami znajduje się kilka nieznanych dawniej dokumentów.

— Kapitan *Sullivan* z pięcioletniej służby swojej w eskadrze krążącej wzdłuż wschodniego brzegu Afryki zebrał liczne dowody istnienia handlu niewolnikami i ogłosił dokładny opis tego handlu p. t. *Dhow Chasing in Zanzibar waters and on the Eastern coast of Africa narrative of five years experience in the suppression of the slave trade.* London Sampson Low. 1873. Murzyni, chwytni podstępnie lub kupowani od rodziców dostają się jako niewolnicy do posiadłości sultanów Maskatu lub Zanzibaru, a ztamtąd mużulmańscy kupcy lub portugalscy handlarze wiozą ich do Azji, niby jako wolnych najemników (*libres engagés*). Żeby sobie wynagrodzić ryzyko, jakie im zawsze zagraża przy spotkaniu się z okrętem wojennym, handlarze zabierają małe zapasy żywności i wody i zapełniają magazyny Murzynami. To też karmią ich o tyle tylko, o ile to jest niezbędnem dla utrzymania czarnego towaru przy życiu. Dołączone do dzieła fotografie niesłychanie wychudzonych biedaków uprzytomniają czytelnikowi całą grozę tego nieludzkiego handlarstwa. Z cyfr pobieranego za głowę murzyńską podatku pokazuje się, że do Zanzibaru wprowadzają corocznie mniej więcej około 40,000 niewolników, a droga od jeziora Nyassa do brzegu jest zawsze pokryta mnóstwem trupów i kości zamęczonych w podróży Murzynów. Zkądinąd wiemy znów, że angielscy plantatorowie na wyspach Fidii sprowadzają sobie niewolników z wysp Australii, że niemieccy handlarze przewożą mnóstwo Chińczyków (kulisów) do

Ameryki. Tak więc pomimo sześćdziesięcioletnich wysiłków, narody cywilizowane Europy nie zdołały dotychczas jeszcze wytepić ohydneho frymarku ludźmi.

— Jul. Richter napisał znowu trzecią z kolei komedye, której treść jest wzięta z naszych społecznych stosunków, greckimi rymowanymi wierszami. Bohaterami są tak zwani *Gründer'owie* t. j. założyciele towarzystw akcyjnych, przemysłowych i budowlanych, wyzyskiwacze łatwowiernej publiczności, gromadzący szybko kolosalne fortuny kosztem oszukanych akcyonaryuszów. Przygody rodziny gründer'skiej i romans córki bankiera z uczonym ukazuje się tu w greckiej szacie, z greckimi imionami (Chryzalopec, Chryson, Filostratos, Sofonetos etc.). Taka tranwestacya powiększa się komizmu, jeśli czytelnik jest mocny w języku greckim; wszakże nawet uczeni ziomkowie autora proszą go żeby pomysły swoje zechciał wyrażać raczej w mowie niemieckiej.

† Dnia 1 maja r. b. w Warszawie umarł *Juljan Statkowski*, znany z wielu prac na polu literatury krajowej. Urodzony w r. 1814 w gubernii Wileńskiej, przeniósłszy się do Królestwa, od r. 1868 stale osiadłszy w Warszawie, jako emeryt, rozwinął czynną działalność na polu ekonomiczném. Jużto jako współzałożyciel dwóch stowarzyszeń spożywczych: „Merkurego“ w Warszawie i „Oszczędności“ w Radomiu, już jako autor kilku broszur i współpracownik *Ekonomisty, Przyrody i przemysłu*. Pisał o kassach pożyczkowych, zarobkach kobiecych i tym podobnych przedmiotach ekonomicznych. Ostatnią jego działalnością w obywatelskiej myśli, było wypracowanie projektu „Lombardu prywatnego w Warszawie,” którego ustawa zyskała już zatwierdzenie władzy, lubo sama instytucya z powodu braku kapitałów, w użycie wprowadzoną nie została. Oddzielnie wydał dziełko: „*Pierwsze zasady ekonomii społecznej*.”

OD REDAKCYI.

— *P. Józefowi Żurakowskiemu w Żuczkowicach.* Zeszyt na maj wysłany został dnia 6 maja, zapewne dotąd musiał go pan otrzymać, jeżeli zaś nie, to należy upomnieć się o to na stacyi pocztowej, i gdyby zatracony został, donieść redakcyi, która upomni się gdzie należy i zeszyt prześle.

— *PP. Miłobędzkiemu w Kole i Przyłubskiemu w Osieku.* Zeszyt za czerwiec wysłany został dnia 10 czerwca r. b. i zapewne dotąd doszedł swego przeznaczenia, w przeciwnym razie należy się upomnieć na stacyi pocztowej, i gdyby uroniony został, donieść bezzwłocznie redakcyi, która się upomni gdzie należy i zeszyt nadeśle.

— *P. Wacławowi Kaczorowskiemu w Grabówce.* Księgarnia pp. Gebethnera i Wolffa summy rs. 3, przesłanych na Metodę Jeskiego nie otrzymała.

— *P. Kalasantemu Kundzicz.* Zeszyt za kwiecień wysłany w początkach tegoż miesiąca; jeżeli więc dotąd nieodebrany, należy się upomnieć na stacyi pocztowej, a gdyby zatracony został, donieść o tém redakcyi.

SPROSTOWANIE.

Na str. 291 w wierszu 7 od góry, zamiast: *korrespondencyi Napoleona III-go*, omyłk należy: *korrespondencyi Napoleona I-go*.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

MUZEUM

ZAKŁADU IMIENIA OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE.

Zakład Imienia Ossolińskich we Lwowie posiada obok biblioteki, muzeum przedmiotów archeologicznych i pamiątkowych, odnoszących się w przeważnej części do dziejów polskich, należące do najbogatszych tego rodzaju zbiorów u nas, tak iż nie ustępuje ani zbiorom Krakowskiej Akademii Umiejętności, ani Poznańskiemu Towarzystwu Naukowemu, a pod niektórymi względami nawet je przewyższa rzadkością i historyczną wartością, znajdujących się w niem przedmiotów.

Już Józef Maksymilian hr. Ossoliński, założyciel Zakładu, powziął zamiar połączenia z nim muzeum historyczno-archeologicznego i w tym celu w umowie z księciem Henrykiem Lubomirskim o połączenie kuratorji Zakładu przezeń utworzonego z ordynacją przeworską, zastrzegł, jako główny warunek umowy—połączenie z Zakładem zbiorów przeworskich.

Układ ten wszakże nie zaraz mógł wejść w życie, z powodu trudności, jakim podległa rzecz ustanowienia ordynacji przeworskiej, która to sprawa wlokła się przez lat kilkadziesiąt, załatwiona ostatecznie dopiero przed laty niespełna dziesięciu. Zakład pozostawał przez ten czas w ręku administracji rządowej, a o przewiezieniu doń zbiorów przeworskich, dopóki kuratora Zakładu nie przeszła w ręce książąt Lubomirskich, oczywiście i mowy być nie mogło.

Początkowo tedy przez długi czas muzeum Zakładu było dosyć ubogie. Składało się ono z niewielkiej liczby przedmiotów, zgromadzonych jeszcze przez ś. p. Ossolińskiego, do czego z każdym rokiem przybywały nowe, pochodzące po większej części z daru od rozmaitych osób, z różnych stron kraju i z zagranicy nadsyłane. Liczba tych przedmiotów była w ogóle tak szczupłą, iż nie miały nawet osobnego pomieszczenia. Najbogatszym działem muzealnym była galerja obrazów, składająca się z wielkiej liczby starych portretów historycznych, godnych uwagi nie dla zalet artystycznych, lecz pod względem archeologiczno-historycznym wielką posiadających wartość.

Konserwatorem był do roku 1859 ś. p. Felicyan Łobeski, malarz z powołania, który przy ówczesnym stanie muzeum, jako taki

odpowiadał swemu stanowisku, zwłaszcza, że Zakład posiada, oprócz wzmiankowanej powyżej galeryi wizerunków historycznych, także galeryą obrazów różnej treści, między którymi znajdują się nowsze, lepszego pędzla znanych artystów dzieła.

Po śmierci Łobeskiego powierzoném zostało uporządkowanie przedmiotów muzealnych, wydzielenie takowych od biblioteki i urządzenie osobnego muzeum kustoszowi zakładu Xaweremu Godebskiemu. Przeznaczono na ten cel salę, gdzie mieściła się przedtém czytelnia, którą obecnie przeniesiono na piętro. Godebski zajął się poruczoném mu zadaniem bardzo gorliwie. Kazał przyozdobić salę przeznaczoną na muzeum stosowném malowaniem, mianowicie sklepienie herbami ziem dawniej Polski. Sporządził inwentarz rycin i numizmatów, objaśnił i ułożył przedmioty muzealne, o ile nie będąc archeologiem ani artystą z powołania, mógł to uczynić.

Właściwy wszakże wzrost i dzisiejszy stan tegoż muzeum, datuje się dopiero od czasu, gdy kuratoryą Zakładu Imienia Ossolińskich objął książę Jerzy Lubomirski, skutkiem czego w myśl aktu fundacyjnego i umowy zawartej z s. p. Ossolińskim, zbiory przeworskie złane zostały z muzeum Zakładu. Znaczną ich część przewieziono za życia księcia do Lwowa, mianowicie zbrojownią i przepyszny zbiór albumów z rycinami, zawierających rzeczy wysoko ceniene. Książę Lubomirski powołał na konserwatora muzeum p. Edwarda Pawłowicza, artystę z powołania i wielkiego znawcę rzeczy archeologicznych, pod którego kierownictwem muzeum umiejętnie uporządkowane, doszło do dzisiejszego swego stanu.

Obecnie zajmuje ono pięć dużych sal w południowém skrzydle gmachu zakładowego na dole. Pan Pawłowicz zadał sobie ogromną pracę, aby w urzędzeniu jego odpowiedzieć wymaganiom naukowego systemu, a zarazem publiczności zwiedzającej muzeum ułatwić przegląd jak najdokładniejszy i uwydatnić rzeczy najgodniejsze uwagi, przy czém na stronę ornamentalną urządzenia należyty wzgląd zachowano. Najwięcej trudności przedstawiało urządzenie zbrojowni. Pan Pawłowicz przedsięwziął z polecenia kuratora umyślną podróż za granicę, ażeby poznać najdokładnie z systematami urządzenia najznakomitszych zbiorów tego rodzaju i zastosować najodpowiedniejszy z nich w uporządkowaniu zbrojowni tutejszej.

Śmierć księcia Jerzego Lubomirskiego, przerwała przewiezienie dalsze przedmiotów muzealnych przeworskich do Lwowa. Lubo na mocy układu fundacyjnego powyżej wspomnianego, wszystkie zbiory przeworskie mają być połączone z Zakładem Imienia Ossolińskich; wolą jednak ostatnią księcia Jerzego było, ażeby rzecz ta dokonała się ostatecznie aż za przyjściem do pełnoletności jego najstarszego syna, ordynata na Przeworsku, przyszłego kuratora Zakł. Im. Ossolińskich. Nim to nastąpi, dyrekeya będzie miała czas ukończyć uporządkowanie, rozklasyfikowanie ostateczne i opisanie wszystkich przedmiotów w muzeum nagromadzonych. Praca to wielka, wymagająca wiele czasu jeszcze. Pan Pawłowicz zajęty jest obecnie spisaniem katalogu

artystyczno-archeologicznego, mającego służyć za wskazówkę przewodniczą dla zwiedzających muzeum. Gdy będzie drukiem ogłoszony, wówczas dopiero poznajomi się dokładniej po raz pierwszy publiczność nasza, jak cenne rzeczy zawiera to muzeum, o którym dotąd w ogóle szersze koła mało co wiedzą, a nawet uczeni i artyści, stosunkowo mało nań dotąd zwracają uwagi i nie oceniają należycie.

Skreśliwszy w ten sposób pokrótce dzieje muzeum Zakładu Imienia Ossolińskich, przystąpmy do pobieżnego przynajmniej przeglądu tego, co się w nim znajduje.

Sala pierwsza.

Wykopaliska. Przedmioty z czasów przedchrześcijańskich.

Są tu z epoki krzemiennąj przedmioty, jako to: kliny, topory i t. p. wykopane w różnych stronach kraju w Bełzkim, z pod Halicza, z za Bugu i Zbrucza. Z epoki bronzowej jest także dosyć liczny zbiór zabytków, pochodzący po największej części z wykopalisk krajowych. Godne uwagi są zwłaszcza rozmaite narzędzia ośmiornicze, tudzież przedmioty do stroju i ozdoby, naczółka, zausznice, naramniki i wiele innych, których dzisiaj nie zawsze łatwo już nawet odgadnąć właściwego przeznaczenia.

Budowa dróg żelaznych, których siecią Galicya w ostatniem dziesięcioleciu się okryła, wzbogaciła muzeum nadsyłaćmi ze wszęch stron wykopaliskami, znachodzonemi przy kopaniu nasypów pod kolój w romaitych kierunkach w różnych okolicach. Przybyło też wiele bardzo ciekawych pod względem archeologicznym przedmiotów wykopanych na górze Wysokiego zamku we Lwowie. Wdzięczność za nie należy głównie p. Antoniemu Szejderowi, zamiłowanemu archeologowi lwowskiemu, autorowi *Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi*, który od czasu rozpoczęcia robót na Wysokim zamku i około nasypów pod kolój na Podzamczu, zwrócił na nie szczególniejszą uwagę w przewidywaniu obfitego, archeologicznego żniwa, któreto przewidywania pomyślnie się sprawdziły. Od lat kilku pan Szejder czuwa nieznużenie nad pomienionemi robotami, jest ich codziennym niemal świadkiem w celu zachowania od zniszczenia na rzecz umiejętności wszystkich znachodzących się tam pod rydlem robotnika zabytków archeologicznych lub historycznych pamiątek. Wszystko to oddaje do muzeum Zakładu, gdzie wykopaliska te znajdują się umieszczone w osobnej szafie, systematycznie uporządkowane, stanowiąc niejako osobną całość pod nazwą zbiorów Szejderowskich. Znajdujące się tu przedmioty, niby zestawione głoski alfabetu archeologicznego w oczach tego, który je umie odczytać, przedstawiają nie jeden ciekawy rys życia i obyczaju przeszłości, dający nam poznać stopień cywilizacyi społeczeństwa rozmaitych czasów. Między innemi są tu szczątki naczyń glinianych z Wysokiego zamku, świadczące, do jak wysokiego stopnia sztuka wypalania gliny u nas niegdyś była udoskonaloną.

Ceramika w ogóle zajmuje znakomite miejsce w tym dziale muzealnym. Świat pogański, Słowiańszczyzna przedchrześcijańska rozciąga się przed nami w bogactwie zabytków swoich. Najpierwsze tu miejsce zajmują wykopaliska poznańskie, będące darem prawdziwie wspaniałym Towarzystwa Naukowego Poznańskiego. Jest ich około sta sztuk, między którymi liczny zbiór popielnic, łzawnice, garnuszki, miseczki i inne naczynia gliniane, rozmaitego kształtu i rozmiaru, znadzione w różnych okolicach W. ks. poznańskiego: jako kilka naczyni popielnic wykopanych na cmentarzysku pod Srodą i Miłosławiem, inne w Dobieszewku pod Gołańczą w powiecie szubińskim przez posła Kantaka w r. 1866; w Manieczkach pod Szremem, opisane w I-ym tomie Roczników Towarzystwa przez A. Białeckiego, w Stopanowie pod Obrzyckiem w powiecie szamotulskim, w Nadziejowie, opisane w VI-ym tomie Roczników; wreszcie w Czystochlebie i Lubaczu.

Płyty mikorzyńskie obie znajdują się tu w odlewie gipsowym: jedna z wizerunkami bożka Prowe i runami, druga z wyobrażeniem konia i runami. Jestto dar byłego Towarzystwa naukowego krakowskiego, podobnie jak odcisk papierowy drzwi katedry gnieźnieńskiej, z płaskorzeźbami przedstawiającymi dzieje żywota św. Wojciecha.

Z rzeczy historyczno-pamiętnikowych znajduje się w tym dziale muzealnym kilka godnych szczególniejszej uwagi, o ile autentyczność ich może być sprawdzoną, jak np. cegła która służyła za kamień węgielny przy zakładaniu kościoła farnego w Lublinie pod wezwaniem św. Michała, przez Leszka Czarnego, tudzież pień wmurowany niegdyś w wielkim ołtarzu tegoż kościoła, na którym to pniu miał zasnąć Leszek Czarny przed bitwą z Jadźwingami i mieć widzenie św. Michała archanioła. Znajduje się też tutaj cegła z Myszéj wieży kruszwickiej i ze Złotéj Bramy w Kijowie, tudzież dachówka z napisem z tamtejszej cerkwi św. Zofii.

Zajmującym przedmiotem porównania dla badacza archeologii słowiańskiej są te wykopaliska Wielkopolskie zestawione z podobnymi wykopaliskami z Galicyi wschodniej, z nad Dniestru i Sanu, pomiędzy którymi odznacza się popielnica gliniana z pokrywą, napełniona kośćmi ludzkiemi, druga z wysoką szyją i dwojgiem uszu, kształtem swym przypominająca naczynia etruskie.

Obok wymienionych powyżej zabytków staro-słowiańskich, znajduje się tu także mały zbiorek starożytności rzymskich, piękne i dobrze zachowane etruski, jako to czasze i amfory, garnuszki i lampki rozmaitego kształtu, rzymskie kagańce z napisami i rzeźbami.

Sala druga i trzecia.

Pamiątki i osobliwości historyczne, rzeźby, obrazy, portrety i ryciny.

Znajdują się tutaj pomieszczone starożytności, pamiątki historyczne i dzieła sztuki pochodzące z rozmaitych epok i krajów. Najwięcej wprawdzie odnosi się do naszych własnych dziejów, są wszakże

między tém także starożytności lub pamiątki historyczne zagraniczne, które wartością swą pamiątkową, artystyczną lub starożytniczą, na umieszczenie tutaj zasługiwały. Rozmaitość ta przedmiotów utrudniła niezmiernie wprowadzenie jakiegoś stale zakreślonego systemu w ich ułożeniu. Są one ułożone grupami według przedmiotów, o ile to się dało przeprowadzić w ten sposób, aby ile możności ułatwić przegląd ogólny.

Wchodzącego uderza najprzód w oczy umieszczona w pośrodku sali chorągiew pamiątkowa uroczystości przeniesienia zwłok Kazimierza Wielkiego przy restauracji grobowca jego na Wawelu. Ozdobą tej sali jest popiersie Adama Mickiewicza, z białego marmuru dłuta Dawida z Angers, tudzież popiersie ostatniego kuratora Zakładu śp. Jerzego Lubomirskiego, którego możnaby słusznie nazwać niekiedy twórcą dzisiejszego muzeum, od czasu to bowiem jego kuratorstwa datuje ono głównie wzrost swój i jemu go zawdzięcza. Po rogach i w zagłębieniach stoją statuy i grupy mitologiczne rozmaitej wielkości; środkiem wzdłuż sal obu ustawiono skrzynie z przedmiotami muzealnymi, pod szkłem. Z tych jedna ozdobiona jest rzędem ustawionych na niej pomniejszych rzeźb, statuetek, popiersi, naczyń, które tu bądź dla swęj artystycznej, bądź pamiątkowej wartości znalazły pomieszczenie. Ściany obu tych sal owieszono są od stropu do dołu portretami osób historycznych, pomiędzy którymi znajduje się także kilka obrazów innej treści, ciekawych pod względem archeologicznym.

Zakład Imie. Ossolińskich, jak nadmieniono powyżej, posiada dosyć liczną galerję obrazów, której część przeważną stanowią portrety historyczne, malowane spólcześnie, nie odznaczające się częstokroć subtelnoscią pędzla, lecz wysoko cenne dla historyka i archeologa, jako przedstawiające ze szczególową dokładnością podobieństwo wielu osób, głośnych w dziejach Rzeczypospolitej. Jestto znakomita galerya wizerunków, gromadzona z wielkiem staraniem z rozmaitych galeryi familijnych, jakiej drugiejj niema dziś podobno w całej Polsce. Rozpoczyna ją niejako poczet królów przekopiowany z kolekcji warszawskiej Bacciarelego w Łazienkach, przez Stachowicza. Przy porządkowaniu galeryi obrazów Zakładu oddzielono tedy obrazy treści rozmaitej odznaczające się głównie wartością artystyczną i te umieszczono w wielkiej sali posiedzeń Zakładu. Portrety zaś historyczne i obrazy historyczno-archeologiczne tworzą osobną galeryę umieszczoną w czytelni i w muzeum. Tutaj mianowicie w muzeum pomieszczone zostały najgodniejsze uwagi i najcenniejsze ze względu swęj historycznej rzadkości lub wartości archeologicznej. W ogóle galerya portretów Zakładu posiada około pięciuset obrazów, z których wiele przedstawia osoby naturalnej wielkości, w strojach współczesnych z insygniami dostojęństw.

W rzędzie umieszczonych w muzeum wizerunków znajduje się kilka starych obrazów, będących osobiwością w swoim rodzaju, którym chwilę dłuższą uwagi poświęcić wypada. Do tych należy obraz nieznanego malarza, przedstawiający ucztę w Jaworowie, wyprawio-

ną przez króla Sobieskiego po powrocie z pod Wiednia. Artyzmu niema w tym obrazie, ale jest wierność archeologiczna w przedstawieniu osób, siedzących przy uczcie w około długiego, wspaniale zastawionego stołu pod pawilonem ogrodowym. Widzimy tu króla, królowę, królewicza Jakóba, nuncjusza, posłów zagranicznych i innych dostojników i damy dworu. U dołu umieszczony spis osób siedzących przy uczcie, z napisem po włosku: *Cena data dal Re di Pologna il giorno di 6-to Luglio in Javorova sotto una loggia in real giardino.*

Drugi w podobnym rodzaju obraz przedstawia elekcję pod Wołą króla Stanisława Augusta. W środku widać szepę elekcyjną, otoczoną wałami i fossą, senat, stan rycerski i posłów; w około szopy zgromadzone województwa konno, każde pod swoją chorągwią. Na lewo z boku karoce senatorskie i cugi paradne czekające na swych panów. Obraz ten podobnie jak poprzedzający ma u dołu napis następujący: *Campus electoralis in quo exhibitur audientia Nuncii Sedis apostolicae in occasione Electionis Serenissimi Stanislai Augusti, Regis Pol. M. D. Lit. etc. A. D. 1764.*

Godny szczególniejszej uwagi jest duży ołtarzowy obraz, z kościoła krośnieńskiego z tłem złoconém, naśladowujący starą szkołę niemiecką, pochodzący z XV wieku. Drugi obraz malowany na drzewie przedstawia świętych Pańskich, z widokiem na Wysoki zamek i część miasta Lwowa. Obraz ten pochodzi podobno z włoskiej cerkwi w Lwowie, przeniesiony ztamtąd podczas ostatniej restauracji przed laty dwudziestu, wraz z wielu innemi malowidłami i rzeźbami, które zakupił ks. Sapieha do Krasiczyna.

Obok portretów i obrazów historyczno-archeologicznych, znajdują się téż tutaj i takie, które dla swój szczególniejszej wartości lub osobliwości artystycznej na wyróżnienie i pomieszczenie w muzeum zasługiwały, jak np. maleńki obrazek Breughela zwanego *de velours*, przedstawiający krajobraz fantastyczny z figurami mitologicznymi, obrazki szkoły holenderskiej, jak chłopci Ditriciego i inne; tyczy to się zwłaszcza rysunków ręcznych. Z nadzwyczaj bogatego zbioru rycin i rysunków mamy tu wyjęty z tek i wystawiony wybór najznakomitszy, aby zwiedzającym muzeum dać ogólny przynajmniej przegląd najważniejszych rzeczy będących w posiadaniu Zakładu. Widzimy tu oryginalne szkice i kartony najznakomitszych mistrzów włoskich, francuzkich, angielskich, holenderskich i flamandzkich, jako to: kartony Pawła Veronese, a nawet samego Rafaela jest wdzięcznie naszkicowany: aniołek z pochodnią. Z dzieł artystów naszych są tu przesłiczne charakterystyczne szkice Orłowskiego, Michałowskiego, Antoniego Zaleskiego widok bitwy, Norblina rysunek z r. 1788 zdjęty z natury, przedstawiający ślizgawkę przy pochodniach na Wiśle w Warszawie; akwarele Kossaka z początków jego zawodu artystycznego, wykonane w r. 1846, tudzież szkice Tepy z jego podróży do Syrii, przedstawiające widoki tamtych okolic, grupę Arabów na cmentarzu w Bejrucie i t. d.

Przedmiotów ściśle archeologicznych jest stosunkowo do ich liczby, taka rozmaitość z różnych epok i krajów, iż jak się powyżej powiedziało, trudność w uporządkowaniu najbardziej tutaj uczuć się dała. Jakoż czyniąc przegląd szaf niemi zapełnionych, nie można dopatrzyć wiele systemu w ich ułożeniu, bo go zachować nie było podobieństwem. Dostyć rzucić pobieżnie okiem na te pomieszane tu razem pamiątki historyczne, zabytki starożytnicze i przedmioty artystyczne, aby się o tém w pierwszej chwili przekonać. Obok buławy, buzdyganu i szczątków zbroi, pochodzących z wyprawy wiedeńskiej Sobieskiego, znajdujemy zgromadzony zbiór orderów i odznak wojskowych pamiątkowych, aż do najnowszych czasów; pamiątki osób historycznych, puławy, krzyże, ryngrofy, szczątki z trumien i odzieży, odlów gipsowy ręki Niemcewicza z jego ołówkiem i kartą z pugilaresa, w którym zwykł był czynić notaty i drewniana tablica Szajnochy, na której ociemniały pisywał trzymając się kierunku układanych na niej ruchomych linijek. Dalej mamy tu grupę miniatur przedstawiających skład rządu Rzeczypospolitej francuzkiej z r. 1848, medaliony i rzeźby, pomiędzy którymi godne uwagi artystycznej antyki, brzozy i naczynia rzymskie i greckie, tudzież dzieła nowszej sztuki, piękna kamea na karnioli rzeźbiona z popiersiem Rafaela, obok pięćdziesięciu sztuk kameów naśladowanych z wzorów starożytnych.

Sprzęty téj sali są pamiątkowe. Krzesło księdza Skargi skórą obite, poręczowe krzesło króla Sobieskiego, stół mozaikowy ułożony z różnokolorowych marmurów krajowych, przedstawiający Feniksa z popiołów się odradzającego. Tu także znajduje się zbiór lasek pamiątkowych, gdzie obok grubej cedrowej laski Jana III, lekkiej jak pióro, znalazła się w niespodziewaném sąsiedztwie fantastycznym rysunkiem i napisami zdobna laska z portretem skrzypka Paganiniego i t. p. Jest téż i zbiór pierścieni pamiątkowych, więcej od lasek zajmujący dla artysty, heraldyka i archeologa; wreszcie jedyny w swoim rodzaju zbiór tabakierek. Jest ich przeszło sto najrozmaitszych kształtów, znamionujących modę, smak i kaprys artystyczny w tworzeniu wyrobów tego rodzaju, będących niegdyś jednym z niezbędnych przedmiotów elegancyi i tonu.

Pomieszczone w sali trzeciej przedmioty dały się ująć w bardziej jednolity porządek. Nad każdą skrzynką umieszczone napisy oznaczają rodzaj zawartych w niej przedmiotów. Przejrzyjmy je po kolei.

W pierwszej pod napisem *Rozmaitości* zawarte są przedmioty, niedające się do żadnej większej przyłączyć grupy; luźne, pochodzące z różnych czasów i krajów; i tak: obok klepsydry i starożytnego kompasu jest fajka tatarska i żelazne pęto, którym Tatarzy przytracali jeńców w jassy gnanych; są listy pocztą balonową podczas ostatniej wojny prusko-francuzkiej z Paryża do Lwowa adresowane; jest sześciogroszówka Jana III i talia kart maryaszowych z malowidłami historycznymi i kubek szklany wykopany na rynku lwowskim obok szkieletu rajtara swedzkiego z napisem: *Vivat anno 1693*.

Następują zabytki staropogańskie. Rozmaite posążki i bożyszcza, między którymi szczególniejszą uwagę zwraca posążek kształtu z amalgamatu, wykopany w Łopatynie w Galicyi. Dziwaczne kształty posążków znamionują ich pochodzenie. Są tu bożyszcza indyjskie, chińskie i staro-egipskie, pomiędzy którymi kot brązowy, przypominający sztywnością kształtów swoich rzeźby sfinksów i rysunki hieroglifów. Wiadomo w jakiej czci były koty u starożytnych Egipcyan, o czym mogłaby poświadczyć także znajdująca się w muzeum dobrze zakonserwowana mumia kota, wyjęta z egipskiego sarkofagu. Są téż tu monety japońskie, medalion owalny z kości słoniowej z napisem arabskim, znalezione na przedmieściu Janowskiem we Lwowie i t. p.

Obok pogańskich w następnej skrzyni znajdują się pomieszczone przedmioty kościelne słowiańskie, starożytne kielichy, patyny, krzyże, malowidła i inne religijne zabytki starożytnicze, jak puszka na oleje święte z wyobrażeniem św. Jerzego, obraz ołtarzykowy malowany na desce cyprysowej w sześciu srebrem wykładanych przegródkach i t. p.

Następna szafka zawiera zbiór płyt miedziorytniczych, pomiędzy którymi są Wohlgemutha, którego uczniem był Dürer. Po większej części znajdujące się tu miedzioryty odnoszą się do zdarzeń i osób dziejowych polskich. Dalej mamy zbiór kart pogrzebowych zmarłych za granicą Polaków. Podają one statystyczny materiał do dziejów ostatnich lat czterdziestu. Obok cała jedna szafka poświęcona pamiętkom wydobyłym z odnalezionego przypadkowo w r. 1862 grobu królewiczów Jakóba i Konstantina Sobieskich, w farze Żółkiewskiej przy przeniesieniu ich zwłok do nowych trumien.

Z bogatego zbioru autografów, które Zakład Imienia Ossolińskich posiada, są tu pod szkłem umieszczone najrzadsze i najciekawsze w trzech oddziałach. Pierwszy zawiera autografy królów polskich, począwszy od własnoręcznego listu Zygmunta Augusta; w drugim oddziale pomieszczone są autografy hetmanów; list księcia Konstantego Ostrońskiego, datowany r. 1600 do Sebastjana Lubomirskiego; własnoręczne listy Karola Chodkiewicza, Potockiego Rewery, Mazepy i in. Następna szafka zawiera autografy innych znakomitych Polaków, uczonych, wojskowych i t. d. Czwarta nakoniec szafka mieści autografy znakomitości obcych, między którymi kilka cesarza Napoleona I, własnoręczny list Maryi Antoniny i wielu innych.

Rzadkości bibliograficzne, stare i osobliwe druki idą po autografach. Znajduje się tutaj to, co pod tym względem najcenniejszego Zakład posiada; a pomiędzy innemi przepyszne wydanie szarospatockiej *Biblii królowej Zofii*, dokonane nakładem ś. p. Jerzego Lubomirskiego na pamiętkę objęcia przez niego kuratorji Zakładu Imienia Ossolińskich. Zwraca téż uwagę swą osobliwością kalendarz arabski, będący niegdyś własnością Wacława Rzewuskiego. Obok druków poważne miejsce zajmują rękopisy. Umieszczono tu najstarsze i najosobliwsze z rękopisów Zakładu, mianowicie: *Mszał z wieku XIII*, dar uczonego Mikołaja Malinowskiego ślicznie zachowany. Drugi także z w. XIII

równie dobrze zachowany: *Exameron beati Ambrosii episcopi et confessoris*. Książkę do nabożeństwa francuzką z w. XIV z kalendarzem łacińskim. Rękopis arabski z wieku XV zawierający modlitwy i zdania z Alkoranu, znaleziony w namiocie Kara Mustafy pod Wiedniem. Niemniej cenny jest zbiór sfragistyczny, zajmujący dwie szafy ostatnie. Trzymając się zasady przyjętej przy autografach, drukach, rękopisach i rycinach, umieszczono pod szkłem najstarsze i najcenniejsze egzemplarze zbioru Zakładowego. W pierwszym oddziale znajdują się odciski pieczęci na białym i czerwonym wosku rozmaitej wielkości, od starych przywilejów i dyplomatów; z tych niektóre z bardzo odległych pochodzą czasów, sięgając najstarszych nadań. Druga szafka zawiera zbiór pieczęci kanclerskich, biskupich, rozmaitych urzędów i stowarzyszeń. Zbiór sfragistyczny Zakładu dostarcza obfitego materiału do studyów heraldycznych i historyczno-archeologicznych. Dr. Piekosiński dostarczył do niego 700 sztuk odlewów galwanoplastycznych zebranych przez siebie starożytnych pieczęci. Najstarsze sięgają XII wieku.

Niezmiernie bogaty jest zbiór rycin. Już przed wcieleniem do muzeum zbiorów przeworskich był on wysoko ceniony przez znawców, słusznie podziwiających jego obfitość i wartość. Można by nim nie jedną szkołę sztuk pięknych dostatecznie zaopatrzyć. Wartość jego podniosła się jeszcze o wiele przybytkiem rycin przeworskich. Przybyło pomiędzy innymi około dwieście przepysznych albumów, zawierających całe kolekcje różnych galeryi, jako to: drezdeńskiej, florenckiej, belwederskiej, paryzkiej, Luwru, tudzież wiele innych dzieł sztuki i ilustracyi najznakomitszych mistrzów.

Ryciny uporządkowane są według rodzaju przedmiotów, w dziewięciu działach, mianowicie: galerye i kolekcje, ryciny treści historycznej, krajobrazy, architektura, archeologia, ilustracje, arcydzieła rzeźby i malarstwa wszelkich szkół i epok wykonane przez najpierwszych rytowników. Wizerunki królów i znakomitych osób, naszych i obcych, bitwy, sceny historyczne, obrzędy religijne, widoki gmachów, miast, twierdz, krajobrazy, groby, sarkofagi, arcydzieła klasyczne mistrzów starożytnych, i co najświetniejszego przyniosła epoka odrodzenia, wszystko to zgromadzone tutaj przedstawia obraz dziejów sztuki uwydatniony w najznakomitszych dziełach.

Ażeby dać wyobrażenie wartości i obfitości zgromadzonych tu artystycznych skarbów, wymienimy przynajmniej znakomitszych mistrzów, których dzieła się tu znajdują, jako to:

Szkoły włoskiej: Leonardo da Vinci, Rosso, Franzesco Brizzio, Tomasso Bartolozzi, Cunego, Giacomo Leonardi, Stephano de la Bella, Canaletto, Amomo, Raphael Morghen.

Szkoła niemiecka: Albrecht Dürer, Schöngauer, Wille, Haid, Schmidt.

Szkoła holenderska i flamandzka: Rembrandt, Ruisdael, Paul Pontius, Voowerman, Hondius i t. d.

Szkola francuzka: Leclerc, Geoffroi, Tory, Thommassin, Tardieu, Boucher, Denoyers, Van Shuppen, Ravenet, Picard, Robert Nanteuil, Pierre Lombard, Levasseur, Valentin Lefevre, Franz Hagenberg, Gerard, Edeling, Gilles Demarteau, Callot Bourdon, Bosse.

Szkola angielska: James Ward, Turner, John Payne, Green, i wielu innych.

Dział rytownictwa polskiego jest najbogatszy i najdokładniejszy. Podobnie jak w ogóle w bibliotece i wszystkich zbiorach Zakładu, tak i tutaj przeważnego względu doznawały rzeczy rodzinne odnoszące się do naszych dziejów i literatury. W tekach tutejszych znajduje się wszystko, cokolwiek znakomitszego pojawiło się w dziedzinie rytownictwa u nas, począwszy od najdawniejszych do najnowszych czasów, a między tém są arcydzieła i rzadkości artystyczne, że tu jednego tylko Falka, na przykład wymieniamy.

Z pobieżnego powyższego przeglądu można powziąć wyobrażenie, jak bogate pole studyów artystycznych mają tutaj malarze, rzeźbiarze, rytownicy, architekci, technicy, archeologowie. Zbiór ten wymagałby jednak innego systematyczniejszego uporządkowania, czém się właśnie dyrektor muzeum p. Pawłowicz zająć zamierza, lubo przy wielkiej obfitości materiału jestto olbrzymia, długiego czasu wymagająca praca, i niepomiernego przytém znawstwa. Obecnie ryciny zakładu, ułożone są w tekach wedle treści przedmiotów, w porządku inwentarskim, w jakim do zbioru przybywały. Tak tedy artystycznego, umiejętnego przeglądu mieć nie można. Dzieła tych samych mistrzów, rozrzucone są po różnych tekach, gdzie je z trudnością wynaleźć przychodzi. Potrzeba koniecznie uporządkować je chronologicznie według szkół właściwych, a wówczas dopiero przedstawiają łatwo dający się obraz historycznego rozwoju sztuki i utoruje się droga chcącym czynić poszukiwania artystyczno-naukowe.

Sala ozwarta.

Zbrojownia.

Bogata w broń kosztowną, rzadką i pamiątkową, ugrupowana ozdobnie i systematycznie wedle rodzaju broni. Ściany okryte armaturami, z których każda złożona z innego gatunku broni. Trzy posągowe popiersia rycerskich królów: Władystawa Jagiełły, Batorego i Jana III-go stosownie tu umieszczono. W około rozpięte koszule druciane, kołczugi, zbroje hussarskie, misiurki, pancerze, hełmy turniejowe. W środku sali zatknięte halabardy z buńczukami, dziury perskie zwirowane złotem, przybocznej gwardyi szacha. Broń pamiątkowa, szczególniejszej wartości, umieszczona jest w szafach za szkłem. Na pierwszej ścianie w górze, wpada najprzód w oczy ułożony z broni rozmaitej herb miasta Lwowa, przeniesiony z dawnego arsenału miejskiego, wyobrażający bramę o trzech wieżycach z lwem w pośrodku wrót. Pierwsza armatura ułożona z karabeli, między którymi są nie-

które bardzo kosztowne i pamiątkowe. Dalej idą rzędy tureckie, siodła, czapraki i t. p. Grupa trzecia ułożona z szabli żołnierskich, pomiędzy którymi prześliczne Batorówki z napisami kutemi na brzeszczotach. Czwarta armatura składa się z samych Augustówek, odznaczających się doskonałością stali i pięknością wyrobu. Dalej piękną grupę przedstawia broń wschodnia: rozmaitego kształtu i wielkości kindzały, jatagany, szaszki czerkieskie, broń tatarska, sajdaki ze strzałami, łuki rozmaitego kształtu, janczarki, szable japońskie, perskie z pięknym zwirowaniem, także broń wschodnia nowszego wyrobu. Ostatnie dwie armatury ułożone są z broni myśliwskiej i narzędzi górniczych. Mamy tu broń i przybory z różnych pochodzące czasów, rogi, prochownice, kordelasy i tym podobny ryszunek myśliwski. Po między insygniami górniczymi zwraca uwagę topór górniczy ceremonialny szczerozłoty, z długą rękojeścią z kości słoniowej, okrytą rzeźbami, odnoszącymi się do górnictwa. Na toporze jest napis niemiecki, świadczący o jego pochodzeniu z czasów saskich, i rzeźba wyobrażająca wydobywanie i przetapianie kruszców. Są inne jeszcze tego rodzaju topory, mniej kosztowne, z lat 1675 i 1678 z rękojeściami z kości, na których w około rzeźbione wizerunki świętych i patronów górnictwa.

Dołem w około ustawiona broń palna, przedstawia obraz rozwoju rusznikarstwa, od najdawniejszego niemowlęctwa, do najwykwintniejszych wyrobów sztuki udoskonalonej. Mamy tu wielką różnorodność strzelb francuzkich, hiszpańskich, warszawskich, angielskich, wschodnich, prześlicznie zwirowanych i rozmaicie wykładanych kością, srebrem, perłową macią; samopały lontowe, strzelby i pistolety z zamkami kołowemi, krzemionki i odyłcówki stariej daty, hakownice wałowe z XVI, XVII i XVIII wieku, garłacze angielskie, śmigownice przenośne, śpiżowe; wreszcie czternaście dawnych miejskich śmigownic pamiątkowych, będących niegdyś własnością lwowskiej milicyi miejskiej.

Z broni pamiątkowej umieszczonej pod szkłem, na szczególniejszą zasługują uwagę:

Szabla Władysława Jagiełły z roku 1413, Zygmunta I z roku 1526 i Władysława IV.

Trzy te zabytki królewskie osobną zajmują szafę.

Karabela z roku 1406, na której Imię Jezus J. M. J. a wzdłuż brzeszczotu pięknie wykuty napis po łacinie: *Adeste mihi nunc et in hora mortis meae. Amen. In tuo nomine dulcissime Jesu.*

Szabla z roku 1540 z wizerunkiem ś. Jana Nepomucena z napisem:

Obrońco sławy ludzkiej tyś patronie święty!
Broń honoru mego, by mi nie był wzięty!

Na innej pochodzącej z czasów Batorego, czytamy wzdłuż brzeszczotu pięknie wykuty napis, podobnie wierszowany:

Gdy mię jaka ściśnie trwoga,
Daj ratunek Matko Boga!

W ogóle napisy na zbrojach i broni, często wierszowane, w których lubowano się wielce w pewnych epokach, tworzą osobną literaturę, do której ciekawego materiału może dostarczyć zbrojownia tujsza.

Miecz regimentarski, oznaka dostojności i władzy regimentarskiej, ostatniego regimentarza Łętowskiego, długi, w pochwie metalowej złożonej, wysadzanej suto turkusami i rubinami.

Tasak myśliwski księcia Karola Radziwiłła.

W pośród broni umieszczono tu buławę hetmańską stalową, nabijaną złotem, pięknego wyrobu z wieku XVI i buzdycan równie pięknej roboty z XVII wieku. Znajduje się tu także godło dożów weneckich: szeroki nóż w kształcie wiosła z rękojeścią bursztynową.

W osobnej skrzyni zrzucone sztylety z różnych epok, najrozmaitszego wyrobu, włoskie, hiszpańskie, wschodnie; niektóre z nich bardzo kosztowne, są osobliwościami sztuki płatnerskiej.

Do uzupełnienia całości służy zbiór kul i rozmaitego rodzaju pocisków, wykopanych bądź na Wysokim Zamku we Lwowie, bądź w innych stronach kraju i szczątki broni połamanéj tegoż samego pochodzenia.

Jedna tylko zbrojownia w Podhorcach bogactwem ryszunków i broni starożytnéj może się równać ze zbrojownią Zakładu Imienia Ossolińskich.

Sala piąta.

Gabinet numizmatyczny.

Gabinet numizmatyczny zawiera w pięciu szafach kilkadziesiąt tysięcy sztuk monet, których rozklasyfikowanie i uporządkowanie nie ze wszystkiém dotąd ukończone. Pod szkłem wystawione są najosobliwsze medale i monety. W pierwszej skrzyni bite na cześć królów, między temi najstarszy duży złoty Zygmunta I. Druga zawiera medale na cześć uczonych i innych znakomitych mężów, trzecia na pamiątkę różnych zdarzeń historycznych.

* * *

Na zakończenie pozostaje nam jeszcze to tylko dodać, że muzeum Zakładu Imienia Ossolińskich wzrasta nieprzestannie za troskliwém staraniem kuratoryi, pod umiejętną i gorliwą opieką dzisiejszego dyrektora p. Pawłowicza. Niemal z dniem każdym przybywa coś szacownego do zbiorów dawniejszych, tak, iż pomieszczenie okazuje się już zanadto szczupłe; zaczęła kuratorya przeznaczyla jeszcze trzy inne sale w tém samym skrzydle gmachu zakładowego, dla roz-

szerzenia muzeum od nowego roku. Wówczas dopiero będzie ono stale uporządkowaném i równocześnie zostaną ogłoszone drukiem katalogi, zastosowane do nowego uporządkowania. Nim to nastąpi, po-bieżny przegląd niniejszy niech posłuży, aby dać wyobrażenie nauko-wój wartości tego muzeum, zawierającego obfity zasób naukowych i artystycznych materyałów i szacownych pamiątek.

W. Zawadzki.

BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

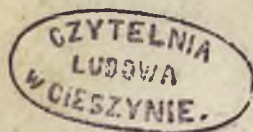
J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

(Ciąg dalszy).

I.

W mieszkaniu Sułkowskiego, pod wieczór wiosennego dnia siedzieli naprzeciw siebie dwaj wszechwładni ministrowie w długim milczeniu, jak gdyby obadwa zbadać się pragnęli a nie mogli. Od kwadransa już prawie Sułkowski ze swą pańską dumą, przechadzał się po salonie, stając niekiedy w oknach i patrząc w ogród. Przez otwarte jedno z nich, słyhać było śpiew wesoły kosów i szczygłów. Zdaleka dolatywał odgłos wozów i karet, toczących się po bruku.



Twarze dwóch współzawodników napozór nie wiele się różniące charakterem, przedstawiały nadzwyczaj wybitną sprzeczną dla bacznego spostrzegacza. Ktoby był się przypatrzył Brühlowi, gdy ten sądził, iż go nikt nie widzi, dostrzegłby pod jego uśmiechem, prawie dobrodusznym i pełnym uprzejmości, chłodną przewrotność, której głębiny przerazić mogły. W oczach jego błyszczała żywa pojętność, spryt ten światowego człowieka, który nie potrzebuje nic się uczyć, a zgaduje wszystko i rozumie; który jasnowidzeniem sprężyny ruchów społecznych przenika i nie zawaha się nigdy żadnej z nich pochwycić, gdy bezpiecznie może, a dla własnej tego potrzebuje korzyści.

Sułkowski był w dumę wbitym podpankiem, który urosłszy na pana, sądził się tak bezpiecznym na wysokim swym stanowisku, iż mniemał, jakoby mu wszystko już było wolno. Z pewnym lekceważeniem za rodzaj *malum necessarium*, uważał Brühla i z góry nań spoglądał z tą wyższością pewną siebie, która najbliższego nawet nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nie zbywało mu na myślach, lecz leniwo one krążyły w głowie, która bardzo się silić nie widziała potrzeby.

Patrząc na nich, można było i odgadnąć walkę nierówną i lękać się o jej wypadek łatwo przewidziany. Nigdy piękniejsza i miłsza twarz, więcej chytrości i fałszu nie kryła pod swą maską. Brühl wszakże, gdy wiedział że nań patrzano, przybierał tak niemal łatwowierną, naiwną, dziecinną fizyognomią, że się zdawał zupełnie niewinnym stworzeniem.

Dwaj tacy ludzie, postawieni przy sobie i zmuszeni do współzawodnictwa, nie mogli długo wytrwać bez walki. Tu jej wcale jeszcze nie było, owszem najczulsza zawsze panowała przyjaźń. Instynkt czasem jakiś sprawiał, że Sułkowski czuł, domyślał się w Brühlu antagonisty, ale się sam śmiał z tego. Brühl doskonale wiedział, że do panowania absolutnego nad królem nie dojdzie, nie obaliwszy Sułkowskiego. Sam on poniekąd dawał oręż przeciwko sobie. Jakkolwiek umiejący dyssymulować i czekać, Sułkowski się czasem z tém wydawał, że mu panowanie duchownych i jezuitów na dworze ciążyło, że przewaga królowej mu zawadzała.

Nie zwierzał się z tego Brühlowi, ale nie ukrywał przed nim tak dalece, aby się nie dał odgadnąć. Gdy Brühl z O.

Guarinim był w najściślejszych stosunkach, Sułkowski nigdy go z sobą do poufałości nie dopuścił. Dla królowej był z najgłębszym szacunkiem, nie uchybił jój pewnie, ale ani się bardzo nabijał do łask, ani nadskakiwał jój otoczeniu, ani dosyć służył. Czasami wrywało mu się jakie słówko o tém, że za Augusta II dogodniej było z faworytami, niż teraz z jedną i to tak surową królewiczową.

O. Guarini, wiedząc jak był w łaskach u króla, kłaniał mu się, lecz zdaleka.

Sam na sam z Brühlem tak swobodnie, jak dziś, spotykali się rzadko; jeden z nich prawie zawsze przy panu być musiał na służbie, aby mu się nie dać nudzić samemu.

Znać wszystko, o czém mówić mieli wyczerpali, gdyż Sułkowski milczał, a Brühl mu nie przerywał, nie odchodził jednak, jakby coś jeszcze na koniec zostawił.

Po dłuższej dosyć przechadzce, hrabia się zwrócił do siedzącego i rzekł cicho:

— Wszystko to niech pozostanie między nami. Dom habsburgski się kończy, saskiego wielkość rozpocząć powinna. Wiem to doskonale, żeśmy się rzekli wszelkich praw do spadku, że sankcyą pragmatyczną przyjmujemy, ale ze śmiercią cesarza, rzeczy dla nas obrót nowy przybrać muszą. Co najmniej powinniśmy wziąć Czechy, a nawet Szlązk, gdzieindziej wynagradzając Prusy. Mówiłem wam, że skreślił w cichości plan cały. Kazałem go napisać Ludovicemu.

— Radbym mieć go i rozważyć—odezwał się Brühl—plan jest genialny i godny was, a dla przyszłości Saxonii najwyższej wagi. Nie potrzebuję mówić nawet, że do spełnienia jego, najszcześniejszym będę, jeśli się zdołam przyczynić. Masz hrabia we mnie gorącego współzawodnika i sługę.

Ale kaźcie téż Ludovicemu ten plan przepisać dla mnie.

— Plan ten podziału Austrii—odparł Sułkowski, któremu pochlebiało uznanie—nie chcę, aby dwa razy przesuwiał się przed oczyma Ludovicego, ale ja go dla was w wolnej chwili, sam własną ręką przepiszę.

Brühl z najmilszym uśmiechem podziękował.

— Uczynisz mi hrabio największą łaskę—rzekł—tak olbrzymi pomysł, zawczasu już powinien być opracowany

i środki wykonania przedsięwzięte. Moznaby zdaleka i ostrożnie wymacać w Berlinie...

— A!—zawołał Sułkowski z uśmiechem—tam, nie ma najmniejszej wątpliwości, z otwartemi przyjmą go rękami: o to ja jestem spokojny, znajdziemy łatwego i chętnego sprzymierzeńca.

— I ja się tego spodziewam—dodał minister—idzie tylko o to, aby sobie zbyt drogo płacić nie kazał.

— Ale też nie czas jeszcze przystąpić do układów.

— Ale pora się przygotować do nich i strategią całą rozważyć, jakiej nam użyć wypadnie.

To mówiąc Brühl powstał i wyciągając się od niechcienia, odezwał:

— Mam prawie pewność, że ten niepoczciwy medal, to jest pomysł doń, wyszedł z Drezna, a nawet silne nader podejrzenie mam o twórcy.

Szybko odwrócił się ku niemu Sułkowski.

— Któżby był tym śmiałkiem?

— Któż, jeśli nie dworak, ufający w swe położenie—mówił Brühl—maleńki człowieczek na tak niebezpieczną rzecz nie ważyłby się: pachnęłaby dlań katem i pręgierzem.

— Tak, a dla dostojniejszego pana, może czémś gorszém grozić, bo bezkarnie tego puścić niepodobna.

— A! spodziewam się!—rzekł Brühl—po głowachby nam jeździli. Zuchwalstwo już i tak dochodzi do najwyższego stopnia, a dobroć pana i wspaniałomyślność wasza ośmiela do wybryków najswawolniejszych. Czy też hrabia uważałeś, ile sobie Watzdorf młodszy pozwala?

Sułkowski, który był ku oknu zwrócony, posłyszawszy te wyrazy, popatrzał na Brühla, jak gdyby z pewnym politowaniem.

— Wy, bo nie lubicie Watzdorfa—rzekł. Jak ojciec tak i on bufonuje, ale to tam nie jest niebezpieczne.

— Przepraszam—podchwycił Brühl żywo—bardzo przepraszam. Kto sobie zwykł ze wszystkiego żartować, nie poszanuje nic. Dostanie się mnie, wam, panie hrabio, a wkońcu i panu naszemu.

— Na to się nie odważy.

Zacząwszy mówić hrabia przerwał, zwrócił się do Brühla i biorąc go za guzik od fraka, rzekł poufale:

— Wy bo do niego coś macie? przyznajcie się: zawadza wam?

— Nudzi mnie—zawołał Brühl—przyznaje, czepia się mnie, żarcikami swojemi dojada....

— Wy sobie pono wyobrażacie, jeśli się nie myłę—pocichutku odezwał się, śmiejąc Sułkowski,—że on się kochał w Frani Kolowrathównie.

— Toby był tylko dowód dobrego gustu i tegobym mu za złe mieć nie mógł—rzekł Brühl, pokrywając rozdrażnienie pozorem obojętności—ale dokuczają hrabinie Moszyńskiej, dla której ja mam najwyższy szacunek.

— A! a!—rozśmiał się hrabia.

— Hrabianaby się obroniła sama, szepnąwszy słowo królewiczowi—mówił dalej Brühl—ja jej nie potrzebuję w pomoc przychodzić; daleko gorzej jest, że drwi z nas wszystkich, nie wyjmując nikogo.

— Jakto? i ze mnie?—spytał Sułkowski.

— Zdaje mi się, że i tobym mu dowiódł.

— O! toby było nadto śmiało!—rzekł Sułkowski sucho.

— Wierzcie lub nie, powiem otwarcie: ja go mam za twórcę medalu...—zawołał Brühl i rękę położył na piersiach.

Rzuciwszy to słowo parę razy, przeszedł się po salonie.

— To prosty domysł, mój Brühl, to prosty domysł.

— A może i coś więcej, niż domysł—począł minister—wiem już na pewno, że trzy, czy cztery medale rozdał.

— Komu?

— Dworskim osobom. Zkądże ich ma tyle, i co za osobliwsza ochota do rozpowszechniania rzeczy, którą ja wykupuję i niszczę?

— Lecz czyż pewno?

— Hennieke da wam spis osób.

— To już wcale co innego—przerwał Sułkowski—to fakt, i chociaż ja go sobie tłumaczę więcej jego niechęcią dla was, niż dla mnie, zawsze i mnie to dotyka.

— Tak jest—potwierdził Brühl. Powiem wam szczerze, kazałem w jego mieszkaniu potajemną zrobić rewizyę. Jeśli się tam znajdzie zapas medalów, mam go za ich autora i proszę was, aby mu to bezkarnie nie uszło.

Wam—dodał, rozgorączkowany się niby Brühl—obojętną to być może rzeczą, ale dla małego jak ja człowieczka... Sułkowski się zmarszczył.

— Watzdorfa nigdybym nie sądził zdolnym do takiej nikiemności.

— Przekonacie się—kończył minister. Jeśli dowody będę miał w ręku, w takim razie nie chcę nic u królewicza wyjednywać bez was, nic sam przez się czynić, o nic bez waszej wiedzy prosić; ale z góry was błagam: tego płazem nie puścimy. Na Koenigstein...

Zamyślił się Sułkowski.

— Szkodaby mi go było—rzekł—lecz jeśli się okaże jawnie winnym...

— Ja królewicza o to prosić i mówić mu o tym nie będę—powtarzam—was proszę, wy czyńcie: jam wasz sługa i pomocnik, ja sam przez się niczym nie jestem i być nie chcę, tylko pomocą Sułkowskiego, jego podręcznym...

Skłonił się, Sułkowski wziął go za rękę i rzekł z dumą sobie właściwą:

— Przyjaciela chcę mieć w was, tylko przyjaciela, mój Brühl, a z méj strony służyć wam będę po przyjacielsku. Wy mi jesteście potrzebni, ja wam się też przydam.

Ścisnęli się serdecznie; Brühl z wielkiego wzruszenia, które było znakomicie odegrane, pocałował go w ramię.

— Słuchajże Brühl, jak przyjaciel ci to mówię: wiele osób wie, że Watzdorf się kochał w Frani; jeśli go dlatego chcesz oddalić, nie na mnie, ale na was krzyżać będą.

Brühl odskoczył aż z podziwu udanego.

— Ale mój hrabio—krzyknął uderzając się w piersi—ja nie jestem nic a nic, a nic zazdrosny, alem o honor pana, o wasz i o mój, troskliwy...

Dziś—dodał—zaczepiają nas i otarli się o tron, jutro ośmieleni na sam tron się rzucą i na najdroższego nam pana. Trzeba swawoli zapobiedz, bo nic świętego nie będzie.

— Masz słuszność—zimno odparł Sułkowski—ale winy trzeba dowieść.

— Oczywiście—dorzucił Brühl, chwytając za kapelusze i począł się żegnać.

— Ale spotkamy się przecie...

— Tak, na strzeleniu—rzekł Brühl—królewicz potrzebuje rozrywki. Bądź co bądź, należy mu ich dostarczyć... namiętnie strzelać lubi. Przecież to tak niewinna zabawa...

Brühl pośpiesznie zabierał się do wyjścia, jakoż nadchodziła godzina, w której dwór miał się udać do bażantarni, gdzie tarcze przygotowano. Nie chciano urządzać tego rodzaju zabawy w zaniku, aby zachować jeszcze resztkę pozorów żałoby.

W bażantarni, lasku pobliskim Drezna, w którym już stało kilka domków i pałacyk za Augusta II zbudowany, dwór się bardzo często zabawiał. Przepyszne aleje z lip, ogromne buki i dęby, całe posągów szeregi, stawek wykopany świeżo, czyniły to miejsce jednem z najwdzięczniejszych w okolicach Drezna. Niespełna pół godziny drogi dzieliło je od stolicy. Ogród dziki w pośrodku, w którym i amfiteatr był urządzone, opasywał zewsząd gęsty las odwieczny. Wśród niego gdzieniegdzie stojące posągi i ogromne wazy marmurowe wytwornie rzeźbione, cudnie wyglądały na ciemnej drzew zieleni. Woń świeżo rozwitych drzew, cisza dokoła, klomby kwiatów, łąki szmaragdowe ubierały to zacisze.

W amfiteatrze urządzone do strzelania tarcze. O. Guarini nie kontentując się tém, co tam przygotowują łowczy i myśliwski dwór króla, znając charakter Fryderyka, chciał mu tu uczynić niespodziankę i od rana się nad nią krzątał. Trzymał ją w jak najgłębszej tajemnicy. Nieopodal od amfiteatru z tarcie wystawiono szalasy, przy którym stała straż, nie dopuszczająca doń nikogo; zawierał w sobie tę tajemnicę Ojca Guariniego. Trzy razy tego dnia z rozmaitemi pudłami przyjeżdżał jezuita i za każdym razem on, i kilku pomocników siedzieli tam dosyć długo. Twarz Ojca nabrała po południu, gdy raz ostatni tu przybył, wyrazu zadowolenia i źle tłumionej uciechy. Próżno okrywał się powagą swojego stanu, oczy mu się śmiały mimowoli. Znać już wszystko gotowem być musiało, bo Pater założywszy ręce w tył, przechadzał się spokojnie, po wiodącej do amfiteatru uliczce, gdy na placyku około pałacu turkot się dał słyszeć. Ekwipaże dworskie jeden za drugim, poprzedzane lauframi, z hajdukami i lokajami na stopniach z boku i z tyłu, konni kawalerowie, kobiety strojne, wszystko to jedno za drugim przybywać zaczęło. Królewicz wiódł pod rękę żo-

nę, która go zwłaszcza przy zabawach i gdziekolwiek kobiety znajdować się miały, nigdy nie odstępowała. Kolowrathowa z córką, frejliny, szambelanowie, pазie, dwór cisnął się za królewiczem na wyznaczone sobie miejsca. Sułkowski i Brühl w wykwintnych myśliwskich strojach, szli tuż przy Fryderyku.

Zawczasu przygotowano sztuce, paziowie, myśliwcy do nabijania i podawania ich stali w amfiteatrze. Właśnie gdy Fryderyk zajmował z widoczną niecierpliwością miejsce swe i strzelanie już się miało rozpocząć, na zielonych wschodkach wiodących z bocznej uliczki do amfiteatru, ukazał się O. Guarini po cywilnemu (bo często bardzo chodził w tym stroju) z laską w ręku.

Udawał niezmierne zdziwienie na widok dworu i zbliżył się pokornie do królewicza, choć wesoły żarcik zdawał się ulla-tywać na jego ustach.

— A! Najjaśniejszy Panie—zawołał—co ja widzę, strzelanie do tarczy: co za wyśmienita zabawa.

— Hm? prawda?—śmiejąc się rzekł Fryderyk—ale wy strzelacie do dusz tylko...

— Zawsze jednak do celu, i to dosyć nieszczęśliwie... rzadko trafiam — westchnął jezuita. — Postarzałem. Tu zaś świetne pewnie będą wyścigi... ale gdzież nagrody?

— Jakie nagrody?—spytał zdziwiony nieco królewicz.

— Niech mi Najjaśniejszy Pan daruje — odparł Guarini — po ludzku rzeczy biorąc, tym co najtrafniej strzelać będą, należy coś w nagrodę i na pamiątkę.

— O tém nie pomyślałem—zawołał królewicz, obracając się wkoło i szukając kogoś oczyma.

— Jeżeli mi wolno będzie—przerwał kłaniając się Guarini—to ja zaofiaruję nagród pięć. Wiele nie mogę, ubogi jestem, ale na uciechę mojego najdroższego pana, składam mój maluczki dar u stóp jego.

Królewiczowi oczy się rozśmiały.

— No co? co?—zapytał.

— A! to moja tajemnica!—zawołał Padre—tego wydać nie mogę przed czasem.

Wskazał ręką na budkę.

— Nagrody moje tam się mieszczą. Pięć najlepszych strzałów je otrzyma.

Zakrawało to na jakąś farsę zabawną, bo O. Guarini liczył się do najgorliwszych króla zabawiaczy; silił się często na koncepta niekoniecznie świeże i wymuskane, byle dobroduszny uśmiech wyprowadzić na twarz spokojną milczącego pana.

— Tom ciekawy—rzekł Fryderyk.

— Wymawiam sobie tylko—dorzucił O. Guarini—abyś N. P. nie należał do współubiegających się o te nagrody. Nie ma wątpliwości, że tu nikt lepiej nie strzela, ale ja dla mojego pana nagrody godnej jego rąk, nie mam. Więc...

Mrugnienie jego oczów, odpowiedziało resztę.

Niecierpliwie sam Fryderyk wziął się do strzelania pierwszej. W istocie od dzicciństwa uprawiając się w użycie broni, strzelał tak, iż mało mu kto mógł zrównać, a gdy w rękę wziął sztuciec, tak już był zajęty i zapalony, że nic w świecie nie widział, nie słyszał, o niczym nie pamiętał, oprócz o strzelbie i kuli. Tarcza była tak urządzona, iż kula trafiająca w sam cel jój, podnosiła do góry chorągiewkę zielono-białą, z barwami saskimi. Kule uderzające w tarczę poza kołem pierwszym, oznaczała chorągiew żółto-czarna, barwy miasta; naostatek najdalej padające, czarną się oznajmywały.

Gdy Fryderyk zaczął strzelać i raz po raz sadził kule do celu, oklaski i okrzyki mu towarzyszyły. Strzelił tak razy kilkadziesiąt, nim drudzy z kolei poczęli: Sułkowski, Brühl, posłowie obcych dworów, stary generał Baudissin, hrabia Wackerbarth-Salmour, hrabia Loss, baron Schönberg, hrabiowie Gersdorf i inni. Liczono strzały chybione i celne każdego ze współubiegających się. Królewicz zdawał się z niecierpliwością wielką wyglądać rozdania nagród O. Guariniego, który stał na boku skromnie, z rękami w tył założonemi.

Trafiło się przy obliczaniu strzałów, iż stary Baudissin, ocieżała dobra figura, posłuszna i skromna, wygrał los pierwszy. Królewicz aż wstał z krzesła, szukając oczyma O. Guariniego, który z powagą wielką zawołał dając znak do budki, po włosku, aby wyniesiono pierwszą nagrodę.

Ciekawość obudzoną była do najwyższego stopnia. Drzwi się otworzyły, dwóch w liberyi pańskiej pacholek w kanarkowych frakach z granatowemi wyłogami, wyniosło wielki kosz okryty oponą białą, w którym się coś trzepotało.

— Panie generale— odezwał się Guarini z powagą— nie moja wina, że wy na wasz wiek niestosowną otrzymujecie nagrodę; los tak zrządził: nikt się swojemu przeznaczeniu obronić nie może.

Na dany znak otworzono kosz, podniesiono oponę i na trawniku ukazała się... ogromna gęś, ale nie w tym stroju naturalnym, w jakim przyszła na świat. W rękach znakomitego artysty, stała się ona najpocieszniejszym w świecie stworzeniem. Na skrzydłach miała rozpiętą z wytwornej materji suknię, jaką naówczas modne damy nosiły; na nogach trzewiczki, na głowie fryzurę i pióra.

Przestraszone stworzenie, którego ukazanie się ogromny śmiech powitał, poczęło się kręcić chcąc uciec; ale skrzydła pętała suknia, nogi trzewiki, do których gęsi nienawykłe; otwarła więc dziób, jakby wołając o ratunek i potoczyła się między widzów.

Królewicz wzięwszy się za boki, śmiał się do łez, śmieli się więc wszyscy, nawet surowa królewiczówna.

— Drugi, drugi numer!— wołał Fryderyk.

— N. Panie — rzekł O. Guarini — ta pierwsza nagroda zowie się *Angela o l'amorosa* ¹⁾!

— Któż bierze drugą nagrodę?

Druga należała Sułkowskiemu, który jakoś kwaśno ten żarcik Guariniego przyjmował.

Wyniesiono kosz drugi i — w stroju arlekina włoskiego teatru, wyskoczyła z niego małpa, nie mniej od gęsi przestraszona; ale ta, mimo stroju, jak tylko się uczuła wolną, poczęła zmykać i dopadłszy najbliższego drzewa, dosyć zręcznie wdrapała się na nie.

Królewicz nie namyślając się, pochwycił coprędzej sztuciec i strzelił: małpa krzycząc, po gałęziach się czepiając, krwawiąc, upadła na ziemię.

Nagrodą trzecią dla Brühla, który jój wcale nie pożądał, był przyniesiony w koszyku ogromny zając, przebrany także za *Crispino*. Królewicz i tę nagrodę ubił kulą. Niezmiernie zdawał się ożywiony i szczęśliwy, ręce mu drgały, oczy połyski-

¹⁾ Wszystkie te nagrody są historyczne. P. Vehse.

wały, śmiał się... i zaledwie przysiadłszy, zrywał się, gdy przyniesiono nagrodę.

Czwartą był szary królik ustrojony za *Scaramuzzia*, który też chciał zmykać przerażony i padł ofiarą myśliwskiej gorączki Fryderyka.

Ostatnia była jedną z najpociesniejszych, i ta równie jak gęś ocalała: z kosza wydobył się ogromny indyk ubrany za *Dottore* we fraku, peruce, kamizelce i wszystkiém, co do jego urzędowego stroju należało. Tego komiczna powaga ocaliła.

Śmieli się wszyscy.

Królewicz podziękował Guariniemu i zdobył się na przydłużony frazes, w którym go zapewnił, że nie tylko póki życia téj doskonałej farsy nie zapomni, ale ją każe naśladować.

Strzelano potém jeszcze dla zabawy, dopóki mrok dozwolił; wieczór był spokojny, piękny i miły, powietrze wonne, widok czarowny. Nikomu się nie chciało wracać z bażantarni. Dwór rozpadł się nieco dokoła.

Los chciał, by w tłumie szambelan Watzdorf stał przy pięknej Frani Kolowrath. Wcześniej to zobaczyła matka, a że za wachlarzem łatwo było rozmowę prowadzić niepostrzeżonym, usiłowała córkę postawić gdzieindziej, nie mogąc odsunąć Watzdorfa. I to się jój wszakże nie udało. Nie chcąc więc się dać domyślać patrzącym niż wypadało, musiała ich zostawić z sobą.

Watzdorf nie omieszkał z tego korzystać. Tego wieczora, zwykle szyderski, był jakoś smutnym i przygnębionym. Nikogo blisko bardzo nie było, mógł więc półgłosem odezwać się do panny Franciszki:

— Prawdziwie jestem wdzięczny losowi za dzień dzisiejszy, a rzadko mi się zdarza być mu wdzięcznym. Winienem mu, że panią moją po raz ostatni pożegnać mogę.

— Jakto po raz ostatni? — podchwyciła Kolowrathówna — nie patrząc na niego.

— Niestety, tak jest. Watzdorfa cień tylko tu stoi; czuję, że nademną wisi nie ubłagana zemsta tego ministra-pazia. Jestem szpiegowanym na każdym kroku, być może, iż i sługi moje kupiono. Nie znalazłem wielu papierów, a inne

w nieporządku. Domyślam się rewizyi tajemnej. Jeśli ją dopełniono, jestem zgubiony.

— Uciekaj!—zawołała hrabianka gwałtownie—zaklinam cię na wszystko, na miłość moją, na twoją... uchoź. Tu na ciebie nikt nie patrzy, piérwszy lepszy koń i jesteś w Czechach.

— Tak, i Austriacy mnie jutro tu przywiozą.

— Do Prus, do Hollandyi, do Francyi—mówiła żywo Frania.

— Nie mam ani o czém, ani jak—odparł Watzdorf z zupełną obojętnością—A co gorzej, straciłem ochotę do życia, do wszystkiego. Cóż mi tam? Dla mnie niema szczęścia...

Franiu—dodał cicho—nie wiem, co się stanie zemną; ty jedna może nie zapomnisz o mnie, i ty się pomścisz za Watzdorfa. Będiesz żoną tego człowieka: bądź jego katem...

Musieli zamilknąć dla wrzawy, Watzdorf spojrział w jej oczy, które strzeliły ku niemu ogniem.

— Jeżeli jutro nie pokażę się na dworze, zemsta mnie dosięgła—rzekł—mam przecucia, których się pozbyć nie umiem.

— Ale zkądże podejrzenia? zkąd domysły?

— Przed godziną wróciwszy do domu, znalazłem wszystko przewrócone; sługa znikł, a z nim to, co mnie mogło najciężej obwinić.

Bądź zdrowa!—dodał głosem wzruszonym.—Ty będziesz żyć, ja zagasnę gdzieś między czterema murami, wśród głuchego milczenia. Franiu, zaklinam cię, upuść chustkę, zgub rękawiczkę; położę ją na sercu: ukoj mój ból twojem wspomnieniem.

Wzruszona Kolowrathówna zręcznie upuściła z rąk chustkę, Watzdorf się schylił i niepostrzeżenie wcisnął ją za suknię, na piersi.

— Dziękuję ci—odezwał się—jeszcze chwila, zgasną dla mnie oczy twoje i innym będą świeciły. Franiu, bądź zdrowa! adio na wieki!...

Temi wyrazami dokończył, widząc zbliżającą się matkę, która prawie gwałtem już, korzystając z zamętu i gwaru odciągnęła córkę. Watzdorf ustąpił nieco w tył. O kilkanaście kroków tylko od niego, gdy królewicza zabawiał O. Guarini i żona, spotkali się na stronie Brühl z Sułkowskim.

— Słowo,—rzekł pierwszy poruszonym głosem—nie omyliły mnie moje domysły

— Jakie? co?—spytał hrabia dosyć obojętnie.

— Zrobiono rewizyą u Watzdorfa, przetrzesiono papiery; pełno paszkwilów—mniejsza o to: pięćdziesiąt sztuk medalów i list fabrykanta, który mu się tłumaczy, iż rysunek przysłany jak mógł najlepiej wykonał.

Dowód tak zabijający, iż więcej na zgubienie człowieka nie potrzeba...

Słyszając to Sułkowski, pobladł.

Brühl wsunął mu w rękę papier.

— Weźcie to, proszę; ja sam przez się nic czynić nie chcę—uczynicie co się wam podoba; lecz jeśli Watzdorfa nie wsadzicie do Koenigsteinu... Ktoż wie, czy tam jeden z nas później nie zajmie miejsca dlań przeznaczonego. Zuchwalstwo i bezwstyd wiele mogą... Czyń hrabio co chcesz, ja ręce umyвам, osobistój krzywdybym nie poszukiwał... Królewicz jest dotknięty... To zbrodnia obrażonego majestatu, a za tę karzą śmiercią...

To mówiąc Brühl, szybko się usunął; twarz jego przybrała zwykły uśmiech. O kilka kroków zobaczył hr. Moszyńską i z wolna zwrócił się do niej, witając ją z poszanowaniem i ceremonialną uniżonością, na co piękna Fryderyka dumnym i zimnym skinieniem głowy odpowiedziała.

Frania Kolowrathówna szła jakby ciągniona przez matkę, pół martwa, dumna, milcząca, ale bez łzy w oku. Kilka razy obejrzała się, gdzie stał Watzdorf, który się zdawał téż ani słyszeć co się dokoła niego działo.

Wśród tego zamyślenia gorzkiego zjawił się przed oczyma Kolowrathównój hrabia Brühl z niskim ukłonem i wdzięcznym uśmiechem. Dumnemu dziewczęciu oczy zajaśniały, wyprostowała się, i z góry, z pewnym rodzajem wzgardy zmierzyła wzrokiem ministra.

— Nieprawdaż—odezwał się słodko—że zabawa była nadzwyczaj dowcipna i piękna?

— A panowie strzelaliście do podziwienła trafnie—odparła Frania—i nie wątpię, że równiebyście i do ludzi potrafili...

Brühl spojrział bystro.

— Niewiele w tém mam wprawy—rzekł zimno—ale gdyby w obronie Najjaśniejszego Pana przyszło wziąć jakąkolwiek broń w ręce, nie wątpię, że celniebym strzelał i śmiało.

Pani się także bawiłaś, jak uważałem, doskonale, rozmową z szambelanem Watzdorfem—dodał spoglądając na nią.

— W istocie — odezwała się Kolowrathówna—Watzdorf jest niezmiernie dowcipny: strzelał słowami jak panowie kulami.

— Niebezpieczna to broń, kto się z nią dobrze obchodzić nie umie—rzekł Brühl—można nieostrożnie zabić się samemu...

Stara Ochmistrzyni przerwała tę niemiłą rozmowę, wejście Frani ją zamknęło. Chciała z razu przemówić do Brühla, duma jęj nie dozwoliła; nie była też pewną, czy Watzdorf nie przesadził niebezpieczeństwa i nie tłumaczył fałszywie kradzieży popełnionej w domu.

Królewiczówna nieco wcześniej wyjechała z damami, Fryderyk w poufałym gronku pozostał. Oddawna już Sułkowski usiłował się zbliżyć do niego. Część drogi chciał królewicz przebyć pieszo, skorzystał z tego ulubieniec i zajął miejsce przy nim.

Inni szli opodal nieco.

Brühl uparcie towarzyszył Ochmistrzyni.

Gdy pozostali sam na sam z królewiczem, który był w bardzo wesołym usposobieniu, Sułkowski nie chciał czekać dłużej ze sprawą Watzdorfa. Ciężyła mu ona, rad się był jęj pozbyć co rychléj, a być może, iż lękał się ucieczki szambelana, gdyby postrzegł się zdradzonym.

— Po takięj miłęj zabawie—odezwał się Sułkowski—co to za niemiły obowiązek, być zmuszonym zasmucić W. Królewiczowską Mość.

Posłyszawszy to Fryderyk, posępną zrobił minę i spojrzął z ukosa na ministra, jak gdyby mu się chciał wypraszać, ale ten po małym przestanku mówił dalej:

— Rzecz jest nie cierpiąca zwłoki, wystawieni jesteśmy ja i Brühl, a nawet pan nasz najmiłościwszy na pośmiewisko Europy; nie mówiłem o tém wprzódy, chcąc oszczędzić przykrego wrażenia, jakie niewdzięczność obudza... W Holandyi wybito medal szyderski... ohydny.

Fryderyk przestraszony, zżymnął się, stanął; twarz mu zbladła jak ojcu, gdy w gniew ów straszny wpadał i od pamięci odchodził.

— Nie chciałem wspominać o tém, dopóki nie odkryliśmy sprawy—kończył Sułkowski. Ja i Brühl przebaczylibyśmy obrazę naszą, ale obrazy majestatu jako ministrowie nie możemy puścić bezkarnie.

— Ale któż? kto?—zapytał Fryderyk.

— Człowiek okryty łaskami waszemi, którego cała rodzina winna wszystko Najjaśniejszego Pana ojcu i jemu. Nicwdzięczność i zuchwalstwo bezprzykładne...

— Kto? kto?—nalegał królewicz.

— Szambelan Watzdorf...

Królewicz powiódł oczyma osłupiałemi dokoła,

— Macie dowód?

— Przy sobie: w ręku trzymam list znaleziony u niego i medale...

— Widziéć nie chcę, nie chcę—odparł królewicz, ręką się zasłaniając—ani ich, ani jego: precz... precz.

— Puścić go bezkarnie?—zapytał Sułkowski—nie może być. Poniesie za granicę potwarze i szerzyć je będzie, kto wie jakie? Może na ś. p. ojca W. Królewskiej Mości...

— Szambelan Watzdorf? Watzdorf młodszy?—powtarzał Fryderyk—lecz cóż? lecz jakże...

To mówiąc, otarł pot z czoła.

— Königstein—rzekł krótko Sułkowski.

Nastąpiło milczenie... ze spuszczoną głową szedł z wolna królewicz: była to pierwsza za jego panowania wina i kara tak surowa.

— Gdzie Brühl?—spytał.

— Brühl zostawił to mnie i poruczył—odpowiedział hrabia.

— Watzdorf! Königstein!—powtarzał wzdychając Fryderyk; potem stanął, wlepił oczy w Sułkowskiego i rzekł:

— Nie chcę o tém słyszeć więcej; dość—nie chcę. Róbcie co chcecie...

Sułkowski odwrócił się ku idącemu za niemi O. Guariniemu, który królewicza najlepij umiał rozśmieszać i skinał nań.

Padre przybiegł coprędzej, nie domyślając się więcej nic, oprócz że był tu na coś potrzebny.

— Jestem w rozpacz! — zawołał — gęś moja: *Angela o l'amorosa*, zginęła... uleciała, widząc się pogardzoną przez Baudissina; musiała się puścić w lasy szukając śmierci. Biegałem za nią i miałem to nieszczęście, że trzy panie nasze brały z kolei za gęsi: nigdy mi tego nie darują...

Smutna twarz królewicza, w miarę jak słuchał rozjaśniać się zaczęła. Jak z posępnego nieba chmury, schodziły z pięknego jég czoła marszczki; usta ściśnięte rozchodziły się, na policzkach pierwosnek uśmiechu zarysował dwa ledwie znaczne fałdy: białe zęby pokazały się z pod warg powoli. Patrzył na jezuicie, jakby w jego pogodnej, naiwnie uśmiechniętej twarzy, trochę przypominającej włoskiego pulcinella, chciał zaczerpnąć potrzebnego mu wesela...

Guarini przeczuwszy, że coś dlań niezrozumiałego musiało dobrego pana zasmucić, wysilił się z całym swoim dowcipem, aby co rychlej zetrzeć ślady nie miłego wrażenia.

Jakoż w miarę jak się sypały włoskie żarty i przycinki, królewicz zdawał się zapominać o doznanej przykrości i dobrodusznie znowu mu się uśmiechał. Lecz trzeba było wysiłków kilku wesołego Ojca, aby całkowicie znieść powracającą chmurę tę i nie dał spoczynku królewiczowi, aż póki nie posłyszał tego znanego sobie głośnego, szczerego śmiechu, który zwiastował, że Naj. Pan o troskach tego świata zapomniał całkowicie.

Nazajutrz znikł radzca i szambelan królewski Watzdorf. Nikt się nie śmiał dopytywać zrazu, co się z nim stało: była to pierwsza tego panowania ofiara. W kilka dni pocichu zaczęto szeptać sobie, iż go zawieziono do Königsteinu. Królewicz nigdy więcej imienia jego nie wspominał; Sułkowski i Brühl zdawali się nie chcieć wiedzieć o tém.

Trwoga padła na dwór i nieprzyjaciół skrytych obu ministrów. Brühl, przy zdarzonej okoliczności, o ile mógł głośno, umył ręce od tej sprawy, zarzekając się, iż wcale o niej nie wie i do niczego się nie mieszał.

W Merkuryuszu historycznym, rodzaju gazety francuzkiej, wychodzącej naówczas, stały wkrótce potem następujące słowa:

„Ci, którzy znali zblizka swawolny i satyryczny sposób myślenia tego młodego pana, który w sprawach bezpośrednio po śmierci Augusta Mocnego zaszył, nie jedną miał zręczność, z kaustycznym swym się popisać dowcipem, nie będą zdziwieni katastrofą, jaką mu oddawna wprzód przepowiadano.”

Watzdorf już się nigdy więcej nie pokazał światu. Po czternastoletniem więzieniu na Königsteinie, zmarł dobitą tęsknotą i niewolą.

II.

W rok po tych wypadkach, pałac w którym Brühl mieszkał, jaśniał rzesistemi światłami. Nigdzie wspaniałej jak w Dreźnie nie umiano występować przy uroczystościach, nigdzie się nie bawiono z większym przepychem, którego tradycje po sobie August Mocny zostawił. Od dworu zbytek ten przechodził do otaczających pana, potem do zetkniętych z nimi: do mających stosunki z wyższem towarzystwem, w części nawet do zamożnego mieszczaństwa. Bankierowie ówczesni dawali bale dla dworu, mile był widziany każdy, kto się do zabawy przyczyniał, a umiał się czémś niespodziewanem przysłużyć.

Ognie sztuczne, iluminacje, wieńce, kwiaty, muzyki, obrazy, występowały, ilekroć najmniejsza nastroczała się zręczność.

Brühl był jednym z najrozrzutniejszych dorobkowiczów swojego czasu, dziwił on tych nawet, którzy się czemukolwiek dziwować przestali. Oświecenie jego pałacyku wytwornością swą przechodziło oddawna widywane w stolicy. Ogromny tłum ludu w pewnem przyzwoitem oddaleniu przypatrywał się z poszanowaniem należnym kamienicy tak możnego pana, błyszczącej różnokolorowemi lampami, jakby wieńcami drogich kamieni i kwiatów. Na samym szczycie nad bramą w owalnej tarczy, po nad którą spadały dwie girlandy różowe z zielnią, białemi gwiazdami wysadzane, świeciły dwie czule z sobą złączone głoski: *F.* i *H.* Trochę niżej dwie w transparentach tarcze herbowe, pochylone ku sobie i sparte, mieściły dwa pola niezrozumiałemi dla gminu hieroglifami heraldycznymi zapisane. Dworacy tłumaczyli ciekawym, że to były nowożeńców rodowe znamiona.

Ciążba stała już dość długo przed pałacym, gdy od strony zamku z pochodniami, z laufrem, z pocztylionami przodem nadjechała karetą. Wiozła ona matkę i państwa młodych, którzy po przyjęciu i balu na zamku do własnego powracali domu. Piękna pani pierwszy raz miała jego próg przestąpić.

Chociaż nad nią nie spodziewano się innych gości, od sieni aż na pierwsze piętro wiodące wschody zajęte były po obu stronach całym szeregiem w pyszną liberyą postrojonych lokajów; na górze stali kamerdynerowie, marszałek dworu i pазie ministra.

Królewsko już urządzony był dom jego na przybycie żony: wyświeżony, odnowiony i powiększony. Świecił cały od porcelany, sreber, bronzów, kobierców i tysiąca fraszek a cacek, któremi wiek ów otaczać się lubił. Brühl tłumaczył się z téj okazałości tém, że panu swojemu honor nią czynił; zaręczał, że ostatni grosz oddawał na nią, aby przepychem swoim saskiemu domowi przyczynić blasku. Gdy powóz zatrzymał się przed drzwiami pałacu i wielka ochmistrzyni wysiadła z niego z pomocą zięcia, dano jéj pierwszy krok i sama powoli weszła na górę. Brühl chciał podać rękę żonie, która udała, że tego ruchu nie widzi i poszła obok niego sama. Piękna twarz panny Franciszki na ten dzień miała wyraz powagi, dumy i smutku, obudzający w świadkach podziwienie. Śladu weselnego szczęścia na tém obliczu pochmurném nie było. Wszystkie cuda i świecące przystrojenia kosztowne domu obojętném mierzyła okiem, jakby ich widzieć nie chciała; szła jak ofiara zrezygnowana, która wie, że się losowi nie oprze, ale się szczęścia nie spodziewa. Znać miała czas ostygnąć, rozmyślić się, oswoić z położeniem swoim, bo i straszne bólu nie niosła na twarzy, ale chłód tylko przerażający.

Ból jeśli był, stał się chorobą trawiącą, powolną, która się z życiem splotła.

W salce na górze, której ściany rzęszystemi wiązkami jarzącego światła były okryte i błyszcząły całe lustrami, kryształowemi łyzy i iskrzącemi ramami obrazów, zatrzymała się hrabina Kolowrath, obejrzała się, szukając córki idącej za nią. Frania szła i stanęła przy niej milcząca. Z drugiej strony Brühl w fioletowym ze złotem fraku aksamitnym ślubnym,

w białej ze złotem kamizelce i koronkach, z uśmiechem na ustach, z bukietem u guzika, stał z pokorą i słodyczą uśmiechając się do matki.

Milcząco przysunęła się ona do córki, pochyliła głowę, przyłożyła usta do jej czoła i długim pocałunkiem zegnała odchodzące dziecię, które nie wzruszyło się tym czułości dowodem. Matce, choć dwór i życie ostudziły ją dawno, łzy się zakrepiły w oczach.

— Bądźcież szczęśliwi — szepnęła — błogosławię was! Bądźcie szczęśliwi — i rękę przyłożyła do oczów wzruszona. Brühl pochwycił drugą, okrywając ją pocałunkami.

— Potrzebujecie być sami — dodała głosem złamanym. — Moim obowiązkiem było odwieźć tu was i pobłogosławić; nie chce was męczyć: ja sama muszę spocząć po tych wrażeniach...

Odwróciła się do Brühla.

— Polecam ci żonę — rzekła — bądź dla niej dobrym, bądź przywiązanym mężem. Frania przywiąże się też do ciebie: bądźcie szczęśliwi! Szczęście na ziemi kochać i niestałe... słodźcie sobie należy dnie życia a nie zatruwać. Franiu, ufam, że będziesz i ty dobrą dla niego...

Zakryła oczy, jakby jakaś myśl dopowiedzieć jej przeszkadzała, co miała w duszy, jakby coś wstrzymywało jej wyrazy na ustach; jakby się byli powinni dorozumieć wiele, czego dotknąć nie mogła.

Jeszcze raz pochyliła się do czoła córki, która stała jak posąg marmurowy. Brühl pocałował ją w rękę, ruszyła się do powrotu. Zięć podał jej rękę z wdziękiem i nadskakującą grzecznością i prowadził znowu na dół do oczekującego dworskiego powozu, do którego wsiadła, słowa nie mówiąc w. ochmistrzyni i rzuciła się w głąb jego, ukrywając od oczów ciekawej gawiedzi.

Na górze pozostała sama jedna na chwilę pani młoda, jeszcze się nie poruszyła z miejsca zadumana, a gdy Brühl powrócił i rękę jej chciał ująć, spojrzała nań niemal zdziwionemi oczyma, jakby zapomniała i gdzie była i że się stała żoną jego.

— Na miłość Bożą! — szepnął minister — tysiące oczów i z ulicy i w domu patrzy na nas: bądźmy choć dla nich szczęśliwi. Na scenie życia wszyscyśmy aktorami (był to ulubiony i często powtarzany aksyomat jego), odegrajmyż dobrze naszą rolę.

To mówiąc, podał jój rękę i obojętną poprowadził przez cały szereg oświeconych pokojów, ku jój apartamentom. Wszystko, co roztargnione oczy jój spotykały, było tak wspaniałe, bogate i piękne, że w każdym, prócz nićj wywołałoby okrzyk zachwycenia. Ona szła nie patrząc i nie widząc. Znaleźli się wreszcie w gabinecie toaletowym pani, poprzedzającym wyświeżoną sypialnią, w której dwie alabastrowe na kolumnach lampy, blade, tajemnicze światło roztaczały.

Młoda pani zobaczywszy przed sobą drzwi otwarte, stanęła: oczyma poszukała krzesła i padła na stojące przed gotowalnią. Sparła rękę na stole okrytym koronkową oponą i zadumała się milcząca.

Tu byli sami, szmer tylko cizby z ulicy, podziwiającej iluminacyą dochodził.

— Pani—rzekł Brühl głosem słodkim i miękkim—jesteś w swym domu, a pierwszy twój sługa stoi przed tobą.

Chciał przykleknąć przed nią; Frania powstała nagle, westchnęła, jakby z piersi zrzuciła ciężar i zawołała głosem, w którym smutku nie było:

— Komedyi dosyć mamy dzień cały, z sobą jój grać nie potrzebujemy: uwolń mnie pan od nićj i siebie. Musimy być szczerzy i otwarcie bądźmy nimi od pierwszego dnia. Zawarliśmy nie małżeństwo, nie związek serca, ale kontrakt: starajmy się go korzystnym dla obu stron uczynić.

Zaczęła przed gotowalnią, nie patrząc na stojącego za nią Brühla, zdejmować wieniec z głowy i długą zasłonę. W głosie wzruszenia czuć nie było.

— Jeśli pan nie życzysz sobie—dodała—aby naszą rozmowę podsłuchiowano, racz się upewnić, żeśmy sami.

— Tego pewien jestem, bo wydałem rozkazy—zawołał Brühl zimno—a moje rozkazy zwykle są szanowane.

Frانيا nie mówiła nic: z flaszki stojącej na gotowalni wzięła dla orzeźwienia się Larendogry i odwilżyła nią skronie.

— Szczęśliwą jak bywają inne kobiety—mówiła głosem jasnym, stojąc ciągle u gotowalni i rozpinając drobne stroju swego dodatki, Frانيا—szczęśliwą być nie mogę... ten którego kochałam, nie kryję się z tém, leży w więzieniu na słomie wilgotnej i niema promyka słońca, ani niebios widoku... Waćpan

kochasz inną, jesteście sobie obojętni; chociaż nikt mi nie mówi, na jaką jestem przeznaczona ofiarę, rozumiem to dobrze. Ale chcę życia użyć i użyję go... swobodnie, wszystkich jego przyjemności i rozkoszy. Trucizna musi być osłodzoną; to mi się należy... Lubię przepych i mieć go będę około siebie, potrzebuję roztargnienia, aby nie płakać; wrzawy, aby głosu serca nie słyszeć: wszystko to być musi... Pan mi jesteś obcym, ja panu... możemy być dobrymi przyjaciółmi, jeśli zasłużysz na to... Któż wie, mogę mieć fantazję jaką i przez parę dni stać się miłą dla niego, ale niewolnicą niczyją nie będę... nawet...

Odwróciła się ku Brühlowi, który stał niemy i zakłopotany.

— Rozumiész mnie pan ?

Minister milczał.

— Nikt mi o niczym w świecie nie mówił—ciągnęła dalej—kobięcym instynktem odgadłam wszystko; przeznaczenie moje znam i wiem...

— Pani—przerwał Brühl—są rzeczy, które przez usta przechodzić nie powinny, które zdradzić, jest to się skazać...

— Nie potrzebujesz mi mówić tego, ja wiem wszystko; powtarzam panu nawet to, co się panu zdaje tajemnicą. August II potrzebował sławy i rozgłosu ze swych miłostek, pobożny syn jego nie dopuścił nawet podejrzenia na siebie. Dlatego wszystko się musi ułożyć tak, aby ludzkie oko nie widziało, ludzkie nie słyszało ucho.

I sucho śmiać się zaczęła.

— Spodziewam się, że dając panu władzę... potęgę, łaskę, sama też korzystać z nich muszę, i żądam, aby moje fantazy były poszanowane; a że mieć będę fantazy, to niezawodna. Ciekawą jestem życia, łaknę go, potrzebuję się upić, aby o bólu zapomnieć.

— Myślisz—poczęła żywiej—że mi w którejkolwiek życia godzinie zniknie z oczu obraz tego nieszczęśliwego? Widzę mury, które miście go otoczyli; izdebkę ciemną, tarczan twarde, twarz stróża i oblicze jego zwiędłe, w długich jak wieki dniach, wpatrzone w małe okienko. Ale w tym człowieku mieszka wielki duch co go trzyma, co go może będzie trzymać tak długo, aż się kiedy drzwi więzienia otworzą. Prawda to, że druga wasza ofiara, biedny Hoym już się obwiesił w więzieniu?

Brühl patrzył w podłogę.

— Tak—rzekł sucho—i szkoda nie wielka: ja po nim płakać nie będę.

— Ja także nie—odparła Frania—ale tamtego nie zapomnę. Rozumiesz pan, że ręka co go tam strąciła, choć ją z moją u ołtarza związano... ścisnąć méj dłoni nie może... Jesteśmy i będziemy sobie obcy.

Uśmiechnęła się szydersko.

— Przyjąłeś pan katolicką wiarę dla mnie — rzekła—choć i to być ma tajemnicą. To także zaleca mi was niepospolicie! Co za takt i polityka!! Król polski potrzebuje ministra katolika w Polsce: Brühl jest tam katolikiem; Kurfirst saski musi mieć protestanta w Saxonii: Brühl tu będzie gorliwym luteraninem. Gdyby Zinzendorf został królem u Morawskich braci, panbyś pewnie należał do herrnhuckiej gminy... *C'est parfait! c'est délicieux!*

— Pani!—zawołał głosem wzruszonym Brühl—nie widząc, dotknęłaś mnie najboleśniej. Ja jestem chrześcianinem i pobożnym; wyznanie dla mnie rzeczą podrzędną, ale ewangelia i jój przepisy, miłość Zbawiciela...

Wzniósł oczy w niebo.

— To należy do pańskiej roli: rozumiem—odezwała się Frania—a więc usuńmy to. Jabym spocząć pragnęła i być samą.

Spojrzała mu w oczy.

— Lecz cóż powie służba? co pomyślą ludzie, jeśli pani mnie ztąd wypędzisz? To nie może być!

— Ale inaczej być nie może—zawołała Frania—pan mozesz tu w gabinecie na sofce, na fotelu, gdzie chcesz przepędzić noc, ja pójdę do sypialni i zamknę się.

Brühl spojrział na nią niespokojny.

— Pozwolisz więc pani, abym poszedł się przebrać i powrócił tu. Nikt w świecie stosunku naszego znać ani się go domyślać nie powinien. To pani wiadomo.

— Rozumiem! rozumiem! musi to być wszystko tajemnicą, a my najczulszemi małżonkami. Wyznaj pan, że po białym dniu to platoniczne małżeństwo nasze, będzie nadzwyczaj zabawne. Ludzie będą panu zazdrościć, kobiety mnie; bo pan

dla innych jesteś nie brzydkim mężczyzną, ale król daleko od was piękniejszy i—król w dodatku! Wolę być tajemną króla kochanką, niż prawdziwą ministra żoną.

Z szyderstwem śmiać się zaczęła.

— Wystawiam sobie jak N. pan na mnie przy żonie obawiać się będzie rzucić okiem, jaki będzie musiał być chłodny...

— Pani—łamiąc ręce przerwał Brühl—ściany mają uszy! Frania ruszyła ramionami.

— Pani wiesz—szepnął—że gdyby się to nietylko wydać miało, ale gdyby najłżejsze posądzenie, cię tylko prawdy wyszedł na świat, dla mnie i dla was wszystko zgubione.

— Szczególniej dla mnie—odparła kobieta—boby zostawała z panem *en tête à tête*, bez żadnego widoku pociechy, a toby mi życie struło...

Więc—cicho.

Brühl, nic nie mówiąc, wysunął się z pokoju. Salony, które przechodził, jeszcze stały oświetlone; przesunął się przez nie wolnym krokiem i na drugim ich końcu wszedł do swojego gabinetu. Kamerdynier i lokaj czekali tu na niego, wiedząc, że przyjdzie się przebierać.

Na stoliczku leżał strój ranny: paradny szlafrok z lyońskiego atłasu niebieskiego w żywo barwione kwiaty i świeża, biała, jak śnieg bielizna, i lekkie buciki jedwabne. Wszystko to było niepokalaną świeżością.

Ponieważ przejście przez salony miało być znakiem pogaszenia świateł, kamerdynier wziął dwa srebrne lichtarze w ręce i poszedł przodem, świecąc mu do sypialni. U drzwi ję Brühl go skinieniem odprawił i wszedł.

W gabinecie nie było nikogo, oprócz zrzuconej zasłony i wianka pani młodój, ję rękawiczek i chustki. Drzwi dalsze od sypialni, były zamknięte.

Nocna lampka paliła się w kątku... w pokoju mrok panował i cisza. Zegar w mieście bił późną nocą godzinę. Brühl spojrział naprzód przez okno, w ulicy już było pusto, illuminacja gasła. Po nad czarnymi kamienicami, stojącymi w mrokach, księżyc się wzbił wysoko i pływał w bawełnianych chmurach białych.

Noc była ciepła, letnia, milcząca... otworzył zdaleka okno, bo go powietrze dusiło.

W sypialni najmniejszego nie słycać było szelestu.

Mąż pięknej Frani, przeszedłszy kilka razy po pokoju, obejrzał się, szukając miejsca dla spoczynku. Maleńka sofka i przystawione do niej krzesło, musiały mu zastąpić posłanie. Sparł się na rękę i dumał... uśmiech ironiczny przebiegał mu usta, kilka razy spojrzął na drzwi sypialni i wkrótce, wszedłszy w innego rodzaju rozmyślenia o przyszłości, znużony drzemać zaczął.

W snach przed oczyma śniło mu się złoto, świeciły brylanty, przewijały koronki, sunął cały przepych królewski, niemy, bez twarzy ludzkiej, bez serca; potem obłoki białe, na nich cyfra z hrabiowską koroną i mroki.

Gdy oczy znużone otworzył, dzień już był biały, który go nieco przestraszył. Ruszył się coprędzej z improwizowanego, a niewygodnego łóżka swego, krzesło postawił w miejscu, obwinął szlafrokiem i na palcach wyszedł do swoich pokojów.

Oczy jego szukały najprzód zegara... z przerażeniem ujrzął na jednym z nich godzinę szóstą ranną, o której zwykł był dzień już rozpoczynać. Wchodząc do gabinetu swego, spostrzegł też stojącego już w pośrodku O. Guariniego, w swym rannym surducie szarym z czarnymi guziczkami, uśmiechającego się do broduśnie.

Jezuita pozdrowił go milczący uściskiem ręki, którą Brühl ucałował, zarumieniony nieco i zmieszany. Nim przemówili, oczy ich nawzajem się badając, po kilkakroć spojrzały na siebie wzajemnie.

Guarini zbliżył się doń z tajemniczą twarzą.

— Ministrowie, jak wy, nawet nazajutrz po ślubie, nie mają prawa wysypiać się długo, szczególnież tacy, jak wy, co macie nieprzyjaciół groźnych.

Rękę podniósł do góry.

— Z wami Ojczy i przy pomocy królowej, obawiać się ich nie mam potrzeby—odezwał się Brühl.

— Obawiać się i być ostrożnym potrzeba zawsze—szepnął O. Guarini... Zawsze, choćbyście mieli za sobą królową nawet, bo królowe nie zawsze panują, mój drogi.

— Ale wy Ojczy—jeszcze ciszej dodał minister—panujecie i panować spodziewam się będziecie sumieniu króla, a pana naszego zawsze.

— Moje dziecko, ja też nie jestem nieśmiertelny, jestem stary i czuję żem grat, który wkrótce pójdzie na śmietnisko. Chwilkę pomilczeli. Guarini się przeszedł po pokoju z rękami w tył założonemi.

— Księcia Lichtensteina trochę przysposobiłem i ja, i królowa—rzekł—ale powoli idzie, ogłędnie i w ogóle z tą całą kampanią naszą spieszyć nie można.

Dajmy czas królowi, mnie, okolicznościom, aby naszego pana przysposobiły. Dotąd Sułkowski u niego pierwszym. Sułkowski wszystkiem... Wy pamięć ojca macie za sobą; starajcie się mieć coś więcej...

Zamilkł O. Guarini.

Piano, piano, pianissimo!—szeptał.

Do naszego pana, trzeba umieć mówić, umieć trafić. *Al canto si conosce l'ucello, ed ad parlar il cervello.* (Ze śpiewu poznać ptaka, a z mowy mózgownicę).

I uśmiechał się pocziwy Padre, a że lubił włoskie, ludowe pogadanki dodał: *Duro con duro non fan mai muro.* (Twardy z twardym muru nie zlepi). Sułkowski bywa *duro*, waćpan powinieś być mięciuchny i giętki.

Ma piano, piano!

Tu zbliżywszy się do ucha, począł coś szeptać żywo i ruchami rąk sobie dopomagając, potem na zegar spojrzawszy, chwycił za kapelusz i wyniósł się pospiesznie.

Z drugiej strony już pukano.

Żółta, pokrzywiona twarz Hennieke, pokazała się ostrożnie we drzwiach napół odemkniętych i cały radzca wszedł za nią. Pod pachą dźwigał masę papierów; najprzód zmierzył okiem Brühla, jakby z twarzy się dobadywał termometru humoru.

— Ekscelencyo—rzekł—najprzód powinszowania moje.

— Najprzód interesa — przerwał minister...—pieniędzy potrzebujemy, pieniędzy i zawsze pieniędzy dla dworu, dla spraw w Polsce, dla króla, dla mnie, dla ciebie, nie licząc Sułkowskiego... Hennieke—pieniędzy!

Zaciął usta ex-lokaj.

— Piszczą łajdaki—odezwał się—szlachta się zżyma, miasteczka burczą, odwołują się do przywilejów, do *immunitates*, do uchwał.

— Kto?—zapytał Brühl.

— Prawie wszyscy.

— Ale któż ich prowadzi? Któż najgłośniej gada?

— Jest ich dosyć.

— Trzech lub czterech... posłać szwajcarów niech wezmą i do Pleissenburga; tam rozum przychodzi: reszta będzie siedzieć cicho.

— Ale kogo wybrać— spytał Hennieke.

— Zwątpiłbym o sobie, gdybyś tego nie rozumiał. Za wysoko nie sięgaj, żeby którego z Sułkowszczyków nie zaczepić. Za nisko nie bierz, bo to się nie zdało na nic. Człowieka, co ma stosunki na dworze, nie ruszaj; ale pokąnych parę...

— A racya?—spytał ex-lokaj.

Brühl się rozśmiał. Czyż ja ci potrzebuję racją dyktować? Słowo głośno wyrzeczone, obraza majestatu; rozumiesz, lub... głupiesz... Hennieke.

— Rozumiem — rzekł Hennieke i westchnął.

Brühl się zaczął przechadzać żywo.

— Nie wiem, czy Globiga dziś zobaczę; trzeba, żebyś mu powiedział odemnie, że moich rozkazów nie spełniają.

Na ostatniem polowaniu o włos mały, nie podano petycyi królowi... Szlachcie się zaczął w krzaku. Na kilka godzin wprzód przed polowaniem, przejażdżką, wyjściem, drogi powinny być oczyszczone, postawione warty: żywój duszy nie można się dać docisnąć... Kto wie, w jakim zamiarze...

— Ja, Ekscellencyo, wszystkiego sam dopilnować nie mogę... a Loss, a Stammer, a Globig, a inni, co robią?

— Hennieke powinien mieć rozum za wszystkich, jeśli za nich chce mieć łaski.

Znowu rozmowa w poufały się szept zmieniała, ale ten trwał niedługo. Brühl ziewał znużony. Hennieke zrozumiał to i wysunął się. Przyniesiono czekoladę. Połknął ją z kilką biszkoptami prędko Brühl, wody się napił i dzwonił już na swojego mistrza garderoby.

W pokoju do ubierania było wszystko gotowém, tak, że ranny strój nie wiele czasu kosztował. *Port-chaise* stała u ganku z hajdukami.

Była godzina dziewiąta prawie, gdy minister kazał się wieźć do mieszkania posła austriackiego, księcia Wacława Lichtensteina. Poselstwo naówczas zajmowało jeden z domów w Starym Rynku; podróż więc długą nie była. O téj godzinie zwykle Brühl bywał już u króla, tego ranku korzystał ze swobody, jaką mu dawał ślub wczorajszy, aby odwiedzić księcia Lichtensteina.

Gdy oznajmiono o Brühlu, książę sam wyszedł naprzeciw niego do sali. Minister nie zapominał o tém, że dziś dla całego świata powinien być mieć twarz najszcześniejszego w świecie człowieka. Chociaż nieco znużenie na nięj widać było, promieniała doskonale przybraną radością i swobodą.

Książę Lichtenstein w całym znaczeniu wyrazu pan i dworak, jednego z najstarożytniejszych w Europie domów panujących, miał fizyognomią do swęj roli wybornie stworzoną. Słuszny, piękny, rysów szlchetnych, postawy pańskiej, grzeczny, miły, w oczach miał połyski rozumu i przebiegłości dyplomatycznej. Jakkolwiek Brühl niedawno małym był szlachetką, dziś pierwszy minister spokrewnionego z austriackim domem, mąż hrabianki Kolowrath, stał prawie z Lichtensteinem na równi. Miał jednak takt nie okazywać tego po sobie i z grzecznością tylko, ale z uszanowaniem, przywitał posła.

Wymieniwszy słów kilka, wyszli do gabinetu. Książę podał mu krzesło i pasadził go naprzeciw siebie.

— Wracam—rzekł—do wczoraj tak nieszczęśliwie przerwanej rozmowy.

Mój drogi panie Henryku, zapewniam was, możecie się wszystkiego dobrego spodziewać od mojego dworu: tytułu, majątku, protekcyi, opieki w każdym razie, ale musimy z sobą iść ręka w rękę... rozumiecie mnie.

Brühl podał rękę natychmiast.

— Musimy iść ręka w rękę—rzekł—tak jest; ale rąk naszych nikt nie powinien widzieć... najgłębsza tajemnica: inaczej wszystko to pryśnie jutro. Padnę ja, a ze mną ten, co wam jeden służy tu wiernie.

— Czyż wątpicie?—zapytał książę—moje słowo waży, jak cesarskie...

— Pierwszego mi starczy—podchwycił Brühl.

— Jestże to prawdą, możeż to być, ażeby Sułkowski miał jakieś myśli i plany na przyszłość?—spytał książę.

— To nie ulega wątpliwości.

— Ale nic określonego.

— A!—zawołał Brühl—określonego tak dalece, iż wiem, że się tyczy zajęcia Czech... plan jest osnuty nie w myśli, ale na papierze...

— Wyście go widzieli!

Brühl się uśmiechnął tylko.

— Moglibyście go mieć?—dodał nagląco książę Lichtenstein.

Uśmiech ministra stał się jeszcze wyrazistszym.

Książę pochylił się doń i podchwycił go za obiedwie ręce.

— Jeśli mi dacie ten plan na piśmie, jeśli mi go dacie...

Zawahał się nieco.

— To tak, jakbym głowę moją dał w ręce księciu—odparł cicho Brühl.

— Ale spodziewam się, że moglibyście i ją mi powierzyć—przerwał Lichtenstein.

— Bezwątpienia—mówił dalej minister—lecz gdy plan będzie w rękach waszych, naówczas nie ma innéj alternatywy: jeden z nas paść musi. Wiecie książę, jak król jest do niego przywiązany...

Lichtenstein porwał się z siedzenia.

— Ale my mamy królową, my mamy O. Guariniego, my mamy was i O. Voglera, i Faustynę—zawołał szybko.

Brühl się uśmiechnął.

— Sułkowski ma słabość i serce królewskie.

— Prawda, że ludzie słabi bywają uparci—odezwał się książę—lecz na słabych zawsze powolnie i zręcznie działając, wpłynąć można. Nigdy nagle, bo ich słabość, którą czują sami, rodzi upór: należy ich tak brać, aby nie wiedzieli, że są wzięci, aby sądzili, że działają przez się sami. Od czegoż poczciwy O. Guarini!

— Sułkowski jest towarzyszem młodości króla, jest jego powiernikiem w tych sprawach, w których król nie zwierza się nikomu.

— Nie przeczę, że robota trudna; nie uznaję jój jednak niepodobną—odparł Lichtenstein... Ale ten plan? na Boga? widzieliście go? czytaliście go?

Niecierpliwą tę natarczywość księcia, powstrzymał Brühl zimną twarzą i postawą.

— Pozwolisz książę, abyśmy mówili najprzód o warunkach.

— Z największą chęcią.

— Ubolewam nad tém, bo cenię Sułkowskiego z innych względów—mówił minister—jest przywiązany do króla, jest mu wierny; zdaje mu się, że Saxonią uczyni potężną—ale, jeżeli wpływ jego się zwiększy, ambicya może na niebezpieczne poprowadzić drogi. Sułkowski świętej naszej królowej ocenić nie umie, Sułkowski nie dosyć szanuje duchowieństwo...

— A! mój Brühlu kochany—przerwał Lichtenstein—ja go znam, jak wy, a może lepiej, bo się przedemną nie maskuje, znam go, gdy był z królem w Wiedniu.

— Sułkowskiego obalić potrzeba—rzekł Brühl stanowczo.—Więcej nie żądam nic, ale tego dla dobra króla i państwa wymagać muszę. Naówczas ja się potrafię utrzymać sam, a we mnie mieć będziecie najwierniejszego sługę cesarskiego domu.

— Ale ten plan? ten plan?—powtarzał Lichtenstein—daj mi go, na wszystko się zgadzam.

Brühl jakby od niechcienia rękę prawą założył za suknię, szukając bocznej kieszeni; na ten znak książę drgnął, przysunął się, ręce obie podniósł.

W białych palcach powoli Brühl podniósł do góry papier, trzymając go przed oczyma księcia.

W chwili gdy z ręki jego miał on się przenieść już do ambasadora, zapukano do drzwi; kamerdyner oznajmił:

— Hrabia Sułkowski!

W mgnieniu oka papier znikł w kieszeni, a Brühl rozparty zażywał tabakę z małej emaliowanej tabakiereczki, którą już dobył z kamizelki.

Sułkowski stojąc w progu mierzył oczyma Lichtensteina i Brühla. Z większą ciekawością niż na posła, zwracał oczy na swojego towarzysza, który się pochylił i z uśmiechem doń dłoń wyciągał.

— Otoż to ranny ptaszek! Od młodej żony nazajutrz po ślubie już biega po ambasadorach. Sądziłem—mówił Sułkowski—żeście jeszcze u nóg swój pani.

— Obowiązki przedewszystkiém—odparł — powiedziano mi, że książę wyjeżdża do Wiednia, nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie złożyć mojego uszanowania.

— Książę wyjeżdża do Wiednia? — zapytał zdumiony Sułkowski, zabierając pierwsze miejsce na kanapie — nic o tém nie wiem.

Lichtenstein zdawał się nieco zakłopotany.

— Nie wiem jeszcze, może... może—wyjąknął po chwili—wczoraj coś podobnego powiedziałem na dworze, i widzę, że Brühl, który wie wszystko, wie już i o tém dzisiaj.

Zaśmiał się, Sułkowski ramionami ruszył.

— Więc to niepewna jeszcze...

— Nie wiem, ale być może—rzucając znaczące wejrzenie na Brühla—rzekł Lichtenstein.—Czekam na pewne depesze, jeśli te otrzymam, choć mi żal Drezno opuszczać, pojadę.

Rozmowa zwróciła się ku plotkom miejskim.

III.

Najpoufalsze stosunki łączyły jeszcze dwóch przeciwników, chociaż z obu stron rozpoczynała się walka dla oczu niewtajemniczonych nie dostrzeżona. Tego samego poranku Sułkowski z Ludovicim, powiernikiem swym mówili o zamążpójściu Kolowrathównój.

Ludovici podejrzliwszym był daleko od swojego naczelnika.

— Panie hrabio—rzekł mu—ożenienie to powinno nam dać do myślenia. Hrabia Brühl nie z jedną Kolowrathówną się ożenił, ale z dworem austryackim, z O. Guarinim, z Wielką ochmistrzą, a potrosze z królową.

Brühl jest jak miód słodki, ale podstawił nogę Fleuremu i Manteufowi, ale wyrócił Wackerbartha i Hoyma; wpakował na Königstein Watzdorfa i Hoym się z jego łaski obwiesił: ja Brühlowi nie wierzę.

Sułkowski śmiać się zaczął i ramionami ruszył.

— Mój Ludovici—rzekł z dumą—pamiętaj kto oni byli, a kto ja? Mnie on razem z O. Guarinim i Austryakami nie obali... O. Guariniego i cały ten pułk Jezuitów ztąd wypędzę. Królowej dam dwór inny. Księża ci mi już dokuczyl: nie lubię ich.

Co się tyczy Watzdorfa i Hoyma, mylisz się; ja sam ich oddaliłem, ja, nie on.

— To jest on, rękami w. ekscelencyi; *is fecit cui prodest*, jako adwokat pamiętam prawniczy ten aksyomat. Watzdorf mu pannę bałamucił.

— Już tylko ty w tych rzeczach dworskich nie ucz mnie rozumu—odezwał się Sułkowski—wiem ja co czynię, a żaden z was nie wie, jak stoję mocno.

— Ja o tém nie wątpię—rzekł sucho, kłaniając się Ludovici.

Krótką tą rozmową utkwiała jednak w pamięci Sułkowskiego. Chociaż nawet przed najpoufalszym ze swych powierników, jakim był Ludovici, nie wydawał się z tą myślą: hrabia oddawna nie dowierzał Brühlowi. Nadewszystko znaczącem wydawało mu się, iż na wzór jego, nieustannie był przy Fryderyku Auguste, towarzyszył mu wszędzie, i godzinami odbywał milczącą służbę razem z trefniami i O. Guarinim. Król się do jego twarzy przyzwyczajają. Kilka już razy dawała mu się czuć niebytność dłuższa Brühla i zapytywał się o niego. Zwolna nabierał doń nałogu.

Sułkowski nie mógł nawet przypuścić, ażeby to zagrażać mu miało, ale rywalów nie chciał, był zazdrosnym, pragnął być sam tylko w łaskach...

— Brühla oddalić należy—rzekł w duchu.—Znajdziemy pozór łatwo...

Króla należy przygotować.

Po obiedzie tegoż dnia, gdy król swoim zwyczajem wrócił do swych pokojów i natychmiast rozebrał się do koszuli,

aby wdziać szlafrok, siąść w krzesło i fajkę zapalić, Sułkowski był już na zwykłym stanowisku.

Tym razem nie sam. Do przedpokoju za nim wniesiono tajemniczą paczkę, którą odebrawszy od służącego, sam wniósł do królewskiego pokoju.

Król w czasie swojej włoskiej podróży karmiony był widokiem arcydzieł malarstwa włoskiego. Pragnąc być podobnym do ojca i przejąwszy jego zamiłowanie w muzyce i myślistwie, w wystawności, w teatrze, w jarmarkach nawet lipskich, przejął też miłość obrazów i dzieł sztuki. Z wielką namiętnością powiedzieć można, uganiał się za obrazami, lubował w nich i chciał zбоgacić niemi już znaczny za Augusta II związek geleryi drezdeńskiej.

Chcąc się przypochlebić N. Panu, nie było lepszego sposobu jak nastreczyć mu lub ofiarować piękne dzieło sztuki. Zimny zwykle i flegmatyczny August III na widok pięknego obrazu przeistaczał się, stawał innym człowiekiem, oczy mu się zapalały tak jak od śpiewu Faustyny... Myśl zdawała żywiej krążyć po głowie, usta nawet, zawsze tak oszczędne w słowa, zdoływały się na wykrzykniki i zdania.

W największym smutku godzina opery, lub oznajmienie obrazu, rozjaśniały lice króla. Sułkowski nie mniej od innych znał tę słabość swego pana.

August III dobywał właśnie pierwszego dymku z fajki, gdy Sułkowski ze szkatułką zjawił się na progu. Spoirzał nań, wyprostował się i nie mówiąc nic, rękę wyciągnął chciwie. Odgadł znać, co zawierała paczka, którą jego ulubieniec sam się nie wahał mu przynosić.

Oczy pańskie zajaśniały... Nie lubiąc mówić, nie rzucał fajki, ręką tylko i ruchem całego ciała naglił Sułkowskiego o pokazanie.

— N. Panie—odezwał się hrabia cicho—jest to arcydzieło sztuki, to pewna, ale... ale...

— Ale cóż?—bąknął król trochę namarszczony.

— Ale—mówił minister—przedmiot jest trochę za mytologiczny, i gdyby uchowaj Boże, Jój Królewiczowska Mość nadeszła...

Król sposepniał i przestał nalegać, twarz stała się poważną, poruszył głowę znacząco.

Sułkowski w kątku pokoju postawił pudełko: oko Augusta poszło za nim.

— A kto malował?—zapytał.

— Mistrz włoski—rzekł Sułkowski—jestto arcydzieło Tycyana; choć drobnego rozmiaru, ale przedziwnego wykonania.

Usłyszawszy nazwisko, król się skłonił, jakby samego Vecellego witał i szepnął:

— *Gran Maestro! Maestro!*

Sułkowski jakby już o obrazie nie było mowy stanął i zaczął co innego. Król popatrzał nań jakby nie rozumiał, słuchał, zamyślił się i sam do siebie rzekł:

— *Tropo mitologico!!* hm...

Po chwili gdy minister mówił już o polowaniu—przerwał:

— Co przedstawia?

Hrabia ręką w powietrzu zamachnął.

— Bardzo nieprzyzwoitą scenę.

— A! pfui! schowaj go! Gdyby królowa nadeszła, albo O. Guarini... a pfui!

Mimo to nie spuszczał król oka ze skrzyneczki.

— Najlepiej będzie gdy ja to precz wyniosę—odezwał się Sułkowski, zabierając się do paczki.

Nie śmiał król nic powiedzieć, ale się zmarszczył.

— Przecie co? co reprezentuje...

— Marsa i Wenere, w chwili gdy ich *in flagranti* Wulkan siecią obrzuca.

Król oczy przymknął, ręką potrząsł.

— Pfui, pfui—zawołał.

Sułkowski brał pod pachę obraz.

— No, widzieć dla malowania—odezwał się król—dla sztuki grzech powszedni, to się wypowiadam O. Guarini... trzy *pater* i po wszystkiém ..

Rękę wyciągnął. Sułkowski uśmiechając się nieco, otworzył skrzyneczkę, podniósł wieko, dobrał światło i zbliżył obrazek do kolan królewskich. Fajka wypadła patrzącemu z ręki.

Było to istotnie małe arcydzieło, wykończone jak miniatura, znany typ *téj belli* Tycyana, która mu do jego Venery i Danai służyła; cudnego wdzięku niewiasta, ale w istocie w nader mytologicznej sytuacji.

Król chciwie patrzył, a znać było, że się ciekawości swój i uwielbienia wstydział; zarumienił się, niby odpychał od siebie obrazek a jednak go nie puszczał. Powtarzał *Un gran Maestro!* i łąkał razem. Oczy jego iskrzyły się. Może zapomniał, że go kto słucha, może nie zważał na Sułkowskiego, i począł szeptać: Venus bardzo piękna... kształty klassyczne! co za wdzięk! co za śliczna *tavola*.

Nagle coś mu na myśl przyszło: obejrzał się, odsunął obraz, splunął, przeżegnał się i surowo rzekł:

— Precz z nim! precz z nim! Nie chcę gubić duszy... Co ty mi takie pokazujesz rzeczy...

— Ale malowanie, N. Panie.

— Mistrz jest, ale precz z nim, precz z nim.

Sułkowski prędko zamknął skrzyneczkę i myślał ją wynieść, gdy król go za rękę wstrzymał.

— Czekaj, lepiej jest aby się drudzy nie gorszyli; postaw ją, tam w kącie; potem obaczmy... spalimy...

— Takie arcydzieło?

Król zamyślony umilkł i fajkę palił. Minister zsunął paczkę za kanapę i wrócił na swe miejsce. Pod wrażeniem obrazu ciągle August mruczał: *Diavolo incarnato!* i ruszał ramionami; ale obrazek bardzo piękny... Gdyby nie było tam Marsa i gdyby Venus mogła się przerobić na pokutującą Magdalenę, powiesiłbym ją w pokoju.

— N. panie, w rzeczach sztuki niema nic nieprzyzwoitego: ceni się pędzel mistrza.

Król milczał.

— I muszę się spowiadać O. Guariniemu.

— Najj. panie — rzekł dosłyszawszy Sułkowski — sam Padre z przyjemnościąby popatrzał na to arcydzieło i wcaleby o spowiedzi nie myślał.

— *Siete un birbante!* — mruknął król — *Tace, basta!*

Skończyła się tedy rozmowa o Wenerze Tycyana, a że Brühla nie było, król kilka razy o niego się upomniał. Sułkowski westchnął. Oczy Augusta podniosły się na niego.

— Brühl, jak widzę, z łaski W. K. Mości mnie ruguje — odezwał się hrabia — boli to mocno starego sługę wiernego. Przyznam się, że za toż samo jużbym go mógł nie lubić.

Król odchrząknął znacząco.

— Nie przeczę, że pożyteczny człowiek, ale ma swe wady, —mówił Sułkowski—obawiam sięgo. Miesza się do wszystkiego, zagarnia wszystko... pieniędzmi rzuca, zbytek lubi...

— O! o! o!—przebąknął król, głową trzęsąc.

— Tak jest N. panie.

— Mój ojciec go cenił—rzekł krótko August III—to dosyć. Sułkowski zamilkł, ale smutnie; królowi się go żal zrobiło.

— Nie lękaj się Sułkowski—rzekł—na was dwa miejsca dosyć, a tyś u mnie zawsze pierwszy.

Po tych wyrazach, które już stanowiły wysiłek ze strony milczącego zwykle Augusta, Sułkowski przyszedł do ręki pańskiej i z przejęciem ją ucałował. Król przycisnął go do piersi.

— Ty mój stary przyjaciel, ale Brühl mi potrzebny.

Nie szło téż Sułkowskiemu na ten raz o pozbycie się współzawodnika, chciał tylko zagaić tę sprawę, obiecując sobie do niej powrócić i powoli działać na króla. Nie mógł się wprawdzie uskarżać na Brühla, ale widział z pewnym niepokojem, że się do niego August przywiązywał coraz więcej.

Król pykał już fajkę siedząc wyprostowany, zamyślony, mrugając tylko brwiami i oczyma jak miał zwyczaj, gdy czuł że mu na świecie wcale dobrze było; wtém puknięto skromnie. Oznaczało to jedną z osób uprzywilejowanych, które do pokoju pańskiego miały przystęp zawsze bez oznajmienia i nie mógł to być kto inny, chyba O. Guarini albo Brühl. Wszedł powoli Padre ze skromnym uśmieżkiem i złożonemi rękami, król go skinieniem głowy przyjacielskim powitał, chrząknął i fajkę palił, okiem mrugając. Sułkowski stał trochę opodal milczący.

Oko jezuity sznurkując po pokoju, padło na skrzyneczkę za kanapą. Wstał Padre i jakby zdziwiony przytomnością tu sprzętu nieznanego sobie, wybrał się w podróż dla sprawdzenia coby to było. Na widok tego pochodu, którego cel łatwo było odgadnąć, król się mocno zarumienił i z wymówką spojrzął na Sułkowskiego. Minister poskoczył, zabiegł księdzu drogę i szepnął mu coś na ucho, a August wcześniej się uniewinniając, mruknął Guariniemu:

— Ja nie widziałem, nie chciałem na to patrzeć: mytologia.

— E!—śmiejąc się odparł Ojciec—W. K. Mości mytologia może być niebezpieczną, ale mnie staremu...

Sułkowski wstrzymywał, Ojciec nalegał, król był mocno zawstydzony i zakłopotany, marszczył się na ministra. Guarini nie chciał ustąpić i powtarzał: — A! kiedy już tu jest, zobaczyć trzeba.

Położenie Sułkowskiego stawało się przykrém, gdyż obrazem tym niejako króla kompromitował, który chciał uchodzić w oczach ludzi za człowieka surowych obyczajów.

— *Sentite!*—zawołał Guarini do Sułkowskiego — jeśli mi nie pokażecie obrazu, mogę sądzić, żeście tu nie wiem jaką przynieśli szkaradę i że chcąc razem dwom bogom służyć: rządząc państwem i zajmując się sztuką, jedno z dwojga nie ciekawie spełniacie, bo: *Chi due lepri caccia, una non piglia e l'altra lascia...* (kto na dwa zające poluje, jednego nie złapie, a drugiego wypuści).

Ostatnia przymówka ubodła Sułkowskiego i poszedł do skrzynki, a jezuita za nim. Król ku oknu głowę odwrócił. Uchyłono wieko: O. Guarini przysiadł na ziemi i uderzył w ręce:

— Arcydzieło!—zawołał—*miraviglia!* Ale cóż mówicie, że obraz nie moralny: owszem! Winowajców spotyka zasłużona kara, Wulkan ich łapie, a Wulkan tu *sensu paganorum* wystawia sprawiedliwość Bożą. Co się tyczy Wenerę! biédaczka trochę nieubraną *ma...*

Jezuita ręką machnął. Król nań spojrzął i rozśmiał się uszczęśliwiony z tego wykładu, wołając na Sułkowskiego:

— Pokaż tu! pokaż tu!

Minister niósł obraz znowu. Z widoczném zajęciem przypatrywał się król pięknej Wenerze, gdy co mogło najokropniejszego się stać, czego najbardziej obawiali się wszyscy, to właśnie przyszło jak nieuchronna kara za niepotrzebną ciekawość.

Wszyscy nachyleni zachwycali się tą nieszczęsną Wenerą Tycyana, gdy drzwi otwały się jakby piorun uderzył, drzwi od pokojów królowej. Królowa Józefina jak widmo mściwe, ze swą dumną twarzą habsburską i niemikami rysy, ukazała się w progu.

W mgnieniu oka zapadło wieczko, O. Guarini cofnął się ku oknu; król wyprostowany patrzył w sufit, a Sułkowski

z paczką swą uchodził zręcznie, ukryć się ją starając. Lecz przed oczyma podejrzliwej i zazdrośnej kobiety, może ujść cokolwiek? Królowa Józefina jednym rzutem oka objęła wszystko, odgadła, zarumieniła się, brwi zmarszczyła i posunęła się żywo ku królowi, który powoli wstawał na jęj przyjęcie.

— Mamy dziś operę—rzekł—Faustyna śpiewa.

— Tak—odparła królowa, patrząc na Sułkowskiego—ale widzę, że tu mieliście inną zabawę, któręjbym i ja była ciekawa. Cóż to jest, z częm się hrabia tak starannie ukrywa?

Królowa Józefina sama zajmowała się malarstwem i lubiła dosyć sztukę, łatwo jęj po formie paczki odgadnąć było co zawierała. Król znając jęj surowość i nadzwyczajną skromność dochodzącą do przesady, zmieszał się.

— Dosyć sobie ciekawe malowidęłko—rzekł król—trochę swawolne, mytologiczne...

Józefina zarumieniona i gniewna spojrzęła na Sułkowskiego.

— Ja tęż bardzo cenię sztukę—rzekęła—ale nie tę, która służy najgminniejszym instynktom zwierzęcym człowieka; najpięknieszy pędzel nie okupi niepoczciwęj myśli.

Mięła królowa przeczucie, że jęj nie wypadało nalegąć na pokazanie obrazu, lecz wystawięła go sobie może gorszym niż był i Sułkowski łatwo odgadł, iż mu mięła za złę karmienie króla podobnemi widokami. W istocie brzydkięj królowęj zdawało się zawsze, iż któs jęj męża odbierze, że go dworacy wcięgna w podobne miłostki jak ojca, a drogę do nich uważęła nastęrczanie Augustowi tego rodzaju widoków.

O. Guarini bardzo zręcznie rozmowę odwrócił, Sułkowskiego osłonił, króla uratował i zaczął mówić o kłótniach aktorów włoskich, które on zawsze godzić musiał, a te dziś ledwie uśmierzone, jutro z nowę gwałtownoścę się odradzęły.

Królowa Józefina pozostała zamyślone i posępnę, nie umięła ona uczuć swych tać i nie potrzebowała z niemi się ukrywać. Król wiedział, że w cztery oczy dostanie surowę admonicyę, za dawanie zbytich przywilejów i swobód Sułkowskiemu... westchnęł tylko i wyględał godziny opery, aby zapomnieć w muzykalnym zachwycie o wszystkich troskach nieodłącznych od życia ludzkiego, nawet na takim tronie, na którym przez

pół dnia można było fajkę palić w szlafroku, okiem mrugając i uśmiechając się fantazyjom powolnie grającej imaginacyi.

Sułkowski i O. Guarini wysunęli się zaraz, zostawując małżeństwo sam na sam z sobą, co było najlepszym sposobem przywrócenia królowej dobrego humoru.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kilka słów z podróży.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Archeologiczną wycieczkę moją, w czerwcu roku 1873 zacząłem przybywszy do Warszawy od zwiedzenia piaszczystych pagórków i wydm koło Nowej Pragi, w miłym towarzystwie profesora J. Przyborowskiego, który przed kilku laty robiąc w tych miejscach poszukiwania, pierwszy napotkał krzemienne ślady starożytnego pobytu człowieka. Ponieważ miejscowość ta była już od owiej chwili celem wielokrotnych wycieczek tak pana Przyborowskiego jak i innych starożytników z Warszawy, nic więc dziwnego że owocem moich poszukiwań, była tylko garść uzbieranych na piaskach pospolitych wiórów krzemiennych, ręką ludzką w starożytności łupanych, tudzież trochę czerepów dawnych naczyń z gliny i tłuczonego granitu. Powierzchnia tych wydm, przez działanie wiatrów zmienia się ciągle, a ztąd piaski owe dostarczają niezawodnie nie jeden jeszcze przedmiot w rodzaju znalezionych tu pięknych bełtów ¹⁾.

¹⁾ Gdy starożytnicy, którzy brali udział w poszukiwaniach i odkryciach koło Targówka, Grochowa i Pragi, ogłosili już lub zapewne ogłoszą swoje sprawozdanie, niech mi wolno tu będzie wspomnieć o dorywcozj mojej wycoeiosze w kwietniu r. 1872. Przybywszy wtedy na Pragę i poznawszy uprzejmego dra. Wład. Kryżę'go, który pokazał mi kilkanaście popielnic, naczyń i ciekawych wielkich przykryw kształtu dawonów wykopanych na Targówku, udałem się z jego domu pieszo za rogatki Żąbkowskie. Błądząc długo po oko-

Z Warszawy udałem się na statku parowym do Płocka. Podróż to nie dla starożytników, bo statek leci a leci, gdy archeolog chciałby się zatrzymać tu i owdzie na wybrzeżach, za którymi goni jego ciekawe oko. Témbardziej czułem dziś niedogodność takiej podróży, że właśnie była to rocznica mojej wycieczki wzdłuż Niemna, gdzie mając swoje łódkę zatrzymywałem się lub przewoziłem stosownie do potrzeby ¹⁾. Teraz poprzestać tylko musiałem na zanotowaniu kilku nadbrzeżnych miejscowości (koło Cząstkowa czy Dębiny i pod Nowym dworem), które zasługują na zbadanie.

Otóż i sędziwy Płock, do którego poraz pierwszy przybywam, i starożytny tum, w którym mam klęknąć przy grobach Piastów. Po chwili z wysokości góry na której wzniesiono tę świątynię i zamek, poitem oko wspaniałem okiem na zawiśle. Wśród szerokiej równiny będącej prastarém wód łożyskiem, widać tam piaszczyste wzgórki ciągnące się od wsi Radziwia ku Popłacinu. Zapewne były na nich osady przedhistoryczne, tak mi się przynajmniej z położenia wydało, lecz nie zdążyłem zwiedzić téj miejscowości mając w zamiarze poznanie innéj okolicy. Jakoż nazajutrz o wschodzie słońca wyruszyłem pieszo w stronę zamiejskiej karczmy Grabówki, gdzie zaczynają się nad Wisłą piaski ciągnące się blisko trzy ćwierci mili do wsi Osńicy. O miejscowości téj którą zwiedził w r. 1870 professor Przyborowski a w następnym s. p. Przeddziecki, pisano już kilkakrotnie, jak wiadomo, i mówiono na kongresie w Bononii.

Koło saméj wzmiankowanej karczmy nic nie znalazłem godnego uwagi, a dopiero dalej ku wschodowi pokazano mi miejsce, gdzie prawie na krawędzi wiślanego wybrzeża professor Przyborowski wydobyl pewną ilość popielnic. Tutaj napotkałem tylko mnóstwo cze-

licznych polach zauważyłem nareszcie w pobliżu chaty starego wieśniaka Maciejewskiego (między koleją petersburską a żwirówką radzymińską) rozproszone na piasku czerepy podobne do tych, jakie zwykle w miejscach osad z czasów użytku krzemienia znajdowałem. Nie mając narzędzi, zacząłem tu i ówdzie grzebać rękami i wkrótce wydobylem znajdujące się pod wierzchem dwie stłuczone, dość duże popielnice z kośćmi. Gdy następnie dowiedziałem się od wspomnianego starca z poblizkiej chaty, że kilkanaście już podobnych naczyń zniszczono tu dawniej przy braniu piasku, prosiłem go, aby w razie podobnego odkrycia, zachował dla mnie wszystko co się znajdzie; jakoż w kilka tygodni później dostałem od niego trzeoia, lepiej zachowaną popielnicę z mnóstwem przepalonych kości.

¹⁾ Opis téj pełnej drobnych przygód i wrażeń podróży, drukowany w *Kronice Rodzinnej* z r. 1873 i 1874, jest pracą zupełnie oddzielną od archeologicznego artykułu: *Osady z czasów użytku krzemienia nad Niemnem i na Podlasiu*, pomieszczonego w I-ym tomie wydawnictwa: *Wiadomości archeologiczne* s. 97 za rok 1873.

Z Warszawy udałem się na statku parowym do Płocka. Podróż to nie dla starożytników, bo statek leci a leci, gdy archeolog chciałby się zatrzymać tu i owdzie na wybrzeżach, za które goni jego ciekawe oko. Témbardziej czułem dziś niedogodność takiej podróży, że właśnie była to rocznica mojej wycieczki wzdłuż Niemna, gdzie mając swoje łódkę zatrzymywałem się lub przewoziłem stosownie do potrzeby ¹⁾. Teraz poprzestać tylko musiałem na zanotowaniu kilku nadbrzeżnych miejscowości (koło Cząstkowa czy Dębiny i pod Nowym dworem), które zasługują na zbadanie.

Otóż i sędziwy Płock, do którego poraz pierwszy przybywam, i starożytny tum, w którym mam kłęknąć przy grobach Piastów. Po chwili z wysokości góry na której wzniesiono tę świątynię i zamek, poitem oko wspaniałem okiem na zawiśle. Wśród szerokiej równiny będącej prastarém wód łozyskiem, widać tam piaszczyste wzgórki ciągnące się od wsi Radziwia ku Popłacinu. Zapewne były na nich osady przedhistoryczne, tak mi się przynajmniej z położenia wydało, lecz nie zdążyłem zwiedzić tej miejscowości mając w zamiarze poznanie innéj okolicy. Jakoż nazajutrz o wschodzie słońca wyruszyłem pieszo w stronę zamiejskiej karczmy Grabówki, gdzie zaczynają się nad Wisłą piaski ciągnące się blisko trzy ćwierci mili do wsi Ośnicy. O miejscowości tej którą zwiedził w r. 1870 professor Przyborowski a w następnym ś. p. Przedziecki, pisano już kilkakrotnie, jak wiadomo, i mówiono na kongresie w Bononii.

Koło samej wzmiankowanej karczmy nic nie znalazłem godnego uwagi, a dopiero dalej ku wschodowi pokazano mi miejsce, gdzie prawie na krawędzi wiślanego wybrzeża professor Przyborowski wydobyl pewną ilość popielnic. Tutaj napotkałem tylko mnóstwo cze-

licznych polach zauważyłem nareszcie w pobliżu chaty starego wieśniaka Ma-oiejewskiego (między koleją petersburką a żwirówką radzymińską) rozproszone na piasku czerepy podobne do tych, jakie zwykle w miejscach osad z czasów użytku krzemienia znajdowałem. Nie mając narzędzi, zacząłem tu i owdzie grzebać rękami i wkrótce wydobylem znajdujące się pod wierzchem dwie stłuczone, dość duże popielnice z kośćmi. Gdy następnie dowiedziałem się od wspomnianego starca z pobliskiej chaty, że kilkanaście już podobnych naczyń zniszczono tu dawniej przy braniu piasku, prosiłem go, aby w razie podobnego odkrycia, zachował dla mnie wszystko co się znajdzie; jakoż w kilka tygodni później dostalem od niego trzeoia lepiej zachowaną popielnicę z mnóstwem przepalonych kości.

¹⁾ Opis tej pełnej drobnych przygód i wrażeń podróży, drukowany w *Kronice Rodzinnej* z r. 1873 i 1874, jest pracą zupełnie oddzielną od archeologicznego artykułu: *Osady z czasów użytku krzemienia nad Niemnem i na Podlasiu*, pomieszczonego w I-ym tomie wydawnictwa: *Wiadomości archeologiczne* s. 97 za rok 1873.

repów z urn, a na pobliskich piaskach znalazłem nieco starych wiórów krzemiennych i jeden z takich paciorków glinianych, o jakich wspomina ś. p. Przewdziecki. Postępując dalej ku Ośnicy, znajdowałem coraz obficiejsze łupany krzemień rozmaitej barwy (jak i nad Niemnem ta różnorodność widzieć się daje).

Tych wiórów krzemiennych musiało tu być dawniej jeszcze więcej, bo przypuścić trzeba, że przez czas użytku krzesiwa i skałek do broni palnej, wzięto ich ztąd niemało na te przedmioty, a i na miejscu może kruszono stare zabytki. Nic atoli łatwiejszego jak wśród okrzosków i ułomków krzemieni, podłużny sposób łupania przez starożytnych mieszkańców, dokonywany wedle charakterystycznego systemu odróżnić od ręki późniejszej, lub poznać pokruszenie naturalne krzemieni, jakie w pokładach naszych żwirów znajdujemy. Za naszych zresztą czasów przestano używać krzesiwa i skałek do broni, pamiętamy więc, iż wyrabiacze ich nie działali wcale takich rdzeni i wiórów starożytnego kształtu czyli neklausów i ich dopełnień. Nie rad jestem wdawać się w dowodzenie rzeczy dawniej i lepiej przez innych starożytników dowiedzionych, i dlatego w przedmiocie tym odsyłam do Lubbock'a, który jasno starożytny system łupania krzemieni wyłożył. Jak błędnie byłoby dziś uważać wszystkie okrzeski i kawałki krzemieni za łupane w starożytności, tak równie błędnie posądzać rdzenie krzemienne i ich regularne o ostrych brzegach dopełnienia za wyrób z czasów późniejszych. Gdyby to były wyrobnie *skalek*, to i te wszystkie groby kamienne, żalniki, popielnice, młotki, celty, brzozy, ślady osad, bełty z krzemienia i t. d. obok nich i wśród nich prawie wszędzie znalezione, odnieśćby trzeba do epoki broni palnej. Wiadomo bowiem że na kilkadziesiąt miejscowości gdzie znaleziono w kraju naszym rdzenie, wióry i bełty krzemienne, tylko w kilku nie doszledzono jeszcze obok nich śladu pogańskich grobów, a wszędzie za to inne szczątki przedwiekowego pobytu człowieka. Nie odnosi się to wyłącznie do kraju naszego, ale stosuje do wszystkich innych, gdzie np. rdzenie, wióry, bełty i narzędzia krzemienne znaleziono w nader znacznej ilości tak w jaskiniach troglodytów, jak grobach uważanych za najstarsze lub na brzegach Jutlandyi. Kształty i typy tych przedmiotów tak wybornie odpowiadają naszym z nad Wisły, Niemna lub pieczar Ojcowa, iż w niewiadomości sądziłoby trzeba, że wszystkie przy jednym wykonano warstacie.

Ś. p. Eustachy Tyszkiewicz w swoich *Badaniach Archeologicznych*, wydanych r. 1849, podobno pierwszy u nas podał rysunek krzemienego rdzenia i wióra (fig. 5 i 7 na tablicy IV). Ale rdzeń ten, (znaleziony w Zawierzu na Litwie), mylnie badacz poczytał za niedokończony klin, jak to sam później przyznawał, odszczep zaś przywieziony był ze Szwecyi. W kilka lat później, ukazały się z krzemieniami przedmiotami *Wykopalska Leżajskie*, aż wreszcie i uczonej Zachodu oznajmił w Bononii p. A. Przewdziecki o naszych

ślacjach krzemiennych, które bardzo zainteresowały zmarłego badacza.

W obec licznych uczenie napisanych rozpraw i zdań starożytników Zachodniej Europy o wyrobach i użytku krzemienia, nie równie gruntownego w piśmiennictwie naszym nie mając, korzystając powinniśmy z tych owoców głębokich i sumiennych badań. Sam, np. w poglądach moich na ten przedmiot, stosowałem się do zdań znakomitego Lubbock'a, który w III-im rozdziale swego dzieła *Człowiek Przedhistoryczny*, traktującym o użytku kamienia w starożytności, wyjaśnia sposoby i prawa łupania krzemieni i tworzenia się wiórów i nukleusów, których rysunki uczony ten podaje (fig. 61—69). Jakie mnóstwo przedmiotów tego rodzaju zebrali pierwszorzędni, zagraniczni badacze do zbiorów publicznych i prywatnych, dowodzą spisy muzeów, liczące ich już nie na tysiące, ale na dziesiątki tysięcy. Herbst, posyłając Lubbock'owi spis narzędzi kamiennych z muzeum w Kopenhadze, wymienia w nim 300 wiórów krzemiennych „*éclats de silex*;" Lubbock zaś pisze: „Aby dać wyobrażenie o ilości tych przedmiotów, mogę powiedzieć, że prof. Steenstrup i ja, nazbieraliśmy w ciągu mniej więcej godziny w Froelund przy Korsoer 141 wiórów (*éclats*), 84 ciężarków, 5 siekiér. 1 skrobaczkę i około 150 kawałków krzemienia; a w miejscu podobnym, około Aarhus w Jutlandyi, nazbierałem sam w półtrzeciej godziny 76 ciężarków, 40 wiórów, 39 skrobaczek, 17 kołców i znakomitą liczbę odłamków krzemiennych ¹⁾. Co Lubbock rozumiał przez te nazwy, objaśniają rysunki jego dzieła.

Kraj nasz nie okazał się uboższym od innych, ale może przeciwnie, gdy zważymy, jak wielkie mnóstwo tych przedmiotów znalazł pan Zawisza w jaskiniach ojcowskich, professor Przyborowski na Mazowszu, a ja nad Niemnem i na Podlasiu. Że owe niezliczone wióry krzemienne, znalezione na piaskach obok przedziwnej roboty bełtów, należą do jednej z niemi epoki użytku krzemienia, (a nie do czasów broni skałkowej), na to są aż nadto wystarczające dowody, boć nawet nie możnaby przypuścić, aby przy wiekuistej potrzebie rozlicznych narzędzi i zajęć, nic więcej tylko bełty wyrabiano z krzemienia. Czémże np. krajano wtedy skóry i drzewo, czém zrobiono ten sam łuk, z którego owe strzały wypuszczano? Gdyby do wszystkiego miano już narzędzia metalowe, upowszechnione, to i bełty robionoby z kruszcu, a nie z krzemienia. Niewątpliwem jest, że w czasach pierwotnej cywilizacji każdy przedmiot nadający się do jakiegoś użytku, np. twardy i ostry, czyto drzewo, czy kość, kamień lub kruszec, mógł być narzędziem człowieka. Krzemień łupający się na podłużne, płaskie, ostre i kończaste wióry czyli

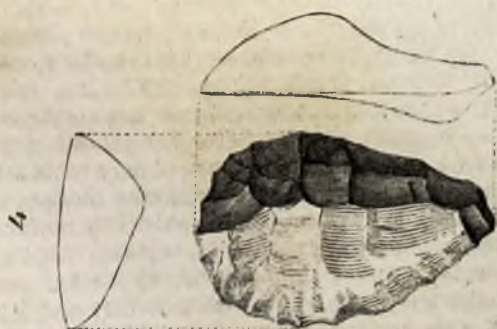
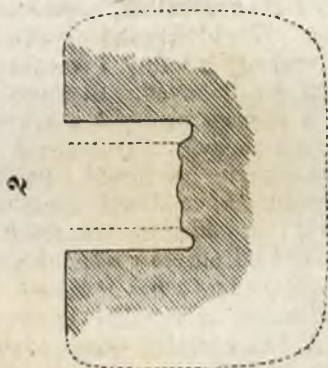
¹⁾ L'homme avant l'histoire p. 62, 83.

odszczepty, wybornie odpowiadał w wielu razach. To téż użytek jego był powszechny i ciągnął się przez czasy bardzo długie, gdy z jednéj strony widzimy narzędzia i wióry krzemienne w zwirach diluwialnych i najstarszych ogniskach jaskiniowych, a z drugieję u Azteków, którzy, jak opisują naoczni świadkowie, Hiszpanie (np. Torquemada), łupiąc obsydian podobnie jak krzemień, używali ostrych jego odszczepów w miejsce nożów. Aby przekonać się praktycznie, o ile wióry krzemienne mogły do czego służyć, wybrawszy jeden ostry, przekroilem nim w ciągu kwadransa dość gruby kij z surowego drzewa i w podobnymże czasie wyrzezałem na kiju kilkanaście karbów ćwierćcalowej głębokości. Dalej przekroilem pasek surowcowej skóry i przez skrobanie zrobiłem z kości kolec podobny do starożytnych. Ostre brzegi wióra przy robotach tych, dostały nieco drobnych szczerb, jakie na wielu znalezionych napotyamy ¹⁾.

Człowiek przy różnaitości zajęć, potrzebując różnorodnéj formy narzędzi, korzystać musiał często i z przypadkowego kształtu odszczepów, nadających się do tego lub owego, np.: do krajania, przekłania, gładzenia, skrobania i t. p. A choć nieraz wyrabiał z wiórów potrzebne narzędzia, to wszystkich tych odszczepów za niedokończone i zepsute w robocie instrumenta uważać nie można, ani téż z ich przypadkowo dziwacznych kształtów i podobieństw wysnuwać znaczenie osobliwszych przedmiotów. Już z téj saméj przypadkowości kształtów wypływa, iż tysiące wiórów mogło się nie udać i do niczego niezdatne odrzucone zostały, a które wartoby w ogóle nazywać *okrzoskami*.

Powiedziawszy tych słów kilka w ogóle o krzemieniach, co uważałem za stosowne, gdy mowa o najobfitszém nad Wisłą *stacy krzemiennej*, (jak nazywa Przeddziecki), powracam z czytelnikiem do Ośnicy, pod którą na kilkunastu morgach piasków nienprawnych i roślinnością niepokrytych, znajduje się najwięcej łupanego krzemienia. Tam właśnie (na północ-zachód od wioski), znalazłem także sześć pięknych, sercowatych, maleńkich bektów, a tu i owdzie, rozgrzebując piasek, natrafiłem w pewném miejscu na płaskie, kamienne narzędzie około cala grube, dwa i pół w pośrodku szerokie i przeszło 8 cali długie. Kamień ten, przedstawiony tu pod liczbą 1-szą, miał jeden bok wydatny, przeznaczony widocznie do wygodnego trzymania w ręku, drugi zaś arcyregularnie, wypukło oszlifowany. Ta regularna wypukłość, nadająca mu charakter epoki kamiennéj,

¹⁾ Już po napisaniu niniejszego artykułu, dowiedziałem się od p. Karola Beyera, że i on robił podobne próby z odszczepami krzemieni, tudzież na wystawie powszechnej w Wiedniu oglądał liczne ich egzemplarze i podobizny z gipsu wykonane.



CZYTELNIA
LUDOWA
W CIESZYNIE.

zdaje się dowodzić, że nie ostrzono na nim przedmiotów metalowych, bo w takim razie, znajdowałyby się tylko wklęsłości, jakie widzimy na dzisiejszych osełkach i toczydłach do ostrzenia nożów, kos i siekiér używanych. Kamienie z takim samym wypukłym bokiem, ale owalnego kształtu, znajdowane są na Litwie.

Z przedmiotów kruszcowych znalazłem tylko kilka kawałków brązowego pokrytego patyną drótu i kilkanaście gwoździ żelaznych, które, jak sądzę, pochodzą z trumien, w jakich grzebać się mogli tutaj późniejsi mieszkańcy Ośnicy. Wiadomo bowiem, że dawniej każda wieś miała swój poblizki grzebalnik, często na miejscu dawniejszego pogańskiego będadcy. Wśród krzemieni zbierałem rozproszone na piasku, starożytne czerepy z gliny i tłuczonego granitu, niektóre z naczyń niewielkich a ozdobnych. Ciekawe okazy tych zabytków znajdują się także w zbiorze profesora Przyborowskiego, a jakkolwiek nie mamy całych naczyń, to jednak ich szczątki, wzięte razem ze znalezionymi przezemnie na Litwie i Podlasiu w miejscach osad z czasów użytku krzemienia, stanowić mogą dość ważny przyczynek do ceramiki krajowej i na oddzielny rozdział koniecznie zasługują.

O kilkaset kroków od piasków ośnickich, z drugiej strony wioski, pokazano mi miejsce, gdzie z krawędzi wybrzeża Wisły osypywały się popielnice i znaleziono szczególną skrzynię z wypalanej gliny, o której wspomina A. Przeddziecki pisząc dwukrotnie o *stacyi krzemiennej* pod Ośnicą (w Bibliotece Warszawskiej z r. 1871 i 1872) gdzie jak mówi „otwiera się pole do ściślejszych badań archeologicznych.” Podobno w tej samej miejscowości znaleziono po osypaniu się wybrzeża w czasie wylewu Wisły w lipcu 1867 roku, wśród popielnic, kilkadziesiąt srebrnych ozdób i monetę niemiecką z X-ego wieku, co znajduje się w moim zbiorze. To osypywanie się piaszczystych brzegów wzdłuż całej rzeki, w skutek podmywania ich przez wylewy, także działanie deszczów i osuwania przez chodzące po pochyłości zwierzęta i ludzi, jest podobnym zjawiskiem powolnych fizycznych przekształceń doliny i koryta Wisły, o jakich wspominałem gdzieindziej (o Niemnie). Przez to ubywanie wybrzeży, wszystkie groby pogańskie blisko koryta rzeki położone znikły nad Niemnem i Wisłą, lub znikają w naszych oczach. Wisła niegdyś głębsza, ale węższa niż dziś, w miarę poszerzenia stała się płytsza, bo piasek uniesiony z wodą z wybrzeży utworzył w ciągu tysięcy lat owe nieprzerwane mielizny w korycie rzeki. Dowodzą tego roboty podwodne na Wiśle, pod dnem której znaleziono wszędzie kilkadziesiąt stóp grubą warstwę ruchomego piasku ze szczątkami ślimaków i roślin.

Z Płocka udając się do Torunia, miałem zamiar odbyć tę drogę wzdłuż Wisły dla poznania brzegów Kujaw i ziemi Dobrzyńskiej, okoliczności atoli, które temu przeszkodziły, skierowały szlak mojej podróży na Gostynin do kolei Bydgoskiej. Droga ta dla gospodarza była bardziej zajmująca niż dla starożytnika, którego tylko

smutny los rzuca w czasie wycieczki na statek parowy, pociąg kolei lub brykę pocztową. I tak, wyjechawszy z Gostynina zobaczyłem tylko zdaleka stare grodzisko należące do pasma wzgórz sąsiednich, podobne do tych jakie nad Niemnem spotykałem. Przypominałem sobie, że już w XIII wieku na zamku gostyńskim siedzieli kujawscy i mazowieccy książęta, słynnym później z pobytu obcych władców wziętych do niewoli; lecz żaden z towarzyszków podróży nie umiał mnie objaśnić czy on zamek historyczny stał na tém grodzisku, czy w mieście? To znów nieubłagany pociąg kolei ani chciał zatrzymać się koło Włocławka, gdzie w pobliżu Wisły o pół mili od tego miasta, na piaskach koło wsi Łęgu i Papieżkiej osady, badacz historycznej przeszłości, pan Cezar Biernacki napotkał przed kilkunastu laty jakieś starożytne szczątki i ślady siedlisk i udzielił mi o tém wiadomości w czasie mego pobytu w Warszawie.

Gdy opis historycznych pamiątek Torunia nie odpowiada treści niniejszych słów kilku, przechodzę odrazu do muzeum starożytności założonego niedawno przy magistracie tego miasta. Muzeum to jest zbiorem zabytków różnego rodzaju i wartości. Epoka kamienia reprezentowana jest przez pewną liczbę toporków i klinów, tudzież kilkaset krzemiennych wiórów i okrzesków, które archeolodzy niemieccy zebrali w okolicach Torunia na miejscach osad z czasów użytku krzemienia. Między toporkami zauważyłem jeden z otworem niedokończonym, t. j. do połowy tylko wywierconym. Okazy podobne nie należą do wielkich rzadkości, gdy jednak sposób świrowania dziur w kamieniach nie zupełnie jeszcze wyjaśniono, podaję tu przecięcie otworu (licz. 2) wykazujące, że świder był narzędziem, które wprawione w ruch wirowy biegało po kole tego otworu zostawiając w środku rdzeń w rodzaju wałeczka. Eustachy Tyszkiewicz w swoich *badaniach*, podaje także rysunek podobnego toporka znalezionego koło Lidy (fig. 6 na tablicy IV), który o ile z niedokładnej litografii wnosić można, w ten sam sposób wiercono, tudzież przedstawia rdzeń (fig. 8) utworzony wśród otworu przy takiej robocie. Muzeum toruńskie posiada niewielką liczbę popielnic, między którymi znajduje się jedno naczynie nieco zbliżone kształtem do dzbanka, a ozdobione w gałązki i gzygzaki wryte na glinie po jej wypaleniu. Przemawiałoby to za autentycznością naczynia z tego rodzaju, ale ciekawszymi ozdobami ze zbioru generałowej Kickiej w Warszawie, podanego w wątpliwość.

Z Torunia wyruszywszy na Kujawy szlakiem przez Gniewków, Inowrocław i Bożejewice, stanąłem wreszcie nad Gopłem w Kruszwicy starożytnej. Po zwiedzeniu historycznych pamiątek, przypadkowo natrafiłem na miejscowego aptekarza, trochę starożytnika i geologa. Pokazywał on mi znaleziony w tej okolicy toporek kościany i kilka kamiennych, tudzież przez mikroskop cząstki ciał organicznych wydobyte z głębokości 500 stopowej przy poszukiwaniach soli pod Inowrocławiem. Na czarnoziemach kujawskich koło Bożejewice

znalazłem małą ilość dzikiego krzemienia a wcale nie natrafiłem na łupany ręką starożytnych. Płaszczyzny te (według geologicznego opisu Księstwa przez p. K. Karśnickiego) wyniesione są tylko około 14 stóp nad poziom Gopła, prawdopodobnie jednak nie były już zalwane wodami w czasach użytku krzemienia.

Z Bożejewic przez Strzelno i Mogilno udałem się do Poznania, gdzie zbiory Towarzystwa naukowego (wzorowo utrzymywane przez p. Feldmanowskiego, zacnego, uprzejmego i czynnego sekretarza Towarzystwa) znalazłem w kilku kierunkach wcale bogate. Popielnic np., naczyń glinianych i bronzów posiadają one nie mało; za to epoka kamienna jest uboższa, a z tak zwanych *stacyj krzemiennych* podobno nic tu jeszcze nie nadesłano, co ośmieliło mnie do ofiarowania garstki krzemyków z pod Ośnicy.

Z Poznania zrobiłem trzy wycieczki: do Gniezna, Kórnik i Żabikowa. W Kórniku, zwiedziwszy bibliotekę i bogate zbiory, zamierzałem udać się do nawodzisk (palafitów), jakich ślady na mieliźnie w poblizkim Bnińskim jeziorze odkryli panowie Przeddziecki z Działyńskim; dla wysokiego jednak stanu wody nie mogłem obejrzeć tej miejscowości. W naukowych zbiorach zakładu gospodarczego w Żabikowie znajdują się kości zwierząt przedpotopowych, jak np. mamuta i innych, znalezione w miejscowych pokładach żwiru, branego do drogi żelaznej. Pokłady te i miejsca wykopalisk obejrzałem szczegółowo dla przeświadczenia się, czy dolina wielkopolskiej Warty nie przyniesie nam, obok dyluwialnych zabytków zwierzęcych, także śladów pobytu człowieka, jak to szczęśliwszym starożytnikom Zachodu uczyniła Saôna, Somma, Tamiza lub Wawerney. Szczęście atoli p. Boucher de Perthes nie sprzyjało mi dzisiaj, bo nic nie zdobyłem oprócz kilku skamieniałych gąbek, zęba przedpotopowego konia (który znalazł mój towarzysz) i jednego krzemienia takiego prawie kształtu, jak podany przez Lubock'a pod licz. 131, a którego znaczenie dopiero się potwierdzi, jeżeli więcej takichże samych dostarczą żwiry żabikowskie.

Przybywszy z Poznania do Krakowa i dowiedziawszy się że p. Kirkor, wysłany przez Akademię Umiejętności, skutecznia właśnie poszukiwania pod wsią Kwaczałą o 4 i pół mili od starego naszego grodu, udałem się niebawem do powyższej miejscowości. Litewskiego archeologa zastałem rozkopującego z zamiłowaniem od dwóch tygodni cmentarzysko pełne popielnic, w których i brzozy nierządno się znajdowały. Na kwaterze p. Kirkora w Lipowcu oglądałem wydobyte popielnice, garneczki, miseczki i czerpaki różnej wielkości i kształtu. Niektóre miały gliniane uszka z dziurkami do uch bronzowych, jakie gdzieindziej przy popielnicach widziałem, a których tu brakowało. Wspólnie odkopaliśmy ogromną urnę, mającą do półtora metra obwodu, ale zgniecioną ciężarem ziemi. O kilkaset kroków od cmentarzyska, przy samej Kwaczale, w torfowisku przykrytym kilkstopową warstwą piasku (nawianego ze wzgórz sąsiednich w ciągu

wieków po wytrzebieniu lasów) znalazł p. Kirkor, idąc za wskazówką mieszkańców, liczne kłody różnej grubości i gatunku drzewa poziomo w kilku kierunkach i warstwach ułożone. Przestrzeń, którą p. Kirkor mógł odkopać, była za małą, aby z niej stanowczy dać wyrok o istocie i znaczeniu odkrycia. To pewna, że poziomo zostające kłody w jednolitej warstwie torfu przykrytej piaskiem, na którym drzewa rosłą, nie mogły być późniejsze od tych formacji; więc do przedhistorycznych czasów należą, w których np. o młynach wodnych nikomu się jeszcze nie śniło. Samo zresztą położenie miejscowości, która mogła przed wieki być bagnem lub jeziorem, ale nigdy korytem rzeki i strumienia, nie pozwala upatrywać tu szczątków młyna. Samo zaś ułożenie kłód poziomo jedno na drugich dowodzi, że to nie były leśne dzikie łomy, które nigdy w naturze nie układają się w ten sposób; brak zaś pali na tej małej przestrzeni nie jest jeszcze niczego dowodem, gdy mamy przeciw rozległe nawodziska niepalowe, ale na poziomo kładzioném drzewie wznoszone (*Mittheilungen der antiquarischen Gesellschaft*, 1860; *Zeitschrift für Ethnologie* i t. d.).

Prawie w takiej odległości jak od grobów pod Grabówką i Ośnicą, znaleziono także na piaskach pod Kwaczałą w pobliżu rzeczki Rudki (wpadającej do Wisły) dwa piękne krzemienne bełty i wiele takichże wiorów, rdzeni i okrzosków. Wszystko, co znaleziono pod Kwaczałą i Ośnicą, położenie nawet miejscowości, które porównywałem nad Rudką, Wisłą, Niemnem, Narwią, i t. d. przekonywa mnie, że to były prastare osady (zapewne) chrobackie, mazowieckie i litewskie z epoki użytku krzemienia pochodzące. Wszystko też co powiedziałem o tym użytku pod Ośnicą, daje się zastosować do Kwaczały. I tutaj nie mało może starożytnych nukleusów i wiorów skruszyła późniejsza ręka na krzesiwa i skałki; lecz czyż idzie zatem, abyśmy mieli potrącić nogą i nie podjąć takiego rdzenia jak pod lic. 3, takiej skrobaczki jak pod lic. 4 i pięknego okazu obrobionego krzemyka o pięciu bokach, jaki widzimy pod l. 5, a któremu nie dorównywa podany u Lubock'a pod fig. 69. Wszystko zaś to znalazłem pod Kwaczałą z panem Kirkorem, który z serdeczną uprzejmością dopomógł mi jeszcze do zwiedzenia zamku lipowieckiego, grodzisk wieńczących okoliczne góry, pokryte pięknym lasem, i niewielkiej pieczary w pobliżu jednego z nich położonej. Nie mając już czasu zwiedzić brzegów rzeki Chechło, nad którą (o ile z przejazdu koleją koło Chrzanowa wnosić mogę) prawdopodobnie znajdują się także ślady osad z czasów użytku krzemienia, udałem się z Lipcowa do Poręby, gdzie, obejrzawszy ślady pieczar, oczekujących biegłego badacza, powróciłem do Krakowa, zawadzivszy o zamek tęczyński, Tęczynek i Krzeszowice.

Dokonana w kilka dni później wycieczka nad San w okolicy Przemysła i Krasiczyna przyniosła mi skąpe archeologiczne owoce, bo i czas był krótki i malownicze brzegi tej rzeki w stronach owych nie należą podobno do bogatych w przedhistoryczne pamiątki. Góry

pokryte są tu odwiecznymi lasy, a żyzne nadrzeczne doliny prawie corocznie nawiedzane powodzią. Na później zaś musiałem odłożyć wędrowkę nad San dolny, gdzie bardziej płaskie okolice Leżajska posiadały osady z czasów użytku krzemienia, jak to z dziełka p. Karola Rogawskiego *O wykopaliskach leżajskich* wnosić trzeba.

O STANIE GOSPODARSTWA I PRZEMYSŁU WIEJSKIEGO W ROSSYI EUROPEJSKIEJ.

Zniesienie poddaństwa i uwłaszczenie ludności rolniczej, spowodowały ogromny przewrót społeczny i ekonomiczny w państwie rosyjskiem. Ponieważ Rossya jest krajem przeważnie rolniczym, przeto i ludność wiejska przeważająca ma w tym kraju znaczenie. Do tego gospodarstwo wiejskie podległe wpływom klimatu i wymagające znacznego kapitału uwięzionego, tylko stopniowo i wolnym krokiem może zdążać za postępem ogólnym. Reformy 1861 r. sprowadziły w krótkim stosunkowo czasie zmiany radykalne, w stosunkach tego gospodarstwa zjawiała się konieczność przejścia nagłego do innych systemów gospodarowania. Po kilkunastu latach nowego położenia rzeczy postanowił rząd poznać bliżej stan rolnictwa krajowego, przekonać się, jaki wpływ wywarły reformy 1861 r. na gospodarstwo tak szlachty jak i byłych poddanych, poznać stan przechodni ich gospodarstwa, jego wady i niedostatki, jak również jego potrzeby i jaką pomoc rząd może w ogóle rolnictwu wyświadczyć. Chciano także poznać jak nowe urządzenie społeczne byłych poddanych okazało się w życiu praktycznym, jakie są wady tego urządzenia i jakich zmian i dopełnień wymagają. Chciano nakoniec zbadać stan moralny i umysłowy ludności wiejskiej, wpływy jakie nadanie wolności i udzielenie samorządu gminnego na nią wywarły i poznać, o ile pomoc rządowa w tych stosunkach może być potrzebną i jakiego rodzaju ma być ta działalność. Zarządzono zatem badanie urzędowe

nakształt francuzkich *enquête administrative* i wydrukowany materyał, zebrany przez to badanie, mamy obecnie przed sobą. Ponieważ było ono prowadzone przy pomocy wszystkich środków, jakimi może rozporządzać administracya i powoływane były także osoby prywatne kompetentne do wypowiedzenia swych poglądów i opinii, przeto zebrany materyał jest najdokładniejszy, na jaki w czasach obecnych zdobyć się można, szczególnież kiedy wydrukowano nie tylko sprawozdanie wysadzonej komisyi, ale też, jakby dla kontroli opinii publicznej, wszystkie zebrany przez nią materyał *in extenso*. Zebrany ten materyał ma wielkie znaczenie praktyczne, albowiem położenie rynku zbożowego w Europie i współzawodnictwo, do którego stają i państwa poza europejskie, szczególnież Stany Zjednoczone Ameryki północnej, zmuszają Rossyę, jako handlującą szczególnie produktami rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego, do energicznego prowadzenia gospodarstwa, aby produkta jego nie zostały usuniętemi z rynku międzynarodowego. Materyał zatem, zebrany przez komisję, oraz wnioski jej muszą wpłynąć stanowczo na stosunki rządu do rolnictwa i zawierają wskazówki dla postępowania przyszłego administracyi. Dla zaznajomienia czytelników ze stanem rolnictwa w Rossyi dajemy najprzód [krótki rys jego położenia według materyałów zebranych przez komisję, następnie zapoznamy ich z głównymi wnioskami komisyi i środkami pomienionymi przez nią zaleconemi. Zaczynamy od samej komisyi.

Przez rozkaz Najwyższy z dnia 26 maja 1872 r. wysadzoną została komisya pod prezydencyą ministra dóbr państwa dla zbadania stanu rolnictwa w Rossyi; rozpoczęła ona swoje czynności 21 listopada 1872 r., zamknęła je 28 kwietnia 1873 r. po 52 posiedzeniach. W skutek wezwania ministra dóbr państwa, komisya otrzymała 958 piśmiennych uwag i sprawozdań ze źródeł najrozmaitszych; tak od osób piastujących rozmaite urzędy, jak np. od gubernatorów, marszałków szlachty, prezesów i członków rad ziemskich i t. p., jak również od osób prywatnych. Prócz tego komisya, na mocy danego jej upoważnienia, wezwała do osobistego stawienia się przed sobą i przesłuchała 181 osób różnych stanów i zajęć, które dały 3303 odpowiedzi zapisanych stenograficznie. Ogólne sprawozdanie komisyi zawiera prócz protokółów posiedzeń i treściwego przedstawienia swych prac (докладъ) jeszcze siedm dodatków obejmujących: a) zebranie systematyczne wiadomości o położeniu obecném gospodarstwa i przemysłu wiejskiego; b) uwagi o wadach tego gospodarstwa i przemysłu; c) zebranie proponowanych środków dla usunięcia tych wad; d) ogólne tablice statystyczne; e) uwagi członków komisyi i innych osób; f) odpowiedzi stenografowane osób wezwanych do komisyi; g) opisanie dóbr podług wiadomości zebranych przez Towarzystwo wzajemnego kredytu ziemskiego. To sprawozdanie komisyi i dodatki zapełniają 5 in fol. tomów.

W dodatku a znajdują się wiadomości z 900 przeszło źródeł, pochodzących z 256 powiatów, 40 gubernij. Tablice statystyczne za-

wierają; wykazy o zasiewach i zbiorach zboża i ilości bydła podług gubernii z lat: 1851, 1856, 1861, 1866 i 1871; wykaz fabrykacji alkoholu podług gubernii za lat 10 od 1862 do 1872 r.; wykaz fabrykacji tytoniu z 5 lat (1856—1871); wykaz cen na produkta leśne z 1861, 1866 i 1871 r.; wykaz stosunków własności prywatnej w 41 guberniach i t. p. Towarzystwo wzajemnego kredytu ziemskiego udzieliło opisów szczegółowych przeszło 200 dóbr prywatnych w 214 powiatach 43 gubernii.

Stan gospodarstwa wiejskiego w ogólności.

Emancypacja ludności wiejskiej w skutek ukazów 19 lutego 1861 r. spowodowała wielki kryzys i wstrząśnienie w gospodarstwie rolnem, tak dalece, że to gospodarstwo nie weszło jeszcze na drogę rozwoju normalnego i znajduje się w stanie przechodowym. W wielu do-
brach wydzielenie gruntów włościańskich jeszcze nieukończone, w niektórych włościanie pracują jeszcze na podstawie 40-dniowej robocizny, w innych są jeszcze na stopie czynszowników i t. p., tak, że, aż do czasu wypłacenia ostatecznego summy skupu położenie włościan nie może być uważane za normalne, szczególnież co się tyczy stopnia obarczenia wypłatami ich udziałów. Z drugiej znowu strony prowadzenie gospodarstwa parobczanego z inwentarzem gospodarskim napotyka w wielu miejscowościach nieprzełamane trudności i jest przeto stratnem; gospodarstwo zaś folwarczne pozwalające użycia udoskonalonych narzędzi technicznych i sposobów uprawy roli, jest jeszcze zaledwie w zawiązku.

Właściciele ziemscy prywatni ulegli w skutek reform 19 lutego 1861 r. ciężkiemu kryzysowi, albowiem nie byli do tych reform przygotowani i nie posiadali odpowiednich kapitałów obrotowych i odpowiednich wiadomości niezbędnych do urządzenia gospodarstwa na nowych podstawach przy zmienionych okolicznościach. Do tego znikł wszelki kredyt ziemski i dawniejsze pożyczki, wypłacane i umarzane dotąd stopniowo i częściowo, zostały podniesione w całości i jednorazowo przy operacji skupowej. Następnie roboty przy nowobudujących się kolejach żelaznych dały możność ludności wiejskiej otrzymania wielkich zarobków i wpłynęły nie tak może na podwyższenie stałe płacy, ile na nagłe zmiany wysokości, a te zmiany gwałtowne trudne były do wytrzymania dla gospodarstw wiejskich i oddalały ludność wiejską od zajęć około roli. Płaca dzienna robotnika podług wiadomości zebranych przez komisją, dochodziła w guberniach południowych od 30 kop. do 3 rs.

Zmiany te stosunków dotknęły najbardziej majątki wyłącznie czysto-gospodarcze i w guberniach nieposiadających czarnoziem. Ztąd powstały systemy przechodnie gospodarowania. Pierwszym

był t. z. połowniczy (ispolnyj). Włościanie uprawiali pola właściciela swoim inwentarzem, a za to otrzymywali połowę zbiorów: to samo było z łąkami. Drugim systemem był t. n. *izdzielnyj* czyli *gniezdowoj*, przy którym włościanie za uprawę dworskich pól własnym inwentarzem, otrzymywali wynagrodzenie stałe za każde trzy dziesięciny w każdym polu trójpolowego gospodarstwa nie pieniężne, lecz w gruntach wydawanych im na roczne użytkowanie. Gdzie zaś chciano zaprowadzić gospodarstwo postępowe z najmem robotnika i użyciem ulepszonych narzędzi i machin rolniczych, tam pokazały się straty z przyczyny braku doświadczenia i niezręczności robotników.

Był klasy rolniczej i stan ich *gospodarstwa* wiejskiego, nierównoległe się poprawił. Tak, znalazła komisya, że w północno-zachodnich guberniach stan materyalny i gospodarstwo włościan znacznie się polepszyły, za wyłączeniem okolic nad Prypecią i błot Pińskich. W guberniach południo-zachodnich i południowych, położenie włościan znacznie się polepszyło, nie w takiej jednak mierze ich gospodarstwo; w guberniach małorossyjskich stan materyalny i gospodarstwo włościan pozostały prawie bez zmiany, chociaż z widocznym kierunkiem ku ulepszeniu, tam mianowicie, gdzie rozszerzyły się plantacye tytoniu. Nakoniec w guberniach środkowych bez czarnoziemiu, wschodnich i północnych, był włościan nie polepszył się, albo tylko bardzo nieznacznie, gospodarstwo ich zaś albo pozostało na dawniej stopie, albo znacznie się pogorszyło. Przyczyny tego stanu były następujące.

Przyczyną wzrastającego dobrobytu włościan w guberniach północno i południowo-zachodnich były: wielkie udziały gruntowe włościan, mała płaca skupowa, posiadanie ziemi indywidualne, częściowe i system sprzedaży trunków, zapobiegający rozwojowi pijaństwa; w guberniach południowych żyzność ziemi i wysoka płaca robotników. Przyczyną zużożenia włościan w pozostałych guberniach były: nieurodzajność gruntu, potrzebującego silnych nawozów, brak łąk i w skutek tego niemożność utrzymania ilości odpowiedniej bydła, własność gromadzka i odpowiedzialność solidarna, zbiorowa wszystkich członków gminy, zbyt wielki podział rodzin, rozdrabniający inwentarz roboczy i przeszkadzający wychodzeniu na zarobki, zbyt wielkie obciążenie ziemi i poczęści wzrost pijaństwa w narodzie. Wszystkie te cechy, szczególniejsz są widocznymi w guberniach Moskiewskiej, Włodzimirskiej i Petersburgskiej, w których rozwój przemysłu fabrycznego i bliskość stolic były przyczynami demoralizacji ludności wiejskiej. Reformy 1861 r., rozrywając związek ekonomiczny, istniejący dotąd pomiędzy właścicielem ziemskim i jego włościanami, wyrządziły straty obu stronom. Włościanie w wielu wypadkach nie otrzymali udziałów leśnych, z których dawniej korzystali od właścicieli; wydzielono im mniej łąk, niż ich używalność poprzednia wynosiła i szczególniejsz skrepowano ich pastwiska leśne. Z drugiej strony grunta właścicieli, straciwszy

dawniejszą jedność granic i poprzedzielane w szachownice udziałami włościan, straciły dawniejszą cenę. W strefie czarnoziemiu obszar łąk zmniejszył się bardzo w skutek zamiany ich na pola i rozszerzonej uprawy stepu. Przyczyną wyrąbania wielkich przestrzeni lasów był brak środków do życia i kapitałów do prowadzenia gospodarstwa u szlachty, trudność uchronienia lasów od zniszczenia i wielkie potrzeby dróg żelaznych. Wyrąbane przestrzenie obracano na pola albo zarzucano, nowych przestrzeni nie zasiewano, albo zasadzano lasem i nie strzeżono młodych drzewek od uszkodzenia przez bydło. Ogołocenie całych miejscowości z lasów, postępuje w tak ogromnych rozmiarach i tak szybko, że skutki te można dostrzedz nawet na klimacie, który staje się coraz ostrzejszym i suchszym; podobnie wpływa to znikanie przestrzeni leśnych na wysychanie rzek i usychanie źródeł, na straty po ogrodach, w których większa część drzew powymarzała i nawet na uprawę niektórych roślin polnych.

Przechodzenie dóbr ziemskich z rąk do rąk, coraz się wzmacnia. Osoby stanu kupieckiego nabywają dobra w strefie czarnoziemiu albo dla celów fabrycznych, albo dla wyrąbania lasów i oddania pól uprawnych w małych częściach małym dzierżawcom; w strefie zaś nie posiadającej czarnoziemiu, nabywają rzadziej, chociaż również dla celów fabrycznych. Włościanie chciwie kupują ziemię i płacą za nią ogromne stosunkowo ceny, nieodpowiadające otrzymywanym z nich dochodom. Nabywają na własność albo pojedynczo, albo *na wspólnie*. Nabytą na własność ziemię, włościanie bardzo starannie uprawiają, strzegą, chociaż zwykle nie występują z gminy i nie porzucają swego *udziału gminnego*, z którym jednak niedbale się obchodzą lub go wynajmują drugim. Małemi częściami w przeciągu jednego roku kupiono przez włościan w gubernii Kurskiej ziemi na dwa miliony r. s.

Urodzajność ogólna.

W Rosyi Europejskiej, z wyłączeniem Królestwa Polskiego i W. Ks. Finlandzkiego, urodzajność zboża w ziarnach, w średnich liczbach dla całych okresów, była następująca:

powiększenie w stoku do okresu poprzedzającego.	w latach	czweterci przecięciowo:	
		zasiano:	zebrano:
15,4%	1800—1813	48,800,000	155,000,000
16,7%	" 1834—1840	niewiad.	179,000,000
4,8%	" 1840—1847	59,214,000	209,732,000
12,7%	" 1857—1863	63,589,000	220,000,000
	" 1870—1871	67,643,000	248,000,000

	ilość ziarn:	czetwerci na 1 ludn.
1802—1813	3,17	
1840—1847	3,5	3,9
1857—1863	3,4	3,4
1870—1871	3,6	3,5

Powiększenie zatem urodzajności zboża w ziarnach, jest bardzo małe, chociaż z drugiej strony wiadomości podawane o zasiewach i zbiorach w sprawozdaniach gubernatorów, są bardzo niedokładne i podług obliczeń robionych w 40 latach, przynajmniej o 19% za małe. Wilson oblicza dla Rossyi Euro. 266 mil. czet. zbiorów rocznych. Przyjmując dla 1870—1871 r. urodzaj podług Tegoborskiego i Wilsona na 4,2, ogólna cyfra zbiorów będzie 290 mil. i około 4½ czet. na jedność ludności.

Zasiewy i zbiory zboża w latach: 1851, 1856, 1861, 1866 i 1871, w 5-u guberniach, w tysiącach czetw.

W roku	zasiano:			zebrano:		
	oziminy	Jarego	kartofli	oziminy	Jarego	kartofli
1851	23,636	38,525	5,340	88,124	145,919	16,120
„ 1856	23,887	38,286	6,187	93,991	92,660	21,554
„ 1861	26,340	40,498	6,332	86,484	129,522	23,326
„ 1866	24,160	39,045	6,684	97,729	125,428	23,541
„ 1871	26,847	42,466	8,320	106,546	124,342	30,161

Stosunkowo nieznaczne powiększenie zbiorów przy wzrastającej ludności, potwierdza się ilością *wywozu zagranicznego*. W 1863 r. wysłano za granicę 10 mil. czet. t. j. tyle, co i w 1853 r. Kiedy nie było jeszcze dróg żelaznych w Rossyi, w okresie 5 lat od 1857—1861, wywożono średnio po 9 mil.; w 1862—1866 r. po 11 mil.; nakoniec, w ostatnich 5 latach, wywieziono 82 mil., czyli rocznie po 16 do 17 mil. czet. Komisya przyjmuje powiększenie produkcji rolniczej w Rossyi w przeciągu ostatnich lat 30 od 1840 r. na 16% i przy porównaniu początku lat 60-tych, t. j. w przeciągu ostatnich 10 lat na 9%. Jest to bardzo małe powiększenie w porównaniu z produkcją Stanów Zjednoczonych Ameryki półn., która w przeciągu 20 lat od 1850—1869, urosła na 72% z 140 mil. na 240 mil. czetw.

Porównyując produkcją Rossyi z produkcją innych państw znajdujemy:

	ogólna liczba zbiorów zboża w ziarnach czetwerci	śródy średni na jedno lud. cz.	zebrano przecię- ciowo z dziesięciny:	
			pszenicy	żyta
W Rossyi	290,000,000	4,5	4,5	
„ Stanach Zjed. Amer. półn.	241,300,000	6,2	8,8	
„ Francyi	117,900,000	3,0	11,4	10,3
„ Prusach	85,000,000	3,5	11,4	11,1
„ Wielkiej Brytanii	65,000,000	2,9	33,9	—
„ Austryi	41,300,000	1,15	9,5	9,7

Co do ilości ogólnej produkcji zajmuje Rosyja pierwsze miejsce, w stosunku do ludności ustępuje pierwszeństwo Ameryce; nakoniec, co do ilości zebranego zboża z dziesięciny znajduje się na ostatniem miejscu.

Gubernie Rosyji, pod względem produkcji rolniczej, dadzą się podzielić na trzy kategorie. Do pierwszej należą gubernie z produkcją niezaspokajającą potrzeb miejscowych, takimi są: trzy gubernie północne: Archangielska, Ołonecka i Wołogodzka; 6 północno-zachodnich: Petersburgska, Nowogrodzka, Pskowska, Witebska, Mohilewska i Smoleńska i sześć gubernij środkowych: Twer, Moskwa, Włodzimierz, Kaługa, Jarosław i Kostroma. Druga kategoria obejmuje gubernie z produkcją tylko wystarczającą dla potrzeb miejscowych; do niej należą: 2 wschodnie: Wiatka i Perm, 3 nadbałtyckie i 4 zachodnie: Kowno, Wilno, Grodno i Mińsk; do 3 kategorii nakoniec, należą gubernie z produkcją przenoszącą potrzeby miejscowe; są to gubernie z czarnoziemem, a mianowicie: 17 środkowych: Niżegorod, Kazań, Simbirsk, Saratow, Penza, Tambow, Riazań, Tuła, Orel, Kursk, Charkow, Woroneż, Połtawa, Czernigów, Kijów, Podole i Wołyń; 4 południowo-wschodnie: Ufa, Orenburg, Samara i Astrachań i 5 południowych: obwody: wojsk Dońskich i Besarabii oraz gubern. Chersońska, Taurycka i Ekaterynostawska. Zasiew i zbiór zboża w tych 3 kategoriach był następujący:

	<i>ludność:</i>	<i>zasiano,</i> <i>tysiący</i>	<i>zebrano,</i> <i>czetwerci.</i>
W 15 gub. I kat.	14,882,664	13,082,8	38,314,5
„ 9 „ II „	10,631,299	10,690,4	41,530,0
„ 26 „ III „	38,644,969	43,269,0	209,434,5
W 50 guberniach	63,658,934	67,042,7	289,279,0

Co do rozmaitych rodzaj zbóż: to *pszenicy* zebrano w gubern. dwóch pierwszych kategorii, 2,732,000 czet., w ostatniej 42,668,000 c. t. j. 12 razy więcej; *żyta* również dwa razy więcej w ostatniej niż w poprzedzających (76,586,000 i 33,629,000): *owsa* 50,521,000 i 31,672,000; *jęczmienia* w g. dwóch pierwszych kategorii 7,951,000, w 3-iej 11,466,600; *gryki* w pierwszych 1½ mil, w 3-iej 14,676,000: produkcya pozostałych rodzaj zbóż w gubern. dwóch pierwszych kate. 2,239,000 czet., w ostatniej 13,516,000.

Co do *przestrzeni* zajętych przez rozmaite zboża liczą w przybliżeniu: pod *pszenicę* (jesienną); oziminy: 2,269,000 dziesięcin.

jarą.	7,690,700	„
Razem.	9,959,700	„

Pod żytem	24,060,400	dziesięcin.
„ owsem.	11,993,500	„
„ jęczmieniem	4,519,000	„
„ gryką.	4,192,000	„
„ in. jaremi zbożami.	3,900,000	„
Razem pod zbożem (jesienném) oziminy.	26,329,400	„
„ jarém.	32,296,000	„
„ ugorem.	29,709,000	„
Razem około.	88,000000	dziesięcin.

Tegoborski przyjmował w 50 latach przestrzeń uprawioną na 81,322,871 dziesięcin. Podług objaśnień załączonych do *atlasu gospodarczo-statystycznego* Rosyji, przestrzeń ta wynosi: 88,801,000, nakoniec podług zebranych przez komisją wiadomości znajduje się pod uprawą 90,158,600 dziesięcin.

Przestrzeń uprawiana *powiększa się* u właścicieli prywatnych w guberniach: Połtawa, Simbirsk, Tambow, Woroneż, Penza; wogóle w stronach z czarnoziemem, dalej u włościan gub. Czernigow, Połtawa, Kursk, Orel, Saratow, Kazań, Simbirsk, Ekaterynosław i w ogóle po stepach i także w gub. Mińsk, Smoleńsk. Przestrzeń ta się *zmniejsza* u właścicieli prywatnych gub. Nowogrod, Smoleńsk, Moskwa, Orel, Kursk, Czernigow, Kijów, Mińsk, zatém w gub. bez czarnoziemia, północnych i średnich. Nie znajduje się wskazówek ażeby te przestrzenie gdziekolwiekbydź zmniejszać się miały u włościan, przeciwnie przez oddanie ziemi w dzierżawę przestrzenie u włościan się powiększyły, u obywateli zaś zmniejszyły. Zamiana na pola rolnicze wszelkich przestrzeni doszła w wielu miejscowościach do granic ostatecznych z wielką szkodą dla hodowli bydła.

Urodzaje w strefie północnej bywają dobre tylko w nizinach przy rzekach, w dolinach i wyschłych korytach. Zwykła wysokość wynosi 2—3 ziarna, przy bardzo sprzyjających okolicznościach dochodzą 6—7. Podczas ostatniego dziesiątka lat urodzaje w strefie bez czarnoziemiu były następujące:

	na ziemiach obywatelskich.	włościańskich.
Z 1-ój dziesięciny żyta.	4—7 cztw.	2—4 cztw.
„ owsa.	6—8 „	3—5 „
„ jęczmienia.	4—6 „	3—4 „
„ gryki.	3—4 „	2—3 „
„ jarój pszenicy.	2—3 „	2—3 „

z potrąceniem zasiewu. W ogólności zatém urodzaje na ziemiach obywatelskich są znaczniejsze niż na włościańskich. W wielu miejscowościach samo zaprowadzenie płodozmianu, mimo wszelkie inne okoliczności, wpłynęło na powiększenie zbiorów.

Sadzenie *kartofli* powiększało się podczas ostatnich 20 lat w sposób następujący:

	zasiew.	zbiór.
w roku 1851 . . .	5,340,000 . . .	16,126,000 czetw.
„ 1856 . . .	6,187,000 . . .	21,554,000 „
„ 1861 . . .	6,332,000 . . .	23,326,000 „
„ 1866 . . .	6,684,000 . . .	23,541,000 „
„ 1871 . . .	8,320,000 . . .	30,161,000 „

Powiększenie wynosi zatem 87%. Przestrzeń zajęta 790,000 dziesięcin.

Pod *lnem* znajduje się 600 tys. dzie. z roczną produkcją 10 mil. pudów włókna i 1 mil. pudów siemienia; jednak podług rozumienia komisji trzeba pierwszą cyfrę powiększyć do 15 mil. pud. włókna.

Sadzenie *buraków* zajmujące w r. 1860 86,000 dziesięcin i przynoszące 5,632,000 berkowców, powiększyło się do 123½ tys. dzies. i 8,175,000 ber.; przestrzeń zatem powiększyła się o 40%, produkcja o 45%.

Podobnie się stało z plantacjami tytoniu:

	plantacyj.	ziemi zajętej dzies.	zebrano pud.
w roku 1856 było	51,449 . . .	22,698 . . .	1,179,500
„ 1861 „	54,976 . . .	39,104 . . .	1,258,000
„ 1866 „	72,149 . . .	33,518 . . .	1,857,500
„ 1871 „	112,896 . . .	36,856 . . .	2,215,000

Przestrzeń zatem powiększyła się o 50%, ilość plantacyj i zbiór na 100%.

Wartość ogólną rocznej produkcji rolniczej oblicza komisya na 1,392,136,000 rubli srebrem, w téj liczbie zboże w ziarnie i karofle wynoszą 1,300,377,000 r. s., inne produkta rolnicze 91,759,000. Porównywając z obliczeniem *Tęgoborskiego* na r. 1850, wartość ogólna podniosła się dla zboża i kartofli o 55%. W tym samym czasie 20 lat wartość przemysłu fabrycznego podniosła się o 188%, od 1851—61 podwyższenie produkcji wiejskiej wynosiło 19% a dla przemysłu fabrycznego 88% od 1861—70—30% i 53%.

Położenie *przemysłu fabrycznego* (nie podlegającego akcyzie) w ostatnich 20 latach było następujące:

	liczba fabryk.	liczba robotników.	produkcya.
w roku 1851 . . .	9,256 . . .	456,596 . . .	157,371,894
„ 1856 . . .	10,748 . . .	513,898 . . .	203,916,446
„ 1861 . . .	14,060 . . .	559,533 . . .	295,559,898
„ 1866 . . .	15,515 . . .	387,096 . . .	335,064,700
„ 1870 . . .	18,892 . . .	463,093 . . .	452,660,466

Chów bydła.

Chów bydła w Rosyji europejskiej w rozmaitych okresach czasu przedstawiał się w tysiącach sztuk jak następuje:

	bydła rogatego.	koni.	owiec.	świń.
w roku 1851 . .	20,962 . .	16,155 . .	37,627 . .	8,594
„ 1856 . .	21,351 . .	15,585 . .	40,705 . .	8,806
„ 1861 . .	20,708 . .	15,063 . .	42,479 . .	9,092
„ 1866 . .	21,634 . .	15,791 . .	44,263 . .	9,313
„ 1871 . .	21,604 . .	15,542 . .	44,841 . .	9,404

Z tego zestawienia widzimy, że w liczbie bydła rogatego nastąpiły nie wielkie zmiany, liczba koni trochę się zmniejszyła, owiec zaś i świń trochę się powiększyła. Co do chowu *bydła rogatego* dzielić można Rosyją na trzy strefy. Do *północnej* należą gubernie wielkorosyjskie, białoruskie, litewskie i nadbałtyckie. Chów w nich ma na celu otrzymanie produktów z nabiątu i użyźnienie pól. Do strefy *południowej* należą gub. małoruskie, noworosyjskie, południowo-zachodnie, południowe granice niektórych gub. wielko i białoruskich oraz brzegi Azowskiego i Czarnego morza. Celem chowu i utrzymania bydła roboczego jest karmienie na mięso. Trzecia strefa *południowo-wschodnia* zawiera strony za Wołgą i granicę południowo-wschodnią państwa. Kałmyckie tam bydło chowa się dla mięsa i łożu, którego jednak mniej daje niż rasa południowa.

Co do ilości otrzymanego *mięsa* obliczono w przybliżeniu że:

Rassa południowa waży na rzeź	16—20	pudów.
„ chołmogórska	—17	„
„ kałmycka	13—15	„
„ inflandzka (zachodnio-rossyjska)	10—12	„
„ właściwa rossyjska	6—7	„
w Anglii zaś	30—40	„
Szwajcaryi	20—30	„

Do tego rassy rossyjskie mają stosunkowo więcej kości w wadze ogólnej.

W okresie od r. 1851 do 1871 r. *zmniejszyła* się liczba bydła w gub. południowo-zachodnich (Wołyń, Kijów, Podole, i Besarabia), środkowych z czarnoziemem (Charków, Kursk, Orel i Tuła); bez czarnoziemiu (Kaługa, Smoleńsk, Moskwa, Włodzimierz, Nizgorod, Kostroma, Jarosław, Nowogrod i Twer) i 3 wschodnich (Kazań, Samara, Orenburg i Ufa). Przyczyną tego było w południowo-zachodnich gub. coraz większe użycie koni do robót w polu, w środkowych zarazy na bydło i sprzedaż za zaległe podatki. *Powiększyła* się liczba bydła u właścian północno-zachodnich gubernij. Podobny przykład powiększania daje gub. *Estlandzka*. Wnioskować o tém powiększeniu można z liczby wywiezionego bydła z Rewla:

Wywóz bydła za granicę podczas ostatnich 20 lat ciągle się powiększał. W latach:

od 1852—1856	wyniósł 91,000 sztuk, przecięciowo rocznie	18,000
„ 1857—1861	„ 115,000	23,000
„ 1862—1866	„ 170,000	38,000
„ 1867—1871	„ 467,000	93,000

Wywóz łaju ciągle się zmniejszał:

od 1852—1856	wywieziono 11,600 tys. pudów.
„ 1857—1861	„ 16,162 „
„ 1862—1866	„ 12,702 „
„ 1867—1871	„ 9,337 „

Najmniej było w r. 1871, bo tylko 932 tysięcy pudów.

Ceny na bydło rogacze powiększyły się podczas ostatnich 10 lat na 50 a w niektórych miejscowościach nawet na 100%.

Liczba *koni* powiększyła się w gub. małoruskich, noworossyjskich i południowo-zachodnich. Liczono tysiące sztuk:

	w roku 1851	w roku 1871
w Bessarabii	90	123
„ Ekaterynosł.	70	150
„ Tauryckiej	83	173
„ Chersońskiej	184	283
„ Połtawskiej	184	212
„ Czernigowskiej	332	396
„ Wołyńskiej	262	396
„ Kijowskiej	112	206
„ Podolskiej	105	364

Zmniejszenie liczby *koni* szczególnie jest znaczne w gub. wielkorossyjskich.

Wywóz koni za granicę w okresach 5 letnich wynosił:

od roku 1852—1856	wywieziono do 49 tys. sztuk; przecięc. rocz. 9 tys.
„ 1857—1861	„ 81 „ 16 „
„ 1862—1866	„ 51 „ 10 „
„ 1867—1871	„ 65 „ 13 „

Ceny w ostatnich 10 latach podniosły się od 50 do 100%. Największe powiększenie w części zachodniej, najmniejsze w części wschodniej państwa.

Liczba *owiec* szczególnie jest znaczną w trzech gub. noworossyjskich. W 1871 roku znajdowało się w gub.:

Ekaterynosławskiej	1,741 tys. sztuk.
Tauryckiej	2,892 „
Chersońskiej	1,670 „

Liczba owiec z cienką wełną (merynosów) zmniejszyła się na milion sztuk (w 1866 r. 11,300 tys., w 1871 r. 10,090 tys.); ogólna jednak liczba owiec powiększyła się o pół miliona (z 44,200 na 44,800 tys.).

Straty ponoszone corocznie w bydło przez *zarazę* są dosyć znaczne. Jeżeli bowiem przyjmijemy stratę roczną w wysokości 400 tys. sztuk i licząc sztukę ogólnie po 30 r. s., strata roczna wyniesie do 12 milionów r. s. Straty bydła przez zarazę były największe w gub. Samara (3,9^o/_o liczby ogólnej), Penza (3,1^o/_o), Simbirsk (3^o/_o) i t. p.; najmniejsze w gub. Witebsk, Kurlandya, Liflandya i Psków (0,2^o/_o) i w Estlandyi (0,1^o/_o).

Gospodarstwo leśne.

Z liczby ogólnej 376 mil. dziesięcin przestrzeni 49 gubernij cesarstwa Rosyjskiego (bez ziemi wojska dońskiego) liczono w 60 latach pod lasem 172 mil., z których 110 mil. czyli 64^o/_o należących do skarbu a 62 mil. albo 36^o/_o do właścicieli prywatnych. Jednak to obliczenie z 1860 r. jest zbyt wysokie i zaledwie $\frac{2}{3}$ albo nawet $\frac{1}{2}$ tej przestrzeni znajduje się w istocie pod lasem. Można zatem liczyć w przybliżeniu 114 $\frac{1}{2}$ mil. dziesięcin lasu, z których 75 $\frac{1}{2}$ mil. należących do skarbu, pozostaje należących do innych właścicieli 39 mil. dziesięcin.

Pod względem ilości stosunkowej lasów można podzielić cesarstwo Rosyjskie na 3 strefy zupełnie od siebie różne: 1-a *połnocno-leśna* zawiera gub. Archangelsk, Wołogda, Ołoneck i Perm, z 67 mil. dzies. lasu, z których 58 mil. dzies. we własności skarbu i 9 mil. dzies. we władaniu prywatnym; 2-ga *strefa* zawiera 42 gub. z 47 mil. dzies. (skarbowych 17 $\frac{1}{2}$ mil. dzies., prywatnych 29 $\frac{1}{2}$ mil. dzies.) 3-cia *strefa* albo bezleśna zawiera gub. Astrachańską, Ekaterynosławską, Chersońską i część północną Tauryckiej z 179 tysięcy dziesięcin, (skarbowych 96 tys. dzies., prywatnych 83 tys. dzies.). Ponieważ cena lasu i jego potrzeba są największe w strefie drugiej, środkowej, gdzie skarb prawie tylko połowę ilości ogólnej posiada, przeto postęp gospodarstwa leśnego zależy szczególnie od położenia lasów prywatnych.

Roczny *rozchód* drzewa wynosi około 31 mil. sążni sześciennych; przyjmując 25 sążni na dziesięcinę, rozchód roczny wymaga wyrąbania 1,200,000 dziesięcin lasu dobrze zarosłego i starego. Ponieważ całość tej masy drzewa dostarcza strefa średnia i małeśna południowa, przeto kwestya utrzymania lasów i zachowania ich od ostatecznego wycięcia jest bardzo nagłą i zastanowienia godną. Oprócz tego znajdują się jeszcze inne przyczyny czasowe wpływające na przyspieszone tępienie lasów. Reformy 1861 roku zmusiły wielu właścicieli do sprzedawania lasów za jakąkolwiek cenę, a otrzymane ztąd pieniądze zastąpić musiały dawne dochody z majątku, które albo zupełnie znikły, albo bardzo się zmniejszyły. Drugim powodem były korzyści z zamiany przestrzeni leśnych na pola przy podwyższeniu

ceny na ziemię. Nakoniec służebności (servituty) leśne zmuszają wielu właścicieli w gub. zachodnich do wyrąbywania i sprzedawania lasów.

Siły robocze.

Gospodarstwa wiejskie przy wielkich obszarach i ekstensywniej (ilościowej) uprawie wymagają licznych sił roboczych, jednak skargi na brak robotników dają się słyszeć tylko w gub. południowych i niektórych wschodnich, szczególnie w gub. Tauryckiej, Samarskiej i Ufy. Daleko więcej narzekają na dokładność i jakość robót. Gdzie właścianie wynajmują się z jesieni i otrzymują wielkie zadatki, tam pracują sumiennie. Artele przychodzą wiosną, albo w jesieni, nie dotrzymują zrobionych umów i często rzucają robotę w czasie najważniejszym, w czasie zbiorów i idą tam gdzie im więcej obiecują. Ogólnie użalają się na częste odchodzenie robotników i na znaczne powiększenie dni wolnych od pracy i świątecznych, na wynikające ztąd rozszerzenie się pijaństwa. Skargi na pijaństwo pochodzą szczególnie w gub. wielkorosyjskich, w mniejszym stopniu z gub. małoruskich i noworosyjskich, nie dały się prawie słyszeć z gub. zachodnich i nadbałtyckich. Miarą rozszerzenia tego nałogu może być poczęści liczba zakładów trudniących się wyszynkiem wódki.

Liczba *szynków* razem z wprowadzeniem wolności handlu trunkami alkoholicznymi, powiększyła się o 50% i rosła ciągle aż do 2-jej połowy 1864 roku, kiedy to powiększenie doszło do wysokości 85%. Było to skutkiem reakcyi przeciwko dawnemu ograniczeniu sprzedaży. Od 1865 roku zaczyna się znowu ruch w kierunku przeciwnym, zmniejszenia podobnych zakładów, który trwa aż do chwili obecnej. W gub. dawniej uprzywilejowanych (zachodnich, małoruskich i noworosyjskich) liczba szynków obecna w ogólności i stosunkowo jest ta sama co w czasie przed wprowadzeniem akcyzy od wódki. W gub. nadbałtyckich liczba ta nawet już trochę jest mniejsza niż poprzednio. W pozostałych gub. wielkorosyjskich liczba szynków jest obecnie ta sama co na początku r. 1863 t. j. dwa razy większą niż za czasów systemu odkupu. Porównyując liczbę szynków z ludnością otrzymamy:

w gub. wielkorosyjskich.	1 szynk na 640 ludności.
„ dawniej uprzywilejowanych.	„ 310 „
„ nadbałtyckich.	„ 370 „
w ziemi <i>wojska dońskiego</i>	„ 435 „
w Syberyi. prawie	„ 500 „
w Prusach (1861 r.)	„ 260 „
w Niderlandach (1860 r.)	„ 90 „
„ Belgii (1849 r.)	„ 93 „
„ Anglii (1848 r. prócz szynk. port.)	„ 138 „
„ północnej Francyi (1851 r.)	„ 70 „

Ztąd w gub. wielkorossyjskich szynków o połowę jest więcej, niż w guberniach zachodnich, nowo i małorossyjskich i prawie o drugie tyle więcej, niż w nadbaltyckich; w tych guberniach przeważa system karczem, gdzie, prócz wódki, sprzedają się jeszcze inne napoje i jadła, kiedy w wielkorossyjskich „kabajkach“ podług istniejących przepisów, można tylko dostać wódki i podbudzających pragnienie zakąsek. Do tego osoby utrzymujące takowe, przykrywają często sprzedaż wódki inne przestępne zatrudnienia: jak rozszerzanie rozpusty, gry, marnotrawstwa, sprzedaży rzeczy kradzionych i t. p.

Otrzymano *spirytusu* w 1862—1863 r. wiader 24,248,562; zmiany roczne były bardzo znaczne: największa ilość była z 1866—67 r.—26,543,361, najmniejsza roku poprzedniego 1865—1866 roku 19,381,861.

Wpływ *szkół* na ludność wiejską, jeszcze dotąd nie jest widoczny, do tego duchowieństwo parafialne zaniedbuje korzystać ze swojego moralnego wpływu, aby rozszerzać wychowanie elementarne. Mianowicie te szkoły wiejskie są w najlepszym stanie, w których wykładowcami są kobiety.

Opodatkowanie ziemi.

Wszystkie podatki, wypłaty i ciężary obciążające ziemię, dadzą się sprowadzić do kategorii następujących:

1) Podatki pobierane od ziemi.

Podatek ziemski, państwowy	8,086,935 rs.
Miejscowy podatek gruntowy	12,917,884 —
Podatek gruntowy w gub. bez instytucyj ziemskich	426,068 —
Podatek z własności szlachty na potrzeby tężce	1,900,000 —
Razem	23,330,000 —

2) Opłaty włościan za ziemię.

Opłata skupowa b. włościan obywatel.	38,094,630 —
„ „ b. włościan cesarskich.	3,055,221 —
Czynsz od byłych włościan skarbowych.	36,301,117 —
Podatek leśny tychże	1,230,143 —
Czynsz od b. włoś. obywatel. około.	16,000,000 —
Razem	94,681,111 —

3) Opłaty osobiste włościan.

Podatek pogłówny	42,241,859 —
„ gminny od włoś. skarbow.	3,428,100 —
Część p. ziemskiego, państwowego.	13,791,301 —
Podatki gminne i inne od włościan (Mirskije i raznyje drugije sbory).	30,000,000 —
Razem	90,000,000 —

Wszystkich ciężarów jest około 208 mil. rs., z których 13 mil. przypada na własność posiadaczy prywatnych.

Na włościan przypada:

Podatków z ziemi i za ziemię.	105,011,000 rs.
Podatek pogłówny.	90,000,000 —

Podług ilości włościan i liczby produktów, przypada z ziemi (na 105 mil. dzies.) po 1 rubli z dziesięciny; z pobieranych od głowy (z 19,905,000 ludności) od 4 rs. 30 kop. do 5 rs. od osoby do rewizyi zapisanej. Ogólna ta summa ciężarów tylko w niewielkiej liczbie miejscowości, może być pokrytą dochodem z udziału ziemskiego bez innych zarobków; w niektórych miejscowościach nawet w strefie czarnoziemiu, summa wszystkich opłat przenosi o 5 razy dochód z ziemi i obarcza jedynie pracę osobistą włościan.

Zasługują na uwagę szczególną *opłaty włościan za posiadaną ziemię*. U włościan, należących dawniej do obywateli, znajduje się przecięciowo w posiadaniu w Rosyi Europejskiej 3,52 dzies. ziemi na duszę rewizyjną, najwyższy zaś udział w większej części gubernij wynosi od 3 do 5 dziesięcin. Do 1 kwietnia 1873 r. przystąpiło włościan 6,905,940, do skupu z 24,332,596 dzies. ziemi. Włościanie dawniej skarbowi otrzymali w 34 guber. po 5,8 dzies. w 5 półn. guberniach po 13,5 dzies. na udział; wypada więc przecięciowo 4 dzies. na duszę, prócz tego otrzymali udziały leśne, za które płacą od 0,8 do 52,5 z duszy. Włościanie Rodziny Cesarskiej otrzymali przecięciowo po 5 dziesięcin. Takim sposobem włościanie skarbowi otrzymali udziały prawie 2 razy większe, niż dawniej obywatelscy, a włościanie Domu Cesarskiego o 50% większe.

Przypatrując się *położeniu włościan* dawniej do szlachty należących, znajdujemy, że najlepsze jest ich położenie w kraju zachodnim, gdzie otrzymali udziały największe, stosunkowo do włościan innych gubernij. Stosunek zaś opłat rocznych za ziemię do wartości ziemi obecnie posiadanej jest w rozmaitych guberniach bardzo rozmaity. W północnej części strefy czarnoziemiu, gdzie zaludnienie jest większe, i gdzie pobudowano niedawno koleje żelazne, wysokość zwykłego czynszu gruntowego przenosi znacznie opłatę skupową i ceny ziemi są znaczniejsze, niż przyjęte przy ocenianiu skupu. W guber. bez czarnoziemiu wielkorosyjskich słabo zaludnionych i nieżywnych, opłaty skupowe są znaczniejsze, niż cena najmu ziemi i skup oceniano wyżej, niż wynosi cena rzeczywista sprzedaży. Do 3-jej kategorii należą miejscowości, w których cena skupu ziemi, mało się różni od ceny sprzedaży rzeczywistej (na + lub — do 10%). Cena skupu jest *mniejszą* przeszło o 100% od ceny sprzedaży ziemi w 3 gub. zachodnich: Wilno, Mińsk, Wołyń oraz w Bessarabii. Cena skupu niższa na 50 do 100% w 4 gub. zach.: Grodno, Kowno, Podole i Kijów, oraz w gub. Tauryckiej. Różnica wynosi od 30 do 50% w 4 środkowych gub. z czarnoziemem

Oreł, Kursk, Tambow i Czernigów. Różnica wynosi od 20% do 30% w 5 gub. z czarnoz.: Niżninowgorod, Riazań, Woroneż, Charkow i Ekaterynosław. Razem zatem w 18 gub. zachodnich i z czarnoziemem z ludnością dawniej poddańczą 5,050,000 dusz, z których jest 3,870,000 włościan właścicieli i 1,180,000 włościan czasowo obowiązanych; cena skupu ziemi jest niższą od cen sprzedaży.

Przeciwnie cena skupu *przenosi* cenę sprzedaży ziemi w gub. Wielkorosyjskich, Północnych i Północno-Zachodnich. Przenosi o 50% w guberniach: Nowogród, Twer, Wołogda, Wiatka, Ufa i Orenburg; od 30% do 50% w 5 guberniach: Psków, Smoleńsk, Moskwa, Kaługa i Perm; nakoniec, różnica wynosi od 10 do 30% w 5 guberniach: Mohilew, Jarosław, Kostroma, Kazań i Simbirsk. Cała ta kategoria w 16 gub. zawiera ludności poddańczej 3,170,000, z których jest 2,100,000 włościan właścicieli i 1,070,000 włościan czasowo obowiązanych.

Do 3-iej kategorii należą gubernie, w których wartość skupu różni się od cen rzeczywistych o mniej, niż 10%; takimi są pozostałe 9 gub. z ludnością dawniej poddańczą 2,100,000, z których jest włościan właścicieli 1,500,000 i 600,000 czasowo obowiązanych. Przecięciowa opłata skupowa wynosi dla Rosyji Europejskiej po 1 rs. 87 kop. z dzies., dochodzi jednak w niektórych miejscowościach do 3 rs. 60 kop. i 4 rs. 80 kop. Opłaty czystsze przenoszą skup o 20% i dochodzą w pojedynczych wypadkach do 6 rs. 80 kop. z dzies. Opłaty włościan (udielnych) Domu Cesarskiego nie przedstawiają takich wielkich różnic i wynoszą przecięciowo dla gub. Ros. Eur. po 71 kop. z dzies. Opłaty średnie włościan skarbowych, wynoszą 64 kop.

Strony ujemne ustroju i zarządu gminnego włościan.

Komisya drogą poszukiwań i badania osób interesowanych wykryła niektóre wady i ułomności tak zebrań gromadzkich (sielskij schod) jak zarządu gminnego (wołostnoje prawlenie) i sądu gminnego (wołostnyj sud). Okazało się, że wyroki *zebrania* gromadzkiego są częstokroć niesprawiedliwe, albowiem często przeważał na nich głos najgorszych gospodarzy, którzy źle prowadzili gospodarstwo swoje, nie płacili podatków i starali się wszystkie ciężary zwalić na gospodarzy pracowitych i spokojnych.

Do tego zebrania te, jak również i sądy, rzadko się odbywały bez pijatyki. Zarząd gminny zależy faktycznie i zupełnie od woli i kaprysu wójta (starszyny), zwykle wybieranego z liczby biedniejszych gospodarzy, albo niemających żadnego wpływu; albowiem bogatsi unikają wyboru, aby nie opuścić własnego gospodarstwa, a przez sumienne wypełnianie obowiązków nie narazić się innym gospodarzom, albo też zależy zupełnie od pisarza gminnego. Czuć się daje potrzeba przejrzenia staréj i wydania nowéj ustawy gminnéj

i rozmaitych rozporządzeń policyjnych, jak np. przepisów zapobiegających zbyt gęstemu zabudowywaniu domów po wsiach bez przerw, w skutek częstych działań familijnych, przezco pożary po wsiach coraz więcej szkody wyrządzają.

Warunki produktyjności gospodarstwa wiejskiego.

Produkcyjność Rosyji w stosunku do wielkości przestrzeni i urodzajności jej ziemi jest bardzo nieznaczną i mniejszą, niż gdziekolwiek indziej w Europie.

Przeszkodami klimatycznymi produktyjności są na północy i północno-zachodzie: obfitość wody stojącej, błot i zbytek wilgoci atmosferycznej; na południu brak wody i lasów, sprowadzający często posuchę i jako następstwo—nieurodzaj. Środkami usunięcia tych przeszkód są: osuszenie błot, irygacja i zasadzanie lasów. *Osuszenie* błot jest koniecznym w gub. zachodnio-półn. i zachodnich: Petersburg, Psków, Nowgorod, Twier, Jarosław, Mińsk i Wołyń, w których woda stojąca zajmuje ogromne przestrzenie, działa szkodliwie na klimat, psuje lasy, przeszkadza rolnictwu i hodowli bydła. *Irygacyi* sztucznej wymagają stepy południowe i brzegi Czarnego i Azowskiego morza.

Wyniszczenie *lasow* prowadzi za sobą wysychanie rzek i stopniowe zmniejszenie wilgoci powietrza. Gospodarstwo prowadzi się dotąd wszędzie ekstensywnie, przeto wyniszczają się lasy, by łatwym i tanim sposobem otrzymać nowe pola, zamiast podnoszenia wydajności gruntów dawniejszych przez nakłady. W Rosyji środkowej niszczą w tym celu resztki lasów i ograniczają przestrzenie zajmowane przez łąki. To ostatnie pociągnęło za sobą zmniejszenie ilości bydła, tak niezbędnego przy podobnym prowadzeniu gospodarstwa wiejskiego. Jedyne wyjątkami są gub. nadbałtyckie, część kraju północno-zachodniego, ziemie kolonistów i posiadłości niektórych wielkich właścicieli ziemskich. Potrzeba przeto w Rosyji przejść od gospodarstwa ekstensywnego, do intensywnego. Podobnie w ostatnich czasach sprowadzono wielkie stada owiec do Kubaniu, do gubernii Astrachańskiej i Stawropolskiej, albowiem zmieniły się punkta środkowe hodowli bydła stepowego. Dla powiększenia ilości bydła potrzeba ulepszyć środki wyżywienia, rozszerzyć łąki i zasiewać rośliny pastewne i korzonkowe przy płodozmianie. Ponieważ wywar jest bardzo ważnym środkiem karmu dla bydła, przeto małe gorzelnie zasługują na protekcję. Postanowienia o zniesieniu superaty zamknęły wiele z nich, albowiem nie mogły one wytrzymać współzawodnictwa z wielkimi dystylarniami, przezco komisya dla podtrzymania małych gorzelnii proponuje zniesienie postanowień o superacie. Ważną przeszkodą rozszerzenia hodowli bydła są zarazy, przeciwko którym wszelkich środków użyć należy; kwestya szczepienia dżumy bydłocęj

jeszcze nie jest ostatecznie rozstrzygniętą. Podobnie czeka na rozwiązanie kwestya ubezpieczeń bydła. Częstym źródłem rozszerzenia zarazy są sposoby przepędzania bydła stadami z dalekich południowych gubernii na rzeź do środkowych i północnych. Gdyby ten transport odbywał się kolejami żelaznymi, zapobiegłoby się w wielu wypadkach pojawieniu się zarazy na bydło w znajdujących się po drodze guberniach.

Przeszkodą moralną do polepszenia gospodarstwa wiejskiego jest to, że włościanin, pomimo zniesienia poddaństwa, pozostał po części przywiązany do ziemi. Odpowiedzialność zbiorowa członków i należenie do gminy czynią włościanina zależnym od dowolności zbiorowej całej gminy i ciężą nad jego pracą. Zmiany pól przy własności gminnej przeszkadzają ulepszeniu gospodarstwa a częste podziały rodzinne osłabiają siły produkcyjne. Czuć się daje potrzeba większej swobody ruchu i zabezpieczenia pojedynczego włościanina od dowolności gminy. Nie można znieść środkami przymusowemi własności posiadania gminnego, ale można ułatwić włościanom nabycie własności osobistej, protegować przemysł cząstkowy po wsiach i zapobiegać zbyt wielkiemu podziałowi i drobnieniu gospodarstw. Do takich środków pomocniczych zaliczyć jeszcze należy: zabezpieczenie umów najmu pracy, do której zobowiązują się robotnicy i sprawiedliwszy rozkład ciężarów gruntowych.

WNIOSKI KOMISYI.

Streszczając wszystkie powyższe fakta, komisya przyszła do przekonania, że reformy 19 lutego 1861 r. podziały zbawienne. Położenie ekonomiczne włościan w wielu miejscowościach się polepszyło. Włościanie swobodnie rozrządzają swoją pracą, cena téj pracy znacznie się podniosła; podobnież cena produktów gospodarstwa wiejskiego a jeszcze znacznie w miejscowościach urodzajnych podniosła się cena ziemi. W gospodarstwach prywatnych coraz słabiej wpływ przebytego i jeszcze nie zupełnie przewyżczonego kryzysu. Z drugiej znowu strony są miejscowości, w których gospodarstwo włościańskie nietylko nie polepszyło się, ale widoczny jest jego upadek. W tych miejscowościach klasa gospodarzy średniej zamożności pomiędzy włościanami coraz znika, a powiększają się krańcowe kategorie: bardzo zamożnych i biędnych. Wyłączając gub. nadbaltyckie i niektóre gospodarstwa na południu Rossyi, jak i pojedynczych wypadków w innych miejscowościach, wszędzie widoczny jest brak systemu prawidłowego gospodarstwa wiejskiego, wszędzie panuje trójpolowe gospodarstwo i ekstensywne, i wszędzie zmniejszają się łąki, pastwiska i lasy, które zamieniają się na pola orne.

Ziemia w skutek braku odpowiedniego użyznienia wyczerpuje się i nieurodzaje ukazują się coraz częściej, tak, że jeden rok nieurodzajny na 4—5 lat uważa się za zjawisko normalne. Smutnemi obja-

wami są: rozszerzenie kradzieży koni, częste pożary niszczące całe wioski; sposoby ściągania podatków połączone ze sprzedażą inwentarza roboczego włościanina, własność gminna z częstym podziałem pól, solidarność ogólna, brak rąk roboczych w strefie czarnoziem, powiększenie liczby świąt i dni odpoczynku, brak zabezpieczenia umów z robotnikami, brak potrzebnych kapitałów i wiadomości, niski stopień moralności w ludności wiejskiej i uchylanie się duchowieństwa od rozszerzania zasad moralności pomiędzy ludnością. Na podstawie tych spostrzeżeń przyszła komisya do przekonania, że pomoc i interwencya rządu są potrzebnymi dla polepszenia położenia gospodarstwa i przemysłu wiejskiego, a duchowieństwo powinno rozszerzać zasady moralności i zamiłowanie pracy pomiędzy ludem.

Co do chowu bydła.

Z zebranych materyałów przekonała się komisya, że w przeciągu ostatniego 20 letniego okresu, liczba ogólna bydła pozostała ta sama a nawet w niektórych miejscowościach dosyć znacznie się zmniejszyła, pomimo dosyć znacznego powiększenia ludności ogólnej.

Przyczynami téj stagnacyi są: 1) brak ilościowy i jakościowy karmu bydłeczego; 2) niewłaściwość chowanych ras bydła do warunków miejscowych; 3) nieumiejętność korzystania z produktów chowu bydła; i 4) wpływ niszczący zarazy na bydło.

Ilość bydła szczególniej zmniejszyła się po gospodarstwach włościańskich, w skutek rozszerzenia pól zasiewnych a przeto zmniejszenia łąk i pastwisk. Zasiewanie trawy i roślin korzonkowych bardzo pomału się rozszerza, do tego liczba gorzelni się zmniejszyła i drogość roli utrudnia utrzymywanie ras ulepszonych. Komisya uznała konieczność oznaczenia drogą prawodawczą przepisów co do spuszczenia wody przez obce pola, przeprowadzenia irygacyi, korzystania z wody we własnościach granicznych i tworzenia spółek przedsiębiorzących osuszenie lub zaopatrzenie wodą przestrzeni wiejskich. Rząd powinien protegować zasiewanie roślin pastewnych, czynić możliwe ulgi gorzelniom małym i średnim utrzymywanym dla otrzymania karmu dla bydła, starać się o niższenie ceny na sól, dopomagać ulepszeniu rassy bydła, protegować chów dobrej rassy koni za pomocą wystaw i sprzedaży publicznych; protegować wyrób sérów, dochodzić pożytku szczepienia dzumy bydłeczej, ulepszać położenie weterynarzy, zaprowadzić ubezpieczenie bydła i starać się o ulepszenie sposobów przewożenia i transportowania bydła po drogach żelaznych.

Co do gospodarstwa leśnego.

Jako przeszkody do racjonalnego prowadzenia gospodarstwa leśnego, znalazła komisya: trudność i drogość strzeżenia lasów, nie-

możność wypełnienia dokładnego przepisów tyczących się wrębów i pożarów, niemożność uchronienia młodych zarośli od psucia przez paszenie bydła włościańskiego, serwituty leśne i nieodpowiednie obarczenie podatkami przestrzeni leśnych, jak np. Werchoturskie lasy rządowe obciążone zostały wyplatą 78,000 r. s., kiedy przynoszą dochodu brutto tylko 7000 r. s.

Dlatego komisya uważa za konieczne ułatwić i zabezpieczyć zachowanie lasów przepisami dodatkowemi, wzmocnić władzę policyi wiejskiej, rozpoznać kwestyą zniesienia serwitutów, i zabezpieczyć las od zbytniego obciążenia podatkami i ciężarami. Nakoniec komisya uważa za obowiązek rządu okazać pomoc bezpośrednią usiłowaniam do zachowania lasów i rozszerzenia gospodarstwa leśnego. Powinien w tym celu rząd nabywać rocznie pewną ilość lasów prywatnych, szczególnie młodych zagajników, dopomagać dobywaniu węgla kamiennego i torfu i protegować fabrykacyą cegły i dachówki.

Co do podatków gruntowych.

W skutek niestosunkowego i nie jednakowego obciążenia ziemi ciężarami, ziemia i praca rolna w wielu miejscowościach przestały być źródłem dochodu i stały się tylko ciężarem. Ztąd uważa komisya ogólną *reformę podatków bezpośrednich* jako potrzebę najbardziej obecnie nagłą w Rossyi. Ciężary gruntowe komisya dzieli na 3 kategorie: 1). Podatki i ciężary pobierane od ziemi jako właściwy produkt gruntowy. 2). Opłaty za użycie i nabycie głównego środka produkcji rolnej t. j. ziemi i 3) Podatki opłacane od duszy i stanowiące podatek od pracy osobistej i zarobków ludności wiejskiej. Komisya proponuje, żeby dla części ciężarów gruntowych pobieranych do skarbu ustanowić normę ogólną rozdziału w stosunku do wydajności ziemi i dochodu pojedynczych własności ziemskich. Dalej zasady przyjęte dla rozdziału podatku skarbowego zrobić obowiązującymi dla podatków ziemstwa i nakoniec rozdział podatku ziemskiego ograniczyć pewnym procentem dodawanym do podatku skarbowego, jak to ma miejsce z ciężarami ziemskimi obciążającymi zakłady i dokumenta przemysłowe i handlowe.

Co do ciężarów za nabycie i wyzyskiwanie ziemi, to pod względem wielkości rozdziału i stosunku średniej opłaty w najlepszym położeniu znajdują się włościanie skarbowi, opłacający 64 kop. z dzies., po nich następują włościanie Domu Cesarskiego ze średnią opłatą 71 kop. z dzies. Najbardziej obciążonemi są włościanie dawniej obywatelscy, płacący przecięciowo po 1 rubel 86 kop. z dziesięciny, która opłata podlega wielkim zmianom stosownie do miejscowości. W wielu wypadkach sama ziemia nie może zaspokoić obciążających ją ciężarów i źródłem ich opłaty musi być praca samych włościan. Również była przeciwną komisya dotychczasowemu sposobowi pobierania podatków, połączonemu ze sprzedażą bydła i inwentarza robczego.

Komisya jest również za jak największym rozszerzaniem i opieką nad *przemysłem cząstkowym włościan*.

Co do gospodarstwa włościan.

Dla dopomożenia rozwojowi gospodarstwa prywatnego pomiędzy włościanami, proponuje komisya: ułatwić wyjście i opuszczenie gminy tym z jej członków, którzy nabyli na własność osobistą pewien kawał gruntu; dalej tym, którzy przez pewien przeciąg czasu dzierżawili pewien udział ziemni albo prowadzili przemysł połączony ze stałym pobytym w innym miejscu. Dla zapobieżenia częstym podziałom pól, znajdujących się we własności ogólnej gminy oraz podziałom familijnym, wyznaczyć dla pierwszych pewne terminy dla przedsięwzięcia nowych działów pod nadzorem pewnych władz, a dla drugich oznaczyć pewne granice i pewne stałe przepisy.

Co do położenia umysłowego i moralnego włościan.

Dla rozszerzenia wykształcenia elementarnego i podniesienia poziomu wiadomości i moralności, zaleca komisya rozszerzanie szkółek wiejskich nie tylko dla mężczyzn ale i żeńskich i nauczanie gospodarstwa wiejskiego po szkołach ludowych. Dla zmniejszenia *pijaństwa* uważa komisya akcyzą, podnoszącą cenę wódki o 5 albo 6 razy względnie do jej początkowej wartości za niedostateczną, ale zaleca jako środki zapobiegające: dozwolnić utrzymywania szynków tylko osobom nieposzlakowanej moralności i przedstawiającym poręczenie; zerwać z dawną tradycją o *kabakach*, jako miejscowościach wyłącznej sprzedaży wódki, a dozwolnić razem z wódką sprzedaży piwa, herbaty i potraw ciepłych, zamieniając dawne kabaki na karczmy i traktyernie. Nakoniec zaleca komisya, żeby w sądach *pijaństwo* uważano jako okoliczność zmniejszającą winę i starać się o zmniejszenie liczby dni świątecznych.

Co do posiadłości średnich i wielkich.

Znajdując przyczynę stanu niezadawalniającego gosp. prywatnych w braku kapitałów, wykształconych rządców, drogoceny narzędzi rolniczych i t. p. komisya zaleca: jak najprędsze zaprowadzenie *systemu hipotecznego*, zaprowadzenie jak największej ilości zakładów naukowych gosp. wiejsk., staranie o niższe ceny na narzędzia i maszyny rol.; zaprowadzenie szkół rzemieślniczych i zabezpieczenie umów o wynajęciu pracy osobistej. Nakoniec uważa komisya *absenteizm* (nieobecność) znacznej liczby posiadaczy ziemskich jako przyczynę, że wielkie przestrzenie do nich należące są źle zagospodarowane; włościanie są przez to pozbawieni przykładu gospodarstwa postępo-

wego i ulepszonemu i w skutek tego brakuje elementu cywilizacyjnego, który niczém nie daje się zastąpić pomiędzy ludnością wiejską.

Łącząc w krótkim wyrazie wszystkie braki i wady gospodarstwa wiejskiego w Rossyi europejskiej, Komisyja zalicza do nich: brak wykształcenia elementarnego i zasad moralnych w massie ludności wiejskiej, wady jego ustroju gminnego i zarządu, uciążliwość obarczających podatków i ciężarów gruntowych przy obecnym ich rozkładzie, niepewność przedsięwzięciw gosp. wiejsk. w skutek niewykonywania umów i wzrastającego stosunku ciężarów gruntowych; wyniszczenie lasów grożące zmianą warunków nietylko ekonomicznych, ale i klimatycznych wydajności i nakoniec straty niepowetowane wyrządzone przez pożary i zarazę na bydło.

Siły produkcyjne Rossyi powiększyły się w ostatnim okresie 20-letnim, w stosunku następującym: *Ludność* Rossyi europejskiej wynosiła w 1852 r. 57 mil., w 1862 r. 61 mil., w 1867 r. 63 mil. *Dochody* wynosiły w 1852 r. 280 mil., w 1862 r. 310 mil., w 1872 r. (razem z 30 mil. rs. z Kr. Polskiego) 497 mil. *Wywieziono* towarów w 1852 r. na 100 mil., w 1862 r. na 160 mil. i w 1872 r. na 352 mil. *Przywieziono* towarów w 1852 r. na 83 mil., w 1862 r. na 125 mil. i w 1871 r. na 344 mil.

Porównyując inne państwa Europy znajdujemy: *Dochody w Anglii* z 52 mil. w 1852 r. urosły do 71 mil. w 1862 r. i do 75 mil. w 1872 r. *Dochody Francyi* z 1487 mil. fr. w 1852 r. urosły do 2177 m. w 1862 r. i do 2345 mil. w 1872 r. *Dochody Austrii* z 305 mil. guld. w 1852 r. urosły do 398 mil. w 1862 i do 514 mil. w 1872 r.

Handel zagraniczny wywozowy w Anglii z 71 m. f. st. w 1852 r. urosł do 159 mil. w 1861 i do 244 m. w 1870 r. *Handel zagraniczny wywozowy Francyi* z 1435 mil. fr. w 1850 r. urosł do 3147 m. w 1860 r. i do 3363 mil. w 1869 r. *Handel zagraniczny wywozowy w Austrii* z 158 mil. guld. w 1850 r. urosł do 402 mil. w 1870 r.

Wartość *przywozu* wynosiła we Francyi 1119 mil. fr. w 1850 r., 2657 mil. w 1860 r. i 3890 mil. w 1869 r.; w *Austrii* 111 m. w 1850 r. i 445 m. w 1870 r.

Rossya zmuszoną jest obecnie z przyczyny konkurencyi międzynarodowej do wytrzymania współzawodnictwa nietylko państw europejskich, ale i pozaeuropejskich; ztąd konieczność wyszukania i przedsięwzięcia środków do podniesienia gospodarstwa wiejskiego w tém państwie.

Witold Załęski.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość Petrarki w Avignon i Padwie. *Laure de Noves* przez p. Blaise de Bury. Ośmset dzieł o Petrarce w bibliotece Luvru. List Wiktora Hugo.—Petrarka jako promotor odrodzenia klasycyzmu w Włoszech.—Poemat Afryka.—Listy wierszem i prozą.—Ostatni przyjaciel Bokacyusz.—Zamilowanie Helenizmu we Francji.—Nowy przekład Homera i tragiczków greckich przez Lecomte de Lille.—Filozofia Platona: filozofia Sokratesa przez p. Fouille.—Historja Alcybiadesa i rzeczypospolitej Ateńskiej przez Emila Houssaie.—Polityka Arystotelesa przez Bartelemy St. Hilaire.—O wymowie sądowej w Atenach p. Morillot. Xenofon, przez A. Croiset.—Studjum nad Izokratem, professora Havet.—Mowy Demostenesa z komentarzami p. Weil.—Wymowa w Atenach, przez pr. Perrot.—Badania nad wymową atycką prof. Juliusza Girard.—Katedry literatury i starożytności helenskich w Paryżu.—Lekcja w Sorbonie pr. Girard.—Prace literackie Bonapartych.—Księżna Rattazzi.—Rozprawa pani Klemoncy Royer o pierwotnym pochodzeniu plemion ludzkich.—Protestacya przeciw odkryciu Trojady.—Kongres geograficzny.—Teatr obywatelski w San Francisco.—Przejażdżka naukowa Feliksa Radomińskiego, po Szwecyi i Norwegii.—Nowo odkryty minerał.

W chwili gdy to piszemy, oczy poetów i literatów zwrócone jeszcze ku Prowancyi i ku Włochom. O skały Wokluzy, o sklepienia starożytnej wszechnicy Padewskiej, rozlega się imię Petrarki. Zaczém jednak sprawozdanie to dojdzie rąk czytelników naszych, wrażenia, tak w téj chwili żywe i świeże, należeć już będą do przeszłości i nie jeden może zapyta, dlaczego w kronice sierpniowej nie wspominaliśmy o tém, co w ostatnich dniach lipca poruszyło świat literacki? Znajdą się przecież wyrozumiali czytelnicy, którzy pojąć zechcą, że kilka dni czasu, pomiędzy uroczystością Petrarkowską a publikacją sierpniowego zeszytu Biblioteki nie mogło wystarczyć na przesyłkę i na druk sprawozdania.

Pomijamy szczegóły prowiancko-włoskich manifestacyj: dość już zajmowały się niemi pisma codzienne. Niepodobna nam jednak przy milczącym wypadku tak ważnego w świecie literackim, jakim był pięćsetletni obchód śmierci słynnego poety włoskiego. Wielką wagę nadaje

mu zbieg okoliczności czasowych i różnorodne pobudki co kierowały myślą organizatorów. Prowansale oddając cześć poecie, który przeżył między niemi młodość i wiek dojrzały, który opisywał ich Laurę nie tylko we włoskim, lecz i langwedockim języku, chcieli uczcić zarazem pamięć starych swych trubadurów, poprzedników i mistrzów Petrarcki; a co więcej, chcieli wykazać prawa swoje do tego języka, którego zaprzeczają im centraliści francuzcy, bez względu na utwory poetyczne wysokiej wartości, jakie się w nim dziś jeszcze pojawiają.

Z drugiej znów strony, czciciele ideału, oddając hołd najwyżej uduchowionemu poecie czasów nowożytnych, pragnęli okazać w obec świata, że powódź realizmu nie skaziła jeszcze wszystkich serc, że są we Francyi nie tylko poeci i miłośnicy poezyi, ale nawet ciała naukowe trzymające silnie sztandar spirytualizmu, jakoto akademja francuzka reprezentowana w Awinionie przez Meziera.

Inni wreszcie usiłowali nadać uroczystości charakter polityczny. Petrarka rodem Włoch, wychowanek Francyi, poeta włoski i prowanski zarazem, przedstawił się ich oczom jako symbol jedności między ludami romańskiego plemienia i romańskiej cywilizacji, jako silne ogniwo federacyjnego łańcucha, który prędej czy później, musi zjednoczyć bratnie narody i zagwarantować wspólne ich bezpieczeństwo. Tak rozumieli rzecz i Hiszpanie, którzy wzięli udział w uroczystości za pośrednictwem Katalończyków, owych Prowansalów zapirenejskich. Co więcej, sam nawet rząd włoski zrozumiał rzecz w ten sposób. Świadczy o tém obecność w Awinionie posta włoskiego p. Nigry, świadczy jego mowa nacechowana duchem federacyjnym. Dlaczego rząd francuzki nie chciał nadać tego charakteru manifestacyom Włochów? dlaczego nie wysłał do Padwy jednego z dwóch posłów swoich, zwłaszcza Markiza de Noailles, tak obznajmionego z poezją i literaturami północnych i południowych ludów? dlaczego dziennik urzędowy zbył upartem milczeniem uroczystość w Padwie i Arqua?... jestto dla nas zagadką do téj pory. Szerokie za to pole otwiera się domysłom. Może być że Francją zatrzymały te same względy, jakie przed siedmiu laty zatrzymały Chińczyków od udziału w międzynarodowej wystawie paryzkiej: pamięć doznanych niedawno krzywd i zniewag. Może być że kraj, który wydał Machiawela, nie budzi we Francuzach dostatecznej ufności; może być że w tych umizgach Włochów do Prowansalów (głównych promotorów manifestacji) rząd francuzki dopatrzył jakieś niebezpieczeństwo na przyszłość; może być że wstrętném mu było oddać publiczny hołd poecie, który z tak gorącym zapałem głosił przed pięciu wiekami konieczność odrodzenia się Rzymu i przewagi jego w poród ludów romańskich! Może być... ale dajmy już temu pokój! czytelnik gotów nam odpowiedzieć słowami Krasickiego:

Wszystko to być może,
Jednakże ja to między bajki włożę.

Co przecież nie jest bajką, to że owe domysły, zebrane przez nas w jedną wiązkę, powstałe z osobna w różnych głowach francuzkich, powstrzymały wielu od udziału w manifestacji. Co nie jest bajką, to że poważny przegląd *Revue de deux mondes*, w artykule pana Blaise de Bury (*Laure de Noves*), nadał uroczystości polityczny charakter. Powiedzmy tu jednak nawiasem, że myśl pana de Bury jest dla nas zagadkową, a raczej nieloiczną. W Petrarce uosabia on Włochy, w postaci pięknej Awinionki uosabia Francją. Podczas kiedy Laure otacza aureolą wszelkich cnót, czyni typem najwyższej piękności, Petrarce chłoszcze tysiącem ostrych różeg, mieni go poplecznikiem patrycyatu, słowem odziera z czoła jego kapitolinśki wawrzyn, zdobyty jak mówi intrygą i pochlebstwem. Zapomniał snąć autor, że wzajemna miłość ludów pierwszym jest ogniwem federacji, że sam interes wystarczyć nie może do zadziernięcia wiecznotrwałego węzła. Rzućmy tylko okiem na wszystkie linie dokonane w paśmie dziejów pomiędzy ludami: nie były one wsparte na zobopólnej miłości i ofierze? Co do nas, przekonani jesteśmy, że gdyby średnie wieki miały tak rozwiniętą publicystykę, jaką szczyli się wiek dzisiejszy, żaden z owych bratnich związków, czyniących zaszczyt dziejom, nie doszedłby pewno do skutku!

Inni, złośliwiéj jeszcze niż pan Bury, krzyknęli na Petrarke. „Niecierpię Petrarki!—woła X—jeden z redaktorów *Przeglądu politycznego*: to galant, mirliflor, dandys, nie zaś prawdziwy poeta. Słuchał on zawsze z której strony wiatr wieje! patrzył z kąd słońce świecił! Kto dziś czyta Petrarkę? kto zna jego sonety?... oprócz trzech lub czterech, które każdy umie napamięć? Dant, Bokacyusz, Ariost, Tasso, to mi wielcy poeci włoscy, twórcy nieśmiertelnych typów, to czarodzieje świata! Ale ten *blazen* Petrarka (ce fat), ten pyszałek, co się przechadzał po salonach w wieńcu wawrzynowym na czole, ten wierszokleta dla którego wznowiono tryumfy Kapitolu!... zaledwie że go tłumaczono, i sami tylko literaci z professyi, wiedzą cośkolwiek o nim.”

O tymto przecież *mirliflorze*, *dandysie*, *wierszoklecie*, uczeni komentatorowie pięciu wieków zapisali całe foliaty. Pomijamy już księgi i rękopisma zachowane w Bazylei, w Monachium, a zwłaszcza w Rzymie, Florencyi, Padwie i Medyolanie; sam Paryż posiada skarby erudycyi tyczące się Petrarki. Biblioteka Richelieugo przechowuje pyszne manuskrypta łacińskich dzieł poety; biblioteka Luwru szczyciła się jedyną w świecie kolekcją, złożoną z osmiuset dzieł, poświęconych Petrarce, kolekcją, którą professor Marchand z Padwy zebrał z wielkim mozolem, a którą Karol X nabył w r. 1829 i pomieścił w bibliotece Luwru. Biblioteka ta, spalona przez pruskie bomby, nie istnieje dziś jak wiadomo: sądzimy jednak że w liczbie ocalonych z niej zabytków musi mieścić się owa drogocenna kolekcya osmiuset dzieł; gdyby miała zginąć, wspomnianoby o tém bezwątpienia w chwili, kiedy wszystkie usta powtarzają imię Petrarki.

Zkąd taka nienawiść pana X., o którym mówimy z powodu, że w oczach naszych jest on reprezentantem silnego stronnictwa? Zkąd pytamy ta zacięta nienawiść? Oto pan X. jest wyrazem politycznej szkoły centralistów francuzkich. Widocznie to przebija z szyderczych pocisków, jakimi chłoszcze dzisiejszych poetów Prowancyi. „Ileżto nadzwoniono sonetów w Awinionie!— woła z oburzeniem;— dzwoniono je we wszystkich językach, a raczej narzeczach i podrzeczach: baskim, prowankim, langwedockim, russiliońskim! Wszyscy ci różnojęzyczni trubadurowie dzisiejsi, których nie rozumieliby zapewne starzy ich protoplaści, wszyscy mieli reprezentantów swoich w Awinionie! Każdy z tych poetów powrócił do kapitolu swego z *kwalkiem*, *puharem* lub *koroną*, które sypał im tak szczerze poliglotyczny sąd przysięgłych a które składa im w imię francuzkiej akademii pan Meziéres, udając że rozumie ich różnorodne parafiańskie gwary!”

Nałajawszy do woli tradycyjne obyczaje Prowansalów, archaiczny strój Prowansalek, tak daleki od paryzkiego szyku, i prowansalski język, tę główną zaporę, wstrzymującą ideę postępową, pan X. kończy rzecz takim argumentem:

„Poeci prowanscy, oddani kościołowi, nie kochają Francyi: jedni z nich poprostu papiści, drudzy marzą o jakiejś autonomii hrabstwa prowankiego: dość wiedzieć z jaką minoderją powtarzają wyraz *hrabina*, by odgadnąć co wyraz ten znaczy. Niechoby tylko ci pocziwcy złapali jakiego potomka domu katalońsko-prowankiego lub d'Anjou, wyszłoby zaraz szydło z worka. Nim się taka gratka nadarzy, separują się rymem i hexametrem, i przeklinają w kalendarzu swoim dzień, kiedy Prowancia rzekła się udzielnosci a przyjęła naturalizacyą francuzką. Połączeni w braku innego z domem Burbonów, legitymiści, klerykały, parafianie, oto w trzech słowach ich nekrolog!”

Pan X. przesadza rzeczy. Wątpimy bardzo, aby tym filistrom prowankim śniło się o oderwaniu od Francyi a połączeniu z Włochami, lubo kto tam odgadnie jak daleko sięgają bismarkowskie sieci, gotowe łowić ryby w zmaconym Rodanie. Dla nas bardzo wymowną jest legenda o księżniczce arlezyjskiej, którą odśpiewał Mistral, pierwszy z dzisiejszych poetów prowankich, autor dwóch matych arcydzieł *Mireille* i *Calendal*. Nie mamy pod ręką téj legendy, znamy ją tylko z treści. Cesarz rzymski żąda ręki księżniczki arlezyjskiej. Piękna dziewczica nie chce widzieć Rzymianina mężem swoim, nie śmie odmówić mu wręcz, ale nakłada warunki niepodobne do urzeczywistnienia, w jej mniemaniu, a raczej w mniemaniu pierwotnych twórczych tradycy. Księżniczka nie prędzej odda rękę cesarzowi, aż wody Wokluzy przyptyną pod Arlezyą. Ktoż nie wie że miłość tworzy cuda. Ubiegł rok: wody Wokluzy przyptynęły pod miasto: przywiózł je ubogi prowansalski woziwoda. Cesarz żąda dopełnienia umowy. Księżniczka oddaje miłość i rękę prostaczkowi, który w pocie czoła wypełnił gorące jej chęci, poślubia ubogiego Prowansala. Poeta kończy sentencyą:

Pędzą wody potoku,
 Nie trwa miłość niestety!
 Czyż ukocha do roku,
 Zmienne serce kobiety!
 (La fê femelan
 Passe guerre l'an!)

Jakaż główna myśl téj legendy? Oto, że księżniczka prowancja, istnieje jak Wanda nasza, nie chce widzieć cudzoziemca małżonkiem, że woli być żoną woźnicy, niż Cezara rzymskiego. Prowancja pragnie autonomii, lecz nie myśli o separatyzmie!

Trudno odgadnąć nam, dlaczego trzej poeci z Akademii Francuzkiej, zaproszeni na uroczystość petrarkowską, nie wzięli w nią udziału. Byłż tego powodem jakieś skrupuły polityczne? czy po prostu apatya właściwa nieśmiertelnym. Bogowie nieradzi zstępują z wyżyn Olimpijskich; tak i akademicy Laprade, Autran i Augustyn Barbier nie przybyli do Awinionu.

Zaproszony także Wiktor Hugo wymówił się listem, w którym wypowiada jasno, że Petrarka nie godzien tak wielkich zaszczytów, gdyż zanadto szczęśliwym był za życia! Sądzymy jednak, że inny powód wstrzymał poetę od udziału w manifestacyi. On, zawzięty wróg Kościoła, mógłże się mieszać pomiędzy papistów? miałże uczestniczyć w uroczystości, rozpoczętej mszą św. na placu zamkowym? Oto część listu Wiktora Hugo:

„Petrarka jest potęgą czasów swoich; piękna to rzecz, światło zrodzone z miłości. Kochał kobietę i czarował świat pieśnią! Petrarka to istny Platon poezyi: łączy subtelność serca z głębokością rozumu. Ten kochanek jest niemniej myślicielem, poeta filozofem; słowem to duch błyszczący!

, Petrarka przedstawia rzadki przykład szczęśliwego poety. Był on zrozumiany za życia: tego przywileju nie otrzymał ani Homer, ani Eschyles, ani Szekspir. Nigdy go nie potwarzano, nie kamionowano.

„Petrarka poznał wszelkie blaski, jakie ziemia dać może: poszanowanie papierów i entuzjazm ludów! gdy przechodził ulicą, drogę przed nim zaściełano kwiatami. Na czole nosił złoty wawrzyn, niby Cezar tryumfujący; zasiadł na Kapitolu istny bożek! Powiedzmy prawdę bez ogródki: do zupełnej chwały brakuje mu nieszczęścia. Wolę ja nad jego szatę purpurową pielgrzymi kij tułacza Alighierego! Brak Petrarce tego tragicznego uroku, co czyni poetę olbrzymem; brak mu téj czarnej chmury, krążącej zwykle nad czołem prawdziwych geniuszów; brak mu zniewagi, żaloby, obelgi, prześladowania.

„W chwale wieków Dante przerasta Petrarke: wygnaniec wyższy nad tryumfatora!”

List ten cémże jest inném, jeśli nie własną apoteozą? gorzkim wyrzutem za obelgi i pociski? Nieszczęśliwy Hugo, zbyt wiele cierpiał

w ostatnich czasach, aby mu nie przebaczyć tego wybuchu żalu, tych skarg na obojętność i nieuznanie ziomków, skarg więcej ubliżających własnej godności, niżli wszystkie chłosty zewnętrzne!

Zobaczmy teraz, jakie było to szczęście Petrarki, to szczęście, które dziś jeszcze, po pięciuset latach, kole w oczy spadkobierców jego liry! Nie potrzeba na to być wielkim psychologiem, aby odgadnąć, że poeta zakochany w ideale, uganiający się wiecznie za tym promienistym meteorom, którego schwycić nie dano śmiertelnikom, że poeta, powtarzamy, choćby otoczony najwyższą chwałą kapitolńskich wawrzynów, nie może być szczęśliwym! Nie był nim i Petrarka: świadczą o tém jego poufne listy, jego zapiski prozą, mniej znane od świetnych sonetów. Zważmy, jak określa stan jego duszy Mezières, autor znakomitej monografii, uwieńczonej niedawno przez akademią.

„Żadna walka, czy zakończona tryumfem, czy upadkiem, nie odbywa się bez boleści. Petrarka przecierpiał wiele w ciągu życia tak niby szczęśliwego! Dusza lekka używałaby spokojnie darów losu, ale duszom głęboko czującym zwykła pomyślność nie wystarczy. I cóż ztąd, że wszystko wie dzie im się napozór, jeśli niezadowolone we wnętrzu własnym? Petrarka wprawdzie zdobył chwałę, czuł jednak całą jój próżność i nicestwo. Cierpiał on chorobę serc wielkich. Pragnął dla siebie, pragnął dla drugich tego stanu doskonałości idealnej, jakiej ludzka słabość osiągnąć nie pozwala. Przyczyną zgrzytot jego była ta straszna przepaść, jaką, co krok, co chwila spostrzegał między promienistym urokiem słów własnych, a brzydota rzeczywistości świata.

Pragnął widzieć Włochy zjednoczone, widział je rozpadłe niezgodą; pragnął ich potęgi, patrzył na ich bezsilność i rozprzężenie; pragnął widzieć pokój i sprawiedliwość, panującą na ziemi: słyszał tylko o gwałtach i bezprawiaach. W własnej duszy jego też sama walka, tenże rozstrój! Surowy dla drugich, surowym był niemniej sam dla siebie. Pragnął doskonałości, bolał że nie mógł jój osiągnąć. Co dnia postanawiał dźwignąć się z błędów, potęgą woli ujarzmić w sobie rozhukanego zwierzęcia; niestety! zwierz, pokonany chwilowo, brał znowu górę, ukazywał kły i pazury! Biedny poeta! szukał spokoju ducha, lecz spokój uciekał od niego. „Jestem—mawiał—jak on chory, co próżno szamocze się na łożu: wszędzie mu coś dolega.” Przez całe życie dręczyła go wewnętrzna boleść, skutek zbyt drażliwej wyobraźni i zbyt gwałtownych uczuć: choroba właściwa wielkim duszom!

„Ztądto owe bezustanne podróże z Francji do Włoch i napowrót z Włoch do Francji, ztąd ciągle te przejażdżki z miasta do miasta, z Padwy do Medyolanu, z Werony do Wenecji i do Padwy. Petrarka oszukiwał sam siebie: zmiana miejsca nie mogła go uleczyć. Źródło cierpienia leżało w nim samym, nie zaś w otaczających go przedmiotach. Gdziekolwiek się obrócił, nosił ranę w głębi duszy znudzonej i poszarpanej. „Odrębne władze duszy mojej, walczyły z sobą zawzię-

cie, pisał w późnej starości, dręczyły życie moje ciągłemi rozterkami, istną wojną domową. Stałem się sam dla siebie ciężarem, męką, udręczeniem!" Smutny to stan! tęsknota wygnańca strąconego z wyżyn ideału, zmuszonego brnąć w ognisku rzeczywistości!"

Takiegoto zapaśnika ideału w wiecznej walce z życiem, z ludźmi i z sobą, takiegoto psychologa poetę, inny psycholog poeta—młodszy o lat pięćset, zowie nadto szczęśliwym dlatego, że nosił na czole złoty wawrzyn, że współcześni rzucali mu kwiaty pod stopy, jak gdyby męczarnie udręczonego sobą ducha nie starczyły za obelgi i pociski cudzą miotane ręką!

Petrarka był wygnańcem, tułaczem nietylko w przenośnym, lecz i w najrzeczywistszym znaczeniu tego słowa. Urodził się w miasteczku Arezzo, gdzie ojciec jego, wygnany z Florencji wraz z Dantem Alighierim, przez tryumfujących Gwelfów, zatrzymał się był chwilę. Ziemia, którą dziecię dotknęło raz pierwszy drobną stopką, była ziemią wygnania! Wychowany w Awinionie, owym grodzie papieżkim, tej ostoi tułaczy włoskich, pobierał nauki w prowancji w miasteczku Carpentras, później w Montpellier. Szczęściem dla włoskiej literatury, chwilowy pokój w ojczystej ziemi otworzył młodzieńcowi przystęp do wszechnicy bolońskiej. Gdyby nie to, imię Petrarki świeciłoby może w gronie langwedockich trubadurów!

Nie naszą rzeczą pisać zyciorys wielkiego poety włoskiego. Znana już powszechnie miłość jego dla Laury, unieśmiertelniona w cudnych sonetach. Nie będziemy się zatrzymywać nad tym ustępem z jego życia. Mniej znana tymczasem wielka rola, jaką Petrarka odegrał w historii literatury i nauk, jako pierwszy promotor epoki odrodzenia. Epoka ta, której dojrzałe owoce miał zbierać dopiero wiek XVI, zanadto silnie odbiła się w dziejach literatury naszej, w postaciach Sarbiewskich i Kochanowskich, abyśmy mogli przemilczeć o wielkich zasługach Petrarki w tym kierunku.

W dzikiej pustelni u sławnego wodospadu Wokluzy, odgradzony od świata zwałem niedostępnych opok, Petrarka przez długie pasmo lat, nie o samą tylko marzył Laurze. Z niezmordowaną pracą badał on stare księgi i rękopisma, przechowane w cieniu monasterów, pozostałe z czasów świetności rzymskiej. Miłość kraju była mu dzielną pobudką do tych badań. Kochał on Italię nie dla jej czarującej piękności, nie dla cudnego jej klimatu; kochał ją dla wielkich tradycji, któremi przerosły na wskrós zwaliska Romy, niegdys królowej świata. Niewystówniona też gorycz przepęłniała serce jego, kiedy porównywał stan obecny szarpanej niezgodą, zlaną krwią Italii z dawną jej świetnością i chwałą; kiedy patrzył na wzrost ościennych krajów, podczas, gdy upokorzony kraj jego chylił się do upadku.

Głęboka znajomość przeszłości, podsyciała w nim dumę narodową. Poprzysiągł sobie bądź co bądź rozbudzić w ziomkach dawną energią i miłość pracy umysłowej. Pragnienia jego w połowie urzeczywistnione zostały. Nie w jego było mocy wskrzesić naród do

życia politycznego; szczęśliwiej zato rozpoczął propagandę literacką. Pomagał mu w tém dziele Bokacysz. Tym dwóm uczonym zawdzięcza cywilizacyę odrodzenie klasycznych nauk we Włoszech, przeczuwane zaledwie przez Dantego.

Powołanie literackie objawiło się w Petrarce od lat najmłodszych. Posłuszny ojcu, uczył się prawa w Montpellier i w Bolonii; tajemnie zaś odczytywał z zapamiętaniem Cycserona i Wirgilego. Po śmierci ojca porzucił wstrętne mu prawnictwo, a oddał się wyłącznie badaniom literatury starożytnej. Z niezmierną pracą jął wydobywać odwieczne zabytki łacińskie z bibliotek klasztornych i prywatnych. Stosunki z postaciami obcych dworów w Awinionie, ułatwiły mu te poszukiwania. Nadsyłało mu rękopisma z różnych stron Europy: z Francyi, Hiszpanii, Niemiec, Anglii, nawet ze Wschodu.

W bogatym księgozbiornie swoim posiadał wszystkich znanych wówczas poetów i prozaistów rzymskich: Horacego, Terencyusza, Pliniusza, Senekę, Quintiliana, Laktancyusza. Całe z nich ustępy umiał napamięć i cytował w łacińskich listach do przyjaciół. W Wokluzie, oderwany od świata, przebywał w towarzystwie tych starożytnych geniuszów; żył się niejako z nimi, myślał ich myślą, czuł ich uczuciem. Pisywał do nich listy. „Czytam cię—pisze do Tyta Liwiusza—ilekroć pragnę oderwać wzrok od czasów i obyczajów dzisiejszych. Przy tobie przepominam klęsk i obecnej niedoli. Ty wprowadzasz mnie w wieki szczęśliwsze!”

Bardziej jeszcze kochał Cycserona. „Nasz Cycseron—mówi on—to prawdziwy ojciec języka łacińskiego, Wirgili idzie zaraz po nim. Wielu poetów wydała Italia, z tych sam Wirgili godzien nieśmiertelnej chwały!” Styl Cycserona pieścił mu ucho, niby dźwięk czarodziej-skiej muzyki. Z szczególném staraniem poszukiwał rękopisów sławnego oratora. W belgijskiem mieście Liège znalazł dwie nieznanne jego mowy. Przepisał je własną ręką; niekądto mu to przyszło. „W tém barbarzyńskim mieście, pisze do przyjaciela, zaledwie że znalazłem atrament.” W Weronie odszukał listy familijne ulubionego autora, przepisał je zarówno. Kopią tę posiada Laurentyńska Biblioteka we Florencyi.

Cycseron budził w Petrarce najwyższy zachwyt. Był to w oczach poety pierwszorzędnym geniusz, jakim świat poszczycić się może. Tak przemawia do niego w jednym z listów: „Ojczy wymowy łacińskiej! składam ci dzięki, imieniem mojem i tych wszystkich, którym znane kwiaty łacińskiego języka. Czerpiąc w krynicach twoich, skrapiamy rosą łąki nasze! Ty nas prowadzisz, ty nas podpierasz, ty oświecasz nas światłem twojem! Przyznajem to z prostotą, pod twoim kierunkiem przyszliśmy do władzy pisania, acz posiadamy ją w maleńkim stopniu!”

Jeżeli wielbi wymowę Cycserona, zarówno ceni jego filozofią moralną i pragnie z niej korzystać. W *Tuskulanaach* widzi zbiór mądrych przepisów, z których nawet chrześcianin może czerpać z poży-

kiem. „Pierwsza księga—mawiał—uczy nas, jak opanować trwogę śmierci; druga, jak pokonać boleść fizyczną; trzecia, jak leczyć chorobę duszy; czwarta, jak zwalczać namiętności.“ Jednemu z przyjaciół, choremu na podagrę, zalecał czytanie księgi drugiej.

Zamiłowany w starożytnościach rzymskich, Petrarca używał łaciny w licznych korespondencyach tak prozą jak i wierszem. Po łacinie napisał wielki poemat *Afryka*. Przemawiając językiem starych Rzymian, językiem oświeconym tytu arcydziełami, chciał on pociągnąć współczesnych do stworzenia we Włoszech nowej literatury łacińskiej, godnej starożytnych czasów. Przekonany był sumiennie, że jeżeli dokupi się sławy u przyszłych pokoleń, winien to będzie nie sonetom wyspiewanym po włosku, lecz łacińskim swym pracom. W ostatnich latach życia z lekceważeniem mówił o swoim śpiewniku (*Canzoniere*). Potrafił nawet wpłynąć na współczesnych, że wyżej cenili w nim łaciniście, niż poetę włoskiego. Potomność innego była zdania, z wielką szkodą dla prawdy i rzeczywistego postępu nauk.

Wielki poemat łaciński p. t. *Afryka*, mimo niepoprawności języka i niezliczonych błędów z jakimi wydany został, obejmuje przecież piękności godne wielkiego poety. Obraz bitwy pod Zama nakreślony mistrzowskim piórem. Rzewne uczucie budzi spotkanie się posłów i jeńców kartagińskich pod murami Rzymu, równie jak cudnie piękny sen Enniusza. Podczas gdy Petrarca układał w pustelni Wokluskiej poemat na chwałę Scypiona, bohatera swego, zbierał zarazem materiały do obszernej historii Rzymu. Mozolną tę pracę wykonał w formie biografii znakomitych mężów, od Romulusa do Tytusa. Pierwszy to był obraz, ogarniający całość dziejów starożytnej Romy, nakreślony po jój upadku. Przy imionach sławnych obywateli, ugrupował autor zdarzenia historyczne z wielkim życiem i erudycją. Dziełem tém, równie jak poematem o Afryce, wysświetlił on przed oczyma współczesnych tajniki starożytnego świata. Po długich latach nieuctwa i ospałości Włosi zwrócili oczy ku pierwotnej kolébce, otoczonej chwałą wiekową.

Listy wierszem, czyli *epitry* łacińskie Petrarki, według sądu znawców, wysoką mają wartość, nieustępującą jego włoskim sonetom. List do siebie samego, w którym wyrzuca sobie własne winy i nakazuje konieczność rychłego upamiętania, pełen szczęśliwych i oryginalnych zwrotów. Wyraża w nim pragnienie, aby proch jego ciała spoczął w ojczystej ziemi, obok prochu naddziadów. Najwyższą wartość jednak erudyci przyznają prozie łacińskiej Petrarki. W obszernych korespondencyach jego, składających trzy wielkie tomy, znaleźć można pełne życia opisy podróży po różnych krajach, niemniej ważne spostrzeżenia psychologiczne, malujące ducha epoki i ciekawe uwagi nad literaturą.

Wszechstronny ten umysł wszystko ogarnia, nic nie uchodzi jego bacnej uwagi. Wiadomo jak w XIV wieku świat bił czołem przed astrologami i alchemikami. Obłądł tak był powszechny, że w akademii

bolońskiej wykładano z katedry astrologią, jako naukę na niezbitych opartą prawach. Petrarka sam wbrew wszystkim dowodzi, że alchemicy prostymi są oszustami. „Chcecie, mówi do przyjaciół, wzbogacić się alchemią! cóż ona wam dać może prócz dymu, popiołu, potu czoła, czczych słów, kłamstw i niesławny?” Z równą zaciętością chłostsze astrologów. Jednego z nich na dworze Viskontich w Medyolanie tak przyparł do ściany loicznym rozumowaniem, że biędny astrolog wyznał jako nauka jego fałszem jest i zasadzką na łatwowierną gawieź. Podobny wstręt okazywał i do lekarzy. Wprawdzie wierzył w mądrość starożytnego Hipokratesa, ale w następcach jego widział po prostu szarlatanów. Kiedy Bokacyusz donosi mu, że powstał z ciężkiej choroby, dzięki Bogu i lekarzowi swemu, Petrarka odpowiada na to: „Bóg sam dał sobie radę bez pomocy twego lekarza.“ Klemensowi VI złożonemu chorobą przypomina, że cesarz jeden kazał wyryc na grobie swoim napis: *Turba medicorum perii*.

Zacięty wróg dyalektyki, powstawał gwałtownie przeciw nadużyciom sylogizmów w akademiach: bolońskiej i paryżkiej. Gniewała go ta panująca mania rozprawiania o wszystkim, przyjęta jako systemat szkolny. „Staraj się—pisał do młodziana jednego—zostać pracownikiem rzeczywistym, nie zaś pustym rozprawiaczem!“ Szydź dowcipnie z *tez* doktorskich i z parady uniwersyteckiej przy rozdawaniu stopni. „Patrzmy!—pisze—oto młody głupiec wchodzi do sanktuarium: pryncypały sypią pochlebstwa, krewni i przyjaciele poklaskują. Wstępuję na katedrę, zatacza w okół wzrokiem. Spogląda na wszystkich z góry, bełkotce jakieś niezrozumiałe słowa. Wtedy starszyzna wynosi go pod obłoki. Dzwony brzmią, trąby rozlegają się o sklepienia. Ściskają go, kładą mu na głowę biret doktorski. Skończył się obrzęd. Ten, który głupcem wszedł na katedrę, schodzi z niej patentowanym mędrce. Istna metamorfoza, podobnej nie zapisał Owidyusz! Tak się dziś fabrykują uczeni!“

Petrarka pierwszy w średnich wiekach powazył się wystąpić przeciw powadze Arystotelesa, a raczej przeciw jego szkole. Wyzwany do walki przez scholastyków, wyrzuca im wręcz, że nie godzi mienić się uczniami stagirskiego filozofa. Mistrz ich mówił i pisał; oni zaś trwonią czas na frazesa i puste gadaniny. Raz nawet uniesiony dyskusją wyrzekł pamiętne słowo: „Arystoteles był tylko człowiekiem, wszystkiego wiedzieć nie mógł.“ Słowo to stało się hasłem nowego porządku rzeczy. Na hasło Petrarki, duch krytyczny czasów nowożytnych rozbudza się w umysłach, przychodzi do samowiedzy, uderza w najwyższą powagę naukową uświęconą wiekami!

Petrarka wprowadza w świat nowe kryterium do sądzenia utworów starożytnych. Przed nim, nikt nie pytał o formę: styl Arystotelesa nikogo nie obchodził. On pierwszy wyznaje śmiało, że korząc się przed potęgą, rozumu wielkiego mędrca, nie widzi w nim śladu wymowy. Kiedy Cyceron i Seneka porywają go czarodziejskim słowem, Arystoteles oświeca go, ale nie wzrusza. Ten nauczy go czém cnota,

czém występki; lecz tamci tylko cudowną potęgą sztuki, rozbudzą w nim miłość dobra, nienawiść i pogardę ku złemu!

Smak, piękno, sztuka, styl! wyrazy te nieznanne a raczej pogrzebane pod gruzami Romy, wybiegły z ust Petrarcki w samą porę; potęgi artystycznej strunę w duszy Włochów i stworzyły nową epokę w literaturze świata.

Dante znał już i kochał starożytność. Cześć jaką miał dla Wirgilego, miejsce jakie naznacza w zaświatowych sferach Lukanowi, Horacemu i Owidyuszowi, świadczą jak cenili klasycznych poetów. Ale Petrarca pierwszy wydobył z ukrycia utwory starożytnych, dał w nich zasmakować narodowi: pierwszy utworzył szkołę. Z gorącym zapałem nowatora otwiera on oczy ziomków na światło, usposabia ich duszę do pojęcia artystycznego piękna, wrywa ich z więzów szkolarskich, budzi wstręt ku próżnej dyalektyce, zabijającej ducha ciasnemi formułami; oczyszcza język z barbaryzmów, rozbudza uczucie harmonii; pokazuje przykładem Latynów, o ile piękność formy, o ile czar stylu podnoszą wartość utworu literackiego, czyniąc go arcydziełem. Owa to niezmordowana działalność Petrarcki sprawiła, że przejście jego odbiło się smugiem promienistym na czarném tle XIV wieku.

Nie porzestał on na zebraniu i ocalaniu szczątków literatury łacińskiej. Zajmowały go niemniej zabytki greckie, których piękność znał tylko ze świadectwa rzymskich pisarzy. Zbawienny to był przykład dla współczesnych, kiedy Petrarca, mąż w podszelny już wieku, otoczony chwałą, uwieńczony wawrzynem, sprowadza z Wenecyi mistrza Pilata, podejmuje w własnym domu, uczy się z Bokacyuszem pierwszych zasad języka Hellenów. Dzięki jego zabiegom, Pilat otrzymuje pierwszą we Włoszech katedrę greckiego języka; pod jego okiem tłumaczy Homera na łacinę. Nędzny to przekład, niemniej jednak ważny dla literatury. Słaby brzask przedziera się przez gruby pomrok nocny: spada zasłona pokrywająca chwałę Grecyi przed oczyma zachodnich ludów. Umysły zwracają się ku nowej zorzy. Petrarca, który w liście do Homera ubolewał niedawno, że wielki poeta grecki liczył w całych Włoszech dwunastu tylko przyjaciół: pięciu we Florencyi, dwóch w Wenecyi, jednego w Bolonii, jednego w Mantui i dwóch w Rzymie; Petrarca, powtarzamy, tak cudownie pomnożył ich liczbę, że w końcu już XIV wieku, Grek Chrysoloras zgromadza w około katedry swojej we Florencyi świetne audytoryum, które wtajemnicza w cuda literatury greckiej.

Patrząc na ten ogrom prac, na te niezmordowane trudy, uwieńczone najświetniejszym tryumfem; dziwić się tu, iż średniowieczny Rzym włożył na głowę Petrarcki koronę wawrzynową, jaką starożytny Rzym zaszczycał tylko tryumfujące imperatory? Italia, podnosząc do takiej chwały wieszczą swego, nie nagradzała w nim twórcy dźwięcznie brzmiących sonetów: on sam mało je ważył w końcu życia. Italia uczciła w Petrarce wielkiego męża, którego potężny geniusz, orlim lotem wzbil się nad chmury zaścieiające widnokrąg, jedném skrzydłem

potrącił o wielkie tradycje starożytnej Romy i wskrzesił je do życia, drugiem sięgnął w daleką przyszłość i ukazał ludom promieniste szlaki odrodzenia!

Przeczuwali to współcześni i dlatego zwieńczyli wawrzynem uznajone czoło pracownika; zrozumieli to dzisiejsi Włosi i dlatego posąg Petrarcki w Padwie, wzniesiony w pięćsetletnią rocznicę jego skonu, wsparli na piedestale wykonanym na wzór grobu afrykańskich Scypionów.

Na głos Petrarcki, powtarzany, zbudziły się Włochy z wiekowego letargu. Florencyja szczególnie, kolébka wieszczka, stała się głównym ogniskiem uprawy literackiej, wszechnicą wytwornego smaku, dla Włoch jak niemniej dla wszystkich ludów Europy. Na tymto gruncie tak użyzionym Grecy, wygnani z Carogrodu, mieli złożyć w końcu wieku XV ocalone zabytki literatury rzymsko-helleński. Wielu historyków naznacza upadek Byzancyum jakoby za początek nowej ery. Przepomnieli oni, że Petrarcka z Bokacyuszem i całą szkołą swoją przygotował drogę do największego przewrotu na polu umysłowym, jaki świat zapamięta. Wiek XV spożywał owoce z ziarn, które posiał geniusz wieku XIV. Słusznie też dzisiejsi erudyci, porównyując odkrycie starożytności klasycznych z odkryciem nowego świata, mieniają Petrarckę Krzysztofem Kolumbem, Kosmasa Medyceusza zaś mieniają tylko Wespuczym Amerykiem w historii odrodzenia!

Wytrwałość do geniusz! powiedział jeden z myślicieli, oddając cześć tym niezmordowanym pracownikom, którzy w pocie czoła, z wysiłkiem ducha pną się w górę, dzień po dniu, krok za krokiem, aż dotrą nakoniec na te wyżyny, kędy geniusz dopędza jednym poletem skrzydeł. Cudnyż to dopiero przedstawia obraz geniusz idący w parze z wytrwałością. Życie Petrarcki taki daje nam obraz. Od młodości do grobu uganiania on myśl jedną, cel jeden. Miłość dla Laury, ten w oczach wielu najważniejszy ustęp jego życia, to nie ustęp ale płomień co podsyca ducha poety, rozniaga w nim twórczą potęgę. Wielkie to serce bije dla innych niemniej uczuć, bije tém silniej, im pobudka tych uczuć szlachetniejsza. Ukochał on naukę, ukochał ideał zrealizowany w myśli ludzkiej, w sztuce, w literaturze, w dziejach ziemi ojczystej; ukochał go najmocniej w Bogu, nieśmiertelnej summie piękna, dobra i prawdy. Myśl o doskonaleniu duszy własnej zajmuje go bezustannie; widać to z jego poufnych listów do przyjaciół, do mędrców starożytności, do Ojców Kościoła, jak Augustyn święty, przed którym otwiera najgłębsze tajniki ducha swego. W pracach umysłowych widzi dla siebie jedyną drogę, prowadzącą do idealnej doskonałości.

Przez lat pięćdziesiąt pracuje z niezrównanym zapałem; pracuje do ostatniego tchnienia. Czytaniem ksiąg rozbudza iskry własnego geniuszu. Kiedy tworzy w zachwycie gorączkowym, nie mierzy czasu, nie wie że mijają godziny i dni całe. Praca mu chlebem, praca powietrzem; nią tylko żyje, nią oddycha. Raz kiedy pisał *Afrykę*, przyjaciel widząc go znużonym, błagał o kilkodniowy spoczynek, zamknął

mu bibliotekę, zachował klucz od niej. Pierwszy dzień wydał się poecie długim jak wiek; w drugim dniu zachorował na gwałtowny ból głowy: trzeciego dnia zaległ łoże trawiony gorączką. Przyjaciel zatrwożony takim stanem, oddał mu drogie księgi. „Przestaną pisać wtedy gdy żyć przestaną— wyraża się w liście poeta. Ilekroć wlepię oczy w pergamin, ilekroć ręka moja pochwyci pióro, staję się martwym jak głaz na zewnętrzne przedmioty; nie czuję nawet gorąca ani chłodu!”

W księdze *O życiu samotném (De vita solitaria)* Petrarca opisuje długie lata spędzone u wodospadu Wokluzu. Wstawał o świcie, przechadzał się po stromych górach, lub po malowniczym brzegu Sorgi; karmił wzrok pięknosciami okolicy; chwycił w płuca przezysty powiew, skupiał myśl w ciszy i milczeniu. Ale czyto wdzierał się na skałę, czy spoczywał na murawie w cieniu wierzb, czy wracał w progi domu, umysłem ścigał bezustannie wątek prac rozpoczętych. „Myśleć, czytać, pisać!— woła z zapałem—ta troista rozkosz życia mego, całkiem je pochłoneła!” Uroczą ustron zaludnił w wyobraźni drogiemi sercu istotami. „Tu—mówi on—wszyscy przyjaciele moi, czyto ci, z którymi przebywałem w biegu dni moich, czy ci którzy pomarli na wiele wieków, zaczem przyszedłem na świat, znani mi tylko z dobroczynnej potęgi słowa; wszyscy ci, których wielbiłem z bohaterских czynów i odwagi, z cnotliwych obyczajów, z języka i geniuszu; wszystkie te olbrzymy różnych krajów i wieków otaczały mnie w mojej cichej dolinie. Stokroć wołałem rozmawiać z nimi, niż z tylu żywymi niby ludźmi!”

Im bardziej zachodził w lata, tém więcej czasu poświęcał naukom. „Idę śpieszno—pisał do przyjaciela—istnie jak zmordowany podróżnik. Dniem i nocą czytam i piszę naprzemiennie; jedna praca daje mi spoczynek po drugiej.” Coraz to skwapliwiej odkrada chwile przeznaczone na sen i na posiłek ciała. Dla niego sen śmiercią, łożo grobem. „Wyśpiemy się dosyć—mawiał—gdy nas położą w ziemi.” Sypiał zazwyczaj sześć godzin, dwie godziny poświęcał na niezbędne potrzeby życia, szesnaście oddawał pracy umysłowej. I tak przeżył lat siedmdziesiąt, dorzucając co dnia nowy plon do olbrzymich zasobów wiedzy, nową kartkę do licznych woluminów!

Kiedy w końcu życia zalecano mu spokój, odpowiadał troskliwym przyjaciółom: „Praca jedynym pokarmem ducha mego. Gdybym zwolnił kroku lub spoczął, umarłbym natychmiast: wiem o tém. Obliczyłem ja siły moje. Nie zdolny jestem do żadnej innej pracy. Gdy czytam i piszę, nie trudem się bynajmniej; przeciwnie, najłodsze-go wtedy używam wczasu. Nic miłszego, nic lżejszego nad pióro. Inne uciechy szybko przemijają i czarując nawet sprawiają boleść. Pióro czaruje cię gdy go weźmiesz do ręki, czaruje cię jeszcze gdy go złożysz. Pióro służy nietylko temu kto niém włada, ale częstokroć wielu innym dalekim od ciebie, niekiedy potomności, po długim przebiegu lat i wieków!”

Na krótko przed śmiercią pisał do Bokacjusza: „Ze wszystkich uciech ziemskich nie ma uczciwszej, nie ma trwalszej, nie ma słodszej, nie ma wierniejszej, nad pracę literacką!“ Słowa te są testamentem wielkiego zapaśnika.

Z licznych niegdyś przyjaciół pozostał mu jedyny Bokacjusz. Przyjaźń ich przetrwała lat dwadzieścia cztery. Ostatnie ich listy, zachowane dotąd, pięknem są świadectwem tych dwóch serc godnych siebie. Bokacjusz błaga Petrarke, aby pielęgnował się i ukrzepiał gasnące siły, aby nie osierocił go śmiercią swoją. Petrarka odpowiada mu na to: „Ja właśnie pragnę umrzeć póki ty żyjesz; pragnę zostawić po sobie przyjaciela, który mnie pożałuje i zapamięta, i wesprze mnie modlitwą. Oprócz czystości sumienia, nie ma dla umierającego słodszej nad tę pociechy!“

Pragnienia Petrarki spełniły się niebawem: był to jego list ostatni. W kilka dni potem, znaleziono go bez życia w bibliotece. Umarł jak żył, z piórem w ręku, pochylony nad pergaminem. Skończył jak żołnierz na wyłomie!

W ostatniej kronice naszej, mówiąc o mitologicznych obrazach, zwróciliśmy uwagę na szczególne powinowactwo duchowe Francuzów, ze starożytnymi Hellenami. Wspominaliśmy niemniej, że ilekroć jaki niebezpieczny prąd popycha umysły na bezdroża, artyści francuzcy chronią się za tarczę Pallady i pod jej ostoną czekają lepszych czasów. Nigdy ten popęd widoczniejszym nie był jak dziś w obec materyalizmu napływającego na Francją z Anglii i Niemiec, a nawet z Północnej Ameryki. Ktoby chciał w dzisiejszym powiewie klasycznym widzieć dowód upadku umysłowego, byłby w zupełnym błędzie. Francya, z całą świadomością rzeczy podjęła grecki oręż, i walczy nim w obronie zagrożonego ideału, przeciw powodzi barbarzyństwa.

Literatura grecka liczyła zawsze gorących zwolenników we Francji; dziś jednak zamiłowanie to wzrasta w widoczny sposób. Dość rzucić okiem na mnóstwo dzieł poświęconych literaturze, historii i filozofii greckiej. Do kilku istniejących przekładów Odysei i Iliady, słynny poeta Leconte de Lille dodał w ostatnich czasach nowy, odznaczający się tak wielką ścisłością, że ani jeden wyraz nie został ujęty ani też dodany. Jedyna licencya jakiej pozwolił sobie tłumacz, to porządek wyrazów, odpowiedni wymaganiom gramatycznym. Tenże poeta przełożył trzech wielkich tragików greckich: Sofoklesa, Eschylesa i Eurypidesa z tą samą wiernością, jaką podziwiamy w przekładach epepei.

Z dzieła filozoficznego p. Fouille wydał w tym czasie filozofią Platona w dwóch tomach, oraz filozofią Sokratesa, dzieło równie obszernego rozmiaru.

Na polu historii świetnie wystąpił Emil Houssaie w nowej publikacji pod tytułem *Historya Alcybiadesa Rzeczypospolitej ateńskiej*. Obszerna ta monografia zwróciła uwagę francuzkiej akademii, która w zeszłym miesiącu przysądziła autorowi nagrodę fundacyi Thiersa. Że nie samych wyłącznie uczonych zajmują dzieła tego rodzaju, najlepszy dowód, iż w ciągu kilku miesięcy trzy wydania téj ciekawej monografii wyczerpane zostały.

Barthélemy St. Hilaire napisał ważne dzieło p. t.: *Polityka Arystotelesa*. Trzecie wydanie tylko co ogłoszone, przemawia samo przez się za tą pracą.

P. Morillot w ważnej publikacji: *O wymowie sądowej w Atenach*, przedstawia starożytną Agorę ateńską w sposób nadzwyczaj żywotny i zajmujący, nietylko uczonych erudytów, lecz każdego światłego czytelnika.

Inny sławny Ateńczyk współczesny Alcybiadesowi, Xenofon, przewany *Pszczolą ateńską*, znalazł swego biografa w panu Alfredzie Croiset. Autor z nowego stanowiska ukazuje w Xenofonie męża czynu, filozofa i pisarza. Pogląd wysoko historyczny nadaje wielką wartość temu życiorysowi.

Wielcy mówcy ateńscy stali się szczególnym przedmiotem badań dzisiejszych erudytów francuzkich. Niedawno oto, uczony Havet, professor kollegium francuzkiego, napisał znakomite studjum nad Izo-kratem; Weil wydał w nowym przekładzie *Mowy Demostenesa*, z dołączeniem obszernych komentarzy.

Do tych ważnych prac przybyły jeszcze dwie nowe: *Wymowa polityczna i sądowa w Atenach* przez Jerzego Perrot, i *Badania nad wymową attycką* p. Juliusza Girard, członka instytutu, profesora Sorbony. Ci dwaj uczeni heleniści, niegdyś uczniowie szkoły ateńskiej, dwie odmienne obrali drogi: pierwszy występuje jako historyk, tłumaczy rzecz faktami; drugi pogląda raczej z krytycznego i filozoficznego stanowiska. Obaj zarówno wykazali czém był ten sławny attycyzm, który wymowę grecką zaprawiał nieporównanym urokiem, a który sami tylko Francuzi z pomiędzy wszystkich ludów, odziedziczyli w spadku po Ateńczykach.

Pan Perrot, w wykładach w szkole Normalnej, przebiega historią wymowy greckiej od pierwszych jej początków aż do ostatniego upadku. Opowiada życie każdego mówcy; kreśli obraz czasu w jakim żył, okoliczności w jakich czerpał natchnienie. Każdy rozdział osobną stanowi biografią.

Pan Girard zna téż historią, do gruntu, posługuje się nią bezustannie; lecz występuje głównie jako krytyk, estetyk i filozof. Nie pierwsze to już pole autora. W dawniejszém nieco dziele: *O uczuciu religijném w Grecyi*, zbadał on głęboko helenizm; z utworów poetycznych wydobył idee, i wierzenia Grecyi pierwotnej; wykazał olbrzymie wysiłki ducha, które wydały tragedya. W rozprawie nad Tucydydesem dał poznać historią oswobodzoną z przesądów, która przywraca

rozum ludzki do właściwej godności, wyjaśniając wypadki przez działanie wolnej woli człowieka.

Nowe dzieło *O wymowie atyckiej*, nie ustępuje pracom poprzednim. „Atycyzm—mówi autor—to ów aromat właściwy wytwornemu językowi Ateńczyków. Określić go można dwoma słowy: prawda i proporcya.“ Po takim założeniu pan Girard rozbióra mowy wielkich oratorów, wykazuje ich geniusz, potężny i giętki zarazem, ich smak estetyczny wyrobiony do najwyższego aryzmu. „Umieją oni wzniesić się nieraz do młodzieńczej naiwności, do dziecięcej niemal prostoty. W każdym ich słowie przebija wdzięk i swoboda. Nie dopatrzeć tu ani cienia przesady. Nic tu nie brak, niczego nie zawiele. Lekkość w formie, jasność kolorytu, siła, blask, łatwość w doborze wyrazów, w układzie zwrotów szczęśliwych, niespodziewanych, takt, miarkujący zbyt gwałtowne wybuchy uczucia: oto charakterystyka atycyzmu greckiego.“

Ktokolwiek zna do gruntu język francuzki, musi przyznać, że jeżeli poezya zanadto skrepowana formą, postradała urok swobody i prostoty, zato piękna proza francuzka posiada wszystkie cechy, jakimi p. Girard określa atycyzm wytwornych Hellenów.

Professor ten objął od kwietnia r. b. katedrę poezyi greckiej w Sorbonie. Nowa to katedra, ustanowiona w tym roku. Dotąd pan Egger sam wykładał wszystkie działy literatury greckiej w uniwersytecie paryzkim. Był to ciężar zbyt wielki na jednego. Dawny professor pozostał zatem przy wykładzie historii i wymowy: poezya znalazła nowego tłumacza w znakomitym grekofilu p. Girard. Oprócz tych dwóch urzędowych katedr, istnieją jeszcze trzy inne w kolegium francuzkiem, poświęcone niemniej starożytnościom klassycznej Hella dy. P. Rossiniol professor języka i literatury greckiej wykłada sam w tym roku tragedye Eurypidesa, oraz historiją Herodota; p. Levéque porównywa teorye Arystotelesa z doktrynami nowożytnych filozofów; p. Foucart professor epigrafii, bada według napisów instytucye starożytnéj Sparty. Nie koniec na tém: w Bibliotece Richelieugo, p. Rayet wykłada kurs archeologiczny o wykopaliskach w starożytnym Milecie i Heraklei, dokonanych pod jego dyrekcją. W szkole praktycznej wyższych nauk (de hautes études), professor Fournier rozbióra Antygone Sofoklesa; p. Nicole, pamiętniki Xenofona i morfologiją dyalektu atyckiego; p. Robion wyjaśnia ody Pindara ze stanowiska historycznego, mitologicznego, filozoficznego i słownikarskiego. Wykłada niemniej historiją alfabetu greckiego, z dokumentów paleograficznych. Dodajmy wreszcie towarzystwo zawiązane w celu zachęty do badań nad starożytną Grecją, dodajmy szkołę francuzką w Atenach: wszystko to wymownie świadczy o pokrewieństwie duchowém Francuzów z Ateńczykami.

Jak wiele wagi przywiązują Francuzi do tych nauk, widzimy to na każdym kroku. Dostyc tu przypomnieć oburzenie powszechne, kiedy przed dwoma czy trzema laty, jeden z deputowanych, znać *pozyty-*

wista nowej szkoły, ośmielił się podać do Izby wniosek, aby przez wzgląd na wyczerpanie zasobów w kraju, zwinąć *niepraktyczną* szkołę wyższych nauk. Cała Francya powstała ze zgrozą na projekt nowego Herostrata!

Wróćmy jeszcze na chwilę do p. Girard, powiedzmy słówko o pierwszym jego wystąpieniu z katedry sorbońskiej. Za przedmiot tegorocznego wykładu obrał professor ogólną charakterystykę tragedji greckiej. Sięgając do pierwotnych źródeł, wykazuje ścisły jój związek z mytami religijnymi. Pierwszém dramatyczném przedstawieniem w Atenach był jak wiadomo sławny *Septerron* obchodzony co lat dziewięć, ukazujący w szeregu scen walkę Apollina z wężem Pythonem; ucieczkę potwora, wreszcie zadosyćuczynną ofiarę zwyciężkiego bóstwa. Jeśli nie dramatyczniejsze, to przynajmniej bardziej nacechowane ziemską rzeczywistością były rytuały, któremi obchodzono w Delfach ofiarę Charili. Był to obrząd pokutny za niewinną śmierć młodej dziewczyny.

Podczas panującego głodu Delfowie z żonami i dziećmi przyszli kołatać błagalnie do bram królewskiego pałacu. Ów król starożytny, rozdawał sam tłumom mąkę i warzywa, ale, pomimo nalegań i błagalnych okrzyków, nie był w stanie zadowolnić wszystkich poddanych. Zniecierpliwiony, odrzucił surowo młodą sierotę Charilę; co gorsza, w gniewnym zapędzie zrzucił obuwie z nogi i ugodził nióm w twarz nieszczęśliwą. Dziewczyna gorzko uczuła zniewagę. Opuszczona od wszystkich, bez wsparcia, bez opieki, ubiegła w samotną ustron, odwiązała pas i powiesiła się na nim. Bogowie pomścili niewinną. Dotknęła miasto straszna zaraza, i nie prędzej ustąpiła, aż kiedy, na rozkaz wyroczni, Delfowie złożyli ofiarny hołd znieważonym ceniom Charili.

Przygoda ta stała się powodem religijnego obrzędu, powtarzanego co lat dziewięć. Król zasiadał u bram pałacu swego; tu rozdawał wszystkim, tak obywatelom miasta, jak i obcym przybyszom, pełne garści mąki i warzywa. Manekin przebrany za Charilę, ciągniony był do tronu: król rzucał weń obuwiem. W ówczas bahantka porывała go w objęcia, niosła w ciemny wóz Parnasu, zarzucała mu na szyję sznur z sitowia, i zakopywała w miejscu gdzie młoda dziewczyna była pogrzebioną.

Pan Girard porównywa trafnie pierwsze zawiązki teatru greckiego, z pierwotnemi objawami dramatycznej sztuki chrześcijańskiej w średniowiecznych mysteryach. Wspomina ciekawy dramat prowansalski: *Przybycie oblubieńca*, grywany niegdyś w opactwie ś. Marcelliusza w Limoges, podczas świąt Bożego Narodzenia. W salach chóru zasiadały po jednej stronie *panny mądre*, po drugiej *panny głupie*, w rękę trzymając lampy nalane oliwą. W pośrodku ukazuje się anioł Gabryel, oznajmia im przybycie Oblubieńca, zrodzonego z Dziewicy Maryi w Betleem, ochrzczonego w wodach Jordanu, ukrzyżowanego na Kalwaryi w okup za grzechy ludzkie. Rozkazuje im czuwać. Panny

głupie usypiają: oliwa wycieka z ich lamp. Budzą się z uczuciem wstydu i przerażenia. Biegają do mądrych towarzyszek, błagają, choćby o kropelkę oliwy. Niestety! daremne błagania! Udają się do kramarzy siedzących nad towarem; nim zdolały napełnić zgasłe lampy, ukazuje się Chrystus; nie poznaje ich, odtrąca za próg domu swego. U drzwi czuwają szatany; rzucają się na zdobywcze, z krzykiem i śmiechem zawłóczą je do piekła.

Z tychto dwóch źródeł, tak napozór podobnych a przecież tak dalekich od siebie, wypłynęły dwa prądy sztuki dramatycznej. Geniusz mistrzów: Eschyleasa, Sofoklesa, Eurypidesa ujął w prawidła sztuki mityczne obrzędy starożytnych Greków, dał im nowy kierunek, nową formę; geniusz Szekspira z mysteriów chrześcijańskich wydobyl żywioły nowoczesnego dramatu. Cała przepaść rozdziela te dwa prądy. W pierwszym przeważa piękność, w drugim prawda; tam widzimy ubóstwną materyę, tu duch tryumfuje nad ciałem. Oba kierunki zdają się dziś zużyte. Pierwszy klassyczny wyrodził się w szkolny konwencyonalizm; drugi, romantyczny wpadł w otchłań realizmu. Niektórzy francuzcy poeci usiłowali połączyć dwa prądy w jedno wielkie koryto. Najdalej zaszedł z nich Ponsard, lecz i ten w żadnym z utworów swoich nie urzeczywistnił położonych przez siebie teoryj: nie stworzył arcydzieła. Kto wie, czy ten syntetyczny zlew dwóch prądów, przeczuwany przez Francją, nie stanie się kiedyś nową chwałą jej narodowego geniuszu.

Wspominaliśmy już o żywej polemice podjętej z powodu śmierci p. Beulé, archeologa ministra, czy mąż stanu może się zajmować literaturą, albo raczej czy literat może być mężem stanu? Zwolennicy tej zasady stawiają na dowód, oprócz składu ministerium angielskiego, rodzinę Bonapartych, którzy bez wyjątku prawie odznaczali się na polu nauk i literatury, a przecież odgrywali tak wielką rolę w polityce. Oto literackie prace Bonapartych.

Napoleon I zostawił kilkadziesiąt tomów. Piérwszém jego dziełem była *Historja Korsyki*, w dwóch tomach. W młodym bardzo wieku napisał rozprawę o prawdach i uczuciach, jakie przedewszystkiém znać potrzeba. Pisał także i wiersze. Z pomiędzy nich wspomnimy bajkę p. t. *Pies, krolík i strzelec*. Ostatniém jego dziełem jest sławny *Pamiętnik z wyspy św. Heleny*. Dodajmy tu piętnastoletnie korespondencye, rozkazy dzienne, postanowienia i t. p. zebrane staraniem Napoleona III i wydane przed kilką laty w dwudziestu ośmiu tomach. Wszystkie te dzieła noszą piętno prawdziwego geniuszu.

Józef Bonaparte, starszy brat Napoleona, wydał romans pod tyt. *Moina*, czyli *Zakonnica z góry Cenis*. Romans ten miał wielkie powodzenie w swoim czasie.

Lucyan, drugi brat Napoleona, utworzył wielki poemat *Charlemagne* w dwudziestu czterech pieśniach i inny poemat w dwunastu pieśniach: *la Cyrneide*. Jego romans obyczajowy *Styllina*, czyli *pokolenie Indyjskie* miał dwa wydania. Drugi wyszedł p. t. *Les Tedemarcs*.

Ludwik, król holenderski, napisał rozprawę o wersyfikacji; romans: *Marya*, czyli *udręczenie miłości*; kilka sztuk dramatycznych, między temi tragedją pięcio-aktową *Lukrecya*. Przerobił także wierszem Skapca Molierowskiego. Cenione powszechnie wydane przezeń w r. 1820 *Dokumenta historyczne o rządzie holenderskim*.

Księżna Zenejda córka Józefa, żona księcia Canino, wykonała wyborny przekład Szyllera.

Starszy syn Lucyana, tenże książę Canino, biegły ornitolog ułożył dzieło *O ptakach w Ameryce północnej*. Drugi syn Lucyana Ludwik, słynny lingwista, sformował gramatykę języka Basków; wydał Parabolę o dzwonniku według św. Mateusza w siedmdziesięciu dwóch językach i narzeczach; napisał także dwa dzieła o chemii. Trzeci syn Lucyana Piotr Napoleon przetłumaczył wierszem francuzkim *Nabuchodonozora*, utwór włoskiego poety Nicoliniego; utworzył niemniej w języku włoskim romans historyczny: *Róża z Castro*.

Z dwóch synów króla holenderskiego Ludwika, starszy zmarły w roku 1833, zostawił przekład *Życia Agrykoli* z Tacyty, oraz *Historją Florencyi*. Młodszy syn cesarz Napoleon III znakomitym *Żywotem Cezara* zakończył długą seryą dzieł strategicznych, ekonomicznych i historycznych. Dzieła te wyliczyliśmy szczegółowo w roku zeszłym.

Zasługuje tu jeszcze na osobne wspomnienie zdolna pisarka z téj rodziny Marya księżna Ratazzi (dawniej Solms), wnuczka Lucyana, po córce Letycyi Bonaparte, zaślubionej z Anglikiem Tomaszem Wyse. Urodzona w Londynie w r. 1830, skutkiem rozłączenia rodziców pozbawiona majątku, kształciła się na nauczycielkę w instytucie Legii honorowej w Saint Denis. Zaślubiwszy alzaticzka Fryderyka de Solms, zamieszkała w Nicei. Tam założyła pismo p. t. *Poranki w Aix*. Drukowała w niem mnóstwo wierszy, powieści, obrazków dramatycznych i literackich rozpraw. Związana przyjaźnią z słynnymi literatami: Eugeniuszem Sue, Ponsardem, Beranżerem i księdzem Lammenaie, utrzymywała z nimi stałą korespondencyą. Zbiór poezyi, który poświęciła Wiktrowi Hugo, pod tytułem: *Pieśni wygnanki*, ściągnął na nią powszechną uwagę.

Po złączeniu Sabaudyi z Francją, Marya Solms przybyła do Paryża, gdzie otworzyła świetny salon artystyczno-literacki. Życie światowe nie oderwało jęj przecież od pióra. Pod pseudonymem Comte d'Albens, Camille Bernard, Baron Stok, Louise de Kelner, pisywała do różnych dzienników i przeglądów: rozprawy, pogadanki, życiorysy, artykuły ekonomiczne i polityczne, sprawozdania z literatury i sztuk pięknych. Wszechstronnie utalentowana, oddawała się niemniej rysunkom i kompozycyi muzycznej.

Powtórnie zaślubiona z Urbanem Ratazzi, ministrem włoskim, zamieszkała we Florencyi. Tu gorliwiej niż kiedy zajęła się literaturą. Powieści jęj: *Mademoiselle Million*, *Brzegi Arno*, *Meksykanka*, *Matieżstwo Kreolki*, wydane kilkakrotnie, znalazły nie mały rozgłos. Powieść, *Ludwika de Kelner*, jest poniekąd własną autobiografią. Obrazki

dramatyczne jój pióra: *Pani Stael w Coppet, Corinna, Miłość i cymbałki, Sny kobiety* i t. d. grane w teatrze nicejskim, znalazły powodzenie.

W roku zeszłym pani Ratazzi wydała Zbiór poezyi *ulotnych*. Z pomiędzy nich dajemy w przekładzie *Legendę sabaudzką* i pieśń z *Indyjskich. podań*.

ZAMEK CZARTOWSKI.

(Legenda sabaudzka).

Gdy gną się pod plonem twe stogi i brogi,
W winnicy jagoda gdy błyska ci złota:
Budujże spichlerze o ludku mój drogi,
Lecz nie bierz z rąk czarcich ni piły, ni młota!

Bóg dobry obdarza chudobą i zdrowiem,
Dał ciepłe ognisko i własny próg chaty;
Pragnąć-że co więcej? słuchajcie: ja powiem,
W téj cichéj dolinie, co zaszło przed laty.

Słyszałem, jak prądkie gwarzyły z wieczora,
O Janie co mieszkał w zagrodzie chróścianéj,
Nad wzgórkim zielonym u brzegu jeziora,
A czuł się szczęśliwszym nad króle i pany.

On orze swój zagon, posiewa go wiosną,
I żniwo bogate przynosi mu praca,
I wita próg domu piosenką radosną,
Gdy schylon pod snopem o zmierzchu powraca.

Winograd dojrzewa na wzgórkim jesienią,
W podwórku dziatczek swawoli gromadka;
Na drzewach się jabłka z pod listków rumienia,
I wszystko Janowi w ład idzie jak z płatka.

Zkąd nagle mu chmura osiadła na czole,
Sierp dawno ni kosa na słońku nie błyska,
Pług stary zardzewiał i całe wnet pole
Zarosło w piołuny i twarde cierniska.

Ach! dziś już Janowi nie starczy pług cichy,
Już praca go nuży i strzecha mu zbrzydła;
Snać serce to proste podgryza gad puchy,
I zwodne przed okiem roztacza mamidła.

W pobliżu tam sterczy stos gruzów na skale,
Runęło zamczysko, rozpadły się cegły;
Lecz jeszcze gruz wiekom urąga zuchwale,
Zwaliska szeroko pagórek zaległy.

Wśród strzelnic tam gniazda usłały puhacze,
 Z kryjowisk brzmią sępów złowrogie pokraki;
 Jan patrzy w te gruzy, włos targa i płacze,
 Ach! gdybyż mu, gdyby posiadać dom taki!

Raz obcy go przybysz zaskoczy w noc ciemną:
 „Nie frasuj tak głowy, zaufaj mi Janie!
 Odgadłem ja—rzecze—twą troskę tajemną,
 Chcesz zamku? twój woli zadosyć się stanie!”

A potem cichemi gwarzyli coś słowy
 I zdala widziały chłopięta pastusze,
 Jak z piekieł wysłańcem Jan dobił umowy,
 Podpisał krwią własną cyrograf na duszę.

I rozległ się łoskot po jarach, po łące,
 Na serca wieśniakom strach upadł w noc czarną;
 Zgrzytają wciąż piły i młotów tysiące,
 Wciąż wali w opokę: oh! tłumnoż tam, gwarno!

A kiedy jutrzienka zabłysła na wschodzie,
 Od gzymsów złocistych aż łuna wzrok ślepi;
 W błękitnej jeziora gmach skapał się wodzie:
 Jan osiadł w zamczysku... czyż będzie mu lepiej?

Ach! wyrzut mu srogi kamieniem pierś tłoczy,
 Do czoła mu plamą przyrosła sromota;
 Napróżno nieszczęśny chce złotem paść oczy,
 Przez mętny łez potok nie dojrzyć mu złota.

Jan w sieciach szatańskich czyż duszę zostawi?
 Wszak chwila na ziemi wieczności nie warta!
 Czart chytry, to prawda, a jednak tłum prawi:
 Chytrzejszy Sabaudczyk, oszuka on czarta.

„Nim zegar ostatnią godzinę uderzy,
 „Pokutą—Jan rzecze—wykręcić się muszę,
 „I łaski mnie jeszcze obmyje źródło świeży,
 „I z sieci piekielnych wywikłam ja duszę.”

Śmierć przyszła zniecacka: niezłomna moc w słowie!
 Porwało go piekło! umowa zawarta.
 Zapytaj o zamek, tu każdy ci powie:
 „Czart dźwignął te mury, to straszny dom czarta!”

Gdy gną się pod plonem twe stogi i brogi,
 W winnicy jagoda gdy błyska ci złota:
 Budujże spichlerze o! ludku mój drogi;
 Lecz nie bierz z rąk czarcich ni piły, ni młota!

PTAKIEM, KWIATEM, CZY KOBIEȚĄ?

(z podań indyjskich).

Wschodnie dziewczę główkę kłoni,
 W grób złowroga śmierć ją woła:
 Wtém przybiega Wisznu do niej,
 Zgarnie jasny włos z jój czoła.

— „Świat—rzekł—związany prawy memi,
 Żywych jestestw jam podniętą:
 Chcesz, odrodzę cię na ziemi
 Ptakiem, kwiatem, lub kobiętą?“

Wzrok dziewczeczki błysnie żarem,
 Być ptaszyną słodka dola!
 Z pieśnią modrym mknąc obszarem,
 Po nad lasy! po nad pola!

Lecz zgasł w oku promyk jasny,
 Cień po bladém przemknął czole:
 — „Być słowiczką w klatce ciasnej,
 To zbyt smutno: umrzeć wolę!“

Znów się lice jój zapłoni,
 — „Ach! zakwitnąć róży kwiatem,
 Chwilkę w drogiej spocząć dłoni,
 Wionąę słodkim aromatem!“

„Czemuż, czemu tak się trwożę?
 Tuman oczów mych nie ślepi!
 On porzuci, innęj może
 Kwiatek odda!... umrzeć lepij!“

Błogosławion los niewieści!
 Gdy o drogie wsparta ramię,
 Swą dziecinę matka pieści,
 Takież nawet szczęście kłamie?

— „Oh! pierś matki rozżalona,
Wciąż ją nowe szarpią bóle;
Jak ja konam, może skona
Córka moja: umrzeć wolę!“

Pani Klemencya Royer odczytała niedawno w Towarzystwie antropologiczném paryżkiem, ogromną rozprawę: *O pierwotném pochodzeniu różnych plemion ludzkich, mianowicie aryjskiego plemienia*. Rozprawa ta oddrukowaną została w Buletynie na czterdziestu stronicach. Autorka protestuje w niej silnie przeciw ogólnie przyjętej teorii naukowej, że Azya kolébką jest rodu ludzkiego; że plemię Aryów wyszło z téj kolébki w czasach przedhistorycznych i zaludniło Europę. Według pani Klemencyi Royer, Aryowie tubylcami są Europy; ich pierwotną ostoją miała być zalana dziś morzem Atlantyda: ztąd część ich przeszła do Azji. Nie czujemy się na siłach, aby w treści nawet powtórzyć tę uczoną rozprawę, w której autorka pokazuje mapę świata z epoki *plioceńskiej*, następnie *eoceneńskiej* i *mioceneńskiej*, kiedy Bałtyk rozciągał się do Euxynu, kiedy—jak mówi pani Royer—Wisła z Bugiem, Dnieprem i Dniestrem tworzyła jedną podwodną całość; kiedy tymczasem na przestrzeniach Atlantyku szumiały bory, falowały zboża, kwitły miasta i rolnicze osady!

„Praca moja—kończy śmiało autorka—musi rzucić zupełnie nowe światło na pierwotny początek europejskich plemion.“

W nieuctwie naszym pocieszamy się przynajmniej tą myślą, że uczeni antropologowie francuzcy nie lepiej od nas zrozumieli zuchwałę hipotezy pani Royer. Zobaczmy co odpowiedział na nie p. Mortillet członek Towarzystwa:

„Rozprawa pani Klemencyi Royer zdaje się być nadzwyczaj zajmującą. Gotów jestem przypuścić wszystko co nam przedstawił nasz uczony kolega, z warunkiem jednak, że zeche udowodnić nam prawdę swoich przypuszczeń. Nie powinniśmy nigdy dać się pociągnąć uczuciu ani wyobraźni. Prosiłbym więc panią Royer, aby raczyła poprzeć chociażby kilku dowodami nowe spostrzeżenia, jakie rozwinęła z takim talentem. Dowody te tém są potrzebniejsze, że twierdzenia wygłoszone przez naszego kolegę, różnią się bardzo od wszystkiego, co było uznaném i przyjętém do dziś dnia przez geologów. W takim wypadku, proste twierdzenia wystarczyć nie mogą; potrzeba koniecznie faktów licznych, niezbitych i dobrze rozpatrzonych.“

Pani Royer spodziewała się podobnego zarzutu. Uprzedzając go, wyrzekła w ciągu swéj rozprawy: „Zapytaj mnie zapewne o dowody na to co utrzymuję. Jedyne mój kłopot w tém, że owe dowody zbyt są liczne i że ta całość indukcji opiera się na faktach zbyt różnorodnych, które obejmują wiele gałęzi nauk, a tém samém nie mogą być przedmiotem rozpraw w specjalném Towarzystwie antropologiczném.“

Wspomnieliśmy o ostatniej rozprawie pani Royer, gdyż ta wybornie charakteryzuje i główny cel jęj i sposób dowodzenia. Celem jęj obalić tradycyą biblijną. Ta to pobudka kierowała nią w dopisach, jakimi pozwałała sobie dopełniać tłumaczone przez siebie dzieła Darwina. Dopisy te zbałamuciły wiele umysłów goniących za nowością, z powodu że były przywiązane do prac znanego naturalisty. W ostatniej rozprawie autorki widzimy podobną śmiałość, nie tylko w rzucaniu najzuchwalszych hipotez, ale co więcej w oświadczeniu, że Towarzystwo antropologiczne paryzkie nie jest kompetentnem do osądzenia jęj różnostronnych nauk, na których opiera swoje wnioski i dlatego to nie przedstawia dowodów!!

Przysłowie łacińskie *Neo locus ubi Troa fuit*, któremu zadawały kłam sławne odkrycia archeologa Schliemana w Hissertliku, przysłowie to nie przebrzmiało jeszcze w naukowym świecie paryzkim. Na jednym z posiedzeń *akademii napisów*, p. Vivien de St. Martin, wystąpił silnie przeciw twierdzeniu, jakoby starożytna Troada odkrytą dziś została. Wiadomo że od dawnych czasów toczył się spór pomiędzy uczonymi o topograficzne położenie Troi. Wielu głosiło, iż Troa była tylko polityczną fikcyą, prostym mythem, zarówno jak był mythem ślepy jęj śpiewak; że cała wyprawa achejska zrodziła się w twórczej wyobraźni Greków; że one sławne zapasy Hektora z Achilesem, one żyzy Andromaki i Hekuby, nie więcej miały w sobie prawdy rzeczywistej, jak spory Junony z Jowiszem i Minerwą w eterycznych sferach Olimpu. P. Vivien de St. Martin należy właśnie do tych niedowiarków, odrzucających wszelką nowość, choćby najoczywistszemi popartą dowodami. Nie przekonał go bynajmniej raport Schliemana: *O wykopaliskach trojańskich* świeżo wydany w Lipsku po niemiecku i w przekładzie francuzkim p. Rangabe, ozdobiony wilkim atlasem, obejmującym reprodukcye 20,000 przedmiotów. P. Vivien uznaje ważność wykopalisk, lecz nie pozwala aby te pochodziły z Pryamowego skarbcza w Ilionie. Kilku innych uczonych protestuje z nim razem.

Schlieman milczy na te zarzuty i powtarza z wiarą jak niegdyś Galileusz *è pur si muove!* przekonany, że prędzej czy później prawda wypłynie na wierzch, a Troja, z bohaterami swymi i ślepym rapsodem, z prostego mythu stanie się znów rzeczywistością. Tymczasem rozpalony archeolog rozwała własnym kosztem wielką czworoboczną wieżę w ateńskim Akropolis. Wieża ta, zwana wenecką, zbudowana w XIV wieku, ze szczątków świątyń i teatrów, zawala przestrzeń tysiąca pięćset stóp kwadratowych i zasłania w wielkiej części Propylee. Zburzenie jęj kosztować ma 465 funtów sterlingów. Doktor Schlieman odda wielką przysługę archeologii odkrywając napisy na propyleach. Przez trzy lata on sam będzie miał prawo publikować owe napisy. Pod ciosami młotów, sowy i puhacze ogromnemi stadami wybiegają z nor,

w których gnieździły się przez wieki. Ateńczycy przypatrują się z chlubą pracom rozpoczętym, oczekując wschodu nowego słońca!

Towarzystwo geograficzne paryżkie czyni przygotowania do kongresu międzynarodowego nauk geograficznych, który odbędzie się na rok przyszedły w Paryżu, około wielkanocy. Świat naukowy przywiązuje jak największą wagę do zapowiedzianego zgromadzenia. Posłowie pierwszorzędnych państw zakomunikowali już prezesowi Towarzystwa admirałowi la Roncière le Nourry imiona delegowanych, którzy wezmą czynny udział w kongresie.

Anglią reprezentować mają: hrabia Derby minister spraw zagranicznych, Sir Bartle Frere prezydent Towarzystwa geograficznego londyńskiego, znany w świecie naukowym z niedawnych podróży po Afryce wschodniej; Sir Henry Rawlinson sławny orientalista, były prezes Towarzystwa geograficznego w Londynie.

Ze strony Niemiec wskazani: generał Baeyer dziekan geografów niemieckich, założyciel komisji międzynarodowej *Geodezyi*; baron Richt-hofen, który długo przebywał w Chinach, prezes Towarzystwa geograficznego w Berlinie; Pettermann dyrektor przeglądu *Millheilungen*; Oskar Peschel z Lipska, znany historyk geografii; Kiepert, którego mapy i atlasy słyną po świecie całym; Wappaeus autor znakomitego Dykcjonarza geograficznego.

Od Austrii i Węgier mianowani: generał Dobner z Dobenau dyrektor wojskowo-geograficznego instytutu w Wiedniu; generał Wallerstorff-Urbair, sławny z naukowej wyprawy w około świata fregatą Nowara, odbytej pod naczelnym jego dowództwem; hrabia Seczeny; Franciszek Pulski, I. Humfalwy prezes Towarzystwa geograficznego w Budzie-Peszczie; Herman Wambery znany z podróży po Azji środkowej.

Rząd sam mianował powyższych reprezentantów.

Francuzki rząd przyłożył się czynnie do uorganizowania kongresu, dołączając ważną subwencją do funduszków Towarzystwa geograficznego,

Podczas kongresu będzie urządzona międzynarodowa wystawa map, planów, jak niemniej rozmaitych przedmiotów i narzędzi tyczących się nauk geograficznych. Komisja *geograficzno-handlowa* urządzi ze swjej strony wystawę najnowszych dzieł dokonanych w celu rozpowszechnienia nauki: planów, zarysów, dróg, machin i t. p.: zgromadzi niemniej płody dalekich krajów, stanowiące ważny przedmiot handlu i przemysłu francuzkiego; jak niemniej wyroby europejskie przeznaczone do wywozu w dalekie strony świata. Pod opieką téż komisji ma powstać dziennik Geograficzno-Handlowy. Zawijała się już redakcyja tego dziennika, złożona z najznakomitszych członków Towarzystwa Geograficznego, i z członków izb syndykalnych w Paryżu.

Teatr chiński mało był dotąd znany, jak w ogólności mało znane obyczaje tego ludu, odgradzonego od Europy sławnym murem. Dziś jednak ten mur staje się coraz łatwiejszą do przebycia zaporą, a lud skupiony za nim, coraz to jaśniej wychyla oblicze swoje z tajemniczego pomroku jaki go od wieków otaczał. Migracye Chińczyków do Ameryki ułatwiają téż wiele styczności ich z ucywilizowanym światem europejskim, pisma bowiem amerykańskie dają nam najwięcej o nich wiadomości. Z tych to pism nowojorskich dowiadujemy się o wielkim teatrze w San Francisco, zbudowanym w ostatnich czasach. Na pierwszym przedstawieniu zebrało się tysiąc osmset widzów różnoplemiennych. Widowisko trwało od godziny 7-ćj z wieczora do 3-ćiej po północy. Stroje aktorów odznaczały się wielką okazałością: atłasy i materje w najżywszych barwach, między któremi przeważał lazur i szkarłat, bogato szamerowane złotem, bawiły oko publiczności, i nadgradzały w pewnym względzie przykre wrażenie, jakiego doznawało ucho, drażnione hałaśliwą i dysharmijną muzyką.

Cena miejsc bardzo wysoka, w stosunku do teatrów europejskich. Piérwsze miejsce kosztuje 25 franków, drugie 15 f., ostatnie 10 franków. Pamiętajmy jednak że w Kalifornii pieniądz mniejszą reprezentuje wartość. Dodajmy i to, że w licznych antraktach widzowie popijają herbatę i palą cygara dostarczane hojnie przez administracyą teatralną.

Dramat złożony z szesnastu aktów, przedstawiał w czterdziestu dwóch obrazach, szereg scen dziwnie poplątanych. Trudno było wywikłać widzom, zwłaszcza nieznającym tego języka jakikolwiek wątek z tego nawału mordów, samobójstw i pogrzebów następujących w ślad po sobie, przeplatanych niekiedy dla rozmaitości wesołą krotochwilą. Do takich *intermezzo* należał duet odśpiewany przez dwie rogate krowy, a raczej przez dwóch Chińczyków przybranych w skóry bydła z wielkiem złudzeniem dla oka. Scena ta wywołała poklask powszechny.

Urządzenie teatru kosztowało 250,000 franków.

W jednym z tegorocznych buletynów paryzkiej akademii nauk czytamy sprawozdanie z odkrytego świeżo minerału, przez młodego ucznia górniczej szkoły francuzkiej. Dla nas odkrycie to nabiera tém większego znaczenia, że tym młodym uczniem jest Polak Radomiński, urodzony w Warszawie, wnuk znanego z nauki kuratora szkół. Odkryty minerał otrzymał nazwę Kärarsfveit, daną mu przez szczęśliwego wynalazcę.

Feliks Radomiński ma zaledwie lat dwadzieścia dwa. W roku bieżącym ukończył chlubnie szkołę górniczą i otrzymał patent inżyniera. Zajmuje się specjalnie chemią. Zeszłego lata odbył przejażdżkę naukową po Szwecyi i Norwegii, jako uczeń powyższej szkoły. Prze-

glądaliśmy raport jego z odbytej podróży, złożony dziś w szkolnych archiwach. Ciekawy i starannie wykonany ten raport, obejmuje 260 stronnic in folio i 22 rysowanych tablic.

Osobistość pracowitego młodziana, który tak świetnie dał się poznać przy samym wstępie w naukowy zawód, zasługuje na szczególną uwagę. Oto kilka słów, z przejażdżki naszego, co daj Boże! przyszłego Lavoisier'a.

Fortuna sprzyja zuchwałym! przysłowie to sprawdziło się na naszym młodzianie. Uczniowie szkoły górniczej obowiązani są odbywać przejażdżki kosztem własnym. Radomiński miał na podróż 1500 franków: sumka ta byłaby dostateczną na pobyt paromiesięczny w nie jednym kraju, lecz w Norwegii drożyzna niesłychana: dzień opędzić tu ledwie można trzydziestoma frankami! niepodobna zresztą siedzieć w miejscu: każdy krok pociąga wydatki. Wzgląd ten nie ustrasza młodziana, nie odstręcza go i to, że nie umie ani słowa po szwedzku: bądź co bądź puszcza się w drogę, wypływa z Hawru w początku czerwca. Sto sześćdziesiąt franków zapłaconych za bilet, szarpnęło znacznie jego kasę. Szczęśliwy że osiągnął cel upragniony, z ufnością godną młodego wieku, nie zapyta co będzie dalej...

W Antwerpii nowi podróżni wsiadają na parostatek. Młodzian nasz spostrzegł między innymi poważnego, siedmdziesięcioletniego starca. Był nim p. Sasse, konsul szwedzki w Antwerpii, odpływał do Stokholmu. Żaden z angielskich turystów nie byłby zwrócił uwagi na nieznanego sobie młodziana. Stary Szwed zagadnął go odrazu. Cel podróży, wreszcie sama narodowość ucznia, zbudziły w nim szczerze współczucie. Spytał go bez ogródki ile ma pieniędzy na podróż? Dowiedziawszy się że niewięcej nad tysiąc pięćset franków, zdziwiony tak wielką śmiałością i ujęty takim zamiłowaniem nauki, przyrzekł zaprowadzić go w Stokholmie do dyrektora drogi żelaznej p. Troillus, który, jak zapewniał, udzieli mu bezpłatnych biletów, na wycieczki po całej Szwecyi.

Podróż pod tak szczęśliwą rozpoczęta gwiazdą, skończyła się pomyślnie, mimo niesłychanej burzy na Kategacie i Skagerraku. Otóż i Stokholm!

„Przystęp do tego wspaniałego miasta—mówi nasz podróżnik—zabarykadowany tysiącem mniejszych i większych wysepek z granitu ciemno-czerwonego. Ściany ich niekiedy piętrzą się w górę na kilkaset stóp wysokości. Wierchołki, uwieńczone lasem sosnowym, malowniczo nadają im postać. Na niektórych sterczą gruzy odwiecznych fortyfikacyj, sięgające czasu Chodkiewiczów i Czarnieckich. Ponad temi szczytkami panują mury nowożytniej fortecy Waksholm, stojącej niby groźna forpoczta, o kilka mil od stołecznego grodu. Żegluga tu utrudniona z powodu owych niezliczonych wysepek: okręt niekiedy ledwie że się przecisnie między zjeżonemi prostopadłe skałami.

„Stokholm, spiętrzony w półkole między Bałtykiem a ogromnym jeziorem Melar, dziwnie majestatyczny przedstawia obraz. Po lewéj

ręce panuje nad miastem ogromna góra Mose-Backe, pokryta ogrodami; po prawej, na niższém wzgórzu zatrzymuje wzrok wielki czworoboczny zamek królewski, zbudowany przez jeńców Karola XII; tudzież ogromny kościół z wieżycą żelazną, nekropolium królów szwedzkich."

Statek przybił do portu. Młody Troillus syn dyrektora czekał na pana Sasse. Za pośrednictwem uprzejmego konsula, młodzi ludzie poznali się wnet z sobą. Troillus przedstawił ojcu naszego podróżnika. Dyrektor oprócz biletów na kolei, dał mu mnóstwo listów rekomendacyjnych i kilkadziesiąt wizytowych kart, które ułatwiły mu stosunki w całej Szwecyi.

Tak zabezpieczony młody nasz chemik zwiedził muzea i zakłady naukowe stolicy. Z szczególném zajęciem oglądał bogate zbiory mineralogiczne, a między temi aereolity jakich nie znaleźć w świecie całym. Jeden z nich, odkryty przez profesora Nordenskjöld, przedstawia bryłę żelaza ważącą 60,000 kilogramów. Zachowują go w skrzyni szklanej, nalanéj petroleum.

W ogrodzie Djurgarden, przed rezydencją królowej matki widział urnę z porfiru czerwonego, olbrzymich rozmiarów, największą jaka istnieje w świecie.

Z Sztokholmu popłynął morzem do Gefle, małego porciku nad Bałtykiem, sławnego z budowli żaglowców. Ztąd koleją udał się do Sandviken. Tu zwiedził ogromną fabrykę stali, zasługującą ztąd na uwagę, że w niej poraz pierwszy zastosowano systemat Bessmera. Trudno być prorokiem w własnym kraju, sprawdziło się to na Angliku Bessmerze. Nie znalazłszy miru u ziomków przybył on do Szwecyi, kilkanaście lat temu. Tu p. Gjoransen, właściciel ogromnej fabryki, przyjął i zastosował ten systemat, pozwalając zamienić 10,000 kilogramów surowca na oczyszczoną stal, w ciągu dwudziestu minut. Dziś systemat Bessmera przyjęty wszędzie. Anglicy wzięli z drugiej ręki to, co im się pierwszym należało.

Ztąd p. Radomiński pospieszył do Fahlun: zwiedził kopalnie miedzi najstarszytniejsze w Szwecyi. Sławne te kopalnie żle były eksploatowane, ztąd też w roku 1831 zapadły się i tworzą dół na sto metrów. Po kilku latach poczęto prowadzić nowe roboty, głębokość ich sięga dziś do dwustu osmdziesięciu metrów pod ziemią. Schodzi się w głąb częścią wschodami, częścią zaś po drabinach. Wydobywają ztąd rudę miedzianą, mieszaninę miedzi, żelaza i siarki. Ta ruda znajduje się albo w żyłach, albo też rozrzucona w massie piryty czyli siarku żelaza. Osobliwość tych kopalni stanowi nadzwyczajna różnica temperatury w salach. W niektórych gorąco dochodzi trzydziestu stopni, gdy tymczasem o kilkanaście metrów, widać wiecznotrwałę śniegi i stalaktyty z lodu. Ta zmiana temperatury wynika z rozkładów chemicznych: podnosi się w miejscach, gdzie ruda zawarta jest w pirycie, zniża tam gdzie zawarta w kwarcu (ciele pierwotném), a więc nie uległém żadnemu rozkładowi.

Różne minerały znajdują się tu przy rudzie żelaznej: są między innymi części złota, są i granaty w wielkich kryształach, barwy ciemno-czerwonej, ważących po dwadzieścia przeszło funtów.

Rudę miedzianą wydobytą z kopalni przetapiają w miejscu. Powstałe ztąd gazy, mianowicie kwas siarkowy, niszczą tu wszelką roślinność; niedopatrzyć tu ani drzewa, ani krzewu, ani najdrobniejszego zdźbła trawki. W niektórych miejscach powietrze tak przepełnione wyziewem siarkowym, że w żaden sposób odetchnąć niepodobna.

W tych miejscach tak pustych, wśród tej przyrody tak napozór zamarłej, miła niespodzianka czekała podróżnika naszego.

„Spotkałem w Fahlun—mówi on—całą szkołę górniczą ze Stokholmu, podróżującą wraz z professorami; doznałem najszczerzego przyjęcia i od professorów i od uczniów. Chcąc okazać mi całą sympatyę, wyprawili na moje przyjęcie dwie uczty, na których pili zdrowie górniczej szkoły paryzkiej i wszystkich ludów sprzyjających Szwecyi!”

Mała ta niespodzianka była jakby zapowiednią inną nierównie ważniejszej. W této okolicy, tak wydziedziczonej od przyrody, młody chemik znalazł pierwszą nagrodę wytrwałych trudów. Niechże sam opowie swój tryumf.

„Okolica Fahlun—mówi on—obfituje w różnego rodzaju minerały; koło wsi Finnbo, Brodbo, a szczególnież Kärarsvet, wiele znaleźć ich można. Niektóre z nich bardzo rzadkie n. p. Gardolinit, Yttroceryt, Yttrotautol i inne.

We wsi Kärarsvet miałem sposobność odkryć nowy minerał, któremu dałem nazwisko od miejscowości.

W tej wsi eksploatowano dawniej feldspat albit, jako materiał na porcelanę. Robotnicy znaleźli tu także drobne bryłki minerału bronzowego. Minerał ten nie zwrócił niczyjjej uwagi. W jednej z moich wycieczek wysadziłem prochem kilka tysięcy funtów skały: rozbijając następnie odłamy, znalazłem kryształ ważący do trzech funtów. Ten okaz znajduje się w zbiorach paryzkiej szkoły górniczej.

Po wyjeździe z Fahlun zwiedziłem fabryki żelaza w Hofors, Hammarby i Storvik: zakłady te należą do trzech braci Petre, deputowanych na sejm, u których doznałem najgościnniejszego przyjęcia. Ztamtąd udałem się drogą żelazną do Gefle, a następnie morzem do Hernösand, Umeå i Pitteå. Owe miejsca, nadzwyczaj smutne, leżą już w Laponii szwedzkiej. Za pobytu mego w tych stronach, prawie wcale nie było nocy.

„Wspomnę jeszcze słówko o pokarmach w Szwecyi: wszystko tu prawie, nie wyłączając mięsa, przyprawiane z cukrem. Do przysmaków miejscowych należy mieszanina, złożona z miękkiego séra i miodu. W miejsce chleba Szwedzi jadają suchy, cienki placek czyli suchar, zwany knekebröd. Lepiej w nim smakują, niżli w zwyczajnym chlebie.

„Wracając do stolicy, zwiedziłem w najokropniejszą burzę, z prawdziwem narażeniem życia, małą wysepkę Ytterby, gdzie zebrać mogłem bardzo wiele rzadkich mineralogicznych okazów.“

Drugą wycieczkę rozpoczął Radomiński od Upsalu. Popłynął tam jeziorem Melar. Chemik, specjalista, nie zagrzebany przecież w materyalizmie, który odrzuca wszystko co wychodzi poza obręb ścisłe naukowej rzeczywistości, z poszanowaniem patrzył na starożytnie miasto, drogą skarbnicę skandynawskich podań, na odwieczną jego katedrę, klejnot gotyckiej architektury, zdziwiająco ogromem i wspaniałością. Nie poprzestawszy na zwiedzeniu wielkiego laboratorium i mineralogicznych zbiorów w muzeum akademickim, przebiegł zarówno sławne za Upsalem kurhany, według tradycji ludowej, grobowce olbrzymów, wśród których panuje grób Odina. Archeologowie rozkopali dziś te kurhany, wydobyli z nich kości nie przechodzące zwykłej miary wzrostu ludzkiego. Nie ubliża to przecież powadze tradycji. Olbrzymami byli zapewne, jeśli nie ciałem to duchem, owi skandy-nawscy Wikingowie, którzy opływali wszystkie rzeki i morza Europy, a gdziekolwiek dotknęli lądu, z pod ich stóp wyrastały długotrwałe państwa.

„Z Upsalu do Dannemora—mówi R.—przybyłem prostym wózkiem. Największe to kopalnie żelaza w całej Szwecji. Eksploatacja ich nie odbywa się jak zwykle pod ziemią, ale na jej powierzchni. Wynikły ztąd ogromne doły, głębokie na trzysta i czterysta metrów. Do kopalni schodzić można albo po drabinach, albo też spuszczać się w beczce uwieszonęj na sznurze żelaznym. Temperatura nadzwyczaj tu zimna, w niektórych miejscach panują wieczne śniegi i lody. Obok Dannemora, w Österby, przetapiają rudę na żelazo, jak niemniej wyrabiają stal cymetowaną i topioną.

„Zwiedziłem jeszcze w Szwecji kopalnie miedzi i zakłady metalurgiczne w Atvidabergu, kopalnie cynku w Ammebergu, sławną fabrykę armat w Finspongu. Te dzieła znane z doskonałości, rozchodzą się po świecie całym. Kule tutejsze stożkowate, długości metra, przeznaczone głównie do przebijania pancernych okrętów, przenikają niekiedy 36 centymetrów żelaza, nie spłaszczając się w końcu.“

Ztąd podróżnik nasz jeziarami Wetteren, Wennern i rzeką Gotha, popłynął do Gotemburga. Po drodze widział sławny wodospad Trolhettan, rzucający się ze skały na 700 stóp wysokości.

W Gotteburgu zwiedził bogate archeologiczne muzeum. Zamówiony w starożytnych zabytkach, przeglądał z zajęciem odwieczne wykopaliska z czasów przedhistorycznych, jak niemniej pomniki z pierwszych wieków chrześcijaństwa: statwę Olawa św., chrzcielnicę, w której pierwsi apostołowie tych stron, zléwali głowy nawróconych Normanów. Z późniejszych wieków oglądał drogie Szwedom pamiątki po dwóch królach bohaterach: Gustawie Adolfie i Karolu XII; widział nakoniec tokarnię zmarłego niedawno Karola XV i różne przedmioty, wykonane pracowitą ręką tego króla, malarza i meistersingera. Opro-wadzał go po muzeum kustosz Brusewicz niemowa, urodzony w Szwecji z rodziny polskiej, oddawna tu osiadł, zapewne od czasów upadku Leszczyńskiego.

Z Gotemburga, młody nasz chemik puścił się morzem do Norwegii. Opłynął sławne fiordy Hardanger, Ramsdahlen i najpiękniejszy z nich Krystyański. Cudne—jak mówi—te fiordy, wijące się kręto, niby olbrzymie węże wśród skał prostopadle sterczących, zwieńczonych w górze lasem. Wśród ogromnych sosen i równie ogromnych paproci, pod zwojami bluszczu, rośnie tu drobny bladoróżowy kwiatek *linea borealis*, właściwy wyłącznie tym stropom, zaprawiający powietrze świeżą wonią. Niezrównana piękność tych fiordów, sprowadza chmury turystów z Anglii i Ameryki; ztąd okropna panuje tu drożyzna.

W Norwegii młodzian znalazł się w właściwym żywiole. Przejeżdżając kraj w różnych kierunkach, najczęściej ogromnemi lasami, zwiedził najprzód Kongsberg, znany z kopalni srebra, następnie Arendal, Krageroe, Fridrichswærn, Brewik, Christiansand, Hitteroe, słowem wszystkie miejscowości słynne pod względem górnictwa, metalurgii i mineralogii.

Trzymiesięczna ta podróż po krajach skandynawskich, odbyta z takim trudem, z tak wyteżoną uwagą, rozszerzyła znakomicie zakres wiedzy chemika naszego; rozbudziła tém więcej młodzieńczy jego zapal do naukowych badań.

Za powrotem do Paryża, zabrał się natychmiast do analizowania odkrytego przez siebie minerału. Analiza dowiodła że Kararsvet, Fluo-fosforan-ceru, nowym jest minerałem. Sprawozdanie z tego odkrycia, wraz z chemicznym rozbiorem, czytaliśmy właśnie w buletynie paryżkiej akademii nauk.

OD REDAKCYI.

W styczniowym zeszycie pisma naszego z r. 1872 ogłoszony został konkurs na dzieło dla dzieci od 10 do 14 lat wieku, z oznaczeniem premium w wysokości rsr. 150.

Z powodu nieosiągnięcia zamierzonego celu, redakcja ogłasza konkurs ponownie, podnosząc premium do rsr. 215 z dodaniem do nich procentów, jakie narosną do czasu przyznania nagrody. Wybór treści pozostawia się w zupełności autorom, którzyby rękopisma swe do konkursu przedstawić chcieli, z zastrzeżeniem tylko, aby dopełnione były warunki przez ofiarodawcę podane, a mianowicie: aby książka, traktując przedmiot z zakresu moralności, historyi lub umiejętności, czyto oddzielnie, czy w połączeniu, dążyła do zaszczepiania zasad cnoty, pobudzała duszę do energii i wzbogacała umysł temi wiadomościami, któreby mu do poważnej myśli wątku dostarczały. Forma opowiadania ma być dla umysłu dzieci pociągająca, bez oschłości w moralizowaniu i definicyach. Co do objętości, to ta ma zawierać

około 10 arkuszy druku. Rękopisma mają być nadsyłane do redakcyi Biblioteki z zachowaniem zwykłych warunków konkursowych, to jest, bez podpisu autora, którego imię, nazwisko i miejsce zamieszkania winny być wymienione w mającej się dołączyć kopercie. Rękopism uwieńczony nagrodą, pozostanie własnością autora.

Termin składania rękopismów oznacza się na dzień 1 października 1875 roku.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

- 1) *Konrad książę na Mazowszu i Zakon niemiecki*, napisał Dr. August Sokołowski. Poznań, 1873. 2) *Die aeltesten preussischen Urkunden kritisch untersucht von Dr. M. Perlbach*. Królewiec, 1873. 3) *Recenzya dziełka Perlbacha*, przez D-ra Wojciecha Kętrzyńskiego (Przewodnik naukowy, marzec 1874, s. 235—240).

Historya osiedlenia się Zakonu krzyżackiego w Prusach wywołała tak w literaturze niemieckiej, jak w polskiej od lat kilkunastu dość liczny szereg pism, z których ostatnie, wyszły w latach 1873 i 1874, wymienione są z tytułu na czele niniejszego sprawozdania.

Krzyżacy osiedlili się w Prusach, przywołani przez księcia mazowieckiego Konrada. Otrzymali od niego nadania, o których rozciągłość i prawność toczyły się długie spory już w dawnych wiekach. Spory te przeniesione z widowni dziejowej na pole badań historycznych, znalazły w naszym wieku uczonych rzeczników w dziejopisach Prus i Polski, Voigcie i Roeplu. Atoli żywszy ruch w tym przedmiocie nastąpił w piśmiennictwie niemieckim, dopiero od roku 1857. W tym roku wyszło w Lipsku dzieło Wattericha: *Die Gruendung des deutschen Ordensstaates in Preussen*, skierowane głównie przeciwko Voigtowi. Watterich wystąpił w obronie praw, mających, według niego, służyć biskupowi pruskiemu Chrystyanowi; zarzucił księciu Konradowi i krzyżakom, że w układach swoich biskupa ukrzywdzili. Dzieło Wattericha mieści téż zbiór dokumentów odnoszących się do osiedlenia się krzyżaków w Prusach.

Przeciw Watterichowi pisał Waitz w recenzji jego dzieła w *Göttinger gelehrte Anzeigen*, 1858, II, s. 176 i in. Prawności postępowania krzyżaków bronił Ewald w pismach: *De Christiani Olivensis ante ordinem teutonicum in Prussiam advocatum condicione, Bonnae 1863*; i *Quali rerum condicione ordo teutonicus Prussiam occupare inceperit. Halis, 1868*.

Dotąd rzecz szła głównie o znaczenie i rozciągłość przywilejów biskupa Chrystyana i krzyżackich; autentyczność tych przywilejów nie była przedmiotem ściślejszego roztrząsania. Na tę drogę badań wszedł Rethwisch w rozprawie mającej tytuł: *Die Berufung des deutschen Ordens gegen die Preussen*. Berlin, 1868. Najważniejszym tych badań punktem było ocenienie autentyczności przywilejów księcia Konrada wydanych krzyżakom w roku 1230. Nadań z tego roku jest trzy: jedno z czerwca sporządzone w Kruświcy, dwa bez oznaczonych dnia, miesiąca i miejsca wystawienia, z których jedno obejmuje darowiznę zamku nieszawskiego z czterema wsiami, drugie zawiera darowiznę ziemi chełmińskiej. To ostatnie jest powtórzone w nadaniu kruświckim z czerwca 1230 r. obszerniejszém w swój redakcyi i użytém później przez krzyżaków za podstawę twierdzenia, że Konrad uznał ich udzielenie i niezależność w ziemi Chełmińskiej i w Prusach.

Rethwisch (s. 64—65) uważa dwa pierwsze nadania za nieautentyczne; przywilej kruświcki za rzetelny, tłumacząc jego znaczenie, tak jak z wyjątkiem Roeppla, którego zdanie Rethwisch odpiéra na s. 46, tłumaczyli je wszyscy nowsi niemieccy pisarze.

Naprzeciw Rethwisch'owi wystąpił Didolff w r. 1870, w rozprawie: *De republica ordinis teutonici Borussiae. Bonnae*, usiłując dowieść autentyczności większej części dokumentów przez Rethwischa zakwestyonowanych.

W latach następnych wyszły: w 1871 rozprawa Lohmeyera: *Die Berufung des deutschen Ordens nach Preussen*, w *Zeitschrift für preussische Geschichte und Landeskunde*; w roku 1872: *Die Eroberung Preussens durch die Deutschen, Halle*, przez Ewalda, z których pierwszy kwestyą autentyczności dokumentów pominął, drugi ją w sposób twierdzący rozwiązał.

W piśmiennictwie polskiem mamy z tych czasów do przywiezienia:

W roku 1856 Nepomucen Romanowski zamieścił w Bibliotece Warszawskiej (I, s. 1—31) rozprawę swoją pod tytułem: „Zakon Dobrzyńców, aż do wdania się w układy z krzyżakami.“ W roku 1857 wyszedł dalszy ciąg téj rozprawy p. t. „Poszukiwania nad Zakonem Dobrzyńców i nad stosunkiem pierwotnym krzyżaków do Konrada Mazowieckiego (Bibl. Warsz. III, s. 1—44; 315—343). Zakończa tę rozprawę zbiór dyplomatów w liczbie dziewięciu odnoszących się do Zakonu Dobrzyńców.

Tegoż jeszcze roku (1857), ale już po napisaniu powyższej rozprawy (p. przypisek Bartoszewicza B. W. III, s. 1), wydał Romanowski

swoją doktoryzacyjną rozprawę: *De Conradi Ducis Masoviae atque ordinis cruciferorum prima mutuaque conditio. Posnaniae, 1857.*

Są to cenne pisma obudzające żal, że nie było dane Romanowskiemu, wcześniej zgastemu, w dłuższym zawodzie wyświadczyć ważniejszych usług naszemu dziejopisarstwu ¹⁾.

W roku 1859 wyszły w Warszawie: „Dzieje Mazowsza za panowania książąt przez F. Kozłowskiego. Zapas źródeł jakeimi Kozłowski rozrządzał pisząc swoje dzieło był wcale niedostateczny, ale Kozłowski nie umiał należycie korzystać nawet z tych źródeł, jakie posiadał. Podjął przedsięwzięcie nad swoje siły.

Surowo acz nie beznamiętnie ocenił dzieło Kozłowskiego Bartoszewicz w recenzji zamieszczonej w Bibliotece Warszawskiej (1860 r. I. s. 664—695). Ocenienie to wywołało obszerną odpowiedź autora (Bibl. Warsz. 1860 III, s. 173—216) opatrzoną przypiskami Bartoszewicza. Odpowiedź Kozłowskiego zręczniejsza, niżby po samém dziele spodziewać się można, nie podniosła jednakże wartości jego pracy, która dla wyjaśnienia stosunków Konrada z krzyżakami, żadnej zasługi nie położyła ²⁾.

W roku 1861 Biblioteka Warszawska (t. III, s. 233—283 i 525—572), zamieściła rozprawę: O ziemi Dobrzyńskiej; badanie historyczne przez Gustawa Zielińskiego. Autor, obywatel w tamtych stronach zamieszkały, posiadał osobistą znajomość topografii ziemi dobrzyńskiej. Pod tym względem praca jego jest i pozostanie zasadniczą. Sprostował on pomyłki topograficzne swoich poprzedników Romanowskiego i wydawców Dyplomatarjusza Rzyszczewskiego i Muczkowskiego. W skreśleniu stosunków historycznych mniej był szczęśliwy.

Takie były od roku 1856 do 1873 głównejsze pisma dążące do rozjaśnienia stosunków księcia Konrada z krzyżakami. Na tém wszakże nie ograniczyła się działalność uczonych. Upřednio i współcześnie ukazywały się w druku dokumenta bądź całkiem wprzódy nieznanne, bądź z oryginałów poprawniej niż w dawniejszych czasach wydane, które mogły i powinny były posłużyć do rozwiązania wielu wątpliwości

1) Romanowski wydał jeszcze *Otia Cornicensia*, t. I; Poznań, 1861.

2) Za zasługę dzieła Kozłowskiego uważane jest wyjaśnienie rodowodu książąt Mazowieckich. Wszakże co do rodziny Konrada, Kozłowski nie był szczęśliwym. Ziemomyśla ma (s. 65) za najstarszego syna Konrada, kiedy to właśnie był syn najmłodszy. Twierdzi, że tenże umarł w r. 1237; kiedy wiemy, iż żył jeszcze w r. 1241 (Cod. Maz. n. 15). Wyczytuje go w nadaniu Koskowa z r. 1221; tymczasem w nadaniu tém niema o nim wzmianki. W dyplomacie u Rzyszcz. i Mucz. II, 1; XIV. w nazwie żony Konrada Shaphia, uważa (przypisek na str. 50) że Ag na Sh przemieniono z przekręcenia, lub pomyłki w wyczytaniu oryginału. Lecz nadanie krzyżakom ziemi Chelmińskiej w r. 1230 bez dnia, ma Caſia, co bliższém jest nazwie Shaphia niż Agaphia.

w badaniach najdawniejszej historii krzyżaków napotykanym. Nie możemy w tém miejscu wyliczać tych wydań źródłowych. Musielibyśmy, oprócz niektórych niemieckich, wymienić nieledwie wszystkie zbiory dyplomatów u nas ogłoszone, bo w każdym niemal znaleźć można pojedyncze przynajmniej dokumenta na rozświetlenie okoliczności czasowych wpływ wywrzeć mogące. Wspomnimy tylko o wydaniu Stronczyńskiego z r. 1839 p. t. „Wzory pism dawnych w przerysach wystawione.“ Wydanie to sporządzone w celach archiwalnych, obejmuje między innymi przerys kilku ważnych do sprawy krzyżackiej aktów z lat 1228 i 1230. Odbite w szczupłej liczbie egzemplarzy, większej części badaczy nietylko niemieckich, ale i polskich pozostało niedostępnym. Pisał o „Wzorach“ Bartoszewicz (Bibl. Warsz. 1850 III, s. 116—123); Romanowski znał ich istnienie, ale nie miał ich pod ręką (Bibl. Warsz. 1856 I, s. 29).

Przechodzimy do rozbiórki pism w roku zeszłym i bieżącym wydanych tak polskich, jak niemieckich.

W roku 1873 wyszła w Poznaniu rozprawa D-ra Augusta Sokołowskiego p. t. „Konrad książę na Mazowszu i Zakon niemiecki.“ Uważając to pismo nieznanego nam dotąd z prac poprzednich autora za *specimen eruditionis*, chętnie przyznajemy że Dr. Sokołowski złożył w niem dowód, iż z pożytkiem na niwie historycznej pracować może. Zna on nietylko dawnych autorów, ale i nowsze prace niemieckie, ściągające się do przedmiotu, Wattericha, Rethwische, Didolfa, Ewalda i t. d.; zna też niektóre, lubo nie wszystkie polskie. Ocytany jest w zbiorach dyplomatów, jak dowodzi zestawienie na s. 43—46 wyrażenia przywileju kruświckiego ze współczesnymi nadaniami. Zapasem źródeł jakie posiada, umie rozsądnie gospodarzyć i czasem trafną uwagę dorzucić.

Uznając te zalety D-rą Sokołowskiego dodać jednak winniśmy, że praca jego obecna nie doprowadziła do żadnych nowych rezultatów, a nawet w pewnym względzie znamionuje nie postęp, lecz wsteczność w naszym dziejopisarstwie.

Dr. Sokołowski pisał po Rethwischu; w badaniu swoim połączył dwa dotychczasowe kierunki. Zastanawiał się i nad autentycznością ważniejszych dokumentów, sprawy krzyżackiej dotyczących, i nad istotnym znaczeniem tych dokumentów. Co do kwestyi autentyczności przecież nie mógł nic stanowczego wyrzec, bo mu nieznanne były ani oryginały w archiwum warszawskim dochowane, ani nawet przerysy u Stronczyńskiego, którego Wzorów nigdzie nie przywodzi. Dr. Sokołowski broni przeciw Rethwisch'owi autentyczności przywilejów z 23 kw. 1228 r. i z r. 1230 (bez daty i miejsca), przyczem zapewne przez pomyłkę druku przywilej z r. 1230 obejmujący darowiznę Nieszawy, nazwany został przywilejem kruświckim (s. 34); powołuje się w téj obrobie na argumenta, czasem nawet bardzo trafne, ale rzecz nierozstrzygniętą zostawia, bo oryginałów wskazać nie umie.

Co do znaczenia przywileju kruświckiego z czerwca 1230 r. Dr. Sokołowski zestawia, jak już nadmieniliśmy, wyrażenia tego przywi-

leju z podobnemi wyrażeniami równoczesnych przywilejów i na téj drodze dochodzi do twierdzenia, że „wszystkie prawie określenia zawarte w przywileju kruswickim, dadzą się odszukać i w innych nadaniach spółczesnych.“

Ale ten wyraz *prawie* ukrywa fatalny dla D-ra Sokołowskiego szkopuł, o który badanie jego nieledwie przy brzegu rozbić się miało. Nie znajduje on w żadnym inném nadaniu przymiotnika *verus*, który w dokumencie kruswickim dwukrotnie się powtarza w wyrażeniach: *in veram et perpetuam proprietatem, perfecto ac vero dominio*. Twierdzi (s. 48), idąc wtém za Rethwischem, że te wyrażenia zmieniają stanowczo charakter przywileju.

Tezy swój broni Dr. Sokołowski następniemi dodatkowemi uwagami. Zapytuje się najprzód, co zostawił sobie Konrad w ziemi Chełmińskiej? Na pytanie to, według niego, twierdząco odpowiedzieć nie można (s. 48), gdy Dr. Sokołowski nie chce, jak Roeppel, zadawać się nic nie znaczącym warunkiem obrony księcia przeciw napadom pogan (s. 53). Drugi argument czerpie z zestawienia nadania kruswickiego, z nadaniem uczynioném w Łowiczu przez Konrada biskupowi Chrystyanowi. Gdy w tym ostatnim dokumencie powiedziano, że nadanie następuje *cum jure ducali*; takiego wyrażenia w przywileju kruswickim niéma, dlaczego oba te nadania mają być zupełnie odmiennego rodzaju. Nareszcie popiera swoje zapatrywanie się Dr. Sokołowski tém, że w sprawie z krzyżakami świadkowie zeznawali, iż nadanie ziemi Chełmińskiej nastąpiło do czasu, ale że żaden z nich nie starał się dowieść, iżby nadanie odbyło się w myśl ustaw lenniczych z zachowaniem pewnego rodzaju zwierzchnictwa; prawnicy zaś uważali nadanie za nieprawne, jako wydane bez wiedzy i przyzwolenia władcy kraju, ale jego doniosłości nie zaprzeczali. Wszakże oba zarzuty świadków i prawników, jak to Dr. Sokołowski wie z całą pewnością (s. 49), były zupełnie niesłuszne. Donację, mówi on, już wtedy uważano za zupełną i nie kuszono się ze słów dokumentu dowieść lenniczej zawisłości krzyżaków.

Streściliśmy wiernie argumenta Dra Sokołowskiego. Wszystkie one, zdaniem mojem, nie wytrzymują rozbioru. Dr. Sokołowski zbyt wielką przywiązuje wagę do wyrażen nadania ujmujących w jedną całość szczegóły, którym podobne sam autor w innych spółczesnych nadaniach wykazał. Lecz jeśli szczegóły takie jak w nadaniu kruswickim znajdują się i w innych nadaniach, to wyrażenia ogólne ujmujące te szczegóły w jedną całość, za jednoznaczne z odpowiedniami wyrażeniami innych nadań uważać należy. Jakoż z zestawienia spółczesnych źródeł wykazemy, że wyrażenia określające nadania słowami *dominium jus hereditarium, plenum jus, omne jus* i t. d., brane były w dokumentach i pisańcach XIII i XIV wieku jedno za drugie, i że takie epiteta jak *verum et perfectum, liberum et absolutum* i t. p. są tylko dla dosadności użyte, lecz nie zmieniają stosunku prawnego.

I tak: nadanie uczynione Dobrzyńcom przez Konrada w r. 1228 było: *hereditarie sub pleno jure libertatis possidendum* (Roman. Bibl.

Warsz. 1857 III, s. 335). Tymczasem w pięć lat później proboszcz dobrzyński Ekbert, któremu Dobrzyńcy nadania tego w części ustąpili, powołuje nadanie jako *jure dominii libere perpetuo possidendum* uczynione, przytacza że Dobrzyńcy ustąpili mu je w części... *contulerunt libere et absolute jure dominii*, sam oddaje to co dostał kościołowi mogunckiemu za zezwoleniem księcia Konrada i Zakonu Dobrzyńców, znowuż *jure dominii perpetuo possidendo*, obierając sobie kościół moguncki za *dominum et patronum*. Pomimo wszystkich tych wyrażen, rzecz szła właściwie o jedną grzywnę złota rocznego czynszu, do opłaty której Ekbert na rzecz kościoła się zobowiązał *in recognitionem dominii* (Roman. *ibid.* s. 340—341). Widzimy w tym dokumencie tylko o pięć lat od pierwotnego nadania późniejszym wszędzie, aż pięć razy, użyte słowa *dominium*, *dominus*, choć tych wyrażen w oryginalnym nadaniu niema. W jednym miejscu to *dominium* zwie się *liberum* i *absolutum*, co w dosadności nie ustępuje kruswickiemu *verum et perfectum*. Pomimo to Ekbert ów *dominus liber* i *absolutus*, wiedział że mu potrzeba pozwolenia książęcego na ustanowienie dość małej opłaty rocznej na rzecz kościoła mogunckiego, i o zezwolenie to, jak sam nadmienia, postarał się, nie marząc nawet o udzielnosci.

Porównajmy następnie w jaki sposób kronikarze XIII i XIV wieku przywodzą nadanie kruswickie co do tytułu posiadania. Kronikarz oliwski ¹⁾ używa wyrażen *jure haereditario perpetue*; Dusburg, który według samego D-ra Sokołowskiego, miał dokument kruswicki pod ręką, mówi o nadaniu, jako zdziałanem *cum omni jure et utilitate in perpetuum*. Oba pomijają *verum et perfectum dominium*, tak stanowczemi być mające według Rethwischa i D-ra Sokołowskiego, przyczem między temi ostatniemi różnica zachodzi w tém, że Rethwisch, pisarz dorywczy, opiera się głównie na rzeczowniku *dominium*, a p. Sokołowski więcej z dokumentami polskimi obeznany, porzucając tę podstawę jako nie dającą się utrzymać, kładzie nacisk na epiteta *verum et perfectum*. Jestto ostatni, lecz najstarszy wysiłek w obronie złej sprawy.

Nadanie kruswickie wdalszym ciągu samo określa swoją naturę, jak na to zwrócił już uwagę Röppel, dodając po wyliczeniu poszczególnych użytków „*et aliorum omnium quae in privilegiis largitionum in favorabiles quaslibet personas vel loca in favorem commodum et cautellam eorum quibus confertur conscribi solent et possent.*”

Sam więc dokument stawia nadanie Konrada w rzędzie nadań szcudrobliwych. Rethwisch któremu to wyrażenie dyplomu niedogodnym było, twierdzi że zamieszczono je dlatego aby podać prawidłó interpretacyi przywileju w końcowych wyrażeniach „*ita ut beneficium mee collationis largissimam ad omne commodum honorem et utilitatem domus et fratrum eorum recipiat interpretationem.*” Ale dla jakich-

¹⁾ Według wydawcy kroniki Oliwskiej w *Scriptores rerum Prussicarum*, opis osiedlenia się krzyżaków w Prusach w tej kronice zamieszczony, jest pracą od kroniki oddzielną, jezoze w XIII wieku ułożoną.

kolwiek powodów zamieszczono ustęp poprzedni, zawsze on stoi, ma swoje znaczenie, którego ciąg jego dalszy w niczém nie osłabia. Pomijać go interpretując nadanie, nie można.

Przejdźmy teraz pokrótce dodatkowe argumenta Dr. Sokołowskiego. Twierdzi on że niemożna znaleźć odpowiedzi na pytanie, co zostawił sobie Konrad w ziemi Chełmińskiej? I to twierdzenie dziwi nas w jego ustach. Zna on i sam wydrukował, (s. 45), wyrażenia innych dyplomatów, *nihil mihi, nobis nec posteris, successoribus, juris dominiū iudicii praecepti, penitus reservando*, dlaczegóż nie zapytuje się co w tych razach przy panującym zostawało? Odpowiedź przy przywileju krzyżackim łatwiejsza niż przy innych nadaniach. Krzyżacy mieli wojować pogan i bronić ziemi księcia. Taki był cel ich powołania i taki obowiązek na nich włożony. Nie byli przeto w służbie księcia, walczyć mieli *secundum Dei honorem*, ale walczyć byli obowiązani. Obowiązek ten był dość ciężki aby ich uwolniono od innych któreby w wypełnieniu onego przeszkadzać im mogły, lub któreby nie zgadzały się z ich powołaniem. Zresztą już Röppel mówił, że krzyżacy łącząc się z Dobrzyńcami, gdy w objęciu ich posiadłości doznali od Konrada przeszkody, sami poczuli co brakowało ich nadaniu i dlatego poddali się pod władzę papieża (str. 441, 442). Pismo Ekberta którego Roeppel nie przytacza a może i nie znał, dowodzi trafności téj uwagi i że Konrad był najzupełni w swoim prawie nie dopuszczając krzyżaków do posiadania włości nadanych Dobrzyńcom.

Zaledwie na uwagę zasługuje drugi argument Dr. Sokołowskiego, że przywilej kruświcki dlatego więcéj niż inne obejmuje, iż nie ma w nim, jak w łowickim zdziałanym dla biskupa Chrystyana wzmianki o ustąpieniu *jus ducale*. Nie przywiązując do wyrażen przywilejów sakramentalnego znaczenia, nie kładziemy na to opuszczenie żadnej wagi, skoro przez omówienie dano krzyżakom to coby im przyniosło ustąpienie *juris ducalis*; ale widocznie jeżeliby z opuszczenia wzmianki o *jus ducale*, wniosek jaki wyciągnąć można było, to ten wniosek umniejszyłby rozciągłość krzyżackiego przywileju. Zwiększenia znaczenia przywileju niepodobna nim uzasadniać. Zresztą wzmianki o ustąpieniu *jus ducale* nie ma i w nadaniach krzyżackich, z r. 1228 i w krótszym bez dnia 1230 roku.

Więcéj pozorów ma na sobie argument ostatni p. Sokołowskiego, że w sprawie z krzyżakami ani świadkowie ani prawnicy nie kusili się ze słów dokumentu dowieść lenniczej zawisłości krzyżaków. Argument ten ma przecież znaczenie tylko dla tych, którzy stosunki krzyżaków z Konradem ze stanowiska prawa lennego oceniać uważają właściwém.

Prawo lenne w Polsce, wówczas nawet kiedy przyjęte zostało, nigdy przeważnie się nie upowszechniło i było tylko wyjątkowém. W razach gdy się do niego odwoływano, za podstawę służyło prawo lenne saskie, a w niektórych względach dawano pierwszeństwo prawu

lennemu lombardzkiemu ¹⁾. Prawo lenne saskie spisane zostało dopiero w pierwszych dziesięcioleciach XIII wieku (*Homeyer. Das sächsische Lehnrecht III s. 61*), rękopisy tego prawa dochowały się tylko z XIV i XV wieku. Do nas przyszło prawo to razem z prawem niemieckim i jako część onego. Najstarszy odszukany u nas z rękopisów jest krakowski z roku 1308; oprócz tego jest jeszcze kilka innych późniejszych które Helcel opisał. W prawie naszym publicznym wyraźne i bezsporne zastosowanie prawa lennego dopiero pod koniec XIII wieku, spozstrzegać się daje. Ztąd świadkowie zeznający w roku 1339, o stosunkach lenniczych krzyżaków zeznawać nie mogli. Znali oni czasy konradowskie tylko z wieści i tradycji, a ta tradycja tak się była zatarała, że mało który z nich był w stanie nawet nazwisko Konrada wymienić. Nie znają tego nazwiska mianowicie Günther kanclerz księcia Trojdena i Jan biskup krakowski, który około 1324 r. był kanclerzem kujawskim *in minoribus constitutus*, obaj duchowni a więc literaci t. j. umiejący po łacinie. Cóż mówić dopiero o świeckich, z których zaledwie kilku było literati.

Przed prawem pisanem był zwyczaj: zanim spisano kodeks prawa lennego, były już stosunki lenne. Posiadano o tych stosunkach w Polsce wiadomość. Bolesław Krzywousty chciał je nawet jako prawo dynastyczne do kraju wprowadzić (p. Hofman. O przyczynach podziału i t. d. Kraków 1872 s. 33—38) raz dzieląc się z bratem Zbigniewem, potem dzieląc kraj między synów. Ale instytucja senioratu nie utrzymała się i pół wieku—mówi Hofman. Była to nowość wstrętna krajowi. „Społeczeństwo nie rozumiało jeszcze sztucznych kombinacji feudalnych” (tamże str. 39). Pierwsze ślady stosunków lennych widzimy u nas dopiero w związku z osiedleniem się krzyżaków. Adryan Krzyżanowski który stosunki te badał lubo bez głębszego w rzecz wniknięcia (p. Starożytna Polska), pisze że wyraz feudalny pierwszy raz użyto u nas w r. 1233 w przywileju krzyżackim Hermana de Salza, w Chełmnie 28 grudnia. W układzie krzyżaków z biskupem pruskim z r. 1230 co do autentyczności niepewnym, mamy wyraz *vasalli*, zapewne także poraz pierwszy u nas użyty.

W nadaniach Krzyżakom poczynionych w r. 1230, bez dnia, są wyrazy *cum omni fidelitate*, wyrażenie prawu lennemu właściwe, ale niekoniecznie jeszcze w dokumencie krajowym do stosunku lennictwa ściągające się. Dokument Ekberta z r. 1233 jest też kommendacją lenniczą, ale na rzecz obco-krajowego kościoła i zapewne przez obco-krajowca uczynioną. Lenność nie jest właściwem określeniem stanowiska krzyżaków i dlatego też nie ma o niej mowy w zeznaniach świadków z pierwszej połowy XIV wieku.

¹⁾ Por. Lipski, Obserwacya 78 nr. 16, Bibl. Warsz. 1868 IV, s. 303.

Inne było zapatrywanie się w prawniczych wywodach XV wieku. Wówczas już przyjęcie lubo częściowe prawa lennego w naszym prawie publiczném i prywatném stało się niesporném. Z tych pojęć wychodząc prawnicy zadawali nieprawność nadaniu Konrada jako nie zatwierdzonemu przez zwierzchnika monarchę, treści zaś tego nadania nie rozbiegali.

Jeżeli jednak za czasów Konrada lenne zwierzchnictwo senioratu w zapomnienie poszło, jeżeli jak p. Sokołowski mówi, milczą o niem dokumenta i kroniki, nie idzie za tém aby zarzut na téj podstawie oparty był zupełnie niesłuszny. Prawo senioratu było rozszczeniem wówczas nie uznaném, ale które ze zmianą okoliczności na wierzch wypłynąć mogło i rzeczywiście wypłynęło, a prawnie uchyloném nie było.

Istniał związek między dzielnicami Piastowskiemi za czasów Konrada, ale tego związku nie urządziły przepisy prawa lennego, tylko spółność rodowa, znamionująca i ustrój społeczny i stan prawny zupełnie odmienne od feudalnego, spółność rodowa będąca odwiecznym prawem krajowém i prawem dynastji panującej. Ztąd pierwsze nadanie ziemi Chełmińskiej krzyżakom utwierdzoném zostało przyłożeniem pieczęci wszystkich książąt polskich; ztąd w nadaniach z roku 1230 mowa o zezwoleniu żony i synów Konrada. To co Rethwisch (s. 60) uznał za punkt świadczący najmocniej przeciw autentyczności nadania z r. 1228, przy większej znajomości naszego prawa, powinien był właśnie poczytać za najmocniejszy argument na stronę autentyczności tego przywileju, który zresztą w orginale w archiwum naszym się znajduje i przez Stronczyńskiego przerysowanym został. Spółność rodowa modyfikowała do pewnego stopnia niezależność każdego z książąt pojedynczych dzielnic i nie dozwalała czynić ważniejszych rozporządzeń bez zezwolenia pokrewnych. Wszystko to ze zmianą pojęć w XV wieku poszło w zapomnienie, a prawnicy napojeni zasadami lennemi których się w szkołach nauczyli, bronili się w duchu tych pojęć przeciw rozszczeniu krzyżackim.

Upada więc i ostatni argument Dr. Sokołowskiego, a to co Roepell i Romanowski powiedzieli pozostaje niewzruszoném.

Jedno jeszcze uchybienie Dr. Sokołowskiemu wytknąć muszę. Na stron. 37 tłumaczy on wyraz *mensura* w ugodzie z r. 1230 przez *mierzycę*. Tego wyrazu w słowniku Lindego niema; nie wiem czy go utworzył sam p. Sokołowski, w każdym razie jest on niewłaściwy. *Mensura* zwie się po polsku ćwiertnia, jak tego doszedłem w studyach moich nad Długoszem (w Bibliotece Warszawskiej r. 1872 IV str. 342) z kombinacji kilku o niej wzmianek, a jak dziś z pewnością twierdzić mogę, przekonawszy się że Świętosław z Wocieszyna *mensurę* oddaje przez ćwiertnią, (Helcel I str. 86). Nadto w rękopisie p. t. *Articuli super Inventarium Beneficiorum etc in Districtu et Archidiaconatu Wyelunensi.*, par *Troijanum praepositum in Jwanoutce et capellanum curie dicti domini Archiepiscopi Anno 1522 factum et duodecimo octobris ineptum*, wyczytałem w opisie wsi Ruda należącej do pierw-

szęj prelatury, mensura alias czwiertnia; podobnież w opisie drugiej prelatury czyli dziekanii ¹⁾.

Rozstając się z Dr. Sokołowskim przychodzi wynurzyć mi życzenie, ażeby dalsze plony jego prac historycznych więcj odpowiednie były jego uzdolnieniu i nauce, którym oddaje należną sprawiedliwość, niż rozbiegana obecnie rozprawa. W rozprawie tój dlatego głównie nie przyszedł do prawdziwych rezultatów, że dał się uwieść nowszym badaczom niemieckim ani dość bezstronnym ani dość gruntownym, nie zwracając dostatecznej uwagi na prace swoich ziomeków.

Wyreczęł Sokołowskiego w tym względzie Dr. Perlbach, który wydał w r. 1873 dziełko p. t. *Die aeltesten preussischen Urkunden kritisch untersucht*. Jakkolwiek nie podpisałibyśmy świadectwa udzielonego Perlbachowi przez Kętrzyńskiego, w rozbiornie tegoż dziełka, że praca jego uwzględniła wszystko co Polacy o historii pruskiej dotąd napisali lub wydali; to przecieź odmówić niemożna Dr. Perlbach uznania, że się obznajmił z pracami naszych pisarzy starał; w tym celu nawet, jak Kętrzyński nadmienia, nauczył się naszego języka.

Perlbach oceniając krytycznie autentyczność najdawniejszych dokumentów pruskich (do r. 1231) zwrócił bacniejszą niż jego poprzednicy na tём polu uwagę na okoliczności, czy dokumenta doszły nas w orginałach, czy w transumptach, czy w kopjach, a jeśli były drukowane, to gdzie, przez kogo i z jakiego źródła je wydano. Porównawszy z sobą rękopisy i druki, na tój drodze, jeżeli niezawsze rzecz ostatecznie rozstrzygnął, to przynajmniej do jęj rozstrzygnięcia ważny przyczynek podał. Nie znając naszego archiwum, używał do pomocy wzorów Stronczyńskiego, których egzemplarz widział w Poznaniu.

Ponieważ treść jego dziełka objęta jest dokładnym sprawozdaniem Dr. Kętrzyńskiego na czele niniejszego artykułu z tytułu wymienioném, ograniczymy się na podaniu szczegółowiej niż Kętrzyński części pracy Dr. Perlbach ściągającej się do przedmiotu najważniejszego t. j. do przywileju kruświckiego z czerwca 1230 roku.

Dwa mamy dokumenta nadania ziemi Chełmińskiej krzyżakom przez Konrada w roku 1230. Jeden krótki, drugi dłuższy. Krótki

¹⁾ Rękopis ten miałem sobie udzielony przez autora Rolniczej ludności w Polsce X. T. L. W tłumaczeniu Statutu Wislickiego z r. 1503 (Wislicioia) mensura jest oddana przez kłoda (str. 24), ale mylnie, bo kłoda u Długosza równa się dwóm koroom, mensura zaś koroom trzem. Otóż ówiertnia wedle Solskiego przywiedzionego przez Lindego pod wyrazem ówiertnia, ma koroy trzy; co jest jednym dowodem więcj tożsamości mensury i ówiertni. Ówiertnia brała nazwę ztąd że była czwartą częścią wielkiej jednostki miar objętości, dwunastokorcowego modius, którego nazwę polską odszukać jeszcze nam zostaje, lecz ktorego nigdy niemożna tłumaczyć przez korreo, jak to czyni Gawarecki (w Bibliotece Warszawskiej z r. 1857, III str. 521).

mniej daje krzyżakom, dłuższy więcj. Są one oba, lub który z nich, prawdziwe czy fałszywe? Rozbierając tę kwestyę, Perlbach zastanawia się najprzód jaką drogą te dokumenta do nas doszły. Dokument krótki, bez dnia i miejsca wystawienia znajduje się w oryginale w tutejszém archiwum. Dokument dłuższy z czerwca wystawiony w Kruświcy, nie znalazł się dotąd w oryginale ani u nas ani w Królewcu. Ci którzy go najpierwsi wydrukowali, Leibnitz, Dreger i Dogiel nie mieli téż oryginału przed sobą.

Wprawdzie w inwentarzu archiwum zamku krakowskiego w roku 1682 sporządzonym, a w r. 1862 w Paryżu wydanym, jest na str. 62 mowa o dokumencie w Kruświcy w czerwcu 1230 r. zdziałanym, jakoby w archiwum znajdującym się. Ale o kilka stron dalej (str. 65 i 66) wzmiankując o Bulli Papieżkiej z r. 1257, przywilej ten zatwierdzającej i zawierającej w sobie jego transumpt, powiedziano że transumpt wiele się różni od przywileju poprzednio wzmiankowanego, albowiem jest od niego obszerniejszy i t. d. Ztąd Dr. Perlbach mniema że dokument na str. 62 wzmiankowany nie był dokumentem kruświckim z czerwca 1230 roku, ale że był dokumentem z r. 1230 bez dnia i miejsca, dotąd w archiwum znajdującym się i przez Stronczyńskiego odwzorowanym.

Ta konjektura wiele ma za sobą. Jeżeli jest prawdziwą, to sporządzający inwentarz nader niedbale prace swoje wykonali, skoro dokument krótszy opisali tak jakby to był kruświcki; albowiem wzmiankują przy nim o zezwoleniu trzech a nie czterech synów Konrada i podają go z datą dokumentu kruświckiego. Wina spada tu na komisarzy spisujących inwentarz, lecz nie słusznie gani Perlbach wydawcę Rykaczewskiego, że w dopisku powołał druk kruświckiego dokumentu przez Dogiela. Cóż innego miał powołać, skoro w inwentarzu wyraźną choć może błędną znalazł wzmiankę o kruświckim przywileju? Jeżeli do inwentarza krakowskiego wszedł dokument kruświcki przez pomyłkę, to ta pomyłka ciąży komisarzy ale nie wydawcę inwentarza.

Dokument kruświcki dochował się nam najprzód w kopii sporządzonej w roku 1234 i znajdującej się w registrach papieżkich, z której to kopii wydrukował go dopiero Theiner; potem w transumptcie w bulli zatwierdzającej, papieża Aleksandra z r. 1257. P. Perlbach twierdzi że ta bulla jest, jak wykazać można (nachweisbar) źródłem wszystkich egzemplarzy aktu jakie się w Prusach i w Polsce ukazały.

Dr. Perlbach porównywa następnie osnovę obu dokumentów z r. 1230, krótszego i dłuższego.

„Oba one—mówi on—są według téj samej formuły sporządzone i w niektórych punktach brzmią jednostownie. Różnice są następujące: po inwokacyi następuje w akcie kruświckim bardzo przeciągła arynga, a bezpośrednio po początku formuły *notum esse volo*, również obszerne umotywowanie, opisem spustoszeń pogańskich Prusaków; obu brak w akcie krótszym. W akcie kruświckim żona księcia zwie się Agaphia, w krótszym Cafia; tamten przywodzi trzech synów, ten zna jeszcze czwartego Ziemiomyśła. Granice ziemi Chełmińskiej podaje

darowizna kruswicka cokolwiek dokładniej; w wyliczeniu nadanych zakonowi użytków i regaliów jest daleko obszerniejsza; zastrzega najkorzystniejszą dla zakonu interpretacją i ewikcyę darowizny. Tego jako też i wyraźnego zrzeczenia się wszelkich zastrzeżeń prawnych brak w niedatowanym dokumencie; brak również i nadania wszelkich zdobyczy na Prusakach. W obu nadaniach mieści się obietnica księcia udzielenia opieki zakonowi, ale w kruswickim obietnica wyrażona jest obfitszemi słowami. Obszerniejszą jest w akcie kruswickim koroboracya, stojąca w krótszym dokumencie po świadkach. Świadkowie są ci sami w obu nadaniach; lecz w kruswickim akcie jest trzech świadków więcej: proboszcz Berwald, dziekan Wilhelm i Pakosław młodszy. W krótszym akcie biskup mazowiecki Günter osobno podpisuje; w dłuższym wymieniony jest jako drugi świadek. Dr. Perlbach roz-biera następnie po kolei wszystkie te różnice.

Nazwisko księżny, żony Konrada znajduje w społecznym dokumencie (C. P. I. n. 14 z r. 1221), wprowadzie tylko według kopiaryusza klasztoru czerwińskiego wydrukowanym, Shaphia; nazwisko to jako więcej zbliżone do Cafia niż do Agaphia, uważa za argument na rzecz autentyczności krótszego dokumentu.

Brak czwartego syna Ziemiomysła w dłuższym dokumencie, Dr. Perlbach poczytuje za okoliczność nie stanowczą, raz dlatego że Ziemiomysł wzmiankowany jest w dokumentach dotąd nam znanych, dopiero od 23 marca 1231 (C. D. P. I. n. 20); drugi raz (str. 34) dlatego że jego imię mogło być opuszczone przez pomyłkę kancelaryi papieżkiej. Uczynię tu uwagę, że jakkolwiek najwcześniejszy dokument wymieniający Ziemiomysła jest z dnia 23 marca 1231 r., to przecież dokument ten obejmujący zamianę Lubotyńia na Barkowice, nadmienia że darowizna Lubotyńia uczynioną została przez Konrada i jego czterech z nazwisk wymienionych synów. Daty darowizny nie znamy, lecz widocznie musiała być uczyniona wcześniej niż zamiana.

Świadkowie są jak udowadnia Dr. Perlbach, wszyscy znani z dokumentów ówczesnych. Osobny podpis jednego ze świadków nie jest w dokumentach ówczesnych rzadkością.

Większą uwagę przywiązuje Dr. Perlbach do innych właściwości aktu kruswickiego. „Pomiędzy ogłoszonymi dotąd aktami Konrada” —mówi on—niema żadnego któryby dorównywał mu obszernością aryngi, długością umotywowania i dokładnością prawnych formalności. Wypisuje wyliczenie użytków w innych polskich nadaniach społecznych i na tej zasadzie jako też i ze względu na brak oryginału wyrzeka zdanie „że kruswicka darowizna, zdaje się być niczém inném, jak bardzo zręczném podrobieniem przez zakon” (str. 34).

Takie jest dowodzenie D-ra Perlbach; zasługuje ono na względ poważny. Dr. Perlbach zachwiał wiarę w autentyczność przywileju kruswickiego, ale jej stanowczo nie obalił. Nie powiemy z D-rem Kętrzyńskim (w rozbiórce dzieła Ewalda w Przewodniku naukowym za luty 1874), że Perlbach jasno jak na dłoni wykazał, że przywilj krus-

wicki przez krzyżaków został podrobiony. Nie możemy się też zgodzić z Kętrzyńskim i na to co powiada w rozbiórce dziełka Perlbacha, że „w podrobieniu chodziło o wyraźnie wypowiedziane uznanie niezależności i udzielności, o których w dawniejszych przywilejach Konrada żadnej niema wzmianki,“ bo co do doniosłości w tym względzie przywileju kruświckiego, podzielamy z wyżej wyłuszczonej powodów, zdanie Roeppla i Romanowskiego. Sam Dr. Perlbach zdania swego w tój mierze nie objawił.

Wniosek Perlbacha jest dość wątpliwie wyrażony (scheint nichts, als eine sehr geschickte Fälschung von Seiten des Ordens). Argumenta jego, które wiernie lubo w skróceniu przytoczyliśmy, nie są tój natury, aby przeciwnemi osłabione być nie mogły. Że Caſia jest bliższe Shaphii niż Agaphii to pewna; ale Shaphia raz tylko i to w kopii a nie w oryginalnym dokumencie się znalazła, a Długosz pisze Agasia. Że nadanie kruświckie jest rozciąglejsze niż inne nadania Konrada, to szczególną ważnością aktu wytłumaczyćby się dało. Że się oryginał nie dochował, to przecież kiedyś istnieć musiał, boć Perlbach twierdzi, że go krzyżacy podrobili i to bardzo zęcnie. Czy w istocie nie istniał w archiwum krakowskiem, to obok wzmianki inwentarza jest wątpliwe; przynajmniej należałoby sprawdzić, co o tém mówi Kromer w inwentarzu dawniejszym, dotąd w rękopiśmie zostającym. Na ostatek nie jest małej wagi zarzut, który Dr. Perlbach sam sobie czyni, że potwierdzenie papieżkie z roku 1230 jakkolwiek daty aktu nie przywodzi, treść jego, co do nadania krzyżakom zdobyczy na Prusakach, zgodnie z aktem kruświckim podaje. Dr. Perlbach zarzut ten odpiera przytoczeniem, że już przed datą kruświckiego nadania, papież w styczniu 1230 r. o tym punkcie w innym akcie wspomina, więc okoliczność ta nie jest stanowczą. Stanowczą nie jest, zgadzamy się na to, ale zawsze do wątpliwości daje powód.

Mistrzowski wykład Roeppla, którego tém więcej się ceni, im więcej się w jego następcach rozczytuje, ważniejszym i cenniejszym jest dla nas, niż wszystkie dość wątkie argumenta D-ra Perlbach, w jego wielce starannój, ale nie przeto jeszcze świetne rezultaty, jak pisze Kętrzyński, osiągnęjącej rozprawie ¹⁾.

F. Z.

¹⁾ Dr. Perlbach, a za nim Kętrzyński w nadaniu Cekowic z r. 1212, uwolnienie poddanych biskupa, w słowach: *nec vestigia recipient*, uważają za uwolnienie od służby myśliwskiej. Mniemam że idzie tu raczej o uwolnienie od pogoni złoczyńców za śladem od granio opola (porów. Heloel I, s. 89). Nadmieniam też muszę, że Stronczyński nie był nigdy archiwaryuszem jak go Perlbach tytułuje; i że niesłusznie Perlbach przypisuje Ewaldowi zasługę trafnej ubikacyi miejscowości, w nadaniu Dobrzyńcom z r. 1228 wymienionych, gdy zasługa ta należy się p. Gustawowi Zielińskiemu.

Piotr Chmielowski, Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens. Eine physiologisch psychologische Analyse. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der philosophischen Doctorwürde der Universitaet Leipzig. Leipzig. 1874. Str. 75. (Organiczne warunki początku woli. Rozbiór fizyologiczno-psychologiczny. Dyssertacya doktorska).

Nim przystąpimy do specjalnego rozbioru przytoczonej pracy, przychodzi nam z radością zaznaczyć fakt, że działalność najwyższego w kraju naszym zakładu naukowego zaczyna przynosić plon coraz obfitszy na różnych polach życia umysłowego, wydając coraz to nowych pracowników, poświęcających się nauce i jej różnorodnym zadaniom. Za objaw tego pocieszającego faktu może służyć nietylko żywszy ruch umysłowy, odzywający się w całym kraju, lecz szczególnie, wzrastająca liczba specjalnych prac naukowych. A chociaż z natury rzeczy wynika, że z większą specjalizacją pracy umysłowej wyradza się i pewna sprzeczność w głównych kierunkach tej pracy, a tém samym i jednostronność w pojmowaniu jej zadań i celów, to jednak spodziewać się należy, że podobne niedostatki coraz bardziej usunąć się dadzą przez duch i metodę naukową, które powinny być udziałem wszystkich kierunków i które jedynie są w stanie zespolić pracę naukową w jedną całość, przyczynić się do ogólnego postępu życia umysłowego danego społeczeństwa. Nieład i anarchia naukowa, a tém samym i literacka, są głównie skutkiem braku ducha i metody naukowej w tym lub owym z kierunków myśli, braku miłości prawdy dla samej prawdy, a tém samym pomieszania kwestyj i badań naukowych z tendencjami ubocznymi, niemającymi żadnego związku z czysto naukową stroną danych przedmiotów.

Niestety, wyznać należy, że antagonizm, jaki się w ostatnich czasach między tak zwaną młodą i starą prasą u nas wyrodził, w znacznej części jest wynikiem takich ubocznych tendencji, i sądzimy, że się da najlepiej usunąć, gdy z jednej i drugiej strony w miejsce ogólnikowych frazesów, to o zaletach to o szkodliwości jakiegoś, niby zupełnie nowego kierunku myśli, mającego na celu rozpocząć pracę umysłową *ab ovo*, zwróconą będzie uwaga na ściśle-naukowe prace tego kierunku u nas, o ile takowe istnieją, w celu dokładnej oceny ich znaczenia ze stanowiska czysto naukowego, bez wszelkich ubocznych tendencji.

Do tego rodzaju prac należy pod każdym względem wyżej przytoczona rozmowa, napisana przez pana Piotra Chmielowskiego, wychowawca b. Szkoły Głównej, dla uzyskania zaszczytnego stopnia doktora filozofii Uniwersytetu Lipskiego. Przystępując do oceny tej pracy, zdajemy sobie przedewszystkiém sprawę z jej przedmiotu i zadania.

Tytuł rozprawy: „Organiczne warunki początku (*zjawienia się, powstania—Entstehung*) woli. Rozbiór fizjologiczno-psychologiczny“ pokazując, że autor miał na celu wykazać związek, zachodzący pomiędzy psychicznymi objawami woli i pewnymi procesami fizjologicznymi, wywierającymi wpływ na owe objawy. „Ze taki związek w rzeczy samej istnieje, że objawy *woli* pod wieloma względami zależą od *warunków* organicznych, co do tego nie ma żadnej wątpliwości ani w psychologii, ani w fizjologii. Z tego powodu specjalne badanie tego związku, jest rzeczą bardzo pożądaną i ważną. Ale pomimo to, biorąc na uwagę dzisiejszy stan jak psychologii tak i fizjologii, z góry zmuszeni jesteśmy wątpić, aby takie zbadanie *związku* między objawami woli i pewnymi procesami fizjologicznymi mogło doprowadzić do wykrycia „organicznych warunków *początku* woli.“ Ktoby zdołał wykazać, że wola, jako zjawisko *psychiczne, powstaje* (ensteht) z pewnych organicznych warunków, ten przez to samo wykazałby, że objawy *psychiczne powstają* z procesów fizjologicznych, co się sprzeciwia dzisiejszym *naukowym* poglądom na wzajemny do siebie stosunek objawów *psychicznych* i fizjologicznych. Tylko materializm utrzymuje, że objawy *psychiczne* powstają z procesów fizjologicznych; psychologia zaś i fizjologia, jako nauki, nie zdołały dotąd przywieść najmniejszego faktu, dowodzącego aby jakikolwiek proces psychologiczny *powstał* z fizjologicznego. Wiemy o ciągłym związku, zachodzącym pomiędzy temi dwoma szeregami objawów, wiemy o tém, że każdy z tych szeregów zdolnym jest oddziaływać na drugi i wywołać w nim pewne zmiany; ale nic a nic nie wiemy o tém, aby procesa *psychiczne*, jak np. procesa *woli powstawały* z procesów fizjologicznych. Gdyby nasz autor był stanął na stanowisku *materializmu*, tobyśmy się nie byli dziwili, że chciał wykazać, iż objawy *woli wynikają i powstają* z pewnych procesów fizjologicznych. Lecz autor nasz nie chce być materialistą. Na str. 3 zaznacza, że wcale nie ma na celu zajmować się kwestyą o pierwiastkowej *przyczynie* objawów woli, że nie będzie rozbiegał pytania, czy objawy te są wynikiem jakiejś duchowej zasady (geistiges Princip), czy też wynikiem wpływów zewnętrznych, a w innych miejscach mówi o samoistnych procesach *psychicznych*, np. myślenia i o ich wpływie na objawy fizjologiczne. Tém bardziej razi tytuł rozprawy, opierający *początek* woli na organicznych warunkach.

Na wstępie swjej pracy, autor rozróżnia trzy główne grupy objawów woli: 1) „wola znajduje się w bezpośrednim stosunku do działań (Handlungen) t. j. postanawia działać lub nie działać; 2) wola wywiera wpływ na pochodź myślenia, objawiając się np. w czynnej uwadze i w koncentracji myśli; 3) wola albo rządzi uczuciami, albo ogranicza takowe, np. gdy opanowyywa namiętności.“ Z tych trzech głównych grup objawów woli dwie ostatnie, jak widzimy, wykazują wpływ woli na inne objawy *psychiczne* myślenia i uczucia, w ogóle na świat wewnętrzny, pierwsza zaś przedstawia wpływ woli na *ruchy* ciała, a przy ich pośrednictwie na świat zewnętrzny. Autor, nie-

wiedzieć dla jakich powodów, ogranicza swój rozbiór wyłącznie tylko tą pierwszą grupą objawów woli, pozostawiając bez wszelkiej uwagi jęj wpływ na myślenie i uczucia (s. 3). Nie możemy wprawdzie żadnemu autorowi odmówić prawa ograniczenia zakresu swych badań według swego uznania; ale z tęp wszystkięp ze stanowiska samej metody naukowej wymagać musimy, aby nie pozostawiał bez uwagi takich rzeczy, które się bezpośrednio wiążą z jego przedmiotem i których zbadanie stanowi konieczny warunek należytego rozwiązania postawionej kwestyi. Według naszego sposobu widzenia, nie można żadną miarą mówić choćby tylko o organicznych warunkach początku woli, nie biorąc pod uwagę wszystkich główniejszych jęj objawów. Zaniedbanie dwóch tak ważnych grup objawów woli, wykazujących jęj wpływ na inne objawy psychiczne, musi mieć za skutek skrzywienie zasadniczych pojęć danego przedmiotu, t. j. skrzywienie pojęcia jak samej woli tak i jęj stosunku do owych szukanych „warunków organicznych.“ Wiemy dobrze, że rozbiór czysto-psychicznych procesów woli, jęj wpływu na inne funkcye psychiczne i jęj znaczenia dla życia duchowego w ogóle, jest daleko trudniejszy i zawilszy, niż rozbiór tych tylko procesów, które się przejawiają na zewnątrz za pośrednictwem ruchów ciała. Dla tęp tęp trudności autor zapewne nie chciał wziąć pod uwagę owych objawów czystopsychicznych. Ale w takim razie nie powinien był traktować o woli w ogólności, a tęp mniej o jęj *początku*; lecz powinien był z góry ograniczyć swój temat kwestyą o *ruchach ze stanowiska psychologicznego*. Zaniedbanie tego wymagania miało za skutek dwa nader ważne błędy naszej rozprawy, które już tutaj zaznaczymy: 1) brak logicznej symetrii w układzie całej rozprawy, objawiający się w tęp, że autor na pierwszych 57 stronicach nie traktuje wcale o woli, lecz tylko o *ruchach*, a kwestyą *woli* zajmuje się dopiero na ostatnich 15 stronicach (58—73) rozprawy; 2) brak dostatecznych naukowych danych do wyprowadzenia wniosków, jakie autor w drugiej części swęj pracy co do woli w ogólności wypowiada. Pomimo że główna treść rozprawy miała do czynienia tylko z ruchami, bez wszelkiego względu na inne objawy woli, należące do drugiej i trzeciej z wyżej przytoczonych grup, autor wypowiada zdania o woli w *ogólności*, dochodząc np. do rezultatu (str. 70 i nast.), że wola nie jest czępś *pierwiastkowęp, prostęp, lecz czępś nabytęp, złożonęp*, że każdy akt woli łączy się z „możnością wykonania ruchów“ i t. d., co, jak wyżej zobaczymy, bynajmniej nie wynika z rozbioru czystopsychicznych objawów woli wykazujących jęj wpływ na myślenie i uczucia.

Już z powyższych uwag nie trudno wnioskować, że autor nie zdał sobie dość jasnej sprawy z samego tematu i nie sformułował takowego z należytą dokładnością. Niedokładność ta występuje na jaw jeszcze bardziej w następujących słowach wstępu, które wypowiada ją bardzo trafne myśli, ale wcale nie kwadrują z głównym tematem rozprawy. Na str. 4 autor mówi: „*Działanie przedstawia zewnętrzną (fizyczną), wola zaś wewnętrzną (psychiczną) czynność człowieka. Paralelizm*

między temi dwoma światami nie podlega żadnej wątpliwości; kwestya polega tylko na określeniu ich wzajemnego do siebie stosunku. Dla objaśnienia tego stosunku, zwykle mówią, że po takim a takim postanowieniu woli następuje lub nie następuje pewien ruch mięskulów. To w saméj rzeczy, mówi daléj autor, jest faktem *wewnętrznego doświadczenia*; ale zawsze zapytać należy, jakim sposobem *idealny, duchowy proces* (postanowienie bowiem jest takim procesem) może wywołać (hervorbringen) proces materyalny (ruch mięskulów). Tutaj przedstawia się nam pewna przepaść (Lücke) między objawem psychicznym i fizycznym; przepaść, która napozór nie może być wypełnioną. A jednak ów związek istnieje i nie może być usuniętym. Postaram się o bliższe określenie warunków tego związku." Według tych słów należy przypuszczać, że za punkt wyjścia do téj rozprawy posłużył autorowi fakt działania pewnych duchowych procesów na ruchy ciała, że postawił sobie za zadanie objaśnić „jakim sposobem *idealny, duchowy proces* postanowienia woli może wywołać proces *materyalny* ruchu mięskulów.“ Téj kwestyi jednak autor nigdzie netylko nie rozwiązuje, ale nawet i nie rozberra, jak to wykaże specjalny pogląd na treść jego rozprawy.

Pierwszy rozdział (str. 5—30) traktuje o *podrażnieniu* (podniecie) i *ruchach mięśniowych* (Reiz und Muskelbewegung). Cały ten rozdział zdradza na każdym kroku tendencyą objaśnienia wszelkich ruchów ciała, jak mimowolnych tak i dowolnych, na zasadzie fizyologicznego podrażnienia nerwów. Takie objaśnienie według zdania autora (str. 5) jest pierwszym krokiem do zbadania związku, zachodzącego między *wolą i działaniem* (zwischen dem Willen u. den Handlungen). Przyznać należy, że autor kwestyą tego rozdziału rozberra starannie, z uwzględnieniem badań takich fizyologów i psychologów, jak Funke, Wundt, Pflüger, Maudsley, Lotze, Bain, Horwicz, Siechenow i inni. To téż cały ten rozdział stanowi bardzo zajmujący traktat o stosunku podrażnienia do różnych rodzaj ruchów, szczególniej zaś do tak zwanych ruchów refleksyjnych czyli odruchów. Z tém wszystkiém jednak nie możemy powiedzieć, aby rozdział ten przyczynił się w czémkolwiek do rozwiązania głównej kwestyi całej rozprawy t. j. kwestyi o początku woli. *Woli* nie można mieszać z fizyologiczném podrażnieniem, ani ruchów z *działaniem*. Autor na zasadzie badań fizyologów mógł wykazać, że ruchy ciała są zawsze skutkiem poprzednich podrażnień nerwowych (str. 20), o czém zresztą mało kto wątpił, ale z tego jeszcze nic a nic nie wynika dla rozwiązania kwestyi *psychologicznej* o stosunku *woli* do *działania*. Chcąc dotknąć téj kwestyi, autor powinien był zwrócić uwagę na *przyczyny*, powodujące same podrażnienia nerwów. Nie ulega wątpliwości, że akt czysto-psychologiczny, czyli jak autor sam mówi, akt *idealny postanowienia, zamiaru*, zdolny jest wywołać pewne ruchy ciała. Ten akt idealny, którego nie można żadną miarą zidentyfikować z fizyologiczném podrażnieniem nerwów, działa samodzielnie jako przyczyna,

wywołująca takie podrażnienie i ma za skutek nietylko ruchy w ogóle, ale ruchy skombinowane w pewnym z góry wyznaczonym celu, zdradzające charakter rozumnego działania, w różnicy od prostego automatycznego ruchu. Autor prawdę tę przyznaje sam przynajmniej po części w końcu tego rozdziału mówiąc (str. 30): „Przynajmniej należy, że ruchy objawiające się w ludzkich działaniach, wykonywane bywają w celowym porządku i że ruchy nie zawsze postępują natychmiast po działaniu podrażnień.“ Ztąd według samego autora wynika zadanie wyjaśnienia z jakiego pochodzi ów porządek celowy i co powoduje wstrzymanie działania podrażnień. Wobec tego zdania jednak nie rozumiemy wcale po co autor na czele swój rozprawy pomieścił ów rozdział o podrażnieniach i ruchach, obejmujący niemal połowę całej dysertacji. Obrawszy sobie za swój przedmiot zjawiska psychologiczne *woli*, autor powinien był rozpocząć swe badania od tych właśnie zjawisk, t. j. od ruchów zdradzających celowy porządek—wolę. Wszystkie zaś ruchy, mające według zdania autora wyłącznie tylko charakter *fizyologiczny*, jako spowodowane nie przez psychologiczny czynnik *woli*, lecz przez *fizyologiczne* podrażnienia nerwów, nie mają żadnego znaczenia dla kwestyi o początku *woli*. Autor wprowadził zatem w zakres swego rozumowania kwestye, nie należące bezpośrednio do tematu rozprawy, gdy tymczasem, jak widzieliśmy na wstępie, wyłączył znowu z rozbioru takie rzeczy, które do kwestyi bezpośrednio należą, jak np. wszystkie objawy woli, wykazujące jej wpływ na inne funkcye psychiczne myślenia i uczucia.

Rozdział drugi (str. 31—50) nosi tytuł: „Pierwotna asocjacja, izolacja i celowa asocjacja ruchów.“ Przez *pierwotną* asocjację ruchów autor rozumie przyrodzony związek, jaki zachodzi między różnemi ruchami ciała. Tak np. z ruchem jednego palca łączą się zwykle, szczególnież u dzieci, ruchy innych palców; z ruchem powiek poruszają się zwykle pewne części twarzy i nosa i t. d. Do tego rodzaju pierwotnego związku między ruchami zalicza autor i ruchy, wywołane u zwierząt przez tak zwane instynkta, przy chodzeniu, lataniu, lepieniu gniazd i t. d. Że taki przyrodzony związek między ruchami ciała istnieje, to w samej rzeczy jest faktem niezaprzecznym; kwestya jednak polega głównie na objaśnieniu tego faktu. W tym zaś względzie nie napotykamy u autora żadnych danych, prócz powierzchownej uwagi, że owa pierwotna asocjacja ruchów przechodzi z pokolenia na pokolenie i że może być nazwaną *przyrodzoną* tylko w znaczeniu darwinistycznej teoryi *dziedziczności* (str. 33). Przyznajemy że, jak zwykle, tak i tutaj w naszej kwestyi za powyższą teorią nie przemawia nic innego, prócz wygody przeniesienia danego problematu z teraźniejszości do dalekiej przeszłości, bez najmniejszego rozjaśnienia samej kwestyi. Przypuszczając nawet, że celowa asocjacja ruchów w działaniach instynktu odziedziczoną została przez obecne pokolenia od praojców, to zawsze pozostaje nierozwiązaną sama kwestya, jakim sposobem owi praojcowie doszli do takiej

celowej kombinacji ruchów? Ostatecznie przecie musimy odstąpić od zasady dziedziczności i przyznać, że *pierwotna* celowa asocjacja ruchów w *pierwotnych* pokoleniach jest albo rezultatem ich celowej organizacji, albo też rezultatem ich własnego zastanowienia i rozumu. Po co tedy owe powołanie problematycznej przeszłości dla rozwiązania kwestyi, która przez sam czas, choćby jak najdłuższy, nie zmienia swój istoty i treści?

Z równą powierzchownością i pobieżnością traktuje autor kwestyą *izolacji* ruchów to jest zdolności odosobnionego poruszania pewnych mięśni bez współdziałania innych, np. jednego palca bez poruszania innych i t. d. Wiadomą jest rzeczą, że tylko przez takie odosobnienie jednych ruchów od drugich, dochodzimy do zupełnego panowania nad naszymi mięśniami i nabywamy zdolności poddania takowych różnym celom naszego duchowego bytu. Tak np. wymawianie wyrazów, pisanie, w ogóle wszelka zręczność mechaniczna, przy pomocy której urzeczywistniamy na zewnątrz pewne dążności naszego ducha, polega na takiej izolacji ruchów. Uwaga, wprawa, nawyknienie, są jak wiadomo, głównymi środkami osiągnięcia takiej władzy nad oddzielnymi grupami nerwów ruchowych. Ztąd objaśnienie tej kwestyi ze stanowiska psychologicznego wiąże się jak najściślej z wyżej przytoczonymi objawami duchowymi. Kwestya polega na tém, aby objaśnić w jaki sposób dusza nasza przy pomocy uwagi, wprawy i nawyknienia, nabywa stopniowo zdolności wykonywania takich ruchów ciała jakich pierwiastkowo nie zdołała wykonać, w jaki sposób świadomość i wola owłada cielesnym organizmem i robi z niego narzędzie do urzeczywistnienia swoich celów. Dziecko posiłkuje się swém ciałem bardzo nieudolnie; człowiek dorosły, lecz nie wykształcony pod powyższym względem, dochodzi do bardzo ograniczonego panowania nad swemi ruchami; tymczasem np. gimnastyk, akrobata, śpiewak, muzyk, malarz, aktor, rzemieślnik i t. d., przez długą pracę nad sobą, dochodzą w końcu do nadzwyczajnej władzy nad pewnemi ruchami swego ciała i mogą ich używać zaśrodek do uzmysłowienia najróżnorodniejszych pomysłów. Każdy widzi, że naukowe objaśnienie tej kwestyi wymaga głębszych badań nad wzajemnym do siebie stosunkiem objawów psychicznych i fizyologicznych, i w każdym razie nie może się obejść bez gruntownego rozbioru przytoczonych procesów psychologicznych. Dla tematu zaś naszej rozprawy kwestya izolacji ruchów ma nader ważne znaczenie, jako fakt, wykazujący stopniowe panowanie *woli* nad pewnemi ruchami. Tymczasem autor nasz traktuje tę kwestyą bardzo pobieżnie na dwóch stronnicach (35 i nast.) i sądzi, że rozwiązuje całą tę kwestyą na zasadzie następujących trzech zdań: 1^o że izolacja ruchów skuteczniejsza się przy pomocy silniejszego podrażnienia (*grösserer Reiz*) pewnej grupy nerwów; 2^o że w *naszém obecném* wychowaniu owe silniejsze podrażnienia wywoływane zostają przez niańki, mamki i rodziców, w końcu 3^o że zdolność izolacji dzieci dziedziczą po rodzicach, jako pewną *tendencją do izola-*

cyi, nie dającą się jednak, według słów samego autora, bliżej określić.

Nie trudno wykazać, że żaden z tych punktów nie dotyka istoty naszej kwestyi. I tak, nie ma wprawdzie wątpliwości, że izolacja pewnych ruchów wymaga *silniejszego* podrażnienia; ale kwestya *psychologiczna* polega właśnie na tém, z kąd to pochodzi, że uwaga, wola, wprawa i t. d., zdolne są wywołać owe silniejsze podrażnienie pewnej grupy nerwów ruchowych? Dalej nie podlega wątpliwości, że nianki, mamki i rodzice wywierają wielki wpływ na rozwój naszych zdolności mechanicznych; z tém wszystkiém jednak wątpimy, aby ktośkolwiek sądził, że przez odwołanie się do nich można objaśnić samą kwestyą izolacji ruchów. Zawsze pytać się musimy, z kąd nianki, mamki i rodzice nabyli owęj zdolności izolacji ruchów; co spowodowało *pierwszą* niankę i mamkę do owych procesów psychologicznych, które, jak widzieliśmy, stanowią niezbędną warunek owęj izolacji? Ostatecznie i tutaj musimy się zatrzymać na duchowej organizacji człowieka i objaśnić kwestyą bez pomocy nianiek i mamek. Témbardziej, że widzimy, że i w obecnej chwili są jeszcze ludzie, którzy własnymi siłami, *własną* energią kształcą się np. na artystów bez pomocy owych nianiek i mamek. Po co tedy owa nieszczęsna tendencya szukania przyczyn rozwoju człowieka poza nim samym, w świecie zewnętrznym, kiedy zawsze znowu wrócić musimy do niego samego, do jego *wewnętrznej* istoty, jako głównej podstawy jego rozwoju, bez której wszelkie działanie świata zewnętrznego nic a nic dokonaćby nie mogło? Tendencya powyższa charakteryzuje, jak wiadomo, empiryzm i pozytywizm, ale wykazuje zarazem i całą jego powierzchowność. Zamiast wnikać coraz głębiej w istotę rzeczy, empiryzm odbiega od wszystkiego, co zdradza samoistność ducha i dla objaśnienia kwestyj, wykazujących najdobitniej działanie tego ducha, woli się odwołać do najbłachszych *zewnętrznych* czynników, niż przyznać działanie samoistnego duchowego pierwiastku. Przy takim umyślném omijaniu i zatajeniu niezaprzeczalnych faktów życia duchowego nie trudno deklamować o *mechanicznym* poglądzie na przyrodę i objaśnić wszystko na zasadzie prostych podrażnień nerwowych.

Obszerniej i staranniej opracowaną została przez autora kwestya *celowej asocjacji* ruchów (str. 37 do 50), lubo i tutaj napotykamy więcej dogmatycznych twierdzeń niż naukowych dowodów. Pierwotną celową asocjacyą ruchów u dzieci autor sprowadza trafnie do dążności zatrzymywania wrażeń *przyjemnych* i wystrzegania się wrażeń *nieprzyjemnych*. Zdanie to autor stwierdza wieloma fizyologicznymi i psychologicznymi zjawiskami. Z tém wszystkiém jednak, byłoby bardzo błędném mniemanie, że celowa asocjacya ruchów, wynika tylko z tego źródła. Póki dziecko żyje tylko życiem wrażeń zmysłowych, dopóty w samej rzeczy nie mogą się w niem wywiązać inne cele nad wyżej przytoczone. Z rozwojem jednak myślenia, powstają już

w umyśle dziecka cele, które nie zawsze zmierzą do przyjemności, lecz mają treść bardziej obiektywną, niezależną od zmysłowych wrażeń. U dojrzałych zaś ludzi myśl dochodzi zwykle do panowania nad prostymi wrażeniami i stawia człowiekowi cele samodzielne, obiektywne, bez względu na zmysłową przyjemność lub nieprzyjemność. Jeżeli np. artysta pracuje nad swoim wykształceniem, i w tym celu wprawia się mozolnie w wykonanie pewnych ruchów, to nie można powiedzieć, aby jego działanie było spowodowane przez jakieśkolwiek wrażenia przyjemne. W danej chwili on nie czuje przyjemności, lecz czuje naprężenie, trudność i t. d. i tylko myśl i wola kierują jego ruchami. W takichto wypadkach nie można sprowadzić *celowej* asocjacji ruchów do działania wrażeń zmysłowych przyjemności lub nieprzyjemności, lecz do działania wyższych objawów psychicznych, niezależnych od owych wrażeń. O tej to celowej asocjacji ruchów, wykonanej pod wpływem myśli, uwagi, woli, autor nie wspomina wcale w obecnym rozdziale; uwagi zaś, jakie w jednym z późniejszych rozdziałów o stosunku wyobrażeń do ruchów napotykamy, nie są w stanie dopełnić tego niedostatku, gdyż nie dotyczą już kwestyi *celowego* połączenia ruchów dla wykonania pewnego z góry powziętego zamiaru. Dlatego też powyższe zdanie autora o początku celowej asocjacji ruchów nie jest dostatecznym, i w każdym razie nie wyczerpuje tego ważnego przedmiotu.

Trzeci rozdział traktuje na sześciu stronicach (51--57) o *wstrzymywaniu ruchów* (Hemmung der Bewegungen). Po poświęceniu samego faktu, że zdolni jesteśmy wstrzymać pewne ruchy już rozpoczęte, autor wskazuje nam problematyczność istnienia pewnych przyrządów mózgowych do wstrzymywania ruchów i stara się znowu objaśnić to zjawisko na zasadzie działania samych tylko podrażnień nerwowych, bez współdziałania funkcji *psychicznych* (ohne Beimischung der psychischen Thätigkeit). I tutaj zatem autor rozprawy *psychologicznej*, postawił sobie z góry dziwne zadanie *eliminacji* psychicznych czynności przy objaśnieniu działania woli. Autorowi naturalnie i tutaj nie trudno było wykazać, że zjawienie się *silniejszego* podrażnienia nerwowego, ma za skutek przerwanie ruchów, powodowanych przez podrażnienie *słabsze*. Rzecz bardzo naturalna, że słabszy ustąpić musi silniejszemu; tak się dzieje w całym świecie: dlaczegożby to nie miało mieć miejsca w psychologii i fizyologii? Przyjmując zatem z góry różnicę między słabszemi i silniejszymi podrażnieniami nerwowemi, autor z wielką łatwością dochodzi do powyższego zdania. Lecz kwestya zasadnicza, szczególnież ze stanowiska psychologicznego, polega znowu na rozwiązaniu pytania: co jest przyczyną większego lub mniejszego podrażnienia nerwów? jaki udział przyjmują w tym względzie procesa psychiczne uwagi, namysłu, woli i t. d.? Na te pytania autor odpowiada bardzo skromnie (str. 55 i nast.), że dotąd jeszcze nie zdołano oznaczyć, na czem polega różność siły dwóch działających na siebie podrażnień

nerwowych, i że rozwiązanie téj kwestyi pozostawić należy *przyszłości*. W obec takiego stanu rzeczy, jednak przyznać należy, że twierdzenie autora, iż wstrzymywanie ruchów polega tylko na działaniu silniejszego rozdrażnienia, z wyłączeniem działania *psychicznego*, jest czcym frazesem, bez wszelkiego naukowego znaczenia, a szczególnie bez wszelkiego znaczenia dla *psychologii*.

W poprzednich trzech rozdziałach autor, jak widzieliśmy, traktował tylko o ruchach i podrażnieniach nerwowych, z umyślném usunięciem, o ile tylko można było, kwestyj psychologicznych. Dopiero rozdział czwarty pod napisem: *wyobrażenie* (czyli myśl) i *ruch* (*Vorstellung und Bewegung*) str. 58—65, przechodzi w zakres właściwej psychologii. Na początku tego rozdziału autor wypowiada swój pogląd na istotę *wyobrażeń* w kilku urywkowych zdaniach, wygłoszonych z niestosowną w pracy naukowej *dogmatycznością*. To téż do każdego z tych wstępnych zdań można dodać znak zapytania, nieznajdując jednak nigdzie należytej odpowiedzi. Tak np. autor twierdzi po prostu, że z podrażnień *powstają* (*entstehen*) wrażenia zmysłowe (*Empfindungen*), z wrażeń zmysłowych *wyobrażenia* czyli *myśli*; że *wszystkie* wrażenia stają się wyobrażeniami, że te ostatnie są również przyjemne lub nieprzyjemne jak i same wrażenia, z których powstały i t. d.

Że rozdrażnienia nerwowe są potrzebne do wywołania *wrażenia*, o tém niema wątpliwości, lecz z tego bynajmniej nie wynika, jak sądzi autor, że *wrażenie powstaje z podrażnienia*, gdyż dla wrażenia potrzeba *prócz* podrażnienia pewnych procesów psychicznych, niezależnych od samego podrażnienia. Dalej nie podlega kwestyi, że wrażenia zmysłowe stanowią materiał, z którego umysł nasz wytwarza wyobrażenia, i pojęcia, w ogóle myśli, ale z tego znowu nie wynika że wyobrażenia *powstają z wrażeń*. Cegły mogą być niezbędnym materiałem do wybudowania domu, ale dlatego jeszcze nikt nie powie, że *dom powstaje z cegieł*, chyba ten kto nie chce sobie zadać pracy zastanowienia się nad tém, czego potrzeba *prócz* cegieł, aby z nich *powstał* dom. W końcu nadmienimy, żeśmy dotąd w psychologii nie słyszeli o *przyjemnych i nieprzyjemnych* wyobrażeniach. Własność przyjemności lub nieprzyjemności dotychczasowa psychologia przypisuje wyłącznie tylko wrażeniom i uczuciom, ale nie wyobrażeniom i myślom. Wyobrażenie może *wywołać* i spowodować przyjemne lub nieprzyjemne wrażenia, lecz samo przez się nie jest ani przyjemnem ani nieprzyjemnem, bo przedstawia obiektywnie pewne rzeczy i podlega zupełnie innym własnościom psychologicznym; ono może być jasnym lub ciemnym, prawdziwym lub błędnym, przedstawiającem przedmioty rzeczywiste lub wymuszone i t. d. Autor wprowadzie sam przyznaje że jego zdanie jest czémś zupełnie nowem i obiecuje dać w przyszłości w osobnej pracy dokładne rozwiązanie twierdzenia, że każde wyobrażenie w początku jest subiektywnem t. j. uczuciowem (*gefühlsvoll*) i dopiero później się *objekty-*

wuje. Na to odpowiemy tylko, że twierdzenie to nie zawiera w sobie żadnej nowej *myśli*, lecz dotyczy wyłącznie tylko *terminologii*, różniąc bowiem subiektywne, uczuciowe wyobrażenie od *objektywowanego*, autor co do samej rzeczy zgadza się z całą dotychczasową psychologią, nazywając tylko wrażenie, uczucia wyobrażeniem *uczuciowém*. Według naszego przekonania, byłoby téż rzeczą bardzo trudną powiedzieć coś istotnie *nowego* we względzie tak elementarnych pojęć psychologicznych, jak odróżnienie wrażenia od wyobrażenia, uczucia od myślenia. Autor téż bez wszelkich naukowych powodów odstępuje tutaj od ustalonych w nauce pojęć i terminów.

Co się tyczy samego tematu obecnego rozdziału, to autor, jak się zdaje, miał głównie na celu wykazać związek, zachodzący między podrażnieniami a wyobrażeniami w celu objaśnienia wpływu tych ostatnich na ruchy. Wyznać jednak musimy, że nie jesteśmy w stanie jasno sformułować poglądów autora. O ile poprzednie rozdziały przy rozbiorze kwestyi przeważnie fizyologicznych odznaczały się jasnością i konsenkwencją, o tyle tutaj napotykamy pozornych sprzeczności i niejasności. Cała tendencja autora, jak to wykazuje powyżej przytoczone zdanie, zmierza do tego, aby pierwiastki psychologiczne, a zatém i wyobrażenia, objaśnić na zasadzie prostego działania podrażnień nerwowych. Ztąd pochodzi pewno pomieszanie owych podrażnień z wyobrażeniami, uwłaczające jasności układu. Autor wykazuje z jednej strony (na str. 59), że wyobrażenia mają podobne (*ähnliche*) własności jak podrażnienia, że jedna tylko myśl zdolną jest wywołać nieraz jak najsilniejsze ruchy, i przytacza na poparcie tego faktu różne przykłady; podobnie utrzymuje (s. 61), że wyobrażenia, wywołujące ruchy, przebyć muszą te same koleje, jak podrażnienia, z których one powstały; dalej twierdzi (str. 63), że zarówno wyobrażenia jak i ruchy znajdują się pod bezustannym wpływem podrażnień, bez których wcale istnieć nie mogą. Z drugiej jednak strony autor przyznaje (str. 61), że wyobrażenia w szczególnych okolicznościach (*unter Umständen*) mogą wywołać silniejsze skutki niż pojedyncze podrażnienia, co ma miejsce gdy wiele wyobrażeń skupia się na jeden przedmiot; dalej przyznaje (str. 62), że wyobrażenia nie przebywają zawsze tych samych kolejak podrażnienia z których powstały, co ma miejsce przy uszkodzeniach jednej z półkól wielkiego mózgu, w tych bowiem wypadkach, według zeznania samego autora, człowiek nie traci części swych wyobrażeń, a wykonywa ruchy przy pomocy zastępczego działania innych części mózgu; w końcu przyznaje (str. 63), że same rozdrażnienia znajdują się *pod wpływem* wyobrażeń; wyobrażenia bowiem, według zeznania autora zdolne są to wzmacniać, to wstrzymywać działanie podrażnień na nerwy ruchowe. Przyznajemy że tych dwóch szeregów twierdzeń ze sobą pogodzić nie jesteśmy w stanie. Jeżeli wyobrażenia z podrażnień powstają i od nich bezwzględnie zależą, to w takim razie pojąć nie możemy ich samodzielnego działania na same podrażnienia. Jeżeli

zaś wyobrażenia w całej téj sprawie odgrywają rolę samodzielną, stanowią samoistny czynnik, zdolny oddziaływać na większą lub mniejszą siłę podrażnienia, w takim razie trudno zrozumieć twierdzenie autora o bezwzględnej zależności wyobrażeń od podrażnień. Rozwiązanie téj niejasności według naszego przekonania polega na tém, że autor właściwie nie zdał sobie jasnej sprawy z różnicy istniejącej między podrażnieniem nerwowém i wyobrażeniem. W chęci sprowadzenia wszystkich spraw psychicznych do działań podrażnienia, autor w myśl swojej tak ściśle zespolił pojęcie podrażnienia z pojęciem wyobrażenia, że oba te pojęcia spłynęły się dla niego w jedno; wyrazu zaś wyobrażenia używa tylko przez grzeczność dla psychologii lub téż dla oznaczenia pewnej tylko grupy podrażnień. Może być że nasz domysł nie jest zupełnie prawdziwym, lecz inaczej nie możemy sobie wytłumaczyć powyższej niejasności i sprzeczności w twierdzeniach autora.

W końcu tego rozdziału autor w kilku tylko słowach dotyka nader ważnych kwestyj *odpowiedzialności* za dokonane czyny. Główną podstawę tego objawu, według autora (str. 65) jest pojęcie o *możności* wykonania lub wstrzymania pewnych *ruchów*, które to pojęcie łączy się z *innemi* moralnemi pojęciami, doprowadza do pojęcia o *odpowiedzialności*. Jakie są owe *inne* pojęcia, jakie w ogóle procesa psychiczne towarzyszą wszelkim czynom ludzkim mającym charakter *moralny*, o tém wszystkiem autor nie wspomina ani jedném słowem, chociaż to wszystko są kwestye nader ważne przy objaśnieniu *początku* woli. Autor sam czuł dobrze, że tego wszystkiego milczeniem pominąć niemożna i w uwadze (str. 65) stara się usprawiedliwić takowe dowodząc że owego *wewnętrznego pierwiastku woli* (*inneres Element des Willens*), bliżej nie rozberra dlatego, że takowy w dotychczasowej psychologii został już dostatecznie rozebrany. Nie chcemy pomówić autora o brak otwartości, lecz pomimo to odważamy się wątpić o zupełnej szczerości powyższego objaśnienia. Wątpliwość naszą opieramy na następujących punktach: 1). Rozbiór *wewnętrznego pierwiastku woli* należy do najtrudniejszych i najzawilszych kwestyi psychologicznych, i dlatego pozostawia wiele pola do bliższego rozjaśnienia przedmiotu; 2). Autor nie wskazał tą razą tych prac, które według jego zdania rozwiązują tę kwestyę w sposób zupełnie zadawalający, co tém bardziej nas razi, że we wszystkich innych miejscach rozprawy z godną uznania akuratnością napotykamy podobne wskazówki; 3). Autor traktował w poprzednich rozdziałach dość obszernie o kwestyach, które w fizjologii dobrze są znane i które zestawił dla wyświecenia swój głównej myśli o stosunku podrażnień do ruchów; dlaczegoż nam według téj samej metody nie włożył poglądów na ów „wewnętrzny pierwiastek“ woli, dlaczego w ogóle właściwej „psychologicznej“ strony swego przedmiotu dotyka tylko pobieżnie, powierzchownie, urywkowo? W miejscu podanego przez autora powodu, nie wahamy się powiedzieć, że istotnym powodem

tęgo wszystkiego jest zarówno trudność przedmiotu, jak i dotknięta już powyżej dążność zręcznego obejścia wszystkiego, co zdradza samostne działanie duchowego pierwiastku.

Ostatni rozdział naszej rozprawy nosi tytuł: „pojęcie woli“ (str. 65 do 73) i zawiera w sobie równie treściwy jak i dogmatyczny wykład poglądu autora na psychologiczną istotę „woli.“ Że taki pogląd nie opiera się u autora na naukowym rozbiórce choćby najgłówniejszych psychologicznych objawów woli, o tём przekonywa nas oceniona powyżej treść rozprawy. Autor nie rozbiierał objawów psychicznych woli, lecz mówił prawie wyłącznie tylko o podrażnieniach nerwowych i o ruchach, nie dziw zatém, że takie pominięcie właściwej psychologicznej strony przedmiotu miało za skutek wyprowadzenia zdań ogólnych, sprzecznych z najprostszemi objawami „wewnętrznego pierwiastku woli.“

Według autora każdy akt woli zawiera w sobie dwie następujące charakterystyczne cechy (str. 70 i następ.): 1) w każdym akcie woli wyobrażenia występują ze strony subiektywnej, jako uczucia „przyjemności i nieprzyjemności;“ 2). każdy akt woli łączy się z możliwością wykonania pewnych ruchów. Co się tyczy pierwszój z tych cech, to już wyżej pokazaliśmy, że autor nie dowiódł nigdzie bezwarunkowego związku aktów woli z wrażeniami przyjemności i nieprzyjemności. Gdyby autor był wziął pod uwagę wpływ woli na myślenie i na same uczucia, natenczas byłby się przekonał, że jego dogmat sprzeciwia się niezaprzeczoným faktom psychologiczným. Póki autor trzymać się będzie wyłącznie tylko swego ulubionego przykładu dziecka, zastanawiającego się nad tём, czy ma zjeść lub nie zjeść ciastko (str. 67 i następ.), dopóty naturalnie teoria jego o bezwzględny związek działania z wrażeniami przyjemności i nieprzyjemności nie znajdzie żadnych przeciwników. W samej rzeczy nader wiele naszych działań łączy się jak najściślej z temi wrażeniami. Lecz z tego nie wynika aby *wszystkie* objawy woli, *wszelkie* działanie opierało się na tych zmysłowych i egoistycznych motywach. Są motywa natury czysto *obiektywnej*, w których pierwiastek przyjemności lub nieprzyjemności nie odgrywa żadnej roli; przeciwnie poddać się musi zupełnie innym względóm, jak np. wszystkie motywa *moratne*. Sprowadzenie tych motywów do teorii sensualizmu i egoizmu może być dokonane tylko przy pomocy bardzo naciąganych i wymuszonych rozumowań, sprzecznych z bezpośredniém świadectwem wewnętrznego doświadczenia. Nadto i w sferze samych uczuć działają motywa, których do prostych wrażeń przyjemności i nieprzyjemności sprowadzić niemożna, jakoto wszystkie motywa, oparte na tak zwanych uczuciach *sympatycznych*. Uczucia te mają wprawdzie same przez się pewien charakter dodatni, przyjemności, lecz z tём wszystkiém powodują nieraz działania, które, mając na oku dobro innych, pociągają za sobą często skutki jak najprzykrzejsze dla osoby działającej. I tutaj zatém motywa działania nie wynikają z wrażeń przyjemności

lub nieprzyjemności, lecz z innych zupełnie czynników psychologicznych. O tém wszystkim autor nie wspomina ani jednym słowem, dlatego téż jego powyższe twierdzenie nie opiera się na rozbiorze odnośnych objawów, lecz ma charakter czysto-dogmatyczny.

Jeszcze mniej zgodzić się można z drugim z powyższych twierdzeń autora, że każdy akt woli opiera się na możliwości wykonania pewnych ruchów. Na str. 69 autor utrzymuje nawet, że już samo *postanowienie* (*Entschluss*) woli zależy od téj możliwości wykonania pewnych ruchów. Traktując wyłącznie tylko o stosunku podrażnień do ruchów, autor z łatwością mógł dojść do podobnego twierdzenia, lecz nietrudno się przekonać, że zdanie to jest rezultatem wcale nieuprawnionego uogólnienia bardzo ograniczonej liczby objawów woli. Każdy psycholog przyzna, że są objawy woli, które nie mają żadnego związku z ruchami ciała, i nawet sam autor na wstępie swéj rozprawy wspomniał o dwóch grupach tych objawów, które wykazują wpływ woli na myślenie i uczucia a zatém na czynniki czysto-psychiczne niezależne zupełnie od mechanizmu nerwów ruchowych. Tylko w skutek zupełnego zaniedbania rozbioru téj *wewnętrznej* strony woli, w różnicy od zewnętrznych jéj objawów, w samém działaniu, autor mógł dojść do paradoksalnego zdania, że nawet *postanowienie* woli opiera się na możliwości wykonania pewnych ruchów. Nie ma kwestyi, że samo praktyczne działanie przyczynia się do *rozwoju* woli i jéj energii, że przy zupełnym braku działania na zewnątrz wola nieraz tępieje, traci na energii i sile i t. d.; ale z tego bynajmniej niewynika, że sam akt woli, jako objaw psychiczny, zależy w swém istnieniu od owéj zdolności poruszania ciała. Z tego téż tylko stanowiska należy ocenić myśl rzuconą bez wszelkiego dowodu przez Johna Stuarta *Milla* i podjętą przez autora, że gdyby nasze nerwy ruchowe były od urodzenia sparaliżowane, natenczas nie doszlibyśmy do pojęcia o *działaniu* woli. Rzecz naturalna, że w takim razie nie doszlibyśmy nigdy do pojęcia o działaniu woli na *zewnątrz*, za pomocą *ruchów* ciała, bo w takim razie niebyśmy nie wiedzieli o takich *ruchach*. Lecz pomimo to mielibyśmy zapewne bardzo jasne pojęcie o *woli* w zakresie życia wewnętrznego, duchowego, bo bylibyśmy zdolni myśleć i czuć, a zatém i wywierać wpływ na kierunek naszej myśli, na jéj koncentrację w uwadze, dalej na rozwój naszych uczuć, przez podniecanie jednych, ograniczanie drugich i t. d. Z samém *życiem duchowém*, niezależnie od ruchów ciała zespolone jest pojęcie samotnego działania a zatém i *woli*. Ztąd niema wątpliwości, że mielibyśmy pojęcie o niéj nawet przy sparaliżowaniu nerwów ruchowych, jeżeli tylko posiadać będziemy świadomość i żyć będziemy umysłowo. Powyższe uwagi, jak sądzę, dostatecznie wykazują niestosowność jaką popełnił autor, gdy bez bliższego rozbioru podjął paradoks znakomitego angielskiego empiryka i na nim oparł twierdzenie, sprzeczne z najprostszymi objawami psychologicznymi.

Zarzuty któreśmy powyżej wypowiedzieli dotyczą wreszcie i twierdzenia autora (str. 72), że wola nie jest niczém *pierwiastkowém*, *prostém*, lecz czemś *nabytém*, *złożoném*. I to twierdzenie nie opiera się na żadnym rozbiorze odnośnych zjawisk psychologicznych. Dla udowodnienia prawdziwości tego zdania, należałoby poddać bardzo skrupulatnemu rozbiorowi wzajemny do siebie stosunek myślenia, uczucia i woli, w celu wykazania że *wszystkie* objawy ostatniej dadzą się wyprowadzić z działania do myśli o uczuciu. Takiego rozbioru jak widzieliśmy, autor wcale nie dokonał, ograniczając się wyłącznie tylko zewnętrzną stroną objawów woli; a w skutek tego nie miał prawa wyprowadzać wniosków dotyczących wewnętrznej psychologicznej istoty woli i jej stosunku do reszty funkcj psychicznych.

Wykazawszy specjalnie różne niedostatki rozprawy p. Chmielowskiego, z przyjemnością zaznaczamy w końcu naszego rozbioru jej strony dodatnie. Do nich należą: 1) obszerna znajomość literatury rozbieanych przez autora przedmiotów, 2) naukowa metoda i ścisłość w ugrupowaniu faktów, przytoczonych na poparcie zdań autora, szczególnie w trzech pierwszych rozdziałach rozprawy; 3) rozumowanie trzeźwe, spokojne, wolne od częzłej frazeologii, jaką niestety, szczególnie u nas, dość często napotykamy w rozprawach niby filozoficznych niektórych młodszych pisarzy. Gdyby nie kierunek zbyt jednostronny, niby empiryczny a w gruncie rzeczy stroniący od wszelkich *faktów* i *objawów*, wkraczających w zakres właściwego życia psychicznego, toby powyższe zalety były niewątpliwie doprowadziły autora do głębszego, wszechstronniejszego i bardziej zadawalającego rozwiązania tak zajmującej i ważnej kwestyi, jaką jest kwestya o woli i warunkach jej rozwoju.

Henryk Struve.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Kraków, 18 sierpnia 1874 r.

Kraków opustoszał co do licznego grona swoich uczonych. Wszyscy prawie w miesiącach lipcu i sierpniu opuszczają mury starożytnego grodu, ażeby wypocząć po pracy i odetchnąć świeżem powietrzem, to w ustroni wiejskiej, to w kąpielach lub górach tatrzańskich. Prezes akademii umiejętności Mayer bawi w uroczych Krzeszowicach z rodziną swoją; Józef Lepkowski zwiedza Toruń,

Gdańsk, Królewiec i wędruje na wyspę Rugią, ażeby tę sławną miejscowość z epoki jeszcze przedchrześcijańskiej poznać i zbadać; Karol Estreicher przesiaduje w kąpielach Rabki; tylko w gmachu akademii sekretarza jej Józefa Szujskiego znalazłem i spotkałem K. Mecherzyńskiego: są też Dr. Żebrawski i Matejko, który pracuje nad nowymi obrazami.

Nieznacznemu ubytkowi rodzin, szukających wytchnienia za murami miasta, bo ludność Krakowa coraz się zwiększa i zabudowuje się znakomicie. Stare nawet domy, wśród sławnego rynku, przystrajają się w nowe szaty godowe. Do tego rodzaju budowli należy gmach banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu, z gruntu wyrestaurowany z wytwornym smakiem i okazale. W którąkolwiek stronę miasta zajrzesz poza plantacyami, wznoszą się nie tylko piękne kamienice, ale i okazałe gmachy. Na przedmieściu Stradom, na Kazimierzu widzisz toż samo; Podgórze nawet zabudowuje się ciągle. Dziś dzień urodzin cesarza, od wczoraj wieczorem wojsko obchodziło z muzyką i bębniami ulice miasta; dziś od rana huk dział przypomina tę uroczystość.

Z książek, godnych większej uwagi, nateraz przywieść tylko mogę dwie obejmujące życiorysy dwóch zasłużonych mężów, co spoczęli już w grobie, jakimi byli: książd biskup Łętowski i Eustachy hr. Tyszkiewicz. Pierwszego biografią skreślił „według pamiętników po nim pozostałych w rękopiśmie“ Ludwik hr. Dębicki, drugiego „wspomnienie pośmiertne“ Stanisław Kunasiewicz.

Hr. Dębicki miał obfity zasób w pozostałych rękopismach dostojnego biskupa, w których, z właściwą mu prostotą i szczerością, opowiada szczegóły swojego życia. W 20-ym roku, po ukończeniu nauk, oddany do szlacheckiej galicyjskiej gwardii do Wiednia. Jako oficer wysłany kurierem do arcyksięcia Ferdynanda: „a wózkami pocztowym (jak sam wyraża) wjechałem w środek bitwy raszyńskiej“ (r. 1809). Po pokoju w Preszburgu bierze dymisję i w mundurze dragona austriackiego staje przed księciem Poniatowskim. Ten wziął go zaraz do swego sztabu, gdyż lubił oficerów z austriackiego wojska, sam w niem kiedyś służąc. Następnie, jako odznaczający się oficer wyższą nauką i zdolnościami, odbył pamiętną wyprawę 1812 r.; był w Moskwie, widział jej pożar, przeszedł Berezynę, a po r. 1815 uwolniwszy się z wojska, przybył do Krakowa. Bliższe stosunki z ówczesnym biskupem krakowskim Woroniczem wpłynęły przeważnie na żołnierza będącego w sile wieku. Postanowił mundur zamienić na habit, nieprzewidując że w niedalekiej przyszłości zajmie zaszczytne miejsce w dostojenstwie kościelnym po śpiewaku *Sybilli* i potrafił godnie je piastować z niemałym pożytkiem dla ołtarza i społeczności. W Kielcach 1817 r. wszedł do seminaryum tamecznego i przez pół wieku służył wiernie kościołowi. Teraz występuje Łętowski na pole literackie, a ze wszystkich pism, pomnikowém obdarza nas dziełem: *Katedry na Wawelu*. Myśl do wydania go, głównie wywołaną

została obawą o los téj świątyni, zamkniętej dokoła w warowni. Drżał na myśl zniszczenia tylu drogocennych pamiątek narodowych na wypadek wojny, a wstrętem go przejmowało wspomnienie, że Wawel może być zamieniony na koszary. Mawiał więc nieraz, że „trzeba zapewnić na wypadek nieszczęścia jakiś ślad naszej wielkości, tutaj spoczywającej.“ Ogromny koszt poniósł na wydanie tak wspaniałe, którego egzemplarz kosztuje rs. 30. Sprowadził z Bruxelli najzdolniejszego rysownika, któremu powierzył całą część artystyczną. Zmarły biskup, przy zajęciach kapłańskich i literackich, zachował w charakterze swoim wydatne rysy żołnierskie. Obok szczerości i prawdomówności, miał staropolską rubaszność głównie odbijającą w pismach, czego dowodem *Miscelanea* jego, a szczególnie téż ustęp: „trąba archeologiczna“, wyszydzająca miejscowych archeologów starego grodu: to téż „*Miscelanea*“ te rozbudziły cały Kraków uczony z drzémki literackiej. Próbował pióra i na polu dramatycznym, wydrukował dwie tragedye wierszem białym: *Jadwiga* i *Samuel Zborowski*. „Katalog biskupów krakowskich“ w 4-ch tomach, dzieło wysokiej wartości, uważać można jako wstęp do przepysznej „Katedry na Wawelu.“ Literatów nie wielki zwolennik, dziwne przeciw nim miał uprzedzenia, które témbardziej wzrastały, im więcej widział, że pióro idzie na handel i posługę wydawców, którzy się ich pracą panoszyli. Łatwo ten pogląd możemy wytłumaczyć, kiedy zważymy, że biskup wychował się w owych czasach, gdy literatura była jedynie obywatelskiem poświęceniem i każdy, mając stałe swoje stanowisko, jój tylko wolne godziny od obowiązków poświęcał. Ztąd w pamiętniku swoim pisze: „Prac moich literaci nie lubili, a zatém i świat literacki mało znał. Nie kłaniałem się tym panom i uczonymi nie nazywałem, a ten *genius* to lubi. Nie dzieliłem tuzinkowych opinii tych ludzi, co powtarzają ciągle jeden za drugim, co kto był przed nimi powiedział. Wiedzę mają za naukę, a naukę za rozum. Pokazałeś komu, że Jan urodził się w sobotę a nie w piątek, a Piotr umarł około środy nie czwartku, dawało to patent na uczonego: niewiastki pisały nawet, co miały prząść i pończochy robić. Pisanie było dla chleba i zeszło na rzemiosło, a piszący byli na łasce panów wydawców, po większej części żydków. Odmierzałeś téż twój dowcip na łokcie, lecz broń Boże było tobie przejść za kratki, w których ruszać się było tylko wolno. Nie mogłeś mieć innego rozumu tylko ten, na jaki wtedy wiał wiatr. Gdy pytał mi się jeden warszawski powieściopisarz, co za moje książki biorę? na odpowiedź, druk mi się wcale nie wraca, rzecze: „drukuj jegomość, co ludzie lubią.“ Było to w moim domu i nie wypadało powiedzieć, że niepisałem dla pieniędzy, a on brał po dwa tysiące za swoje elukubracye. Jeden warszawski drukarz i księgarz nie mógł się nadziwić, że odprawiłem go ze śmiechem, gdy chciał płacić od arkusza za artykuły do Encyklopedyi. Propozycja była dziwna: iżbym dwa arkusze na tydzień dostarczał, jak gdybym się zgodził do młócki. Smutna to rzecz zapewne pisać

z potrzeby i pisać pod pewnymi warunkami, bądźto opinii publicznej, bądź dla innej uwagi. Rozum i sumienie nasze, co mamy najzaczniejszego, nie są wtedy swobodne. Wielu pisze w dobrej wierze, lecz niechże będą wyrozumiali dla drugich, natrafiwszy na to, co by było nie po ich myśli." Podamy jeszcze jeden rys charakterystyczny biskupa Łętowskiego.

Młodziak przedstawiony przez gospodynię domu biskupowi, wyciągnął rękę do niego: biskup sądząc, że go chce pocałować, podał mu rękę, a sam się nachylił, aby zwykłym zwyczajem pocałować młodzieńca w czoło. Ale przedstawiony, pofale, jakby rówiennika swego, za rękę biskupa ująwszy, uściśnął i potrząsł. Biskup jak gdyby na to zachowanie niewłaściwe nie zważał, pyta o powodzenie i zdrowie ojca, a przypominając, że go znał za młodu, dodaje:

— Był to człek dobrego wychowania, wiedział co komu należy i co komu oddać, znał żeś się pan przy nim nie chował.

Biografia ta w obszernych rozmiarach skreślona (w 8-ce, s. 154, we Lwowie drukowana), oznajamia nas dokładnie z długim żywotem zacnego kapłana i pisarza. Korrespondencye pomieszczone tu wielu znakomitych mężów, podnoszą jeszcze jej wartość i stawiają w rzędzie ważniejszych przyczynków do dziejów literatury polskiej.

Wspomnienie pośmiertne Eust. hr. Tyszkiewicza, przez S. Kunasiewicza, jakkolwiek nie jest tak wyczerpujące i bogate w szczegóły, niemniej zajmujące i dające wyobrażenie zupełne o pracach zgasłego badacza. Wiele tu dodać można charakterystycznych rysów do wiernego wizerunku E. Tyszkiewicza, ale trzeba go było znać dobrze i z bliska, jak my go znaleźmy; autor zaś z obfitych tylko, troskliwie zebranych materiałów swoje wspomnienie nakreślił, ale zacnym uczuciem szacunku i miłości ogrzał. Spis szczegółowy wszystkich prac E. hr. Tyszkiewicza mamy tu podany.

Wyszły tu dwa tomy pierwsze oryginalnego tekstu *Dziejów* Długosza, w poprawnym, krytycznym wydaniu. Wydawnictwo to, w łonie redakcyi „Biblioteki Warszawskiej” powzięte, wzięli na siebie z początku Aleksander Przezdziecki i biskup Łętowski, ale ten ostatni, zajęty „Katedrą na Wawelu“, usunął się, a sam Przezdziecki wziął ten ciężar i koszta nie małe na siebie. Ażeby rozpowszechnić znajomość tych ksiąg ojca historyków polskich, zgodził się na podniesioną myśl w pomienionej redakcyi i gorąco popartą, uznał potrzebą ich przekładu na język ojczysty i powierzył tę pracę zasłużonemu profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego Karolowi Mecherzyńskiemu, który ją ze zwykłą sobie sumiennością wykonał. Mamy więc już pięć tomów wielkich w 4-ce, trzy tomy, które najprzód ś. p. Przezdziecki wydał: *Liber beneficiorum*; teraz wydane tomy stanowią X i XI ogólnego zbioru: trzy jeszcze pozostają już przygotowane do oddania pod prasę, ale druk musi iść powolnie, bo korekta umiejętna jest pracowitą i mozolną, a wiadomo jak w takich wydawnictwach jest ona niezbędną i wpływającą przeważnie na pożytek dzieła, na

wartość całego wydawnictwa, a wymaga ręki sumiennej i dobrze oznajomionj z przedmiotem i treścią. Od samego początku prowadzi ją Żegota Pauli, zarówno uczony, jak ścisły w takich rzeczach literat.

Pozostaje tom pierwszy do uzupełnienia wydawnictwa wszystkich dzieł Długosza, ale ten wedle pierwotnego planu i ogłoszonego prospektu, wyjdzie na samym końcu, i obejmie rzecz o Długoszu, o jego politycznej działalności, o dziełach które zostawił, listy i mowy jego, oraz żywoty św. Kunegundy, biskupów, Clenodia i wiele in. Tom ten zamknie całość obejmującą XIV tomów, i wśród pomnikowych wydań, stanie w literaturze naszej. Kiedy zwłoki zgasłego przedwcześnie z powszechnym żalem Aleksandra Przeddzieckiego spoczywały na katafalku, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego J. Łepkowski otrzymał od dostojnej wdowy telegram z Paryża, ażeby uspokoić miłośników literatury, że wydawnictwo dalej bez przerwy dzieł Długosza prowadzonym będzie. Jakoż widzimy, że spełniają to przyrzeczenie synowie zmarłego Konstanty i Gustaw Przeddzieccy. O ile nam wiadomo kierownictwo dawne pozostało przy Dr. Łepkowskim, który teraz wydał tablicę fotograficzną z zakładu p. Awita Szuberta w Krakowie, na której przedstawione są zabytki w liczbie 90 sztuk z budowli nawodnych, odkrytych przez niego w r. 1865 w jeziorze *Czeszewskim* w Wielkopolsce. Objaśnienia, odnoszące się do numerów, któremi przedmioty fotografowane są oznaczone, zredagowane po łacinie, wskazują: szczątki palów (przekroje); naczynia gliniane, kamienne, część czaszki ludzkiej (zdaniem p. Quatrefage *brachycephalus*), zęby świni bagiennj, jelenia, konia, wołu i psa. Kości zwierzęce determinował Dr. J. Kopernicki. Objaśnienia dano dlatego po łacinie, że tablica ta ma być rozesłaną po towarzystwach archeologicznych w Europie i na kongres archeologiczny do Sztokholmu, gdzie z ramienia akademii umiejętności tutejszj, jako delegat, wysłanym został I. J. Kraszewski. Tytuł tej publikacji następnj: „*Aedificiorum subliciorum reliquiae, quas prof. Łepkowski in regione Vongroviensi Foliniae maioris in lacu vici Czeszewo a. MDCCLXV invenit, determinavit, antiquitalumque Museo Unicersitatis Cracoviensis donavit.*”

Niniejsza tablica, wykonana wybornie w pomienionym zakładzie fotograficznym, aczkolwiek sprzedaje się osobno (po złpol. cztery) stanowiąc odrębną całość, jest przecież pierwszą z szeregu fotografii, jakie mają składać *album* zabytków zgromadzonych w gabinecie archeologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, które to wydawnictwo ma być dalej prowadzone. Wiadomo jak ten gabinet jest obecnie bogatym w drogocenne zabytki, nietylko archeologiczne z czasów przedhistorycznych, ale i z późniejszych pamiątek, zasilone wspaniałą ofiarą niedawno zgasłego barona Edwarda Rastawieckiego; *album* więc takie dla badaczy naszych będzie pomocą niemałą, dla każdego śledzącego troskliwie zgasłe już wieki przeszłości, jak są *albumy*

Karola Beyera z wystaw starożytności warszawskiej i krakowskiej, umiejętną ręką tego archeologa wykonane.

Gdy to piszę odbieram właśnie wiadomość z Lipowca o ważnych odkryciach A. H. Kirkora we wsi Kwaczale. W czasopiśmie ilustrowanem *Kłosy, Berlicz Sas* (hr. Strutyński) obszernie wydukuował sprawozdanie z przeszłorocznych tego archeologa badań wraz z rycinami wynalezionych zabytków. Numera *Kłosów* obejmujące powyższe sprawozdanie, objaśnione drzeworytami, wysłane już zostały do Sztokolmu, ażeby je delegat akademii krakowskiej na kongresie pokazał. Teraz A. H. Kirkor rozkopuje torfowiska w Kwaczale i w nich odkrył nawodne budowle z drzewa. Górna ich część składa się z miękkiego drzewa, w spodniej pokazały się dęby i modrzewie tak silnie ze sobą spojone, że dziś po tysiącach lat wyglądają te budowle, jakby dzieło nowszych czasów; odkrył przy nich i topory kamienne. Lud w tradycyi tyłu wieków, zachował wspomnienie żywe tych nawodnych mieszkań, albowiem te torfowiska nazywa dotąd „Jeziorzyskiem.”

P. Antoni Kostecki, który ma przygotowany opis cmentarza krakowskiego, gdzie tylu zasłużonych mężów spoczywa, ogłosił teraz prospekt na wydanie *Rocznika szkolnego dla młodzieży polskiej*, nakładem księgarza krakowskiego Juliusza Wildt'a, w którym ma podać obraz wszystkich instytucyj szkolnych publicznych i prywatnych w Galicyi, na Bukowinie, w Wielkiem Księstwie Krakowskiem i na Szląsku austryackim. Prospekt ten zapowiada, że starać się będzie i z dalszych stron jak z Poznańskiego i królestwa Polskiego dołączyć wiadomości, ale te nie tak wydawcy łatwo zgromadzić, i będzie zmuszony na dalsze odłożyć lata. Będzie to zawsze książka nie małego pożytku, gdy systematycznie zestawiał liczbę szkół, nauczycieli i uczniów w sposób dla statystyki pożądany.

Równocześnie otrzymujemy drugi prospekt na dzieło *Ludność Galicyi* przez Władysława Rapackiego, który swoim nakładem wydaje we Lwowie w drukarni K. Pillera. Autor dzieli je na VII rozdziałów, w których podaje statystykę ludności po przyłączeniu Galicyi do monarchii Austro-Węgierskiej w porównaniu po stu latach z dzisiejszym, dalej obraz ludności pod względem skupienia się jęj w osady; osobny ustęp poświęca stosunkom etnograficznym kraju, wykazaniu liczebnym szczepów i narodowości, wzrost ludności starozakonnej, wzajemne stosunki liczebne narodowości polskiej i ruskiej, oraz obraz etnograficzny i statystyczny górali karpaccich. We wszystkich tych działach autor porównywa stan ludności z różnych epok i wykazuje uderzającą różnicę jaka zachodzi pomiędzy Galicyą zachodnią i wschodnią, tak co do osad, jak stosunku mężczyzn do kobiet, i widzimy tu zadziwiające zjawisko w *Galicyi wschodniej*, że tu znajdujemy nietylko równowagę w obu płciach, ale nawet przewyżkę mężczyzn nad żeńską ludnością. Pierwsze arkusze wyszły już z pod prasy, do nich dołączone zostaną mapy statystyczne. W.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Sierpień, 1874.* Akademia umiejętności w Krakowie, w drukarni Uniw. Jag. w r. 1874 wydała: 1) Pamiętnika swego T. I, zawierający w sobie: Dra Samolewicza „Studia platońskie“. I, Hippias większy; Maurycego hr. Dzieduszyckiego czł. zw. akad. „Rys dziejów kościoła katolickiego w Szwecyi“; Dra Wojciecha Kętrzyńskiego czł. korr. akad.: „O narodowości polskiej w Prusiech Zachodnich za czasów krzyżackich“, studjum historyczno-geograficzne; Dra Z. Węclewskiego czł. zw. akad.: „O poezjach A. Krzyckiego.“ 2) Rozprawy i sprawozdania wydziału historyczno-filozoficznego. T. I obejmujący rozprawy i sprawozdania wydziałowe. 3) Sprawozdanie komisji fizyograficznej b. c. k. Tow. Nauk. krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu r. 1872, oraz materiały do fizyografii Galicyi z mapą litografowaną t. 7. 4) *Scriptores rerum polonicarum*, tom II zawierający kroniki Bernarda Wapowskiego z Radochowięc część ostatnią, czasy Podługoszowe, obejmującą 1480—1535 i 5) Starodawne prawa polskiego pomniki: tom III obejmujący w sobie przedruk z pierwotnego wydania t. z. Statutu Taszyckiego, tego najpiękniejszego pomnika pracy prawodawczej polskiej z Zygmunto-wskich czasów.

Starodawne pomniki są dalszą publikacją prac oryginalnych ś. p. Antoniego Z. Helcla, przekazanych na łożu śmiertelném komisji historycznej niegdyś Towarzystwa naukowego, a dziś Akademii umiejętności w Krakowie. Komisya jako jedno ze swoich stałych a najgłówniejszych zadań uchwaliła wydawać nieznanne, a tak ważne pomniki prawa polskiego w krytyczném opracowaniu; pragnąc zaś uczcić pamięć męża, który myśl wydawnictwa takiego na szeroki rozmiar piérwszy zakreślił i tak świetnie urzeczywistnił, postanowiła pracę swoją nważać jako dalszy ciąg dwóch piérwszych tomów „Starodawnych prawa polskiego pomników“, przez A. Z. Helcla wydawanych i pod tą nazwą ogłaszać.

Są to wszystko prace wysokości, z których ważniejsze starać się będziemy w piśmie naszym wykazać.

Oprócz powyższych publikacyj, ukazać się ma w druku w roku bieżącym: „Rocznik zarządu akademii umiejętności“ za rok 1873; obejmuje w treści swojej: sprawę przeobrażenia b. Towarzystwa nauk na akademię, statut jój, organizację, stan funduszów, skład akademii, bióro, wykaz stałych komisji akademickich, stosunków akademii z zakładami naukowymi pod względem wymiany publikacji i t. p., które dają obraz składu i działań całej tój instytucji naukowej.

— Od 1 października roku bieżącego na nowo zacznie wychodzić pismo tygodniowe „Ognisko Domowe“ pod redakcją Bronisława Przyrembla, magistra prawa i administracji. W rozesłanej odezwie nowego redaktora czytamy: „Wszystko co zdrowe, szlachetne i piękne, bez względu na to z jakiej gałęzi wiedzy lub sztuki zaczerpnie swój początek, znajdzie pomieszczenie w szpaltach odrodzonego tygodnika, którego redakcja usilnie starać się będzie o umiejętne pogodzenie nauki z rozrywką. W ten sposób „Ognisko Domowe“ stanie się nowém zupełnie pismem, nie odziedziczy ono ani zasad, ani tradycyi zgasłego tygodnika, z którym nic więcej oprócz nazwy, solidaryzować go nie będzie.“ Mamy niewątpliwą otuchę, że nowa redakcja godnie odpowie swemu zadaniu i tytułowi samego pisma.

— Otrzymaliśmy ostatnie zeszyty 11 i 12 mistrzowskie przekładu „Odyssey Homera“ przez Lucyana Siemieńskiego, a które zamykają całe wydawnictwo w pięknej i okazałej edycji. Znany z talentu autor tłumaczył to arcydzieło w ciągu przeszło lat dwudziestu kilku i dzięki wytrwałości jego, złożył w ofierze dla literatury ojczyźstęj dar drogocenny.

— W Krakowie nakładem drukarni Leona Paszkowskiego wyszło dzieło A. H. Kirkora (dawnego redaktora „Teki wileńskiej“ i „Kuryera wileńskiego“): „O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich.“ Przedstawia w nim autor krótki, ale treściwy obraz literatury Rossyan, Czechów, Serbów i Bulgarów. Nakładem księgarzni Himelblaua wyszła mała książeczka (cena 10 cent.) p. n. „Początki nauki religii Mojżeszowej“: przekład z niemieckiego przez D-ra Maurycego Krzepickiego, przeznaczony dla szkół w Austrii. Nauka wyłożona jest na pytania i odpowiedzi, sposobem jasnym, czystą polszczyzną, z objaśnieniami hebrajskimi niektórych pojęć religijnych w myśl Starego Testamentu, którego trzyma się ściśle. „Książeczka ta (słuszną uwagę robi „Wiek“) powinna znaleźć rozpowszechnienie po szkołach żydowskich, w których dotąd nieużywano żadnych elementarnych książek religijnych w języku innym, jak w hebrajskim.“

— Nakładem redakcyi Kroniki Rodzinnéj wyszła broszurka p. n. „Zagadnienia i kierunki“, przyczynek do kwestyi bieżących p. L. Szczerbowicza-Wieczora. Stanowią one odbitkę z Kroniki Rodzinnéj i zawierają pierwszą seryę artykułów wstępnych w témże piśmie drukowanych, dla których recenzent artykułu „Kroniką Rodzinną za rok 1873“, zeszyt kwietniowy niniejszego pisma, wyraził za-

służone uznanie. Dalszy ciąg podobnych artykułów wstępnych drukuje się ciągle w Kronice Rodzinnéj, które po ukończeniu złożą część drugą „Zagadnień“, mającą wyjść w oddzielnej odbitce najdalej około Nowego Roku.

— Znany historyk XVIII wieku Kazimierz Jarochoowski wydał obecnie obszerne dzieło oparte przeważnie na źródłach z archiwów zagranicznych p. n. „Dzieje panowania Augusta II, od wstąpienia Karola XII na ziemię polską, aż do elekcji Stanisława Leszczyńskiego od 1702 do 1704 r.“ Jest to monografia wysokości wartości i rzucająca nie małe światło na właściwą epokę.

— Słoweńcy dążą do coraz większego rozwoju własnej narodowości: obecnie pracują usilnie nad projektem założenia uniwersytetu w Lublanie, za pozwoleniem rządu austriackiego.

— W zamożnej bibliotece Baworowskich we Lwowie w r. 1871 znaleziono testament kanclerza Łaskiego w rękopiśmie. Professor Zeissberg, znany z wielu prac szacownych dotyczących dziejów i literatury polskiej, złożył akademii umiejętności w Krakowie relację o Łaskim; oddał tém prawdziwą usługę, gdyż Niemcy, nawet uczeni, z historią i literaturą naszą mało są obeznani. Dr. Zeissberg mówi o długim pobycie Łaskiego w Rzymie, szczególnie w sprawie zatargów z zakonem krzyżackim o sekularyzację Prus, o stosunkach jego krewnego Hieronima Łaskiego z królem węgierskim Janem z Zapolya i sułtanem Sulejmanem; wymienia z prac jego szczególnie statuta, projekt nowego prawa miejskiego i t. p.: w ogóle ocenia jego polityczną działalność.

— Akademia sztuk pięknych w Berlinie ogłasza w urzędowym „Preuss Staatsanzeiger“ rezultat wyborów nowych członków zwyczajnych zatwierdzonych przez ministerstwo. Pomiędzy nimi, znajduje się dyrektor krakowskiej szkoły sztuk pięknych Jan Matejko.

— Dla sędziów przysięgłych wyszły we Lwowie dwa podręczniki: jeden nakładem F. H. Richtera, drugi Seyfortha i Czajkowskiego. Oba ułożone w sposób przystępny i praktyczny: oba nie grzeszące gruntownością.

— Dr. Leonard Piętał wydał we Lwowie dziełko „O stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych, według ustawy z d. 9 kwietnia 1873 r. z uwzględnieniem odnośnych ustaw w Niemczech obowiązujących.“ Autor zaczyna od poglądu na społeczne i ekonomiczne znaczenie wspomnianych towarzystw, poczem w systematycznym wykładzie wyjaśnia prawne stosunki stowarzyszeń tak wewnątrz, jako téż i w obec osób trzecich, nadane im tą ustawą.

— Zajmującą jest statystyka, jaką podają „Gazety amerykańskie,“ oparta na źródłach urzędowych, za rok 1873, w którym znajdujemy, że w Stanach-Zjednoczonych liczba uczęszczających uczniów płci obojój, wynosiła 7,379,656, nauczycieli zaś 93,329 i 127,718 nauczycielek, na ogólną ludność 38,558,371. Przecięciowo jeden nauczyciel pobierał 50 do 60 dolarów miesięcznie, jedna nauczycielka.

ka od 30 do 40 dolarów. W terytoryach bardzo odległych, pensya nauczycielska dochodzi często do 100 dolarów miesięcznie.

— Czasopismo węgierskie „Budapesti Szemle” zamieściło niedawno poemat „A hunok harcza“ (Bitwa Hunnów) przez Władysława Arany (syna), malujący stosunki Madziarów z Niemcami; z tego powodu powszechną zwrócił na siebie uwagę. Jest nam znany tylko z wyjątków w przekładzie niemieckim i z tego co o nim piszą niemieckie dzienniki, a więc tylko powierzchownie; podajemy o nim ogólną wiadomość, bo sam przedmiot wielce jest interesującym. Myśl przewodnią nastreczyły poecie głosy pisarzy niemieckich, że Węgrzy są już blizcy zamknięcia swego politycznego żywota, i że Niemcy gotować się powinni do zagarnięcia po nich spuścizny. Hoha! jeszcze nie!—woła poeta—nie spodziewajcie się łupu tak prędko; do takiej walki na zabój dłuższego potrzeba czasu. Chociażby wszystkie wody Lechu i Sprei obróciły się w atrament, chociażby was żółć do reszty zalała, chociażby się wszystkie wasze pióra zamieniły w strzały i latały nakształt piór Stymfalidów, a wszystkie wasze koziołki w rumaków wojennych, nas to nie przestraszy. Widzieliśmy już inne boje, i innym oparliśmy się burzom, większej grozie stawialiśmy czoło.—Dalej kreśli autor poetyczny obraz mitycznych dziejów Węgier i zamyka go wspaniałym opisem bitwy Hunnów z Gotami. Według powieści ludu, gdy walczący nawzajem się wytepiłi, duchy poległych stanęły do boju i toczyły go dalej z taką samą jak żywi zaciętością. Była to walka dwóch chmur tocząca się bez dowódcy, bez planu. Wodzem obu stron była nienawiść, ten najpotężniejszy magnes, który wszystko przyciąga, co się cierpieć nie może wzajemnie. Od czasu téj walki duchów padł wyrok przeznaczenia, przekleństwo na obu ludach ciężące, że między Gotem a Hunnem nigdy pokój nie zakwitnie, a ich potomkowie będą wiecznie płonąć żarem nienawiści. Potomkowie Gotów i Hunnów—to Niemcy i Madziarzy. Objąwszy dziedzictwo przodków, odziedziczyli Węgrzy także tradycyjną ku Niemcom nienawiść. Toczą téż bezustanku walkę jeszcze przez przodków zaczęłą. Nie masz w téj walce zwycięzców, nie masz zwyciężonych. Madziarowie walczą nie znając wyczynku, nie znając pokoju, już w otwartym boju, już podstępem i zdradą. Krew i atrament płyną potokami, nie mało i łez krokodylich wylano. Po tych walkach politycznych nastąpiła cywilizacyjna. Oręż zamieniono w narzędzie pracy. Dym prochu ustąpił miejsca węglanemu. Już nie w krwawém polu wre walka, ale w kotłach, w dymie, który kłębami wznosi się z komina, w brzuchu lokomotywy, w paszczy machin. Ale i to bój straszny, bo przeciwnik wysyła ciągle ciche zastępy, które napozór lubują się w pokoju, żyją jak gołębice i przędą, a przecież w około siebie zatruwają powietrze żądzą łupu. Są to koloniści, są to robotnicy, są to professorowie berlińscy, urodzeni kandydaci do wszystkich w świecie katedr, popularyzatorowie filozofii niemieckiej, niezrównani w wytrwałości i pracow-

tości mrówczej. Jak mrówki skopali też całą ziemię węgierską. Wystawiwszy niebezpieczeństwo grożące Węgrom zagładą, należałoby podać jakieś środki zaradcze, któreby wpływ jego osłabić mogły, jeżeli go zniszczyć nie zdołają. Z niebezpieczeństwa tego—woła poeta—nie myślcie, że was wybawi „Stary bóg madziarski.” Alboż to niegdyś on was bronił? „Nie wiercie bredniom, które się dawno zużyły.” Nie cudem ocaliliście dotąd, nie wojsko duchów unoszących się w powietrzu, nie żaden bóg domowy bronił was od zagłady. Tarczą waszą miecz i siła. Aby więc toczyć zwyciężką walkę z nieprzyjacielem, z żywiołami obcemi, Madziar powinien wyrzec się marzeń, a natomiast odważnie wziąć się do pracy, uczyć się tej broni używać, z korzyścią nią władać, nią jak orężem zasłaniać się i uderzać, a jakikolwiek przyjdzie zdobywca, jawny, czy skryty, nie wydrze nam zwycięstwa.

— Korrespondent z Rzymu do „Gazety Warszawskiej“ podaje nam ciekawą wiadomość o kościele św. Wojciecha na wyspie Tybrowej. Kościół ten był niegdyś wyłącznie św. Wojciechowi poświęcony i jest najdawniejszą zapewne świątynią polską za granicą. Otton II-gi cesarz, wracając z Polski, wybudował ją, aby złożyć w niej darowane sobie przez Bolesława Chrobrego ramię św. męczennika. Dopiero w XVII wieku, kiedy tam przeniesiono relikwie św. Bartłomieja apostoła, poprzedzono jego imieniem imię dawnego patrona. Dar Bolesławów przechowuje się dotychczas w kaplicy św. Wojciecha po prawicy wielkiego ołtarza. Nie wiem dlaczego żaden z naszych podróżnych nie opisał relikwiarza i kościoła. Większa część rodaków, zwiedzających Rzym, nie wie nawet o tak drogocennej pamiątce, a rzadko kto z naszych zajrzy także do klasztoru św. Aleksego na Awentynie, gdzie św. Wojciech siedm lat mieszkał, i gdzie podobno „Bogarodziec“ ułożył. Najwięcej znajduje się w Rzymie Piastowskich pamiątek. Ciekawą np. jest uliczka nieznaną całkiem cudzoziemcom części wiecznego miasta, które się nazywa *Monte Polacco*. Jakoż rzeczywiście idzie ona pod górę, a pagórek czy mogiła dotąd istniejąca nosi nazwę „polskiej.” Podanie zaś ludowe powtórzone w kilku starych dziełach włoskich, które sam czytałem, niesie, iż w bardzo dawnych czasach, a w każdym razie przed XV wiekiem, król polski mieszkał w Rzymie i miał pałac na tym pagórku, gdzie wyjeżdżając, zakopać kazał szczerozłoty posąg. O pobycie w Rzymie tego króla polskiego możnaby inne powyszukiwać ślady po tułtejszych archiwach i księgozbiorach.

Może to był Władysław Łokietek, który znajdował się z Dautem na wielkim jubileuszu przez Bonifacego VIII ogłoszonym. Ale cóż znaczy to tajemnicze palladium Piastowskie, świętej ziemi katakumb powierzony? Zwracam uwagę naszych badaczy historycznych na piękne to podanie, które przez najdawniejszych dziejopisarzy wiecznego miasta przytaczane bywa nie jako legenda, ale jako fakt historyczny.

— W piśmie tygodniowém literackim p. t. „Magasin für die Literatur des Auslandes“ (Nr. 30), jest artykuł o Asnyku (El. . . . y) napisany z wielkimi dla niego pochwałami p. t. *Adam Asnyk, ein polnischer Lyriker*. Autor zalicza go do téj grupy poetów, do której należeli Musset i Heine. Kilka próbek podano w tłumaczeniu niemieckim.

— W roczniku literackim Towarzystwa urzędników austriackich (Beamten-Verein) p. t. *Die Dioskuren*, mieści się studjum o Juliuszu Słowackim i kilka piosnek ludowych rusińskich.

— *Barghon Fort-Plion*, w uczonej rozprawie p. t. *Le Druidisme en moyen-âge*, wyświecił wielką żywotność dawniej religii Gallów, bezskuteczność prześladowań nakazanych przez cesarów rzymskich Klaudyusza i Wespazjana, oraz walkę druidyzmu z duchowieństwem chrześcijańskim. W wiekach średnich druidyzm ukazuje się w postaci czarnoksiężstwa i zebrań na Łysiej górze przy świetle księżyca. Ale nie poprzestając na wyjaśnieniu zabobonów ludowych plemienia celtyckiego, autor rozciąga swoją exegezę i na ludy słowiańskie, które, jak wiadomo, druidów nie znały.

— *John Henry Parker*, wice-prezes Towarzystwa archeologicznego brytańskiego w Rzymie wydał cenną swą *Archeologią Rzymu* (The Archeologie of Rome. Oxford and London 1874, 2 t. in 8-vo m.), w której przedstawił rezultaty własnych swych poszukiwań. Odkrył on nieznaną dotychczas Porta Capena, w pobliżu której, zdaniem Renana, koncentrowało się piéwsze prześladowanie chrześcian za Nerona i ponieśli śmierć ś-ci Piotr i Paweł. Prowadząc rozkopy porządkiem dawnych dzielnic rzymskich, Parker obejrzał sklepy cyrku wielkiego, odkrył skarbiec na kapitole i kuryą senatu, mur najdawniejszej części miasta na Palatynie (Roma quadrata) i fundamenta pałaców cesarskich. De tekstu dołączone są fotografie ruin i plany.

— Dr. *Juliusz Jolly* w rozprawie p. t. *Schulgrammatik und Sprachwissenschaft* (München Ackermann, 1874, s. 92), domaga się reformy w układzie gramatyk szkolnych, poświęconych wykładowi językowy klasycznych: łacińskiego i greckiego. Wiadomo, ile trudności przyczyniają uczniom drobiazgowo prawidła i wyjątki etymologiczne, a szczególnie składnia łacińska z subtelną analizą spójników i zdań spórzędnych. Autor dowodzi, że „podział zdań na czasowe, warunkowe etc. opiera się na szmatach logiki starożytnych gramatyków, a więc na błędném pojęciu, jakoby myśl była już na zawsze ograniczona wyrazem, a formy zdań układały się podług gotowego wzoru logicznego.“ Postępy gramatyki porównawczej i rozwój historii mowy nakazuje obecnie radykalną zmianę w układzie gramatyk elementarnych. Usiłowania w tym kierunku objawiają się w Niemczech już od czasów Grimma, który piéwszy wystąpił przeciwko starym kursom logiki, przybranym w szatę nauki języka. W rozprawie ocenione są znakomitsze dzieła gramatyczne, jakie się

ukazały w ostatnich czasach, pomiędzy innemi Curtius'a (gramatyka grecka), Wanniczka, Schweizer-Sidlera, Müllera, Lattmana (gramatyki łacińskie).

— *Historji powszechnj konia*, przez hr. Maryana Czapskiego (o której pisaliśmy w czerwcu r. b.) wyszedł zeszyt drugi. Obecnie w Lipsku ukazało się podobnej nieco treści 2-tomowe dzieło p. Jähns, kapitana armii pruskiej p. t. *Ross u. Reiter in Leben und Sprache, Glauben und Geschichte der Deutschen; eine kulturhistorische Monographie*. I tu czytelnik znaleźć może wiele wiadomości z mytologii, podań ludowych i historyi, poczynając od wieków średnich i sięgając aż do czasów ostatnich, do kawalerzysty pruskiego, ale zakres dzieła jest mniejszy (tylko o koniu niemieckim) i wykład nie może się równać ze świetnym stylem naszego ziomka.

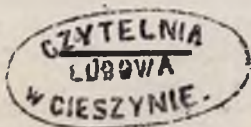
— W Madrycie zaczął wychodzić dziennik p. t. *La race latine*, z dążnością „bronienia ludów rasy romańskiej przed zaborczym naciskiem ludów Północy, które wzięty sobie za godło: siła idzie przed prawem“ (la force prime le droit). Do grona współpracowników zaliczeni są: biskup Dupanloup, V. Hugo, Castelar, Girardin. Redakcja ustanowiła agencją w Paryżu, Rue Favart, 2. W Berlinie zaś ma wychodzić nowe pismo miesięczne pod redakcją J. Rodenberga i pod nazwą *Die deutsche Revue*. Jako współpracownicy podani są: Auerbach, Spielhagen i Heyse.

— Islandczyk rodem *Gudbrand Vigfusson* ukończył zaczęta w 1840 r. przez kupca londyńskiego Cleasby ogromną pracę: ułożenie *słownika islandzkiego*, który obecnie wyszedł z druku pod tytułem: *An Icelandic Dictionary* (Oxford. Clarendon Press. 1874). Dzieło to jest bardzo ważne dla filologów ze względu na przechowaną w narzeczu islandzkim wyrazy i formy gockie, staro-angielskie, staro-niemieckie i skandynawskie.

— *Robert Schlagintweit* ogłosił staranne studyum o *Mormonach*, obejmującą historją téj sekty, wykład nauki z gruntowną znajomością literatury mormońskiej i opis obecnego stanu osady na Słoneńm jeziorze p. t. *Die Mormonen oder die Heiligen vom jüngsten Tage von ihrer Entstehung bis auf die Gegenwart. Köln u. Leipzig 1874 Ed. H. Mayer*. Notujemy parę ustępów z téj nauki, godnej podziwu: Jest mnóstwo bogów i bogiń, rządzących pojedynczemi światami; ponieważ Genesis powiada, że człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boga, więc Bóg jest tylko udoskonalonym człowiekiem, a pojmować Go jako istotę bezcielesną znaczy grzeszyć ateizmem; każdy uczciwy Mormon może po śmierci zostać bogiem i otrzymać rządy nad jednym ze światów, obecny zaś prezes sekty, prorok i arcy-kapłan, Brigham Young ma zamiar przybrać znamiona bóstwa już teraz za życia. Wiadomo, że jedną z zasadniczych instytucji społeczeństwa tego jest wielożęństwo, wyzwolone nawet od tych ograniczeń, jakie Mahomet przepisał dla muzułmanów; obecny bowiem prorok uznał przeszkodę blizkiego pokrewieństwa za przesadę i upoważnił związki

pomiędzy braćmi a siostrami. Rząd Stanów Zjednoczonych zawsze jest niechętny tej sekcje: w r. 1862 kongres zagroził karą za wielożeństwo; wielu Mormonów aresztowano i pociągano do sądu, ale przysięgli z łona tychże Mormonów wybierani, niewinni zawsze oskarżonych; w r. 1871 prezydent Grant odezwał się o nich groźnie w swoim orędziu, ale wykonanie tych groźb jest połączone z wielkimi trudnościami. Nowa Jerozolima jest już wielkiem i bogatym miastem, a górzysta i pusta okolica nastęrcza wielkie trudności strategiczne. Liczba ogólna Mormonów wynosi 150,000 ludzi; z tych tylko połowa mieszka w Utah, lecz przy wielożeństwie ludność wzrasta szybko.

+ *W Schaeberbeck* w Belgii, dnia 18 lipca r. b. zakończył życie *Wiktor Heltman*, redaktor znanego czasopisma społeczno-politycznego p. n. *Dekada Polska*, wychodzącego w Warszawie przed r. 1830. Umarł w sędziwym wieku, licząc lat 78 życia. Urodzony na Litwie w r. 1796, wyższe nauki ukończył na Uniwersytecie Warszawskim. Następnie był bibliotekarzem przy księgozbiorze hr. Aleksandra Chodkiewicza w Warszawie: wiele pracował w dziale historii polskiej, i do niej ogłosił wtedy *Tablice Synoptyczne*.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoiki.

Wydawca *Józef Berger*.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1874.

	stron.
<i>Zakłady Naukowe.</i>	
Muzeum zakładu Imienia Ossolińskich we Lwowie. Przez W. Zawadzkiego.	357
<i>Literatura.</i>	
Jeden dzień z życia Makiawela. Przez E. S.	173
<i>Literatura krajowa.</i>	
Przegląd prassy peryodycznej w Królestwie Polakiem. Rok 1873.	
I. Pisma Rolnicze. Przez St. R.	109
II. Gazeta Rzemieślnicza.	113
III. Pisma codzienne. Przez A. P.	115
IV. Pisma Humorystyczne.	117
V. Kolos. Przez ab.	118
VI. Kuryer Świąteczny.	120
VII. Mucha. Przez ab.	121
VIII. Pisma Prowincjonalne:	
1. Kuryer Lubelski.	122
2. Kaliszanie.	
3. Tydzień. Przez Tadeusza Korzона.	123
IX. Zamknięcie.	125

Literatura zagraniczna.

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa obrazów na Polach Elizejskich.— Zdanie krytyków. — Gauloi. — Figaro. — Emil Bergerat sprawozdawca Dziennika urzędowego. — Sąd Debatów.— Chlubne ocenienie Pressy. — Navis de Chavannes: Karol Martel w Poitiers. Królowa Radegunda.— Alma Tedema: Pracownia rzeźbiarza rzymskiego. — Dziesiąta plaga egipska: Śmierć pierworodnych.— Hektor Leroux: Westalka. — Ermann: Historia sztuki. — Langee: Ludwik święty przy

uozio z ubogimi. — Zier: Katon z Utyki. — Bonnat: Chrystus ukrzyżowany. — Lehoux: Święty Wawrzyniec. — Courtot: Święty Sebastyan. — Humbert: Madonna. — Maillart: Chrzesł św. Augustyna. — Laurent: Święty Bruno odrzucający dary Rogera kalabryjskiego. — Roux: Skon św. Wincentego à Paulo. — Portrety: Cabanel. — Henner. — Dubaffe. — Bastieu Lepage: Portret mego dziadka. — Pani Nelia Jaquemart. — Hebert. — Carolus Duran. — Panna Izydora Mikulska. — Dzieło pani Olympii. — Audonard: Gynecologie. — Słownik muzyków polskich: dzieło Wojciecha Sowińskiego. — Ustęp z listu profesora Aleksandra Chodźki. — Odpowiedź.

76

Historja kija: dzieło p. Antoniny Real. — Legenda o kiju Adamowym. — Kij Kaina. — Kij feudalny. — Kij pielgrzymi. — Przysłowia o kiju. — Kij cywilizacyjny. — Towarzystwo zawiązane w celu podniesienia teatru paryzkiego: konferencja p. Feval. — Wyciągi z dwudziestu ośmiu tomowej korespondencji Napoleona I, przygotowane do druku w języku polskim przez hr. B. z wyłącznym poglądem na legiony i wypadki Księstwa Warszawskiego. — Zmarły Juljusz Janin. — Wystawa obrazów w pałacu przemysłowym. — Obrazki anegdotalne p. Gerome, uwieńczone wielkim medalem honorowym. — Corot pejzażysta. — Nad Wisłą, Szerementowskiego. — Myt narodowy: ślub dziewicy galskiej z Foejczykiem. — Zamilowanie Helenizmu we Francji. — Obrazy mytologiczne. — Alzacya. — Bitwy. — Znaczenie sztuki rodzajowej. — Obrazki rodzajowo etnograficzne. — Wystawa rzeźby. — Chwała zwyciężonemu, Merciera. — Wielki medal honorowy. — Popiersia i grupy do ozdoby gmachów publicznych. — Pomniki tryumfalne dla Peru, Brezylji i Egiptu. — *Gloria Victis!*

291

Uroczyść Petrarki w Avignon i Padwie. — *Laure de Noves* przez p. Blaiso do Bury. — Ośmset dzieł o Petrarce w bibliotece Luwru. — List Wiktora Hugo. — Petrarka jako promotor odrodzenia klasycznych nauk we Włoszech. — Poemat Afryka. — Listy wierszem i prozą. — Ostatni przyjaciel Bokacjusz. — Zamilowanie Helenizmu we Francji. — Nowy przekład Homera i tragików greckich przez Lecomte de Lille. — Filozofia Platona: filozofia Sokratesa przez p. Fouille. — Historia Alcybiadesa i rzeczypospolitej Ateńskiej przez Emila Houssaie. — Polityka Arystotelesa przez Bartelemy St. Hilaire. — O wymowie sądowej w Atenach p. Morillot. — Xenofon, przez A. Croiset. — Studium nad Izokratem, profesora Havet. — Mowy Demostenesa z komentarzami p. Weil. — Wymowa w Atenach, przez pr. Perrot. — Badania nad wymową atycką prof. Juliusza Girard. — Katedry literatury i starożytności helenickich w Paryżu. — Lekcja w Sorbonie pr. Girard. — Prace literackie Bonapartych. — Książka Ratazzi. — Rozprawa pani Klemencyi Royer o pierwot-

ném pochodzeniu plemion ludzkich. — Protestacya przeciw odkryciu Trojady. — Kongres geograficzny. — Teatr chiński w San Francisco. — Przejazdka naukowa Feliksa Radomińskiego, po Szwecyi i Norwegii. 438

Podróże.

Pierwszy rok pobytu w Ameryce. Przez Juliana Horaina. 64, 226

Powieść.

Brühl. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. T. I i II. 23, 192, 369

Przemysł, handel i rolnictwo.

Sprawozdanie z banków warszawskich z lat: 1871, 1872, 1873. Przez Aleksandra Oskierkę. 1
O stanie gospodarstwa i przemysłu wiejskiego w Rossyi Europejskiej. Przez Witolda Załęskiego. 416

Archeologia.

Kilka słów z podróży. Przez Zygmunta Glogera. 406

Nauki społeczne.

Stan moralny społeczeństwa naszego na podstawie wykazów statystycznych karnych. Przez B. 238

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

J. Kościelski. Władysław Biały książę Gniewkowski. Tragedya w 5-oiu aktach z prologiem. Poznań. Nakładem Żupańskiego, 1874. Stronnic 171 tekstu i 6 str. nut. Pieśń wojenna i śpiew Anny, muzyka St. Moniuszki. Przez Henryka Struve. 128
Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Tom VII. Wydanie zupełnie poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopismów staraniem J. I. Kraszewskiego. Poznań, 1874 (w 8-ce, str. 368 i VII). Przez W. 157
Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce, przedstawił Oskar Kolberg. Krakowakie. Część III (Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego 1874 r. w 8-ce, str. 350). Przez K. Wl. W. 160
Album F. Kostrzewskiego, wykonane w zakładzie artystyczno-litograficznym B. Sławoszewskiego (folio, kart 24) r. 1874. Przez R. 162
Wypisy polskie. Stopień I. Z „wstępem“ podającym zasady i drogi, jakich się trzymać należy w wykładzie wypisów. Ułożył August Jeske. Warszawa, nakładem księgarni Stanisława Arcta w Lublinie, w 12-ce str. XVI 210.

Przykłady i wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich zebrane i zastosowane do „Historji literatury polskiéj, opowiedzianej w krótkości dla młodzieży,“ przez D-ra Karola Mecherzyńskiego b. prof. literatury w Uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków. Nakład i własność księgarni Himmelblaua 1874 r. (w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego; w 8-ce, str. 803). Przez K. Wł. W.	330
Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych, 1874 r., T IV. Przez W. S.	333
Der Vorgeschichtliche Mensch. Ursprung und Entwicklung des Menschengeschlechtes. (Człowiek przedhistoryczny. Początek i rozwój rodu ludzkiego. Lipsk, 1874; s. 576, rycin i figur w tekście i obok znajduje się 620). Przez Zygmunta Glogera.	335
Przysłowia polskie odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości, spisał i objaśnił Aleksander Weryha-Darowski. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1874 r. (w 8-ce, str. 219. Drukiem Metzgera i Wittiga w Lipsku). Przez K. Wł. Wojcickiego.	337
Les Elzevirs de la Bibliothèque de L'Université Impériale de Varsovie. Par Stanislas Joseph Siennicki. Ouvrage enrichi de 23 planches. Varsovie. Imprimerie du Journal Wiek (de Jean Noskowski) MDCCCLXXIV (w 8-ce, str. 221). Przez R.	346
1) Konrad książę na Mazowszu i Zakon niemiecki, napisał Dr. August Sokolowski. Poznań, 1873. 2) Die ältesten preussischen Urkunden kritisch untersucht von Dr. M. Perlbaach. Królewiec, 1873. 3) Recenzja dziełka Perlbaacha, przez D-ra Wojciecha Kętrzyńskiego (Przewodnik naukowy, marzec 1874, s. 235—240). Przez F. Z.	469
Piotr Chmielowski, Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens. Eine physiologisch psychologische Analyse. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der philosophischen Doctorwürde der Universität Leipzig. Leipzig, 1874. Str. 75. (Organiczne warunki początku woli. Rozbiór fizylogiozno - psychologiczny. Dyssertacya doktorska). Przez Henryka Struve.	482

Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Zygmunta Glogera	329
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez W.	5
WIADOMOŚCI LITERACKIE.	165, 348, 501
NEKROLOGIA.	355, 508
Od redakcyi.	172, 336, 468
Sprostowanie.	356

